



China Miéville

ŻELAZNA RADA

Przełożył Tomasz Bieroń

Podziękowania

Serdecznie dziękuję Emmie Bircham, Markowi Bouldowi, Andrew Butlerowi, Micowi Cheathamowi, Deannie Hoak, Simonowi Kavanaghowi, Peterowi Lavery'emu, Claudii Lightfoot, Farah Mendelsohn, Jemimie Mieville, Gillian Redfearn, Maksowi Schaeferowi, Chrisowi Schluepowi i Jessemu Soodalterowi za pomoc przy tej książce. Serdeczne dzięki dla Nicka Mamatasa i Mehitobel Wilson oraz dla wszystkich w Macmillanie i Del Rey za współpracę.

Zawsze mam dług u niezliczonych pisarzy, ale przy tej książce chciałbym szczególnie podziękować Williamowi Durbinowi, Johnowi Ehle'owi, Jane Gaskell, Zane Grey, Sembene'owi Ousmane'owi, T.F. Powysowi i Frankowi Spearmanowi.

Budujcie ruchome pomniki na platformach kolejowych.

Wielimir Chlebnikow, *Propozycje*

W czasach minionych mężczyźni i kobiety karczują ścieżką przez step i ciągną ze sobą historię. Okrzyki bitewne wykrzywiają im usta. Są na pustkowiu, w kamiennych okopach, w buszu, w cieniu murów. Nieustannie prą naprzód.

W czasach dawno minionych ktoś stoi na granitowej turni, zaciśniętej górskiej pięści. Drzewa pokrywają szczyt, jakby osiadł szlam lasu. On stoi nad zielonym światem, a pierzaści i twardoskórzy mieszkańcy przestworzy krążą dokoła i nie zważają na niego.

Obok słupów z batolitu prowadzi ścieżka, którą wytyczył, z przyległymi brezentowymi obozowiskami. Są ludzie i ogniska, wykastrowani kuzyni pożarów, które używiają lasy.

Samotnik stoi smagany lodowatym wichrem, który na wieki zamroził tę minioną chwilę, a na brodzie krystalizuje się mu oddech. Mężczyzna patrzy na osowiałą z zimna rtęć w rurce, barometr i sznurek z podziałką. Ustala pozycję swoją i pozostałych mężczyzn nad brzuchem świata i w górskiej jesieni.

Wspięli się. Kolumny robotników toczyły walkę z grawitacją, wisząc pod osłoną krzemianowych ścian i załomów. Niewolnicy swego ekwipunku nieśli przez świat urządzenia z blachy, drewna i szkła jak niemi nababowie.

Samotnik wciąga w płuca dawno minioną chwilę, słucha pokastywań górskich zwierząt, rytmicznego szelestu drzew. Wąwozy uporządkował i zinwentaryzował, poznał je i naniósł na mapy, a ucząc się parametrów penepłeny, szerokich kotlin, kanionów dopływowych, potoków, rzek i paprotnej pampy, odcisnął na nich pieczęć piękna. Tam, gdzie sosny albo jesiony stoją na postronkach, a on mierzy promień zakrętu, natura sączy w jego serce pokorę.

Zimno pozbawia go sześciu ludzi, zostają biali i twardzi w płytkich grobach. Hemoskrzydłaki obmywają wyprawę krwią, niedźwiedziei mroki zbierają swoje żniwo, ludzie krzyczą z rozpaczki zagubieni w ciemnościach, muły padają, prace wykopaliskowe nie przynoszą

rezultatu, niektórzy toną, a tubylcy mordują podstępnie, ale to są wszystkie inne chwile. W tym dawno minionym czasie jest tylko mężczyzna nad drzewami. Od zachodu góry blokują jego drogę, ale teraz są jeszcze daleko.

Tylko wiatr do niego mówi, ale on wie, że jego imię jest wypowiedane obelżywie i z respektem. Za nim ciągnie się ślad niezgody. W murowanych wzgórzach jego miasta jego dążenia rozbijają rodziny. Niektórzy utrzymują, że wypowiedają się w imieniu bogów i że on grzeszy pychą. Jest skazą na obliczu świata, a jego plany i droga to nikczemność.

Mężczyzna obserwuje inwazję nocy. (Od tej chwili upłynęło dużo czasu). Obserwuje zygzaki cienia, a zanim usłyszy pobrzękiwania blaszanych naczyń przy kolacji i poczuje zapach pieczonej dziczyzny, którą z nimi zje, jest tylko on i góra, noc, jego książki z rysunkami wszystkiego, co widział, i mapy topograficzne tych obojętnych szczytów i jego tęsknot.

Uśmiecha się, nie przebiegle, nie z samozadowolenia lub poczucia bezpieczeństwa, lecz z radości, bo wie, że jego plany są święte.

CZEŚĆ PIERWSZA

TROPY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mężczyzna biegnie. Przepycha się przez cienkie mury z kory i liści, przez niczemu niesłużące sale Rudewood. Drzewa tłoczą się wokół niego.

Tak głęboko w lesie słychać prągłosy. Dach lasu się kołysze. Mężczyzna jest ciężko obciążony i poci się od żaru niewidocznego słońca. Próbuje nie zboczyć ze szlaku.

Tuż przed zmrokiem znalazł swoje miejsce. Ledwo widoczne ścieżki hotchich zaprowadziły go do niecki otoczonej korzeniami i kamienistą glebą. Drzewa zostały z tyłu. Ziemia była zdeptana i splamiona pożogą i krwią. Mężczyzna porozkładał na kocu zawartość plecaka, kilka książek i ubrania. Na ilastej glebie i stonogach położył coś starannie zawiniętego i ciężkiego.

W Rudewood było zimno. Mężczyzna rozpałił ognisko, którego blask odsunął ciemności. Wpatrywał się w ogień, jakby wierzył, że coś przybierze tam kształt. Żywe istoty podeszły pod krąg światła. Noc rozbrzmiewała dźwiękami, takimi jak oskrzelowe wołanie nocnego ptaka czy oddech i szuranie jakiegoś niewidocznego drapieżnika. Był czujny. Zabrał ze sobą pistolet i strzelbę i co najmniej jedno z nich zawsze trzymał w ręce.

Godziny mijały w świetle płomieni. Sen na przemian porywał go i wypuszczał. Za każdym razem, gdy mężczyzna się budził, oddychał tak, jakby wychodził z wody. Był przygnieciony troską. Na jego twarzy malował się smutek i gniew.

- Znajdę cię - powiedział.

Nie zauważył momentu świtania, a jedynie to, że czas znowu szarpnął się w stronę dnia i widać było brzegi polany. Poruszał się tak, jakby był zrobiony z patyków, jakby zmagazynował w sobie wilgotne zimno nocy. Żując suszone mięso, przemierzał nieckę i słuchał leśnych hałasów.

Kiedy nareszcie dobiegły go głosy, położył się na brzegu niecki i spojrzał między pniami drzew. Trzy osoby zbliżały się po zmurszałym dywanie liści i poszycia. Mężczyzna obserwował je znad lufy strzelby. Kiedy weszły w grubsze snopy światła, rozpoznał je i opuścił strzelbę.

- Tutaj! - krzyknął.

Wystraszeni padli na ziemię i rozglądali się za właścicielem głosu. Podniósł rękę nad krawędź niecki.

Grupa składała się z kobiety i dwóch mężczyzn, w ubraniach jeszcze mniej nadających się do Rudewood niż jego strój. Zeszli do niego i uśmiechnęli się.

- Cutter!

Wyściskali się i wyklepali po plecach.

- Słychać was na kilometr. A gdyby ktoś was śledził? Kto jeszcze będzie?

Nie wiedzieli.

- Dostaliśmy wiadomość od ciebie - powiedział niższy mężczyzna. Mówił szybko i rozglądał się dokoła. - Poszedłem i dowiedziałem się. Pokłóciliśmy się. Inni mówili, no, że powinniśmy zostać. Wiesz, co mówili.

- Tak, Drey. Że jestem obłąkany.

- Nie ty!

Unikali jego wzroku. Kobieta usiadła, jej spódnica wypełniła się powietrzem.

Przypieszony oddech zdradzał strach. Obgryzała paznokcie.

- Dziękuję, że mimo wszystko przyszliście. - W odpowiedzi pokiwali głowami albo wzruszyli ramionami. Jego słowa jemu samemu zabrzmiały dziwnie, im na pewno też. Starał się nadać im cieplejszy ton, pozbawiony typowej dla niego ironii. - Doceniam to.

Czekali, wydrapywali w ziemi wzory albo wycinali z martwego drzewa figurki. Milczeli, bo było za dużo do powiedzenia.

- Czyli poradzili wam, żebyście nie przychodzili?

Odpowiedziała mu kobieta, Elsie. Sformułowali to mniej jednoznacznie, ale w każdym razie Plenum uznało wezwanie Cuttera za nierozsądne. Podniosła na niego wzrok i szybko opuściła. Pokiwał głową bez komentarza.

- Ale wy nie macie wątpliwości? - Ich apatyczne przytaknięcia nie zadowolily go. - Do diabła ciężkiego, jesteście pewni, że dobrze postąpiliście, nie słuchając rady Plenum? Jesteście gotowi to zrobić? Dla niego? Przed nami daleka droga.

- Weszliśmy już parę kilometrów w głąb Rudewood - powiedział Pomeroy.

- Ale przed nami jeszcze setki kilometrów. Setki. Sakramencko ciężka droga. I długa. Nie mogę przysiąc, że wrócimy.

„Nie mogę przysiąc, że wrócimy”.

- Chcę tylko potwierdzenia, że twoja wiadomość była prawdziwa - odparł Pomeroy. - Powiedz mi jeszcze raz, że on odszedł, dokąd odszedł i po co. Powiedz mi, że to prawda. - Olbrzym wwiercił się w niego natarczywym spojrzeniem, a kiedy Cutter zamknął oczy i pokiwał głową, powiedział: - No to dobra.

Potem przyszli inni. Najpierw jeszcze jedna kobieta, Ihona. Kiedy się z nią witali, usłyszeli trzask patyków niszczonej ciężkimi skokami i z zarośli wyłonił się vodyanoi. Przykicał żabim sposobem typowym dla swojego gatunku i uniósł obciążone błoną dłonie. Kiedy zeskoczył na dół, jego ciało - głowa i tułów tworzyły jeden pękaty worek - zatrzęsło się jak galareta. Fejhechrillen był upaprany i zmęczony. Jego sposób poruszania się był źle przystosowany do terenów leśnych.

Wszyscy byli zdenerwowani. Nie wiedzieli, jak długo mają czekać, czy warto, czy jeszcze ktoś przyjdzie. Cutter dociekał, jak dotarła do nich jego wiadomość. Jego natarczywe pytania stresowały ich. Nie mieli ochoty rozwodzić się nad swoją decyzją, żeby do niego dołączyć, bo wiedzieli, że, zdaniem wielu, zdradzili.

- Będzie wdzięczny - powiedział Cutter. - To dziwny typ i może tego po sobie nie okazać, ale będzie to dla niego wiele znaczyło, i dla mnie też.

Po chwili milczenia Elsie zripostowała:

- Nie wiesz tego. Nie wezwał nas, Cutter. Sam powiedziałeś, że tuż przed odejściem dostał jakąś wiadomość. Może być zły, że nas ze sobą zabierasz.

Cutter nie mógł jej z czystym sumieniem powiedzieć, że się myli, dlatego odparł:
- Nie wyobrażani sobie, żebyście wrócili. Może jesteśmy tutaj dla siebie, nie tylko dla niego.

Opisał im, co ich czeka, kładąc akcent na niebezpieczeństwa. Mogło się wydawać, że chce ich odstraszyć, ale wiedzieli, że tak nie jest. Drey sprzeczał się z nim raptownym i nerwowym głosem. Zapewnił Cuttera, że rozumieją. Cutter zauważył, że Drey próbuje przekonać siebie samego, zamilkł więc, a ten powtórzył kilka razy, że jest zdecydowany.

- Lepiej ruszajmy - powiedziała Elsie, kiedy minęło południe. - Nie możemy czekać tutaj bez końca. Jeśli ktoś jeszcze idzie, to widocznie się zgubił. Muszą wracać do Plenum i wykonywać swoją pracę dla miasta.

Ktoś wydał z siebie zduszony okrzyk i wszyscy odwrócili głowy.

Dosiadający gallusa hotchi obserwował ich znad brzegu obniżenia terenu. Wielki kogut bojowy nastroszył pióra na piersi i uniosł szponiastą łapę. Hotchi, krępy i twardy człowiek, głąskał czerwony grzebień swego wierzchowca.

- Idzie milicja - mówił z wyrazistym i ostrym akcentem. - Dwaj milicjanci będą tutaj za parę minut.

Przesunął się do przodu na ozdobnym siodle i zawrócił ptaka. Prawie bezgłośnie - nie było metalu, który by brzęczał o drewniano-skórzaną uprzęż - gallus zniknął pośród drzew, unosząc wysoko łapy.

- Co to...? Co...? Kurwa, czy wy...?

Odgłosy czyjegoś zbliżania się sprawiły jednak, że także on zamilkł. Rozejrzeli się w niewypowiedzianej panice, ale było za późno, aby się schować.

Pojawili się dwaj mężczyźni, w maskach i ciemnoszarych milicyjnych mundurach. Szukali drogi między omszałymi pniakami. Każdy z nich niósł zwierciadlaną tarczę i miał przytroczony do boku nagan pieprzowy. Kiedy wyszli na polanę, potknęli się i stanęli. Ogarnęli wzrokiem ludzi, którzy na nich czekali.

Przez rozciągniętą sekundę nikt się nie poruszył, odbyła się zdezorientowana i milcząca konferencja - czy wy, czy oni, co, czy mamy, czy mamy...? - aż wreszcie ktoś pociągnął za spust. Potem kakofonia dźwięków, krzyków, perkusja strzałów. Ludzie padali. Cutter stracił rozeznanie, gdzie jest wróg, a gdzie przyjaciel. Kiszki mu się skręcały ze strachu, że został trafiony, ale jeszcze tego nie czuje. Kiedy obrzydliwa synkopowana muzyka strzelaniny ucichła, przestał zaciskać szczękę.

Ktoś krzyczał: „Bogowie, kurwa, bogowie!”. To był milicjant. Z krwawiącą raną brzucha siedział koło swego martwego kolegi i usiłował dźwignąć do góry swój ciężki pistolet. Cutter usłyszał świst rozcinający powietrze. Milicjant przewrócił się przeszyty strzałą i umilkł.

Znowu mgnienie ciszy, a potem:

- Na Jabbera... Czy ty, czy wszyscy...? Drey? Pomeroy?

W pierwszej chwili Cutter sądził, że nikt z jego ludzi nie został trafiony. Potem zobaczył, że Drey jest biały jak płótno i trzyma się za ramię. Krew zafarbowała jego drżące ręce.

- Jabberze drogi, chłopie!

Cutter pomógł Dreyowi usiąść.

- Wszystko w porządku? - mamrotał Drey w kółko.

Kula wyrwała trochę mięsa. Cutter oddarł kilka pasów z koszuli Dreya i użył najczystszych jako bandaża. Drey bronił się przed tak bolesnym traktowaniem, dlatego Pomeroy i Fejh musieli go przytrzymywać. Dali mu też patyk grubości kciuka, żeby miał na czym zacisnąć zęby.

- Wy idioci zaszrani, musieli was śledzić! - wściekał się Cutter, opatrując ranę. - Mówilem

wam, żebyście, kurwa, uważali...

- Uważaliśmy! - krzyknął Pomeroy, celując w Cuttera palcem.

- Nie śledzili. - Wrócił hotchi na bojowym kogucie. - Patrolują okolicę. Wy byli tu za długo, prawie cały dzień. - Zsiadł i obszedł nieckę wkoło. - Za długo. - Obnażył zęby w ramach jakiejś niezbyt zrozumiałej miny. Mały - nie sięgał Cutterowi do klatki piersiowej - ale muskularny, paradował jak znacznie większy mężczyzna. Stał przy martwych milicjantach i zaczął węszyć. Posadził jednego, ciągnąc za strzałę, a następnie zaczął ją przepychać przez ciało. - Jak ci nie wrócą, przyślą następnych, żeby was szukali - wyjaśnił.

Manewrował strzałą, żeby ominęła żebra, chwycił za grot, kiedy wyszedł z pleców trupa i z bulgoczącym dźwiękiem przeciągnął lotkę. Zatknął zakrwawioną strzałę za pasek, wyjął rewolwer ze sztywniejących palców milicjanta i przestrzelił dziurę.

Ptaki znowu wzbily się w powietrze. Zdziwiony hotchi pokręcił głową: z grubej na palec dziury w klatce piersiowej trupa zrobił się krater.

- Dalijabber... Kim ty, do diabła, jesteś? - rzucił Pomeroy.

- Wojownik hotchi. Koguci jeździec. Alektriomach. Pomóc wam.

- Twoje plemię... jest po naszej stronie? - spytał Cutter. - Niektórzy hotchi są po stronie Plenum - wytłumaczył innym. - Dlatego tutaj jest bezpiecznie. A w każdym razie miało być. Klan tego chłopaka nie przepada za milicją. Pozwalają nam przejść przez swój teren. Ale nie mogą ryzykować prawdziwej wojny z miastem, dlatego on chce upozorować, że to myśmy zabili funkcjonariuszy, a nie ich strzały.

On sam to zrozumiał dopiero w trakcie tego wyjaśnienia.

Pomeroy i hotchi naszpikowali trupy kulami. Pomeroy rzucił jeden nagan pieprzowy Elsie, drugi Cutterowi. Ten nigdy nie miał w rękę tak nowoczesnej i drogiej broni. Pistolet był ciężki, z potężnym sześciokomorowym bębniem.

- Zawodne, ale szybkie - stwierdził Pomeroy, zbierając kule.

- Na Jabbera, lepiej stąd wypieprzajmy - głos Dreya falował z bólu. - Odgłos strzałów niesie jak skurwysyn...

- Mało ich blisko - zaprotestował hotchi. - Może nikt nie usłyszał. Ale wy powinni iść, tak. Wy gdzie? Czemu uciekli z miasta? Wy szukacie tego, co jechał na człowieku z gliny?

Cutter spojrzął na swoich towarzyszy, którzy zostawili odpowiedź jemu.

- Widziałeś go? - Podszedł do zapracowanego hotchi i powtórzył: - Widziałeś go?

- Ja nie widział, ale znam, co widzieli. Kilka dni, może tydzień temu. Mężczyzna jechał przez las na szarym olbrzymie. Wielki pośpiech. Milicja goniła.

Popołudniowe słońce znowu na nich zaświeciło i leśne zwierzęta wznowiły swój koncert. Cutter poczuł się otoczony morzem drzew. Parę razy otwierał i zamykał usta, zanim przemówił.

- Milicja za nim jechała?

- Na prze-tworzonych koniach. Ja słyszał. - Na prze-tworzonych koniach ze stalowymi kopytami albo tygrysimi szponami, albo chwytym ogonem wyposażonym w gruczoły jadowe. Z tłokami parowymi nadającymi ich nogom niesamowitą siłę albo z dodatkową wytrzymałością pochodzącą z narośli w kształcie bojlera za siodłem. Mięsożerne i z długimi kłami. Koniowilki albo koniodziki, hippiczne konstrukty. - Ja nie widział - podjął hotchi. Dosiadł swojego koguta. - Oni pognali za tym, co jechał na człowieku z gliny, na południe przez Rudewood. Wy lepiej ruszają. Szybko, szybko. - Odwrócił swojego ptaka i smoliście brązowym palcem pokazał

kierunek. - Uważajcie. To jest Rudewood. Jeźdźcie. - Zadał gallusowi ostrogę i wciął się w gęstwinię. - Jeźdźcie! - krzyknął, już niewidoczny. Zwinęli swój mały obóz. Pomeroy oprócz swojego wziął też plecak Drey'a. Cała szóstka opuściła arenę do walki kogutów i zniknęła w lesie.

Kierowali się na południe według kompasu Cuttera, tą samą ścieżką, którą wybrał hotchi.
- Wskazał nam drogę - powiedział Cutter.

Jego towarzysze powierzyli mu przewodnictwo. Przebijali się przez płataniny korzeni i roślinne barykady, zmieniając leśny krajobraz. Cutter bardzo szybko poczuł się tak zmęczony, że aż go to zaskoczyło.

Kiedy sobie uświadomili, że jest ciemno, padli tam, gdzie byli, w przerwie między drzewami. Mówili półgłosem, onieśmieleni dźwiękowym tłem lasu. Było za późno, żeby coś upolować. Nie pozostało im nic innego, jak wyjąć z plecaków suszone mięso i chleb i żartować sobie bez przekonania, jaka to jest królewska uczta.

W świetle małego ogniska Cutter widział, że Fejh wysycha. Nie wiedzieli, czy w pobliżu jest woda, dlatego Fejh wylał na siebie tylko trochę zapasów, chociaż jego wielki język rwał się ku wodzie. Dyszał.

- Nic mi nie będzie, Cutter - powiedział i dowódca wyprawy poklepał go po policzku.

Drey był biały jak papier i szeptał do siebie. Widząc, że jego temblak zeszytniał od krwi, Cutter nie mógł zrozumieć, jak Drey utrzymuje się na nogach. Szeptem powiedział o swoich obawach Pomeroyowi, ale nie mogli zawrócić ani odesłać Drey'a samego do miasta. Tam, gdzie siedział, ziemia zabarwiła się na czerwono.

Kiedy Drey spał, reszta ciasnym kołem usiadła przy ognisku i opowiadała sobie historie o człowieku, którego śladami szła. Każdy z nich miał powód, żeby odpowiedzieć na wezwanie Cuttera.

Dla Ihony człowiek, którego szukali, był pierwszą osobą z Plenum, która przypominała jej ją samą: nieobecny duchem, przebywający w innych sferach. To jego uduchowanie, które sprawiało, że inni mu nie ufali, w niej budziło poczucie, że w ich ruchu jest miejsce na niedoskonałość, że ona ma prawo do niego należeć. Wspomnienie to wywołało uśmiech na jej twarzy. Z kolei Fejh w ramach jakiegoś śledztwa uczył go szamanizmu vodyanoich i wzruszyła go jego fascynacja tym tematem. Cutter wiedział: kochali człowieka, za którym szli. Nie było niczego dziwnego w fakcie, że z setek członków Plenum sześcioro go kochało.

Pomeroy powiedział to na głos:

- Kocham go. Ale nie dlatego tutaj jestem - mówił lakonicznie, wyrzucając z siebie kolejne zdania. - Czasy są na to zbyt burzliwe. Jestem tutaj z powodu tego, czego on szuka. I tego, co jest dalej. Z powodu tego, co powiedziałeś w swojej wiadomości. Nie dlatego, że opuścił Plenum, ale z powodu tego, dokąd poszedł i co planuje. To jest warte tego, żeby poświęcić wszystko.

Nikt nie zapytał Cuttera o jego motyw. Kiedy przyszła jego kolej, spuścił wzrok i bez słowa kontemplował ogień.

O świcie gallus wyrwał ich z falującym mu korale, przeraźliwym paniem. Dosiadający

go hotchi obserwował ich, a kiedy wstali, rzucił im martwego leśnego ptaka. Pokazał między drzewami na wschód i zniknął w zielonym świetle.

Pomaszerowali we wskazanym kierunku przez zarośla i poranny las pokryci plamami przebijających się promieni słonecznych. Tego roku wiosna była ciepła i w Rudewood zrobiło się wilgotno i parno. Cutter miał ubranie ciężkie od potu. Obserwował Fejha i Dreya.

Fejh poruszał się flegmatycznymi żabimi skokami. Drey dotrzymywał kroku reszcie, chociaż wydawało się to niemożliwe. Krew przeciekała mu przez skórzane ubranie i nie odganiał much, które przylatywały jej skosztować. Zakrwawiony i biały wyglądał jak poćnięte starego mięsa. Cutter czekał, kiedy Drey okaże po sobie ból albo strach, ale on tylko mruczał coś pod nosem i Cuttera ogarniał coraz większy podziw.

Naturalność lasu oszałamiała ich.

- Dokąd idziemy? - spytał ktoś Cuttera.

„Nie pytaj mnie o to”.

Pod wieczór szli za pięknym dźwiękiem i trafili nad strumyk z bluszczowym baldachimem. Wiwatowali i pili z niego jak rozradowane zwierzęta.

Fejh usiadł w strumyku i woda uderzała o niego. Kiedy pływał, jego pokraczne ruchy nabrały gracji. Pełnymi garściami czerpał wodę i modelował ją za pomocą taumaturgii vodyanoich: niby glina woda zachowywała nadany jej kształt, kształt figurek podobnych do psów. Kładł je na trawie, a po godzinie opadały jak topiące się świece i wsączały w ziemię.

Następnego dnia rana Dreya zaczęła się jątrzyć. Zatrzymywali się, gdy gorączka zmuszała go do postoju, ale musieli ruszać dalej. Drzewostan się zmienił, był różnorodny. Mijali ciemnodrzewa i dęby, przechodzili pod włochatymi banianami, których długie warkocze opadały do ziemi, stając się korzeniami.

Rudewood tętnił życiem. Ptaki i małpiaste istoty w koronach drzew spędziły ranek na krzykach. W strefie spłowiałych, martwych drzew pojawił się jakiś dziwny stwór. Z grubsza przypominał niedźwiedzia, ale jego sylwetka i ubarwienie były płynne. Wszyscy wrzasnęli, z wyjątkiem Pomeroya, który strzelił stworowi w pierś. Trafiona pierś lekko eksplodowała dziesiątkami ptaków i setkami much butelkowych, które krążyły wokół nich, aby po chwili nieco dalej znów przybrać zwierzęcy kształt, który powoli się oddalił. Dopiero wówczas zauważyli pierze i pokrywę skrzydłową, które pokrywały jego skórę.

- Byłem już w tym lesie - wyjaśnił Pomeroy. - Wiem, jak wygląda wieloniedźwiedź.

- Chyba zaszliśmy już dostatecznie daleko - odparł Cutter. Otoczył ich półmrok. Nieśli przed sobą zakapturzoną lampę bombardowaną przez ćmy. Fałdy kory połykały światło.

Minęła północ, kiedy pokonali strefę niższych zarośli i wyszli z lasu.

Przez trzy dni przemierzali Mendican Foothills, maszerowali pośród skalnych turni i drumlinów rzadko porośniętych drzewami. Zdążali szlakami dawno minionych lodowców. Miasto było oddalone zaledwie o kilkadziesiąt kilometrów, a macki jego kanałów prawie tu sięgały. Czasami przez obniżenia krajobrazu widzieli daleko na zachodzie i północy prawdziwe góry, których te pagórki były jedynie popłuczynami.

Napili się wody z górskiego stawu i umyli się w nim. Drey stawał się im kulą u nogi. Nie mógł poruszać ramieniem i wyglądał na wykrwawionego. Ale nie skarżył się ani słowem. Cutter nigdy wcześniej nie widział go takiego dzielnego.

Ledwo widoczne ścieżki biegły przez trawę i kwiaty na południe. Pomeroy i Elsie

strzelali do zajęczaków i piekli je na ogniu nafaszerowane ziołami.

- Jak go znajdziemy? - spytał Fejh. - Cały kontynent do przeszukania.

- Znam jego trasę.

- Ale Cutter, to jest cały kontynent...

- Będzie zostawiał ślady. Nie da się nie zostawić.

Przez jakiś czas nikt się nie odzywał.

- Dlaczego wyjechał akurat teraz?

- Otrzymał wiadomość. Jakiś kontakt z dawnych czasów, więcej nie wiem.

Cutter zobaczył płoty dawnych farm, zawłaszczone przez naturę. Fundamenty gospodarstw z wbitych w ziemię kamieni tworzących prostokąty. Na wschodzie majaczył Rudewood, pralasy urozmaicone sterczącymi dolomitami. W pewnym miejscu widniały jakieś przemysłowe relikty, kominy albo tłoki.

Szóstego dnia, w rybnik, siedemnastego cheta 1805 roku, dotarli do jakiejś wioski.

W Rudewood szum zaburzonego powietrza mieszał się z wołaniami sów i małp. Nie było to głośne, ale na okoliczne stworzenia padł strach typowy dla zwierzyny łownej. Pusta ścieżka między drzewami, w gliniastym parowie, była skąpana w świetle księżyca. Gałęzie drzew nie poruszały się.

Przez nocne cienie przyszedł mężczyzna. Miał na sobie czarnoniebieski garnitur i trzymał ręce w kieszeniach. Łodygi światła księżycowego dotykały jego wypolerowanych butów, które poruszały się na wysokości głowy, ponad korzeniami. Mężczyzna sunął wyprężony w powietrzu, przytrzymywany przez tajemne siły między koronami drzew a poszyciem lasu. Niósł się za nim jęk, jakby przestrzeń skarżyła się na zadawany przez mężczyznę gwałt.

Miał twarz pozbawioną wyrazu. Coś myszkowało w fałdach jego ubioru - małpa przywarta do niego jak do matki. Jej sylwetkę zniekształcała jakaś pulsująca narośl na torsie mężczyzny.

W nikłym świetle księżyca mężczyzna i jego pasażerka wlecieli do niecki, w której hotchi inscenizowali potyczkę. Zawisli nad areną. Patrzyli na martwych milicjantów cętkowanych zgnilizną.

Małpeczka zwiesiła się z butów mężczyzny, zeskoczyła na trupy i zbadła je zwinnymi palcami. Następnie wskoczyła z powrotem na dyndające nogi i głośno zaskrzeczała.

Przez chwilę byli cisi jak reszta nocy. Mężczyzna w zamyśleniu przebierał palcami po wargach, po czym wykręcił stateczny piruet. Małpa siedziała mu na ramieniu zapatrzona w czarny jak śmierć las. Potem znowu ruszyli w drogę, otoczeni eterycznymi dźwiękami swojej powietrznej podróży przez poszarpane kolczastymi krzewami dawne dni. Po ich zniknięciu zwierzęta z Rudewood znowu powyłaziły, ale przez resztę nocy były niespokojne.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wioska nie miała nazwy. Cutter uznał ubogich rolników za niezbyt sympatycznych. Niechętnie sprzedali im żywność. Jeśli mieli uzdrowicieli, to nie przyznali się do tego. Cutter nie mógł zrobić dla Dreya nic innego, jak tylko pozwolić mu spać.

- Musimy dostać się do Myrshock - powiedział Cutter. Wieśniacy wytrzeszczyli na niego oczy i Cutter zacisnął zęby. - To nie jest, kurwa, na księżycu!

- Mogę was zabrać do Świniakowa - powiedział w końcu jeden z mężczyzn. - Potrzebujemy masła i wieprzowiny. Cztery dni jazdy wozem na południe.

- Na litość Jabbera, do Myrshock zostaje jeszcze z sześćset kilometrów - zaprotestowała Ihona.

- Nie mamy wyboru. Poza tym Świniakowo na pewno jest większe, może stamtąd nas zabrać. Czemu nie hodujecie tutaj świń?

Wieśniacy wymienili spojrzenia.

- Rozbójnicy - wyjaśnił jeden z nich i dodał: - Ręka rękę myje. Wy chronicie wóz swoimi pukawkami, a my zabieramy was do Świniakowa. To jest miejscowość targowa. Kupcy z całej okolicy. Mają statki powietrzne, mogą wam pomóc.

- Rozbójnicy?

- Ano. Bandyci. Liberosynkreści.

Dwie chude szkapy ciągnęły wóz, smagane batem przez wieśniaków. Cutter i jego towarzysze siedzieli na wozie, między smętnymi warzywami i rozmaitym żelastwem. Drey leżał i się pocił. Jego ramię cuchnęło. Inni trzymali broń w gotowości, na widoku, i czujnie obserwowali otoczenie.

Wóz podskakiwał na ledwo rozpoznawalnych drogach z Mendican ku stepowi. Dwa dni jechali przez szalwią i zarośla, między skałami, które wisiały nad nimi jak magazyny portowe. Słońce tatuowało kamienie na czerwono.

Wypatrywali powietrznych korsarzy. Fejh składał krótkie wizyty w mijanych ciekach wodnych.

- Za wolno - powiedział do siebie Cutter, ale inni go usłyszeli. - Za wolno, za wolno, jak zasrane ślimaki.

- Pokażcie broń - ostrzegł nagle jeden z woźniców. - Jesteśmy obserwowani. - Pokazał na niskie wzniesienia, zagajniki głazów. - Jak przyjdą, strzelajcie. Nie czekajcie. Obedrą nas ze skóry, jeśli zostawicie ich przy życiu.

Nawet Drey nie spał. W zdrowej ręce trzymał pistolet wielostrzałowy.

- Twój muszkiet ma największy zasięg, Pomeroy - powiedział Cutter. - Ty strzelasz pierwszy.

- Ognia, ognia! - krzyknęli woźnice, jeszcze zanim Cutter skończył mówić. - Tam!

Cutter wycelował z niebezpiecznym brakiem precyzji. Pomeroy złożył muszkiet do strzału. Strzały z kusz zaświstały im nad głowami. Zza omszałego bazaltowego głazu wyrosła jakaś postać. Elsie wystrzeliła i trafiła.

To był liberosynkret - przestępca prze-tworzony w miejskich fabrykach karnych, a później zbiegły w stepy i wzgórze Rohagi.

- Sukinsyny! - zawył. - Pieprzone świnię! - Zobaczyli, jak go prze-tworzono - miał zbyt wiele oczu. Osunął się w pył, farbując go krwią. - Sukinsyny!

Rozległ się nowy głos.

- Jeszcze jeden strzał i jesteście martwi! - Otoczyły ich postacie z kuszami i kilkoma starymi flintami. - Co wyście za jedni? Nie jesteście stąd! - Autor tych słów wystąpił do przodu na kamiennej płycie. - Wy dwaj, chodźcie. Znacie reguły. Myto. Policzę wam jedną furę... Co to jest? Jedną furę gównianych warzyw.

Liberosynkreci byli obszarpani i zróżnicowani. Ich prze-tworzenia z plującego parą żelaza i kradzionych zwierzęcych organów pulsowały jak tajemnicze rumory. Mężczyźni i kobiety z wielkimi kłami albo metalowymi kończynami, z ogonami, z gutaperkowymi rurami jelit w bezkrwistych otwartych jamach brzusznych.

Ich wódz przybliżył się czujnym krokiem. W pierwszej chwili Cutter sądził, że osobnik ten dosiada jakiegoś bezokiego mutanta, ale potem zobaczył, że tors mężczyzny przyszyto do ciała konia w miejscu, gdzie powinien być łeb. Ale z typową dla biotaumaturgów perfidią i okrucieństwem część ludzką umieszczono tyłem do kierunku jazdy. Końskie nogi ostrożnie człapały na wstecznym biegu, a ogon bił o boki w napiętej koncentracji.

- Coś nowego - powiedział wódz. - Jesteście uzbrojeni, tego jeszcze nie mieliśmy. Widziałem najemników. Nie jesteście najemnikami.

- I już nic nigdy więcej nie zobaczysz, jak się nie odwalicie - zakomunikował mu Pomeroy. Niesamowicie spokojnie wymierzył ze swojego wielkiego muszkietu. - Może i byście nas pokonali, ale ilu z was zabralibyśmy ze sobą?

Wszyscy podróżni, nawet Drey, trzymali liberosynkretów na muszce.

- Kim jesteście? - spytał wódz. - Coście za jedni? Czego chcecie?

Pomeroy otworzył usta, żeby udzielić jakiejś pyszałkowatej i butnej odpowiedzi, ale nagle coś się stało z Cutterem. Usłyszał szept. Intymny jak usta przytknięte do jego ucha, nienaturalny i czarowny. Słowa przyniosły ze sobą chłód. Cuttera przeszedł dreszcz. „Powiedz prawdę” - rozkazał głos.

Słowa popłynęły z Cuttera mimowolnym zaśpiewem.

- Ihona jest tkaczką. Drey jest ślusarzem. Elsie nie ma pracy. Pomeroy, ten duży, jest urzędnikiem. Fejh jest dokerem. Ja jestem sklepikarzem. Należymy do Plenum. Szukamy mojego przyjaciela. Szukamy Żelaznej Rady.

Jego towarzysze wytrzeszczyli oczy.

- Co ty, kurde...? - rzucił Fejh.

- Na litość Jabbera! - zdenerwowała się Ihona.

Cutter rozluźnił zaciśnięte mięśnie szczęki i pokręcił głową.

- Nie chciałem - próbował wyjaśniać. - Coś usłyszałem...

- No, no... - powiedział herszt zbójców. - Macie przed sobą kawał drogi. Nawet gdyby wam się udało nas minąć... - urwał. Poruszał szczęką, po czym oświadczył zupełnie odmienionym, deklamacyjnym tonem: - Mogą iść. Puśćcie ich. Plenum nie jest naszym wrogiem.

Miny jego podwładnych zdradzały konsternację.

- Puśćcie ich - powtórzył.

Pogroził im palcem z wściekłością na twarzy. Krzyczeli jeden przez drugiego i przez chwilę wyglądało na to, że nie posłuchają rozkazu. W końcu jednak zarzucili broń na ramię i wycofali się, klnąc pod nosem.

Herszt liberosynkretów odprowadził podróżnych spojrzeniem, a oni nie odwracali od

niego wzroku, dopóki nie zniknął im z oczu. Nie widzieli jego ruchu.

Cutter opowiedział swoim towarzyszom o przymusie, który nim zawładnął.

- Taumaturgia - odparła Elsie. - Herszt cię z czarował, diabli wiedzą dlaczego.

Cutter pokręcił głową.

- Widziałaś jego twarz, kiedy kazał nas puścić? Stało się z nim to samo co ze mną. Nie był panem samego siebie.

W mieście targowym spotkali druciarzy, kupców i wędrownych zonglerów. Między lepiankami leżały sflaczałe balony gazowe.

W pylnik, kiedy wzniesli się ponad trawiasto-kamienno-kwietny step, Drey umarł. Od paru dni wyglądało na to, że zdrowieje. W mieście nie spał, targował się nawet z latającym handlarzem, ale w nocy pojawiły się symptomy zakażenia krwi. Jeszcze żył, kiedy balon wystartował, ale niedługo później wydał ostatnie tchnienie.

Latający handlarz zajmował się bucującym motorem gondoli. Smutek pasażerów budził w nim zakłopotanie. Elsie trzymała w ramionach stygnące ciało Drey'a. W końcu, kiedy zbliżało się południe, odprawiła zaimprovizowane nabożeństwo żałobne. Pocałowali zmarłego przyjaciela i z nieczystym sumieniem wolnomyślicieli powierzyli go łasce bogów.

Elsie przypominała sobie pochówki powietrzne rozpowszechnione podobno wśród północnych plemion. Mieszkańcy tundry składali swoich zmarłych do otwartych trumien pod balonami i posyłali ich pod niebo, przez zimne powietrze i chmury, ponad obszary niszczycielskich działań owadów, ptaków i naturalnego rozkładu. Stratosfera nad ich terenami myśliwskimi pełniła więc funkcję katakumb. Badacze podróżujący sterowcami spotykali tam tylko błakających się bez celu, z mumifikowanych przez niskie temperatury zmarłych.

Z konieczności wyprawili Dreyowi innego rodzaju pochówek powietrzny, z czułością zanieśli go nad krawędź kosza, wystawili między liny i puścili.

Zupełnie jakby latał, unosił się pod nimi i mieli wrażenie, że rozpostarł ramiona. Opór powietrza kierował nim i Drey poruszał się tak, jakby tańczył albo walczył, coraz mniejszy wirował wokół własnej osi. Rozganiał stada ptaków. Jego przyjaciele śledzili ten lot w skupieniu w stanie zaskakująco bliskim ekstazy i odwrócili się, zanim uderzył o ziemię.

Im dalej na południe, tym bardziej jałowy robił się krajobraz, nad którym lecieli. Wiatr im sprzyjał. Cutter usłyszał, jak Elsie szepcze coś do Pomeroya. Oplakiwała Drey'a.

- Nie możemy już zrezygnować - odparł Pomeroy półgłosem. - Wiem, wiem, ale po prostu się nie da.

Trzy razy widzieli w oddali inny balon. Pilot zawsze sprawdzał przez teleskop, czyj to statek powietrzny. Liczba aeronautycznych kupców nie była duża i każdy znał trasy innych.

Ten człowiek zażądał astronomicznej sumy za przelot do Myrshock, ale kiedy się dowiedzieli, że w Świniakowie niedawno była milicja - oddział husarii na prze-tworzonych wierzchowcach - musieli przyjąć jego ofertę.

- Jesteśmy na właściwej drodze.

Chociaż posuwali się do przodu umiarkowanym tempem, to jednak bez przerw, dlatego

po raz pierwszy ogarnęło ich coś zbliżonego do nadziei.

- Trudno uwierzyć, że tam, w dole trwa wojna - powiedział Cutter.

Nikt się do tego nie odniósł. Cutter wiedział, że jego żółciowość działa im na nerwy. Zagłębił się w kontemplacji krajobrazu, który przypominał patchwork.

Trzeciego ranka powietrznej jazdy, wmasowując wodę w wysuszoną przez wiatr skórę Fejha, Cutter wydał z siebie głośny okrzyk i pokazał w dal, gdzie zobaczył morze, a bliżej, w zagłębieniu porośniętym brązową jak pszenica trawą, cumowiska sterowców i minarety Myrshock.

Myrshock okazało się brzydkim miastem portowym. Mieli się na baczości. Nie przebywali na swoim terytorium.

Budynki sprawiały wrażenie przypadkowo zestawionych i zaskoczonych, że tworzą jedno miasto. Stare, ale bez historii. Tam, gdzie świadomie próbowano kształtować przestrzeń miejską, estetyka była rozchwiana - kościoły z betonowymi fasadami i pseudoantycznymi zawijasami, banki kryte łupkiem w nietypowych kolorach, co dawało wyłącznie efekt kiczu.

Ludność była mieszana. Ludzie mieszkali obok ludzi-kaktusów, kolczastych i krzepkich humanoidów, oraz garudów, ludzi-ptaków i korsarzy z Cymek za morzem - można ich było spotkać zarówno na ulicach, jak i w powietrzu. Vodyanoi mieszkali w kanałowym getcie.

Podróźni kupili jedzenie w budce na nabrzeżu. W porcie były statki zagraniczne i miejscowe, parowce fabryki, kogi, statki kupieckie z wielkimi wędzidłami dla swoich morskich wyrmenów. W przeciwieństwie do doków w ich ojczyźnie był to port ze słoną wodą, toteż nie widziało się sztauerów rasy vodyanoi. Po ulicach kręcili się oszuści i wszelkiego rodzaju szumowiny jak w każdym porcie.

- Musimy być ostrożni - powiedział Cutter. - Potrzebujemy statku, który płynie do Shankell, a to z reguły oznacza, że załoga składa się z ludzi-kaktusów. Wiecie, co musimy zrobić. Nie możemy z nimi walczyć. Potrzebujemy małego statku i załogi naszego wzrostu.

- Będą trampy - stwierdziła Ihona. - W większości piraci...

Rozejrzała się dokoła.

Cutter zadrżał i zastygł bez ruchu. Ktoś się do niego odezwał. Znowu ten głos, szept tuż przy uchu. Cutter stał jak wryty.

Głos powiedział: „Akif. Kurs na południe”. Głos dodał: „Rutynowy kurs, mała załoga. Pożyteczny ładunek: antylopy krucze, ujeżdżone. Przejazd macie opłacony. Wypływacie dzisiaj o dziesiątej wieczór”. - Cutter przyglądał się każdemu przechodniowi, każdemu marynarzowi, każdemu portowemu zbirowi. Przyjaciele patrzyli na niego przerażeni jego wyrazem twarzy. „Wiesz, co masz robić. Jedź do Dradscale. To jest droga, którą obrała milicja. Sprawdziłem”. I dalej: „Cutter, wiesz, że mógłbym cię do tego zmusić... przypomnij sobie, co się stało w Pokutnikach. Ale chciałbym, żebyś mnie wysłuchał i zrobił to dlatego, że tak jest najlepiej. Mamy ten sam cel, Cutter. Do zobaczenia po drugiej stronie”.

Chłód się rozproszył, a głos umilkł.

- Co jest grane, do diabła ciężkiego? - spytał Pomeroy. - Co się z tobą dzieje?

Kiedy Cutter przedstawił im sytuację, wybuchł spór i zaczęli ściągać na siebie uwagę.
- Ktoś z nami igra - stwierdził Pomeroy. - Nie ułatwiamy mu sprawy. Nie wsiadajmy na ten przeklęty statek, Cutter.

Zaciskał i otwierał potężną pięść. Elsie nerwowo położyła mu dłoń na ramieniu, próbując go uspokoić.

- Nie wiem, co ci powiedzieć, chłopie - odparł Cutter. Bezcielesny głos zmęczył go. - Nie wiem, kto to jest, ale na pewno nie milicja. Ktoś z Plenum? Nie bardzo widzę, jak i dlaczego. Ktoś, kto działa na własną rękę? To on uratował nas przed liberosynkretami: szepnął coś temu odwróconemu człowiekowi-koniowi, tak samo jak mnie. Nie wiem, co się dzieje. Jeśli chcesz płynąć innym statkiem, to proszę bardzo, ale lepiej zacznijmy czegoś szukać. I myślę, że nie zawadzi, jeśli rzucimy okiem na ten „Akif”.

„Akif” okazał się zardzewiałą łajbą z kapitanem, który z pocałowaniem ręki by ich przewiózł. Spojrzał niepewnie na Fejha, ale uśmiechnął się ponownie, kiedy wymienili cenę - tak, połowa zapłacona w liście, który mu przekazano.

Statek był idealny, co przesądziło sprawę. Decyzja ta rozjuszyła Pomeroya, ale Cutter wiedział, że ich nie opuści.

„Ktoś nas obserwuje” - pomyślał Cutter. „Ktoś, kto szepcze. Ktoś, kto mówi, że jest moim przyjacielem”.

Morze, potem pustynia, potem dziesiątki kilometrów niezbadanych obszarów. „Dam radę?”

Tylko małe morze. Człowiek, którego szukali, zostawiał ślady, także we wspomnieniach ludzi. Cutter rejestrował lęki swoich przyjaciół, ale nie miał do nich pretensji - podjęli się gigantycznego zadania. Ale wierzył, że odnajdą tego, za którym podążają.

Przed wypłynięciem poszli rozejrzeć się za pogłoskami o glinianym jeźdźcu albo milicyjnych myśliwych. Wysłali też list do miasta, do swoich kontaktów w Plenum z wiadomością, że są w drodze i znaleźli tropy.

Lewitujący mężczyzna przemierzał zagadkowe krajobrazy, między fulgurytami i nadalkalicznymi sadzawkami. Stał wyprostowany w powietrzu, splatając i rozplatając ramiona. Nabierał prędkości w tej sprzecznej z naturą podróży.

Za towarzysza miał ptaka, który nie leciał, tylko siedział mu na głowie. Rozpościerał skrzydła i przepuszczał wiatr między piórami. Jakaś narośl koślawiła jego kontury.

Mężczyzna mijał wioski. Zwierzęta, które go widziały, skowyczały.

Na karłowatym końcu gór, pośród suchego stepu, lewitujący mężczyzna zobaczył jakiś przełamujący monotonię obiekt. Coś białego w ziemię, gwiazda koloru rdzy i podarte brązowo-czarne płótno. Martwy człowiek. Przybyły z wysoka i wprasowany w ziemię. Trochę krwi wsiąkło w ziemię i poczerniało. Mięso zmiękło i wypełniało worek skóry.

Mężczyzna, który unosił się nad ziemią, i ptak, który jechał na jego głowie, spojrzeli na trupa, a potem z nienaturalną synchronią podnieśli wzrok na niebo.

ROZDZIAŁ TRZECI

Drugiego dnia po wyjściu z portu, na szarych wodach Morza Mizernego, Cutter i jego kompanii przejęli władzę na „Akifie”. Pomeroy przyłożył kapitanowi pistolet do głowy. Załoga zrobiła wielkie oczy. Elsie i Ihona uniosły broń. Cutter zauważył, że Elsie drży ręka. Fejh wyszedł z beczki z napiętą kuszą w dłoniach. Kapitan zaczął płakać.

- Robimy objazd - powiedział Cutter. - Podróż potrwa kilka dni dłużej. Najpierw bierzemy kurs na południowy zachód, płyniemy wzdłuż wybrzeża do ujścia Dradscale, a potem w górę rzeki. Dotrzecie do Shankell kilką dni później, nic poza tym. I z trochę mniejszym ładunkiem.

Sześciuosobowa załoga z niechęcią złożyła broń. Zatrudnili się na ten konkretny rejs według stawki dziennej i nie łączyła ich solidarność, ani ze sobą nawzajem, ani z kapitanem. Na Fejhechrillena patrzyli z nienawiścią, kierując się jakimiś uprzedzeniami.

Cutter przywiązał kapitana do koła sterowego, w pobliżu pozbawionych rogów antylop szablrogich, z których składał się fracht statku. Podróżni na zmianę pełnili przy nim straż, a zwierzęta przyglądały się mu uważnie. Jego bełkot był zenujący. Słońce paliło coraz goręcej. Kłcił wodę coraz szerszą bruzdą. Cutter dostrzegł, że Fejh cierpi męki w tym gorącym i słonym powietrzu.

Trzeciego dnia zobaczyli północne brzegi Cymek. Nielitościwe gliniane wzgórza, pył i piaskowe jamy. Zubożałe życie roślinne ograniczało się tu do pyłobarwnych traw wydmowych oraz drzew o surowej i obcej naturze, z kolczastym listowiem. „Akif” sunął w pobliżu słonych bagnisk.

- Zawsze mówił, że to jest jedyna droga do Żelaznej Rady - powiedział Cutter.

Minerały ujścia Dradscale opalizowały pod powierzchnią wody. Słone trzęsawisko było zarośnięte zielskiem. Zdumionym wzrokiem mieszczucha Cutter obserwował klan manatów, które wypłynęły na wierzch, żeby urządzić sobie popas.

- Bezpieczne nie jest - powiedział sternik. - Pełno... - rzucił jakąś obelgą albo wyrazem obrzydzenia i pokazał na Fejha. - Dalej w góra. Pełno świnia rzeczne.

Cutter stężał na dźwięk tych ostatnich słów.

- Dalej! - rozkazał i wymierzył z rewolweru.

Sternik odstąpił krok do tyłu.

- My nie dalej - zakomunikował.

Nagle fiknął plecami przez reling do wody. Wszyscy zerwali się i zaczęli krzyczeć.

- Tam! - Pomeroy pokazał swoim rewolwerem.

Widoczny już na powierzchni wody sternik płynął w stronę jednej z wysepek. Pomeroy wodził za nim lufą, ale nie strzelał.

- Do jasnej cholery! - zaklął, kiedy uciekinier dotarł do brzegu. - Inni nie poszli w jego ślady tylko dlatego, że nie umieją pływać.

Skinął w stronę wiwatującej załogi.

- Będą się bronili gołymi rękami, jeśli ich zmusimy - powiedziała Ihona. - Popatrzcie na nich. Jest dla nas wszystkich jasne, że ich nie zabijemy. Nie mamy wyboru.

W wyniku tak idiotycznego zwrotu sytuacji porywacze zawieźli załogę na wyspę. Pomeroy machał swoim rewolwerem, jakby szykował się do wymierzenia drakońskiej kary, ale w rzeczywistości wypuścili marynarzy, a nawet dali im trochę prowiantu. Kapitan patrzył na nich błagalnym wzrokiem, ale jego nie mogli wypuścić.

Cutter wychodził z siebie.

- Mięczaki zasrane! - wściekał się na przyjaciół. - Nie trzeba było jechać, jak macie takie miękkie serca!

- Co ty sugerujesz, Cutter?! - zripostowała Ihona. - Ty ich zmuś, żeby zostali na pokładzie, jeśli potrafisz. Tak, może trzeba było zostać w domu. Może na przykład Drey by żył. Pomeroy zrobił nastroszoną minę. Elsie i Fejh unikali wzroku Cuttera. Nagle ogarnął go strach.

- Chodźcie - powiedział. Starał się unikać błagalnego albo karcącego tonu. - Chodźcie. Uda nam się. Znajdziemy go. Ta sakramencka podróż kiedyś się skończy.

- Jak na kogoś, kto ma wszystko gdzieś, bardzo dużo ryzykujesz dla tej sprawy - powiedziała Ihona. - Uważaj, bo ludzie sobie pomyślą, że nie jesteś taki, za jakiego się masz.

Dradscale była szeroka. Dopływały do niej kanały i strumienie, zasilając rzekę brudną wodą. Biegła prosto, kilometry wpród.

Na wschodnim brzegu, za mangrowcami, wznosiły się jałowe wzgórza, pustynia spieczona słońcem błota. A dalej leżało Shankell, miasto ludzi-kaktusów. Po zachodniej stronie krajobraz sprawiał jeszcze bardziej ascetyczne wrażenie. Za lasem pływowym stał grzebień kamiennych zębów. Nieprzyjazna strefa krasowa, niewiarygodna gęstwina ostrych kamieni. Jak wskazywały nieprecyzyjne dokumenty Cuttera, ciągnęła się na sto pięćdziesiąt kilometrów. Mapy były upstrzone uwagami odkrywców, jedna głosiła: „Pazury diabła”, inna: „Trzech nie żyje. Musieliśmy zawrócić”.

Były ptaki, bociany, które stapały, unosząc skrzydła jak ramiona skradającego się złoczyńcy. W locie leniwie machały skrzydłami, jakby były zawsze zmęczone. Cutter nie zdawał sobie sprawy, że słońce może tak mocno palić. Wszystkim doskwierało, ale najmocniej oczywiście Fejhowi, który co chwila się zanurzał w swojej cuchnącej beczce. Kiedy woda wokół statku nareszcie przestała być słona, z ulgą dał nura, a potem na nowo napełnił nią swoje naczynie. Nie pływał długo, bo nie znał tej rzeki.

Człowiek, którego szukali, musiał być wektorem zmiany. Cutter wypatrywał na brzegach oznak, że tutaj był.

Płynęli także w nocy, anonsując się sadzą i dudnieniem maszyn parowych. W ostrym, czerwonym świetle poranka liście i pnącza zanurzone w wodzie zdawały się rozpuszczać, przypominając strugi wypływającego barwnika, jak woda wytapiająca się z lodu.

Słońce stało jeszcze nisko na niebie, kiedy Dradscale rozszerzyła się i przeszła w moczary. Tutaj kończył się kras, ziemia nieziemskich kamiennych palców. „Akif” zwolnił. Przez wiele minut słychać było tylko odgłos silnika.

- Co teraz, Cutter? - spytał ktoś wreszcie.

Pod wodą coś się poruszyło. Fejh wychylił się do połowy ze swojej beczki.

- Cholera, to są... - zaczął, ale odebrało mu mowę.

Głowy z szerokimi ustami wypływały na powierzchnię przed „Akifem”. Vodyanoi uzbrojeni we włócznie.

Kapitan z wrzaskiem dodał gazu i wodni rozbójnicy rozpierzchli się i zanurkowali. Fejh wyrócił beczkę, z której wylała się brudna woda. Krzyknął na vodyanoich w języku lubbock, ale mu nie odpowiedzieli.

Po chwili znowu wypłynęli na wierzch i przez chwilę sprawiali takie wrażenie, jakby stali na wodzie. Zanim opadli, rzucili włóczniami. Spod ich ramion wytrysnęły łuki spienionej wody, toteż ich włócznie stały się harpunami. Cutter nigdy nie widział takiej akwataumaturgii. Strzelił w wodę.

Kapitan nadal przyspieszał. Cutter uświadomił sobie, że sternik chce wpłynąć w brzeg. Nie było czasu na normalny manewr przybicia do brzegu.

- Uwaga! - krzyknął. Statek z ogłuszającym zgrzytem wpłynął na płyciznę. Cutter przeleciał przez dziób i boleśnie wylądował. - Chodźcie! - zawołał, wstając.

„Akif” wcinał się w ląd, tworząc swoistą rampę. Zagroda dla antylop pękła. Związane ze sobą zwierzęta zeskakiwały na brzeg, tworząc niebezpieczne kłębowisko kopyt i kikutów rogów. Fejh przeskoczył przez reling. Elsie uderzyła się w głowę i Pomeroy pomógł jej w zejściu na brzeg.

Ihona przecinała pęta kapitana. Cutter dwa razy wystrzelił w stronę nadpływających fal.

- Chodźcie! - zawołał ponownie.

W pobliżu statku wykwitła iglica wody. W pierwszej chwili Cutter sądził, że to jakaś kapryśna fala albo pokaz niezwyklej akwataumaturgii, ale był to kilkumetrowy słup krystalicznie czystej wody, na którego szczycie tronął wodyanoi. Szaman ujeżdżający swoją wodnicę.

Przez ciało wodnej istoty Cutter widział zniekształcony statek. Tysiące galonów żywności napierało na statek i wprawiało go w wibracje. Ihona i kapitan zsuwali się po pochylonym pokładzie w stronę wodyanoi. Próbowali wstać, ale wodnica przeskoczyła przez burtę, a dotarłszy do ich stóp, rozstała się i pochłonęła ich. Cutter krzyknął, kiedy jego towarzysza i jej jeniec zniknęli w brzuchu wodnicy. Machali rękami i nogami, usiłując płynąć, ale w którą stronę znajdowało się wyjście? Wodnica wzbudziła w swoich wnętrznościach prądy, które nie wypuszczały ich na zewnątrz.

Pomeroy ryknął jak szalony i wystrzelił. Cutter też wystrzelił, a Fejh wypuścił strzałę. Wszystkie trzy pociski uderzyły w korpus wodnicy z pluskiem wrzucanych do wody małych kamyczków i zostały wchłonięte. Drogę strzały można było śledzić: perystaltycznymi ruchami została wydalona w dół. Cutter znowu wystrzelił, tym razem do szamana siedzącego na wodnicy, ale chybił. Zrozpaczony Pomeroy rzucił się na wodnicę z pięściami, aby wyzwolić przyjaciółkę, ale ta go zignorowała, a ciosy powodowały tylko rozpryski wody.

Ihona i kapitan tonęli. Undyna przelała się do ładowni i szaman przeniknął do jej wnętrzności. Cutter patrzył bezsilnie, jak walcząca o życie Ihona znika pod pokładem.

Wodyanoi obsiedli „Akifa” i znow zaczęli rzucać włóczniami.

Ze statku trysnęła woda, wodnica wystrzeliła z luku jak gejzer. W środku miała części maszyny parowej - żelazo pływające z jej dziwnymi wewnętrznymi prądami. Ciała ofiar unosiły się jak drobiny. Wirowały w zgodzie z ruchem wody. Ihona miała otwarte oczy i usta. Cutter widział ją tylko przez moment, nim wodnica wskoczyła do rzeki - woda do wody - unosząc ze sobą łup i trupy.

Podróźni mogli tylko przeklinać i płakać. Pomstowali i lamentowali, aby w końcu ruszyć w drogę, w głąb lądu, byle dalej od statku, byle dalej od zabójczej wody.

W nocy siedzieli wyczerpani w kępie drzew w towarzystwie antylop. Ich spojrzenia spoczywały na Elsie. Księżyc i jego dwie córki, satelity okrążające go jak rzucone monety, stały wysoko na niebie. Elsie siedziała ze skrzyżowanymi nogami i patrzyła na nich. Cutter podziwiał jej spokój. Poruszała ustami. Koszulę zawiązała sobie wokół szyi. Oczy miała szklane.

Cutter spojrzął za jej plecy na wysoką trawę stepu. W świetle nocy drzewa tambuti i żelazokolce przypominały skrytobójców, a krępe baobaby stały z rozłupanymi koronami.

Kiedy Elsie ocknęła się z transu, zrobiła przepraszącą minę. Odwiązała koszulę

człowieka, którego szukali.

- Nie wiem - zaczęła. - Nie było wyraźnego obrazu. Myślę, że gdzieś tam.

Pokazała w stronę odległego wzniesienia. Cutter milczał. Właśnie tam zmierzali. Ucieszył się, że Elsie dołączyła do tej wyprawy, ale wiedział, że jego towarzyszka nie posiada rozwiniętych mocy magicznych. Nie umiał ocenić, czy Elsie odbiera prawdziwe emanacje zresztą ona sama też nie.

- I tak idziemy w tamtą stronę - rzucił Cutter.

Powiedział to w dobrej intencji - nawet jeśli się pomyliła, to nic straconego - ale Elsie unikała jego wzroku.

Dzień po dniu jechali przez kraj, który dręczył ich upałem i roślinami podobnymi do drutu kolczastego. Nie mieli wprawy w ujeżdżaniu tych muskularnych wierzchowców, ale poruszali się szybciej, niż byłoby to możliwe na piechotę. Lufy ich broni palnej zwisały bezsilnie. Fejh podróżował w becze z wodą przywiązaną między dwiema antylopami. Stęchła woda nie służyła jego zdrowiu.

Trajkotanie nad głowami wpędziło ich w panikę. Z nieba zleciała horda warczących i chichoczących stworzeń. Cutter znał je z obrazków: gluclichy, zgarbiona sylwetka hieny ze skórzastymi skrzydłami nietoperza.

Pomeroy zastrzelił jedną z nich i jej bracia i siostry jeszcze w powietrzu rozerwały ją na strzępy i zaczęły pożerać. Kanibalistyczne stado stłoczyło się wokół padliny i podróżni mogli się bezpiecznie oddalić.

- Cutter, gdzie twój zasrany szeptacz?

- Odwal się, Pomeroy. Jak będę to wiedział, ty pierwszy o tym usłyszysz.

- Już dwoje. Dwoje martwych towarzyszy, Cutter. Co my robimy?

Cutter milczał.

- Skąd on wie, jaką ma iść drogą? - spytała Elsie.

Chodziło jej o człowieka, którego szukali.

- Z tego, co mi mówił, zawsze wiedział, gdzie jest Żelazna Rada, przynajmniej z grubsza - wyjaśnił Cutter. - Sugerował, że dostawał stamtąd informacje. Mówił, że słyszał od swojego kontaktu w mieście, że szukają Rady. I wtedy sobie powiedział, że musi tam dotrzeć pierwszy. - Cutter nie zabrał ze sobą tego liściku. Jego zdawkowość i ogólnikowość uraziła go. - Pokazał mi kiedyś na mapie, gdzie, jego zdaniem, jest Rada. Mówiłem wam o tym. I tam idziemy.

Jakby to było takie proste.

O zmroku zatrzymali się u stóp stromego wzniesienia, gdzie znaleźli rzeczulkę i z wielką ulgą napili się wody. Fejh wypluskał się. Potem ludzcy towarzysze zostawili go, żeby spał w wodzie, a sami wyszli na górę. Rozciągał się stamtąd widok na rozległą płaską krainę. W kierunku, w którym zmierzali, zobaczyli światła. Trzy jasne wyspy: najdalsza ledwo widoczna, najbliższa oddalona o jakieś dwie godziny marszu.

- Elsie, Elsie, udało ci się, coś jednak poczułaś - powiedział Cutter.

Pomeroy był za ciężki na strome zejście do doliny, a Elsie nie miała siły. Tylko Cutter mógł się na to poważyć. Reszta kazała mu poczekać, następnego dnia wspólnie znajdą inną drogę. Chociaż zdawał sobie sprawę, jak szalenie niebezpieczne jest samotne chodzenie po tych wrogich pustkowiach, na dodatek nocą, nie umiał się powstrzymać.

- Zostańcie - powiedział. - Opiekujcie się Fejhem. Do zobaczenia później.

Zdziwiło go, jak bardzo się ucieszył, że jest sam. Czas stanął w miejscu. Cutter szedł przez oniryczny świat, złudną rzeczywistość własnego stepu.

Nie było nawoływania nocnych ptaków, nie było głuchich, nic, tylko namalowana nocna scenografia. Cutter był sam na scenie. Pomyślał o martwej Ihonie. Kiedy zbliżył się do świateł, z ciemności wyłonił się kraal złożony z solidnych domów. Cutter wszedł do wioski pewnym krokiem jak zaproszony gość.

Wymarła wioska. Dziury okien. Wielkie drzwi otwarte na milczące wnętrza. Wszystkie domy opuszczone.

Światła koncentrowały się na skrzyżowaniach: duże jak ludzka głowa kule delikatnie rozjarzonej magmy, chłodnej i nie jaśniejszej od zakrytej lampy. Wisiały w powietrzu bez ruchu. Buczały cichutko, a ich powierzchnie iskrzyły wyładowaniami. Udomowione nocne słońca. Nic się nie poruszało.

W pustych uliczkach rozmawiał z mężczyzną, którego szukał.

- Gdzie jesteś? - spytał cicho.

W drodze powrotnej na skarpę Cutter zobaczył nad jej krawędzią światło, jedną latarnię, która poruszała się powoli. Wiedział, że to nie są jego towarzysze.

Elsie chciała zobaczyć opuszczoną wioskę, ale Cutter był stanowczy: nie ma czasu, trzeba dotrzeć do pozostałych świateł i sprawdzić, czy jest tam jakiś ślad.

- Coś wychyciłaś - przypomniał Elsie. - Musimy się dowiedzieć czegoś dokładniejszego. Potrzebujemy jakichś pieprzonych wskazówek.

Fejh poczuł się lepiej, napelniwszy beczkę świeżą wodą, ale wciąż się bał.

- To nie jest kraj dla vodyanoich - skarżył się. - Cutter, ja tu umrę.

W późnych godzinach przedpołudniowych Cutter spojrzął za siebie i pokazał ręką w kierunku, z którego przyszli. W miejscu, do którego dotarli poprzedniego wieczoru, na tle jasnego nieba rysowała się czarna sylwetka jeźdźca. Kobieta albo mężczyzna w kapeluszu z szerokim rondem.

- Jesteśmy śledzeni. Założę się, że to szeptacz.

Cutter czekał na mruczenie przy uchu, ale nie doczekał się. Jeździec podążał za nimi aż do wieczora, nie zbliżając się. Złościło ich to, ale nic nie mogli poradzić.

Cutter sądził, że druga wioska również będzie opuszczona, ale się pomylił. Zdyszane antylopy zwolniły i człapały po pustych placach w blasku syczących kul światła. Podróżni zatrzymali się pod długim, podziurawionym pociskami murem. Beton był pokiereszowany i zachlapany żywicą. Zsiedli z antylop i patrzyli na zimne ślady przemocy. Na skraju wioski Cutter zobaczył zaoraną ziemię, ale potem czas się zatrzymał i Cutter zdał sobie sprawę, że to nie jest pole, tylko masowy grób.

Kości wyrastały z ziemi jak pierwsze pędy jakiejś makabrycznej rośliny. Były odarte z tkanki mięśniowej, poczerniałe od ognia, włókniste jak drewno. Kości ludzi-kaktusów.

Cutter stanął pośród zmarłych, nad ich pleśniejącymi roślinnymi zwłokami. Czas znowu ruszył z miejsca. Cutter poczuł jego wibracje.

Stojący pośrodku strach na wróble okazał się trupem w stanie rozkładu. To był człowiek. Nagi mężczyzna przyspilony włóczniami do drzewa. Grot jednej z nich sterczał z mostka. Włócznia przechodziła ukośnie do góry od odbytu. Krocze było wyrwane. Na gardle trupa widniała plama zakrzepłej krwi. Słońce wygarbowało skórę mężczyzny i dobrały się do niego owady.

Stali i patrzyli jak uczestnicy rytuału religijnego na totem. Kiedy po kilku minutach Pomeroy się poruszył, nadal nie odrywał wzroku od trupa, jakby uważał to za świętokradztwo.

- Popatrzcie. - Przełknął ślinę. - Sami ludzie-kaktusy. - Pogrzebał stopą w ziemi, odsłaniając kawałki zmarłych. - I tu też. Na litość Jabbera, co tu się stało? Wojna tutaj nie dotarła...

Cutter przyglądał się uważnie zwłokom. Nie były za bardzo zakrwawione, nawet między nogami.

- Już nie żył - szepnął Cutter. Ten brutalny obraz zatrwożył go. - Zmasakrowali martwego człowieka. Po tym, jak pogrzebali innych.

Czerwona plama poniżej podbródka to nie była zaschnięta krew, tylko zakrwawiony metal. Patrząc w inną stronę, Cutter oderwał blaszkę.

Był to mały znaczek milicji Nowego Crobuzon.

Lewitujący mężczyzna przekroczył wielką wodę. Włosy i ubranie powiewały. Parę metrów pod nim przevalały się fale Morza Mizernego i piana zachlapywała mu spodnie.

Pod powierzchnią pojawił się cień i miecznik wyskoczył w powietrze, w najwyższym punkcie lotu znajdując się w zasięgu ręki mężczyzny. Dorysował łuk do końca i wbił się z powrotem w wodę. Płynął za mężczyzną, cały czas w tej samej odległości.

Za każdym razem, gdy katapultował się ku słońcu, rzucał lewitującemu mężczyźnie boczne spojrzenie jednego oka. W płetwę grzbietową wczepiło mu się coś czarnego. Istota, która wędrowała po skórze ryby i wgryzała się w nią.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Opuścili obszar opisany na mapie i skierowali się ku trzeciemu skupisku światła. Na horyzoncie ciągnął się podobny do łusek gada kamienny mur, przez który prędzej czy później musieli znaleźć drogę.

Cutter trzymał w ręku porzewiałą od krwi odznakę. Zrobiło mu się niedobrze. Wiedział, że milicja jest przed nimi. „Może przybywamy za późno”.

Napotykali otwory odpływowe pełne wody, ale brudnej. Fejh z konieczności napełniał nią swoją beczkę, ale skóra mu ropiała. Strzelali do zajęcy i nieuważnych ptaków. Mijali antylopy, szerokim łukiem objeżdżali stada dzikich świń wielkości koni.

Cutter miał wrażenie, że ścieżka, którą zierali, była raną w ziemi. O świcie trzeciego dnia po odkryciu ukrzyżowanego milicjanta zbliżyli się do trzeciej wioski. Słońce wspięło się ponad wzniesienia i oblało ich różanym światłem. Coś się poruszyło - sądzili, że jest to skalna turnia albo tracące liście drzewo.

Krzyknęli. Ich wierzchowce wierzgnęły do tyłu.

Podszedł do nich olbrzym, największy z ludzi-kaktusów, jakiego w życiu widzieli. Zazwyczaj mieli od dwóch do dwóch i pół metra wzrostu, a ten - ponad dwa razy więcej. Przypominał żywiolaka, prymitywną istotę zrodzoną z ziemi, chodzący step.

Kolebał się na koślawych biodrach, a ogromne nogi były zakończone rachitycznymi stopami bez palców. Zieloną skórę przecinały liczne zabliznione pęknięcia. Kolce miały długość palców.

Olbrzym podszedł bliżej, szybko jak na swój krok paralityka. Połówka drzewa służyła mu za maczugę. Potrząsnął nią groźnie i z ust osadzonych w pozbawionej mimiki twarzy huknęły słowa, których nie rozumieli, jakiś dialekt sunglaryjskiego.

- Stój! Stój!

Wszyscy krzyczeli. Elsie pokazywała na napastnika. Oczy nabiegły jej krwią. Cutter wiedział, że Elsie próbuje dotrzeć do świadomości olbrzyma za pomocą swoich wątłych mocy.

Kaktus niezdarnie stawiał nogi. Strzała Fejha z wilgotnym dźwiękiem utkwiała bezboleśnie w ciele olbrzyma i ociekała jakimś płynem.

- Zabiję! - zaintonował kaktus okropną ragamollszczyzną. - Morderstwo!

Uniósł nad głowę swoją potężną broń.

- To nie my zrobiliśmy! - krzyknął Cutter. Rzucił milicyjną odznakę pod nogi olbrzyma i zaczął do niej strzelać z magazynówki. Błaszka tańczyła i dźwięczała do momentu, gdy wszystkie sześć komór było pustych. Kaktus zastygł, jego maczuga zwisła. Cutter tak długo splotwał na odznakę, że zaschło mu w ustach. - To nie my zrobiliśmy.

Nigdy czegoś takiego nie widzieli. Cutter sądził, że jest to ofiara Momentu, zniszczona przez szkodliwe wyziewy strefy kakotopicznej, ale się pomylił. W ostatniej opuszczonej wiosce gigantyczny kaktus opowiedział im o sobie. Przedstawił się jako *ge 'ain* - co sobie przetłumaczyli jako „późniak”.

Taumaturgia rolnicza stepowe kaktusy utrzymywały część swoich cebulek w stanie uśpienia jeszcze przez kilka miesięcy po właściwym terminie narodzin, zgodnym z ich cyklem wegetacyjnym. Kiedy ich rodzeństwo wypelzało spod ziemi, *ge 'ain* - późniacy - spali w swoich kosmówkach i roślin. Ich ciała nabierały masy, a magia sprawiała, że wciąż pozostawali w tym stanie. Kiedy się nareszcie budzili, byli gigantyczni, a później osiągalni nieproporcjonalnie

rozmiary.

Ta anomalia doskwierała im. Ich zdrewniałe kości były pokrzywione, skóra korowata i upstrzona naroślami. Ich przerośnięte zmysły sprawiały im ból. Byli opiekunami, wojownikami i strażnikami swoich miejscowości. Byli istotami tabuizowanymi, pogardzanymi i czczonymi. Nie mieli imion.

Palce lewej ręki późniaka były zrosnięte ze sobą. Poruszał się powoli, z widocznym bólem wszystkich stawów.

- My nie Tesh - powiedział. - Nie nasza wojna, nie nasza sprawa. Ale i tak przychodzą. Milicja.

Przyjechali od rzeki, kawaleria z kuszarpaczami i kartaczownicami. Do wiosek kaktusów od dawna docierały pogłoski o walkach między milicją i siłami Tesh. Uciekinierzy opowiadali im o bestialstwach popełnianych przez żołdaków, toteż ludzie-kaktusy uciekali przed maruderami.

Ale jednej z wiosek nie zdążyli opuścić przed dotarciem milicji. Przygarnięto tam wielu uchodźców z północy, którzy karmili mieszkańców makabrycznymi opowieściami o rzeziach. Postanowili walczyć, zamiast zdawać się na łaskę żołnierzy. Stawili czoło milicji uzbrojeni w pałki i krzemienne maczety. Doszło do krwawej jatki. Milicja zostawiła ciało jednego ze swoich i *ge 'ain* wyładował na nim swoją wściekłość pośród trupów kaktusów.

- Będzie dwa tygodnie, jak przyszli. Od tej pory na nas polują - wyjaśnił późniak. - Przynieśli wojnę tutaj?

Cutter pokręcił głową.

- Wszystko się popieprzyło. Milicja nie przyjechała zabijać tych biedaków, tylko znaleźć człowieka, którego my też szukamy. Ludzie-kaktusy wpadli w panikę z powodu tych strasznych historii i niepotrzebnie wystawili się na cel. Posłuchaj mnie - zwrócił się do zielonego lewiatana. - Ludzie, którzy zabili twoich, kogoś szukają. Chcą go zatrzymać, zanim przekaze swoją wiadomość. Przyjdzie ich więcej.

- Tesh też przyjdą. Żeby z nimi walczyć. My wzięci w dwa ognie.

- Tak - odparł Cutter. Długo milczał. - Ale jeśli on wygra, jeśli im się wymknie, to wtedy milicja może mieć na głowie inne rzeczy niż wojna. Więc może masz powód, żeby nam pomóc. Musimy ich powstrzymać, zanim oni powstrzymają jego.

Z koślawymi dłońmi przy ustach późniak wydał z siebie okrzyk prymitywny jak wrzask rannego zwierzęcia. Lament przetoczył się nad stepem. Pośród gorącej nocy zwierzęta zastygły, po czym z cizy wykwitła odpowiedź, podobne zawołanie, z odległości wielu kilometrów. Cutter poczuł je w kiszkaach.

Późniak raz po raz się anonsował i z biegiem nocy przyszedł do niego mały oddział *ge 'ain*. Było ich pięcioro, zróżnicowanych: część ponadsześciometrowych, część o połowę mniejsza, niezgrabni, kości połamane i poskładane na nowo. Kompania kalek, niepełnosprawni siłacze.

Podróżni poczuli się mali i słabi w ich towarzystwie. Późniacy razem oplakiwali swoich zmarłych we własnym języku.

- Jeśli nam pomożecie - powiedział Cutter z pokorą - może uda nam się raz na zawsze powstrzymać milicję. A nawet jeśli nie, będziecie mieli okazję wyrównać rachunki.

Przez wiele godzin późniacy stali w koło i obradowali za pomocą słów i gestów. Z racji wagi kończyn ich ruchy były ostrożne. „Biedni zagubieni żołnierze” - pomyślał Cutter, choć

wciąż pełen respektu.

W końcu przemówił do niego rzecznik:

- Oni poszli, oddział milicji. Na północ poszli. Polować, Wiemy gdzie.
- To oni - odparł Cutter. - Szukają naszego człowieka. Musimy ich dopaść.

Późniacy powyrywali sobie część kolców, po czym wzięli Cuttera i jego towarzyszy na ramiona. Prawie nie odczuwali tego ciężaru. Porzucone antylopy odprowadziły ich wzrokiem.

Kaktusy maszerowały gigantycznymi krokami, przestępowały nad rowami i drzewami. Cutter czuł się blisko słońca. Widział ptaki, nawet garudów. *Ge 'ain* rozmawiali z nimi. Pierzaste postacie krążyły w górze, z dźwiękiem przypominającym łopot żagla na wietrze. Gadały melancholijnymi ptasimi głosami. *Ge 'ain* słuchali i odpowiadali zawodząco.

- Milicja z przodu - powiedział tragarz Cuttera.

Maszerowali niestrudzenie i rzadko odpoczywali, obyczajem ludzi-kaktusów na stojąco. Raz zatrzymali się, gdy księżyc z jego dwiema córkami wisiał nisko nad horyzontem. Na skraju sawanny, w kierunku zachodnim, pokazało się światło. Ruchoma latarnia.

- Kto to jest? - spytał późniak Cuttera. - Człowiek na koniu. Śledzi was?
- To on? Na Jabbera, zanieś mnie do niego! Szybko! Muszę się dowiedzieć, w co on gra.
- Ge 'ain* pocwałował z obłąkaną prędkością, pożerając dystans, i światło zgasło.
- Nie ma - zdziwił się późniak.

Szept w uchu szarpnął Cutterem.

- *Nie bądź idiotą* - powiedział głos. - *Kaktus mnie nie znajdzie. Tracisz cenny czas.*

Dołączę do was, kiedy uznam to za stosowne.

Kiedy wrócili do pierwotnej marszruty, światło znowu zapłonęło i dotrzymywało im tempa, pozostając wciąż w tej samej odległości.

Po dwóch nocach, podczas których tylko na krótko się zatrzymywali, żeby odpocząć albo polać Fejha wodą, *ge 'ain* stanęli. Pokazali na szeroki pas zgniecionej na miążgę roślinności i zaoranej ziemi.

Za kilometrami suchej trawy, na tle zieleńszych wzgórz, w powietrzu unosiła się jakaś mgiełka. W pierwszej chwili Cutter sądził, że to pyłodym, ale potem zobaczył domieszany ciemniejszy odcień szarości. Jakby ktoś pociągnął po szybie tłustym palcem.

- Tam - powiedział *ge 'ain* do Cuttera. - Milicja. To oni.

Późniacy nie opracowali żadnej taktyki. Wyrwali sękate drzewa, które miały im posłużyć jako maczugi, i ruszyli w stronę morderców swoich bliskich.

- Słuchajcie! - krzyczeli razem Cutter, Pomeroy i Elsie w nadziei, że przekonają ludzi-kaktusów do konieczności zaplanowania działań. - Słuchajcie! Słuchajcie! Słuchajcie!

- Zachowajcie jednego przy życiu! - zawołał Cutter. - Na litość Jabbera, pozwólcie nam z jednym porozmawiać!

Późniacy nie usłyszeli go jednak albo nie chcieli usłyszeć.

Step dygotał. Upał wibrował między kamieniami wielkości domów. Zwierzęta rozpięzchały się przed *ge 'ain*, których każde stąpienie było głośnie jak upadek drzewa.

Późniacy weszli na poprzeczne wzniesienie. Cutter spojrzął na oddział milicjantów w dole: ponad dwadzieścia maleńkich szarych figurek, psy i dymiąca machina, opancerzona wieża wysoka jak późniak, ciągnięta przez prze-tworzone konie. Wieńczyła ją kopuła z kroksztynami, spomiędzy których wyglądali dwaj mężczyźni. Machina walcowała zarośla, zostawiając po sobie pas zniszczonej ziemi i oleju.

Późniacy powoli zestawili swoich pasażerów na ziemię. Cutter i jego towarzysze sprawdzili broń.

- To szaleństwo - powiedział Pomeroy. Jakiś pylisty drapieżny ptak krążył im nad głowami, skrzecząc z przejęcia. - Popatrzcie, jaką mają siłę ognia.

- A co ich to obchodzi? - Cutter skinął głową na późniaków. - Są żądni zemsty. To nam zależy na czymś więcej. Nie mam zamiaru ich powstrzymywać. Zresztą nie bardzo wiem, jak miałbym to zrobić! - Późniacy ruszyli w dół w stronę milicji. - Lepiej już chodźmy.

Przyjaciele rozproszyli się. Nie musieli się chować, bo milicja zauważyła późniaków i niczego innego nie była w stanie zobaczyć. Cutter biegł w kurzu wzbijanym przez późniaków.

Zaterkotał karabin maszynowy. Pociski wylatywały z obrotowych bębnow. Spanikowani milicjanci dosiadali koni. Opuścili tereny ludzi-kaktusów i sądzili, że są bezpieczni. Kule odbijały się od ciał późniaków jak kamyczki żwiru, nawet nie spowalniając biegu *ge 'ain*. Tryskało trochę żywicy i to wszystko.

Jedna *ge 'ain* rzuciła swoim narzędziem walki jak dzidą. Coś, co wyglądało w jej ręku jak maczuga, w locie objawiło swoją prawdziwą tożsamość: to było drzewo. Trafiło w wieżę i wgniotło pancierz. Cutter położył się na brzuchu i strzelał z magazynówki do biegnącej bezradnie milicji.

Strzelali ze wszystkich luf. Dali wyraz imponującej i głupiej odwagi, stawiając opór, zamiast uciekać. Dzięki temu późniacy mieli ułatwione zadanie. Jeden z nich uniósł lewą nogę i zmiażdżył paru wrogów razem z wierzchowcami. Inny zamachnął się swoim drzewem i przetrącił komuś szyję koniuszkiem korzenia.

Milicjanci uzbrojeni w strzelby cofnęli się za tych z kuszarpaczami i miotaczami płomieni. Późniacy zasłonili się rękami i odskoczyli do tyłu z poczerniałą, plującą żywicą skórą.

Najmniejszy *ge 'ain* zachwiał się, kiedy wystrzelony z kuszarpacza dysk chakri ruchem wirowym przebił jego roślinne mięśnie i odrąbał mu ramię. Późniak przyłożył do kikuta lewą dłoń i kopniakiem potraktował dwóch przeciwników, zostawiając ich martwych albo z połamanymi kośćmi. Ale ból był tak silny, że *ge 'ain* osunął się na kolana i snajper zabił go strzałem w twarz.

Strzały Fejha i huk muszkietu Pomeroya zdradziły ich. Karabiny wieży wzięły na cel zagajnik, w którym ukrył się Fejh. Cutter krzyknął, kiedy kartaczownica obróciła się z głośnym zgrzytem łańcuchów i kół zębatach, po czym grad kul wystrzępił roślinność.

Czterech późniaków w morderczym transie deptało i rozrywało rękami wszystko, co stanęło im na drodze. Wieża znowu się obróciła. Kartaczownica trafiła kolejną *ge 'ain*. Salwa rozcięła ją od biodra po pierś. Późniaczka zachwiała się, po czym jej korpus rozłamał się wzdłuż tej perforacji.

Pomeroy wstał. Usta miał otwarte i Cutter wiedział, że jego towarzysz woła imię Fejhechrilla. Pomeroy uniósł muszkiet i strzelał raz po raz. Psy wpadły w szal i bez sensu ujadły zniekształconymi szczękami.

Gdzieś z daleka dobiegł huk wystrzału. Potem jeszcze jeden i z żelaznej wieży spadł człowiek.

- *Padnij* - szepnął głos w uchu Cuttera. - *Jesteś widziany.*

Cutter wykonał polecenie i patrzył przez szpary w wysokiej trawie. Po chwili usłyszał kolejny strzał z daleka. Jeden z milicjantów spadł z konia.

Cutter zobaczył wojskowego taumaturga, który próbował wpłynąć na przebieg bitwy magicznymi mocami. Żyłki i ścięgna pulsowały mu pod skórą. Sypał czarnymi iskrami. Cutter strzelił, ale chybił. To była jego ostatnia kula.

Taumaturg wykrzykiwał zaklęcia, jego ubranie dymiło i z ziemi pod stopami największej *ge'ain* wyskoczyła lanca mlecznej energii. Przebiła późniaczkę na wylot i zniknęła pod niebem. *Ge'ain* trzepotała ramionami, tryskając żywicą. Po chwili stanęła w czarnych płomieniach. Taumaturg krwawił z oczu, ale triumfował. Zaraz jednak padł trafiony przez niewidocznego snajpera. Ostatnia dwójka *ge'ain* rozdeptywała milicjantów na śmierć.

Jeden objął pancerną wieżę jak zapaśnik i wygiął ją brutalnie. Jego brat miażdżył ostatnich ludzi, konie i psy mutanty, on zaś usiłował przewrócić stalowy cylinder. Ciągące wieżę konie wpadły w panikę. Machina powoli runęła i rozwalila się, wysypując żywych i martwych ludzi.

Ci, którzy mogli, rzucili się do ucieczki. Dwaj późniacy pobiegli za nimi, tupiąc jak groteskowe dzieci. Jakiś jeździec galopem zbliżał się do pola bitwy. Cutter znowu usłyszał szept: - *Psy muszą pozostać przy życiu, nie pozwól im zabić psów, na litość Jabbera!* - ale to nie był rozkaz, dlatego Cutter zignorował te słowa i tak samo jak jego przyjaciele pobiegł w stronę zarośli, w których ukrył się Fejh. Znaleźli go porozrywanego na drobne kawałki.

Dalej i dalej, niestrudzenie, lewitujący mężczyzna sunął przez powietrze wyprężony jak struna kilka metrów nad ziemią. Nad bagnistą deltą, między wysepkami, koło mangrowców, przez labirynty ich korzeni, nad wałami torfu i szlamu w krajobraz krasowy, krainę kamiennych zębów.

Jego towarzyszami były: ptak, zając, osa szpadzista wielkości gołębia, motela, lis, dziecko-kaktus, wszystko w postaci narośli wędrującej niespokojnie tkanki. Trzymali się lewitującego mężczyzny lub przeskakiwali z jednej kamiennej iglicy na następną. Lewitujący mężczyzna dotarł nad step. Przez jakiś czas zwierzę pod nim było antylopą, szybszą od wszystkich innych przedstawicieli swego gatunku.

Wędrowali dalej i dalej. Przedzierali się przez spalony słońcem busz w przyspieszonym czasie. Lecieli na północ, mijali małe drzewa i spalone wioski dalej, na północ i każde zwierzę, które podążało za mężczyzną, trzymało się go albo leciało nad nim, zwiększało swoją prędkość, i polowali, wypatrywali znaków na ziemi i w powietrzu, które tylko oni mogli zobaczyć, zmniejszali dystans, zbliżali się, osaczali.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zebrali szczątki Fejha, żeby go pochować. Te dziwne psy otoczyły zwłoki milicjantów i skowyczały za swoimi panami.

Dwaj pozostali przy życiu *ge'ain* spali na stojąco, z zaklinowanymi po kaktusiemu nogami. Nie wszyscy milicjanci polegli. Słychać było ciche krzyki i szybkie oddechy tych zbyt ciężko rannych, aby mogli się odczołgać. Było ich czterech, może pięciu, umierali powoli, ze wszystkich sił broniąc się przed śmiercią.

Kiedy Cutter zaczął kopać, jeździec minął zawodzące psy. Towarzysze odwrócili się plecami do zmarłego przyjaciela, żeby spojrzeć na przybysza.

Powitał ich skinieniem głowy i dotknięciem róna kapelusza. Był koloru pyłu. Spłowiwała od słońca kurtka, spodnie z sarniej skóry pokryte skorupą brudu. Spod nagolenników wystawała lufa strzelby. Przy obu biodrach sterczały nagany pieprzowe.

Mężczyzna mierzył ich wzrokiem. Skierował spojrzenie na Cuttera, osłonił usta dłonią i coś powiedział. Cutter usłyszał go tak, jakby usta mężczyzny znajdowały się przy jego uchu.

- *Wskazany jest pośpiech. I powinniśmy zabrać jednego psa.*

- Kim jesteś? - spytał Cutter.

Mężczyzna spojrział na Pomeroya, Elsie, znowu na Cuttera.

- *Jestem Drogon.*

- To szemracz - stwierdził nieufnie Pomeroy. Drogon szepnął coś przez powietrze. - Ależ tak - zareplikował Pomeroy. - Możesz być tego pewien.

- Co tutaj robisz? - spytał Cutter. - Przyjechałeś nam pomóc pochować... - Słowa uwięzły mu w gardle, więc pokazał ręką. - Dlaczego nas śledzisz?

- *Już mówiłem - szepnął Drogon. - Mamy ten sam cel. Jesteście teraz wyгнаńcami, tak samo jak ja. Szukamy tego samego. Od wielu lat szukam Żelaznej Rady. Nie byłem do końca pewien, czy mogę wam zaufać. Może dalej nie jestem. Nie tylko my szukamy Rady. Wiecie, po co te dranie tutaj przyjechały.* - Pokazał na zakrwawionego żołdaka, który leżał na plecach. - *A jak myślisz, dlaczego was śledziłem? Musiałem się dowiedzieć, kogo wszyscy szukacie.*

- Co on mówi? - dociekała Elsie, ale Cutter uciszył ją ruchem ręki.

- *Dalej nie wiem, czy wam ufam, ale obserwowałem was i doszedłem do wniosku, że z wami mam największą szansę na sukces. A wy ze mną. Poszedłbym z waszym człowiekiem, gdybym wcześniej wiedział, że wyrusza w drogę.*

- Skąd wiesz...? - zapytał Cutter.

- *Nie jesteś jedynym, który trzyma ucho przy ziemi i wie, kim on jest. Ale posłuchaj, nie mamy czasu, nie tylko on jest śledzony. Ta banda była na jego tropie, a inni idą za wami. Już od Rudewood. Nie tylko milicja.*

- Co? A niby kto jeszcze? - Cutter ze zgrozą powtórzył to, co usłyszał: - Łapowżercy.

Strach przed samotną śmiercią był większy niż strach przed wrogami, toteż milicjanci, którzy jeszcze żyli, zaczęli wznosić okrzyki. Nie mieli żadnego planu, nie knuli żadnej intrygi, nie błagali o łaskę, tylko chcieli, żeby ktoś z nimi porozmawiał, kiedy tak cierpieli w upale.

- Hej, halo, chłopie!

- Chodź tutaj, chodź tutaj!

- Na Jabbera, rękę mi urwało! Na Jabbera, urwało!

Byli to głównie mężczyźni trzydziestoparoletni, z wyrazami dumy i rezygnacji, które

sprawiały wrażenie wprasowanych w rysy ich twarzy. Nie oczekiwali ani nawet nie chcieli łaski, pragnęli jedynie, żeby przed śmiercią ich nieistnienie zostało odnotowane.

Psy wciąż wyły i krążyły. Drogon oddzielił trzy dziwnokształtne stworzenia od reszty, naparł na nie swoim wielkim koniem. Uspokoił spanikowane zwierzęta niesłyszalnymi komendami.

- Czemu nam pomaga? - spytała Elsie. - Czego on chce? Pomeroy był za tym, żeby go zabić, a przynajmniej spętać i zostawić tutaj.

- Cholera, sam nie wiem - odparł Cutter. - Mówi, że słyszał, co się dzieje. Że też szuka Rady. Nie wiem, czy to prawda. Ale zastanówcie się, już dawno mógł nas zabić. Uratował mi życie, zastrzelił człowieka, który mnie wypatrzył. Widzieliście, jaki z niego snajper. I sam mówiłeś, Pom, że to taumaturg.

- Szemracz - poprawił go z pogardą Pomeroy. - Zwykły subwokalurg.

- Nie wiem, czy taki zwykły. Nie wystarczy zaszemrać, żeby pies się położył. Jego głos doleciał z bardzo daleka i zahipnotyzował mnie i tego rozbójnika liberosynkreta.

Subwokalurgia, mało prestiżowa dziedzina: sztuka perfidnych podszeptów, małych psychomanipulacji. Ale ten człowiek wyniósł ją na wyższy poziom.

Psy były prze-tworzone. Miały wielokrotnie powiększone ośrodki węchowe w mózгах. Czaszka była ciastowata i wydłużona, jakby ich nadwymiarowy mózg wyrwał się na zewnątrz. Oczy malutkie, nozdrza rozszerzone, za duże i ruchliwe jak świński ryj. Długie, pomarszczone pyski były okablowane, baterie zasilają taumaturgiczny obwód. Każde zwierzę miało kawałek szmaty pod obrozą.

- Na Jabbera, to są jego ubrania - powiedział Cutter.

- *Te psy podejmą trop z drugiego końca kontynentu* - szepnął Drogon. - *Nie miały problemu ze śledzeniem waszego człowieka.*

Nie dobili tych milicjantów, którzy przeżyli, nie splunęli im w twarz ani nie dali im wody, tylko zupełnie ich zignorowali. Drogon skupił się na psach. Szeptał coś do nich i zrobiły się spokojniejsze. Miały potrzebę mu zaufać.

- To nasze psy - powiedział Pomeroy. Drogon wzruszył ramionami i podał mu smycz. Zdeformowane zwierzę spojrzęło na Pomeroya i błysnęło zębami. - Jaka jest twoja historia? - spytał Pomeroy.

Drogon pokazał na Elsie, szepnął coś i podeszła do niego. Chwycił ją za dłonie i położył je sobie na czole, co wprawiło ją w metagnomiczny trans. Rozmawiał z nią, wypowiadając słowa, które tylko dla niej były słyszalne.

W końcu otworzyła oczy.

- Kazał mi, żebym go przeczytała. Żebym sprawdziła jego prawdomówność. Powiedział mi: „Chcę tego samego co wy. Chcę znaleźć Radę”. Powiedział mi, że pochodzi z miasta, ale na pewno nie jest na służbie parlamentu ani milicji. Mówi, że jest wędrownym pasterzem, jeźdźcem. Od dwudziestu lat prowadzi koczownicze życie. Mówi, że Rada nie może być mitem, bo krąży o niej zbyt wiele historii. I że dla ludzi pustkowi jest ona czymś wyjątkowym. Kiedy więc usłyszał, co się dzieje, kiedy usłyszał, kto wyruszył w drogę, aby ostrzec Radę przed niebezpieczeństwem, poszedł za nim, żeby mu pomóc. Śledził nas. Do momentu, kiedy nabrał pewności, że może nam zaufać.

- Nie jesteś prawdomówcą - prychnął Pomeroy. - On może ci wcisnąć każdą bzdurę.

- Nie jestem, ale mam pewne moce. Sprawdziłam jego prawdomówność. Szeptodziej włożył z powrotem kapelusz i znowu zajął się psami, tak skutecznie subwokalizując, że pośród trupów swoich panów zabiegały o jego względy.
- Jej jasnowidzkie moce są za słabe, żebyśmy mogli się na to zdać, Cutter - powiedział Pomeroy.

„Czemu ja mam decydować, do cholery?” - pomyślał Cutter. Drogon podsunął ubrania psom pod nosy. Zwierzęta powęszyły i skierowały się na północ.

- *Musimy iść* - przemówił Drogon do Cuttera. - *Dalej nas śledzą. Jesteśmy blisko, jesteśmy całkiem blisko.*

Elsie próbowała podziękować późniakom za pomoc, ale nie wydobyla z nich żadnej reakcji.

- Nie możecie tu zostać! - krzyknęła. - Idą łapowżercy!

Ale *ge'ain* nie dały po sobie poznać, czy ją usłyszały. Stały na arenie swojej zemsty i na nic nie czekały. Ludzie mogli tylko wykrzyczeć swoje podziękowania i zostawić roślinnych olbrzymów ich losowi. Cutter oddał hołd grobowi Fejha.

Psy wrywały się do przodu i energicznie węszyły. Od czasu do czasu Drogon wydłużał im smycze i biegały pośród ascetycznej roślinności, kolebiąc nieproporcjonalnie wielkimi łbami. Cutter i jego towarzysze szli, on jechał przodem.

Szeptał do każdego z podróżników po kolei z odległości wielu kilometrów. Puszczal psy luzem, a kiedy za bardzo się oddaliły, przywoływał je szeptanymi rozkazami.

- *Nie zatrzymujcie się* - powiedział do Cuttera. - *Łapowżercy są za wami.*

Łapowżercy. Złoczyńne ręce historii. Pięciopalczaste pasożyty, które teraz wychodzą na światło dzienne.

Do góry przez przełęcz. Cutter pomyślał o Fejhu, który powoli piekł się w ziemi. Spojrzał na obraz, który po sobie zostawili: martwi i prawie martwi, dwa późniaki stojące jak drzewa, ruiny bitewne podobne do plamy sadzy.

Tereny, które się przed nimi rozpościerały, były gęściej zalesione, wzgórza już prawie można było nazwać górami, korzenie drzew oliwnych wyrastały spośród piarżysk. Kurz wzbijany przez Drogona utworzył chmurę. Jego trop rozcinał teren jak szew. Dokoła rosły krzewy szaławii i dzikiej róży. Każdy krok Cuttera płoszył chmurę cykad.

Nie po raz pierwszy podczas tej podróży czas zakrzepł i Cutter poczuł, że utknął. Dzień był tylko wydłużoną chwilą, a ruch - trzepot owadów, przemykanie maleńkiego gryzonia - elementem bezkresnego cyklu.

Dochodzące z dalekiego obozu odgłosy psów tropiących i szepty Drogona zakłócały im tej nocy sen. Broń zabrana milicjantom nadmiernie ich obciążała, dlatego zostawili długie noże i ciężkie flinty.

Któregoś dnia zobaczyli wysoko w górze garudę, który z rozpostartymi skrzydłami wyglądał jak stworzenie ukrzyżowane na niebie. Zobaczyli, jak nurkuje w stronę Drogona, a potem raptownie się podrywa.

- Próbował go zaszeptać, ale mu się wywinął - powiedział zadowolony Cutter.

Ich rytm rozszedł się z rytmem natury: spali po kilka minut w jasny dzień, a także o zmierzchu i w nocy. Jeśli szeptodziej w ogóle zażywał snu, to w siodle. W górach mijali plamiste kamyczniki, coś pomiędzy żyrafami i goryłami. Zwierzęta te podpierały się przy chodzeniu

pięściami i jadły liście, które mogły dosięgnąć z ziemi.

- *Szybciej* - powiedział szeptodziej Cutterowi. - *Nadchodzą łapowżercy.*

W świetle księżycy szli za Drogonem i poszukiwanym przez siebie człowiekiem w stronę rozciągniętego płaskowyżu. W skalnej ścianie zobaczyli pionowy czarny pas, korytarz prowadzący na drugą stronę. Cutter szacował, że uda się tam dotrzeć za dnia. Wyobrażał sobie, jaka to będzie ulga: z rozedrganego od gorąca nieba zostanie tylko cienka wstęga rozpostarta nad omszałymi skalnymi ścianami i kamiennymi słupami.

- Coś nadchodzi - powiedziała Elsie. Wyglądała mizernie. Na jej twarzy malowało się przerażenie. - Coś nadchodzi z południa.

Poza wieloma falami krajobrazu, poza zasięgiem wzroku, było jakieś zakłócenie. Cutter wiedział, że Elsie, chociaż nie ma wielkich mocy, coś poczuła.

Na wschodzie niebo trochę pojaśniało i Cutter zobaczył pióropusz kurzu wzniesionego przez konia Drogona u stóp masy. Szeptodziej znajdował się prawie u wejścia do rozpadliny.

- *Pospieszcie się, przejdźcie na drugą stronę* - powiedział Drogon do Cuttera. - *Łapowżercy depczą wam po piętach, ale zdążycie, jak się sprężycie. Psy ujadają. Czują zapach naszego człowieka, on jest blisko, po drugiej stronie. Jak przejdziecie, może uda się otoczyć łapowżerców, zastawić na nich pułapkę.*

Wątpliwy plan.

Drogon przypuszczalnie zawrócił konia i wjechał w wąwóz za szczekającymi psami. Cutter pomyślał o nawisach po obu stronach kanionu i oczyma duszy wyraźnie zobaczył to, co widział w pokoju swego zbiegłego przyjaciela - zobaczył to, co kazało mu wyruszyć na jego poszukiwania. Cutter zobaczył rozciągnięty w poprzek drut i trupy ze zróżnicowanych materiałów, o człowiekopodobnych kształtach.

- Szlag trafił! Wracaj! Wracaj!

Wrzeszczał na całe gardło. Pomeroy i Elsie zatoczyli się. Zasnęli podczas marszu. Cutter złożył dłonie w trąbkę i znowu ryknął.

- Stój! Stój!

Wystrzelił w powietrze z magazynówki.

Drogon pojawił się w jego uchu.

- *Co ty wyprawiasz? Łapowżercy cię usłyszą...*

Ale Cutter nie przestawał krzyżeć, poganiając jednocześnie swoje zmęczone nogi.

- Stój, stój, stój! Nie wchodź tam! To jest pułapka!

Kurz się cofnął, zmienił kształt, jakby formował go narastający upał, i stał się człowiekiem na koniu. Drogon przyjechał z powrotem.

- Nie jedź tam, nie jedź tam! - wołał Cutter. - To pułapka! Golemowa pułapka!

Drogon okrążył ich jak pasterz swoje stado. Gdyby wierzgali, szeptałby do nich i musieliby okazać mu posłuszeństwo.

- *Biegnijcie* - szepnęła i nie potrafili mu się przeciwstawić.

Teren blisko płaskowyżu był poprzecinany ścieżkami z kamieni. Trzymając się zarośli, podróżnicy maszerowali w stronę rozpadliny. Drogon galopował trasą, która wydawała się nie do pokonania. Psy, przywiązane w pobliżu wejścia do kanionu, szarpały się jak szalone. Ze swoimi świńskimi oczami i obnażonymi zębami wyglądały monstrualnie. Nie mogły się doczekać, kiedy dotrą do tego, co wyczuwały po drugiej stronie.

- On wie - powiedział Cutter. Oparł dłonie o kolana i wykrztusił kurz z płuc.
- *Łapowżercy* - powiedział Drogon. Punkcik na skraju równiny. - *Musimy uciekać.*
- On wie, że nadchodzą i nie próbował ukryć swego tropu. Myśli, że to ścigająca go milicja, i zwał ich tutaj. To jest pułapka. Nie możemy tam wejść. Musimy pokonać płaskowyż górą. On na pewno czeka po drugiej stronie.

Świadomość, że łapowżercy się zbliżają, skróciła dyskusję. Psy ujadły i Drogon zastrzelił je w tunelu. Podróżni poszli za nim na górę po stromej drabinie z korzeni. Szeptał do nich: „*Szybciej!*” i posłusznie znajdowali uchwyty dla rąk i oparcie dla nóg.

Drogon prowadził ich wzdłuż krawędzi rozpadliny. Na dole widać było konia i zwłoki psów. Szepnął do konia, który prychnął i odwrócił się ku wejściu do wąwozu.

- Co ty robisz? - oburzył się Cutter. - Jeśli nie zatrzymasz tej szkapy, to ją zastrzelę, słowo honoru. Nie możemy ryzykować, że uruchomi pułapkę.

Przez chwilę wydawało się, że szeptodziej zamierza postawić na swoim, ale odwrócił się i szepnął, po czym koń znieruchomiał.

Cutter spojrział za siebie i krzyknął. To, co za nimi podążało, zawieszona w powietrzu, miało kształt człowieka. Niosło jakiś balast. Było oddalone zaledwie o kilka kilometrów i sprzecznym z naturą ruchem szybowało nad równiną.

Po przeciwległej stronie spojrzenie padało na schodkowy krajobraz skalistych gór.

- Musimy poczekać, aż to draństwo zniknie - powiedział Pomeroy.

- *Nie możemy* - odparł Drogon, zwracając się na przemian do Cuttera i Pomeroya. - *Łapowżercy nie ścigają waszego przyjaciela, tylko nas. Idą tropem naszych myśli. Musimy się przedostać na drugą stronę.*

- Mamy walczyć? Z łapowżercami?! - obruszył się Pomeroy.

- Będzie dobrze - powiedział Cutter z nagłym przekonaniem. - Unieszkodliwimy ich.

To Cutter, a nie Drogon znalazł drogę na dół. Zeszli jeden po drugim, szeptodziej na końcu.

- *Ten przeklęty łapowżerca jest strasznie blisko* - powiedział do Cuttera. - *Przy wejściu. Zobaczyl psy, wchodzi do kanionu.*

Cutter spojrział za siebie. „Chodź zobaczyć” - pomyślał. „Chodź i popatrz na swoją pułapkę”. Pobiegł w stronę wylotu wąwozu.

- Zwariowałeś?! - krzyknęli za nim jego towarzysze.-Wracaj, Cutter!

- *Stój* - powiedział szeptodziej i Cutter musiał się zatrzymać.

- Puść mnie! - wrzasnął wściekły. - Muszę coś sprawdzić. - Jego stopy jednak ani drgnęły.

- Kurwa, puść mnie! - Szeptodziej wyswobodził go. Cutter pospieszył ku czarnej szczelinie. Z bijącym sercem zbliżał się do wylotu wąwozu, koło którego leżały kamienne śmieci, odłamki głazów. Wsunął głowę do środka. - Chodź mi pomóc - powiedział. - Pomóż mi ją znaleźć.

Rozległ się jakiś dźwięk. Cutter usłyszał ruch powietrza, oddech kamienia.

- *Nadchodzi* - powiedział szeptodziej.

Drogon stał bez ruchu, podobnie jak Pomeroy i Elsie. Patrzyli na Cuttera, jakby stracili wszelką nadzieję na ratunek.

- Chodź mi pomóc - powiedział Cutter i zajrzał w ciemności. Szum tego, co się zbliżało, uderzył go obuchem. Jego uwagę przykuł jakiś błysk. Zdradzał on rozciągnięty tuż nad ziemią drut ginący po obu stronach w stertach kamieni. Cutter wiedział, że kabel jest podpięty do ukrytych baterii i machin. - Znalazłem! - zawołał. - Podniósł wzrok i usłyszał potworny skowyt. Liście i kawałki mchu zostały wydmuchane z tunelu. Hałas robiony przez łapowżercę był bardzo dokuczliwy. Cutter zobaczył w szczelinie wirujące zgniłe liście. Między skalnymi ścianami rozbrzmiewało staccato, granie na werblu i dyszenie konia. Cutter wrócił do swoich towarzyszy.

- Bądźcie gotowi do ucieczki - ostrzegł ich.

Nastał świt. Hałaśliwy. Koń galopował w ich stronę. Tak szybko poruszał nogami, że brzmiało to jak cały oddział kawalerii. Wierzchowiec Drogona. Biegł szybciej od wszystkich koni w dziejach wszechświata, po ostrych kamieniach, pędził dalej, mimo że miał skręcone kostki i popękane kopyta. Pot i krew z ran zalewały mu skórę. Coś plamistego uczepliło się jego szyi, ogoniasty kikut wwiercał się jak gąsienica w końskie ciało.

Za koniem pojawił się mężczyzna. Wisiał w powietrzu ze splecionymi ramionami i śmigał ku nim z przerażającą prędkością. Zobaczył ich. Obniżył lot, nadal pionowo. Otworzyli ogień. Czubki jego butów zawadzały o kamienie.

Cutter wstał, strzelił, odskoczył do tyłu i pośliznął się na łupku. Wszyscy strzelali. Szeptodziej stał na szeroko rozstawionych nogach z rewolwerem w każdej dłoni i mierzył spokojnie jak przystało na fachowca. Pomeroy i Elsie strzelali gorączkowo i trafiali. Z konia i mężczyzny trysnęła krew, ale to również ich nie spowolniło.

Lewitujący mężczyzna otworzył usta i plunął ogniem. Płomienie liznęły i rozżarzyły drut, toteż przez ułamek sekundy łapowżercy zobaczyli metal, ale byli za bardzo rozpędzeni. Wystraszony mężczyzna otworzył usta, a koń pysk, ale nie mogli się zatrzymać. Przerwali drut i wypadli na otwartą przestrzeń.

Kamienie wpadły w furję. Metalowe spirale rozwinęły się i zasiły obwody taumaturgiczną energią. Stukot zaworów - po czym masa wezbranej energii została wyzwolona i uruchomiła proces, pod kątem którego ustawiono całą tę instalację - stworzyła golema.

Posłużyła się tym, co było w pobliżu. Materiałem ze szczeliny. Cała energia tego magicznego pola została w jednej chwili pobudzona. Kamienie podniosły się i sprawiały takie wrażenie, jakby od zawsze miały ludzki kształt. Te długie na sześć metrów piarzyste zbrocza to jest ramię, te kruche, wyschnięte krzaki to jest drugie ramię, te wielkie głazy to brzuch, na dole nogi z kamienia, a na górze gliniana głowa.

Golem był prymitywny i skonstruowany z zabójczą prostotą. Szybko jak błyskawica wielotonowymi ramionami chwycił obu łapowżerców. Próbowali stawić mu czoło. Potrzeba było tylko niedostrzegalnego mgnienia, żeby golem przetrącił zwierzęciu kark i zmiażdżył łapowżercę wczepionego w grzywę konia.

Mężczyzna był szybszy. Plunął ogniem, który nieszkodliwie owiał twarz golema. Z nieprawdopodobną siłą mężczyzna szarpnął za ramię z zakrzepłego kamienia i wyrwał je ze stawu, toteż ruchy golema stały się koślawe, ale nie wypuścił łapowżercy z uścisku. Chociaż ramię odpadało po kawałku, golem ściągnął lewitującego mężczyznę na dół, chwycił jedną ręką za nogi, a drugą za głowę i rozerwał na dwoje.

Jak tylko gospodarz wyzionął ducha - jeszcze fruując w powietrzu - golem, wykonawszy zadanie, przestał istnieć. Kamienie rozleciały się na wszystkie strony, wzbijając chmurę pyłu i częściowo zasypując martwego konia.

Rozszarpane członki gospodarza potoczyły się w zarośla i zbryzgały kamienie krwią. Pod garniturem coś pulsowało.

- Trzymajcie się z daleka - ostrzegł Cutter. - On poszuka sobie następnego gospodarza.

Drogon zaczął strzelać do spadającego ciała. Trup ledwo znieruchomiał, kiedy jakiś czworonożny stwór koloru krwiaka wypełził z ubrania i zawisł w powietrzu jak pajak.

Rozpierzchli się. Strzelba Pomeroya zagrzmiała, ale stwór nie dał za wygraną i był już prawie przy wrzeszczącej Elsie, kiedy zatrzymała go kolejna salwa Drogona. Szeptodziej strzelał z marszu, trzy precyzyjnie wycelowane kule trafiły w ukrytą w trawie istotę. Drogon ją kopnął, a potem podniósł, poszarpaną i zakrwawioną.

To była ręka. Plamista prawa ręka. Z nadgarstka wyrastał krótki ogon.

- *Manus* - powiedział szeptodziej do Cuttera. - *Kasta wojowników.*

Znowu rozległ się hałas, jakby jakieś duże zwierzę przedzierało się przez zarośla. Cutter odwrócił się i spróbował zrobić jakiś odstraszący użytek z nienaładowanej broni.

Kolejny hałas, ruch w oddalonym o niespełna kilometr zagajniku. Jakiś kształt wyłonił się z ukrycia, olbrzym, gigantyczny szary człowiek. Nie wiedzieli, co zrobić czy powiedzieć, kiedy ruszył ku nim. W końcu Cutter krzyknął i puścił się biegiem. Gliniany człowiek był coraz bliżej i Cutter zobaczył, że ktoś macha do niego z pleców olbrzyma: mężczyzna, który zeskoczył na ziemię i podszedł do niego z otwartymi ramionami. Wołał coś, ale nikt go nie słyszał. Każdy jego krok, tak samo jak Cuttera, wzbijał do góry pył i lepkie insekty, które się do nich przyklejały.

Cutter biegł do góry, a mężczyzna na dół. Cutter zawołał imię mężczyzny. Głos mu się załamał.

- Znaleźliśmy cię - wyszlochał. - Znaleźliśmy cię.

CZEŚĆ DRUGA

POWROTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wysoko nad targowiskiem z hukiem otworzyło się okno. Wszędzie otwierały się okna nad targowiskami. Miasto targowisk, miasto okien.

Jeszcze raz Nowe Crobuzon. Niestrudzenie, bezlitośnie to samo. Wiosna była ciepła, zapachowo przykra: rzeki cuchnęły. Hałas. Nieprzerwanie Nowe Crobuzon.

Co krążyło wokół wyciągniętych ku niebu palców miasta? Ptactwo, lotne robactwo, wyrmeny - roześmiane stworzenia o małych stopach, statki powietrzne w zimnych kolorach, a także dym i chmury. Megalopolia dawno zapomniała o naturalnej rzeźbie terenu, w którym była zakorzeniona. Miejski krajobraz wznosił się i opadał zależnie od zupełnie innych kaprysów: Nowe Crobuzon było labiryntem w trzech wymiarach. Dachy i ściany zbudowane były z ton cegły, drewna, betonu, marmuru, żelaza, wody, słomy i gliny.

Za dnia słońce wypalało kolory tych ścian i przysmażało wystrzępione końce pokrywających je jak pióra plakatów, powoli zabarwiając na kolor słabej herbaty. Resztki tuszu na popękany beton opowiadały o dawnych wydarzeniach rozrywkowych. Można było zobaczyć słynny szablon przedstawiający członka Żelaznej Rady, po amatorsku wystemplowany przez jakiegoś bezimiennego grafficiarza dysydenta. Tory napowietrznej kolejki rozciągały się między architektonicznymi turniami niby odłamane przęsła jakiegoś obiektu sakralnego. Kable rozcinały powietrze i świszczwały, a zatem wiatr grał na Nowym Crobuzon jak na harfie.

Noc przynosiła inne światło, emitowane przez elyktro-barometryczne rury wypełnione świecącym gazem, szklane węże wygięte w nazwy, teksty i szkicowe obrazki. Dekadę wcześniej nie istniały lub tkwiły w głębokim zapomnieniu. Teraz, po zapadnięciu zmroku, zalewały ulice oryginalnym jaskrawym światłem, przyćmiewającym latarnie gazowe.

No i ten hałas, dniem i nocą. Bezlitosny. Wszędzie pełno ludzi. Nowe Crobuzon.

„...formalny wnioskodawca usłyszał, mój łaskawco, twa sprawa niezbadana, och, rzecz to niesłychana...”

Śpiewaczka Adeleine Gladner, występująca pod pseudonimem artystycznym Adely Gladly (wymawiane tak, żeby się rymowało: Aderly Gladerly) wykrzykiwała i wyśpiewywała na scenie swój numer „Formalny wnioskodawca”. Pijacki aplauz płynął z najszczerzego serca. Wyrzucała nogę wysoko do góry (jej strój był przerysowanym pastiszem falban ulicznej kokoty z dawno minionych czasów, przez co wyglądała raczej filuternie niż wyuzdanie). Potrzasała falbanami w stronę widzów, uśmiechała się i podnosiła rzucane jej kwiaty, nie przerywając śpiewania.

Jej legendarny głos spełniał wszelkie oczekiwania: głęboki i przepiękny. Owinęła sobie publiczność wokół palca. Ori Curiaz, usadowiony z tyłu sali, był słuchaczem ironicznym, ale bynajmniej nie obojętnym. Inne osoby przy swoim stoliku znał tylko na tyle, żeby do nich przepijać. Oni patrzyli na Adely, on patrzył na nich.

Dwór Podżebraków był ogromny, a mimo to pękał w szwach. Klęby tytoniowego i narkotykowego dymu unosiły się aż po strop. W łóżach i na galerii siedzieli ważni mężczyźni ze

swoimi świtami, a czasem również ważne kobiety. Francine 2, podziemna królowa kheprich, często tutaj gościła. Zdobienia w postaci gipsowych smoków i bezwstydnym nimf częściowo przesłaniały widok, ale Ori potrafił rozpoznać, że w jednej z łóż siedzi gruba ryba z milicji, ten tam to jeden z braci Fishbone, a tamten to wielki przemysłowiec.

Blisko orkiestry tłoczył się zapatrzony w kostki Adely wielojęzyczny melanż etniczny. Ori próbował wysledzić ich plemienne korzenie.

Konglomerat wagabundów, drobnych złodziejasków i ich szefów, zwolnionych do cywila zagranicznych najemników, wypuszczonych do domu więziennych ptaszków, rozwiązanych bogaczy i druciarzy, żebraków, alfonsów i ich podopiecznych, niebieskich ptaków, nożowników, poetów i agentów milicji. Ludzie, tu i ówdzie kaktusogłowi wystający nad tłum (wstęp tylko z wygolonymi kolcami), skarabeuszowe głowy kheprich. Z cygaretkami przyklejonymi do ust goście rytmicznie postukiwali szklankami albo sztućcami, a kelnerzy krążyli wśród nich po wysypanej trocinami podłodze. Na obrzeżach sali tworzyły się grupki. Ktoś taki jak Ori - stały bywalec Dworu Podżebraków - potrafił rozpoznać, gdzie na siebie zachodzą, a gdzie są rozłączne, i na tej podstawie ustalić ich skład.

Na sali z pewnością znajdowała się milicja, ale oczywiście nieumundurowana. Wysoki i muskularny mężczyzna z tyłu, Derisow, był szpiclem - wszyscy o tym wiedzieli, nie było natomiast jasności, jak wysoko sięgają jego koneksje, dlatego nikt nie chciał ryzykować pozbycia się go. Grupa artystów blisko niego z sekciarskim fanatyzmem dyskutowała o reprezentowanych przez siebie szkołach i kierunkach. Bliżej Oriego stolik wyelegantowanych, gapiących się na niego młodych mężczyzn, członków partii Nowe Pióra, którzy ostentacyjnie spluwali na sucho, kiedy przechodził obok nich członek innej grupy etnicznej. Oriego nienawidzili jeszcze bardziej niż kheprich i ludzi-kaktusów z powodu jego ksenofilii. Nagle ośmielony kosmopolityczną i zgiełkliwą atmosferą panującą w Dworze Podżebraków Ori spojrzął w ich stronę i objął ramieniem starą vodyanoi, która siedziała obok niego. Zdziwiona odwróciła głowę, ale kiedy zauważyła Nowopiórców, wydała z siebie odgłos aprobaty, przytuliła się do Oriego i zaczęła robić piękne oczy na przemian to do niego, to do nich.

- Fajny z ciebie chłopak - powiedziała, ale Ori z bijącym sercem patrzył na czterech mężczyzn, którzy nie odrywali od niego wzroku.

Jeden powiedział coś ze wściekłą miną do swoich towarzyszy, lecz inny uciszył go, odwzajemnił spojrzenie Oriego, uniósł brwi, postukał w zegarek i bezgłośnie powiedział „później”.

Ori nie odczuwał strachu. Jego własna ekipa była w pobliżu. Mało brakowało, a skinąłby wyzywająco głową Nowopiórcowi, ale takie wzajemne ironizowanie budziło w nim obrzydzenie i odwrócił się. Jego rozproszeni po całej sali przyjaciele i kompani toczyli spory, kłócili się jeszcze bardziej zajadle niż malarze, ale w razie potrzeby przyszliby mu z pomocą. A było ich wielu. Nowopiórcy nie daliby rady insurekcjonistom.

Zgromadzona pod sceną publiczność szalala, śpiewała razem z Adely jej kuplety, imitowała palcami odgłosy spadających kropel - „jeszcze raz, w deszczu” - a potem buchnęła frenetycznym aplauzem. Nowopiórcy, artyści i inne grupki przyłączyły się do owacji.

- Dzięki, kochani, dzięki, dzięki, jesteście wspaniali - zaświergotała Adely, dzięki swemu scenicznemu doświadczeniu przebijając się przez tę wrzawę. - Wyszłam na krótko, żeby powiedzieć wam dobry wieczór i poprosić wszystkich, abyście byli mili dla ludzi, którzy pragną

sprawić wam radość. Przywitajcie ich serdecznie i pokażcie im, że ich kochacie. Dla niektórych z nich to jest pierwszy raz, a wiadomo, jaki jest pierwszy raz - trochę rozczarowujący, co nie, dziewczyny? - Śmiech i radosne oczekiwanie, ponieważ te ostatnie słowa były oczywistym wstępem do jej piosenki „Już skończyłeś?”. I rzeczywiście komiczny obój zakwakał jak kaczka, zabrzmiały pierwsze akordy, Adely wciągnęła głęboko powietrze, zatrzymała je w płucach, po czym krzyknęła: - Później! - i zbiegła ze sceny, do wtóru delikatnych gwizdów niezadowolenia i okrzyków zaskoczenia.

W światłach rampy pojawił się pierwszy numer. Śpiewająca rodzina, dwójka dzieci przebranych za lalki i ich matka przy pianinie. Większość publiczności nie zwracała na nich uwagi.

„Świnia” - pomyślał Ori. Niby zachęciła publiczność do wyrozumiałego potraktowania debiutantów, ale ludzie przyszli tutaj dla niej, a zapowiadając swój późniejszy numer, tylko utrudniła zadanie tym, którzy mieli pojawić się po niej. Choćby byli świetni, musieli rozczarować. Nawet bez takiego sabotażu - trzeba przyznać, że sympatycznego - trudno jest się produkować przed wielkim nazwiskiem. Wszyscy musieli przebrnąć swoje numery ignorowani przez publikę, która czekała na powrót Adely.

Harmonijny tercet ustąpił miejsca tancerzowi. Był już niemłody, ale zwinny. Ori z grzeczności śledził jego wygibasy, ale należał pod tym względem do nielicznej mniejszości. Potem śpiewający komik, marny chałturnik, który zostałby wygwizdany nawet bez tego szachowego posunięcia Adely.

Wszyscy wykonawcy byli ludźmi, bez śladu prze-tworzenia. Zastanowiło to Oriego - czy to przypadek, że kiedy na sali siedzą Nowopiórcy, na scenie nie ma przedstawicieli innych ras? Czy partia Nowe Pióra pociąga za sznurki w Dworze Podżebraków? Przeróżająca myśl.

Fatalny komik nareszcie skończył. Przyszedł czas na ostatnią rozgrzewkę. ELASTYCZNY TEATR KUKIEŁKOWY, widniało na ulotkach. SMUTNA I POU CZAJĄCA HISTORIA JACKA PÓŁ-PACIERZA. To dla nich przyszedł tutaj Ori, nie dla Adely Gładly.

Nastąpiła kilkuminutowa przerwa, podczas której za sceną odbywały się przygotowania. Publiczność rozmawiała o gwoździu programu, ptasiej piosence z Dog Fenn. Ori wiedział, co pokażą lalkarze, i uśmiechnął się.

Kiedy kurtyna nareszcie się rozsunęła, nie było tuszu orkiestry ani werbli perkusisty. Wykonawcy czekali, ale publiczność długo ich nie zauważała. Nareszcie, kiedy tytoniowy dym jakby się rozproszył i można było zobaczyć scenę na scenie, rozległy się sapnięcia i wyzwiska. Ori zobaczył, że jeden z Nowopiórców wstaje.

Było to, co zwykle - teatr kukiełkowy wielkości wozu konnego z małymi, wyrzezanymi z drewna figurkami w jarmarcznych strojach - ale proscenium usunięto, dzięki czemu lalkarze byli widoczni, w ciemnoszarych ubraniach podobni do funkcjonariuszy milicji. Na scenie znajdowały się również inne przedmioty niewiadomego przeznaczenia. Na naprężonym prześcieradle z tyłu laterna magica wyświetlała artykuł z gazety. Na scenie stali ludzie, których rola nie była jasna, grupa aktorów i muzyków, rozwichrzony tercet, którym „Elastyczni” zastąpili etatową orkiestrę Dworu Podżebraków. Mieli przypięte dudy i flety i trzymali pałeczki przy płachtach blachy.

Ori uniósł kciuk w stronę sceny. Jego przyjaciele stali nieruchomi i niemi, aż w końcu pomruki stały się natarczywe i trochę groźne. Gdzieś z tyłu rozległ się okrzyk, żeby spieprzali. A potem zagrzmiało - jeden z muzykantów walnął w blachę. Hałas jeszcze nie ucichł, gdy inny muzyk zagrał przyjemną, żywą melodię, wzorowaną na ulicznym parlendo, a jego kolega delikatnie zawibrował pałeczką o blachę. Jeden z aktorów wyszedł na przód sceny - elegancki garnitur, starannie wypielęgnowane wąsy - uklonił się nieznacznie, uchylił kapelusza w stronę pań siedzących w pierwszym rzędzie i ryknął jakieś świństwo, dla uniknięcia sankcji cenzury

przestawiając litery.

Kolejny wybuch oburzenia. Jednak Elastyczni byli wytrawnymi zawodowcami - bezczelnie żartownisie, ale z poważnym konceptem - i umieli zapanować nad emocjami publiczności. Po każdej impertynencji następował szybki, zabawny dialog albo żwawa muzyka, toteż trudno było długo się złościć. Całość stanowiła jednak serię prowokacji i publiczność oscylowała między zaskoczeniem i niezadowoleniem. Ori zadał sobie pytanie, ile jeszcze zdążą pokazać, zanim sytuacja zrobi się niebezpieczna.

Nikt nie był pewien, co ogląda, o co chodzi w tym pozbawionym nici przewodniej spektaklu złożonym z okrzyków, urwanych tekstów, hałasów i oczopląsu skomplikowanych, niezrozumiałych kostiumów. Kukiełkami sterowano po mistrzowsku, ale były pomyślane - i wykonane - jako drewniani aktorzy tradycyjnych bajek z morałem, a nie jako mali prowokatorzy, którzy na polecenie lalkarzy odszczekiwali się narratorowi, zaprzeczali jego słowom - zawsze w tradycyjnym żargonie marionetek, pseudodziecinnyim języku opartym na rzeczownikach złożonych i onomatopei - tańczyli do muzyki i wykonywali wulgarne gesty na tyle, na ile pozwalały im stawy i sznurki.

Na naprężonym prześcieradle migały obrazy, niemal animacje - następowały tak szybko po sobie, że postacie podskakiwały, biegały i strzelały z pistoletów. Narrator obrażał publiczność, wdawał się potyczki słowne z kukiełkami i innymi aktorami. Ku rosnącemu niezadowoleniu widzów w lożach z tego chaosu zaczęła wyłaniać się historia Jacka Pół-Pacierza. Rozgniewany tłum trochę się uspokoił - była to popularna historia i ludzie chcieli wiedzieć, jak te anarchistyczne łobuzy ją zinterpretują.

Podstawowe fakty wprowadzenia nie odbiegały od powszechnie znanych.

- Nikt z nas tego nie zapomni - powiedział narrator i miał rację: jak można byłoby zapomnieć te dramatyczne wydarzenia sprzed zaledwie dwudziestu lat?

Marionetki przedstawiły ogólny zarys: jakaś anonimowa zdrada i Jack Pół-Pacierza, legendarny Jack, wódz prze-tworzonych, został schwytany. Ucięto mu wielki pazur modliszki u prawej ręki - otrzymał go w fabryce kar, ale użył pazura przeciwko nim, dlatego mu go usunęli. Kukiełki przedstawiły tę scenę w sposób drastyczny, z krwią zagrana przez czerwone wstążki.

Oczywiście milicja od początku twierdziła, że był bandytą i mordercą. Że zabijał, co do tego nie było żadnych wątpliwości, ale jak w większości wersji tej historii Elastyczni pokazali go tak, jak został zapamiętany: szlachetny herszt zbójców, bohater. Jacka schwytano i historia była smutna, cenzorzy ją więc dopuścili.

Nie było publicznej egzekucji - konstytucja tego zakazywała - ale znaleziono sposób na to, żeby pokazać go ludziom. Przez wiele dni tkwił przywiązany do gigantycznego pręgierza na BilSantum Plaza przed Dworcem Perdido. Strażnik interpretował najmniejszy ruch jako próbę ucieczki i smagał Jacka nahajem. W powszechnej opinii władze płaciły ludziom za to, żeby z niego szydzili. Niektórzy mówili, że to nie jest prawdziwy Jack - „Nie ma pazura modliszki, wzięli jakiegoś biedaka i ucięli mu rękę” - ale ich ton zdradzał raczej rozpacz niż przekonanie.

Kukiełki przechodziły przed małym pręgierzem ze sklejki, do którego przypięty był drewniany Jack.

A potem metalowy bęben zaintonował: „da-da-da-da-da”. Aktorzy zaczęli krzyczeć i wymachiwać na milicyjne kukiełki, a na ekranie pojawiło się słowo: WSZYSCY! Sceptyczna publiczność dała się wciągnąć w tę grę i zaczęła krzyczeć:

- Tutaj, tutaj!

Właśnie tak to się kiedyś rozegrało: odwrócenie uwagi strażnika przez jakiegoś przechodnia, może ukartowane, może przypadkowe. Ori miał swój pogląd na tę sprawę. Kiedy milicja wisiała na kukiełkowej scenie, Ori powędrował myślami w przeszłość.

Było to wspomnienie dziecka - nie wiedział, po co i z kim znalazł się na placu. Po raz pierwszy od lat milicja maszerowała zwartym, umundurowanym oddziałem - zapowiedź powrotu do polityki jawnego funkcjonowania. Utworzyli szary klin, który wbił się w niespokojny tłum. Strażnik rzucił nahaj, dobył rusznicę skałkową i dołączył do milicjantów, zostawiając przywiązaną do pręgierza postać.

Ori nie pamiętał, kiedy zauważył mężczyznę, który wspiął się po słupie pręgierza. Miał w głowie jego wyraźny obraz, ale nie wiedział, czy było to wspomnienie sześciolatka, czy kolaż zbudowany z opowieści, które później usłyszał. Mężczyzna - grająca kukielka pojawiła się na scenie za plecami milicji - był bardzo charakterystyczny. Łysy, potwornie pokancerowany, z twarzą, która wyglądała jak podziurawiona przedłużonym trądzikiem młodzieńczym, oczy zapadnięte i szerokie, okryty łachmanami, z chustą zasłaniającą usta i nos.

Marionetka, która w klasycznie teatralnej manierze podkradła się pod pręgierz, chrapliwym głosem zawołała do Jacka Pół-Pacierza, tak jak przed dwudziestu laty uczynił to człowiek z krwi i kości. Zawołała imię Jacka, tak samo jak tamtego dnia. Podeszła bliżej, wyjęła pistolet i nóż - owinięte folią aluminiową rekwizyty błyskały.

- Jack, pamiętasz mnie? - krzyknął ten człowiek i marionetka też krzyknęła. - Jestem ci to winny - zabrzmiał triumfalnie głos.

Przez wiele lat po zamordowaniu Jacka Pół-Pacierza autorzy dramatów przyjmowali nasuwającą się interpretację: pokancerowany mężczyzna - brat, ojciec lub kochanek jednej z ofiar morderczej modliszki - był tak oszalały z gniewu, że nie mógł czekać, aż oficjalny wymiar sprawiedliwości wykona swoje zadanie. Owładnięty nienawiścią i żądny krwi chciał wziąć prawo w swoje ręce. Nikt nie mógł mieć do niego pretensji, ale prawo nie dopuszcza samosądu. Kiedy milicjanci go usłyszeli i zobaczyli, ich smutnym obowiązkiem było go ostrzec, a kiedy to nie poskutkowało, strzelić do niego i zniweczyć jego plany. Niestety, zabłąkane kule zabiły Jacka Pół-Pacierza. Godne ubolewania, ponieważ procedury prawne zostały w ten sposób przerwane, ale nie ulegało wątpliwości, że prędzej czy później zbrodniarza spotkałby ten sam los.

Tej wersji trzymano się przez wiele lat. Zarówno na wielkiej scenie, jak i w teatrze kukielkowym przedstawiano Jacka jako klasycznego złoczyńcę, ale publiczność mimo to go kochała.

W drugim dziesięcioleciu po tych wydarzeniach pojawiły się nowe interpretacje, w odpowiedzi na pytanie, dlaczego Pół-Pacierza powitał ospowatego okrzykiem radości, skoro ten przyszedł go zabić. Naoczni świadkowie wspominali, że kiedy ospowaty uniósł pistolet, Jack jakby szarpnął się ku niemu. A zatem mężczyzna zabił Jacka, żeby skrócić jego cierpienia. Jeden z członków gangu zaryzykował życie, aby oszczędzić hersztowi dalszych upokorzeń. I może nawet mu się to udało - skąd można mieć pewność, że to milicyjna kula ukatrupiła pojmanego przestępcę? Może śmiertelny strzał był przyjacielską przysługą?

Ta wersja znacznie bardziej spodobała się widzom. Jack Pół-Pacierza powrócił jako ten, którego przez dziesięciolecia opiewali grafficiarze - bohater zwykłych ludzi. Opowieść urosła do rangi wielkiej tragedii moralnej, o szlachetnych, lecz z góry skazanych na klęskę nadziejach. Chociaż Jack i jego bezimienny kompan zostali tym samym wyniesieni na piedestał, ku zaskoczeniu wielu cenzorzy okazali się tolerancyjni. W niektórych inscenizacjach przybysz zabijał Jacka, po czym odbierał sobie życie, w innych padał od milicyjnych kul, kiedy naciskał spust. Sceny śmierci obu mężczyzn coraz bardziej się wydłużały. Nie wspomniano o rzeczywistej wersji, którą Ori zachował w pamięci - Jack zwiśł bezwładnie w pętach, a ospowaty zniknął i wszelki ślad po nim zaginął.

Po miniaturowych schodach wbiegła kukielka pokancerowanego mężczyzny z bronią w ręku. Podniósł nahaj porzucony przez strażnika - skomplikowany układ szpilek i nici ułatwił ten

ruch - tak, jak zgodnie z tradycją odbyło się to w realnym życiu.

- Co to ma być? - spytał narrator. Ori uśmiechnął się. Widział scenopis. Siedział z zaciśniętymi pięściami. - Po co podnosić pejcz?

Nowopiórcy, którzy ulegli prymitywnemu urokowi neuvistycznej inscenizacji, teraz zerwali się na nogi i krzyczeli:

- Hańba! Hańba!

- Mam pistolet - powiedziała marionetka pośród narastającej wrzawy. - Mam nóż. Na co mi jeszcze pejcz?

- Mam pomysł, ospowaty - rzucił narrator.

- Ja też mam pomysł - odparła marionetka, unosząc pistolet i pejcz. - Jedna z tych rzeczy nie jest dla mnie, kapujesz?

Sprytny mechanizm obrócił pistolet w drewnianej dłoni i ospowaty podał broń swemu spętanemu przyjacielowi, a nóż przyłożył do jego więzów.

Duży kufel piwa rzucony z tyłu sali utracił w locie swoją zawartość i rozbił się z pryskiem.

- Zdrada! - wołano.

- Dobrze, dobrze! Powiedźcie, jak było naprawdę! - krzyczały inne głosy.

Uparcie, lawirując między okruciami szkła, Elastyczny Teatr Kukielkowy kontynuował nową wersję klasycznego dramatu, w której dwaj mali bohaterowie nie byli z góry skazani na klęskę, nie byli obciążeni zbyt idealistycznymi wizjami ani pokonani przez świat, który na nich nie zasługiwał, ale wciąż walczyli, wciąż próbowali zwyciężyć. Ich głosy utonęły w ogólnym tumultie. Na scenę posypało się jedzenie. Po chwili na scenie był też kierownik w pomiętym garniturze. Został tam prawie wepchnięty przez chudego młodzieńca - przedstawiciela Urzędu Cenzury, który zza sceny przysłuchiwał się wszystkim przedstawieniom. Tego wieczoru jego praca utraciła swój rutynowy charakter.

- Dosyć, koniec! - krzyknął kierownik i próbował ściągnąć marionetki ze sceny. - Poinformowano mnie, że spektakl został przerwany.

Te pompatyczne deklamacje wciśnięto mu z powrotem do gardła. Poleciały na niego nieapetyczne resztki jedzenia, skulił się więc w sobie jeszcze bardziej niż zwykle. Zwolennicy Elastycznych byli nieliczni, ale głośni, i domagali się kontynuowania spektaklu. Widząc, że szef Dworu Podżebraków traci kontrolę nad sytuacją, cenzor osobiście wszedł na scenę i zwrócił się do publiczności.

- Przedstawienie jest odwołane. Ten zespół teatralny dopuścił się wykroczenia drugiego stopnia przeciwko porządkowi publicznemu i obyczajności. Niniejszym zostaje rozwiązany i czeka go postępowanie prokuratorskie.

- Spieprzaj, hańba, zjeżdżaj, grać dalej! Jakie wykroczenie? Jakie wykroczenie?

Młody cenzor nie dał się zbić z tropu i nie zamierzał ujmować charakteru tego dysydenctwa w słowa.

- Wezwano milicję i każdy, kto po jej przybyciu wciąż będzie się znajdował na terenie lokalu, zostanie uznany za uczestnika zdarzenia. Proszę opuścić salę.

Atmosfera była zbyt gorąca, aby dano posłuch jego słowom.

Poleciały kolejne kufle i rozległy się wrzaski trafionych. Ori zobaczył, że Nowopiórcy biorą kurs na scenę, planując pobić wykonawców. Dźwignął się na nogi, dał znak siedzącym w pobliżu kolegom i przebili się przez tłum, żeby stanąć na drodze wymachującym pięściami Nowopiórcom. Wybuchła totalna burda.

Adely Gładly wybiegła zza kulis w scenicznym kostiumie i wołała:

- Spokój! Spokój!

Ori rzucił na nią okiem, zanim uszkodził sobie pięść o czaszkę jakiegoś bydlaka Nowopiórca, po czym znowu wrócił do ważniejszych spraw. Członkowie Elastycznego Teatru Kukielkowego zbierali rekwizyty. Pośród odgłosów walki, krzyków i brzęku pękającego szkła cudowny głos słowika z Dog Fenn błagał o spokój, lecz nikt nie zwracał na niego uwagi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Spektakl był nieodwołalnie zakończony, a milicję bardziej interesowało opróżnienie budynku niż dokonywanie aresztowań. Ori blokował Nowopiórców dostatecznie długo, żeby lalkarze zdążyli zabrać wszystkie swoje rzeczy. Razem z Elastycznymi schronił się za sceną przed bójkami, które teraz podsyczał głównie alkohol, nie zaś animozje polityczne, które nadałyby im szlachetniejszy charakter.

Bocznym wyjściem wydostali się na ulicę, z większymi lub mniejszymi kontuzjami, ale roześmiani, chmara ludzi teatru, którzy upychają kostiumy do toreb podróżnych, plus paru sympatyków takich jak Ori. Jeszcze parę chwil wcześniej padało, ale noc była ciepła i wodna błona przypominała pot miasta.

Petron Carrickos, narrator sztuki, odlepił sztuczne wąsy, których duch pozostał na górnej wardze w postaci kleju charakteryzatorskiego, i przykleił je do jedyne go plakatu na ulicze, zaopatrując fundamentalistę, który reklamował swoje kazania, w gęste brwi. Ori poszedł z Petronem, a kilka innych osób w kierunku Cadmium Street. Zamierzali zatoczyć łuk i dotrzeć do stacji Pola Salacusa, nie przechodząc obok wejścia do Dworu Podżebraków.

O tej późnej, ale nie aż tak strasznie późnej porze w okolicy, gdzie Pola Salacusa przechodziły w Howl Barrow, ulice kłębiły się od ludzi. Na rogach stali milicjanci. Ori przepychał się między późnymi miłośnikami witryn sklepowych i melomanami przy budkach voxiteratorów. Paru golemów w szarfach swoich właścicieli wyglądało jak gigantyczne marionetki. Znaki na murach. Nielegalne galerie i teatry czy squaty artystów oznaczone graffiti zaadresowanymi do tych, którzy umieli je przeczytać. Same Pola Salacusa skolonizowała weekendowa bohema. Zawsze byli nadziani ludzie, których ciągnęło do slumsów, niedoceniane dzieci z dobrych domów, które szukały wyzwolenia albo zatury, ale teraz ich wizyty stały się tymczasowe, a ich transformacje turystyczne. Oriego zalała pogarda. Artyści i muzycy wyprowadzali się, robiąc miejsce dla agentów i kupców, w związku z czym czynsze rosły, mimo że gospodarka przeżywała kryzys. A zatem do Howl Barrow.

Pod żółciowymi elyktro-barometrycznymi szyldami ulice tętniły życiem. Ori kiwał głową ku twarzom, które znał ze spotkań albo spektakli - kobieta przy drzwiach złotnika, przysadzisty człowiek-kaktus rozdający ulotki. Ceglane mury zapadały się i uginały, pokazując swój wiek i pochylając jeden dom na drugi, patchwork z metalu i cementu, pomalowany w stylu anarchistycznym, gdzie królowały spirale i rysunki obsceniczne. Ponad to wszystko wyrastały ku niebu minarety świątyni, milicyjne wieże strażnicze i wysokościowce. Minęła północ i ulice powoli zaczynały pustoszeć.

Kolejką powietrzną między dachami na stacji Sly, zmiana peronu i żegnanie się z przyjaciółmi, w końcu nawet Petron się przesiadł, żeby pojechać do Mog Hill i Ori został sam pośród nocnych podróżnych rozwalonych na siedzeniach i cuchnących ginem. Minął kilku mężczyzn w kombinezonach roboczych, którzy wracali z późnej zmiany i starali się nie patrzeć na pijaków. Ori usiadł koło starszej kobiety i pobiegł za jej spojrzeniem przez brudne szyby na miejskie rozłogi, trzęsawisko budynków roziskrzonych błędnymi ognikami. Pociąg przejechał na drugą stronę rzeki. Kobieta nie patrzyła na nic konkretnego, zauważył Ori i skierował uwagę na to samo - migotanie świateł na skrzyżowaniu, drobny defekt miasta.

Większość okien przy ulicy Oriego w Syriac nie miała zasłon. Kiedy wyjrzał na zewnątrz po przebudzeniu, w świetle latarń gazowych zobaczył duże, nieruchome postacie stojące w

swoich domach, pogrążone we śnie. Ulica była zamieszkała przez ludzi-kaktusów. On wynajmował pokój u sympatycznej, chociaż czasami burkliwej kaktuski, która bez wysiłku wniosła jego walizki po schodach w jednej zielonej ręce, kiedy się wprowadzał. Słabo oświetlone wczesne pociągi mijały górne okna. Jechały do stacji Downs na południu albo w górę, na północ, w stronę olbrzymiego dworca głównego, tej synapsy niepokojącej architektury w widłach dwóch rzek, Dworca Perdido.

Nocne życie rozwijało się w najlepsze. Powietrze było ciepłe i wilgotne, rozpuszczało klej i wygładzało załomy murów. Rodziny spały na dziko w magazynach na skraju Miasta Kości. Koty łągowały po uliczkach Brock Marsh, a pod zagraconymi witrynami sklepowymi wracał do domu borsuk. Dostojne i groźne aerostaty czekały pod chmurami.

Dwie rzeki spotykały się u końca swego biegu i stawały się jedną potężną drogą wodną, Wielką Smołą. Rzeka toczyła przez miasto swoje kloaczne wody, opuszczała Nowe Crobuzon pod kikutem mostu i, płynąc przez slumsy pozostające w orbicie metropolii, szukała morza. Nielegalni mieszkańcy miasta na chwilę wychodzili na zewnątrz, po czym znowu się chowali. Trwała nocna działalność. Zawsze ktoś nie spał, niezliczone ktosie, w wysokościowcach, eleganckich willach, kamienicach Chnum czy gettach obcych ras, w tepidarium, w szeregówkach Kinken i Creekside, ukształtowanych przez robale khepri za pomocą pokruszonej owadziej śliny. Koło życia obracało się niestrudzenie.

Następnego dnia nie było nic w gazetach o zamieszkach w Dworze Podżebraków, dzień później również nie. Mimo to wiadomość krążyła z ust do ust.

Ori dał znać odpowiednim ludziom, że był przy tym. Mijając sklepy i puby w Syriac, czuł, że jest zauważany, i wiedział, że część z tych, którzy na niego zerkali - ta kobieta, tamten vodyanoi, ten mężczyzna, ten człowiek-kaktus, a nawet tamten prze-tworzony - należą do Plenum. Nie zdradzając się ze swoim podnieceniem, Ori stukał się pięścią w tors w ramach ukradkowego pozdrowienia, które ignorowali albo równie dyskretnie odwzajemniali. Plenaryści porozumiewali się ze sobą za pomocą skomplikowanej daktylografii, ręcznego slangu śródmiejskich dzielnic, którego Ori nie umiał odszyfrować. Pomyślał sobie, że może to on jest przedmiotem tej wymiany informacji.

Ori wyobraził sobie, że Plenum zbiera się na zamkniętym i tajnym posiedzeniu i on jest jednym z punktów porządku obrad. Naturalnie mógł o tym tylko pomarzyć, ale przedstawianie sobie tej sceny sprawiało mu przyjemność. Tak, jego przyjaciele byli nuevistami, ale nie dekadentami, utracjuszami czy ludźmi, których zadawała epatowanie mieszczuchów. Wyobraził sobie Plenum, delegatów wszystkich frakcji, którzy przerywają dyskusję o strategii walki z rządem, o unikaniu milicji i jej informatorów, aby pochwalić Oriego Ciuraza i jego przyjaciół za udaną prowokację. Czysta fantazja, ale piękna.

W Gross Coil brał każdą dorywczą pracę, jaka się trafiła. Dźwiganie i dostarczanie towarów za posiłki i marną płacę. Zbrojeniowo szare komponenty jakiejś wojskowej maszyny, która zapewne była transportowana wzdłuż wybrzeża, aby później pokonać Morze Mizerne i wziąć udział w jakiejś odległej wojnie za cieśninami. Pracował na każdej bocznicy, w każdym magazynie, dla każdego wyburzyciela, który chciał skorzystać z jego usług, rozładowywał barki przy moście Mandrake'a, a po fajerancie pił z kolegami z pracy, którzy zostali jego tymczasowymi przyjaciółmi.

Był młody, majstrowie nim pomiatali, ale już nie z taką pewnością siebie. W każdej

chwili spodziewano się wybuchu zamieszek. Nastąpiły ciężkie czasy dla fabryk Gross Coil, dla Kelltree i Echomire. Za odlewnią przy Tuthen Way Ori zobaczył blizny po pożarach w miejscach, gdzie w ostatnich tygodniach pikietowano. Na murach dysydenckie pieczęcie. „Toro”. „Modliszka żyje!”. Szablonowe symbole członka Żelaznej Rady. Dziury po kulach znaczyły ściany Tricorn Fork, gdzie rok wcześniej milicja spacyfikowała setki protestujących.

Zaczęło się w koncernie Paradox, od spontanicznego protestu przeciwko jakimś zwolnieniom, a potem błyskawicznie rozlało na ulice i zasiało niezgodę w halach fabrycznych innych przedsiębiorstw, ponieważ część pracowników dołączyła do demonstrantów, których hasła robiły się coraz bardziej radykalne i polityczne. Najpierw żądali przywrócenia kolegów do pracy i podwyżek, potem pojawiły się skargi na burmistrzynie i krytyka loterii wyborczej, a wreszcie żądanie wolnych i powszechnych wyborów. Latały butelki i flogiston kaustyczny. Padły strzały - nie ustalono, czy strzelać zaczęła milicja, czy ktoś z demonstrujących - i było szesnaście ofiar śmiertelnych. Na murach regularnie pojawiały się kredowe napisy ku czci poległych i równie regularnie je ścierano. Ori położył sobie pięść na klatce piersiowej, kiedy mijał miejsce tamtej masakry.

W łańcolę poszedł na piwo do Ukochanej Sklepikarza. Krótco przed ósmą dwóch mężczyzn opuściło salę barową i już nie wróciło. Inni szli w ich ślady, bez jakiegoś widocznego porządku. Ori dopił piwo i ruszył w stronę kłopa, ale kiedy zobaczył, że nie jest śledzony, skręcił w pozaciekany korytarz, podniósł klapę i zszedł do piwnicy. Zgromadzeni w ciemnościach ludzie spojrzeli na niego bez słowa, a ich miny wyrażały tyleż samo powitanie, co i nieufność.

- Chaverim - powiedział. Termin zapożyczony z zapomnianego języka.

- Chaver - odparli: towarzysz, wtajemniczony, spiskowiec.

Jeden prze-tworzony gościł tutaj po raz pierwszy. Ramiona miał skrzyżowane w nadgarstkach i zespolone ze sobą w tym miejscu. Kiedy zginał i prostował palce, wyglądało to tak, jakby naśladował ptaka.

Były dwie kobiety z fabryki pod przęsłami kolei, tkaczki, poza tym doker, ślusarz i urzędnik vodyanoi w specjalnej imitacji ludzkiego garnituru, której można było używać w wodzie, z naszytym krawatem do kompletu. Jakiś człowiek-kaktus uczestniczył w spotkaniu na stojąco. Beczki taniego piwa i wina służyły za stoliki na dysydenckie publikacje: pomięty „Krzyk”, „Kuźnica” i kilka egzemplarzy najpopularniejszego wywrotowego pisma „Rozszalały Renegat”.

- Chaverim, dziękuję wam za przybycie. - Mężczyzna w średnim wieku emanował spokojnym autorytetem. - Pragnę powitać naszego nowego kolegę, Jacka. - Skinął głową w stronę prze-tworzonego. - Wojna z Tesh. Infiltracja milicji. Wolne związki zawodowe. Strajk w piekarni Purrilla. We wszystkich tych kwestiach mam coś do powiedzenia, ale na początek chciałbym przedstawić moje stanowisko - nasze stanowisko, stanowisko „RR” - w kwestii rasowej.

Spojrzał na vodyanoi, a potem na człowieka-kaktusa i zaczął mówić.

Właśnie te wprowadzenia, te dyskusje wciągnęły Oriego w środowisko „RR”. Przez trzy miesiące co dwa tygodnie kupował egzemplarz od sprzedawcy owoców w Murkside i w końcu ten człowiek spytał go, czy chciałby podyskutować na temat omawianych tam kwestii, a następnie skierował Oriego na tajne spotkanie. Ori chodził regularnie, podnosił coraz więcej kwestii, zgłaszał coraz więcej obiekcji, angażował się z coraz większym entuzjazmem, aż w

końcu, po spotkaniu, kiedy zostali sami, prowadzący w geście zaufania podał mu swoje prawdziwe nazwisko: Curdin. Ori odwzajemnił mu się tym samym, chociaż na spotkaniach jak wszyscy inni wciąż zwracali się do siebie per Jack.

- Tak, tak - mówił Curdin - sądzę, że masz rację, Jack, ale pytanie brzmi: dlaczego?

Ori rozłożył „RR” i czytał fragmentami. Znajome apele o skoordynowane działania, gniewne i dogłębne analizy, całe kolumny o strajkach. Każdy zakład pracy, każdy protest - udany bądź nie - paru ludzi, którzy odłożyli narzędzia, dwudziesto - czy stuosobowa demonstracja, półgodzinne zaprzestanie pracy, zniknięcie każdego członka cechu lub podejrzanego o wywrotowe działania związkowca. Katalog wszystkich sporów, śmiertelnie poważnych i błahych. Oriego to nudziło.

Brakowało artykułów na inne tematy. Rozczarowanie Oriego zebraniemi narastało. Nic się tutaj nie działo. Prawdziwa walka toczyła się gdzie indziej, efemerycznie. Na przykład w Dworze Podżebraków.

Postukał w gazetę.

- A gdzie Toro? - spytał. - Toro zaliczył kolejną akcję. Słyszałem. W Chnum. On i jego ludzie unieszkodliwili strażników i zastrzelili radnego. Czemu tutaj o tym nie piszą?

- Jack, przecież jasno powiedzieliśmy, jakie jest nasze stanowisko wobec Toro - odparł Curdin. - Był na ten temat felieton w przedostatnim numerze. My nie... My w ten sposób nie działamy.

- Wiem, Jack, Wiem. Wy go krytykujecie. Czepiacie się go. - Prowadzący milczał. - Toro coś robi, walczy, nie czeka tak jak wy. Wy siedzicie z założonymi rękami i mówicie mu, że co za dużo, to niezdrowo.

- To nie tak. Nie krytykuję nikogo, kto walczy z radnymi, milicją czy burmistrznią, ale Toro nic nie zmieni w pojedynkę czy nawet ze swoją małą ekipą...

- Coś jednak zmienia.

- Za mało.

- Ale przynajmniej coś.

Ori szanował Curdina, wiele się dowiedział od niego osobiście i z jego artykułów i nie chciał go do siebie zrażać, ale samozadowolenie prowadzącego zaczęło doprowadzać go do furii. Ten człowiek był ponad dwa razy starszy od niego... „Może to jest po prostu kwestia wieku” - pomyślał Ori. Siedzieli i patrzyli na siebie naburmuszeni, podczas gdy inni wymieniali spojrzenia.

Potem Ori przeprosił za swoje zachowanie.

- Ja się nie gniewam - odparł Curdin. - Możesz być tak niemiły, jak tylko chcesz, ale powiem ci prawdę, Jack. - Byli sami i poprawił się: - Powiem ci prawdę, Ori. Martwisz mnie. Wydaje mi się, że idziesz przemyślaną drogą. Te twoje sztuki teatralne i kukielki...

Pokręcił głową i westchnął.

- Nie jestem temu przeciwny, daję słowo, słyszałem, co się stało w Dworze Podżebraków, i wiesz, wyrazy uznania dla ciebie i twoich kolegów. Ale epatowanie i strzelaniny nie wystarczą. Pozwól, że cię o coś zapytam. Twoi koledzy, Elastyczni Lalkarze, dlaczego wybrali taką nazwę?

- Wiesz dlaczego.

- Nie, nie wiem. Wiem, że to jest hołd, i cieszę się z tego. Ale czemu dla niego, a nie dla Seshecha albo Billy’ego le Ginsena, czemu nie dla Poppy’ego Lutkina?

- Bo by nas aresztowali.

- Nie udawaj idioty, chłopie. Wiesz, o co mi chodzi... Są dziesiątki nazwisk, które mogliście wybrać, żeby coś przekazać, żeby nasikać burmistrzynie do wanny, ale uczciliście akurat jego. Założyciel i wydawca „RR” - a nie „Kuźnicy”, „Walki Robotniczej” albo „Szydła”.

Dlaczego? - Curdin uderzył się gazetą w udo. - Powiem ci dlaczego, chłopie. Może o tym wiesz, może nie, ale to właśnie jego władza się boi. Bo miał rację. Na temat frakcji, na temat wojny, na temat pluralizmu. A Bill i Poppy, i Neckling Verdant, i cała reszta, Toro i jego banda, a nawet sam Jack Pół-Pacierz, dobrzy ludzie, *chaverim*, ale w takich kwestiach ich strategia jest głównie warta. Ben miał rację, a Toro jest na złej drodze.

Arogancja? Zaangażowanie? Pasja? Krytyczna analiza? Wściekły Ori nie miał ochoty rozszyfrowywać tonu głosu Curdina.

- Będziesz teraz szydził z Jacka Pół-Pacierza?

- Ależ nie, źle mnie zrozumiałeś...

- Na litość bogów, za kogo ty się uważasz? Toro coś robi, Curdin. Zmienia rzeczywistość. Ty... ty tylko gadasz, „Rozszalały Renegat” to tylko pusta gadanina. A Benjamin Elast nie żyje. Od dawna. Trup.

- Jesteś niesprawiedliwy - odparował Curdin. - Dopiero co zacząłeś się golić i ty mnie chcesz opowiadać o Benjaminie Elaście?

Powiedział to żartobliwym tonem, chcąc rozładować atmosferę, ale Ori był święcie oburzony.

- Przynajmniej coś zrobiłem! - zawołał. - Przynajmniej coś robię!

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nikt nie znał powodu wojny z Tesh. Redakcja „RR” miała swoje teorie, były też oficjalne wersje z kryjącymi się za nimi machinacjami, ale w środowisku Oriego nikt nie znał konkretnej przyczyny ani nawet nie wiedział, kiedy wojna się zaczęła.

Przed wielu laty dała się odczuć długotrwała recesja. Statki kupieckie z Nowego Crobuzon coraz częściej wracały do portu, donosząc o pirackich, niespodziewanych atakach okrętów nieznanego pochodzenia. Celem tych ataków stały się ekspedycje badawcze i handel Nowego Crobuzon. W swojej długiej historii miasto oscyloowało między autarkią i otwarciem na świat, ale, jak narzekali poturbowani kapitanowie, próby zdobycia nowych rynków jeszcze nigdy nie zostały tak dotkliwie i tak nieoczekiwanie ukarane.

Po wielu stuleciach niepewności i dziwnych stosunków miasto doszło do porozumienia z Wiedźmokracją i jego statki mogły bez przeszkód żeglować przez Cieśninę Ognistej Wody. Istniała zatem droga morska do stepów i wysp, legendarnych miejsc na drugim końcu kontynentu. Statki wracały z długich rejsów i chwaliły się, że były w Maru'ahm. Po latach spędzonych na morzu przywoziły inkrustowane kamieniami szlachetnymi ciastka z miejsc odległych o tysiące mil morskich, z podwójnego miasta krokodyli zwanego Bracia. A potem zaczęły się problemy z piractwem i Nowe Crobuzon powoli sobie uświadomiło, że jest obiektem ataku.

Tajemnicze okręty Tesh, barkentyny i strojne, powiewające kolorowym płótnem kety, których załoga malowała się henną i piłowała sobie zęby, przestały zawijać do portów Nowego Crobuzon. Krążyła pogłoska, że dawno nieużywanymi kanałami tajny i nigdy niewidziany ambasador Tesh przekazał burmistrzynie wypowiedzenie wojny.

Wiadomości o atakach Tesh w Cieśninie Ognistej Wody zajmowały coraz więcej miejsca w gazetach i na rządowych plakatach informacyjnych. Burmistrzynie obiecała odwet i kontratak. Jak dotarło do uszu Oriego, marynarka zintensyfikowała zaciąg, także poprzez „werbunek alkoholowy”.

To wszystko nadal było odległe, abstrakcyjne: bitwy na morzu tysiące mil morskich stąd. Ale wróg eskalował działania. Wojna coraz częściej figurowała w przemówieniach ministrów. Nowe dążenia handlowe miasta nie przynosiły pożądanego rezultatu: rynki eksportowe pozostawały zamknięte, a niepewność na morzach blokowała import egzotycznych artykułów luksusowych. Statki wypływały w rejs i nie wracały. Zabite deskami fabryki nie wznawiały działalności i zamykano kolejne. Tablice na ich bramach obrastały pleśnią, kpiąc sobie z obwieszceń o „przejściowym wstrzymaniu produkcji”. Miasto pogrążyło się w stagnacji, bezsilności i marazmie. Ci, którzy przeżyli wojnę, zaczęli powracać do domu.

Poranieni na ciele i duszy żołnierze, pozostawieni przez władze własnemu losowi, zebrali i opowiadali o swoich przeżyciach w Dog Fenn i Riverskin. Pokryci bliznami, ze zmiażdżonymi kośćmi, porżnięci przez wroga albo przez własnych medyków w krwawym chaosie lazaretu polowego, nosili też ślady dziwniejszych ran, które mogły im zadać tylko wojska Tesh.

Setkom powracających odebrało rozum. W swoim obłąkaniu bełkotali nieznanym, sepleniącym językiem. Wszyscy, rozrzućeni po całym mieście, synchronicznie skandowali te same słowa. Niektórzy mężczyźni mieli galaretowate worki w miejsce oczu, ale nadal widzieli, jak słyszał Ori, i nieustannie płakali, bo we wszystkim dostrzegali śmierć. Ludzie bali się kombatantów jako wyrzutu sumienia. Przed wielu miesiącami Ori trafił na ulicy na następujący obrazek: jakiś mężczyzna perorował do przerażonego tłumu i pokazywał ludziom swoje ramiona, które miały trupioszary kolor.

- Wiecie, co to jest! - krzyczał do nich. - Dokładnie wiecie! Byłem niedaleko wybuchu i widzicie. Konowały chciały mi uciąć ramiona, mówiły, że trzeba je usunąć, ale nie chciały,

żebyście mogli to zobaczyć...

Machał upiornymi kończynami jak wyciętymi z kartonu i milicja przyjechała go uciszyć, zabrała go. Ale Ori widział zgrozę na twarzach gapiów. Czy Tesh rzeczywiście na powrót odkryło zapomnianą tajemnicę bomb kolorowych?

Tak wiele niepewności, szybki upadek morale, strach w mieście. Dwa, trzy lata wcześniej rząd Nowego Crobuzon ogłosił Specjalną Ofensywę. Nakręciło to liczbę ofiar, ale także aktywność gospodarczą. Każdy znał kogoś, kto pojechał na wojnę albo zniknął z portowej karczmy. Stocznie w Smołoujściu, tym satelickim mieście w delcie, budowały pancerniki i okręty podwodne, unikając skutków recesji, a za nimi poszły walcownie i odlewnie. Wojna puściła w ruch ich tryby.

Gildie i związki zawodowe delegalizowano bez podstawy prawnej albo ograniczano ich kompetencje i osłabiano. Dla wielu z tych, którzy przywykli do życia w nędzy, pojawiła się praca, ale trzeba było o nią brutalnie konkurować. Struna Nowego Crobuzon była rozciągnięta i naprężona.

Każda epoka miała swoich ludowych bandytów. Jack Pół-Pacierza w dzieciństwie Oriego, Bridling w Tygodniu Pyłu, Alois i jej towarzysze stulecie wcześniej. W pewnym sensie nawet sam Jabber. Wepchnięci przez okoliczności w szczególną rolę, obalali reguły: tłumy, które pluły na prze-tworzonych, dałyby się pokrajać za Pół-Pacierza. Niektórzy bez wątplenia byli wytworem wyobraźni historii, drobne rzezimieszki, których wpływ stuleci spowił romantyczną aurą. Ale niektórzy byli autentyczni: Ori dałby głowę za Jacka. A teraz na tę listę wpisał się Toro.

Czaszelę Ori spędził z nuevistami. Odebrał dniówkę i poszedł spotkać się z nimi w pubie Dwie Gąsienice przy Barrow Bridge. Z widokiem na nasączone śliną żuków dachy Kinken zabawiali się barowymi gramami i rozmawiali o sztuce. Studenci i uchodźcy z dzielnicy artystycznej zawsze się cieszyli z widoku Oriego, ponieważ był jednym z garstki prawdziwych robotników w ich grupie. Wieczorem Ori, Petron i kilku innych zainscenizowało prowokacyjny happening: przebrani za świnię pomaszzerowali na Pola Salacusa, minęli Zegar i Koguta - lokal, który dawno utracił swój anarchistyczny urok, i teraz uczęszczali do niego parweniusze zgrywający bohemę. Nuewiści chrząkali do pijących i świńskimi głosami wołali: „Ach, nostalgia!”

W pylnik Ori harował jako sztauer, a wieczorem pił w robotniczej knajpie w Skulkford. Pośród dymu i piwnego śmiechu brakowało mu oryginalności Dwóch Gąsienic. Spotkał się wzrokiem z barmanką i rozpoznał ją z jakiegoś nielegalnego spotkania. Podwinęła fartuch, żeby mógł zobaczyć zatknięte w kieszeń egzemplarze „RR”, co miało go zachęcić do zakupu czasopisma. Gniew i rozczarowanie, które go ogarnęły podczas rozmowy z Curdinem, powróciły z całą mocą.

Tak gwałtownie potrząsnął głową, iż na pewno pomyślała sobie, że się pomyliła. Otworzyła szerzej oczy. Biedaczka, nie chciał jej wystraszyć. Przekonał ją, że może z nim bezpiecznie rozmawiać. Zwracał się do niej per Jack.

- Mam tego dosyć - szepnęła. - Mam dosyć tego, że „RR” wciąż tylko gada, jak jest, ale nic nie robi, mam dosyć czekania na zmiany, które nie przychodzą.

Parodią ręcznego slangu wyraził swój pogląd na tę sprawę.

- Czyli, według ciebie, to wszystko nie ma sensu? - spytała.

- Może nie aż tak... - Podniecony zastukał w stół. - Czytam to od miesięcy. Widzisz, milicja coś robi. Nowopiórcy coś robią. A po naszej stronie robią coś tylko takie oszołomy jak Liga Ekscesu albo bandyci tacy jak Toro.

- Chyba nie mówisz tego poważnie, co? - Jack zniżyła głos. - Sądzę, że wiesz, co nas ogranicza...

- Dalijabber, do cholery, Jack, nie wyjeżdżaj mi tutaj z „granicami indywidualnego działania”. Mam tego dosyć. Nie wolałabyś czasami, żeby było ci wszystko jedno? Oczywiście chcesz zmian, wszyscy chcemy zmian, ale skoro wszystko ma pozostać po starym, to wolałbym, żeby mi było wszystko jedno.

W rybnik Ori wysiadł wieczorem na stacji Saltpetre. W kłębach smogu i zmroku wędrował ceglanymi zaułkami Griss Fell, mijając gospodynie, które zeszkrobywały ze swoich ganków fabryczny brud i zawijasy graffiti albo urządzały sobie pogaduszki przez okno z sąsiadkami z naprzeciwka. W budynku dawnej stajni potrzebujący ustawiali się w kolejce po miskę zupy. Nominalnie tą akcją charytatywną zarządzało Kinken i porządku pilnował tercet kheprich. Naśladując swoje opiekuńcze boginie, Mocne Siostry, jeden khepri był uzbrojony w kuszę i skałkówkę, drugi we włócznię i kuszarpacz, a trzeci w nakręcany miotacz żądęł.

Khepri rozciągały swoje smukłe i energiczne kobiece ciała. Mówiły do siebie bezdźwięcznie, poruszając czułkami i głowoskarabeuszami, fosforyzującymi, wysokimi na sześćdziesiąt centymetrów chrząszczami na ich szyjach. Chemiczne esencje, które emitowały, również pełniły funkcję komunikacyjną. Odwróciły się do Oriego, wielokrotnie odbitego w ich fasetkowych oczach, rozpoznały go i skierowały do jednego z kotłów. Zaczął nalewać zupę cierpliwie czekającym włóczęgom.

Garkuchnię uruchomiono za pieniądze Kinken, ale prowadzili ją miejscowi. Kiedy burmistrzynie powiedziała, że miasta nie stać na opiekę nad potrzebującymi, powstały alternatywne struktury. Różne środowiska tworzyły programy społeczne, aby zawstydzić władców Nowego Crobuzon albo z czystej konieczności. Programy te były źle zorganizowane, niewspółmierne do potrzeb, a do tego mnożyły się jak rywalizujące ze sobą sekty.

W Spit Hearth prowadziły je kościoły: opieka nad ludźmi starszymi, ubogimi i sierotami znajdowała się w rękach hierofantów, mnichów i zakonnic. Swoimi zastępczymi szpitalami i stołówkami heretyckie i fanatyczne sekty budowały zaufanie, którego nie zyskałoby im tysiąc lat kaznodziejstwa. Widząc to, partia Nowe Pióra stworzyła przytułek tylko dla ludzi w Sunter, co stanowiło dla partii uzupełnienie walk ulicznych. Insurekcjoniści, którzy zostaliby natychmiast aresztowani, gdyby się ujawnili, nie mogli odpowiedzieć tym samym.

Zamiast tego poszli tropem pieniędzy z Kinken - i dowiedzieli się, że pochodzą od Francine 2, przestępczej królowej kheprich. Zdarzało się, że tego rodzaju fundacje subsydiowali potentaci nielegalnego przemysłu: krążyły słuchy, że w Mieście Kości pan Motley kupuje sympatię mieszkańców projektami pomocowymi. Ale niezależnie od tego, skąd pochodziły pieniądze, przytułek w Griss Fell był prowadzony przez miejscowych i Plenum dyskretnie dbało o to, aby wszyscy wiedzieli, że bierze w tym udział.

Kilku plenarystów z różnych frakcji pracowało ramię w ramię z niezrzeszonymi, toteż atmosfera była napięta. Dyskusje podczas przerwy na herbatę działacze prowadzili szeptem.

Ori nalewał rosół do misek. Rozpoznawał wiele twarzy i znał nazwiska niektórych wyrzutków społeczeństwa. Wielu z nich było prze-tworzonych. Kobieta, której za karę usunięto oczy - jej twarz była gładką taflą skóry od nosa aż po linię włosów - przeszła obok, trzymając się podartego płaszcza swego towarzysza. W większości ludzie, ale także przedstawiciele innych ras,

którym się nie wiodło. Stary człowiek-kaktus ze zwiędłymi i kruchymi kolcami. Kobiety i mężczyźni pokryci bliznami. Niektórzy stracili rozum, śpiewali hymny, gadali od rzeczy albo zadawali pozbawione sensu pytania.

- Jesteś podwójny? - pytał starzec z kędzierzawymi włosami. Można się było dosłuchać resztek jakiegoś niezidentyfikowanego akcentu. - Jesteś podwójny? Jesteś nadliczbowy? Jesteś zakazany? Jesteś podwójny, synu?

- Ori! Przyszedłeś odpokutować za grzechy?

Ladia była pracownikiem pełnoetatowym. Żartowała ze wszystkich wolontariuszy, że przychodzą tutaj tylko po to, aby ulżyć swemu sumieniu. Nie była głupia - wiedziała, kto do jakiego ugrupowania należy. Kiedy Ori zrobił sobie przerwę, przyszła do niego i dołączyła mu alkoholu do herbaty. Ori wiedział, że stołowe obyczaje głodnych zagłuszają ich rozmowę.

- Jesteście jak Toro - powiedział do niej. - Wy jedni coś robicie, zmieniacie rzeczywistość tu i teraz.

- Wiedziałam! Wiedziałam, że przychodzisz tutaj, bo czujesz się winny - odparła, obracając sprawę w żart. - Spełniasz swój obowiązek.

Dotrwał do końca zmiany i zachował cierpliwość. Z niektórymi potrzebującymi próbował zamienić parę słów. Niektórzy uśmiechali się i odpowiadali, niektórzy owiewali go alkoholowym albo herbacianym oddechem.

- Jesteś nadliczbowy? Jesteś zakazany? Jesteś podwójny? - spytał go natarczywy starzec. Ori zabrał mu miskę. - Tak, jesteś podwójny. Jesteś podwójny, hultaju.

Mężczyzna uśmiechnął się jak święty, pokazał na goły brzuch Oriego tuż nad spodniami, z których wyszła mu koszula, i wcisnął za nie złożony egzemplarz „RR”.

Ori włożył koszulę do spodni, bez pośpiechu, który mógłby zwrócić na niego uwagę. Umył miski pod pompą, podczas gdy starzec rechotał, ciągnął się za brodę i powtarzał mu za plecami, że jest „podwójny”. Ori powoli obszedł salę, rozdając ostatnie kawałki chleba, i wrócił do roześmianego starca.

- Tak, jestem - powiedział półgłosem, konwersacyjnym tonem. - Jestem podwójny, ale byłbym ci wdzięczny, gdybyś tak głośno o tym nie trąbił, chłopie. Wolałbym, żeby nie wszyscy o tym wiedzieli, kapujesz? Zachowaj to w tajemnicy, co?

- Jasne. - Zachowanie starca uległo nagłej zmianie. Wyszedł z niego spryt szaleńca. Zniżył głos. - Jasne, da się zrobić, co nie? Dobrzy ludzie, ci podwójni. Wy podwójni. Tak samo jak inni, nadliczbowi, wolni i zakazani. - Partia Nadliczbowych, Wolny Związek, Liga Zakazanych, nie tylko podwójni! Starzec wymienił frakcje Plenum. - Dobrzy ludzie, ale tylko kłapią zębami - powiedział, otwierając i zamykając usta. - To wszystko jest tylko kłapanie zębami. - Ori uśmiechnął się i skinął głową. - Lubią gadać. I wiesz, nie ma w tym nic złego, gadanie jest dobre. Nie zawsze jest tylko... kłapaniem zębami.

- Kto to jest ten stary? - spytał Ori Ladii.

- Spiral Jacobs - wyjaśniła. - Biedny stary obłąkaniec. Znalazł kogoś do rozmowy! Uznał, że cię lubi? Uznał cię za zakazanego, wolnego, podwójnego? - Ori przyjrzał się jej bacznie. Nie wiedział, co ma o tym sądzić. Czy w jej słowach jest jakiś ukryty sens? - Zaczął ci mówić o ramionach i językach? Ramiona i języki, Spiral! - krzyknęła. Pomachała ramionami i wystawiła język, a starzec ze skrzeczącym śmiechem zrobił to samo. - Jest za tymi pierwszymi, a przeciwko temu drugiemu, o ile dobrze sobie przypominam - powiedziała do Oriego. - Recytował ci już

swoją rymowankę? „Za dużo pyłowania, za mało działania”.

Kiedy Ori wychodził tego wieczoru do domu, w drzwiach spotkał innego ochotnika, człowieka o dobrym sercu, ale trochę tępego.

- Widziałem, że rozmawiałeś z Ladią o Spiralu Jacobsie. - Uśmiechnął się i szepnął: - Słyszałeś, co o nim mówią? Co wcześniej robił? Był z Jackiem Pół-Pacierza! Przysięgam na Jabbera. Był w bandzie Jacka, znał Człowieka z Blizną i się wywinął.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Następnego wieczoru Spiral Jacobsa nie było w przytułku i dzień później też nie. Zaskoczenie i radość, z jaką Ladia witała Oriego, zaczęła przygasać. Zauważył, że Ladia go obserwuje, aby sprawdzić, czy nie handluje narkotykami albo kontrabandą, ale ciężko pracował i mogła się tylko dziwić.

W czasie, kiedy Ori zamiatał podłogę przytułku, usłyszał:

- Jesteś zakazany? Jesteś podwójny? - Spiral Jacobs zobaczył go, uśmiechnął się i powiedział: - Dobry chłopak. Jesteś, czyż nie, jesteś... - Zamrugnął powiekami, uniósł do góry jeden palec i puścił do Oriego oko, a potem nachylił się i szepnął: - Podwójny.

„Jedna próba” - pomyślał Ori. Zmusił się do sceptycyzmu. Jedno małe ustępstwo dla tej ofiary. Dopiero kiedy całe jedzenie zostało wydane i pierwsze bezdomne rodziny zaczęły się schodzić z żebractwa lub złodziejstwa, żeby odpocząć, Ori skierował niespieszne kroki w stronę miejsca, w którym Spiral założył obóz.

- Napijemy się kiedyś razem? - zagaił. - Wydaje mi się, że mamy parę wspólnych zainteresowań. Moglibyśmy pogadać o różnych rzeczach. O podwójnych. O naszym przyjacielu Jacku.

- Nasz przyjaciel, no. Jack.

Starzec położył się na kocu. Cierpliwość Oriego zaczęła się wyczerpywać. Spiral Jacobs wygrzebał skądś kartkę papieru. W skrzyżowanych zagięciach zgromadził się brud. Z dziecinnym uśmiechem Spiral pokazał kartkę Oriemu.

W wieczornym chłodzie Ori maszerował do domu. Szedł za trasą kolejki, koło torów wydzwigniętych nad dachy na ceglanych przęsłach, łukach podobnych do węży morskich. Przez brudne okna przejeżdżających pociągów sączyło się słabe światło i kładło konwulsyjne cienie na wielopłaszczyznowym krajobrazie dachów, po czym zza kominów znowu wypełzała ciemność.

Ori szedł szybko, ze spuszczoną głową i rękami w kieszeniach, kiedy mijał milicję. Czuł na sobie spojrzenia funkcjonariuszy. Trudno było ich zauważyć, ponieważ mieli wszytą w mundury przędzę trowów, która pochłaniała światło i wydzielala ciemność. W nocy najwidoczniejsza była u nich broń, dobrana - zdawało się - wedle indywidualnego gustu, w półmroku widziało się bowiem pałki, żądła, sztylety, rewolwery.

Sięgnął pamięcią dwanaście lat wstecz, do czasów sprzed recesji, do czasów Wojny Konstruktyw, kiedy po raz pierwszy od stulecia milicyjna polityka działania w ukryciu - siatki szpiegów, informatorów, funkcjonariuszy w cywilu i zdecentralizowany strach - została uznana za niewystarczającą, toteż ujawnili się i włożyli mundury. Ori nie pamiętał, jakie były korzenie kryzysu. Razem z rozkrzyczaną grupką innych dzieci włąził na dachy Petty Coil i Brock Marsh na północnym brzegu Smoły i obserwował szturm milicji na wysypiska w Griss Twist.

Z dziecięcą żądzą zniszczenia przyłączyli się do oczyszczania miasta z konstruktyw, panicznego ścigania napędzanych mechanizmami zegarowymi lub silnikami parowymi totumfackich, których nagle uznano za wrogów. Rozszalałe tłumy przypierały do muru i niszczyły spawane albo lutowane maszyny. Większość konstruktyw mogła tylko stać cierpliwie, kiedy je rozmontowywano, wdeptywano szkło w ziemię, wrywano kable.

Nieliczne stawiały opór. Przyczyna wojny? Konstrukty zostały zainfekowane wirusową inteligencją, programami, których nie powinno być. Kółka zębate ich maszyn analitycznych obracały się heretyckimi kombinacjami, produkując zimną, maszynową świadomość. Myślące

urządzenia, dla których priorytetem było przetrwanie, podniosły swoje metalowe, drewniane i rurowe ręce na swoich niegdyś właścicieli. Ori nigdy tego nie widział.

Milicja zrównała z ziemią śmieciową dżunglę Griss Twist. Bombardowali dzielnicę pociskami, oczyszczali ogniem. W końcu wkroczyły ekipy burzące, z rozkazem zwalcowania roztopionego i spopielonego krajobrazu. Podobno istniała tam swego rodzaju fabryka zgubnych programów i zniszczono ją wraz z monstrualnym umysłem, który za nią stał. Był to jakiś demon, zły duch czy klika myślących konstruktów oraz ich zwolenników z krwi i kości.

W mieście wciąż były konstrukty i maszyny różnicowe, ale w ograniczonej liczbie i rygorystycznie koncesjonowane. Częściowo zastąpiła je gospodarka golemów, dzięki czemu kilku taumaturgów znacznie się wzbogaciło. Hałdy Griss Twist wciąż były białym jak kość i czarnym jak węgiel rumowiskiem. Obowiązywał tam zakaz wstępu, ale crobuzońskie dzieci wspinały się tam albo wczołgiwały, żeby zabrać różne rzeczy na pamiątkę, a potem opowiadać sobie nawzajem, że hałdy są nawiedzane przez duchy maszyn.

Za najistotniejszy skutek kryzysu Ori uważał jednak to, że milicja do tej pory działała w sposób jawny. Zaledwie kilka miesięcy po wojnie z konstruktami zaczęły się zamieszki spowodowane recesją i tylko nieliczni funkcjonariusze milicji powrócili do praktyki noszenia cywilnego ubioru.

Ori nie umiał powiedzieć, czy nowe porządki są lepsze, czy gorsze. Wśród rewolucjonistów zdania były podzielone: jedni argumentowali, że wyjście z ukrycia jest oznaką siły milicji, inni - że słabości.

Kawałek papieru, który Spiral Jacobs pokazał Oriemu, był heliotypem zrobionym przed wielu laty: dwaj mężczyźni stali na dachu w pobliżu Dworca Perdido. Kiepska odbitka, wyblakła, wytarta, prześwietlona, postacie w aureolach ruchu. Ale rozpoznawalne. Spiral Jacobs z białą brodą wyglądał na jeszcze starszego niż teraz, z tym samym uśmiechem obłąkańca. Obok niego człowiek, który obracał głową i wyciągał do kamery rozpostarte palce lewej ręki. Prawe ramię, wyprostowane, było brutalnym, potężnym szponem modliszki.

Następnego dnia wczesnym rankiem, kiedy wyprowadzano noclegowiczów, Ori czekał przy drzwiach przytułku.

- Spiral - powiedział, kiedy starzec wyszedł, podrapał się, owinął kocem i zamrugał powiekami oślepiony światłem dziennym.

- Podwójny! Jesteś podwójny!

Cała impreza kosztowała Oriego dniówkę. Musiał zapłacić za taksówkę, żeby zawieść niedołęznego starca do Flyside, gdzie nie znał nikogo. Spiral gadał do siebie. Ori kupił śniadanie w kafeterii przy placu położonym w cieniu wieży milicyjnej we Flyside. Nadziemne dziesiątki metrów torów w górze łączyły wieżę ze Szpikulcem w centrum miasta. Spiral Jacobs długo jadał bez słowa.

- Za dużo pytlowania, za mało działania, prawda, Spiral? Za dużo tego... - Ori wystawił język - ...a za mało tego.

Zacisnął pięść.

- Trzeba walczyć, nie gadać - odparł bezdomny przyjaznym tonem i zjadł grillowanego pomidora.

- Tak mówił Jack?

Spiral Jacobs przestał jeść i spojrzał na niego spode łba.

- Jack? Ja ci dam Jacka. Co chcesz wiedzieć o Jacku?

Akcent, ten niewyraźny ślad czegoś zagranicznego, przez moment zabrzmiał głośniejsze.

- Jack nie pytał, tylko działał, co? - spytał Ori. - Czasem człowiek chce, żeby ktoś przestał w kółko dyskutować i coś zrobić, racja?

- Jack był dzielnym obrońcą sprawiedliwości - powiedział starzec. Uśmiechnął się bardzo smutno i całe szaleństwo na chwilę zniknęło z jego twarzy. - On był najlepszy. Kocham go i jego dzieci.

„Jego dzieci?”

- Jego dzieci?

- Ci, co przyszli po nim. Niech żyje.

- Tak. Niech żyje Toro.

- Toro?

W oczach Spirala Jacobsa Ori zobaczył prawdziwe obłąkanie, ciemne morze samotności, zimna, alkoholu i narkotyków. Ale w tym morzu wciąż pływały myśli, przebiegłe jak barakuda, drgania na twarzy bezdomnego odzwierciedlały ich ruchy. „Sonduje mnie” - pomyślał Ori. „Poddaje mnie próbie”.

- Gdybym miał parę lat więcej, byłbym człowiekiem Jacka - powiedział Ori. - On jest szefem, zawsze był. Poszedłbym za nim. Byłem przy tym, jak umarł.

- Jack nie umarł, synu.

- Widziałem na własne oczy, jak umierał.

- Tak, w tym sensie, o jaki ci chodzi, może umarł. Ale wiesz, tacy jak Jack nie umierają.

- W takim razie gdzie teraz jest?

- Myślę, że patrzy z góry na was podwójnych i uśmiecha się. Ale są też inni, nasi przyjaciele, moi kumple, i on myśli „Niech żyje!”.

Starzec zaśmiał się głupkowato.

- Twoi kumple?

- Tak, moi kumple. Z wielkimi planami. Wszystko wiem. Przyjacielem Jacka jest się na zawsze, przyjacielem Jacka i całej jego rodziny.

- Kim są twoi kumple? - dociekał Ori, ale Jacobs milczał uparcie.

Skończył jeść, zgarnął palcami resztki jajka i wessał je. Wydawało się, że zapomniał o Orim albo przestał zwracać na niego uwagę. Usiadł oparty i odpoczywał, a potem, nie patrząc na swego towarzysza, wstał i zagłębił się w oparach szarego dnia.

Ori śledził go, nieszczególnie się ukrywając, po prostu szedł kilka kroków za nim aż do samego przytułku. Spirala Jacobs nie wybrał najkrótszej trasy. Przez pozostałości targowiska na Shadrach Street pośród wrzawy Aspic Hole, gdzie kilku masarzy i sprzedawców owoców miało swoje stragany.

Spirala Jacobs rozmawiał z wieloma mijanymi osobami. Dano mu do ręki trochę jedzenia i kilka monet.

Ori obserwował społeczność wagabundów. Mężczyźni i kobiety o szarych twarzach, w ubraniach podobnych do warstw łuszczącej się skóry, pozdrawiali Jacobsa albo przeklinali go z pasją. W zwęglonym cieniu strawionego przez pożar biura Jacobs przez ponad godzinę pił z tamtejszymi włóczęgami, a Ori wyteżał słuch, aby zrozumieć, co mówią.

Grupka dziewczyn i chłopców, samych chuliganów - między innymi skacząca jak żaba

vodyanoi, a nawet młody miejski garuda - przyszła porzucać kamieniami. Ori chciał interweniować, ale lumpy zaczęły krzyczeć i wymachiwać rękami z niemal rytualną agresją i małolaty szybko sobie poszły.

W końcu Spiral Jacobs pożegnał się z kolegami i ruszył na wschód w kierunku Wielkiej Smoły, w stronę ceglanych dołów i przytułku w Griss Fell, który był dla niego domem. Ori widział, jak starzec się potyka, jak grzebie w kupach śmieci na skrzyżowaniach. Zarejestrował, co Jacobs wygrzebał: zaskakująco niepotrzebne odpadki. Ori próbował zgłębić znaczenie każdej sztuki, jakby Spiral Jacobs był wiadomością z innych czasów, którą trzeba rozszyfrować, żywym tekstem.

Żyłasta mała postać przedzierała się przez crobuzoński ruch uliczny, mijała furmanki wyładowane warzywami z pól i plantacji wokół miasta i ze Spirali Zbożowej. Po hamakowych mostach przekraczał kanały, którymi barki transportowały antracyt. Przeciskał się przez popołudniowy tłum dzieci, targujących się głośno zakupowiczów, żebraków, nielicznych golemów, sklepikarzy zmywających ze ścian spiralne wzory namalowane przez grafficiarzy i radykalne hasła. Szedł między zawilgłymi murami, które uciekały do góry i zdawały się rozsypywać, jakby cegły rozplływały się w powietrzu.

Kiedy po długim czasie niebo zalały ciemne kolory, dotarli do stacji Trauka. Tory kolejki szły górą pod kątem, który ignorował szeregową zabudowę na dole. Spiral Jacobs odwrócił się do Oriego.

- Jak go poznałeś? - spytał Ori.

- Jacka? - Jacobs zadyndał nogami. Siedzieli na brzegu Murkside, z udami pod barierkami. Woda w rzece rozbijała się o jakąś nasmołowaną konstrukcję, nieoświetlony dom vodyanoi. Jacobs mówił z dziwnym zaśpiewem i Ori pomyślał, że może słucha melorecytacji wywodzącej się z gawędziarskiej tradycji ojczyzny starca. - Tak, Jack Modliszka, jego widok cieszył serce. Spiknął się z nocnymi myśliwymi. To on powstał, żeby uratować miasto przed chorobą sennych koszmarów, która zaatakowała przed wielu laty, na długo zanim się urodził. Przechodził przez milicję jak nóż przez masło. - Kantem dłoni przeciął powietrze. - Dawałem mu to, czego potrzebował. Byłem informacjonerem.

Ori oglądał helio w świetle latarń gazowych. Przebiegł palcem po szponie Jacka Pół-Pacierza.

- A co z innymi?

- Obserwuję wszystkie dzieci Jacka. Toro ma najlepsze pomysły. Gdybyś znał jego plany... - uśmiechnął się Jacobs.

- Powiedz mi.

- Nie mogę.

- Powiedz.

- Tylko sam Toro może ci powiedzieć.

Wymienili informacje - miejsce, dzień. Ori złożył i schował zdjęcie.

W crobuzońskiej prasie było pełno historii na temat Toro. Fantastyczne ryciny

pokazywały monstrialną, umięśnioną istotę z głową byka; artykuły opisywały odgłosy podobne do ryku rozwścieczonego buhaja, które przetaczały się nad Mafaton i Crow, nad domami bogatych i nad budynkami rządowymi.

Wyczyny Toro były powszechnie znane i dziennikarze chętnie je przytaczali. Włamano się do bankowych sejfów, zamalowano je hasłami i zabrano tysiące gwinei, z czego setki rozdano dzieciom w Badside. Ori przeczytał w „Kurierze”:

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności ta sprawa, RABUNEK MILIONÓW W BADSIDE, nie miała tak krwawego zakończenia jak SPRAWA TOCZĄCEGO SIĘ SEKRETARZA czy SPRAWA WDOUY TOPIELICY. Te wcześniejsze przestępstwa powinny przypominać ludności o tym, że bandyta zwany Toro jest tchórzem i mordercą, który pewną dozę sympatii społeczeństwa zawdzięcza wyłącznie bezczelności swoich napadów.

Wiadomości docierały do Oriego krętymi i tajnymi kanałami crobuzońskimi. Trzy razy czekał na rogu wyznaczonym przez Spiral Jacobsa, w Lichword, pod drogowskazami do Crawfoot i Tooth Way, pod starym muzeum figur woskowych. Stał na słońcu oparty o tynk i czekał, dzieci ulicy próbowały mu sprzedać orzechy i zapalki w tutkach z kolorowego papieru.

Każde czekanie oznaczało utratę dniówki i spadek zaufania ludzi werbujących do pracy w Gross Coil. Musiał zostawić odstęp między tymi dniami, bo inaczej chodziłby głodny albo skończyłaby się cierpliwość jego gospodyni. Znowu zaczął chodzić na spotkania czytelników „Rozszalałego Renegata”, aby posiedzieć z innymi Jackami i porozmawiać o panoszącej się w mieście niesprawiedliwości. Curdin ucieszył się z jego powrotu. Ori był znacznie bardziej stonowany w swojej krytyce. Delektował się swoją tajemnicą. „Tak naprawdę nie jestem już jednym z was” - pomyślał, czując się jak szpieg Toro.

Na rogu ulicy pozdrowiła go dziewczynka w podartej sukience, najwyżej dziesięcioletnia. Jej szczerbaty uśmiech ujął go za serce. Wyciągnęła ku niemu tutkę z orzechami, a kiedy pokręcił głową, powiedziała:

- Tamten pan już zapłacił. Kazał je panu dać.

Wiadomość, chociaż tłusta od pieczonych orzechów, była czytelna. „Widziałem, jak czekałeś. Przynies żarcie i zastawę ze stołu bogatego człowieka”. U dołu widniało małe koło z rogami, pieczęć Toro.

Było łatwiej, niż sądził. Obserwował dom w East Gidd. W końcu zapłacił jakiemuś chłopcu za wybicie okien od frontu, a sam wskoczył do ogrodu, sforsował drzwi kuchenne i porwał ze stołu noże, widelce i kurczaka. Przyszły psy, ale Ori był młody i już wiele razy okazał się od nich szybszy.

Nikt nie zamierzał jeść tłustej masy, która marynowała się całą noc w jego worku. To był egzamin. Następnego dnia w zwyczajowym miejscu położył worek na ziemi, a kiedy odchodził, nie zabrał go ze sobą. Serce łomotało mu w piersiach.

„Mmm, dobre” - przeczytał na kartce wyjętej z kolejnej tutki. „Teraz potrzebujemy pieniędzy przyjacielu, 40 nobili”.

Ori wykonywał zleczone mu zadania. Robił to, co mu kazano. Nie był złodziejem, ale znalazł złodziei. Pomagali mu albo radzili, jak ma zabrać się do rzeczy. Z początku te anarchistyczne przygody - bieganie ciemnymi uliczkami z torebkami w rękach, ścigany wrzaskami elegancko odzianych pań - nie sprawiały mu przyjemności.

Uważał, że bycie pospolitym rzezimieszkiem jest poniżej jego godności, ale wiedział, że bardziej wyrafinowane poczynania ściągnęłyby mu na kark milicję. A tak, kiedy wędrował o zmroku zatłoczonymi ulicami, uliczne gangi zgodnie z umową wypełzały w ślad za nim ze swoich nor i wymachujący pałkami funkcjonariusze nie zapuszczali się głęboko do jaskini lwa.

Przy pierwszych dwóch razach z trudem powstrzymywał drżenie. Czuł się jak nakręcony, nie mógł uwierzyć, że robi coś takiego, że robi coś rzeczywistego. Za trzecim razem i później nie czuł już strachu.

Z ukradzionych pieniędzy nigdy nie wziął dla siebie ani stivera. Wszystko przekazywał swemu niewidzialnemu łącznikowi, w ratach. Stracił rachubę. Rabunki stały się rutynowe. Ale najwidoczniej osiągnął sumę czterdziestu nobili, bo pojawiło się nowe zlecenie. Tym razem w postaci żłobkowanej woskowej rurki, którą musiał zanieść do budki voxiteratora.

Igła wydobyla z wosku głos, otulony trzaskami: „Dobra robota, chłopcze. Ale teraz coś poważniejszego: przynieś nam milicyjny znaczek”.

Ze Spiral Jacobsem spotykał się co tydzień. Opracowali język aluzji i omówień. Ori unikał kategorycznych stwierdzeń, a Spiral Jacobs był wierny swojej rozwichrzonej logice. Ori zauważył, że szaleństwo starca jest co najmniej w części sfingowane.

- Twoi kumple każą mi robić różne rzeczy - powiedział Ori. - Niezbyt gościnne typy, co?

- Tak, ale jak już się z tobą zaprzyjaźnią, to na całe życie. Jestem w tym przytułku już bardzo długo i czekałem, czy znajdę kogoś, kogo będę im mógł przedstawić.

W ten ostrożny i zakamuflowany sposób Ori i Spiral Jacobs dyskutowali o polityce. Na spotkaniach chaverim „RR” Ori był milczący i czujny. Ich liczba to spadała, to znowu rosła. Z kobiet zatrudnionych w fabryce z Skulkford przychodziła już tylko jedna. Coraz częściej zabierała głos i była coraz lepiej poinformowana.

Słuchał tego z pewną nostalgią i zadawał sobie pytanie: „Jak ja to zrobię?”.

Poszedł do Dog Fenn. Milicję trudniej tam było znaleźć, ale za to miał lepsze możliwości ukrycia się. Potrzebne były dwie próby, staranne planowanie i sporo szekli na łapówki.

Noce w ciemnościach pod przęsłami mostu Barley. Dwuosobowy patrol spotkał zdyszanego chłopaka, który powiedział im, że ktoś wpadł do rzeki, a jego koledzy narobili krzyku. Młoda prostytutka wołała w czarnej wodzie o pomoc, a górą świszczwały pociągi. Miotała się w autentycznym strachu (nie umiała pływać, ale podtrzymywała ją od dołu dwójka małych vodyanoi, które bełtały wodę swoim ekwiwalentem śmiechu).

Pierwszej nocy milicjanci stanęli na brzegu i oświetlili latarkami rozkolebaną kobietę, a dzieci wrzeszczały, że zaraz się utopi. Funkcjonariusze krzyknęli do niej, żeby się trzymała, i poszli po posiłki. Ori wyszedł z ukrycia, wyciągnął niezbyt zachwyconą prostytutkę z wody i kazał wszystkim opuścić miejsce zdarzenia.

Drugiej nocy jeden z funkcjonariuszy zostawił kurtkę i buty swojemu koledze i wszedł do zimnej wody. Vodyanoi dali nura, skutkiem czego kobieta spanikowała i zaczęła tonąć. Chaos w wodzie nie był udawany. Wrzeszczące dzieci nagabywały drugiego milicjanta, żeby Pomógł, popychały go, aż w końcu ryknął na nie i zamachnął się pałąką, ale było już za późno. Przeszukały ubranie jego kolegi, mimo że trzymał je w ręku, i opróżniły kieszenie.

Ori zostawił znaczek w starym bucie na rogu Toro. Kiedy wrócił tam dwa dni później, ktoś na niego czekał.

Starobark był człowiekiem-kaktusem, chudym i niskim jak na swoją rasę, niższym od Oriego. Szli przez targ mięsny. Ori zobaczył, że ceny nadal rosną.

- Nie wiem, kto cię skierował w naszą stronę i nie będę o to pytał - powiedział Starobark.
- Gdzie byłeś do tej pory? Z kim się zadawałeś?

- „Podwójne R” - odparł Ori i Starobark skinął głową.

- No tak, nie powiem o nich złego słowa, ale musisz się zdecydować, chłopcze. - Skierował ku Oriemu twarz, którą lata działania słońca prawie całkowicie wyprały z zielonego koloru. Ori czuł się przy nim bardzo młody. - U naszego przyjaciela jest zupełnie inaczej. - Podrapał się w nos, a rozpostarty pierwszy i ostatni palec utworzyły znak rogów. - Mam w tyłku, co by powiedzieli Elast czy ktoś z jego bandy. Możesz się pożegnać z filozofowaniem. Nie jesteśmy zainteresowani teorią wartości jako pracy, diagramami tendencji koniunkturalnych i innymi tego typu bzdurami. „Podwójne R” produkuje tylko kolejne koncepcje. Nie obchodzi mnie, czy umieją wyklądać jak na uniwersytecie. - Zatrzymali się pośród much, ciepłego zapachu mięsa i okrzyków sprzedawców. - Mnie interesuje, co potrafisz zrobić, stary. Co możesz dla nas zrobić? Co możesz zrobić dla naszego przyjaciela?

Zrobili z niego gońca. Musiał pokazać swoją wartość, zabierając paczki albo listy, które zostawiał dla niego Starobark, transportując je przez miasto bez sprawdzania, co to jest, dostarczając je ludziom, którzy patrzyli na niego nieufnie i odprowadzali go przed otworzeniem przesyłek.

Pił w Dwóch Gąsienicach, pielęgnując przyjaźń z nuevistami. Chodził na dyskusje „RR”. Tajemnice historii: „Jabber: święty czy oszust?”; „Szef Żelaznej Rady: prawda ukryta za stereotypem”. Energiczna młoda szwaczka stała się politycznym autorytetem. Ori czuł się tak, jakby obserwował wszystko przez okno.

W pierwszym tygodniu tathtisa, po niespodziewanym ochłodzeniu, Starobark zatrudnił go w roli czujki. Dopiero w ostatniej chwili powiedziano mu, na czym będzie polegało jego zadanie, i był bardzo przejęty.

Znajdowali się w Mieście Kości. Patrzyli, jak wieczór okłada tam sinymi cieniami sylwetki Żebra, Prakości, którym dzielnica zawdzięczała swoją nazwę, a wyrastały one na wysokość ponad sześćdziesięciu metrów, popękane, pożółkłe, butwiejące w geologicznym tempie. Okoliczne domy wyglądały przy nich jak zabawki.

Król tamtejszego półświatka Motley oczekiwał na przesyłkę. Ori nie miał pojęcia, w którym miejscu ludzie Toro ją przechwycają. Drżał z napięcia. Patrzył i patrzył, ale milicja się nie pokazała. Jego spojrzenie sięgało pustego obszaru pod Żebami, parku miejskiego, w którym akrobaci i sprzedawcy rycin liczyli całodniowy urobek, nie zważając na monstualną klatkę piersiową w górze.

Ori uważał, chociaż nie było na co uważać, i żałował, że nie ma pistoletu. Banda młodych

ludzi otaksowała go wzrokiem i postanowiła darować go sobie. Nikt nie okazywał mu zainteresowania. Gwizdek pozostał w jego zaciśniętej dłoni. Ori nie wiedział nawet, że akcja się zaczęła, kiedy Starobark poklepał go od tyłu po ramieniu - Ori szarpnął się gwałtownie - i powiedział:

- Do domu, chłopcze. Robota skończona.
To było wszystko.

Ori nie umiał powiedzieć, w którym momencie przyjęto go do organizacji. Starobark zaczął przedstawiać go innym i wciągać w prowadzone półgłosem dyskusje.

W knajpach, oklejonych papą budach i labiryntach Lichford Ori omawiał taktykę z podwładnymi Toro. Był to dla niego okres próbny. Czuł się nieswojo, kiedy jego nowi koledzy kpili z Plenum - nazywali je „erzaczem władzy dla maluczkich” - albo z podwójnych. Nadal chodził na podziemne spotkania tych ostatnich, ale inaczej niż parę miesięcy wcześniej natychmiast widział skutki swoich nowych działań. Pisano o nich w gazetach. Ori dowiedział się z prasy, że wziął udział w RABUNKU W MIEŚCIE KOŚCI.

Za każdą akcję mu płacono. Niewiele, tyle, żeby mu zrekompensować utraconą dniówkę, a potem trochę więcej. W Dwóch Gąsienicach i Dworze Podżebraków hojnie wszystkim stawał i nawiści pili jego zdrowie. Ogarniała go nostalgia.

W Lichford miał nowych przyjaciół - Starobarka, Ulliamę, Ruby'ego, Enocha, Kita. Banda Toro działała z rozmachem. Ich życie było inne, bogatsze i ciekawsze, ponieważ toczyło się w nieustannym niebezpieczeństwie.

„Jeśli teraz mnie złapią, to nie wsadzą mnie do więzienia, tylko co najmniej prze-tworzą” - pomyślał Ori. - „A najprawdopodobniej czeka mnie czapa”.

W Gross Coil prawie w każdym tygodniu strajkowano. Niespokojnie było w Zakolu Smogu. Nowopiórcy zaatakowali kheprich w getcie w Creekside. Milicja jeździła do Dog Fenn, Riverskin czy Howl Barrow i zgarniała związkowców, drobnych złodziejasków i nuevistów. Najwybitniejszy przedstawiciel poezji KapKap został pobity na śmierć podczas jednego z takich najazdów. Jego pogrzeb przerodził się w małe zamieszki. Ori wziął w nim udział i rzucał kamieniami z innymi żałobnikami.

Miał takie poczucie, jakby nareszcie przebudził się ze snu. Jego miasto było halucynacją. Mógł wbić zęby w powietrze, wycisnąć z niego napięcie. Codziennie mijał pikiety, skandował razem z nimi.

- Sprawy nabierają impetu - zachwycił się Starobark. - Kiedy to zrobimy... kiedy nasz przyjaciel nareszcie się przebije i... spotka, wiecie z kim...

Głowy się obróciły, Ori zobaczył rzucane w jego stronę spojrzenia. Nie mieli pewności, czy mogą przy nim otwarcie rozmawiać. Ale nie potrafili milczeć. Był ostrożny, nie pozwolił sobie zapytać: „Z kim?”, „Kto to jest... wiecie kto?”.

Ale Starobark patrzył na stary słup ogłoszeniowy oklejony wieloma warstwami plakatów. Z odbitego na powielaczu heliotypu spoglądała znajoma twarz. Starobark miał podczas mówienia skierowane na nią oczy i Ori zrozumiał aluzję.

- Skończymy z tym wszystkim - powiedział stary człowiek-kaktus. - Wszystko zmienimy, kiedy nasz przyjaciel spotka pewnego kogoś.

Od wielu dni nie widział Spiral Jacobsa. Kiedy wreszcie wpadł na jego trop, stary bezdomny, który od długiego czasu nie był w przytułku, wyglądał na zmęczonego, jeszcze bardziej zaniedbanego i brudnego niż zwykle.

Ori poszedł za wskazówkami otrzymanymi od innych zapomnianych ludzi i w końcu znalazł go w Crow. Jacobs przechadzał się pośród wielkich sklepów centralnej dzielnicy, pomników, fasad z dostojnego marmuru i wyczyszczonego białego kamienia. Idąc z kredą w ręku, co kilka kroków zatrzymywał się i mruczał coś w brodę, po czym rysował na murze jakiś słabo widoczny i zagadkowy symbol.

- Spiral - powiedział Ori i stanął jak wryty, ponieważ stary włóczęga odwrócił się z rozwścieżoną miną.

Minęła dłuższa chwila, zanim Spiral Jacobs zapanował nad sobą.

Siedzieli na BilSantum Plaza pośród żonglerów. W ciepłych kolorach wieczoru wznosił się nad nimi kompleks Dworca Perdido, ten kolosalny i rozstrajający architektoniczny miszmasz. Pięć linii kolejowych wychodziło gwiazdźście z napowietrznych, łukowatych ust. Po zachodniej stronie kłuł niebo Szpikulec, minaret milicji. Dworzec Perdido zdawał się na nim opierać jak człowiek na lasce.

Ori patrzył na siedem podniebnych torów, które rozciągały się nad miastem ze szpica minaretu. Pobiegł wzrokiem za wiodącym na południowy wschód - nad dzielnicą czerwonych latarni i drobnomieszczkańskim Spit Hearth, nad zamieszkanym przez uczonych Brock Marsh - do innej wieży i dalej do Strack Island i do parlamentu u spływu dwóch rzek.

- Chodzi o burmistrznię - powiedział Ori. Spiral Jacobs sprawiał wrażenie, że nie słucha, tylko jest zajęty własnymi myślami, bawiąc się kredą. - Ekipa Toro ma dosyć likwidowania kaprali milicji i innych płotek. Chcą popchnąć sprawy do przodu. Chcą zabić burmistrznię. - Mogło się wydawać, że Spiral Jacobs jest za bardzo odklejony, aby wzbudziło to jego zainteresowanie, ale Ori zobaczył jego oczy. Zobaczył, że bezzębne usta otwierają się i zamykają. Czy to była dla niego niespodzianka? Co innego mógł zrobić ścigany przez prawo bohater ludu? Ori mógł sobie wmawiać, że poinformował Jacobsa wyłącznie z poczucia obowiązku wobec starego bojownika, kumpla Jacka Pół-Pacierza, ale w rzeczywistości chodziło o coś więcej. Spiral Jacobs uczestniczył w tym wszystkim, na swój nieskoordynowany sposób wprowadził Oriego w ten brutalny i wyzwolenieczy akt polityczny. - Aby zrealizować plan tego kalibru - powiedział Ori - Potrzeba odwagi, siły, informacji i pieniędzy. To był początek.

- Przyjdź jutro na zupę - poprosił nieoczekiwanie Spiral Jacobs - obiecaj mi.

Ori przyszedł. I może się domyślał, co znajdzie w torbie, którą przyniósł mu Jacobs. Kiedy otworzył ją znacznie później w swoim pokoju, sam przy świecy, aż świsnął z przejęcia.

Pieniądze. W rolkach i plikach. Ogromna ilość monet i banknotów, w dziesiątkach walut. Szekle, nobile i gwinee, tak, najnowsze sprzed kilkudziesięciu lat, ale były też dukaty, dolary, rupie, piaskowce i ezoteryczne grosze, kwadratowe monety, sztabki z zamorskich prowincji, z Shankell, z Perrick Nigh i z miast, w których istnienie Ori nie do końca wierzył. Były to fusy po życiu rozbójnika albo pirata.

„Mój wkład” - było napisane w dołączonej notce. „Żeby dobry plan się udał. Na pamiątkę, Jack”.

CZEŚĆ TRZECIA

KRAJ WINA

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Golem czuwał nad śpiącymi podróżnymi. Stał przy rozżarzonych węgielkach wyższy od człowieka, a nawet od człowieka-kaktusa. Krępy, ze zbyt długimi ramionami, które płątały się w okolicy kolan, przypominał małpę. Plecy miał siodłowo wygięte, a glinianą skórę spękaną od słońca.

O świcie przebudzone insekty zaczęły spacerować po golemie. Nie poruszył się. Pyłki i zarodniki fruwały nad śpiącymi w zagłębieniu terenu wędrowcami. Chłodny, poranny wiatr przebiegał dreszczem skórę. Bezlitosny upał zostawili już za sobą.

Drogon wstał pierwszy, kiedy inni się obudzili, myszkował już po okolicy. Pomeroy i Elsie poszli w jego ślady, zostawiając Cuttera samego z panem golema.

- Judaszu, nie trzeba było wyjeżdżać - powiedział Cutter. - Nie trzeba było.
- Znalazłeś pieniądze, które dla ciebie zostawiłem?
- Oczywiście, i instrukcje też, ale się do nich nie zastosowałem, jak widzisz. Nie cieszysz się? Z tego, co ci przyniosłem? - Klepnął swój plecak. - Nie były gotowe, kiedy wyjeżdżałeś.
- A teraz jedno jest zepsute. - Judasz uśmiechnął się smutno. - A jedno to za mało.
- Zepsute? - Cutter był zdruzgotany. Taki kawał drogi włókł ze sobą oba urządzenia. - Nie trzeba było wyjeżdżać beze mnie, Judaszu. Trzeba było na mnie zaczekać.

Cutter pocałował Judasza, z zaniepokojeniem, które zawsze go ogarniało, gdy to robił, z rodzajem desperacji. Ten zareagował jak zwykle, z czymś w rodzaju czułości i czymś w rodzaju wyrozumiałości.

Zdeprimowany Cutter zauważył, że nawet teraz Judasz Low nie sprawiał wrażenia skoncentrowanego na tym, co miał przed sobą. Tak się zachowywał, odkąd go znał. „Typowy bujający w obłokach uczonej” - myślał sobie z początku Cutter. Sklep Cuttera mieścił się w Brock Marsh i jego klientela składała się z naukowców. Był zaskoczony, kiedy w głosie Judasza usłyszał ślady akcentu z jednej z dzielnic robotniczych w centrum.

Poznali się ponad dziesięć lat temu. Cutter wyszedł z zaplecza i zobaczył Judasza stojącego przed półkami z ezoteryką: zeszytami, mechanizmami zegarowymi, warzywnymi tajemnicami. Wysoki, chudy mężczyzna z suchymi, długimi włosami, znacznie starszy od Cuttera, twarz zniszczona wiekiem, szeroko otwarte oczy, które wszystkiemu się dziwiły. Było to niedługo po wojnie na hałdach, kiedy Cutter musiał zrezygnować z konstruktów sprzątającego. Sam mył podłogę i był w złym humorze, potraktował więc klienta niezbyt nieuprzejmie.

Kiedy Judasz przyszedł znowu, Cutter próbował go przeprosić, ale starszy pan tylko szeroko otworzył oczy ze zdziwienia. Podczas jego trzeciej wizyty - kupował alkalidy i najlepszą, najgęstsza glinę - Cutter spytał go, jak się nazywa.

- To jak mam do pana mówić: Judaszu, Judo czy doktorze Low?

Judasz uśmiechnął się. Cutter nigdy w życiu nie poczuł się tak z kimś związanym, tak zrozumianym, jak przy tym uśmiechu. Jego motywy zostały bez wysiłku odgadnięte. Wtedy już wiedział, że nowy klient nie jest roztargnionym naukowcem, tylko świętym człowiekiem. Cutter

bardzo szybko go pokochał.

Z początku odnosili się do siebie trochę nieśmiało, nie tylko Cutter i Judasz, ale również Judasz i Pomeroy, Judasz i Elsie. Ciągłe ich pytał, w jaki sposób umarli Drey, Ihona i Fejh. Był wstrząśnięty i przygnieciony tym, że ta trójka straciła życie.

Poprosił ich, żeby opowiedzieli mu o tym, jak zginęli, w formie historii: o Ihonie w słupie wody, o ostatniej powietrznej podróży Dreya i, co było najtrudniejsze, o rozpadzie Fejhechrillena od gradu kul.

Nakłaniali go, żeby z kolei zrelacjonował im, co on przeżył. Pokręcił głową, jakby nie było warto o tym mówić.

- Jechałem - powiedział do nich - na moim golemie. Cały czas na południe, przez las i dalej prosto jak strzała. Zapłaciłem za przewóz statkiem przez Morze Mizerne. Potem jechałem na zachód, przez wioski ludzi-kaktusów. Pomagali mi. Przejechałem przez szczelinę. Wiedziałem, że jestem śledzony. Zastawiłem pułapkę. Jabberowi niech będą dzięki, że się zorientowałeś, Cutter.

Przez jego twarz przemknął ponury cień.

Wyglądał na zmęczonego. Cutter nie wiedział, przez co Judasz musiał przejść, co odebrało mu siły. Liczne strupy wskazywały, że miałby o czym opowiadać. Utrzymywanie golema przy życiu nie wymagało wielkiego wysiłku, ale było kolejnym obciążeniem dla uciekiniera.

Cutter położył dłoń na boku szarego olbrzyma.

- Puść go, Judasz - powiedział.

Starszy pan spojrzał na niego jak zawsze zdziwiony i uśmiechnął się powoli.

- Śpij - rozkazał.

Dotknął rudymmentarną twarz golema. Gliniany człowiek nie zmienił pozycji, ale coś go opuściło. Jakiś organ. Golem niedostrzegalnie zapadł się w sobie, wzbijając obłok kurzu, a rysy na jego ciele nagle wyglądały na jeszcze bardziej wysuszone. Stał tam, gdzie wcześniej, już się nie poruszył. Powoli się powykrusza, a dziury w jego ciele staną się schronieniem dla ptaków i robactwa. Element krajobrazu, który po jakimś czasie zniknie.

Cuttera ogarnęła ochota, żeby go przewrócić i patrzeć, jak się rozpada, żeby oszczędzić mu losu bezsilnej ofiary czasu, ale powstrzymał się.

- Kim jest Drogon? - spytał Judasz.

Szemracz sprawiał wrażenie zagubionego bez swojego konia. Próbował znaleźć sobie jakieś zajęcie i nie dbał o to, że inni o nim rozmawiają.

- Gdyby to ode mnie zależało, to nie byłoby go z nami - odparł Pomeroy. - Jak na szeptodzieja władza wielkimi mocami. I nie wiemy, skąd pochodzi.

- Konny włóczęga - wyjaśnił Cutter. - Parobek, tropiciel śladów. Doszło do jego uszu, że uciekłeś... Bogowie raczą wiedzieć, jakie teraz krążą słuchy. Przyłączył się do nas, bo chce znaleźć Żelazną Radę. Myślę, że z powodów sentymentalnych. Już nieraz ocalił nam skórę.

- On jedzie z nami? - spytał Judasz.

Wszyscy na niego spojrzeli.

- Wiesz... - zaczął dyplomatycznie Cutter. - Nie musisz jechać dalej. Moglibyśmy zawrócić. - Judasz spojrział na niego dziwnie. - Wiem, uważasz, że spaliłeś za sobą mosty, zastawiając golemową pułapkę w swoim pokoju, i to prawda, że będą cię szukali, ale przecież mógłbyś zejść do podziemia. Wiesz, że Plenum by cię chroniło.

Judasz patrzył na nich i jedno po drugim zawstydzone odwracało wzrok.

- Nie wierzycie, że ona wciąż istnieje - powiedział. - O to chodzi? Jesteście tutaj ze względu na mnie?

- Nie - odparł Pomeroy. - Od początku mówiłem, że nie jadę tylko ze względu na ciebie. Ale Judasz nie dał się zbić z tropu.

- Myślicie, że już jej nie ma? - w jego głosie pobrzmiwała spokojna, niemal religijna pewność. - Jest. Jak mógłbym zawrócić, Cutter? Nie rozumiesz, po co tutaj jestem? Oni szukają właśnie Rady. Kiedy ją znajdą, zniszczą ją. Ich pierwotnym celem byli mieszkańcy Tesh, ale teraz, kiedy już wiedzą, gdzie jest Rada, nie mogą jej zostawić swemu losowi. Słyszałem to od źródła z dawnych czasów. Że ją znaleźli i co planują. Muszę ich ostrzec. Wiem, że Plenum nie zrozumie. Podejrzewam, że rzucili na mnie klątwę.

- Wysłaliśmy im wiadomość - powiedział Cutter. - Z Myrshock. Wiedzą, że jedziemy twoim śladem.

Judasz wyjął z tornistra plik kartek i trzy woskowe cylindry.

- Od Rady - wyjaśnił. - Najstarszy list ma prawie siedemnaście lat. Pierwszy cylinder jest jeszcze starszy: dwadzieścia lat. Ostatnie przysły trzy lata temu i miały dopiero dwa lata, kiedy je otrzymałem. Wiem, że Rada istnieje.

Jakimi drogami podróżowały te wiadomości? Z Fellidowego Lasu nad morze, statkami do Cieśniny Ognistej Wody, Shankell i Myrshock, potem do Zatoki Żelaznej i Nowego Crobuzon. Albo krętymi górskimi ścieżkami, albo leśnymi drogami kilkaset kilometrów w głąb bagien, poniżej Cobsea. Potem do samego Cobsea, położonego na wielkich równinach. A może drogą powietrzną bądź taumaturgiczną - tak czy owak w końcu trafiły do Judasza Lowa.

„Masz możliwość odpisać, Judaszu?” - zapytał w myślach Cutter. „Wiedzą, że do nich jedziesz? I ile wiadomości od nich zaginęło po drodze?” Oczyma duszy zobaczył srogie klify usłane okruchami wosku. Wiatr niesie kawałki zaszyfrowanego papieru jak liście nad stepami.

Z nabożną czcią patrzył na listy, grawerowane cylindry, utrwalony dźwięk. Przedmioty znane z plenarnej famy, z opowieści podróżnych i dysydentów.

Co on może wiedzieć? Kiedy Cutter po raz pierwszy usłyszał o Żelaznej Radzie, był chłopcem i zabrzmiało mu to jak baśń ludowa, taka sama jak o Jacku Pół-Pacierza, Toro i Rokoszu. Kiedy był dostatecznie duży, aby zrozumieć, że parlament mógł go okłamać - że mogło nie być żadnej katastrofy na południowych moczarach - Żelaznej Rady, która według części ludzi tam się narodziła, w tym miejscu nie znaleziono. Nawet ci, którzy mówili, że ją widzieli, wskazywali w kierunku zachodnim.

„Czemu nigdy mi ich nie pokazałeś?” - pomyślał. Podczas wszystkich tych dyskusji, przez cały ten czas, kiedy się do siebie zbliżyli, nawet o tym nie napomknął. Judasz wziął sceptycyzm Cuttera do ręki i próbował go przerobić, wyjaśnić mu, że takie zgorzknienie zatruwa życie. Mówił, że istnieją inne sposoby na to, aby wątpić we wszystko bez popadania w pesymizm, a Cutter od czasu do czasu próbował zmienić swoje mentalne przyzwyczajenia.

Znali się od kilkunastu lat. Cutter nauczył się od Judasza wielu rzeczy i sam też czegoś go nauczył. To Judasz wciągnął Cuttera w orbitę Plenum. Cutter przypomniał sobie te wszystkie debaty w jego sklepie, w jego małym mieszkaniu, w łóżku. We wszystkich tych politycznych dywagacjach - Judasz był zupełnie oderwanym od rzeczywistości powstańcem, a Cutter nie

więcej niż podejrzliwym towarzyszem drogi - Cutter nigdy nie zobaczył tych namacalnych dowodów na istnienie Żelaznej Rady.

Nie czuł się oszukany, tylko zdezorientowany. Nie pierwszy raz.

- Wiem, gdzie jest Rada - powiedział Judasz. - Potrafię ją znaleźć. Wspaniale, że przybyliście. Ruszajmy dalej.

Judasz porozmawiał z szeptodziejem. Oczywiście tylko on słyszał odpowiedzi Drogon. W końcu Judasz skinął głową i zrozumieli, że Drogon idzie z nimi. Pomeroy naburmuszył się, mimo tego wszystkiego, co zrobił dla nich szemracz.

Somaturg Judasz nie objął kierownictwa, nic nie zrobił, tylko powiedział, że on rusza w dalszą drogę, a oni mogą z nim pójść, ale jak zawsze mu się podporządkowali. Tak samo było w Nowym Crobuzon. Nigdy im nie rozkazywał, często sprawiał wrażenie za bardzo zaabsorbowanego własnymi myślami, aby pamiętać, że mu towarzyszą, ale kiedy do nich mówił, uważnie go słuchali.

Rozpoczęli przygotowania. Czekają ich wiele tygodni marszu. Kilometry łądu, ziemia, kamienie, drzewa, może woda, może przepaście, a potem może Żelazna Rada. Poszli wcześniej spać, a w nocy Cuttera obudziły odgłosy kochania się Pomeroya i Elsie. Nie byli w stanie stłumić dyszenia ani ocierania się ciała o ciało. Hałas te podnieciły go. Słuchał spółkowania przyjaciół z żądzą i wzbierającą czułością. Wyciągnął rękę do Judasza, który odwrócił się sennie i odwzajemnił jego głęboki pocałunek, ale po chwili znowu przekręcił się na drugi bok.

Cutter po cichu doprowadził się pod kocem do wytrysku na ziemię, patrząc na odwróconego tyłem Judasza.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Przez tydzień zmierzali na północ i północny zachód. Kraj coraz bardziej zieleniał. Marsz był wyczerpujący. Teren falował. Zapadliska i cenoty były coraz głębsze, a pagórki porośnięte niskimi dębami i innymi skarłowaciałymi od upału drzewami. Wędrowali przez parowy. Szeptodziej trzy razy im pokazał, że nieświadomie odnaleźli szlak, że szli po śladach duchów.

- Dokąd idziemy?

- Wiem, gdzie to jest - odparł Judasz. - W jakiej okolicy. - Studiował mapy i konsultował się z Drogonem, stepowym wędrowcem. Oddychał niewzruszonym spokojem pustkowia. - Dlaczego jesteś tutaj? - spytał Drogon. Szemracz odpowiedział mu prosto do ucha. - Dobrze, ale to mi nic nie mówi.

- On tego teraz nie robi - włączył się Cutter. - Swoim cholernym głosem może cię zmusić do wszystkiego. Co najmniej dwa razy uratował nam w ten sposób życie.

Pumy i hemoskrzydłaki przyglądały się im z pagórków albo z powietrza i wędrowcy kazali przemówić swojej broni. Kępy woskowatych roślin przypominających szerokolistne sukulenty ciągle ich straszyły, poruszając się nawet przy bezwietrznej pogodzie.

- *Patrzcie tam* - zaszeptał Drogon. Wiózł ze sobą rynsztunek koczownika. Był człowiekiem z tych stron, ale trochę niespokojnym bez swojego konia. Zwracał ich uwagę na rzeczy, których by nie zobaczyli. - *Tutaj była wioska*. - I rzeczywiście, nauczyli się odczytywać pismo ziemi, ściany i fundamenty wygrawerowane w regolicie, pamięć krajobrazu o architekturze. - *To nie jest drzewo* - mówił i uświadamiali sobie, że to jest lufa starego działa albo czegoś działopodobnego, otulona bluszczem i obrośnięta strupami niepogody.

Którejś nocy, kiedy inni odsypiali sutą kolację złożoną z dziczyzny, Cutter obudził się wiele godzin przed świtem i zauważył, że Judasza nie ma. Ogłupiały przeszukał jego legowisko, w nadziei, że go tam znajdzie. Szeptodziej podniósł głowę i skrzywił się, kiedy zobaczył, że Cutter tęsknie przyciska do siebie wełniany koc Judasza.

Judasz poszedł z wiatrem do małego załomu w zboczu wzgórza. Wyjął z plecaka żelazne urządzenie, Cutter aż się zdziwił, że ten włókł ze sobą coś tak ciężkiego. Judasz pokazał Cutterowi, żeby usiadł koło voxiteratora. Jeden z woskowych cylindrów był wsunięty do środka, a dłoń Judasza spoczywała na korbie.

Uśmiechnął się i umieścił igłę w górnym rowku.

- Też możesz posłuchać, skoro już tu jesteś - powiedział. - To mnie podtrzymuje na duchu.

Zakręcił korbą. Pośród trzasków i przypadkowych dźwięków zabrzmiał męski głos. Brakowało basów, a niejednostajność tempa obracania korbą sprawiała, że trudno było odczytać intonację. Wiatr natychmiast porywał głos ze sobą.

- *...słabo cię znam ale mówią że należysz do rodziny więc uznałem że powiem a nie napiszę w każdym razie Uzman nie żyje bardzo mi przykro że musisz się o tym dowiadywać w ten sposób bardzo mi przykro że w ogóle musisz się o tym dowiadywać ale uwierz mi to nie była ciężka śmierć odszedł pogodzony ze sobą pochowaliśmy go trochę z przodu i teraz leży na naszej drodze niektórzy uważali że należało go pochować na cmentarzu ale ja nie chciałem o tym słyszeć powiedziałem im słuchajcie on by sobie tego nie życzył jego ostatnim życzeniem było żebyśmy zrobili to po Jabberowemu tak jak dawniej się to robiło spełniliśmy zatem jego życzenie chociaż oplakiwaliśmy go a on nam mówił żebyśmy go nie oplakiwali tylko zorganizowali się tak powiedział kiedy walczyliśmy a po plamie powiedział nam nie oplakujcie świętujcie ale siostrzo ja nie potrafię inaczej wolno nam płakać po nim ty płacz po nim siostrzo płacz po nim ja będę płakał z tobą to ja to Rahul i żegnaj się z tobą...*

Igła znieruchomiała. Judasz miał twarz zalaną łzami. Cutter nie mógł tego wytrzymać.

Wyciągnął rękę, ale powstrzymał się, kiedy zobaczył, że ten gest nie jest mile widziany. Judasz płakał bezgłośnie. Wiatr obwąchiwał ich jak pies. Księżyc świecił blado. Było zimno. Cutter patrzył, jak Judasz płacze, i serce mu pękało. Bardzo chciał wziąć siwowłosego mężczyznę w ramiona, ale mógł tylko czekać.

Kiedy ten skończył płakać i otarł łzy, spojrział z uśmiechem na Cuttera, który musiał odwrócić wzrok.

- Widzę, że znałeś człowieka, o którym on mówi - zaczął ostrożnie Cutter. - Dla kogo była przeznaczona ta wiadomość? O czyjej siostrze jest tam mowa?

- To jest do mnie - odparł Judasz. - Ja jestem tą siostrą. Ja jestem jego siostrą, a on moją.

Niskie wzgórza nosiły płaszcze z kwiatów w królewskich kolorach. Kurz lepił się do potu Cuttera, który oddychał powietrzem zgęstniałym od pyłków. Podróżni brnęli przez dziwny krajobraz, obciążeni brudem i słońcem, jakby zanurzono ich w smołę.

Poczuł w ustach smak węgla. Gdzieś z przodu, za klifami coś innego niż lato zabarwiło niebo. Smugi ciemnego dymu szły do góry i rozpraszały się. Zdawały się cofać jak tęcza, kiedy podróżni podchodzili bliżej, ale następnego dnia swąd spalenizny był znacznie silniejszy.

Natrafił na utarte ścieżki. Wkraczali na tereny zamieszkane i zbliżali się do jakichś ogni. - *Patrzcie tam!* - powiedział szeptodziej do każdego z osobna. Wiele kilometrów z przodu coś się poruszało. Przez teleskop Drogon Cutter zobaczył, że są to uciekający tubylcy. Może setka. Ciągnęli wozy i poganiali swoje zwierzęta mięsne: ptaki wielkości krów, utuczone i czworonożne, pozbawione piór skrzydła służyły jako nieporadne przednie nogi.

Karawana robiła wrażenie ubogiej i zdesperowanej.

- Co tu się dzieje? - spytał Cutter.

W południe dotarli do miejsca, gdzie ziemia się rozstała, i szli dnem wąwozów o zboczach znacznie wyższych od domów. Zobaczył coś brązowego, sponiewieranego i związanego sznurkiem jak zawinięta w brązowy papier paczka. Był to wóz plandekowy. Koła miał połamane i opierał się o skalną ścianę, częściowo zdewastowany i spalony.

Wokół niego leżeli ludzie. Głowy mieli porozłupywane, a klatki piersiowe rozprute kulami i opróżnione, ich zawartość wylała się na ubrania i buty. Siedzieli lub leżeli w pięknym ordynku jak wojsko czekające na rozkazy. Kompania trupów. Dziecko nadziane na złamaną szablę kulilo się z przodu jak maskotka.

To nie byli żołnierze, tylko rolnicy, sądząc po ubraniu. Ich dobytek leżał porozrzucany na kamienistej ziemi - żelazka, garnki, kociołki, Wszystko o obcym wyglądzie, zeszmaczone sukno.

Cutter i jego towarzysze patrzyli na to jak skamieniali, z rękami przy ustach. Drogon obwiązał sobie usta i nos chusteczką, aby zagłębić się w opary smrodu i chmury owadów, które zjadały cuchnące zwłoki. Podniósł szprychę koła i zaczął szturchać ciała, delikatnie, niemal z szacunkiem. Pod wygarbowaną słońcem skórą wyraźnie odciskały się kości.

Wóz przechylił się, kiedy Drogon oparł się o niego. Kucnął i zaczął badać rany, grzebał w nich obserwowany przez swoich przerażonych towarzyszy. Kiedy szeptodziej delikatnie chwycił za szablę sterzącą z dziecka, Cutter odwrócił wzrok, żeby nie musieć patrzeć, jak martwy chłopiec się porusza.

- *Minęło już wiele dni* - szepnął Drogon do ucha Cutterowi, chociaż ten stał odwrócony plecami. - *To byli wasi. Z Nowego Crobuzon. To jest milicyjne ostrze.*

Zabiły ich milicyjne kule, milicjant albo milicjantka przeszła dziecko. Milicyjne noże

pocięły plandekę wozu. Crobuzońskie ręce pozrzucały dobytek.

- Mówiłem ci - powiedział Judasz bardzo cicho.

„Nie moglibyśmy pójść gdzie indziej?” - pomyślał Cutter. „Nie chcę rozmawiać przy zmarłych”. Podniósł wzrok, dysząc ciężko, i zobaczył, że Pomeroy i Elsie się obejmują.

- W moim liście, Cutter. Pamiętasz? - spytał Judasz. - Wyjaśniłem ci, że muszę jechać, żeby zapobiec czemuś takiemu.

- Jesteśmy na terenach przygranicznych Tesh - odparł Cutter. - Ta historia nie musi oznaczać, że milicja jedzie zniszczyć Żelazną Radę.

- Mają bazę na wybrzeżu, stamtąd wysłali te oddziały. To tutaj... To jest tylko część ich przedsięwzięcia. Kierują się na północ. Szukają Żelaznej Rady.

Za doliną ze zmarłymi ciągnął się otwarty kraj. Należało liczyć się z tym, że milicjanci, którzy zabili uciekinierów, mogą być blisko, mieli się więc na baczności. Zamknawszy oczy, Cutter widział tych cierpliwych zmarłych. Drogon prowadził ich ścieżką pośród bylicy. Na wzgórzach w oddali widzieli na poły zdziczałe uprawy. To tam unosił się dym.

Od miejsca rzezi dzielił ich dzień marszu. Powietrze było przesycone swądem spalenizny. Z gotową do strzału bronią weszli na pierwsze małe pole.

Przez bruzdy przewróconej ziemi do ruin gaju oliwnego, przestępowali nad korzeniami powyrywanych drzewek. Wysychające oliwki leżały na ziemi jak zwierzęce bobki. W miejscach, gdzie pnie przeistoczyły się w węglowe rzeźby, powstały kratery. Były też ciała upieczone do postaci szkieleatów.

Domostwa ofiar spłonęły. Na ubogo porośniętej i poprzecinanej wysychającymi strumykami równinie wznosiły się kopce czarnych śmieci, które dymiły jak żużel. Mdlący, słodkawy zapach spalonego mięsa. Cutter wyrąbywał sobie drogę przez zarośla.

Z początku nie rozumiał, co ma przed oczyma. Kopce były stertami trupów ryjkowatych zwierząt kopytnych, z dużymi kłami, wielkich i ciężkich jak bawoły, przysypanych popiołem i suchymi liśćmi. Korzenie zaczęły przebijać ich ciała.

- Winoświnie - powiedział Judasz. - Jesteśmy w Galaggi. Daleko dotarliśmy.

Wezbrał wiatr, dmuchając im w oczy kurzem oraz popiołem spalonych oliwek i winorośli. Martwe zwierzęta zaszeleściły.

Pomeroy znalazł rów, w którym gnily dziesiątki mężczyzn i kobiet. Nie więcej niż kilkudniowy rozkład nie zdążył jeszcze zatrzeć tatuaży. Pumeksowego koloru skóra, zabrudzona śmiercią, była poprzebijana drogocennymi kamieniami.

To byli winopasterze. Klany, rody, nomadzi tych gorących północnych stepów. Tropili zwierzęta, chronili je, a w czasie zbiorów z artystyczną sprawnością wskakiwali między rogi tych agresywnych roślinożerców, aby zebrać owoce, które rosły na ich bokach.

Cutter przełknął ślinę. Wszyscy przełknęli ślinę, patrząc na podziurawione salwami ogniowymi ciała.

- Może to House Predicus - powiedział Judasz. - A może Charium albo Gneura.

Winoświnie, pasterze i ich żniwo, nadgniłe i spalone.

Cały dzień wędrowali przez zdewastowaną krainę, przez zrównane z ziemią gaje oliwne, mijali zaszlachtowane stada i mnóstwo zwęglonych trupów. Zagroda wielkich mięsoptaków - pokarm dla robali. Otaczał ich cichy chrzęst węgielków i stukot martwego drewna. Na niektórych ciałach zostały jeszcze konkrety morderstw. Kobieta z zadartą, sztywną od krwi spódnicą,

zwalisty pasterz z obsiadłym przez muchy brzuchem i wyklutymi oczami. Trupi odór chwycił Cuttera za gardło.

Znaleźli jedną żywą winoświnię, która wpadła do kamiennej niecki. Trzęsąc się od głodu i zakażenia, kuśtykała wkoło i próbowała rozgrzebać ziemię. Skórę miała pobrużdżoną przez korzenie i pokrytą liściastym futrem winorośli, z którą żyła w symbiozie. Porostowate grona były wyschnięte. Cutter z litości zastrzelił zwierzę.

- To dlatego ludzie-kaktusy na Południu postanowili walczyć - powiedział Pomeroy po długiej chwili milczenia. - Słyszeli o tych jatkach. Kiedy zobaczyli milicję, pomyśleli, że ich czeka to samo.

- Ale dlaczego? Dlaczego? - pytała roztrzęsiona Elsie. - Gallagi to wolny kraj, nie należy do Tesh. To nie są Teshi.

- Nie, ale Tesh również na tym cierpi - wyjaśnił Judasz. - Wino i oliwa z Gallagi idą przez Tesh. Są jeszcze za słabi, żeby zaatakować miasto, dlatego w ten sposób uderzają je po kieszeni.

Znajdowali się już daleko poza granicami świata opisanego na ich mapach. Trzysta, czterysta kilometrów na południowy zachód, na nadmorskiej nizinie, leżało Tesh. Tam kierowały się myśli Cuttera, który nie wiedział jednak, jak ma je sobie odmalować. Co o nim myśleć? Tesh, Miasto Pełzającej Cieczy. Fosi, szklane koty, nizina Catoblepas, trawlerzy kupieckie, dyplomaci-włóczędzy i Płaczący Książę.

Tysiące mil morskich dzieliły Zatokę Żelazną od przyczółku ustanowionego przez Nowe Crobuzon na północ od Tesh. Oddziały milicji musiały pokonać ciężką drogę, obok Shankell, morzami rojącymi się od piasów i piratów, przez Cieśninę Ognistej Wody kontrolowaną przez Wiedźmokrację, sojusznika Tesh. Nie było trasy lądowej przez dzikie pustkowia Rohagi, nie było drogi na skróty. Wojna z Tesh wymagała ogromnego wysiłku. Nowe Crobuzon musiało wysłać swoje wojska statkami, które spędzały wiele miesięcy na nieprzyjacielskich wodach. Cutterowi imponowała ta brutalna determinacja.

Tego wieczoru jedli niedojrzałe owoce, które znaleźli na ciele winoświni. Z wisielczym humorem żartowali sobie, jaki im się trafił dobry rocznik. W drugim dniu marszu przez krainę winiarzy napotkali miejsce rzezi dokonanej przez maruderów. Crobuzońska milicja nie wszędzie postawiła na swoim. Znaleźli pozostałości nashorna, opancerzonego i prze-tworzonego w żywy czołg nosorożca. Wyższy od domu, wyposażony w baterię artyleryjską z tyłu, szyja wzmocniona tłokami. Jego róg był skręcony w ogromne wiertło. Teraz nashorn nie żył, rozbity i wypatroszony za pomocą chłopskiej broni. Jego mechaniczne i organiczne wnętrza wały się dokoła.

Sześciu milicjantów poniosło śmierć. Cutter patrzył na znajome mundury w tym egzotycznym miejscu. Funkcjonariuszy zabito ostrymi klingami, przypuszczalnie sierpami winopasterzy, które leżały na ziemi.

W okolicy roilo się od padlinożerców. Lisopodobni miłośnicy martwego mięsa grzebali w ziemi. Tej nocy Drogon obudził podróżnych wystrzałem.

- *Ghul* - szepnął do każdego po kolei.

Nie uwierzyli mu, ale rano zobaczyli zwłoki: trupio blade i małpiaste, zębate usta rozdziawione, na bezokim czole wysychająca krew.

Ruszyli w dalszą drogę, na północ, i odnieśli wrażenie, że upał nieco zelżał. Ale było to dopiero pierwsze, ledwo wyczuwalne tchnienie chłodniejszych stref. W tym skwarze, pośród ghuli, trupów i okropnej woni gnijących owoców i dymu, w kraju, który stał się podartym wspomnieniem siebie samego, Cutter czuł się tak, jakby wędrował po obrzeżach jakiegoś piekła.

Po wielu dniach pokonywania nieregularnych, poprzecznych wzniesień daleko na północy pojawiły się lesiste góry. Judasz nie posiadał się z radości.

- To jest koniec stepu, to jest północna granica Galaggi.

Za nimi ziemia była popękana od milicyjnych butów. Opuścili tę zdewastowaną strefę pasterstwa i zwierzęcego wina, te kilkadziesiąt kilometrów, które kiedyś były coś warte. Dotarli do regionu wilgotniejszego, ziemi wiecznego lata, gliniastej i ontologicznie niedookreślonej. Padał ciepły deszcz, którego krople wyparowywały, zanim doleciały do ziemi.

Znajdowali się w zakątku świata, który przed nimi odwiedzili tylko starożytni mędrcy i poszukiwacze przygód. Na temat tej dziwnej okolicy krążyły fantastyczne historie - o połączeniach lodu w środku lata, o kopcach termitów wielkości psa, o chmurach, które kamieniały w granit. W pylnik znowu zobaczyli dym i poczuli swąd. Wspinali się na piarżyste wzniesienia porośnięte brekcją, aby popatrzeć na busz, który ciągnął się aż po las. Dochodząc do punktu widokowego, kolejno głośno potwierdzali, że dostrzegają źródło ognia.

Kilka kilometrów dalej. Chelonia. Jej cyklopowe nogi rozsunięte, jej tarcza brzuszna przyciśnięta do ziemi. Boki wznosiły się wysoko. Od połowy wysokości z materii pancerza przez pokolenia uformowały się wieże, dachy i mury miasteczka z keratyny. Gigantyczny żółw miał ponad sto metrów długości i z upływem stuleci na jego grzbiecie narosła wielowarstwowa, chaotyczna osada. Porowate narośle na jego pancerzu wyhodowano i wycięto w nich domy, zigguraty i wieże, które oczywiście nie miały regularnej formy: linie nie były proste, a płaszczyzny płaskie. Okna pojawiające się w nieoczekiwanych miejscach, dzwonnice połączone mostkami linowymi, uliczki i tunele wyrąbane w rogowej materii. Wszystko zabudowane, wybrukowane i wyłożone plamistym szylkretem. Chelonia była martwa i płonęła.

Czuć było swąd spalonych włosów. Dym wylatywał ponad mury cuchnącymi kłębkami. Z jaskini paszczy wypływały szlam i krew.

W dole manewrowały twierdze na kołach i płożach, ruchome armaty - wojsko crobuzońskie. Były tam dwa nashorny z załogą. Kapitanowie siedzieli na zintegrowanych fotelach za głowami tych stworzeń i manipulowali elementami sterującymi, które były bezpośrednio połączone z ganglionami. Milicyjne armaty najwyraźniej miały większą siłę przebicia, niż powszechnie sądzono, skoro zadały takie rany.

W kierunku wędrowców zmierzała piechota. Ścigali uchodźców, którzy porzucili ruiny cheloniomiasta.

Drogon i Judasz poprowadzili ich dalej, przez busz. Zatrzymało ich kaszlące staccato wystrzałów z rewolweru, krzyki i świst kul. Padli na ziemię i leżeli bez ruchu, dopóki nie stało się oczywiste, że ogień nie jest w nich wymierzony. Potem nisko pochyleni przeszli pod niewielkie wzgórze, gdzie schowali się za barykadą z marglu. Nad nimi, poza osłoną drzew, błąkały się struchlałe rodziny. Nie wszyscy byli ludźmi. Niektórzy schronili się za zwalonymi pniami lub w dołach, inni uciekali. Ich przerażone okrzyki zgrzytały w uszach.

Na szczycie wzgórza zajmował pozycje oddział milicji. Uklękli za kartaczownicami. Na uciekinierów zwałił się monsun hałasu i kul, wielu z nich padło.

Cutter patrzył na to z wściekłością. Kolejne kule rozrywały ziemię. Konający drgali w przedśmiertnych konwulsjach i próbowali odczołgać się w jakieś osłonięte miejsce. Jeden z chelonian podniósł coś do ust, rozległ się piskliwy dźwięk i z góry dobiegły okrzyki. Niektórzy milicjanci padli od jakiejś trąbkowej taumaturgii.

Drogon obserwował wierzchołek wzgórza przez lunetę. Judasz odwrócił się do niego w reakcji na szept i zapytał:

- Co ona rozpakowuje?

Na szczycie pokazał się kształt z drutu i ciemnej skóry, wyższy od człowieka. Potem odgłos rozciągania metalu. Obiekt wydłużył się wielokrotnie jak statyw na nuty. Buczenie taumaturgicznej energii rozrzedziło powietrze. Kiedy funkcjonariuszka milicji rysowała rękami jakieś symbole, zabrzmiały trzaski i druciano-skórzany twór zbudził się do życia. Zadarł głowę ze szklanymi oczami, skórzaste skrzydła zatrzepotały, wystartował i poleciał na dół, w stronę Galaggitów. Jego kończyny nie były nogami ani rękami, lecz ostrymi jak noże przedłużeniami ciała, owadzimi i groźnie połyskującymi. Kiedy zetknęły się ze sobą, słychać było dźwięk ostrzenia metalu.

Pokraczna rzeźba frunęła w stronę kulących się ze strachu uciekinierów. Judasz miał szeroko otwarte oczy, a jego głos ociekał furią i odrazą.

- Prefab - powiedział. - Uzywacie gotowców, do cholery?

Wstał i ruszył do góry. Cutter poszedł za nim z bronią gotową do strzału.

Szybujący milicyjny zabójca przeleciał nad rannymi, którzy skowycieli z bólu, i dotarł do trębacza, który wydobył z instrumentu kolejny nikły dźwięk, ale stwór nie miał w sobie życia, które można byłoby zakłócić. Naszpikowany bagnetami trębacz krzyknął i umarł skąpany we krwi.

Judasz kipiał furią. Cutter strzelał w stronę wierzchołka wzgórze, żeby go osłaniać. Judasz wrzeszczał, patrząc nie na druciane monstrum, lecz na sterującą nim funkcjonariuszkę. Stwór z trzepotem sztucznych skrzydeł uniósł się nad krwawą miazgę swojej ofiary. Judasz nadął pierś jak pięściarz.

Nikt nie strzelał. Wszyscy stali i patrzyli - nawet Galaggici, zdziwieni widokiem tej dziwacznej postaci - jak morderczy skórzany Ptak z rozpostartymi skrzydłami zlatuje na Judasza. Cutter strzelił, ale nie umiał powiedzieć, czy kula trafiła w cel.

Judasz brał do ręki kamienie i ziemię. Jego warkot stawał się coraz głośniejszy i przeszedł w krzyk, kiedy przetoczył się nad nim cień.

- Przeciwno mnie? - jego głos rozbrzmiał dostojnie nad polem walki. - Uzywacie golema przeciwko mnie? - Jak dziecko rzucił w stronę stwora garść ziemi z kamyczkami. Nastąpiła ogłuszająca eksplozja. Golem jak kamień spadł z nieba. Judasz stał nad kupą drutu, z której zniknęło pożyczone życie. Na kilka chwil zaległa cisza. Judasz trząsł się z wściekłości. - Uzywacie golema przeciwko mnie? - powtórzył, celując palcem do góry.

Kartaczownica została już skierowana wprost na niego, ale strzelec padł martwy na ziemię, rażony z niewidocznej ręki Drogona. Nagle powietrze przeszyły dziesiątki kul z muszkietu Pomeroya, broni szeptodzieja, Elsie, Cuttera i przerażonej milicji.

Judasz maszerował przed siebie pośród tej kanonady. Ryczał jakieś słowa, ale Cutter ich nie rozumiał, usiłował tylko dotrzymać mu kroku, żeby go osłaniać. Crobuzońska milicja wrzeszczała i strzelała na oślep. Judasz Low dotarł do miejsca, gdzie leżała sterta trupów Galaggitów.

Somaturg wsunął dłoń między ciała i wypowiedział jakiś rozkaz. Nastąpiła fermentacja, ponieważ energia świata została skanalizowana, moment pochylił się, spęczniał i wypłynął z siebie coś sprzecznego z naturą. Zwłoki zmieniły konfigurację, golem jeszcze drgał w konwulsjach, kiedy nerwy konały.

Była to postać zbudowana ze świeżych trupów, krwawa i ociekająca. Z grubsza przypominała człowieka: pięć, sześć ciał ściśniętych razem bez zważania na ich anatomie, wszystko poprzekęcane, martwa głowa stała się stopą, całość z każdym krokiem coraz bardziej zmiażdżona i nieforemna, korpus - konglomerat ramion i kości. Kompozycja ta w przerażającym tempie zmierzała pod górę, ciągnąc za sobą ślad własnej substancji i krzyki winiarzy, którzy widzieli swoich utraconych bliskich ożywionych w tej groteskowej zjawie. Golem poruszał się

szybko, a za nim szedł Judasz, z którego wytryskiwały strumienie energii, łącząc go z tym monstrem niezwykłą pępowiną.

Ostrzeliwana milicja nie mogła się ruszyć z miejsca i trupi golem do niej dotarł. Stwór ten przy każdym kroku tracił członki, a żołnierze, którzy strzelali ze wszystkich luf, jeszcze bardziej go rozbryzgiwali i dewastowali. Wytrzymał jednak dostatecznie długo, aby ich zboksować na śmierć. Bił pięściami, których funkcję pełniły martwe ciała.

Kiedy na szczycie wzgórza padł ostatni żołnierz i wszystko ucichło, trupi golem przewrócił się. O ziemię uderzyły tylko strzępy ludzkiego mięsa.

Martwi milicjanci bardziej niż funkcjonariuszy państwowych przypominali partyzantów, w podartych mundurach ozdobionych uszami, zębami i tajemnymi symbolami oznaczającymi liczbę zabitych wrogów. Wszyscy mieli na twarzach maski.

Dwóch jeszcze żyło. Ten, którego powalił dźwięk trąbki, muzycznej broni taumaturgicznej, bredził w okultystycznej malignie. Drugiemu kule Pomeroya przestrzeliły ręce i wrzeszczał wpatrzony w czerwoną, bezpalcą miązgę.

Drogon dokonał inspekcji trupów. Należało liczyć się z tym, że główne siły spod chelonii wkrótce posłają zwiadowców za swoim szwadronem śmierci.

Judasz był zmęczony. Stworzenie golema - tak dużego, tak szybko - kosztowało go sporo sił. Przeszukał martwą kapitan-taumaturg, której teleskopowego golema z taką łatwością unieszkodliwił. Zabrał jej sprzęt: akumulatory, fiolki z chymikaliami, zakłęciokamienie.

Unikał spojrzenia Cuttera. „Wstydzisz się?” - pomyślał Cutter. „Z powodu swojego małego przedstawienia”. Judasz maszerujący pod górę jak demon, który wydaje zmarłym rozkazy. Był wyjątkowo potężnym i fachowym golemistą: odkąd wojna z konstruktami zmusiła bogatych do rezygnacji z parowych służących, jego talenty zapewniły mu fortunę. Ale przed tym morderczym marszem za trupim olbrzymem Cutter nigdy nie widział, żeby Judasz Low popisывał się swoimi mocami, czy choćby przyznawał do nich.

„Uzywacie golema przeciwko mnie?” W jego wściekłości pojawiła się nuta arogancji. Teraz Judasz Low próbował zejść na dalszy plan.

Uciekinierzy przyglądali się. Byli to mieszkańcy chelonii, mężczyźni i kobiety o różnym kolorze skóry i w przedziwnie skrojonych ubraniach. Były chrząszcze wzrostu dziecka, chodzące na tylnych odnóżach. Patrzyły fosforyzującymi oczami, kierując czułki w stronę Cuttera. Odwłoki ich martwych ciał były pęknięte i zalane sokami żywymi.

Niektórzy z ludzi mieli na sobie naturalne barwy myśliwych. Byli wyżsi od chelonian i odróżniali się od nich również ciemnoszarą karnacją.

- Winopasterze - powiedział Cutter.

- Podwójni uchodźcy - odparła Elsie. - Uciekli przed milicją do szylkretowego miasta, a teraz znowu.

Jeden z winopasterzy odezwał się, po czym on, podróżnicy i miejscowi wypróbowali wszystkie znane im języki, ale znaleźli tylko kilka wspólnych słów. Pasy kurzu znaczyły drogę przez busz, którą uciekinierzy zmierzali do lasu, podczas gdy Drogon przeszukiwał, a Judasz siedział. Dwaj milicjanci, którzy przeżyli, szlochali za ich plecami.

- Musimy ruszać - ponagliła Elsie.

Zabrali się z ostatnimi chelonianami, kilkoma milczącymi ludźmi-insektami i dwójką winopasterzy. Jeszcze długo słyszeli biadolonia crobuzońskiego milicjanta, któremu trąbka

taumaturgiczna odebrała rozum.

Las w niczym nie przypominał Rudewood. Drzewa sylwiczne były twardsze, udrapowane pnączami i mięsistymi liśćmi, obwieszane nieznanyymi ciemnoowocami. W leśnej głuszy rozbrzmiewały obce odgłosy zwierząt.

Uchodźcy z chelonii byli wystraszeni i wielkimi oczami patrzyli na Judasza. Bezradnie trzymali się tajemnej mocy, która ich uratowała. Maszerowali, ale z nieporadnością, którą Cutter i jego towarzysze w sobie przewyciężyli i która zaczynała ich złościć.

Nie mogli sobie pozwolić na stratę czasu, zostawili więc uciekinierów, po prostu idąc swoim tempem. Cutter wiedział, że milicja będzie ich ścigała i nie będzie miła dla tych, których dopadnie, ale był za bardzo zmęczony, aby odczuwać wyrzuty sumienia.

Ludzie-insekty bez słowa znaleźli swoje leśne drogi i odłączyli się. Kiedy zapadła ciepła noc, tylko dwóch winopasterzy dotrzymywało kroku podróżnikom. Dawali świadectwo wytrzymałości myśliwych. Wreszcie, daleko od wyczerpanych chelonian, których porzucili, zatrzymali się. Tworzyli dziwne towarzystwo, winopasterze i ekipa Cuttera obserwowali się nawzajem bez słowa przy jedzeniu, odnotowując osobliwości drugiej strony.

Przez pierwsze dwa dni słyszeli za sobą wystrzały. Później długo nie słyszeli nic, co nie zmieniało ich przekonania, że wciąż są ścigani. Nie zwalniali więc tempa i starali się zacierać ślady.

Winopasterze - Behellua i Susullil - pozostali z nimi. Często ogarniał ich smutek, trochę rytualnie lamentowali i opłakiwali utratę swojej winnej trzody. Wieczorami przy ognisku śpiewnym głosem snuli opowieści, nie zważając na to, że ich nowi przyjaciele nic nie rozumieją. Judasz potrafił przetłumaczyć tylko pojedyncze wyimki.

- Jest mowa o deszczu - mówił na przykład - albo o grzmocie... A teraz o wężu, księżycu i chlebie.

Elsie miała w plecaku spirytualia i winopasterze się upili. Opowiedzieli historię tańcem. W pewnym momencie wykonali skomplikowaną akrobację i odwrócili się do publiczności z nowymi twarzami - klanowa taumaturgia zamieniła ich w humorystyczne demony. Zęby sterczały im z ust jak toporne szable dzika. Wykrzywiali twarze w grymasach i rozciągali uszy do postaci skrzydeł nietoperzy, póki czar działał.

Winopasterze chcieli wiedzieć, dokąd zmierzają podróżnicy. Judasz próbował im wytłumaczyć, pomagając sobie rękami i nogami. Jak zrelacjonował później Cutterowi, powiedział im, że szukają przyjaciół, mitu, czegoś zaginionego, czegoś, co muszą uratować, czegoś, co kiedyś może uratować ich - że szukają Żelaznej Rady. Winopasterze zrobili wielkie oczy. Cutter nie wiedział, dlaczego z nimi zostali. Zaczęli się nawzajem uczyć swoich języków. Cutter obserwował Susullila i zobaczył, że ten to zauważył.

Co rano padał deszcz, jakby las się pocił. Wyrąbывali sobie drogę przez liany i poszycie, odganiając się od komarów i motyli-wampirów. Wieczorem padali na ziemię tam, gdzie się zatrzymali, brudni, wykończeni i podrapani. Pomeroy i Elsie palili cygaretki i używali ich do usuwania pijawek.

Droga biegła do góry, las zmienił charakter, było nieco chłodniej, a okolica była już typowo górską. Dach lasu obniżył się. Ibis i nektarniki wślępiały się w nich z góry. Behellua o mało nie zginął, kiedy pangolin królewski śmignął w jego stronę jadowitym językiem. Kiedy jednej osobie nogi odmawiały posłuszeństwa, Drogon szeptał do niej: Idź! i musiała posłuchać, a wszyscy oprócz Pomeroya godzili się na to.

- Judaszu, znasz drogę?

Ten skinął głową do Cuttera, naradził się z Drogonem i znowu skinął głową, ale Cutter wyczuł u niego niepewność. Rzucił okiem na kompas i nasiąkające wilgocią mapy.

Nagle Cuttera ogarnęło przytłaczające zmęczenie, jakby Nowe Crobuzon było przykute do jego nogi. Jakby każde nowe miejsce infekowało się miejscami, które zostawił za sobą.

Pomeroy i Elsie znowu zaczęli ze sobą współżyć. Judasz spał sam. Cutter słuchał miłosnych odgłosów i zobaczył, że Behellua i Susullil robią to samo. Potem ujrzał zdumiony, jak po wymianie zdań w języku swego winnego kraju siadają i zaczynają się nawzajem masturbować. Dostrzegli, że są obserwowani, i przerwali swoje zajęcie. Cutter pospiesznie zamknął oczy, kiedy Susullil wykonał gest osoby, która częstuje kogoś winem.

Rano Behelluy nie było. Susullil próbował go wytłumaczyć.

- Poszedł do drzewnego miasta - powiedział Judasz po długiej wymianie zdań. - Jest tam osiedle, gdzie idą wszyscy ci, których milicja pozbawiła dachu nad głową. Wszyscy uciekinierzy z wiosek, chelonii, koczownicy stepowi. Miasto wyrzutek w lesie. Znaleźli tam boga, który powie ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Według niego Behellua poszedł, żeby powiedzieć im... o nas.

„O tobie” - pomyślał Cutter. „O tym, co zrobiłeś z milicją. Staniesz się legendą. Nawet tutaj”.

- To dlaczego on został? - spytała Elsie.

- Judasz go oczarował, prawda? - zripostował Cutter. - Wszystkich nas oczarował - dodał bez cienia sarkazmu.

Cutter szedł tuż za Susullilem. O zmierzchu dotarli do polany i gdyby Susullil nie pchnął go w bok, Cutter wdepnąłby w omszałe kości - ślady po działalności mackodrzewa. Cutter nie umiał rozpoznać, od jakich zwierząt pochodziły kości, ale niektóre, czyste i białe, były świeże.

Na dolnych gałęziach drzewa siedział mężczyzna, który zabłąkał się tutaj z głębi lasu. Jego głowa i tors zniknęły w gęstwinie, a nogi wierzgały chaotycznie wciąż połykane przez drzewo. Susullil wszedł w zasięg macek, Cutter wrzasnął.

Drzewo sięgnęło ku niemu mackami gałęzi ruchem tak delikatnym, że można go było uznać za falowanie listowia. Winopasterz wykonał unik, machnął sierpem, zrobił salto do tyłu i wyczołgał się z cienia anemonu. Nogi uwięzionego leśnego człowieka zadrżały.

- Och, to ohydne - powiedziała Elsie.

Susullil trzymał w górze odcięty przez siebie owoc - mały, brązowawy, chropowaty, w rozpoznawalnym kształcie ludzkiej głowy. Ze wszystkich ofiarowoców drzewa Susullil wybrał ludzki.

„Kolejna różnica kulturowa” - pomyślał Cutter, kiedy siedzieli wieczorem przy ognisku i Susullil zjadał swoją zdobycz. Pomeroy, Elsie, a nawet powściągliwy Judasz reagowali na każdy kęs odgłosami obrzydzenia. Ofiarowoc zjedliby z równą ochotą jak psie gównem. Cutterowi przewracało się w żołądku, kiedy patrzył, jak Susullil przełyka, kładzie się i trawi resztki umysłu martwego mężczyzny. Przed zamknięciem oczu winopasterz spojrział na niego znacząco.

Pomeroy i Elsie odeszli od ogniska, a Judasz i Cutter rozmawiali jeszcze chwilę. Kiedy Judasz kładł się spać, Cutter poczuł na sobie jego taksujące spojrzenie i był pewien, że Judasz wie, co on zamierza. Ogarnęła go znajoma mieszanka emocji.

Czekał długo, aż głębokie oddechy zdradziły, że wszyscy śpią, a księżyc jasno oświetlił obóz. Kiedy obudził Susullila i pocałował go lubieżnie, poczuł na języku winopasterza smak martwego mężczyzny.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Światło słoneczne przecisnęło się przez gęsty, zielony baldachim. Elsie i Pomeroy zobaczyli, że Cutter leży tuż przy Susullilu. Podczas zwiwania obozu nie rozmawiali z Cutterem i unikali jego wzroku.

Jeśli Susullil zauważył ich zażenowanie, to nie dał tego po sobie poznać. Nie okazywał też czułości Cutterowi, jakby noc poszła w zapomnienie. Kiedy Cutter zwiwał koc, który służył jemu i Susullilowi za poduszkę, podszedł do niego Judasz i uśmiechnął się serdecznie, jakby błogosławiąc ich związek.

Cutter zapłonął. Przelknął ślinę. Przerwał pakowanie, nachylił się w stronę somaturga i powiedział cicho:

- Nigdy, ani dzisiaj, ani kiedykolwiek, nie potrzebuję twojego zasranego błogosławieństwa, Judaszu.

Było tak, jak niegdyś z Nowym Crobuzon, kiedy Cutter zabierał do domu jakiegoś mężczyznę i spotykał Judasza na ulicy. Na Cypress Row, na Salom Square Casbash. W któryś migalec Judasz przyszedł do Cuttera wcześniej rano i drzwi otworzył mu czarnowłosy chłopiec, obok którego Cutter się obudził. Jak zawsze na widok partnerów Cuttera Judasz uśmiechnął się ze spokojem, radością i aprobatą, mimo że Cutter odsunął chłopca na bok, podchodząc do Judasza i zamykając drzwi.

Kiedy Cutter szedł na podryw, oglądał się przez ramię z obawy, czy Judasz go nie śledzi.

Często marzył, że jest artystą, muzykiem, pisarzem czy libertyńskim felietonistą, który sieje swoim życiem zgorszenie, niebieskim ptakiem z Pól Salacusa, ale był sklepikarzem. Właścicielem sklepu w Brock Marsh, w którym zaopatrywali się uczeni. A Brock Marsh to była spokojna dzielnica, w niczym nieprzypominająca artystowskich, południowych obrzeży miasta.

Ekscytujące wydarzenia, na jakie można było liczyć w Brock Marsh, miały zupełnie inny charakter. Zabłąkane zaklęcia wyczarowywały drzwi w miejscach, gdzie ich być nie powinno. Istoty hodowane w taumatycznej plazmie czasem uciekały i stwarzały zagrożenie na ulicach, a dyskusje przeradzały się w zabójcze pojedynki, kiedy rywalizujący ze sobą myśliciele bombardowali się nawzajem depresyjnie naładowanymi antyjonami. Brock Marsh miało swoją historię i swoisty szyk, ale nie było tam miejsc, w których Cutter mógłby spotkać partnerów seksualnych. Kiedy w knajpach na południu miasta dostrzegał znajome twarze z Brock Marsh, nawzajem się ignorowali.

Cutter nie znosił chłopców-lalek z ich haleczkami i uszminkowanymi twarzami, przybranych kwiatami estetycznych zboczeńców, których widywało się w nocy na Polach Salacusa. Z naburmuszoną miną szedł wzdłuż kanału w Sangwine, mijając zniewieściałe męskie prostytutki, z którymi nie rozmawiał. Nie chodził do domów rozpusty, nie chciał płacić za tyłek jakiegoś faceta. To już nie te czasy. Rzadko też odwiedzał spelunki portowe, gdzie ci marynarze, którzy nie tylko z konieczności zaspokajali w ten sposób potrzeby na morzu, ale mieli takie preferencje, sprzedawali swoje ciało.

Od czasu do czasu zdarzało się jednak, że przepychał się przez wieczorny tłum do karczm z dyskretnymi wejściami, ciasnymi pokojami, małymi salami barowymi i mnóstwem dymu, gdzie starsi mężczyźni pożerali wzrokiem każdego nowego przybysza. Grupki mężczyzn śmiały się rubasznie, inni siedzieli sami z opuszczonymi głowami, a kobiety były mężczyznami, transwestytkami albo prze-tworzonymi, dawnymi mężczyznami, których pośredni status

niektórych rajcował.

Cutter był ostrożny. Nigdy nie wybierał zbyt pięknych: kto wie, może to agenci, którzy każdego, kto się do nich zbliży, wysłał do więzienia za nieobyczajność albo wraz ze swoją czekającą na zewnątrz ekipą zastosują doraźną karę dyscyplinarną w postaci pobicia i zbiorowego gwałtu.

Ani zawstydzony, ani unижony Cutter po prostu czekał, nienawidził tej knajpy i czuł się przez to jak prowincjusz, do momentu gdy wszedł ktoś taki jak on.

Minęło dwanaście lat, odkąd Cutter poznał Judasza Lowa. Miał wtedy dwadzieścia cztery lata i był młodym gniewnym. Szybko pokochał tego starszego od siebie o piętnaście lat mężczyznę.

Ich związek rzadko znajdował cielesny wyraz. Tylko kilka razy do roku dzielili ze sobą łożę, zawsze z inicjatywy Cuttera, który nigdy nie musiał jednak o to błagać. Na początku częściej, potem somaturga coraz trudniej było nakłonić. Cutter przypisywał to nie tyle wygaśnięciu pożądania, które nigdy nie było zbyt rozbuchane, lecz czemuś bardziej przemyślanemu, czego Cutter nie umiał ująć w słowa. Zawsze, kiedy byli razem, Cutter bardzo mocno odczuwał to jako wyraz uczynności Judasza. Nienawidził tego.

Wiedział, że Judasz zadaje się również z kobietami, i podejrzewał, że z innymi mężczyznami, ale z tego, co słyszał i czego mógł sam się domyślać, odbywało się to nie częściej i z nie większym entuzjazmem niż ich zbliżenia. „Zmuszę cię do krzyku” - pomyślał Cutter, kiedy ich spocone ciała ocierały się o siebie. Zabrał się do rzeczy z namietnością, która graniczyła z brutalnością. „Zmuszę cię, żebyś mnie poczuł”. Nie powodowała nim mściwość, lecz rozpaczliwe pragnienie wzbudzenia czegoś więcej niż serdeczność.

Judasz wiele go nauczył, zainwestował w jego sklep, po raz pierwszy zabrał Cuttera na obrady Plenum. Kiedy Cutter zrozumiał, że seks zawsze będzie tylko aktem ojcowskiej życzliwości, prezentem od Judasza, chciał zaprzestać pożycia, ale nie mógł wytrzymać abstynencji. Z upływem lat stracił nieco ze swojej młodzieńczej zapalczywości, ale był gniew, którego nie chciał w sobie wytepić. Część tego gniewu Plenum pomogło mu skanalizować na Parlament. Reszta, mimo gorącej miłości, którą go darzył, zawsze miała być wzbudzana przez Judasza Lowa.

- Chaver, Cutter - zagaił kiedyś Pomeroy. - Nie chcę cię zranić, ale czy ty jesteś... z drugiego brzegu?

Pomeroy niepotrzebnie się krygował. To nie było wyzwisko, lecz życzliwy eufemizm. Cutter miał ochotę go skorygować - „Nie, jestem dupojebem, Pomeroy” - ale byłoby to niepotrzebne chamstwo.

Wszyscy chaverim od dawna byli zorientowani i starannie unikali wszelkich aluzji na ten temat, ale tylko dlatego - jak usłyszał dwa razy Cutter - że dobrzy insurekcjoniści nie potępiają nikogo za to, że jest ofiarą chorego społeczeństwa. On sam nie obnosił się ze swoją orientacją, ale też - na Jabbera! - nie zamierzał za nią przeproszać ani jej ukrywać.

Wiedzieli, że Judasz z nim współżył, ale ku jego wściekłości wobec somaturga nie

odnosili się z taktowną powściągliwością, nawet w dniu, kiedy Cutter i Judasz przyszli na zebranie w zamienionych ubraniach.

- To jest Judasz.

Z Judaszem seks nie był seksem, tak samo jak gniew nie był gniewem, a gotowanie nie było gotowaniem. Jego zachowania zawsze nosiły na sobie piętno jakiejś nadprzyrodzonej prawości. Cutter był pedałem, ale Judasz był Judaszem Lowem.

Elsie i Pomeroy czuli się skrępowani w stosunku do Cuttera. Ale życie w drodze nie pozwala na ceregiele: wkrótce nawzajem się wspierali i pomagali sobie przy wchodzeniu na kamieniste skarpy i osuwiska.

Nocne zbliżenie nie wpłynęło na zachowanie Susullila. Wydawało się, że ani nie żałuje, ani nie dąży do powtórki. Cutterowi starczyło autoironii, aby podejść do tego z humorem. Trzy noce później znowu do niego poszedł. Pożycie było obarczone pewnymi trudnościami. Cutter musiał poznać skłonności swego partnera. Susullil lubił się całować i robił to z entuzjazmem nowicjusza. Ale do aktu głównego używał tylko rąk i na natarczywe Cutterowe próby zejścia z językiem niżej reagował z obrzydzeniem. Cutter próbował udostępnić swój tyłek i kiedy koczownik nareszcie zrozumiał, śmiał się z nieudawaną wesołością, budząc pozostałych, którzy udawali, że śpią.

Szybko oswajali się z egzotyczną fauną. Z wyposażonymi w odnóża grzybami, które na poły wspinały się po korze drzew, na poły z niej wyrastały. Z groteskowymi naczelnymi, które Pomeroy nazywał „małpami z piekła rodem” - z ich wewnętrznych konglomeratów eksplodowały różnoliczne wiązki kończyn gibbonów, które poruszały się brachiacyjnie z obłąkaną prędkością.

- Wiecie, gdzie jesteśmy, tak? - spytał Cutter Judasza i Dragona.

Gęstość lasu malała. Co chwila padał deszcz i ochłodziło się, powietrze nie było już ciężkie jak mokra ścierka.

- *Wciąż jesteśmy na właściwej drodze* - uspokajał Drogon.

„Ach, czyli wiesz, dokąd idziemy?” - pomyślał Cutter ze znużoną ironią.

Kiedy usłyszeli, że ktoś się zbliża, chwycili za broń, ale przybysze wznieśli okrzyki i nie próbowali się ukrywać. Podniecony Susullil odpowiedział i przyspieszył. Kiedy inni go dogonili, klepał się po plecach z Behelluą. Za synem marnotrawnym stało dwóch wystraszonych mężczyzn w leśnym kamuflażu, którzy skinęli głowami na powitanie.

Behellua uśmiechnął się szeroko do podróżników, nie przerywając rozmowy z Susullilem.

W końcu Susullil odwrócił się do Judasza, chociaż teraz już wszyscy trochę rozumieli jego język.

- Przychodzi z leśnego miasta - powiedział Judasz. - Potrzebują pomocy. Coś im zagraża, chce ich zniszczyć. Behellua opowiedział im o nas, o tym, jak ich obroniliśmy przed milicją. Myślą, że dysponujemy szczególnymi mocami. Mają dla nas propozycję. Jeśli im pomożemy... - Znowu zaczął słuchać. - Jeśli im pomożemy, ich bóg pomoże nam. Da nam to, czego potrzebujemy. Mówią, że wskażą nam drogę do Żelaznej Rady.

Kryptomiasto okazało się skupiskiem chat na polanie. Cutter wyobrażał sobie leśną metropolię z napowietrznymi kładkami i dziećmi zjeżdżającymi na lianach z liściastego nieba.

Wokół wioski ciągnęło się coś, co w zamierzeniu miało być palisadą. Odziani w barwy lasu mieszkańcy wpatrywali się w podróżników. Duża część domostw to były namioty impregnowane smołą lub gutaperką. Poza tym koślawe drewniane budy, dymiące ogniska, dół na odpadki. Większość populacji stanowili ludzie, ale błotnistymi ścieżkami wędrowały też owady wielkości dzieci.

Ludzie-owady mieli swoje domostwa w rogach osady. Pracowali jako chitynoogrodnicy. Spędzali do zagród miliony owadów, pajęczaków i stawonogów, karmili je i hodowali, aż w końcu dysponowały gigantyczną liczbą mrówek wielkości główki szpilki, półmetrowych stonóg i mnóstwem gatunków pełzających os. Za pomocą dziwnych technik wykorzystywali swoje trzody jako materiał budowlany, delikatnie ściskając je razem, formowali i wygładzali, tworząc coś w rodzaju chitynowego betonu. Z tej żywej zaprawy budowali parterowe domki, po czym dalej karmili insekty, żeby nie zdechły, tylko pozazębiały się i zespoliły ze sobą w architekturę, getto żywych domów.

Ludzie z Kryptomiasta mówili różnymi dialektami gallagijskiego, które z domieszkami tesh tworzyły swoisty pidżyn. Wójt był człowiekiem agresywnym, jak również zakompleksionym - zauważył Cutter - ponieważ zdawał sobie sprawę, że jest miernotą, a władzę otrzymał na skutek niezbadanych wyroków historii.

Cutter doszedł do wniosku, że ci uciekinierzy, którzy umieją zadbać o siebie, nie zagrzeją tu długo miejsca. Kryptomiasto było zbiorowiskiem istot bezradnych. Nic dziwnego, że mieszkańców ogarnęła panika. Nic dziwnego, że stali się łatwym pokarmem dla jakiegoś drapieżnika.

Zagadywani i pozdrawiani z mechaniczną kurtuazją podróżnicy zostali zaprowadzeni do długiej chaty z drewnianą wieżą, prymitywnym minaretem z nieheblowanych desek. Był to kościół z wygrawerowanymi i wymalowanymi symbolami na ścianach. W środku stały stoły, na których leżały odłamki luster, papirus i szata z gładkiej, czarnej wełny. Wójt ich zostawił.

- Co my tu, kurde, robimy? - spytał Cutter po chwili milczenia.

Po kościele latało echo i cienie, które nie miały prawa tam być. Ustawili się w krąg plecami do siebie.

- Coś tu jest... - szepnęła Elsie. - Coś tu jest...

- Ja tu jestem.

Głos był gardłowy i charczący. Padli na ziemię z szybkością czujnych myśliwych. Czekali.

- Kim jesteś? - spytał Judasz.

- Jestem tutaj - słowa były akcentowane, lepkie, jakby krzepły w gardle. Ruch, za którym nie nadążyli. - Przyprowadzili was tutaj, żeby wam pobłogosławił. Tak myślę. Chwileczkę. Tak, właśnie po to. I żeby wam doradził. Potrzebują was, żebyście ich uwolnili od Plagi.

Drogon pokazał na stół. Wełniana szata zniknęła.

- Mówisz naszym językiem - zauważył Cutter.

- Jestem małym bogiem, ale jednak bogiem. Oni zrobili z was bohaterów, którzy uśmiercą bestię. Taki jest plan, trzeba wam wiedzieć. Uważacie się za bohaterów?

Głos zdawał się sączyć ze ścian, w wielu miejscach naraz.

- Owszem, tak sobie wymyślili - odparł Pomeroy. - Co w tym złego?

Pomeroy zaczął powoli chodzić wkoło, butny bezbożnik w obecności boga. Drogon centymetr po centymetrze obracał głowę, poruszając ustami.

- Nic - zripostował głos. - Absolutnie nic złego. Poza tym, że stracie tylko czas, szczerze

mówiąc. Ty, hm, masz córeczkę, z kurwą ze Smołuojścia. Lepiej idźcie w swoją drogę. To miasto jest skazane na zagładę. Uratujecie ich od tej plagi, to przyjdzie następna i ich wykończy.

Pomeroy pracował ustami. Elsie go obserwowała. Jej twarz była pozbawiona wyrazu.

- W takim razie po co tutaj jesteś? - zapytał Cutter.

- Bo to jest moje miasto, które kazałem im zbudować. Potrzebują mnie. Hm, a ty... nie masz przekonania do Plenum, prawda, sklepikarzu?

Cutter poczuł się jak rażony gromem. Pozostali patrzyli na niego. Drogon szarpnął głową do przodu. Wykonał taki ruch, jakby zamierzał splunąć. Bezcielesny głos sapnął głośno. Zrobiło się zamieszanie, ktoś zwymiotował, substancja rzeczywistości zadrżała, a potem, trzęsąc się z wysiłku, spod stołu wyłoniła się jakaś zakapturzona postać. Chuda, nabrzmiała twarz, głębokie bruzdy, ogolona głowa, rzygowiny na ustach, zgroza w oczach.

Ta nieznaney płci istota przez kilka chwil stała i dygotała jak skuta lodem, po czym beknęła i podbiegła do słupa, za którym zniknęła. Cutter pospieszył za nią, a Pomeroy obszedł słup z drugiej strony, ale spotkali się ze sobą i nic nie znaleźli. Postać zniknęła.

Głos powrócił, wściekły i wystraszony.

- Już nigdy tego nie róbcie! - groził.

- *Wykryłem go* - powiedział Drogon do ucha Cuttera. - *Zgadłem, gdzie się chowa, i zaszeptalem go. Rozkazałem mu, żeby nie czytał nam w myślach, tylko się pokazał.*

- Zaczekaj, szeptodzieju - odparł Cutter. - Boga, kurwa, udajesz? - powiedział do pustej sali. - Jak się nazywasz? Skąd znasz nasz język? Kim jesteś?

Na odpowiedź musieli chwilę poczekać. Cutter zadał sobie pytanie, czy postać nie schowała się w taumatycznej otulinie. Kiedy głos znowu się zameldował, Cutter usłyszał w nim rezygnację, ale także ulgę.

- Mówię po ragamollsku, bo musiałem nauczyć się czytać w tym języku, żeby poznać tajemną wiedzę z waszych ksiąg. Jestem tutaj z tego samego powodu, co wszyscy inni: uciekłem. Jestem uchodźcą. Wasza milicja omija Tesh, ale podeszli blisko niziny Catoblepas. Zaatakowali nasze miasta i wysunięte przyczółki. Klasztory. Jestem mnichem. Sługą Momentu Rzeczy Zaginionych i Zakrytych.

Milicja siała zniszczenie w cieniu Tesh. Miasto pozamykało bramy i nappełniło fosy. Klasztor znajdował się na zewnątrz, w dolinie ciernistych krzewów. Sądzono, że jest bezpieczny.

Kiedy nadeszła wiadomość, że zbliża się niewolniczy szwadron prze-tworzonych zabójców, cenobici czekali na pomoc z Tesh. Dopiero po wielu dniach uświadomili sobie, że żadnej pomocy nie będzie, że zostawiono samym sobie. W panice klecili chaotyczne plany. Ich świątynia była pod wezwaniem Wielości Jedynego Horyzontu, z brygadami mnichów oddającym cześć różnym Momentom.

Niektórzy walczyli, inni szukali męczeńskiej śmierci. Słudzy Cadmera, Momentu Kalkulacji, wiedzieli, że nie mogą zwyciężyć, i czekali w dolinie cierniowych krzewów na nieprzyjacielskie kule. Słudzy Zaori, Momentu Magicznego Wina, zapili się na wizjonerską śmierć, zanim milicja ich dopadła. Ale Moment Synogarlic wysłał swoje ptaki, żeby męczeńsko wleciały między tryby milicyjnych machin i zatrzymały je; Moment Wysznięcia zamienił milicyjną krew w popiół; Pharru i Tekke Shesim, Momenty Zapomnianego Śniegu i Pamięci, wspólnie wywołały burze lodowe.

Ale milicyjni taumaturogowie byli mistrzami w swoim fachu, a oficerowie niewolniczego

szwadronu nie znali litości, toteż klasztor w końcu musiał zostać wzięty. Kiedy to nastąpiło, tylko słudzy Tekke Vogu, Momentu Rzeczy Zakrytych i Zaginionych zdołali uciec.

Neofitów wymordowano, ale mnisie obrzędy uczyniły ich niewidocznymi dla napastników. Wyczołgali się z płonących ruin swojej świątyni i z Tesh, Miasta Pełzającej Cieczy, które było dla nich zamknięte, które pozostawiło ich własnemu losowi. Wyruszyli w świat.

Mnich wszystko im powiedział. Chciał otworzyć przed nimi duszę, wyczuwał Cutter.

Jesteśmy zakryci. Wiemy zakryte rzeczy. Zostały nam powierzone. Znajdujemy zaginione rzeczy. Podróżuję szybko: podróżuję zakrytymi przejściami, zaginionymi drogami. Po przybyciu tutaj kazałem im zbudować ten kościół. Tutaj łatwo jest być bogiem. Każdemu, kto przychodzi, mówię jakąś małą tajemnicę, coś zakrytego, dlatego mi wierzą.

- Jak ci na imię, mnichu? - spytał Cutter.

- Qurabin. Czerwony mnich Ósmego Kręgu Tekke Vogu.

- Czy to jest imię męskie?

Śmiech.

- Nasza onomastyka tego nie rozróżnia. Pytasz mnie, czy jestem mężczyzną? - głos nagle bardzo się przybliżył. - Nie wiem tego.

Wszystkich mnichów Tekke Vogu otulał Moment, ale to była transakcja wiązana. Uczyli się znajdować zakryte i zaginione, ale sakrament Vogu był sprzedawany, nie udzielany w darze. Ceną za opiekę Momentu było coś zaginionego albo zakrytego przed sługą i złożonego w ofierze Vogu.

- Niektórzy mnisi nie znają swoich imion, bo zostały przed nimi zakryte. Niektórzy zagubili oczy, domy, rodziny. Kiedy ja wstąpiłem na służbę Vogu, zakryta została przede mną moja płeć. Pamiętam swoje dzieciństwo, ale nie to, czy byłem chłopcem czy dziewczynką. Przy sikaniu patrzę w dół, ale to jest przede mną zakryte. Ma płeć zaginęła. - Qurabin powiedział to bez żalu.

- Czyli chcesz, żebyśmy unieszkodliwili to coś, co was nęka? - spytał Cutter.

- Ja nie - odparł Qurabin. - To oni chcą, żebyście ich obronili. Ta zabita deskami dziura nie jest warta waszego wysiłku.

Podróżnicy wymienili spojrzenia.

- Jak na boga nie jesteś zbyt opiekuńczy - powiedziała Elsie.

- A mówiłem, że jestem? To oni zbudowali wokół mnie tę głupią wioskę i ciągle czegoś ode mnie chcą. Ja o to nie prosiłem. Gdzie byli moi protektorzy? Mogę postąpić z nimi tak samo jak Tesh ze mną. Jeśli o mnie chodzi, wioska może spłonąć.

- Do tej pory mówiłeś co innego - zaprotestował Cutter, ale Judasz wszedł mu w słowo.

- Kim ty jesteś, żeby o tym decydować? - Podeszedł do prymitywnego ołtarza i wbił w niego wzrok, jakby wiedział, że Qurabin ukrył się właśnie tam. - Kto dał ci takie prawo? Przychodzą tutaj, budują dla siebie nową osadę, uciekając przed tymi, którzy chcą ich zabić tylko dlatego, że mieszkają blisko Tesh. Próbują coś stworzyć i popełniają tylko jeden błąd: szukając boga, znajdują ciebie. Obiecali nam pomoc, obiecali nam przewodnika. Powiedz nam, co to za

licho ich gnębi, a my ich od niego uwolnimy. A ty pomożesz nam znaleźć to czego szukamy. -
Leśna wilgoć skapywała przez szpary w marnej konstrukcji. - Powiedz nam, gdzie to jest. Nie
wierzę, że los tej wioski nic cię nie obchodzi. Obchodzi cię. Chcesz nam powiedzieć. Powiedz
nam. Otrzymaliśmy twoją ofertę. Oni potrzebują, żebyśmy zabili tę bestię, a ty dasz nam w
zamian to, co obiecałeś.

- Dla was nie wezmę nic z domu Vogu...

- Nie wyjeżdżaj mi tutaj ze swoją cholerną pobożnością, bo jak trzeba było zbałamucić
krajowców, to całymi garściami brałeś różne rzeczy z domu swojego boga. Powiedz nam, gdzie
jest bestia, my ją załatwimy, a potem nam powiesz, gdzie jest Żelazna Rada.

- Ja nie biorę, tylko kupuję - odparł Qurabin. - Za wszystko, czego się dowiaduję, coś jest
mi odebrane. I to boli. Vogu nie daje nic za darmo. Odsłonięcie kurwy i córki twojego przyjaciela
mnie zapiekło i coś straciłem. Zaginione i zakryte przez Moment. Mam odsłonić Żelazną Radę?
To by mnie drogo kosztowało.

Znowu cisza zakłócana tylko kapaniem. Przerwał ją Judasz:

- Bestia. Gdzie ją znajdziemy?

Długie milczenie.

- Zaczekajcie - powiedział głos, znowu z żalem podszytym ulgą.

„Ma dosyć bycia bogiem” - pomyślał Cutter. Spojrzał na Judasza, który stał drżący i
majestatyczny. Cutter zobaczył, że Qurabin stoi przed sprawiedliwym Judaszem zagubiony,
pokonany, opuszczony, ale i pełen nowej nadziei.

- Spróbuję - powiedział głos i po tych słowach rozległo się gardłowe charczenie.

Kiedy Qurabin odezwał się znowu, jego głos był głosem istoty cierpiącej z powodu bólu i
do bólu nawykłej.

- Cholera. Psiakrew. Jest niezakryta. Bestia.

- Co straciłeś? - spytał Cutter.

- Czyjeś imię.

Imię kogoś ważnego, dosłuchał się Cutter.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

O świcie dotarli na podmokłe tereny. Błoto, grząskie ścieżki, nagie białe drzewa. Bagnisko pociło się. Drzewa szeleściły, ale ledwo słyszalnie.

Maszerowali, wygnańcy z Nowego Crobuzon, Susullil i Behellua, grupka odważnych mieszkańców Kryptomiasta. Był z nimi Qurabin, niewidoczny.

Cisza ciążyła Cutterowi. Chciał śpiewać albo się śmiać. Okolica nie zwracała na niego uwagi i czuł się urażony tym lekceważeniem. Usiłował myśleć o sobie tu i teraz, ale w jego świadomości istniały tylko crobuzońskie złogi. Obciążał terażniejszość balastem przeszłości.

Judasz otwierał pochód. Gigantyczny golem kroczył obok niego. Wysoki na dwa i pół metra, z drewna i wszelkich ostrzy, które udało się zdobyć w Kryptomieście. Judasz wyposażył golema w zawiasowe stawy i obrotową głowę. Mógł stworzyć coś podobnego, dotykając sterty drewna, ale golem spajany wyłącznie taumaturgicznie albo wylałby go z siłą, albo szybko by się rozpadł.

Judasz znowu puścił woskowy cylinder. *Słabo cię znam ale mówią że należysz do rodziny uznałem więc że powiem a nie napiszę w każdym razie Uzman nie żyje.* Cutter zobaczył, jak bardzo zasmuciła Judasza ta wiadomość z przeszłości, i zadał sobie pytanie, kim był dla niego Uzman.

- Wiesz, Cutter, dlaczego zostałem golemistą? Na wiele lat przed wojną z konstruktami. Kiedy zaczynałem, nie dało się na tym zarobić. Pociągała mnie tajemna strona golemetrii. Golemy niematerialne. Wiesz, że jest coś takiego jak golem dźwiękowy? Trudne, ale do zrobienia. Nigdy nie widziałeś golema cieniowego, prawda? Ten rodzaj golema... - Pokazała na drewnianego olbrzyma. - Dla mnie to jest efekt uboczny, a nie istota zagadnienia.

Niewykluczone, ale zbudowany przez niego twór był mocny i trwały. Przekręcił głowę, żeby słońce zaświeciło mu w oczy z tanich paciorków. Funkcję palców pełniły zardzewiałe noże.

- Bestia jest blisko - ostrzegł Qurabin, znowu głosem pełnym bólu: musiał z czegoś zrezygnować dla tej wiedzy.

Cutter pomacał czubkiem buta bryłę nieapetycznych kolorów i zaklął zszokowany. To było truchło zwierzęcia. Rozpadło się, wyzwalając falę ohydnej fetory. Cutter odskoczył do tyłu. Pomeroy odwrócił się i krzyknął, zagłuszając coś, co powiedziała Elsie.

- Tutaj! - powtórzyła Elsie.

Stała nad zwłokami. Cutter zobaczył połysk rozkładu. Klatki piersiowej w większości brakowało.

- Jabberze drogi - westchnął Cutter. - Trafiliśmy do jej jadalni.

- Szybko! - powiedział Judasz. - Szybko, tutaj!

Stał nad brzegiem trzęsawiska i wyciągał rękę do młodego człowieka, który siedział obleziony pijawkami. Chłopiec był przerażająco chudy. Nie podniósł wzroku, zapatrzony w szary kawałek mięsa, z którego odgryzał kęs po kęsie.

Cutter krzyknął odruchowo. Zobaczył innego wycieńczonego człowieka, zakamuflowanego zielskiem i kawałkami drewna. Ten też coś żuł. Niedaleko niego stał leśny tapir, poruszając szczękami.

- Judaszu! - zawołał Cutter. - Judaszu, wracaj.

W wodzie było mnóstwo ciał, zastygłych, jeśli nie liczyć ruszania szczękami. Mężczyźni i kobiety, dygoczący pies. Wszyscy mieli skorupę brudu wokół ust i z każdego ciała wyrastała roślinna liana.

Gazy zabulgotały i to, co Cutter wziął za grudę bagiennego szlamu, zaczęło się podnosić. Zamrugało. To, co uznał za kamienie albo dziury, było oczami. Czarnymi perłami oczu. Stwór się podniósł.

Rzekome liany okazały się zaopatrzone w przyssawki kończynami. Każda wychudzona istota miała taką mackę, zamocowaną z tyłu szyi - każdy dorosły, każde dziecko, każde zwierzę. Wszystko, co jedli, kierowane było do tych groteskowych jelitowatych smyczy i przechodziło przez nie perystaltycznie. Nieświadome niczego kanały transportowe dla pokarmu. W centrum tych ramion, niektórych wciąż jeszcze poszukujących ofiary, znajdował się stwór, którego odżywiały.

Korpulentny jak mężczyzna z nadwagą, niewyraźnie i ohydnie polipowaty, nie unosił się na wodzie, lecz wisiał nad nią wydzwignięty lżejszymi od powietrza gazami lub taumaturgia. Cutter zobaczył pod spodem płataninę cienkich, krabich odnóży, które rozprostowały się i stwór stał jak na wiązce szczudeł. Ociekał wodą. Patrzył. Macki drgały. Rozprostował kościste szpony.

Stwór poruszył się szybko i z groteskową wytwornością na nogach, które nie miały prawa go utrzymać. Macki rozciągnęły się jak guma. Szedł, nie poruszając idiotycznymi rurkami zasilającymi.

Kryptomieszczanie uciekli, ścigani upiorami ciepłej mgły i ramionami stwora, który ptasimi pazurami chwycił się drzew. Kulki mięsa wyskakiwały z niego jak oczy ślimaka. Magazynówka Cuttera nagle zrobiła się bardzo mała. Jej właściciel pobiegł w stronę Judasza. Macki stwora chłostały powietrze. Na końcu jednego z ramion Cutter zobaczył małe oczy, umięśniony otwór gębowy z umieszczonymi dookoła, jak u minoga, rogowymi zębami.

Cutter strzelił w żebrowane ciało, trafił i osiągnął tylko tyle, że spod zadrażnionej skóry pociekło trochę mlecznego płynu. Płatanina ramion popęzła ku niemu, kłębiąc się jak pokłócone ze sobą robale.

- Zabijcie go! - zabrzmiał nie wiadomo skąd głos Qurabina.

Huknęły kolejne strzały.

Cutter usłyszał Judasza wołającego: „Zaczekajcie, zaczekajcie!”, a potem starcie drewna ze skórą. Jego spojrzenie pomknęło ku golemowi, który śmignął przez warkocz macek i kilka z nich odciął. Pozostałe oplotły go, wżarły się w jego szyję, wtrysnęły w drewno enzymy. Zdezorientowany golem na chwilę znieruchomiał.

Po chwili golem zaatakował swoim mało wyrafinowanym sposobem, tnąc ostrzami i wykorzystując ogrom magicznych mocy. Chlusnęła krew i tkanka, potwór zachwiał się, a uwiązane do niego istoty przestały jeść. Pomeroy podbiegł i wpakował lufę strzelby w jego tłuszcz. Ciało zagłuszyło huk eksplozji, ale kule przebiły się do wnętrza.

Nawet wtedy potwór nie przewrócił się, tylko zatoczył małymi kroczkami. Golem znowu przypadł do niego. Cutter skierował uwagę na Judasza. Somaturg poruszał swoim ciałem, nieznacznie, i drewniano-nożowy golem naśladował go. Golem metodycznie pokrajał pasożyta na kawałki.

Ofiary potwora były martwe lub pogrążone w śpiączce. Od dawna służyły wyłącznie za maszyny pokarmowe dla nienasyconej istoty.

Susullil i Pomeroy byli ranni. Susullil pozwolił Cutterowi, żeby oczyścił mu rany. Dwóch kryptomieszczan zginęło. Jeden znalazł się w zasięgu nienaturalnie wygłodzonych ludzi, którzy pochwycili go i zaczęli apatycznie pogryzać.

Kryptomieszczanie wzięli organiczne trofea, poszukali w ciele bestii dziobów i szponów. Cutter był głęboko zniesmaczony. Żałował, że nie ma przy sobie aparatu. Wyobraził sobie heliotyp, gdzie obok siebie stoją kolejno: Susullil, Judasz, Elsie, Pomeroy z jego muszkietem, na

końcu Cutter przy golemie, a na wszystkich twarzach solenna duma myśliwego.

Tego wieczoru w jednej z publicznych chat Kryptomiasta panowała biesiadna atmosfera. Mężczyźni i kobiety, dawni zbieracze-myśliwi lub mieszkańcy chelonii, tańczyli upici bimbrem.

Wśród nich kręcili się mali ludzie-chrabąszcze. Nic nie mówili i starali się nie plątać nikomu pod nogami. W milczeniu podnosili resztki jedzenia, dotykali sukna, pocierali się nawzajem czułkami.

Susullil siedział koło Behelluy. Cutter obserwował ich i wiedział, że w nocy czekało ich przyjazne zbliżenie, które on nazywał seksem, ale oni najprawdopodobniej tak o tym nie myśleli.

Wokół stołu opowiadano historie. Dla kryptomieszczan ich bóg Qurabin nagle stał się ich obrońcą i kimś realnym. Mnich krążył niewidzialny wśród nich i pełnił funkcję tłumacza.

Za jego pośrednictwem winopasterz Susullil opowiedział im historię o najlepszych zniwach w dziejach House Predicus, o uśmierceniu pierworodnego winowieprza, aby młodszy od niego *designatus*, którego owoce były bardziej suche i lepsze, przejął funkcje rozplodowe. Odmalował im cały dramatyzm i tragizm tej sytuacji. Kiedy skończył, Crobuzończycy klaskali razem z innymi.

Przyszła kolej na nich i los padł na Cuttera. Kryptomieszczanie po cichu skandowali miarowo, wstrzelił się więc w ich rytm. Najpierw jednak zawahał się i spuścił wzrok. Wreszcie, buńczuczny i pijany, zadowolony z tego, że znajduje się w centrum uwagi, zaczął mówić:

- To jest długa historia. Historia, która nie powinna się wydarzyć. Trwała jedną noc i jedno przedpołudnie... To było pięć lat temu. Spotkałem człowieka. Byliśmy w portowej knajpie. Zaprosiłem go do siebie. Byliśmy odurzeni narkonaparem i shazbahem. Robiliśmy to, co wszyscy lubimy robić, wiecie, i było przyjemnie. - Winopasterze śmiali się, kiedy Qurabin im przetłumaczył. Elsie i Pomeroy zwiesili głowy. - Później, kiedy spał, przesunąłem go na bok, poszedłem się wysikać i zobaczyłem jego ubranie. Z kieszeni wystawał mały pistolecik. Nigdy nie widziałem czegoś tak zmyślnego. Chociaż to nie była moja sprawa, wyciągnąłem pistolecik i razem z nim wypadł znaczek milicji. Przyprowadziłem do siebie milicjanta. Nie wiedziałem, co mam robić. Z jakiego on jest wydziału? Narkotyki? Obyczajówka? W obu wypadkach ma na mnie haka. Przyszło mi nawet do głowy, żeby go zastrzelić, ale oczywiście nie mogłem tego zrobić. Więc myślę sobie, może powinienem zniknąć albo spróbować go przekonać po drodze do kicia, może mi odpuści, może to, może tamto. W końcu zrozumiałem, że nic nie poradzę. Więc wróciłem do łóżka. A przy okazji go obudziłem. I znowu trochę się razem zabawiliśmy. - Znowu śmiechy i okrzyki. - A jak zrobiło się jasno, to jeszcze raz to samo. - „Jestem pijany” - pomyślał Cutter. Ale było mu wszystko jedno. - Czekałem, chciałem prosić go o litość albo spróbować go przekupić, bo teraz już wiedziałem, co go kręci, no nie? Wstałem, wybiegłem na zewnątrz i pomyślałem, że może powinienem biec bez końca, nie zatrzymywać się. Zamustruję się na statek, zmienię nazwisko, nie dam się zamknąć, nie dam się prze-tworzyć. Ale potem minąłem piekarnię, warzywniak, i pomyślałem sobie, że nie mogę tego wszystkiego stracić. Nie mogę po prostu zniknąć. Więc zamiast zwiać, poszedłem na małe zakupy i wróciłem do domu. Obudziłem go. Zjedliśmy razem śniadanie nad moim sklepem w Brock Marsh i poszedł sobie. Czują pocałunek na pożegnanie i koniec. Już nigdy go więcej nie widziałem. I myślę sobie: może ani przez chwilę nie miał zamiaru mnie capnąć. Ale marzy mi się co innego: że po tym, co dla niego zrobiłem, po tym pięknym śniadaniu: ryba z grilla, rumszytek z cebulką i sałatka owocowa z bitą śmietaną, a na środku stołu kwiaty, jakbyśmy byli małżeństwem... myślę, że tego ranka na parę minut naprawdę się we mnie zakochał. Mówię poważnie. Ja też się w nim zakochałem. Nigdy nikogo nie kochałem tak bardzo jak jego, kiedy mnie pocałował i powiedział do widzenia. Bo jestem pewien, że wiedział, że ja wiem. To pożegnanie to był jego prezent dla mnie. Tak jak śniadanie było moim prezentem dla niego. Nigdy wcześniej ani później nikogo tak nie kochałem,

no może z wyjątkiem jednego mężczyzny.

Kiedy stało się oczywiste, że skończył, zabrzmiały brawa winopasterzy i inne okrzyki aplauzu pośród słuchaczy. Elsie i Pomeroy trochę klaskali, ale Pomeroy unikał wzroku Cuttera. Cutter z czułością patrzył, jak ten olbrzym bije jedną wielką łapą o drugą. „Niech ci bogowie błogosławią” - pomyślał. Na zakończenie tego wszystkiego Elsie posłała mu krótki uśmiech.

A potem zobaczył Judasza i uśmiech na ustach golemisty był inny - świecący wewnętrznym blaskiem, skierowany do całego świata, był to uśmiech idola. Namiętność do tego starszego człowieka zapłonęła w Cutterze jak ogień.

Cutter nie interesował się bogami. Do niektórych postaci z crobuzońskiego panteonu odczuwał pewną sympatię, zazwyczaj z heretyckich przyczyn: na przykład do Crawfoota, którego wybryki odbierał nie jako nieudolną błazenadę, tylko taktyczną dywersję. „W głębi duszy jesteś insurekcjonistą, prawda?” - myślał sobie zawsze, natomiast kapłani udawali cierpliwą pobłażliwość wobec tego błazeńskiego boga podczas Craftfootaliów. Nie oddawał mu jednak czci. Jeśli się modlił, to cynicznie albo oportunistycznie. Mimo to doceniał moc praktyk religijnych Qurabina.

Mnich potrafił znaleźć zakryte i zgubione, ale musiał za to płacić. W głosie Qurabina Cutter nie słyszał już jednak pychy związanej z tą mocą. Słyszał, że coś się zmieniło. „Mnich kapituluje” - myślał Cutter.

- Gallagi mówią, że to jest... *sobrech* albo *sobrechin lulsur*. Gra słów. - Czasem ciszej, czasem głośniej Qurabin odsłaniał zakryte informacje. - *Sobresh* znaczy godzin pogardy, a *sobrichi* to kapitan. W moim języku nie znajduje to odpowiednika. W Tesh... nie klasyfikujemy rzeczywistości tak bardzo jak wy. - Kiedy zaczął mówić o Tesh, w jego głosie pojawiła się nienawiść i wściekłość.

Cutter nie był zaskoczony, kiedy następnego dnia rano Qurabin przyszedł do nich i powiedział, że postanowił podróżować razem z nimi. Nie powie im, gdzie jest Żelazna Rada, ale im pokaże.

„Chce odpocząć” - pomyślał Cutter. „I pobyć sam. Z nami. Zbiera się na odwagę. Będzie odsłaniał coraz więcej zakrytego, niezależnie od kosztów. Jakie to ma znaczenie? Dla kogo on ma żyć? Komu winien jest lojalność?”

Spadł deszcz, ale inny. W każdej kropli jak owad w bursztynie uwięzione były promienie słońca i wyglądało to tak, jakby z nieba lało się światło. Kryptomieszczanie pomachali im na pożegnanie.

Susullil uśmiechnął się do Cuttera i skinął głową.

- Nigdy się do końca nie zrozumieliśmy, co nie, stary? - powiedział Cutter z humorem.

Głos Qurabina, niezwykle androgeniczne parlando, wyartykułował słowa pożegnania. Nikt nie sprawiał wrażenia przygnębianego faktem, że jego bóg odchodzi.

Cutter naturalnie nie rozumiał ani słowa z tego, co mówił Qurabin. „Teraz możecie sami za siebie wziąć odpowiedzialność, nie potrzebujecie bogów” - pomyślał. „Albo «Bądźcie wierni mojej pamięci, bo inaczej wrócę i oślepię was moją wściekłością», albo «Nie jestem bogiem,

jestem taką samą istotą jak wy, pobłądziłem z powodu idiotycznej religii»,.

Podróżnicy szli na północny zachód, potem na północ. Jeden dzień, a potem następny przez las, w którym powoli się ochładzało. Im bardziej się wznosili, tym niżej opadał dach lasu.

Drzewa rosły rzadziej. Istoty wyglądające jak patykowate niedźwiedzie i zębate osy wielkości kotów piły wodę ze stawów. Cutter sądził, że ma przywidzenia. Ciągłe mu się wydawało, że są śledzeni.

W niewidzialnym towarzystwie mnicha podróż przebiegała inaczej. Pierwszy zauważył to Drogon.

- *Posuwamy się za szybko* - powiedział do Cuttera. Pokazał na charakterystyczne stare drzewo w kształcie litery Y. - *Nie trać go z oczu* - szepnął.

Cutter usiłował skupić się na własnych stopach, ale to go dezorientowało. Teren zdawał się zmieniać, jakby ścieżka wciąż się gdzieś przemieszczała. Wskazane przez Drogon drzewo stało niecały kilometr dalej, nad rzeką. Cutter usłyszał, jak Qurabin przebija się przez zarośla i mówi do siebie. Cutter dał nura pod kolczastą gałąź, postawił jeszcze dwa kroki, zatrzymał się i usłyszał szept Drogon:

- *Mówiłem ci.*

Rzeka była za nimi. Cutter widział ją przez zarośla, widział też drzewo z czarną korą i gałęziami sięgającymi ku niebu jak wzniesione w błagalnym geście ramiona.

Nie było translokacji. Po prostu siedł. Jego towarzysze wyglądali na skonsternowanych, z wyjątkiem Judasza.

- Ile cię kosztowało znalezienie tych dróg? - golemista spytał Qurabina.

- To są zakryte drogi, skróty, zaginione ścieżki - odparł mnich. Czasem Moment pozwala mi z nich korzystać. Czasem - powtórzył zmęczonym głosem. - Obiecałem, że was zaprowadzę.

„Czemu tak szybko, mnichu?” - pomyślał Cutter. „Nie musisz podróżować skrótami. Ile cię kosztują te wszystkie tajemnice?”

Za sprawą Qurabina pokonywali większe odcinki, mimo że maszerowali w takim samym tempie. Mnisze drogi nieprawdopodobnie przyspieszały podróż. Okrążali kamienne słupy pośród drzew i nagle stwierdzali, że znajdują się na pustynnym płaskowyżu. Lasy były coraz rzadsze, jakby maszerowali po starej, coraz bardziej zetłalej tapiserii.

- Tędy... chyba - mówił Qurabin, po czym igły kompasów wariowały, a oni pokonywali kilometry. Poruszali się szybciej od koni.

Cutter rozumiał, że działania Qurabina nie były wyrazem pobożności, lecz apostazji. Qurabin wrywał Momentowi zaginione i zakryte rzeczy i codziennie brzmiał tak, jakby od poprzedniego dnia go ubyło.

- Chcesz zniknąć - powiedział Cutter ściszym głosem. Mnich był wykorzeniony, odtracony, odcięty od swojej przeszłości i ojczyzny. „Chcesz zniknąć. Z każdą zaginioną trasą, którą odkryjesz, coś tracisz... coś zostaje przed tobą zakryte. Masz już dosyć. W ten sposób chcesz ze sobą skończyć. Żeby to miało jakiś sens”. Ich podróż była przedłużonym samobójstwem Qurabina. - Chyba wiesz, do czego zmierza mnich - powiedział Cutter do

Judasza. - Miejmy nadzieję, że nie będzie cały zakryty, zanim dotrzemy na miejsce.

- Jesteśmy już blisko - odparł Judasz i uśmiechnął się z wyrazem takiego szczęścia na twarzy, że Cutter nie mógł nie odwzajemnić uśmiechu.

Trawa rosła wysoka i soczysta. Doły wypełnione moreną polodowcową, podmokłe zapadliny i piaszczyste niecki na przemian z niewysokimi wzniesieniami. Już od tyłu tygodni byli w drodze. Zobaczyli zagajniki jadłoszynu i ruiny. Trawa falowała na wietrze jak zielone morze. Mnich był coraz słabszy, coraz bardziej zakryty, ale nadal robił to, co obiecał. Przeprowadzał ich koło stawów, stad zwierząt, owiniętych wokół drzew stonóg rozmiarów pytona.

Któregoś dnia zobaczyli stworzenia, które ciągnęły za sobą ślad pyłku i kurzu i które pruły przez trawę jak wieloryby przez płycznę. Borinatch, strider, kopytni stepowi nomadzi. Klan rodzinny, młode na czele, królowa z tyłu. Striderzy byli znacznie wyżsi od ludzi. Poruszali się dziwnym galopem: ich pozbawione kolan nogi śmigały jak szczudła. Jedna z samic odwróciła ku nim przyjazną zwierzęcą twarz, zobaczyła ich i pomachała. Ich górne kończyny dziwnie funkcjonowały: wyglądało to tak, jakby pojawiały się i znikaly.

Podróżnicy stali się zgraną i skuteczną ekipą. Mięśnie im nabrzmiały, celność strzału wzrosła. Rany Pomeroya zafarbowały się od zewnątrz w procesie gojenia, skutkiem czego nosił piękne ciemne blizny. Elsie obwiązała sobie rozwichrzone włosy chustką. Brody mężczyzn były długie i kudłate, związane rzemykami. Tylko Drogon nadal golił się co kilka dni. Oszczędzali coraz bardziej uszczuplone zapasy amunicji, polowali przy użyciu zahartowanych w ogniu dzid. Cutter pomyślał, że wyglądają jak awanturnicy, jak wędrowni najemnicy.

„Ale nimi nie jesteśmy. Wędrujemy w jakimś celu”.

- Jaki mamy miesiąc? Sinn? Straciłem rachubę.

Próbowali policzyć tygodnie na palcach.

Pewnego wieczoru Judasz ulepił z ziemi cztery figurki i cichymi zaklęciami kazał im tańczyć. Jego towarzysze klaskaniem wybijali rytm. Po występie kazał im się uklonić, a potem się rozsypały.

- Chcę wam wszystkim powiedzieć, że jestem wam wdzięczny - oznajmił. - Chcę, żebyście to wiedzieli. - Wodą wypili jego zdrowie. - Chcę wam powiedzieć... Jesteśmy w drodze już bardzo długo, można by sobie pomyśleć, że celem jest sama podróż, ale to nieprawda. Nie mam nawet pewności, czy wierzycie w Żelazną Radę - podjął z uśmiechem. - Sądzę, że tak, ale może dla niektórych z was już nie o to chodzi. Myślę, Elsie, że ty jesteś tutaj z powodu czasu spędzonego w domu rozpusty - stwierdził, a ona skinęła głową, patrząc mu w oczy. - Wiem, Cutter, dlaczego ty tutaj jesteś. I może znam nawet twoje powody, Drogonie... Wagabunda taki jak ty... Twoją walutą są mity i nadzieje, prawda? Tym handlujesz. To utrzymuje niespokojnych jeźdźców w ruchu. Jesteś tutaj dlatego, ponieważ myślisz, że Żelazna Rada jest jak Pałac Marcepanowy? Szukasz raju?

- Judaszu, to nie jest powód, dla którego tutaj jestem - zripostował Pomeroy. Judasz uśmiechnął się. - Jesteś dla mnie najważniejszą osobą, oddałbym za ciebie życie, ale na razie nie chcę umierać. Przy tym wszystkim, co dzieje się w Nowym Crobuzon, stawka jest zbyt wysoka. Jestem tutaj, bo wierzę ci, że Radę trzeba ratować. I że ty potrafisz to zrobić. Takie są moje powody.

Judasz skinął głową i westchnął.

- Święte słowa. To jest ważniejsze niż los każdego z nas. Żelazna Rada... - Długo milczał.
- Czasy wymagają, żebyśmy byli twardzi. Tutaj chodzi o Żelazną Radę. Władze Nowego Crobuzon ją znalazły... nie wiem jak. Mój informator, mój niegdysiejszy przyjaciel miał wszelkie powody mi o tym nie mówić, ale na szczęście powiedział. W końcu znaleźli Radę. Trwało to tak długo, że wielu obywateli nie ma pewności, czy kiedykolwiek istniała, a tysiące innych myślą, że już dawno jej nie ma.

Chaverim... Przyjaciele... Uratujemy Żelazną Radę.

Następnego dnia Qurabin odbył długą rozmowę z Momentem. Mgławicowy mnich lamentował, błagał, wznosił rozpaczliwe okrzyki.

- Mnichu, mnichu, co się stało? - spytał Cutter, kiedy cisza się przedłużała. - Jesteś tam jeszcze? Zniknąłeś?

- Nie jest już zakryta - odparł Qurabin martwym głosem. - Wiem, gdzie ją znaleźć. Ale sporo mnie to kosztowało. Straciłem ojczysty język.

Qurabinowi został tylko ragamollski, prymitywny, młody język Nowego Crobuzon, którym posługiwali się podróżnicy.

- Pamiętam moją matkę - podjął cicho Qurabin. - Pamiętam, co do mnie szeptała. Ale nie wiem, co to znaczy. - W jego głosie nie było zgrozy, tylko fatalistyczna rezygnacja. - Jedna rzecz ginie, druga się znajduje. Wiem, w którym kierunku musimy iść.

Poruszali się ezoterycznymi drogami. Kolor nieba zmieniał się jak w kalejdoskopie.

W którąś łańcolę równina nagle opadła ostro w dół. Dopiero teraz uświadomili sobie, że od dłuższego czasu zmierzali pod górę. Znajdowali się teraz na porośniętym wiązowcami ostańcu w rozrzedzonym powietrzu. Przed nimi ciągnęła się kotlina w czerwonego laterytu, kanion, który za bardzo się rozszerzał, aby być doliną - miejsce, w którym kontynent rozpadł się na dwoje. Za długim kamiennym grzbietem czarny dym plamił niebo.

Judasz stanął na skraju klifu, spojrzął na dymy, które nie pochodziły z samoistnych pożarów traw, i zawył jak szalony. Był to wyraz dzikiej radości, prapierwotny i nieociosany, jakby Judasz został cofnięty do początków ewolucji, jakby nie był człowiekiem, jakby nie był istotą rozumną. Ryczał jak zwierzę.

Nie czekał na swoich towarzyszy. Szybko dostał się na dół i instynktownie znajdował pozacierane ścieżki, które przecinały step. Cutter dogonił go, ale nie próbował mówić. Gęste jak miód światło rozlało się po prerii.

Ktoś krzyknął do nich. Echo nie pozwalało rozpoznać kierunku. Pytanie albo rozkaz w różnych językach, szybko się zmieniających. A potem ragamollski, prawie trzy tysiące kilometrów od kraju. Cutter zaczerpnął głęboko tchu i głośno wypuścił powietrze. Trzy postacie wyłoniły się z jakiejś kryjówki.

- Stać! - zawołała jedna z nich. - Ani kroku dalej! Mówicie po ragamollsku?

Cutter pokazał, że nie ma w rękach broni. Skinął głową z dziwną błogością w duszy. Młody człowiek mówił z hybrydowym akcentem, jego fonemy ukształtowało coś jeszcze oprócz znajomego zaśpiewu z południa miasta, z Dog Fenn, z zaułków Nowego Crobuzon.

Judasz pobiegł w stronę tej trójki: kobiety, mężczyzny i sękatego człowieka-kaktusa. Słońce zachodziło za ich plecami, toteż stali we własnym cieniu i Cutter widział ich jak wyciętych z kartonu. Pędzący ku nim Judasz musiał z kolei mieć twarz ozłoconą słońcem. Śmiał się, krzyczał i wyrzucał ramiona do góry.

- Tak, tak, tak, mówimy po ragamollsku! - wołał. - Tak, jesteśmy waszymi krajanami! Przyjaciele! Przyjaciele! - Znowu wydał z siebie ten atawistyczny okrzyk radości. Jego serdeczność i ulga były tak autentyczne, że ludzie wartownicy nie dostrzegli w nim zagrożenia i podeszli ku niemu z otwartymi ramionami, aby powitać go jako gościa. - Przyjaciele! - powtórzył. - Wróciłem, jestem w domu. Niech żyje Żelazna Rada! Bogowie i Jabberze i w imię Uzmana...

Zrobili zdziwione miny. Judasz uściskał ich wszystkich po kolei, a potem odwrócił się i na jego zalanej łzami twarzy wykwitł archetyp uśmiechu, bez żadnego cywilizacyjnego, mimicznego zapośredniczenia. Cutter nigdy wcześniej nie widział u niego takiego uśmiechu.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział Judasz. - Nareszcie, nareszcie. Jesteśmy u celu.

ANAMNEZA

Wieczny pociąg

Każdy krok spowalnia woda i korzenie wodnych roślin. Od tego czasu minęło wiele lat, Judasz Low jest młody i przemierza mokradła.

- Jeszcze raz - mówi. - To już wszystko.

Nie ma „proszę”, bo nie jest potrzebne. Ten język ma uprzejmość wpisaną w swoje struktury głębokie. Niegrzeczność wymaga wysiłku i użycia form nieregularnych.

- Jeszcze raz - mówi i dziecko stiltspearów pokazuje mu, co zrobiło. Jego brwi wyginają się... wie, że to jest uśmiech... a dziecko otwiera dłoń, na której stoi stiltspearowa zabawka z mułu i lili wodnych. Dziecko koryguje jej kształt, a potem nuci cichą melodię i figurka się budzi. Zna tylko jeden ruch, zginanie i prostowanie nóg z łodyżek lili. Robi to kilka razy i rozpada się.

Stoją na obrzeżach rozległych mokradeł porośniętych sękatymi drzewami i paprociami, z labiryntem ścieżek i kanałów. Gałęzie kamuflują przejścia, a roślinność jest tak gęsta i ciężka, tak nasączona wodą mokradła, że aż kleista, przypomina ściekający z drzew lepki płyn, który na chwilę przybiera kształt liści.

Trzęsawisko naśladuje wszystkie krajobrazy. Rozpościera się łąkowo i może być lasem. W niektórych miejscach muł twardnieje, tworząc górzysty krajobraz. Poniżej korzeni powstaje system tuneli wyłożonych wodnym dywanem. Są też martwe miejsca, gdzie pojaśniałe drzewa sterczą ze zgniłej wody. Watahy komarów i meszek atakują Judasza i bezlitośnie spijają jego krew.

Powietrze mokradeł nie działa na Judasza przygnębiająco. Okrywa go jak płaszcz. Przez te miesiące, które tu spędził, nauczył się czuć przez nie otulony. Mimo jątrzenia ran po ukąszeniach i biegunki kocha bagna. Przez chmury przezroczyście jak rozwodnione mleko patrzy na zachodzące słońce. Czuje się zrośliniony, omszały i zamieszkanym przez infuzoria, jest gospodarzem, nie tylko żywą istotą, ale również ekosystemem.

Z właściwym dla swego gatunku wdziękiem dziecko zanurza dłoń. Palce rozchodzą się promieniście, tworząc gwiazdę. Dziecko zaciska je w charakterystyczną pięść: zwięzające się ku końcowi palce schodzą się ze sobą jak płatki kwiatu. Paznokcie stykają się ze sobą, dłoń jest teraz grotem włóczni.

Mała stiltspeakarka na czworakach oddala się od Judasza. Obraca szyją złożoną z samych ścięgien i bez słów pyta go, czy z nim idzie. Naturalnie, że idzie, z chlupoczącą nieporadnością, którą stiltspeakarka toleruje jak u noworodka.

Każdy krok małej przewodniczki precyzyjnie rozcina wodę, natomiast Judasz Low zdaje się wlec bagnisko za sobą, wzbudzając przy tym szeroką falę dziobową. Ma szczęście, że chronią go tamy i samce z klanu tego szczenięcia, bo ściąga na siebie uwagę, której lepiej byłoby uniknąć. Czarne kajmany i dusiciele muszą słyszeć te chlupoty, które przypominają szamotaninę rannego zwierza.

Gmina stiltspeakarki toleruje go, a nawet traktuje jak honorowego gościa, ponieważ uratował kiedyś dwa szczenięcia przed jakimś drapieżnikiem, który nagle wyskoczył z wody. Judasz do tej pory uważa, że drapieżnik zasadził się na niego, ale potem skręcił w stronę małego

duetu. Kiedy syczący i ociekający mułem stwór wyłonił się na powierzchnię, dzieci zastygły, a ich gruczoły kamuflażowe zaczęły wydzielać taumaturgony, które miały je upodobnić do pni drzew, ale drapieżnik był zbyt blisko, żeby dać się oszukać.

Judasz krzyknął i uderzył pałąk w swoją botaniczną donicę - szokujący hałas pośród gęstej ciszy bagnistej odnogi rzeki. Stwór na pewno się nie przestraszył - był to potężny amalgamat lwa morskiego, jaguara i salamandry, zaopatrzony w żebrowane pierścienie, za pomocą których mógł bez problemu przetrącić Judaszowi czaszkę - ale był zdezorientowany i na powrót zanurzył się w bagnie.

Od tego dnia, jako że uratowani pobiegli do domu i wyśpiewali tę historię w formie zaimprovizowanej kawatyny, aby podkreślić jej prawdziwość, Judasz był tolerowany.

Stiltspeary niewiele mówią. Czasem milczą przez wiele dni.

Ich gmina nie ma nazwy. Chatki wyrastają z trzciny i wody i są ze sobą połączone mostkami wiszącymi. Inne pomieszczenia są wykopane w nasiąkniętym gruncie. Owady wielkości pięści Judasza fruują niespiesznie, mrużąc jak wielkie, durne koty. Stiltspeary przesywają je palcami i zjadają.

Na ich oleistej, puchatej sierści perli się bagnista woda. Poruszają się jak ptaki brodzące. Najbardziej przypominają ptaki, ale także wychudzone koty, a ich twarze są nieruchome i mało wyraziste.

Czerwone samce śpiewają pobożne ballady, a płowe samce wytwarzają narzędzia, budują domy i prowadzą farmy mangrowe. Samice polują: podnoszą jedną nogę, a potem drugą - tak powoli, że kończyny są suche, zanim wyłonią się rozpostarte szpony, toteż żadne krople nie zaburzają powierzchni wody. Gwiazda palców składa się w sztylet, który zawisa nad swoim odbiciem. Kiedy przepływa jakaś gruba ryba lub żaba, ta włócznia przebija ją, wraca do góry, palce otwierają się i ofiara opasuje nadgarstek stiltspeakarki niby zakrwawiona bransoleta.

Między domami młode bawią się ulepionymi z mułu golemami, tak jak dzieci crobuzońskie grają w kulki i pstrykane stivery. Judasz robi notatki i heliotypuje. Nie jest ksenologiem. Nie wie, według jakich kryteriów zdecydować, co jest ważne. Chciałby zbadać wszystkie te czary - instynktowny kamuflaż, ich golemy, ich zielarską medycynę czy wyodrębnianie momentów.

Nie zna ich imion i nie wie nawet, czy mają imiona. Niektórym sam je nadaje na podstawie pewnych fizycznych cech charakterystycznych: Czerwonooki, Leciwy, Koń. Judasz pyta Leciwego o figurki z błota. Jego informator odpowiada, że to zabawki albo gry, coś w tym rodzaju.

- Czyli już ich nie robicie? - pyta Judasz.

Stiltspear prychnął i zakłopotany patrzy w niebo. Judasz już się nie czerwieni, kiedy popełni jakąś gafę. Jeśli dobrze zrozumiał, dorosłym osobnikom nie wypada lepić figurek. To byłoby tak, jakby dorosły Crobuzończyk załatwiał swoje potrzeby fizjologiczne jak niemowlę.

Judasz towarzyszy samicom. Szklą się w dziennym świetle. Łapią całe naręczna opancerzonych pajaków wodnych, które są większe od dłoni Judasza, doją ich jedwab i tkają z niego sieci między korzeniami i zanurzonymi gałęziami, zamieniając ciekłe wodne w pułapki na ryby.

Judasz zauważa coś niezwykłego. Zwinną mięśnioryba zgina się w pół, połyskując łuskami w kolorze lapis lazuli. W tej samej chwili słyszy szybkie, kilkuwarstwowe, rytmiczne

buch, buch, buch, buch, kilku samic unisono, i mięśnioryba nieruchomieje. Zastyga w wodzie jak w bursztynie. Samice przestają skandować i ryba się porusza, ale jest już za późno, bo jedna z łowczyń nabija ją na swoją organiczną włócznię. Kilka dni później Judasz jest świadkiem tego samego: ledwo słyszalny chór, buczące mruczenie, które na moment paraliżuje zwierzynę.

W głębszych odnogach pływają słodkowodne delfiny, brzydkie stworzenia, które wymieniają materiał genetyczny w obrębie małej grupy. Prychnięcia sarkozucha przerażają je. Małe stiltspeary próbują nauczyć Judasza, jak się lepi figurki. Uznały, że jest dzieckiem tak jak one. Jego próby są koślawe i wzbudzają westchnienia, które u stiltspearów są wyrazem śmiechu.

Kiedy one śpiewają swoim statuetkom, Judasz z humorem usiłuje je naśladować. Wie, że tylko tak może wkupić się w ich łaski: grając błazna.

- Szalabalu! - mówi.

- Kallam kalaj kaza!

I oczywiście nic się nie dzieje, i oczywiście wszystkie wprawiają swoje figurki w ruch, a jego oklapnięte dzieło przelewa mu się przez palce.

Choć lato zbliża się ku końcowi, powietrze jest rozedrgane od upału. Słychać strzały. Na dźwięk tej odległej perkusji strzelb wszystkie stiltspeary zastygają w kamuflażu i przez kilka chwil Judasz przebywa w zagajniku udawanych drzew. Kiedy powraca cisza, stiltspeary stopniowo powracają do swojej prawdziwej postaci. Wszystkie patrzą na Judasza.

Przybyli myśliwi, obwieszani trupami bagiennych zwierząt. Badają moczary i zbierają egzemplarze flory i fauny.

Judasz mija jednego z nich w odległości dziesięciu metrów, ale nauczył się poruszać w tym środowisku, dlatego myśliwy go ani nie słyszy, ani nie widzi, tylko unosi strzelbę i z tępą miną patrzy przed siebie tuż koło Judasza. Drugi jest bardziej spostrzegawczy: mierzy mu w pierś.

- Kurna buda - bluzga - o mało cię nie zastrzeliłem. - Czujnie przygląda się ubraniu i bagienną bledości Judasza. Pokazuje kciukiem na północ. - Reszta jest tam, cztery-pięć kilometrów dalej. Bądź tam przed zachodem słońca.

Tubylcza fauna ucichła. Nie ma zwyczajowego ćwierkania, szelestów i plusków. Judasz zwalnia kroku. To jest kluczowy moment i chociaż może winić tylko sam siebie, że znalazł się w tym miejscu, musi zamknąć oczy i pomyśleć o tym, co będzie i co było. Nie puści tej chwili: trzyma się jej jak pies czyjejs nogawki, póki czas nie wyrывa się zakrwawiony. Judasz powraca do terażniejszości i jest smutniejszy niż przedtem.

- O rany - wzdycha.

Jest jakąś poronioną rzeczą w czasie. Przechodzi go dreszcz.

Wypustka twardej ziemi, pomost. Polana na skraju dużego torfowiska, płaskie i

zaśmiecione polacie delikatnie poruszającej się cieczy. Nowa ścieżka między ociekającymi drzewami, do skupiska namiotów, wozów i glinianek z omszałymi dachami. Słychać strzały.

Judasz niesie w plecaku prezent i bukiet bagiennych kwiatów. Widzi grupę mężczyzn w zabrudzonych białych koszulach i grubych spodniach. Analizują mapy i patrzą przez zagadkowe instrumenty. Gotują jedzenie w kociołkach nad ogniskami, które plują kulami oleistego dymu, czarnego jak wydzielina kałamarnicy. Zdawkowo pozdrawiają Judasza. Na pewno wygląda dla nich jak duch z mokradeł. Prze-tworzone zwierzęta myśliwskie robią się nerwowe na jego widok.

Dowódca wstaje. Jest mężczyzną w podeszłym wieku, ale wciąż jeszcze krępkim i żyłastym jak wilk. Judasz patrzy tylko na niego, idzie za nim do jego pokoju z brezentowymi ścianami.

Światło skąpo przenika przez płótno, oświetlając proste meble z ciemnodrzewu, szafkę, z której po rozłożeniu robi się łóżko.

Starszy mężczyzna podsuwa sobie zmaltretowany bukiet pod nos. Judasz jest zdezorientowany - zapomniał zasad cywilizowanego życia. Czy powinien dawać kwiaty temu starcowi? Ten jednak reaguje życzliwie, wacha wciąż jeszcze piękne kwiaty i wkłada do wody.

Trzyma się prosto. Włosy ma siwe, precyzyjnie zebrane w koński ogon, a oczy czujne, jasnoniebieskie. Judasz grzebie w torbie - strażnicy tężeją i unoszą pistolety - i wyjmuje z niej figurkę.

- To dla ciebie - mówi. - Dzieło stiltspeara. - Mężczyzna przyjmuje podarek z autentyczną, jak się wydaje, przyjemnością. - To jest bóg - wyjaśnia Judasz. - Ich rzeźba i inne dziedziny sztuki nie są zbyt rozwinięte. Robią tylko proste rzeczy. - Figurka przedstawia owiniętego sznurkiem ducha przodków. Judasz ulepił ją sam. Mężczyzna przygląda się okutanej twarzy figurki. - Mam pytanie - kontynuuje Judasz. - Nie wiedziałem, że będziesz tutaj osobiście...

- Zawsze kiedy zdobywamy nowy teren. To jest święte dzieło, synu.

Judasz kiwa głową, jakby usłyszał coś cennego.

- Na bagnach mieszkają ludzie. Można powiedzieć, że jestem tutaj jako ich rzecznik.

- Myślisz, że o tym nie wiem, synu? Że nie wiem, po co tutaj przybyłeś? Właśnie dlatego ci powiedziałem, że wykonujemy święte dzieło. Chcę ci zaoszczędzić zmartwień.

- Oni nie są tacy, jak ich opisano w bestiarium Shaka...

- Synu, mam ogromny szacunek dla jego Potencjalnie mądrych, ale nie musisz mi tego mówić. Już dawno nie uważam tej pracy za, nazwijmy to, naukowo rzetelną. Nie ma takiej kwestii.

- Ale... Muszę wiedzieć... Muszę wiedzieć, jaką trasę planujecie, bo tubylcy, stiltspeary... Nie wiem, czy są przygotowani na zmiany, które moglibyście ze sobą sprowadzić...

- Nie chcę ich krzywdy, ale, na bogów i na Jabbera, nie zawrócę z obranej drogi - nie mówi tego agresywnym tonem, ale misjonarski zapal w jego głosie przejmuje Judasza dreszczem. - Musisz zrozumieć, synu, o co tutaj chodzi. Nie planuję zagłady twoich stiltspearów, ale jeśli nasze drogi się przetną, to ich zmiażdżę. Masz świadomość, co tutaj widzisz? Każdy z nas i każdy, kto przyjdzie, każdy robociarz, każdy skryba, każda obozowa dziwka, każdy kucharz, jeździec i prze-tworzony... wszyscy jesteśmy misjonarzami nowego kościoła i nic nie powstrzyma naszego świętego dzieła. Nie chcę być dla ciebie niemiły. Czy to jest wszystko, co masz mi do powiedzenia?

Judasz patrzy na niego głęboko zasmucony. Szuka odpowiednich słów.

- Jak długo? - pyta w końcu. - Co przewiduje wasz plan?

- Myślę, że znasz ten plan, synu. - Starzec jest spokojny. - A jak długo? Zapytaj gór i dolin. A potem zapytaj bogów i duchów mokradeł, ile przeciwności są w stanie wytrzymać. - Uśmiecha się i dotyka Judasza w kolano. - Czy to naprawdę jest wszystko, co chciałeś mi powiedzieć? Miałem nadzieję usłyszeć od ciebie parę innych rzeczy. Pragnę ci podziękować za boga, którego mi dałeś. Będę ci zobowiązany, jeśli pójdziesz do swoich stiltspearów i przekażesz im wyrazy mojej najgłębszej wdzięczności i szacunku. Wiesz, że niedługo się z nimi zobaczę, prawda? - Pokazuje na ścianę, na mapę, na której można zobaczyć cały obszar od Nowego Crobuzon do Rudewood, do mokradeł i portu Myrshock oraz wiele setek kilometrów w głąb kontynentu, w kierunku zachodnim. Naniesiono niewiele szczegółów, ponieważ są to sporne tereny, ale Judasz widzi, że mokradła są objęte kreskowanym projektem niwelatorskim. - Wiem, co widzę - mówi starszy pan życzliwym tonem. - Spotkałem w życiu wielu ludzi, którzy chcieli powrócić do natury. To jest sentymentalna poza, synu, niezależnie od tego, co teraz myślisz. Ale nie będę cię pouczał. Nie stoisz przed sądem. Powiem ci tylko, że przyszłość nadchodzi wielkimi krokami i twoje nowe plemię postąpiłoby najrozsądniej, gdyby usunęło się jej z drogi.

- Ale do cholery, to nie są bezpieczne ziemie!

Na twarzy starca maluje się zdziwienie.

- To, co mają, co od stuleci budują na tych mokradłach, może spróbować przeciwstawić się postępowi, który ze sobą przywożę, jeśli jest dostatecznie silne.

Po powrocie do wodnej krainy stiltspearów Judasz nie wie, co powiedzieć. Nenufary zamykają się za nim, ale wie, że poczucie bezpieczeństwa stwarzane przez tę roślinną ścianę jest złudne.

Dzieci znowu próbują go nauczyć lepienia golemów. Dotychczasowe dokonania Judasza były tak mizerne, że uznał się za beztalencie. W trakcie jego rzeźbiarskich wysiłków podchodzi do niego członek starszyny i dotyka jego torsu. Judasz otwiera oczy i czuje, że w jego wnętrzu coś się ocknęło. Czy sprawiło to dotknięcie, bagienne powietrze czy surowe rzeczy, którymi się odżywił - nagle czuje łatwość, której nigdy wcześniej nie doświadczył, i ze zdumieniem zauważa, że figurka z błota nieznacznie się porusza. Małe stiltspeary gratulują mu cichym buczeniem.

- Nadchodzą obcy - mówi wieczorem. Stiltspeary tylko patrzą na niego uprzejmym wzrokiem. - Nadchodzą obcy i skolonizują mokradła. Podziela je i zmniejszą. - Judasz przypomina sobie mapę. Precyzyjny trójpodział. Atrament, który przyniesie ze sobą zmianę krajobrazu, miliony ton przewiezonego gruzu i wycinka drzew. - Nie zatrzymają się z waszego powodu. Nie ominą was. Musicie się przenieść. Idźcie na południe, gdzie są inne klany.

Długa cisza, a potem delikatne monosylaby stiltspearów.

- To są tereny myśliwskie innych klanów. Nie chcą nas tam.

- Nie ma innego wyjścia. Jeśli zostaniecie, to zobaczycie, co obcy wam zgotują. Klany muszą ze sobą współpracować i razem się ukryć.

- Schowamy się. Kiedy przyjdą ci ludzie, będziemy drzewami.

- To nie wystarczy. Ci ludzie osuszają bagna. Zasypią waszą wioskę. - Patrzą na niego. - Musicie stąd iść.

Nie pójda.

Przez następne kilka dni Judasz nerwowo obgryza paznokcie. Je ze stiltspearami, obserwuje je, heliotypuje ich obyczaje i robi notatki, ale coraz bardziej ciąży mu świadomość, że jego działania mają charakter upamiętniający.

- Były walki - odpowiadają kiedy pyta o ich wojny. - Trzy lata temu biliśmy się z innym klanem i wielu z nas zginęło. Judasz pyta ilu. Stiltspear otwiera palce obu dłoni - ten ma ich po siedem - a potem zamyka i prostuje jeden palec. Piętnaście.

Judasz kręci głową.

- Zginie was wiele, wiele razy więcej, jeśli stąd nie pójdziecie.

Stiltspear też kręci głową - nauczył się tego gestu od Judasza i z dumą go używa.

- Będziemy drzewami - mówi.

Judasz umie sprawić, żeby jego błotny twór zatańczył. Z każdym dniem jest w tym coraz lepszy. Teraz lepi długie na łokieć figurki z gliny i torfu. Nie wie, co właściwie produkuje ani w jaki sposób dzieci nauczyły go tej sztuki, bądź co dorośli w nim uruchomili, ale nowa umiejętność sprawia mu ogromną radość. W golemowym cyrku, w który się bawia, jego figurka potrafi zwyciężyć w rywalizacji z innymi.

Jest to jego jedyna rozrywka i dręczą go wyrzuty sumienia, bo dostrzega w tym eskapizm. Jeszcze raz czy dwa błagał stiltspeary, żeby przeniosły się razem z nim na głębsze mokradła. Odczuwa to jako swoją porażkę, że nie umie znaleźć słów, które by je przekonały. Taka jest ich kultura, ich sposób życia, ich natura, mówi sobie. To ich wina, nie moja, myśli Judasz, ale sam w to nie wierzy.

Czuje się przywiązany do koła historii. Może się miotać jak przyszpilony motyl, ale nie może się wyswobodzić.

Coraz wyraźniej czuć drżenie ziemi i od rana do wieczora słyszeć huk strzelb myśliwych. Judasz coś zrozumiał. Patrzy, jak stiltspeary zapędzają w kozie róg zwierzę ziemnowodne i wspólnie recytują rytmiczne uch, uch, uch, uch, uch. Na ułamek sekundy podobne do trzaski stworzenie zastyga, oblepione zgęstniałym czasem, a Judasz uświadamia sobie, że melodyjny rytm jest echem golemowej piosenki dzieci. Podobny, lecz nieporównanie bardziej skomplikowany i rozbudowany.

Zakłęcie go prześladowuje. Judasz chciałby zachować moment jego wygłoszenia, chwycić dźwięki i obdrzeć ze skóry, żeby zobaczyć ich esencję. Może jednak tylko jak najdokładniej zapisać ich takt i później przeanalizować ich wzajemne relacje.

Judasz się spieszy. Czuje, że narasta w nim dokuczliwie napięcie. Jego prawie przyjaciół Czerwonooki pomaga mu.

- Robimy kształty, które się poruszają. Wszyscy: młodzi na jeden sposób, myśliwi na inny.

Judasz widzi, że zakłęcia dzieci są tylko przydatkiem. Golemy lepią ich dłonie. Zakłęcia myśliwych wykonują taką samą pracę co palce dzieci. Obie manipulacje należą do tej samej kategorii.

Z oddali dobiegają jakieś przemysłowe odgłosy, rytmiczny burkot.

Pierwszą ofiarą śmiertelną wśród stiltspearów jest młody osobnik, zbyt zdezorientowany, żeby kontrolować swój kamuflaż. Trafia go kula myśliwego, który wystraszył się szybkich oscylacji między stanami czworonożnego zwierzęcia i butwiejącego pniaka drzewa. Myśliwy nie wie, co zabił, i to, że nie zjadł dziecka, zawdzięcza jedynie przypadkowi i neofobii. Klan znalazł ciało.

„Dotarli nad jezioro” - myśli Judasz. Wyobraża sobie niezliczone wozy z ziemią, kamieniami i żwirem do zasypania mokradła.

To już ostatnia chwila, żeby zmusić klan do zniknięcia z tego miejsca. Judasz kapitułuje. Chociaż co wieczór powtarza swoje - musicie uciekać, tutaj nie jest bezpiecznie, zginie was więcej - w gruncie rzeczy dał za wygraną. Przystaje się angażować. Znowu jest obserwatorem.

Stiltspeary naradzają się po cichu. Zaczyna brakować pożywienia. Ryby i zwierzęta łowne uciekają albo duszą się. W mokradłach jest jad, trucizny wytwarzane przez tysiąc mężczyzn i kobiet, ścieki z latryn i oczyszczalni, czarny proch, przesączenia z zaimprovizowanych grobów.

Ginie stiltspearka, która polowała sama. Dniem i nocą słychać przemysłowe odgłosy.

Grupa myśliwych próbuje opisać po powrocie to, co widzieli. Zbliżająca się sucha czeluść. Judasz wie, że przybyły koparki, a wraz z nimi brygady robotników.

- Jeden chciał nam zrobić krzywdę - mówi szef myśliwych i pokazuje zdobytą strzelbę poplamioną ludzką krwią.

Zabili człowieka. Judasz wie, że jest już po wszystkim. Ich czas się skończył. Oni tego nie widzą. Słońce jest dla nich martwe. Nic nie zostało. Judasz rozpaczliwie pragnie dowiedzieć się wszystkiego, ocalić ten lud w swoich notatkach, oddać mu hołd.

Po tej śmierci stiltspeary stają się zwierzyną łowną.

Czerwone samce odwijają swego zakutanego boga i rzeźbią go na nowo jako demona śmierci. Przywracają stary kult śmierci. Wybrane samice i płowe samce zanurzają włócznie rąk w truciznach, które zabijają przy najmniejszym zadrażnieniu, ale przesączają się również przez ich skórę, nie mają zatem innego wyboru, jak tylko z samobójczą furią rzucić się na nadciągającego wroga.

Judasz widzi zwłoki Crobuzończyków przebite dłońmi stiltspearów, spęczniałe od toksyny, kołyszące się na wodach pozarastanych zatoczek. Jeśli ktoś go zobaczy w towarzystwie stiltspearów, Judasz zostanie uznany za zdrajcę swojej rasy i swojego miasta, po czym umrze powolną, nieusankcjonowaną przez prawo, ale zgodną ze społecznym poczuciem sprawiedliwości śmiercią. Najwięksi zuchwalcy pośród stiltspearów zastawiają na ludzi pułapkę przy drodze.

Zabijają ludzi i trochę ludzi-kaktusów, po trzy, cztery sztuki naraz. Na każdej parze rąk jest trofeum. Po paru dniach w moczarach pojawiają się nowi przybysze, najemni zabójcy, odziani w apokaliptyczne stroje symbolizujące bunt wobec wszystkich społeczeństw, renegaci stu kultur. Judasz widzi ich między drzewami.

Łowcy głów z Cobsea i Kadoh, kaktusowi piraci z Dreer Samher. Vodyanoi, szumowiny z Gharcheltist i Nowego Crobuzon. Dwumetrowa kobieta walczy za pomocą dwóch cepów i przyciąga z powrotem do osady wiele trupów stiltspearów. Krążą pogłoski o gessinie w zbroi. Wiedźma z Cieśniny Ognistej Wody wyczarowuje sobie wiele par rąk, spleta z nich makabryczny bukiet i śpi snem myśliwskim, przyzywając senne diabły, które atakują obóz.

- Idźcie w głąb łądu - mówi znowu Judasz i ci, którzy przeżyli, słuchają go.

Zmierzają na południe. Czerwonooki wyjaśnia Judaszowi, że schronią się u nowego, mieszanego plemienia zbiegów ze wszystkich wspólnot stiltspearów.

- Niedługo was zostawię - mówi mu Judasz.

Czerwonooki kiwa głową, kolejny wyuczony gest.

W wiosce nie zostały żadne dzieci, które mogłyby ulepić małe golemy. Są tylko dorośli, nastroszeni wojennie, liczą swoje ofiary i zastawiają pułapki. Budowlany hałas - zgrzyt kamienia i metalu - nie cichnie ani na chwilę.

Pewnego dnia Judasz wstaje i pakuje wszystko, co ma - notatki, próbki, heliotypy i rysunki - i odchodzi z wioski, przez labirynt wodnych odnóg zmierzając do nowej strefy przemysłowej. Znowu płynie w strumieniu czasu. Moment go wypuścił.

Na skraju nowej polany stoi szef brygady i krzyczy na swoich ludzi. Judasz przygląda się im. Są prymitywni, mali i pyszałkowaci, ale zmieniają oblicze tej krainy.

Majster kiwa głową do przechodzącego Judasza i mówi do niego:

- To nie jest, kurwa, jezioro, tylko diabeł. - Spluwa do czarnej Wody. - Wrzucamy do niego zasrane tony ziemi, a ono wszystko zjada. Nie ma dna.

Ludzie z siekierami, ludzie z flagami sygnałowymi, niwelatorzy, myśliwi, kopacze rowów, ludzie-kaktusy, vodyanoi, ludzie i prze-tworzeni. Pracują łopatami, piłami, kilofami, taczkami. Mokradła się kurczą.

Ludzie, prze-tworzeni i ludzie-kaktusy jeden po drugim przywożą taczki z gipsem i kamienistą ziemią, którą wsypują do wody z nowej kei. Koparka spastycznie pozbywa się swego ładunku. Balast jest połykany. Rośliny wodne i błona liści i kurzu zniknęły, kamuflaż torfowiska jest zniszczony, odsłonięta woda tworzy koło o rosnącej średnicy. Kolejne ładunki są zasysane z gardłowym odgłosem.

- Widzisz? Widzisz? - denerwuje się majster. - To zasrane jezioro jest głębsze od kurwiej piczy.

Kiedyś to było trzęsawisko, które wciągało nieuważnych z siłą węża dusiciela. Kamienie przywiezione z terenów podgórskich wznoszą się stertami lizanymi przez gęstą wodę. Buduje się suchy łąd. Powstała droga, wyrębana pośród modrzewiów, mangrowców, traw karłowatych i grążeli. Jest to wstęga zwalcowanej ziemi, szeroka na kilkanaście metrów i nieskończenie długa. Prowadzi przez mokre zarośla uwolnione od drzew. Jak okiem sięgnąć, Judasz widzi zastępy dźwigaczy i kilofiarzy przy pracy.

Stanęło wydłużone miasto namiotów. Wozy są ciągnięte przez muły, które prze-tworzono w zwierzęta bagienne, ziemnowodne. Judasz idzie po grobli. Pniaki sterczą z ziemi, a na lewo i prawo mienia się moczary. Wyjące pompy drenują ciekły wodne, zamieniając je w bagno, które utwardza się kamieniami. Brygady ludzi-kaktusów pracują, naprężając gigantyczne mięśnie pod kolczastą skórą.

Wszędzie roi się też od prze-tworzonych. Nie patrzą na prawdziwych ludzi, wolnych robotników, budowlaną arystokrację.

Każdy prze-tworzony jest inny. Odkąd Judasz sięga pamięcią. Stworzony w sposób nieprawdopodobny. Przy budowie drogi pracuje mężczyzna, którego przód jest płataniną ramion pochodzących ze zwłok lub amputacji. Przykuty do niego łańcuchem wyższy mężczyzna ze stoickim wyrazem twarzy ma wszystko w tors lisa, który nieustannie warczy i kąsa.

A oto pełzający człowiek zamknięty w żelaznej muszli ślimaka, z której leci dym. Wśród prze-tworzonych są też kobiety, jedna z nich przypomina wydrążony słup, a części organiczne wyglądają na przypadkowo doczepione. Mężczyzna - a może kobieta? - przez którego ciało przepływają perystaltyczne beknięcia jak u ośmiornicy. Ludzie z przemieszczonymi twarzami, ciałami z żelaza i gumowych kabli, mechanicznymi ramionami, zwierzęcymi ramionami, ramionami w formie tłoków, których prze-tworzeni używają do chodzenia, i małpimi łapami zamiast nóg.

Prze-tworzeni kulą się pod ostrymi spojrzeniami nadzorców. Czasem trzaskają baty. Droga wije się bez końca między drzewami.

- Mój przyjaciel od stiltspearów - mówi starzec do Judasza na powitanie. - Miło cię widzieć. Wróciłeś do nas? - Judasz kiwa głową. - Cieszę się, synu. Tak jest najlepiej. Jak się miewa twój klan?

Judasz marszczy brwi, ale nie dostrzega ironii. Pytanie nie jest prowokacją.

- Odeszli - opowiada.

Czuje się przegrany.

Starzec kiwa głową i zagryza dolną wargę.

- Zaprowadzisz nas do ich wioski? Chcę ją zniszczyć, żeby nie mieli do czego wracać. Powstanie tutaj miasto. Tak, naprawdę. Stoimy na podwalinach Krzyżówki, Rozwidlnic albo Trójzęba Palusa, jeszcze nie podjąłem decyzji. Z wioski stiltspearów mógłbym zrobić skansen, goście jeździliby tam na wycieczki rowerowe. Ale raczej zrównam ją z ziemią. Pokażesz mi, gdzie ona jest? Jeśli ją zostawię, będą chciały wrócić, dzieci spróbują odnaleźć swoje dawne place zabaw.

- Pokażę.

- Równy z ciebie gość. Rozumiem cię i podziwiam. Stoczyłeś wewnętrzną walkę i ja to szanuję. Znalazłeś to, czego szukałeś? Pamiętam naszą pierwszą rozmowę. Miałem wrażenie, że czegoś chciałeś od tych moczarów albo od stiltspearów. Znalazłeś to?

- Tak, znalazłem.

Starzec uśmiecha się i wyciąga rękę. Judasz podaje mu plik map, rysunków, całą wiedzę o mokradłach, jaką udało mu się zebrać. Starzec nie wspomina, że informacje te przyszły o wiele za późno. Przegląda materiały i powstrzymuje się od stwierdzenia, że są kiepskie, że Judasz marnie wywiązał się ze swojej części umowy. Wchodzi inny mężczyzna i pospiesznie opowiada o jakimś sporze, o jakimś przekroczonym terminie. Starzec kiwa głową.

- Mamy mnóstwo problemów - mówi do Judasza. - Szefowie brygad są zli na sędziów grodzkich, którzy nie mają pojęcia o tym, co tutaj robimy, i przysyłają nam prze-tworzonych bez odpowiednich kwalifikacji. Palowania pękają, mury oporowe się wyginają, rusztowania się walą. Co nie jest dla mnie zaskoczeniem - dodaje z uśmiechem. - Witam cię ponownie. Chcesz pozostać na mojej liście płac? Wracasz do Nowego Crobuzon, czy zostajesz tutaj? Porozmawiamy innym razem. Muszę iść. Jesteśmy tutaj tak długo, że dogonili nas rdzożercy. Są już w lesie.

I rzeczywiście, wystarczy przejść się kawałek drogą w stronę Nowego Crobuzon. Droga jest tam szersza i bardziej wykończona niż ten kawałek, którym dotarł tu z mokradła. Ten wydarty przyrodzie kawałek cywilizacji cechuje swoiste piękno. Kuriozum: trasa, w którą wczepiają się pazurami moczary.

Za zakrętem inna ekipa budowlana, tak jak ludzie osuszający mokradła pracuje w cieniu pomniejszych drzew, ale w oryginalnym rytmie, jakby tańczyła w budowlanym balecie.

Słychać huk zrzuconych na ziemię podkładów i staczanych z platform belek nośnych. Ekipy prze-tworzonych i wolnych ludzi chwytają je szczypcami i przekazują uzbrojonym w młoty osiłkom. Za tym rytmicznym chaosem coś wielkiego i głośnego z sykiem wypuszcza parę, obserwuje ich wysiłki i powoli toczy się do przodu. Pociąg pośród mangrowców.

Starca poznał przed wieloma miesiącami. Weather Wrightby. Szalony Weather. Żelazny Wright. W biurach MKK, podczas rozmów rekrutacyjnych, w których uczestniczył razem z innymi młodzieńcami w wykrochmalonych koszulach i spodniach na szelkach.

Studenci, synowie buchalterów, żądni przygód ambitni potomkowie bogatych rodzin, tacy jak Judasz, znudzeni swoją pracą terminatorzy z Dog Fenn i Chimer - wszyscy zainspirowani bajkami dla dzieci i literaturą podróżniczą.

- Dążę do tego od dziesiątek lat - mówił Wrightby. Był bardzo przekonujący. Budził respekt trzy razy młodszych od niego chłopców. Pieniądze go nie zdemoralizowały. - Dwa razy podróżowałem na zachód w poszukiwaniu tras i, niestety, dwa razy musiałem wracać do domu. Musimy przedostać się na drugą stronę gór. To wielkie wyzwanie. To, co teraz mamy przed sobą, to tylko początek, niewielkie przesunięcie na południe.

Półtora tysiąca kilometrów. Przez piasek, lasy i bagna. Zapal Wrightby'ego trochę przeraził Judasza. To gigantyczne przedsięwzięcie mogło doprowadzić do bankructwa nawet tak bogatego człowieka jak on.

Wrightby opukał go, osłuchiwał mu pierś jak lekarz. Rozdał zadania, podzielił zwerbowanych na brygady.

- Będziesz naszymi oczami na mokradłach. To trudny teren. Musimy wiedzieć, czego mamy się spodziewać.

W ten sposób Judasz się tam znalazł.

Pierwsza podróż z Nowego Crobuzon. Zespół: inżynierowie, żandarmi, naukowcy i ogorzali zwiadowcy, którzy patrzyli na długowłosego Judasza z przyjaznym lekceważeniem. Wyruszyli trzy-cztery kilometry na zachód od Nowego Crobuzon, w licznej obstawie. Miasto platform kolejowych, krajobraz splantowany. Las buforów, wachlarz torów.

Magazyny tak wielkie, że zmieściłyby się w nich liniowce oceaniczne, góry żwiru, deski z postrzyżyn Rudewood. Tłum ludzi i ludzi-kaktusów, khepri z ruchliwymi głowoskarabeuszami,

vodyanoi w kanałach połączonych z miastem obsługujący barki bez dna, przedstawiciele rzadkich ras. Ogród różnorodnych kończyn. Prze-tworzonych spędzono w jedno miejsce i załadowano jak bydło do zakratowanych więźniarek. I linia kolejowa ruszyła przez niezamieszkały kraj, skrajem lasu, wyrabując sobie drogę za pomocą czarnego prochu.

Była późna wiosna. Patrolujące teren sterowce latały po niebie, podążając za żelazną drogą.

Pociąg był pełen rekrutów: robotników na drewnianych ławkach, prze-tworzonych w więziennych wagonach. Judasz siedział z innymi mierniczymi i słuchał muzyki tłoków. W granicach Nowego Crobuzon pociągi zawsze przyspieszały albo zwalniały, przetaczały się z jednej stacji na drugą. Nie zdążyły przez dłuższy czas utrzymać wysokiej Prędkości i wytworzyć tego nowego dźwięku, tego nieznanego wcześniej odgłosu pędzącego pociągu.

Minęli jakąś wioskę: dziwny i nieestetyczny widok. Odchodziły ku niej bocznice. Judasz zobaczył tradycyjne lepianki obok wznoszonych naprędce drewnianych domów. W ciągu roku miejscowość bodaj potroili swoje rozmiary.

- Szaleństwo - powiedział jeden z mężczyzn. - Nie przetrwa długo. Za dwa lata będą płakali rzewnymi łzami. Każda dziura, którą mijamy, daje kolei w łapę, żeby pociągnęli do niej tory. Wszystkim to się nie może udać. Niektóre miejscowości umrą śmiercią naturalną.

- Albo zostaną ukatrupione - rzucił ktoś inny i obaj się roześmiali. - Zaczęli budować, zanim my wbiliśmy pierwszą łopatę. Dalej, na zachód, jest miejscowość Salve, zbudowana przez Międzykontynentalny Koncern Kolejowy Wrightby'ego. Trasę odcinka Myrshock-Cobsea wyznaczyli razem z Żelaznym Wrightem i sprezentowali mu miasto na tacy. Wyczarowali je z niczego. Punkt pośredni przed skrzyżowaniem na moczarach.

- Ale były jakieś machloje, Jaber wie jakie, i Żelazny Wright z nimi nie rozmawia. No i teraz ominiemy Salve szerokim łukiem. - Znowu parsknęli śmiechem. - Dalej tam stoi. Jak spod igły. Najmłodsze wymarłe miasto w Rohagi.

Judasz wyobraził sobie sale operetkowe i łaźnie odwiedzane tylko przez kurz, zarastające zielskiem.

Zatrzymali się w świeżo powstałej miejscowości i pociąg obskoczyli przekupnie. Podsuwali pod okna tanie jedzenie, tanie ubrania, ręcznie drukowane gazety obiecujące bestiariusz i mapy nowo zdobywanych terytoriów. Sprzedawali biuletyny kolejowe - Judasz kupił egzemplarz *Domu na kołach*, z fatalnej jakości drukiem oraz całą masą błędów ortograficznych i gramatycznych. Na jego treść składały się skargi robotników - dotyczące głównie niekompetencji prze-tworzonych - skatologia i odręczna pornografia.

Tory odbiły na południowy zachód, mijając zaśmiecone i zabłocone miejsce po zdemontowanej miejscowości, i zmierzały przez kamienisty step. Kiedy przejeżdżali nad parowem, niedawno postawiona estakada zakołysała się pod nimi.

Trasa w większości biegła jak po sznurku - objazdy uznawano za porażkę, kapitulację. Kiedy drogę tarasowała skała, rozłupywano ją na drobne kawałki. Na zachodzie piętrzyły się góry. Bezhek Peaks, spowite cieniem. Jeśli pociąg zwalniał, to dlatego, że zbliżał się koniec odcinka.

Te dzikie tereny nie były niezamieszkałe. Wiele kobiet w długich halkach pobrudzonych górskim pyłem. Niektóre niosły dzieci. Nagle zaroilo się od nich w mieście namiotowym niedaleko od torów. Kobiety lekkich obyczajów, dziwny widok pośród tego pustkowi.

Słońce zaszło i zapłonęły ogniska. Judasz pomyślał o wszystkich, którzy zostali z tyłu, zmarłych, powalonych przez chorobę i zabitych, o porzuconych albo uduszonych dzieciach, pogrzebanych przez linię kolejową. Pociąg powoli minął stado bydła mieszanej rasy grex, chudego i subtelnie prze-tworzonego. *Box capra* potrafiły przeżyć w tych trudnych warunkach, a ich szparkowate oczy zdradzały pokrewieństwo z kozą. Nareszcie, za miastem prostytutek i bydłem - wieczny pociąg.

Judasz przemierzył całą długość kolejowej osady. Miasto z wagonów i lokomotyw, ruchoma dzielnica przemysłowa. Na końcu ziemi niczyjej pustych torów zobaczył miejsce, gdzie toczyły się prace. Tak daleko sięgało Nowe Crobuzon. Gigantomański stalowy lewiatan: największe miasto Bas-Lag wysuwa nowy żelazny język i liże nim miasta na równinach.

Po podróży pociągiem zaczął się marsz poza granice crobuzońskiego żelaza. Brygada Judasza mijała wózki robotników kolejowych, którzy ścinałi drzewa, robili z nich podkłady i transportowali tam, gdzie miały być położone, na podtorzu z odłamków skalnych. Ciąg podkładów kojarzył się z poziomą drabiną. Trasa przebijała się przez wzniesienia, a obniżenia terenu pokonywała górą. Niwelatorzy byli daleko z przodu.

Przez pięć dni mieli do towarzystwa tylko ptaki. Poruszali się po upiornie pustym pagórkowatym terenie poprzecinanym rzeczками. W skałach, które wznosiły się jak stelle, wiatr wyrzezał abstrakcyjne reliefy. Przekop ciągnął się jak ruiny, pozostałości murów miejskich. Usłyszeli jakiś hałas i podeszli do otworu w skalnym licu.

Budowniczo wie tuneli wyrąbawali drogę przez piarżysko. Krzatali się koło otworu, a kolejni wywozili ze środka wnętrzości wzgórze. Znajdowali się zbyt daleko od Nowego Crobuzon, aby przysła no im Parowe koparki. Zresztą skała była przypuszczalnie za twarda, chociaż Judasz z przyjemnością wyobraził sobie, że zaopatrzona w wiertło maszyna, wielka jak wagon kolejowy, wyłania się spod ziemi. Robotnicy pracowali kilofami i czarnym prochem, wykopując trasę dla torów, które miano dowieźć dopiero za kilka miesięcy.

Prze-tworzeni, z młotami pneumatycznymi w roli kończyn, głuchli od efektów dźwiękowych własnej pracy. Jednemu z mężczyzn zastąpiono ramiona powiększonymi łapami kreta. Nie miał szans przebić się za ich pomocą przez ten kamień, ale brygada zrobiła z niego maskotkę: siedział w tunelu i śpiewał mobilizujące piosenki. Żandarmi z MKK pełnili straż.

- Dokąd idziecie? - spytał ich inspektor.

- Na południe. Cobsea, preria.

- Moczary - dodał kolega Judasza.

- Moczary - powtórzył inspektor. - Ale będą jaja, jak tory tam dojadą. Kupa śmiechu, co?

Judasz uśmiechnął się, a jego kolega parsknął śmiechem. Siedem tygodni później ten drugi zapadł na wyniszczającą chorobę bagienną i zostawił Judasza samego. Judasz pomyślał o heliotypach i rysunkach mokradeł, które widział: stworzenia wynurzające się spośród drzew, nasiąknięte wodą rośliny. Wyobraził sobie, że bagienne błoto zamienia się w beton i na zawsze je paraliżuje.

Droga się skończyła. Dotarli do niwelatorów, którzy przesypywali wzniesienia do obniżen terenu, żeby wszystko się wyrównało.

Wycięli we wzgórzu terasy. Wzniesienie stało się gigantycznymi schodami, po których chodzili robotnicy i zwierzęta pociągowe. Lessowy pył zalepiał oczy. Z każdą godziną schody się obniżały. Wkrótce po wzgórzu nie miało pozostać ani śladu.

„Ekipy budowlane są nanizane na krajobraz jak paciorki różańca” - pomyślał Judasz.

Teraz Judasz wrócił. Wieczny pociąg go dogonił. Werznął się w mokradła.

Ciemniejsze z mokradeł szerzy się jak plama oleju, ale teraz można przez nie przejść suchą nogą. Do ich wnętrza prowadzi grobla, wzmocniona i opancerzona kamieniami. Błyszczą na niej tory. Judasz widzi szparę między drzewami i czarny dym pociągu.

Przyjeżdżają pociągi towarowe, stękające pod ciężarem podkładów, solonej wołowiny, czarnych, żelaznych torów. Judasz mógłby wrócić do Nowego Crobuzon, ale spłynął na niego jakiś spokój. Sprawy nie są doprowadzone do końca. Nie chce wracać.

Poziom nasączenia podłoża spowolnił prace i ekipy zeszły się ze sobą: niwelatorzy, układacze torów i młotkowi przed samym wiecznym pociągiem. Wyrmeny szukają padliny. Wszyscy się połączyli. Miasto namiotowe podążyło w ślad za wiecznym pociągiem. Namioty knajpiane, tancbudy, namioty burdelowe, prowizoryczne baraki z drewna, igrzyska na czas odpoczynku robotników.

- Byłem tam - mówi do siebie Judasz, spoglądając na mokradła. - Powiniennem jechać do domu, ale... ale...

Trudno mu powiedzieć, czemu tego nie robi. Pociąga go skala tego przedsięwzięcia.

Składa wizytę w opuszczonej osadzie stiltspearów, która zjada sama siebie, zapada się w błocie. Judasz ma ochotę wybrać się w głąb ładu, aby znaleźć stiltspeary pośród kurczących się moczarów. Ale jest człowiekiem, a stiltspeary zabijają teraz ludzi. Nieskutecznie próbuje nawiązać z nimi kontakt duchowy. Czuje się pusty.

Judasz obserwuje postępy niwelatorów. Jak mewa, jak padlinożerca podąża ślamazarnym śladem pociągu. W tym bezlitosnym bagnie tory w niektóre dni wydłużają się zaledwie o kilkadziesiąt metrów. Jesień nabiera tempa.

Miasto namiotowe z przyległościami na skraju moczarów staje się ośrodkiem handlu i prymitywnego rzemiosła. Roi się w nim od zbiegów, pracowników bez pracy, poszukiwaczy drogocennych kruszców, uzbrojonych w pistolety konnych wędrowców, którzy coraz liczniej zaludniają uprzystępnioną przez żelazną drogę prerię. Ludzie-kaktusy, vodyanoi, llogissy, khepri i mało znane rasy: dwunożne skorupiaki z mniszymi kapturami, osobniki z nadliczbowymi oczami. Szukający sławy najemnicy, odpady z dziesiątek różnych kultur.

- Jak mógłbym tak po prostu wrócić do domu, skoro ten pociąg jest tutaj? - pyta kogoś Judasz podczas gry w kości. - Jak mógłbym to zrobić?

Jest wagabundą, który wędruje przez kolejowe miasto pary i tłoków. Są tutaj tysiące mężczyzn i kobiet, często bez pracy. Godna politowania armia rezerwistów człapie za wiecznym pociągami. Żebrzą, kiedy żandarmi nie patrzą.

Judasz lepi golemę z udeptanego błota na końcu odcinka. Nie może stąd odejść.

Mijane osady stają się bogate i brutalne - dekadencje, zakurwione, spływające alkoholem i bezprawiem - na kilka kolejowych dni albo tygodni, a potem umierają. Ich los przypomina los jętek jednodniówek.

Seks jest nie mniej istotnym elementem tego projektu infrastrukturalnego jak wytyczanie trasy, układanie torów, wypasanie bydła i buchalteria. Miasteczko namiotowe, zamieszkałe przez prostytutki, które opuściły crobuzońską dzielnicę czerwonych latarni, idzie w ślad za żelazną drogą i budującymi ją mężczyznami. Ci ostatni nazywają je Rypalnicami.

Kolej przyjeżdża i wszystko zmienia. Koło mizernego lasu od stuleci istniały niewielkie osady. Wojny między chłopami małorolnymi i myśliwymi, pustelnikami i traperami; handel i traktaty między tubylcami i zakazanymi sektami, które uciekły z Nowego Crobuzon. Zbiegli prze-tworzeni dotarli na te stopy i stali się liberossynkretami. Teraz kolej wrzyna się jak nóż w tę enklawę i odgłosy jej życia dolatują do Nowego Crobuzon.

Poszukiwacze surowców urządzają małe wędrowniki ludów z metropolii, podążając tam, gdzie podobno można eksploatować skalne mleko, kamienie szlachetne i nasycone magicznymi mocami kości pradawnych potworów. Kryminaliści mają nowe azyle, a łowcy głów nowe drogi, którymi mogą ich tropić. Ciągną tutaj wszyscy ci nowi przybysze, badacze, miejskie szumowiny i ciekawscy ze wszystkich kontynentów. Jak dopływy rzeki, jak pędy bluszczu, ich marszrutę odchodzą od kolei i powracają do niej. Judasz jest jednym z nich.

Lekko strauumatyzowany Judasz pokonuje wiele kilometrów wzdłuż szyn. Każdej nocy śni mu się stiltspary. Słyszy staccato ich głosów, ich chronopauzalny oddech. Na końcu bocznej linii, pętli torów przebiegającej przez półpustynną nieckę okoloną czertem, znajduje się miejscowość Taka. Z pionierskim wigorem przybysze nadają jej nowe nazwy: Targówek, Tekturowo, Zapadłodziura Dolna i Szulernia.

W kasynach robotnicy kolejowi trwonią pieniądze ramię w ramię z dandysami w czarnych, jedwabnych kapeluszach i ze srebrnymi skałkówkami: hazardzistami, karciarzami, wirtuozami kości. Z Nowego Crobuzon, Myrshock i Cobsea, punktów końcowych planowanych tras, niektórzy z jeszcze dalszych okolic. Ludzie-kaktusy z Shankell. Bezimienni vodyanoi podobno z Neovaden. Corosh, szaman z Wormseye Scrub, który do tradycyjnego szylkretowego płaszczka dołożył pantalone i kamasze.

Judasz patrzy, jak się witają i zasiadają do gry.

- Bark Neck - mówi Corosh nienaganą ragamollszczyzną. - Nie widziałem cię od czasów Myrshock.

Odpina od paska broń typową dla Wormseye: maczugę grigri wysadzaną szumiącymi muszelkami kauri.

Judasz nie może się nadziwić, ile jest rodzajów kości i kart. Kości z sześcioma, ośmioma i

dwunastoma bokami, kości niesymetryczne z różnym prawdopodobieństwem wypadnięcia poszczególnych liczb. Karty z siedmioma kolorami, kolory złożone z kół, płomieni, zamków i czarnych gwiazd, talie obrazkowe bez podziału na kolory.

Przy hazardowym stole szczęścia szukają również kobiety: Frey z jej bezlitosnym, ale pięknym uśmiechem, Rosa w prześlicznej bordowej sukience, chłodząca się wachlarzem z żyłek. W drugim tygodniu swego pobytu w Takiej Judasz widzi prze-tworzonego - nie, przy takim sposobie bycia to na pewno jest liberosynkret, osobnik wyjęty spod prawa - który mija żandarmów, pełzając na dolnej części ciała podobnej do kłębowiska węży. Stróże porządku udają, że go nie zauważają.

- Jaknest, wolny bukmacher - wyjaśnia ktoś półgłosem.

Zostawiając po sobie pas śluzu, Jaknest udaje się do pomieszczenia na zapleczu, gdzie zapewne grają o wysokie stawki, nie pytają o pochodzenie pieniędzy i mają w dupie prawo.

Judasz nie chce grać. Woli kraść. Robi z patyków malutkiego golema i każe mu iść pod stół, na którym bank jest tego wieczoru największy. Golem siada na poprzeczkach krzesła pod Place'em Howem, odzianym na czarno i srebrno hazardzistą, który ma przed sobą stos żetonów i weksli. W gwarnej kasynie panuje ścisk i nikt nie dostrzega homunkulusa.

Na rozkaz Judasza golem próbuje otworzyć torbę Place'a Howa. Nagle syk, czerwony siarczany gejzer w powietrzu i golem zamienia się w rozżarzony popiół. Plazmowa bryła dymu i matowego płomienia z chyżością szczura wpelza po płaszczu Howa, okrąża mu szyję i znika. Wszyscy wstają, ale How uspokajająco poklepuje powietrze.

Judasz przeciera oczy ze zdumienia, ale przecież to oczywiste, że tak bogaty przedstawiciel tej profesji nigdzie nie chodzi bez ochrony. Nie zdaje się na kasynowe woduny, które węszą za nielegalnymi czarami. How ma swojego demona stróża.

Osiągnąwszy zaplanowany poziom wygranej, How idzie do baru, stawia drinki i opowiada historie o swoich hazardowych wyczynach, o zwiedzonych przez siebie krajach i o tym, jak nowa kolej ściągnęła go z powrotem do Nowego Crobuzon. „On odwija kolej ze szpulki” - myśli Judasz. „Liczy jej kilometry jak karty, które kładzie na stole”.

- Chętnie bym się z tobą zabrał - mówi Judasz uniżonym tonem.

Place How śmieje się życzliwie do tego poważnego, trochę poobijanego mężczyzny, ze dwa razy młodszego niż on. Nie trzeba go długo przekonywać: idea posiadania lokaja schlebia jego próżności. Ubiera Judasza odpowiednio do tej roli i uczy go jeździć na mule, którego mu kupił, i mówi:

- Możesz przez jakiś czas porobić u mnie za służącego.

Pośród szalwii i wrzosów jada między osadami, które powstają przy torach. Kolej zmienia krajobraz: zwierzęta są czujne, drzewa przeredzone.

Judasz nie buduje golemów, chyba że jest sam. Podczas jazdy Place odnosi się do niego jowialnie i przyjaźnie. Kiedy przybywają do miejscowości, w której chce grać, przybiera maskę pana i każe Judaszowi, żeby mu usługiwał, podawał cukierki i chusteczki. Judasz jest elementem ubioru Howa, tak samo jak jego aksamitna marynarka.

Ciągle spotykają tych samych graczy i Judasz poznaje ich styl bycia. Człowiek-kaktus Koroszyj jest zarozumiały i nie lubiany. Ludzie go tolerują, bo gra gorzej, niż mu się wydaje. Rosa jest rozkoszą dla oczu i uszu. Jest też Jaqar Kazaan, O' Kinghersdt, vodyanoi Shechester i inni, każdy ze swoimi ulubionymi grami. How ma swojego demona, a inni swoje formy ochrony: zaklęcia, duchy opiekuńcze, oswojone elementale powietrzne delikatnie czeszące im włosy. Szulerzy i tacy, którzy nie umieją przegrywać, są rozstrzeliwani i przebijani harpunami.

Pewnego wieczoru Place How przegrywa więcej pieniędzy, niż Judasz kiedykolwiek miał, a dwa dni później odbija to sobie z nawiązką. Gra o domy, o broń, o zabalsamowane

osobliwości, o informacje, ale przede wszystkim o pieniądze. Judasz czasem chowa kilka monet do kieszeni. Jest przekonany, że pracodawca tego odeń oczekuje.

Na pustkowiach obowiązki Judasza obejmują również świadczenie usług seksualnych. Nie przeszkadza mu to: z kobietami i z mężczyznami odczuwa mniej więcej to samo. Kiełkuje w nim współczucie, rośnie coraz większe. Czuje w sobie coś amorficznego, co może należałoby określić mianem dobroci.

Potem dociera do nich wiadomość, że nadchodzą hazardziści z Maru'ahm. Wszyscy są tym podekscytowani.

- Zawsze byłem hazardzistą - mówi Place How któregoś wieczoru. - Znam wszystkie gry i warianty. Grałem z elementarystami, numerologikami i absolwentami akademii gnozy hazardu. Częściej wygrywałem, niż przegrywałem, bo inaczej by mnie tutaj nie było. Ale Maru'ahm, ja cię kręcę! Byłem tam przed laty i powiem ci jedno: jeśli będę się grzecznie sprawował i odmawiał paciorków, to po śmierci pójdę właśnie tam.

Maru'ahm, Kasynoparlament.

- Jasne, że najlepiej czują się tam ci, którzy lubią ruletkę, połówkowego snapjacka i kości, ale również karciarzom mają tam wiele do zaoferowania. Dziesięć lat temu, teraz, w roku 1770, miałem taką passę, jakby La Dama Fortuna śliniła się na mój widok. Stawiałem swojego konia, swoją broń, swoje życie, i ciągle wygrywałem. Grałem o takie stawki, o jakie gra się tylko w Maru'ahm. Kolejne moje ustawy przechodzą. Wygrywam w transbrydża, wygrywam w czarne siódemki, wygrywam we wszystko. A potem zasiadam do pigwy i stawiam dużą ustawę budowlaną przeciwko zaprawionemu w bojach senatorowi i przegrywam, ale widzę, że kilka kart wyciągnął z rękawa. Nie strzelam za dobrze, ale tak mnie to wkurzyło, że wyzwalam go na Pojedynkę. Dziesięć kroków i obrót, otaczają nas setki mieszkańców miasta i większość mi kibicuje, bo moja ustawa byłaby dla nich korzystniejsza. Do dzisiaj myślę, że to jeden z nich zastrzelił tego oszusta, a nie ja. Nigdy nie miałem zbyt celnego oka.

Uśmiecha się.

Nikt nie gra tak, jak mieszkańcy Maru'ahm, którzy przywożą ze sobą swoje obyczaje. Nadciągają rzesze hazardzistów. Mała miejscowość u zbiegu kilku rzek, oddalona o dzień jazdy od torów kolejowych, staje się celem pielgrzymek. Miejscowi dziwią się inwazji elegantów, modnie ubranych mężczyzn i kobiet, którzy noszą ozdobną, ale diabelsko groźną broń, zaludniają knajpy, przywożą zagraniczne wina, które sprzedają oberżystom, a później z powrotem odkupują, demoralizują tubylczą młodzież.

Nadeszła zima. Pada śnieg. Judasz słyszał, że budowa kolei stanęła, robotnicy schronili się przed mroźnym żywiołem. On sam czuje, że coś go dręczy. Żelazna droga jest wypisanym na ziemi zdaniem, które on powinien odczytać, ale mu się to nie udaje.

Z płaskiego jak lód nieba zlatuje coś niezwykłego. Hazardziści z Maru'ahm przybywają na egzotycznym biolatawcu, szczudłowatym, pierzastym statku powietrznym opancerzonym przez chrząszcze. Dziwotwór ląduje, mruga reflektorami oczu i wypływa z siebie graczy. Mają na sobie dresy wysadzone jadeitem i opalem. Przywieźli ze sobą talie kart. Ich przywódcą jest księżniczka. Teatralnie unosząc dłoń, krzyczy silnie zabarwioną obcym akcentem ragamollszczyzną:

- Zagrajmy!

Miejscowi próbują zabawiać ich tańcami ludowymi, ale jest to rozrywka pospolita i

nieodpowiednia. Słysząc grzechot kości, także tych o tarcze do szatrandżu, synkopowany jak stukot kół pociągu. Jest też delikatniejszy odgłos tasowania kart.

Place How siedzi naprzeciwko stoickiego rebisa, androginicznego szulera z Maru'ahm, który niespiesznie wygrywa w bakarata, zębowego bezika, pokera. How strzela z palców na Judasza, żeby przyniósł gorący szербet, ale ten wielkopański gest zostaje odebrany jako prostacki. Dwupłciowiec uśmiecha się.

Grają w nieznaną Judaszowi grę za pomocą heptagonalnych kart, które odwracają, część odrzucają, a resztę układają w zachodzące na siebie wzory. Inni gracze przychodzą i odchodzą, robią zakłady według nieczytelnego dla Judasza systemu, przegrywają, a pula rośnie, zostają tylko How i hermafrodyta.

Każdy zakład przyprawia Howa o fizyczny ból. Stół otaczają kibice. Hazardzista z Maru'ahm odkrywa kartę i wygrywa od Howa życie jego demona stróża. Mała figurka objawia się jako płonąca marmozeta, która skrzeczy, chwyta Howa za wyłogi marynarki i osmala je, ale wybucha i znika z czarnym od sadzy pierdnięciem. How czuje strach. Zagrywa va banque i dostaje garść nakręcanych klejnotów, ale w następnej rundzie hermafrodyta bierze potrójną lewę i Place How może tylko jęknąć. Traci substancjalność. Im częściej przegrywa, tym bardziej staje się przezroczysty.

Próbuje przyprzeć swoje szczęście do muru.

- Stawiam mego konia, stawiam moje myśli, stawiam tego tam - deklaruje agresywnym tonem. - Przy tych ostatnich słowach wskazuje na Judasza, który mruga i kręci głową. „Nie jestem żetonem”. Ale jest już za późno, How potraktował go jak żeton i przegrał, a Judasz zmienia właściciela. Szuka ratunku w ucieczce.

Na swoim zabiedzonym mule jedzie w stronę linii kolejowej, przecinając ścieżki traperów i myśliwych. W kieszeni brzęczą mu ukradzione pieniądze.

Judasz przejeżdża przez puste skorupy miast, w których zaledwie parę miesięcy wcześniej odbywał się karnawał na końcu linii. Podąża wzdłuż cieków wodnych nabrzmiiałych od roztopionego śniegu. Z fałdów wzgórz ogląda linię kolejową, kawaleryjski szturm pociągów, których kominy ryczą czarnym dymem, a w wagonach roi się od ludzi poszukujących szczęścia w stacjach pośrednich.

Po trzech dniach Judasz dowiaduje się, że rebis, który go wygrał, jest na jego tropie. Pogłoski nie znają pojęcia odległości. Na południu - znowu blisko mokradeł, gdzie budowa kolejnego odcinka strasznie się ślimaczy - Judasz trafia na ukryte w wąwozie miasto, w którym zgromadzili się rewolwerowcy. Preria nagle zarośla się od tych włóczęgów, wyrzutków społecznych. Do tubylczych band dołączyli nowi przybysze, z których zbójców uczyniła żelazna droga. Kolej ma swoje wymagania.

W oberży Judasz kupuje usługi rewolwerowca Oil Billa, którego Prawa ręka była narzędziem do pracy przy silnikach, ale rusznikarz zrekonfigurował ją - w mosiądzu - w szybkoobrotowy bębenek do oddawania strzałów w niewiarygodnym tempie. Przekonuje Judasza, żeby został w mieście i pozwolił mu zarobić na swoją pensję w bezpośredniej konfrontacji z hermafrodytą. Dochodzi do niej w marznącym, zimowym pyle. Mieszkańcy stają w bezpiecznej odległości, po czym hazardzista wypuszcza stado sztyletogolebi, które rzucają się na Oil Billa, błyskając stalą, ale z prędkością ogniową, jakiej Judasz nigdy w życiu nie widział - mechanizmy zegarowo-sprężynowe w trybie ciągłym zasilają jego rewolwerową dłoń -

liberosynkret anihiluje je w locie i przez opadające pióra strzela do hermafrodyty, który zwała się na ziemię ociekający krwią i martwy.

Judasz przyłącza się do Oil Billa. Zaniedbał swoje golemi, wspomnienia o stiltspearach, linię kolejową. Dostrzega w rozbójniku głód szyn, który przypomina mu o jego własnym. Tęsknota liberosynkreta jest mniej skomplikowana... może szlachetniejsza? Głęboko we wnętrzu, pod warstwą spokoju, która w nim osiadła, Judasz wie, że musi zrozumieć szyny.

W niektórych oberżach płacą, w niektórych wymuszają wikt i nocleg. Oil Bill śpiewa piosenki o wędrownych renegatach. Judasz urządza dla niego przedstawienia, lepi z jedzenia golemi - jego popisowy, a zarazem jedyny numer - i każe im tańczyć na stole. Stara się przy tym oddychać rytmicznie jak stiltspeary.

Każda miejscowość ustanawia własne przepisy i sama próbuje je egzekwować. Nowe Crobuzon nie rości sobie prawa do władzy nad prerią. Na razie jej nie chce. Nie wysyła tutaj milicji, pilnowanie porządku i wszelkie profity zostawiając MKK. Kolejowi żandarmi są tutaj stróżami prawa, ale bezlitośnie liberalnymi, pilnują tylko niektórych kopalń i miast handlowych.

Dzięki reputacji Billa mija sporo czasu, zanim ktokolwiek wdaje się z nim w konflikt i Judasz znowu go widzi zabijającego. Jego ofiarą pada obrzydliwy, wiecznie szukający zwady pijak, który straszy wszystkich swoimi poruszającymi się pod wpływem zaklęć tatuażami. Kara wydaje się Judaszowi niewspółmierna do winy. Ze smutkiem patrzy na trupa rozbieranego przez dzieci z rynsztoka.

Rzecz, której narodziny w sobie poczuł, wytwór jego zakrzepłej empatii, macha ogonem. Judasz nie lubi swego towarzysza podróży.

Mimo to nie odchodzi, sam zostaje rewolwerowcem w cieniu Billa, zamienia muła na kradzionego konia. Oil Bill nie potrafi się oderwać od linii kolejowej. Przemierzają zimowe wzgórza. Bill ciągle prowadzi ich z powrotem ku torom.

- Patrz, ten pociąg z lokomotywą na końcu to jest zaopatrzenie budowy, jadą głęboko w mokradła. Ten drugi to są turyści z Nowego Crobuzon, którzy przyjechali zobaczyć dziki kraj, a ten trzeci, z obrotowymi działami za lokomotywą, to pociąg z wypłatami.

Oil Bill uśmiecha się.

Judasz jest zaciekawiony. Słyszał o próbach obrabowania pociągów. Zuchwałe ataki jeźdźców, operatorów drezyn albo wielonogich i szybkich liberosynkretów, którzy potrafili dotrzymać tempa lokomotywie, nękali snajperów, wskakiwali do pociągu i uciekali z pieniędzmi.

Plan Oil Billa może się udać. Jest prymitywny, pozbawiony finezji, ale może zdać egzamin, ponieważ Oil Bill nie boi się żelaznej drogi i nie darzy jej respektem. Inni niszczyli część mostu, aby zmusić pociąg do zatrzymania się i wskoczyć do niego. Bill chce wysadzić most w powietrze, kiedy pociąg będzie po nim przejeżdżał: akt wojny. Zdziwienie Judasza debilnością planu jest tak wielkie, że graniczy z podziwem.

- Wiadukt nad przełęczą Silvergut - mówi Oil Bill, rysując na ziemi. - Most ma kilkaset metrów. Czekamy na dole, zapalamy lonty, jak tylko pociąg wjedzie na wiadukt, i spierdalamy. Ta fuszerka tego nie wytrzyma i zaraz walnie o ziemię.

A dalej scenariusz przewiduje, że pociąg rozpadnie się w powietrzu i roztrzaska na opancerzonym lodem skalnym podłożu kilkadziesiąt metrów niżej, i chociaż łup zostanie uszczuplony, ponieważ ogień strawi skrzynki z pieniędzmi, do niektórych zmiażdżonych wagonów nie będzie dostępu, i wreszcie krew obsługi i pasażerów popłami banknoty, część sztabek złota na pewno się wysypie. Trochę gwinei wiatr poniesie przez wawóz i Oil Bill po prostu zgarnie łupy z ziemi i powietrza.

Geniusz Billa polega na ograniczonym zakresie jego ambicji. Obdarzony szerszą wizją złodziej chciałby opróżnić skrzynie do ostatniego stivera i taki poziom marnotrawstwa byłby dla

niego nie do przyjęcia. Oil Billowi zupełnie jednak nie przeszkadza, że większość skarbu zgnije w pociągu, byle on dorwał w swoje ręce trochę forsy.

Mieszkający w Judaszu robak porusza się, nie sumienie, tylko jakaś mgławicowa cnota. Odczuwa ją jako obce ciało, które mu jednak dokucza. Judasz nie chce być współnikiem Oil Billa, ale nie dorósł do roli jego przeciwnika. Musi więc robić dobrą minę do złej gry, nawet kiedy kradną proch i obok zimowych kaktusów i zwietrzałych czarnych skał pokonują przełęcz Silvergut i docierają pod most. Przymocowują ładunki wybuchowe do filarów, przy czym Bill robi to tak nieostrożnie, że Judasz blednie. Dopiero potem, gdy czekają na pociąg i Bill śpi - Judasz ma sposobność wziąć nogi za pas.

Zostawia konia i wspina się po stromych skałach. Do tego stopnia traci czucie w palcach, że boi się odmrożeń. Ucieka przez cały dzień i w końcu dociera do budki dróżnika i zwrotniczego przy odnodze torów.

- Żandarmi - mówi do niego Judasz, pokazując puste ręce. - Mam wiadomość dla żandarmów.

Judasz wraca dobę później, na nowym koniu, półtora kilometra za żandarmami MKK. Kiedy dociera pod most, dwóch z nich nie żyje, ale ładunki Billa są rozbrojone.

Sam Bill zniknął. Żandarmi wystawiają straż. Judasz obserwuje ich z pogardą. Pstrokata zbieranina pozbawiona dyscypliny crobuzońskiej milicji. Gdyby nie broń i szarfy w barwach MKK, trudno byłoby ich odróżnić od włóczęgów i poszukiwaczy szczęścia. Nie wiedzą, jak ścigać Oil Billa i nie mają na to ochoty. Wyznaczają nagrodę za jego głowę.

Judasz jest w niebezpieczeństwie, póki Oil Bill pozostaje na wolności. Przyłącza się do łowcy głów.

Z początku Judasz sądzi, że łowca głów jest człowiekiem, ale ten przyjmuje propozycję gardłowym, obcym chrypieniem, a sposób przekręcania szyi i zamykania oczu zdradza istotę nienaturalną. Jedzie na czymś, co nie jest koniem, tylko stworem koniopodobnym, *simulacrum* konia pod skórą prawdziwego zwierzęcia. Strzela z rusznicy, która pluje i mrczy, czasem zamienia się w strzelbę, a czasem w kuszę. Osobnik ten nie chce zdradzić Judaszowi swego imienia.

Jadą razem wzdłuż torów przez tereny nie skolonizowane, tylko zakażone, tak jak kiedyś życie zakaziło sadzawki poodpływowe. Po czterech dniach tropienia za pomocą ideogramów i magicznego pyłu łowca głów znajduje Oil Billa i przypiera go do muru w kamieniołomie. Na białej skale widać szachownicę wyżłobionych dłutem bruzd.

- Ty! - krzyczy do Judasza z wściekłością wykiwanego debila.

Łowca nagród zabija go, a jego broń pożera ciało.

„Może też się tym zajmę” - myśli Judasz i jedzie z myśliwym. Jadą do miasta tropem tych, z którymi żandarmeria nie chce zadzierać. Na stacjach MKK wertują listy gończe. Łowca nagród nie prosi Judasza, żeby z nim został, ani go nie odsyła. Mówi sepleniącym szeptem i tak cicho, że Judaszowi trudno ocenić, jak dobrze zna ragamollski.

Rani albo zabija swoje ofiary kolcami ze swojej broni, żywymi sieciami albo gwałtownymi gardłowymi dźwiękami, po czym wlecze ciała do najbliższej miejscowości, aby odebrać nagrodę. Od Judasza niczego nie wymaga ani nic mu nie daje. Liczba schwytanych złodziei owiec, gwałcicieli i morderców rośnie, pieniądze wpadają do kieszeni. Zabijani przez quasi-człowieka to szumowiny, ale robak na dnie serca Judasza nie jest szczęśliwy.

Trzy dni jazdy kamienistymi ścieżkami, po skalistych grudach, które przypominają zbrylenia szarego powietrza i rozpryskują się pod kopytami. Zaczątki jakiegoś górniczego przedsięwzięcia, ciała saperów i żandarmów, wejścia do tuneli, w których szpik kostny jakiegoś zmarłego wiele epok temu boga-bestii zamienił się w rudę i w których teraz mieszka małe plemię trowów.

Koncern Grot Strzały chce eksploatować kościorudę. Troglodyci odparli górników i żandarmi chcą ich stąd wykurzyć. Takie mają zadanie.

Judasz patrzy, jak jego towarzysz rozpakowuje chymikalia. Stara się zachować wewnętrzny spokój. Nic się nie porusza, ani ptak, ani pył, ani chmura, jakby czas czekał. Judasz odwraca się i czuje, jak czas znowu rusza z miejsca, kiedy łowca nagród stawia na ogniu wielki gar destylatów i olejków, po czym ciągnie do wejścia do jaskini skórzaną rurę i szczelnie wpasowuje ją w otwór. Noc zbliża się ku końcowi. Ogień i miedziany kocioł oblewają ich brązowym światłem. Łowca głów miesza trucizny.

W brzuchu góry trowy na pewno siedzą i czekają. Judasz wyobraża sobie, jak obserwują zbocza. Na pewno wiedzą, że coś się szykuje. Judasz myśli o stiltspearach i ich naiwnym, z góry skazanym na porażkę oporze. Jest mu zimno, ale w środku budzi się robak ambiwalencji, ta dziwna rzecz, która nie jest sumieniem, tylko świadomością grzechu, dobrocią.

- Daj mi spokój - prosi Judasz, ale stwór go nie słucha.

Robak wije się, wydzielając obrzydzenie i gniew. Judasz wie, że to nie są jego uczucia, ale zabarwiają jego psychikę. Wzbierają w nim. Myśli o małych stiltspearach i o dzieciach trowów w brzuchu góry.

Chymikalia mieszają się i kipią. Łowca głów dodaje kolejne związki, aż wreszcie czerwona, błotnista mikstura czka gazem i emituje żrący, oleisty dym, który wlewa się do kopalni. Myśliwy czeka. Trucizna pędzi do tuneli, mikstura wrze wulkanicznie.

Judasz nie potrafi już dłużej zapanować nad gniewem. Waha się jeszcze przez kilka sekund. Nigdy nie zapomni o metrach sześciennych zabójczego gazu, które przez ten czas wleciały do jaskini, po czym podchodzi - od nawietrznej - do kotła i wkłada lewą rękę pod rękaw skórzanej rury. Przerażony myśliwy nic nie rozumie.

Gaz ma odczyn kwasowy i jest gorący, Judasz wrzeszczy, kiedy pęka mu skóra. Nie cofa jednak ręki i swój krzyk zamienia w zakłęcie. Przywołuje ze swego wnętrza wszystkie energie, których się nauczył, i wszystkie techniki, które ukradł, kieruje je na krystaliczną bryłkę nienawiści i zemsty, którą w sobie znalazł. Potem osiąga czystsza i silniejszą kateksję niż kiedykolwiek w życiu i emanuje taumatycznymi energiami, które stwarzają golema... golema dymowego, golema gazowego, golema z cząstek i zatrutego powietrza.

Judasz odskakuje i chwytą pokiereszowaną dłoń drugą ręką. Kocioł dalej bucha dymem, ale już nie do tuneli, dym cofa się ze skórzanej rury i wypełza nad krawędź kotła na ulotnych kończynach podobnych do małpich albo lwich, po czym zbija się w chmurę, która na rozkaz Judasza leci pod wiatr w stronę łowcy głów.

Judasz nigdy wcześniej nie stworzył czegoś tak wielkiego. Golem jest niesterowny i niestabilny, a wiatr urywa mu kolejne strzępy, ale nie na tyle szybko, żeby zniknął przed dotarciem do myśliwego, który strzela do niego bezradnie. Kule przelatują na wylot, popychając przed sobą dymne kawałki golemowego ciała. Łowca głów nie widzi Judasza, który rusza rękami, manipulując golemem jak teatralną lalką. Golem śmiga gazowym ogonem, który owija się wokół myśliwego, zmuszając go do oddychania trującą substancją. Jego quasi-ludzka skóra i delikatne wewnętrzne membrany marszczą się i pękają P° czym łowca nagród dławi się własnymi płucami, które zmieniły stan skupienia na płynny.

Kiedy quasi-człowiek jest już martwy, Judasz każe kurczącemu się golemowi skoczyć

wysoko, oddając go na pastwę wiatru. Po kilku konwulsjach golem rozplywa się w powietrzu. Judasz bandażuje dłoń i okrada ciało łowcy głów lekko zalatujące gazem.

Judasz nie wie, jak dużą część miasta trowów zatrul dym. Wie natomiast, że czasu jest mało, że koncern Grot Strzały każe MKK wysłać do tej kopalni kolejnego likwidatora, który znajdzie zniszczoną trucicielską instalację i trupa. Judasz wie, że trowy są skazane na zagładę, a ich miasto zniknie z kart historii, ale on nie chce brać w tym udziału i może sobie powiedzieć, że próbował zapobiec temu barbarzyństwu.

Trowy zginą. A gdyby zostawić im tam jakąś ochronę? Nadać tym skałom kształt strażnika i kazać mu czekać, ocknąć się, kiedy będzie potrzebny. Quasi-koń łowcy głów ucieka i wbiega prosto w skałę, zostawiając siniec porostów w kształcie zwierzęcia.

„Nie mam tutaj nic więcej do roboty” - myśli Judasz. Dłoń mu drży, on sam drży. „Zabiłem człowieka, a w każdym razie istotę, która wygląda jak człowiek”. Jego somaturgiczne wysiłki, których efektem był golem i śmierć likwidatora, wyczerpały go. Trzęsie się wystraszony i wzburzony tym, co zrobił. Nie chce mu się wierzyć, że potrafił stworzyć golema nie z gliny, tylko z powietrza. „Nie mam nic więcej do roboty w tej dziczej krainie. Dziejcej dlatego, że my tutaj jesteśmy”. Zdumiewa go, że okazał się zdolny do czegoś takiego.

Judasz rozrzuca garnki i resztki ognia, po czym kieruje kroki ku żelaznej drodze.

W swego rodzaju transie Judasz jest wciągnięty w smugę kondensacyjną pociągów. Dociera do nasypu na pełnym pustkowiu. Koń jest zmęczony, marznie w śniegowym pyłe. Judasz jedzie w góry, do wioski nad obozem robotników kolejowych.

Chociaż mężczyznom niczego nie brakuje, chociaż nawet tak daleko od torów jest całe stado prostytutek w namiotowych burdelach, kolejowi niwelatorzy i kruszyciele skał czasem przychodzą do maleńkiej wioski pasterzy kóz, w której Judasz siedzi i patrzy. Miejscowe dziewczyny idą z Crobuzończykami, mimo że ich rodziny protestują, a czasem bezskutecznie próbują zatrzymać je siłą. Wieśniacy opatrują rannych w tych utarczkach, które traktują jak dopust bogów.

- A cóż możemy zrobić? - mówią.

Ta cierpliwość, ta powściągliwość jest ich przekleństwem.

Odkąd linia kolejowa werżnęła się w mokradła, w Judaszu zamieszkał jakiś nowy spokój, który pozwala mu patrzeć na świat jak przez szybę.

Opowiada goszczącym go pasterzom o Nowym Crobuzon. Dają mu dach nad głową, wdzięczni, że nie jest tak brutalny jak mężczyźni z wiecznego pociągu. Zasypują go pytaniami w swoim barbarzyńskim ragamoll.

- Czy to prawda, że żelazna droga kwasi mleko?

- Czy to prawda, że zabija dzieci w łonie matki?

- Czy to prawda, że psuje ryby w rzece?

- Jak się nazywa?

- Byłem tam, gdzie się kończy.

„Jak się nazywa?” To pytanie go zaskakuje.

Wśród górskiego chłopstwa znalazł kobietę, która z nim mieszka. Na imię ma Ann-Hari. Jest o kilka lat młodsza od niego, żywiłowa i ładna. Judasz traktuje ją jak dziewczynę, chociaż jej zainteresowania i spojrzenia czasem wydają się mu bardzo dorosłe i wyrachowane, jakby jej naiwność była tylko maską.

Judasz chce się z nią związać. Ann-Hari jest stracona dla rodziny i dla wioski. Jest więcej takich jak ona, trochę chłopców, ale głównie młodych dziewcząt: przybycie tych nieokrzesanych robotników kolejowych i buchających parą tłoków działa narkotyzująco. Rodziny lamentują, bo ich pociechy nie pilnują trzód albo sprzedają je kolejarzom na mięso za błyskotki zrobione w narzędziowni. Młodzi pasterze kóz przyłączają się do ekip budowlanych i zasypują koryta rzek. Młode kobiety znajdują inne ujścia dla swojego entuzjazmu.

Ann-Hari nie jest dziewczyną dla Judasza, nie może się z nią związać. Kiedy ją spotyka, Ann-Hari wciąż jest jeszcze pod wpływem pierwszego zauroczenia koleją. Bierze go do siebie i oddaje mu swoje dziewictwo z ochotą, która nie ma nic wspólnego z nim samym i on zdaje sobie z tego sprawę. Przez te kilka dni, kiedy dziewczyna należy tylko do niego, stara się uczynić z ich związku coś wielkiego, miłość jego życia. Nie jest to z jego strony afektowany sentymentalizm. Ale kiedy Ann-Hari opasuje go udami, patrzy mu przez ramię ku czemuś innemu - nawet nie lepszemu, tylko innemu, ku czemuś więcej. Zawiera nowe przyjaźnie. Wraca do niego, do wioski, ale nie może ukryć zapachu obcowania z innymi mężczyznami.

Jej łamana ragamollszczyzna z Downs ewoluuje. Ann-Hari posługuje się wielkomięskim slangiem zapożyczonym od młotkowych. Judasz dostrzega pod jej upojeniem spokój, bezkompromisową inteligencję i nienasyconą chuć. Pokazuje jej golemy, które są coraz większe i silniejsze. Bawi ją to, ale nie bardziej niż tysiące innych rzeczy.

Między markietankami jest wiele złej krwi. prostytutki, które wiernie podążały za tymi mężczyznami, oddalając się od wiecznego pociągu, aby umilać wieczorne godziny kopaczom górskich tuneli, czują się zagrożone przez swoje wiejskie rywalki, chłopki, które nie oczekują zapłaty. Nawet niektórzy robotnicy czują się niepewni wobec tych dyszących żądzą młodych kobiet, które nie sprzedają ani nawet nie podarowują im seksu, tylko go żądają. Nie znają żadnych zasad. Nie ma dla nich żadnych tabu. Niektóre próbują to robić nawet z więźniami, skutymi kajdanami prze-tworzonymi. Ci ostatni są tym przerażeni i zgłaszają się do swoich strażników.

Pewnej zimnej nocy Ann-Hari przychodzi do Judasza wystraszona, posiniaczona i zakrwawiona. Doszło do bójki. Grupa prostitutek chodziła od namiotu do namiotu. Rozdzielały kopulujące parki - oburzeni mężczyźni byli bezsilni, ponieważ przedstawicielki najstarszego zawodu świata miały przewagę liczebną - i sprawdzały twarze wszystkich kobiet. Miejscowe chłopki, które nie pobierały zapłaty, wywlekały na zewnątrz, a następnie ozdabiały olejem silnikowym i piórami. Żandarmi rozumieją pracujące dziewczyny i nie przeszkadzają im w tej akcji.

Ann-Hari łajdaczyła się z jakimś mężczyzną na obrzeżach obozu, kiedy dopadła ją zgiełkliwa sprawiedliwość prostitutek. Broniła się, bijąc pięściami z chłopską krzepą. Trzy przeciwniczki wylądowały na ziemi, a jedną starszą kobietę pchnęła w brzuch ręcznym świderkiem. Uciekła, pozostawiając krwawiącą ofiarę, która bladła z każdą chwilą.

Judasz nigdy nie widział jej takiej pokornej. Wie, że ten incydent jest bez znaczenia. Nie ma i prawdopodobnie nie będzie ofiar śmiertelnych - ostrze jest maleńkie. Teraz miejscowi znają już reguły i nikt nie będzie pamiętał o Ann-Hari, która próbowała kontratakować.

Ale strach, który roznieciła w niej ta nieoczekiwana eksplozja przemocy, nie wygasa. Judasz cieszy się z tego, bo łatwiej jest mu przekonać Ann-Hari, żeby wyjechała razem z nim. Chce powrócić na łono cywilizacji, chce zostawić za sobą żelazną drogę, chce pojechać do domu - i chce zobaczyć ten dom oczyma innej osoby.

Po dwóch dniach marszu docierają do umierającej stacji, do pociągów. Siadają w trzeciej klasie. Judasz obserwuje Ann-Hari, która patrzy przez okno na uciekającą do tyłu trawę i wzgórze, na rzekę, na wąwozy, na ciemność tuneli. Godziny spędzone w ciszy, jeśli nie liczyć

skomplikowanego rytmu kół, w drodze do miasta, którego on nie widział od wielu miesięcy, a Ann-Hari nigdy.

Wrócił i wytrzeszcza oczy jak prowincjusz, który po raz pierwszy zawitał do wielkiego miasta. Razem z Ann-Hari kwaterują w namiocie na dachu w Badside. Mają widok na trupa Mostu Wielkiego Kalibru, którego część ruchoma już dawno zaklinowała się i zardzewiała, toteż most pełni wyłącznie rolę falochronu.

Cały strach Ann-Hari pozostał dziesiątki kilometrów z tyłu i nic nie może jej przeszkodzić w poznaniu Nowego Crobuzon. Każdego dnia wraca do Judasza i z przejęciem opowiada mu o mieście.

Nigdy wcześniej nie widziała kheprich.

- Są tutaj kobiety z głowami chrząszczy - informuje go. Odwiedza Żebra. - Są większe od najwyższych drzew. Są stare i twardsze od kamienia. Kości nad dachami, coś martwego, i całe miasto jest grobem. - Ann-Hari jeździ crobuzońskimi pociągami - pięć linii głównych plus boczne - z Abrogate Green na wschodzie do Terminus, do Chimer's End, do Fell Stop i Downs. - Jest tam stary, walący się dom, las prawie do niego dochodzi, szyny prowadzą dalej, do lasu, ale pociągi tam nie jeżdżą.

Przy nieużywanych torach w Rudewood jest stacja. Budynek od dawna stoi pusty. Judasz o nim wie, ale nigdy go nie widział. Ann-Hari jedzie aż do Spatters, niebezpiecznego getta, w którym nieliczni crobuzońscy garudowie mieszkają nad najędźniejszymi podobywatelami, a potem maszeruje cuchnącymi ulicami tej dzielnicy do lasu, do zarośniętych resztek stacji, następnie wraca i wsiada w pociąg do Dog Fenn, żeby opowiedzieć o wszystkim Judaszowi, który dzięki niej poznaje Nowe Crobuzon.

Ann-Hari opowiada mu o Fuchsia House, BilSantum Plaza i Parku Maszkaronów, nakrytym kopułą getcie ludzi-kaktusów, ogrodzie zoologicznym i wielu innych rzeczach, które po raz ostatni odwiedził w młodości, jeśli w ogóle. Mówi mu o wszystkich widzianych przez siebie rasach. Jest zachwycona targowiskami.

Judasz zarabia dostatecznie dużo, aby starczało na życie, zabawiając przechodniów chałupniczą golemetrią. Pewnego dnia robi bardziej solidną figurkę z drewna, zaopatrując ją w ruchome stawy z ogniw łańcucha. Przywiązuje do kończyn sznurki i udaje, że każe figurce tańczyć właśnie za pomocą sznurków, a nie taumaturgii, bo kiedy widzowie biorą go za lalkarza, płacą znacznie więcej.

Wynajmują pokój w pobliżu doków Kelltree. Co rano budzą ich fabryczne syreny i tłumy sunących do pracy robotników. Ann-Hari zawiera znajomość z handlarzami narkotyków. Kiedy wraca do domu, ma powiększone źrenice i roztacza wokół siebie kwaśny odór shazbahu. Niektóre noce spędza poza domem. Kiedy jest z Judaszem, śpi z nim i bierze od niego pieniądze.

Lubi długie spacery. Judasz pokonuje wraz z nią wiele kilometrów, między przyglądającymi się im domami, w cieniach eklektycznej architektury. Ann-Hari pyta go, dlaczego coś jest tak, a nie inaczej zbudowane, on jednak nie zna odpowiedzi. Pewnego razu mijają ich para kheprich. Ich szarfy są ze sobą splecione, ich głowoodnóża falują, a dokoła unoszą się gorzkawe aromaty, ich chemiczne szepty. Judasz czuje, jak Ann-Hari tężeje. Po raz pierwszy w życiu dostrzega dziwność kheprich, słyszy podobne do szczęku nożyczek odgłosy ich gnatycznych ruchów. Zaczyna dostrzegać dziwność całego miasta.

Gospodarka kwitnie. Ludzie mają pieniądze i uliczni artyści konkurują ze sobą o miejsce

na chodnikach. Judasz pokazuje kontredanse swoich kukiełek obok śpiewaków, muzykantów, akrobatów i malarzy.

Jak na zimową porę w mieście jest zaskakująco ciepło. Życie toczy się niespiesznie. W świetle czerwonych flar golem Judasza produkuje się dla studentów w Ludmead.

Są to przeważnie elegancko ubrani chłopcy z bogatych przedmieść plus paru pilnie zgłębiających wiedzę potomków rodzin urzędniczych, ale trafiają się również kobiety, a nawet przedstawiciele obcych ras. Przechodzą obok płasającego drewnianego tancerza Judasza. Golemista jest niewiele starszy od większości z nich.

Niektórzy dają mu stivery, marki i szekle, ale większość nie daje nic. Pewien młody człowiek, dostrojony do ruchów figurki i przepływu taumaturgonów, zatrzymuje się i widzi, że marionetka nie jest marionetką.

- To jest moja działka - mówi. - Tym się tutaj zajmujemy. Studiuję somaturgię. Masz czelność tutaj przychodzić i odstawić swoje chałturnicze czary-mary?

- W takim razie zmierz się ze mną - odparowuje Judasz.

W ten sposób do Nowego Crobuzon docierają zapasy golemów, sport stiltspearów.

Niewielka grupa żaków patrzy, jak arogancki okularnik zmrużonymi oczami taksuje Judasza, który jest ogorzały, żylasty i ubrany w szmaty z trzeciej albo czwartej ręki. Chociaż głośno kibicują swemu koledze, Judasz wyczuwa ich ambiwalencję i uświadamia sobie, że ci potomkowie zamożnych rodzin woleliby, żeby ich kandydat - średniozamożny, rzemieślniczy syn - przegrał z nieznanym im przybyszem z zewnątrz. Solidarność klasowa prawie każe mu się wycofać, ale pieniądze już są liczone, a jego szanse wysokie: stawia na siebie samego.

Szepcze do swojego golema, zaklina go rytmicznymi zaklęciami zmąlpowanymi od stiltspearów, i jego podopieczny rozrywa ulepioną przez studenta z ziemi figurkę na kawałki. Zwycięstwo przyszło łatwo.

Judasz liczy zarobione pieniądze. Przegrany kilka razy przetyka ślinę i podchodzi do niego. Jest sympatyczny i inteligentny.

- Brawo - mówi z uśmiechem. - Opanowałeś kilka technik i posiadasz niemałą moc. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś stworzył takiego golema.

- Nie uczyłem się tutaj.

- To widać.

- Jeszcze jedna próba? Drugi mecz?

- Tak, zawalczmy jeszcze raz!

- Wróć jutro, lalkarzu - wtrąca się inny student - urządzimy rewanż. Ale znajdziemy lepszego taumaturga niż Pennyhaugh.

Ani Judasz, ani Pennyhaugh nie zwracają uwagi na intruza. Patrzą na siebie i uśmiechają się.

To nigdy nie będzie takie popularne jak nielegalne walki gladiatorów w Cadnebar i na innych, mniejszych arenach, gdzie spragniona mocnych wrażeń publika może oglądać pojedynki nożowników, potyczki dwóch maczetników z człowiekiem-kaktusem czy walki gryzione. Pennyhaugh i Judasz zostają partnerami i ustalają regulamin. Ich liga budzi zainteresowanie, golemowe zapasy stają się modne.

Z początku na mecze przychodzą studenci nauk plazmatycznych, potem pojawiają się niektórzy ich profesorowie. Ludzie informują się o rozgrywkach z ust do ust i na trybuny ściągają

łumy somaturgów samouków i domorosłych taumaturgów ze slumsów. Władze nie legalizują tego sportu, ale go nie ścigają. Wkrótce przeradza się w biznes. Trzeba opłacać milicyjnych informatorów oraz uniwersyteckich woźnych i urzędników. Zadanie to bierze na siebie Pennyhaugh.

Są nietypowymi bohaterami: skoncentrowanymi, napiętymi i pilnie się uczącymi. Mecze odbywają się w coraz większych salach. Golemiści specjalizują się, uzbrajają swoje twory w broń białą i blaszane zbroje, wyposażają je w szpikulcowate nogi i zębate płetwy grzbietowe. To są golemachie, bitwy golemów, walczących tworów, dobranych przeciw sobie pod względem wagi.

Judasz jest mistrzem. Z reguły wygrywa bez wysiłku. Oszczędne, prymitywne techniki zapożyczone od stiltspearów zdają egzamin. Parę razy przegrywa, ale w tej bezlitosnej szkole szybko się uczy.

- Jesteś niezwykle utalentowany, Judaszu - mówi Pennyhaugh. Nie potrafi pokonać Judasza, ale może go trenować. Nie rozumie cudzoziemskich stiltspearów, ale może testować ich metody i włączać je do swojego systemu. Podłącza Judasza do taumatografu, bada jego kateksję, ten koncentrat energii umysłu. - Jesteś silny - mówi do niego.

Ann-Hari dwa razy przychodzi obejrzeć walki. Kibicuje Judaszowi i uśmiecha się, kiedy on wygrywa, ale ten sport jej nie interesuje. Ann-Hari woli maszyny. Chodzi na dworce kolejowe, aby popatrzeć, jak pociągi zwalniają. Chodzi do wszystkich fabryk, które ją wypuszczają, Wędruje wśród robotników i ogląda urządzenia.

Judasz lubi wygrywać. Jego umiejętności podniecają go. Przez jakiś czas wykonują z Pennyhaughem najstarszą sztuczkę świata: udają, że Judasz przegrywa, dopóki nie wzrosną stawki bukmacherskie, ale Judasz szybko zyskuje sobie renomę najlepszego golemachisty.

Jest gwiazdą. Występuje pod pseudonimem Mo-Czarowy Low. Inny mocny zawodnik to Lothaniel Durayne, profesor somaturgii, który swoje kotowate smołogolemy wprowadza na ring jako Loth Kociarz. Jest też Huštarka, spokojna kobieta, którą Pennyhaugh uważa za milicyjnego naukowca. Huštarka wyposaża swoje golemy w batoogony z ogniów łańcucha. Ta trójka wymienia się na szczycie tabeli, ale najczęściej okupuje go Judasz.

Im silniejszy somaturg, tym większą masę potrafi kontrolować. Po jakimś czasie wprowadzają górną granicę wagową - nie może walczyć nic cięższego od dużego psa. Judasz zadaje sobie pytanie, jaki jest maksymalny ciężar, nad którym umiałby zapanować.

Jako organizatorzy, bukmacher i najlepszy golemachista, Pennyhaugh i Judasz zarabiają niemałe pieniądze. Golemowe zapasy zauważa crobuzońska prasa i liczba kibiców rośnie. Judasz zaczyna się nudzić. Walczy teraz tylko z Lothem i Huštarką. Obserwuje, jak animują swoje twory. Słucha ich zaklęć. Startuje w tyłu meczach, żeby starczało mu pieniędzy na utrzymanie, ale walczy głównie po to, żeby się uczyć.

Przy każdym ruchu swoich golemów Judasz odczuwa więź ze stiltspearami.

- Chcę wiedzieć wszystko na ten temat - mówi. Pennyhaugh prowadzi go do uniwersyteckiej biblioteki i pokazuje teksty, których szuka. Judasz czyta tytuły: *Teorie somaturgii*, *Granice spektrum plazmatycznego*, *Wyjście poza koncepcję quasi-witalistyczną*. - Chcę wiedzieć wszystko - powtarza.

Zima jest taka, jaka powinna być zima. Judasz zabiera Ann-Hari na łyżwy. Podoba się jej, że niektórzy przechodnie rozpoznają jej mężczyznę.

- Mo-Czarowy! - mówi jeden z nich.

Sam Judasz nie jest tym zachwycony.

Spacerują mroźnie opalizującymi ulicami Crow, udekorowanymi sznurami światełek i girlandami zimowych kwiatów. Piją gorącą czekoladę z rumem. Ann-Hari nie patrzy na niego. Uśmiecha się ze wzrokiem skierowanym w jego stronę, ale nie patrzy na niego.

„Żegnaj” - myśli Judasz, odwzajemniając uśmiech.

Śnieg wygładza wszystkie kanty i kąty architektury: gzymsy starych kościołów, przypory z ciemnego kamienia, betonowe i ceglane szeregowki czy chaty robotników, zbyt nędzne i prymitywne, żeby mieć jakikolwiek styl. Budynki stają się bryłami pod śniegiem, a potem znowu wyłazą na wierzch, kiedy spływa z nich biała masa.

Judasz ubiera się w krzykliwy strój ulicznej osobistości. Biegają za nim dzieci z Dog Fenn, wychudzone, dzieci-kaktusy i kicający vodyanoi, prosząc go, żeby zrobił dla nich golema. Czasami ożywia ściśniętą garść monet i rzuca w ich stronę, żeby sobie popatrzyły i rozebrały na części.

Ann-Hari nie chce nauczyć się czytać, ale kiedy zauważa, że Judasz czerpie z prasy wiadomości o postępach Międzykontynentalnego Konsorcjum Kolejowego, zawsze, kiedy jest w domu (a coraz częściej nie wraca na noc), każe Judaszowi, żeby jej czytał.

- ...ciężka zima - czyta w „Dyspucie”. - Ci, którzy wciąż przebywają na mokradłach, przeklinają zimno, ale mogą przynajmniej cieszyć się z tego, że stiltspeary, perfidne dzikusy zamieszkujące moczary, wywędrowały i już ich nie nękają. Z południa napływają doniesienia, że ekipy budowlane z Myrshock mimo bardziej przychylniej pogody słabo posuwają się do przodu...

- Co to jest Myrshock? - pyta Ann-Hari.

Judasz robi wielkie oczy. Ona nic nie wie o przebiegu i przyszłości tej linii kolejowej. Rysuje jej mapę.

- Trzy odgałęzienia - wyjaśnia, stawiając na papierze odwrócone, pochyle Y. Nowe Crobuzon. Myrshock na wybrzeżu Morza Mizernego. Cobsea na równinach. Z każdego z tych punktów wychodzą tory i spotykają się na mokradłach. Siedemset pięćdziesiąt kilometrów z Nowego Crobuzon, a potem połowa tego do pozostałych punktów końcowych.

Judasz zachowuje się tak, jakby chciał tylko zaspokoić żądzę wiedzy Ann-Hari, ukrywając swoją fascynację. Cały czas myśli o tych ludziach, o tym, co widział, o społeczności młotkowych, która wtargnęła w tę krainę.

Linia jeszcze się nie rozwidliła. Nadchodzą doniesienia o krótkich, ale kosztownych strajkach. Niektórzy korespondenci twierdzą, że żandarmeria MKK nie funkcjonuje, nie potrafi utrzymać dyscypliny wśród robotników ani zrobić porządku z udzielnymi księżtwami, które powstają wzdłuż trasy. Mówią, że burmistrzynie musi skończyć z koncesjonowaniem władzy policyjnej. Przyszedł czas, żeby zadanie pilnowania porządku przy torach wzięła na siebie crobuzońska milicja. Nikt nie wierzy, żeby do tego doszło. Rząd jest temu przeciwny.

- Strajkujący uskarżają się na mróz - czyta Judasz. - Strajkują przeciwko zimnu. Co MKK miałoby zrobić? Czy pogoda traktuje robotników inaczej niż nadzorców czy samego Wrightby'ego?

- Nie - odpowiada Ann-Hari.

Judasz podnosi na nią wzrok. Ann-Hari je kandyzowaną śliwkę. Wzrusza ramionami.

- Nie, nie traktuje ich inaczej.

Judasz studiuje. Pod kierunkiem Pennyhaugha nie tylko szlifuje swoje umiejętności, ale

również zaczyna rozumieć to, co robi. W praktyce nadal zdaje się na instynkt i intuicję, ale zawiłe, ezoteryczne teksty zaopatrują go w teoretyczne podstawy.

- To, co robimy, jest interwencją, reorganizacją - uczy go Pennyhaugh, korzystając ze swoich notatek. - Z tego, co żywe, nie można zrobić golema. W wypadku fauny i flory przenikniętej witalnością orgonu mamy do czynienia z materią, która wchodzi we wzajemne reakcje z własnymi mechanizmami. To, co nieożywione, jest bezwładne, przypadkiem ma taki, a nie inny układ. My nadajemy temu sens. Nie nadajemy porządku, lecz wskazujemy na niewidzialny, immanentny porządek, który zawsze tam jest. Akt pokazywania jest zatem bardziej obserwacją niż poleceniem i perswazją. Widzimy strukturę i analizując ją, rozpoznajemy mechanizmy i uruchamiamy je. Schematy ujmują się bowiem nie w stanie spoczynku, lecz w zmianie. Golemetria jest ingerencją, podporządkowaniem statycznego „jest” aktywnemu „jestem”.

Judasz myśli o stiltspearach i o kolei. Nadal posługuje się szeptanym zaklęciem stiltspearów, kiedy wprawia swoje golemy w ruch. Coraz lepiej rozumie tę naukę, na której punkcie ma obsesję.

Nie dali łapówki odpowiedniemu urzędnikowi i milicja robi nalot na halę. Zamaskowanym funkcjonariuszom nietrudno jest znaleźć w tłumie shazbah i narkonapar, a nawet, według niektórych doniesień, dreamshit. Organizatorzy smarują, gdzie trzeba, i sytuacja wraca do normy. Pennyhaugh dba o to, żeby interes się kręcił, a Judasz myśli o czym innym.

Golemetria jest ingerencją. Golemetria polega na zmuszaniu materii, aby zobaczyła się z innej perspektywy, rozkazywaniu jej, żeby się zorganizowała. Czy golemy mogą występować pod jego nieobecność? Czy można przygotować materię i kazać jej czekać?

Judasz kupuje baterie, przełączniki i druty, kupuje wyłączniki czasowe, zastanawia się. Dzienniki donoszą o nieprawidłowościach rozliczeniowych w MKK. Zaczyna się mówić o skandalu.

Judasz od dawna nie widział Ann-Hari. W końcu uświadamia sobie, że dziewczyna odeszła, a nie znalazła sobie innego mężczyznę, u którego przewaletowała kilka dni. Wie, dokąd odeszła.

Polubiła Nowe Crobuzon, oglądała je z fascynacją i zainteresowaniem, ale jego ogrom i wielowiekowa historia - jego nawarstwione kamienie i kryzysy - mogły być tylko dodatkiem do żelaznej drogi. Domem Ann-Hari są tory.

Ann-Hari pojechała do domu, do torów i wiecznego pociągu. Wie, że milicja obyczajowa jej nie ukarze. Szminkowy iks na lustrze Judasza jest pożegnalnym pocałunkiem. Pomogła mu zobaczyć miasto nowymi oczami i jest jej za to wdzięczny. Odkrywa, że Ann-Hari zabrała mu sporo pieniędzy.

Walki golemów nudzą go. Pennyhaugh coraz częściej jest nieobecny, zajęty innymi obowiązkami. Spotyka się z biurokratami w Parlamencie, który sterczy jak pociągnięty grynszpanem gwóźdź u zbiegu rzek. Walki odbywają się coraz rzadziej, a potem wcale. Pennyhaugh jest jeszcze bardziej zajęty i ma jeszcze więcej pieniędzy. Pewnego wieczoru zaprasza Judasza na kolację do restauracji w Ludmead. Judasz nigdy wcześniej nie był w tak luksusowym lokalu i w swojej plebejskiej, ulicznej liberii czuje się trochę nie ma miejscu.

- Są inne możliwości - mówi do niego Pennyhaugh. - Jest inny rynek na twoje... golemistyczne talenty.

Judasz wie, że jego czas minął, że Pennyhaugh dał się kupić rządowi. Judasz traci pracę i zasoby biblioteczne. Szybko popada w zapomnienie.

Od wielu tygodni Pennyhaugh wysłała do niego listy z propozycją spotkania. Judasz odmawia swoim brzydkim pismem, na tyle często, żeby nie wyjść na niekulturalnego.

Na targach z antykwarycznymi książkami, w dużej części kradzionymi, szuka tekstów o golemach. Wydaje wiele szekli na bezużyteczny chłam i na wybitne prace, przez które z wysiłkiem się przedziera.

„Co ja właściwie robię?” - zastanawia się. Jego umiejętności są dla niego zagadką. „Stworzyłem golema z gazu. Czy mogę zrobić golema z jeszcze bardziej ulotnych materiałów? Golemometria jest sporem, interwencją, czy jest zatem możliwe, abym interweniował i stworzył golema z ciemności, śmierci, elektryczności, dźwięku, tarcia, idei albo nadziei?”

Judasz bierze kilka zleceń. Dla ekscentrycznych bogaczy, których uszy razi klekot konstruktywów, wykonuje estetycznie oddanych mężczyzn i kobiety z drutu i wypełnionej piaskiem skóry. Żąda wysokich stawek, ponieważ ta praca go męczy.

Wędruje po mieście na żądanie robaka, tej osobliwości, która nie daje mu spokoju. „To jest jakaś silna dobroć - myśli bez zarozumiałości - ale nie odczuwam jej jako zrodzonej we mnie. Czy zatem jestem dobry? Czy jestem dzięki niej lepszym człowiekiem? A może gorszym?”

Judasz myśli o Ann-Hari i czyta, że budowa kolei znowu nabrała tempa. W Parlamencie padają pytania. MKK i Weatherowi Wrightby'emu zarzuca się dziwne praktyki. Robotnicy zginęli w wypadku, stromizna uległa zniwelowaniu w sposób, którego inspektorzy nie umieją wyjaśnić. Zmarszczki upału i kilkumetrowa martwa strefa po obu stronach torów rodzi kwestie, do których MKK nie chce się odnieść. Nikt nie używa słowa „ofiara”, nikt nie używa słowa „demon”, ale narasta przekonanie, że Weather Wrightby jest finansowo-technicznym wizjonerem, który nie pozwoli, aby czynniki geograficzne, klimatyczne czy polityczne stanęły mu na drodze. Jego plany są zawarte w nazwie konsorcjum i sięgają znacznie dalej niż sama budowa linii kolejowej.

„Judasz, Judasz, Judasz” - powtarza w myślach swoje imię. Coś się wydarzy.

Produkty są tworzone albo przypominane z zasobów Lat Pełnych. W dziedzinie sztuk pięknych panuje niemrawy chaos. W Nowym Crobuzon dużo się buduje, a w jego portach jest pełno statków. W sklepach można kupić nieznanie wcześniej artykuły. Obok kioskosłupów plakatowych jak grzyby po deszczu wyrastają nowe budki, w ramach szeroko zakrojonego przedsięwzięcia marketingowego. Wszędzie widać pieczęcie z wizerunkiem mężczyzny, który trzyma dłoń przy ustach i krzyczy.

- Co to jest? - dziwi się Judasz i wchodzi do środka. Jest tam krzesło, automat, rząd guzików oznaczonych literami i cyframi, tuba i słuchawka. Czyta instrukcję i wrzuca monetę do otworu. Pojawia się lista dostępnych tytułów.

A1 - Noworoczne przemówienie burmistrzynie

A2 - Ach, szkoda, że to tylko szlagier...

A3 - Trebuschand Symphonette

Et caetera. Judasz wybiera piosenkę rewiiową *Za tobą nawet do przytulku*, przysuwa ucho do trąbki i zafascynowany słucha, jak coś, co było powstrzymywane, wskakuje na swoje miejsce,

uwalnia się energia potencjalna i dźwięk zaczyna się wydobywać z głuchym odgłosem. Po chwili spośród trzasków można już wyłowić piosenkę śpiewaną przez nieznaną szansonistkę. Judasz rozumie wszystkie słowa.

I nawet jeśli to ma oznaczać przytułek, mój drogi,
Wiedz, że pójde i w te biedne progi.
Byle niedoli tej z tobą móc dzielić kajdany,
Byle być blisko, mój miły, mój kochany.

Judasz słyszy wszystkie uwięzione w trzaskach słowa.

Tym, co nadaje dźwiękowi fizyczny charakter, jest wosk. Elykryzuje to Judasza. Wosk potrafi konserwować i powielać dźwięk.

Nowa technologia, tresowanie czasu. Technologia wykorzystywana do wielokrotnego słuchania ulicznych piosenek. Judaszowi przychodzi do głowy inne zastosowanie. Przegląda notatki sporządzone na mokradłach. Zawłada nim gorączkowa energia i czuje, że Nowe Crobuzon odpływa od niego.

„Ile razy przegapiłem moment, kiedy moc przemówiła?” - myśli o tych wszystkich ludziach, którzy stracili życie, ponieważ on wiedział, że nadchodzi krytyczny moment, że zaraz przyjdą łowcy głów, milicja, tory albo gaz, ale ta nieuchronność go paraliżowała. „Boję się czasu”.

Ale ci ludzie z branży rozrywkowej zatrzymali tętno czasu. „Zawekowali przeszłość”. Jego pasożytnicza dobroć, jego święty symbiont porusza się.

Nagle zrzućcie z siebie brzemienia Nowego Crobuzon staje się łatwe. Spędzone tam miesiące nabierają charakteru odległych wspomnień.

Judasz pisze do swoich nielicznych klientów. Pisze do Pennyhaugha, dziękuje mu za starania, życzy mu szczęścia, zapowiada, że zobaczą się ponownie po powrocie Judasza, w który to powrót on sam nie wierzy.

Chciałby opanować jeszcze jedną technikę. W Kinken rozmawia z kheprimi z tamtejszych warsztatów - pytania ustne, odpowiedzi pisemne. Prosi ich, aby powiedzieli mu tyle, ile mogą, na temat funkcjonowania ich nakręcanych urządzeń. Kupuje akumulatory taumatyczne i ładuje je z własnych żył, co go wykańcza.

Potrzeba mu kilku prób. W pobliżu walącego się domu zamieszkanego przez uliczne dzieci, które go uwielbiają, zastawia pułapkę uruchamianą przerwaniem włókna. Zaczyna świtać, kiedy pierwsze z dzieci, dziewczynka, budzi się i idzie zorganizować sobie śniadanie. Brudne stopy przerywają włókno, słychać buczenie i trzask, po czym spomiędzy kamieni koło drzwi wyłania się tańcząca figurka. Dziewczynka nieruchomieje i czujnym okiem obserwuje małego tancerza.

Mały golem jest wielkości jej dłoni. Tańczy tak, jak polecił mu Judasz, kiedy instalował magiczny obwód, zakumulował energie i zamontował mechanizm uruchamiający. Golem tańczy

w stronę dziewczynki. Jest zrobiony z pieniędzy. Chwieje się, upada i rozlatuje na pojedyncze monety. Dziewczynka podchodzi i podnosi pieniądze.

Judasz obserwuje ją z wejścia do domu. Zmagazynował golem i rozkazy dla niego. Kazał mu czekać na uruchamiający impuls. Nie wie, czy komukolwiek wcześniej udało się to osiągnąć.

Wraca na mokradła. Woda zamarzała, roślinne pędy stwardniały na kamień, zwierzęta śpią, moczary otula cisza. Wiele kilometrów dalej znajduje się obóz robotników i pociąg techniczny.

Tory prowadziły go obok martwych miejscowości do krainy, której ta inwestycja nie oswoiła, tylko oszpeciła. Wreszcie Judasz dociera do lasków na sztucznych wyspach, do grobli z przetransportowanego kamienia, do mokradeł. Wciska się daleko w głąb, szukając tych, którzy kiedyś byli jego plemieniem.

Jest mocno obciążony, niesie voxiterator z cylindrami, aparat heliotypiczny, strzelbę. Uważa na to, żeby nie zostać wziętym za myśliwego, stara się poruszać hałaśliwie. Śpiewa piosenki, których nauczył się od stiltspearów. Śpiewa piosenkę śniadaniową, piosenkę pozdrowienia, piosenkę na dzień dobry. Tak trzyma dłonie, żeby było je widać.

Podchodzą do niego, ale należą do plemion, których nie zna. Śpiewa piosenkę dobrosąsiedzka i piosenkę *Czy mogę wejść do środka*. Otaczają go raz jako drzewa, raz jako stiltspeary, pokazują zęby i dłoniowłócznie. Widząc, że nie ucieka, uderzają go, a ponieważ dalej nie ucieka, zabierają go do ukrytej wioski. Ich klany i grupy krewnicze rozpadły się: to są ostatni przedstawiciele rodu stiltspearów.

Przychodzą dzieci, żeby się pogapić. Judasz patrzy na nie i widzi ostatnie pokolenie.

Melduje się jego dobroć, ale on wie, że są skazani na zagładę i nic tego nie zmieni. Zabierają go na polowanie - samice i samce razem, nie czas na tradycyjną separację - i słyszy ich „uch uch uch”, ich kontrapunktowe oddechy i klepane rytmy. Woda kołysze się i nieruchomieje.

Judasz wyjmuje trąbkę słuchawki i rejestruje ich głosy w wosku. Odsłuchuje nagranie, kręci korbką i słyszy ich rytm. Słyszy i widzi. Widzi jego kształt. Patrzy przez szkło powiększające i jest geografem na woskowym kontynencie pieśni, tropi przebieg wijącej się doliny, wzniesienia i obniżenia terenu. Kręci pomалу, słucha piosenki w zwolnionym tempie.

Ku swojemu zawstydzeniu Judasz czuje się nieswojo wśród skazanego na zagładę ludu. Pracuje najlepiej jak umie w okropnym, wilgotnym mrozie, rejestruje wszystkie warstwy piosenek stiltspearów, każdą wokalną wpadkę, ale otoczenie go przytłacza. W lesie nie ma żadnej altany, żadnej zielonej idylli, tylko oszronione hałdowisko mułu i nieustanne wyprawy wojenne. Stiltspeary ruszają do walki osaczone Przez duchy, którymi z całą pewnością się staną.

Judasz nie chce na nich patrzeć. Rzecz, którą w sobie nosi, zgina się w pół. Judasz zapisał ich duszę w wosku. Opuszcza ich po raz drugi.

Z powrotem do pociągu, który zmienił miejsce postoju. Judasz widzi tysiące nieznanych mu twarzy. Tory rozwidliły się. Powstaje miasto. Coś wspaniałego.

Szyny są gładkie, wypolerowane kołami pociągów. Wpełzają do niedokończonych hal, na

bocznice, do zajezdni, mijają krzywe, drewniane ściany miasta w budowie, które obejmują z dwóch stron. Jedna z linii dociera do największych obszarów mokradeł i kończy się jak nożem uciął pośród drzew.

Druga nitka znika na zachodzie. Z przecinki w lesie wychodzą ludzie, niosą młoty i gwoździe. Są tacy brudni i spoceni, jakby wracali z wojny. Każdy ich oddech wysnuwa efemeryczne tiule pary wodnej.

Kiedy Judasz wchodzi do Krzyżówki, robak dobroci wierzga nogami ze szczęścia i Judasz wie, że tutaj zostanie, że będzie integralną częścią tego, co ma przed oczyma, a nie pasożytem. Przyszedł, żeby interweniować, a piosenka jest jednym z dowodów jego działania. Drugim jest rytmiczne układanie torów.

Judasz, weteran kolei, nigdy wcześniej dla niej nie pracował. Robak go nęci, chce, żeby się przyłączył do tego wielkiego przedsięwzięcia.

Judasz w ślad za torami wychodzi pomiędzy mokrych drzew na wzgórze. Stal jest niezłomna. Żółte podłoże wznosi się do góry. Dookoła wielka krzątanina, ludzie, konie, zapach ognisk - trawa, drewno, węgiel. Judasz krąży między namiotami, niektóre rozbito na dachach wiecznego pociągu. Prze-tworzeni i ludzie-kaktusy wloką łańcuchowe pługi, żeby zniwelować grunt. Oddziały żandarmów patrolują teren.

Wieczny pociąg posuwa się do przodu prawie niedostrzegalnymi obrotami kół. Ciągną go i popychają cztery lokomotywy, wysokie, romboidalne kominy plują w niebo dymem. Lokomotywy są kolosami w porównaniu z tymi z nadziemnej kolejki w Nowym Crobuzon. Te przemierzające pustkowia są wyposażone w zgarniacze, ich przednie reflektory jaskrawo płoną, a owady dotykają szkła jak koniuszki palców. Ich dzwony brzmią jak kościelne.

Jest wagon pancerny z obrotową wieżą strzelniczą. Jest kantor na kołach, zamknięte wagony z zapasami, salonka, co najmniej jedna ruchoma rzeźnia - a dalej bardzo wysoki wagon z oknami, ze złoceniami i namalowanymi symbolami bogów i Jabbera. Kościół. Cztery czy pięć wielkich wagonów towarowych z maciupkami drzwiczkami i rzędami okienek, trzypiętrowe wagony sypialne z tłumem robotników. Te ostatnie uginają się na środku pod własnym ciężarem jak świńskie brzuchy. Są też platformy, kryte i otwarte. Za nimi ekipy budowlane. Chór młotów.

W tej chwili tory biegną przez płaski busz. Układacze torów przyspieszają, zmniejszają dystans do niwelatorów.

Judasz jest tylko jedną z wielu osób idących obok pociągu. Nie wyróżnia go nic oprócz wrażenia, że na coś czeka. Jest w ekstazie, ale wyczuwa wokół siebie niezdrową atmosferę. Widzi, że ludzie i ludzie-kaktusy mruczą coś pod nosem, widzi strach prze-tworzonych uwiązanych w pobliżu swojej zagrody. Brygadziści noszą broń. Dawniej tak nie było.

Wiele kilometrów z przodu mierniczy wyznaczają trasę, posługując się mapami sporządzonymi przed laty przez Weathera Wrightby'ego i jego ekipę, w czasach, kiedy starzec sam był zwiadowcą. Za nimi, na ziemi niczyjej między pociągiem i awangardą, niwelatorzy budują przekop. Jeszcze bardziej z tyłu mostowe małpy przerzucają estakady nad wąwozami i dolinami, a kopacze tuneli przebijają się przez skałę.

Wszystko to dzieje się daleko z przodu. Judasz nosi podkłady.

Procedura jest następująca. Wczesnym rankiem dzwonki budzą setki ludzi, którzy w wagonie jadalnym spożywają śniadanie złożone z kawy i mięsa w przybitych do stołów miskach albo jedzą w przypadkowych grupkach koło torów. Pierwszeństwo mają nieprzetworzeni:

robotnicy z gatunku *homo*, ludzie-kaktusy z crobuzońskiej Szklarni, kilku renegatów z Shankell.

Prze-tworzeni, przykuci przez strażników do swojego posiłku, zjadają resztki. Są wśród nich również kobiety wyposażone w napęd parowy, elementy z żelaza i gumy oraz części zrobione z materii organicznej. Więźniowie z kotłami parowymi otrzymują taką ilość miału Węglowego i niskokalorycznego koksu, aby mogli pracować.

Pociąg roboczy zatrzymuje się trochę wcześniej. Konie, pteraptaki albo prze-tworzone byczki ciągną wózki załadowane szynami. Ekipy robią sobie nawzajem miejsce, tańcząc przemysłowego menueta. Krok do przodu, krok w bok, dwa kroki do tyłu, w takt młotków. Wózki wracają po nowe szyny i transportują je na czoło budowy. Żelazna droga wydłuża się za każdym razem o trzy metry i dziesiątki kilogramów.

„Na Jabbera, co my tutaj tworzymy?” - myśli Judasz, patrząc na pracę setek ludzi. „Co my robimy?” Ten hałaśliwy i przypadkowy splendor napełnia go zgrozą.

Judasz przyśpiwuje sobie przy pracy i dyskretnie robi z każdego drewnianego prostokąta beznogiego i bezrękiego golema, który przez całe swoje krótkie quasi-życie próbuje przedostać się z konnego wozu na piasek nasypu. Judasz czuje bezmyślne szarpanie każdego podkładu, które ułatwia mu pracę. Przenosi więcej, niż musi. Kiedy od strony niewidocznego pociągu przychodzą nosiwody, wszyscy do nich biegną, żeby zdążyć się napić, zanim kurz i ślina zapaskudzą bezcenny płyn. Liczni prze-tworzeni czekają.

Koledzy Judasza z namiotu lubią go. Słuchają jego historii z mokradel i opowiadają o swoich kłopotach w pracy.

- Zastrani prze-tworzeni też robią problemy. O jedzenie i takie tam. A kurwy liczą sobie coraz drożej. Ktoś powiedział, że w mieście z forszą jest coraz gorzej. Słyszałeś coś o tym? Ktoś mi mówił, że ceny spadają, pieniądze się kończą.

Za tymi od podkładów idą torowi i młotkowi, a na końcu jedzie ryczący kolos pociągu, czczony niby jakiś parowy bóg.

Kiedy Judasz widzi, jak prze-tworzeni są okładani batami, mieszkający w nim robak szarpie nim gwałtownie. Pewnego razu dochodzi do bójki między wolnymi robotnikami a prze-tworzonym, którego cechuje agresja typowa dla niedawno zmodyfikowanych. Inni prze-tworzeni szybko go odciągają i kulą się potulnie pod ciosami normalnych. Prze-tworzone kobiety przynoszą mężczyznom od podkładów żarcie. Judasz uśmiecha się do nich, ale prze-tworzone twarze nie zmieniają swego kamiennego wyrazu.

W okolicach dnia wypłaty pociąg wyłania się jak cudowna zjawka z mgieł nad rozmarzającymi moczarami. Wolni mężczyźni wydają pieniądze przede wszystkim w Rypalnicach, gorzelnicach i namiotowych bimbrowniach. Podczas tych wieczorów Judasz nie udziela się towarzysko. Leży w swoim namiocie, słuchając echa wystrzałów, bójek, żandarmów, wrzasków. Wyjmuje voxiterator i puszcza szeleszczące piosenki stiltspearów. Opracowuje swoje notatki.

„Koniec Linii” to gazeta drukowana w pociągu roboczym. Roi się w niej od błędów ortograficznych i świństw, a poza tym w mało subtelny sposób popiera MKK, swojego sponsora. Wszyscy mężczyźni czytają tę szmatę i dyskutują o jej najsłabszych punktach. Judasz dwa razy widzi, jak ludzie w ukryciu czytają inne czasopisma.

Maszeruje wzdłuż torowiska w stronę pociągu. Zatrudnia się do transportu szyn.

Judasz buduje linię kolejową. Metal jest bezlitośnie ciężki. W mało intensywnym świetle

dnia Judasz czuje się obserwowany przez skały. Każda szyna waży prawie ćwierć tony, na każdy kilometr potrzeba ich ponad ćwierć tysiąca. Judasz żyje liczbami.

Obowiązuje system niekoedukacyjny, brygady składają się z samych prze-tworzonych więźniów albo samych wolnych ludzi. Szczypcami albo własnymi metalowymi częściami ciała ściągają szyny z wozów, na jedną przypada pięciu ludzi, trzech ludzi-kaktusów albo jeden duży prze-tworzony, i układają je z delikatnością położnej. Kalibratorzy wyznaczają rozstaw, po czym robią miejsce młotkowym.

Z każdej szyny Judasz na moment robi golema o absurdalnym kształcie. Reszta ekipy nie czuje leciutkich rybich trzepotów metalu, który stara się im pomóc. Judasz geometryzuje przypadkowy układ terenu. Rośnie w siłę. Jedną noc spędza na dachu pociągu, żeby wiedzieć, jak to jest. Ludzie trzymają tam kozy na postronkach, a nawet palą starannie ogrodzone ogniska.

Wędrowni druciarz idzie wzdłuż linii i urządza przedstawienia. Judasz patrzy, jak ten człowiek lepi z ziemi maleńkie tańczące figurki, ale to nie są golemy, tylko materia poruszana ręcznie z niewielkiej odległości - manipulacja bezpośrednia. Nie mają ograniczonej Przestrzennie realności, nie mają quasi-życia, nie mają bezrozumnego rozumu, aby wykonywać polecenia, niczym się zatem nie różnią od marionetek.

Pociąg i skalne lica zdobią rozmaite napisy. Pojawiają się każdego ranka. Niektóre są zwykłymi świństwami, które służą wyłącznie epatowaniu porządnym ludzi, niektóre mają charakter osobisty, niektóre polemiczny, na przykład: JEBAŁ CIĘ PIES, WRIGHTBY. Dwa razy wyrwany przez dzwony ze snu tuż przed świtem Judasz widzi, jak do pociągu i drzew przyklejane są plakaty.

Niektóre ujmują zagadnienie w sposób hasłowy: UCZCIWE PŁACE, ZWIĄZKI ZAWODOWE, WOLNOŚĆ DLA PRZE-TWORZONYCH. Inne są całe zadrukowane drobnymi literkami. Judasz stara się je przeczytać, kiedy brygadziści je zrywają.

ROZSZALAŁY RENEGAT - Kolejowe wydanie specjalne nr 3 Liczba ofiar śmiertelnych budowy kolei MKK nadal wzrasta, ponieważ w pogoni za zyskiem względy bezpieczeństwa są zaniedbywane. Szyny dosłownie i w przenośni miażdżą kości robotników, wolnych i prze-tworzonych...

- Na litość Jabbera, o czym ci idioci gadają? - mówi jeden z mężczyzn. - Każdy jest za godziwą płacą i jeśli ktoś chce sobie zakładać związki, to proszę bardzo, ale wolni prze-tworzeni? To są zaszrani kryminaliści, czy ci kretyni o tym nie wiedzą?

Odwaga dysydentów imponuje Judaszowi. Wykradają się w nocy z namiotów, nie zważając na patrole żandarmerii. Gdyby zostali złapani, nie wyszliby z tego cało. Ich kości użyłybyby glebę.

Egzemplarze „RR” są zostawiane pod stołami, na kamieniach. Marny system dystrybucji, ale lepszego nie ma. Judasz zabiera te gazety i czyta, kiedy jest sam.

Dramaty, jakie się wokół niego rozgrywają, istnieją na obrzeżach jego świadomości. Judasz pracuje, tylko na chwilę podnosi głowę, kiedy z oddali dochodzą do niego odgłosy strzałów. Później się dowiaduje, że połączony oddział liberosynkretów i striderów znalazł się daleko na wschód od swojego nominalnego terytorium i zaatakował tyły budowy. Udało się ich odeprzeć, ale żandarmeria jest zmartwiona, że tak dumny naród jak striderzy zawarł sojusz z nieokrzesanymi liberosynkretami przeciwko kolei.

Z upływem tygodni, kilometrów i ton nadchodzi wiosna i dni powoli się wydłużają. Krajobraz po obu stronach żelaznej drogi jałowuje. Judasz i jego ekipa chowają się za barykadą z przewróconego na bok wozu, a rodzina striderów bombarduje ich jakimiś niezidentyfikowanymi pociskami. Wieża strzelnicza wiecznego pociągu obraca się i sieje wokół kraterami niby kwiatami. Judasz czyta „RR”.

Borinatch, striderzy, mają powód nienawidzić MKK. Biznesmeni z Nowego Crobuzon zagarniają ich ziemie, a za nimi przyjdzie państwo i milicja. Kto nie słyszał historii o Nova Esperium i rzezi tubylców? Każda śmierć robotnika kolejowego jest tragedią, lecz wina nie leży po stronie borinatch, którzy źle adresują swoją zemstę, ale ich lęki są uzasadnione. Wina leży po stronie Weathera Wrightby'ego, burmistrzynie i crobuzońskich plutokratów, którzy przysłali się do korupcyjnego cycka. Żądamy: KOLEJ DLA LUDU I POKÓJ Z KRAJOWCAMI!

Rypalnice są blisko. Judasz nie korzysta z oferowanych tam usług, od nudnych dziwek woli własną prawą rękę albo łańcолоwe noce, pobliskie doliny i obciążone wyrzutami sumienia wciskanie się mężczyzny w mężczyznę.

Co tydzień w zagrodach dla prze-tworzonych odbywa się coś w rodzaju koncesjonowanej orgii. Podczas tych pijackich imprez prze-tworzone kobiety oddają się prze-tworzonym mężczyznom pod egidą nadzorców. Judasz patrzy, jak prze-tworzone kobiety są później kاپane w lodowatej rzece, wrzeszczą z zimna i piją antykoncepcyjne środki przeczyszczające. Pilnuje tego jeden strażnik. Traktuje je przyjaźnie. Opatruje ślady po ugryzieniach i krwiaki, wlepia kary prze-tworzonym mężczyznom, którzy są zbyt brutalni.

- To się nie godzi, co oni robią niektórym kobietom - mówi.

Pociąg z wypłatą prawie nigdy nie przyjeżdża punktualnie. Na parę dni spóźnienia ludzie reagują sarkaniem, ale czasem mija tydzień bez pieniędzy. Kiedy taka sytuacja powtarza się trzy razy z rzędu, wybucha strajk. W chaotycznym porywie demokracji układacze torów rzucają narzędzia i blokują pociąg do czasu, kiedy szkle bręczą im w kieszeniach. Ich liczebność deprymuje nawet ich samych. Setki muskularnych mężczyzn, nad którymi górują krzepcy ludzie-kaktusy. prostytutki, felczerzy, skrybowie, naukowcy, poszukiwacze ścieżek, myśliwi - wszyscy przychodzą popatrzeć na strajkujących.

Judasz stoi między nimi, kipiąc z podniecenia. Jego dziwna obojętność pierzcha, przez moment nie odczuwa konfliktu z mieszkającym w nim robakiem. „Interwencja” - myśli. Nigdy nie jest wśród pierwszych, którzy odkładają narzędzia, jak na przykład Grubogoleń, jeden z pracujących tu ludzi-kaktusów, młotkowy, którego Judasz uważał za sympatyka „RR”, czy Shaun Sullervan, skora do bójki złota rączka, który zawsze znajduje się w drugim rzucie.

Reakcją na strajk jest zwiększenie obciążeń prze-tworzonym. Brygadziści zapewniają strajkujących, że podejmowane są wszelkie wysiłki na rzecz dostarczenia pieniędzy, a potem przykręcają śrubę prze-tworzonym, żeby zrekompensować straty. Przykuci łańcuchami i perfidnie zmodyfikowani ludzie chwieją się od razów i zaklęć obdarzonych taumatycznymi mocami strażników, słaniają się pod ciężarem własnych kończyn i dźwiganych ładunków.

- Jaki to ma sens produkować tylu prze-tworzonych, skoro wychodzą z tego takie zastrane mięczaki jak ty? - wrzeszczy jeden ze strażników, bijąc prze-tworzonego, który się przewrócił; leżący ma dłonie inkrustowane oczami. - Co tydzień im powtarzam, że potrzebujemy prze-tworzonych do ciężkich robót, a nie pajaców zrobionych dla ich kaprysu. Wstawaj i noś

szyny, do kurwy nędzy.

Wolni ludzie i robotnicy-kaktusy patrzą na to barbarzyństwo, nie mogąc zapobiec temu, że linia się wydłuża. Krzywią się i zaciskają zęby.

- Buce sakramenckie - mówi jeden z ludzi-kaktusów.

Żal im prze-tworzonych, ale nie umieją im wybaczyć, że łamią strajk. Pociąg z wyplatą zawsze w końcu przyjeżdża.

Absurdalna orgia spekulacji. Finansiści pływają jak pączki w maśle ukradzionych i wyciągniętych z kapelusza pieniędzy, ceny ziemi i akcji MKK szybują w górę. To nie potrwa długo. Kiedy zyski spadną, kiedy smród korupcji na styku MKK i państwa stanie się obezwładniający, pokażą się pęknięcia na fundamentach całego tego geszeftu. A kiedy bogaci czują strach, robią się drapieżni jak wilki. Mówimy: RZĄD DLA POTRZEBUJĄCYCH, NIE DLA KANCIARZY!

Granica cierpliwości prze-tworzonych zostaje przekroczona. Jeden z nich umiera na skutek pobicia przez strażników. Takie wypadki zdarzały się już wcześniej, ale tym razem ofiara była dostatecznie stara i dostatecznie lubiana, aby część prze-tworzonych nie podjęła następnego dnia pracy i urządziła zmarłemu hałaśliwy pogrzeb. Ta bezprecedensowa sytuacja jest panicznie rozpatrywana, depesze fruwają tam i z powrotem.

Nieprzejeđnani prze-tworzeni są ustawiani przy torach. Żandarmi zajmują pozycje. Wieża strzelnicza wiecznego pociągu obraca się.

„Bogowie jedyni” - myśli Judasz.

- Każdy, kto jest gotów wrócić do pracy, niech podniesie rękę - mówi jeden z kapitanów.

Prze-tworzeni są zdezorientowani. Kapitan czeka może pięć sekund i odwraca się. Daje sygnał i z wieży pada strzał.

Pocisk eksploduje między prze-tworzonymi. Judasz uświadomił sobie później, że ładunek zmniejszono, żeby płonące odłamki nie uszkodziły pociągu. Teraz słychać już tylko strzały i eksplozje, a w tłumie prze-tworzonych powstaje krwawy krater.

Silny, wytrenowany młotkowy wbija słup trzema uderzeniami, przeciętny czterema, a ludzie-kaktusy i najbardziej podrasowani prze-tworzeni z napędem parowym dwoma. Trzech spośród budzących powszechny szacunek potężnych ludzi-kaktusów potrafi tego dokonać za jednym zamachem. Jest też prze-tworzona kobieta, która im dorównuje, ale u niej ta umiejętność uchodzi za groteskową.

Judasz jest wolnym młotkowym - najwyższy stopień w hierarchii robotników kolejowych. Wszystkie słupy zamienia w golemy i każe im schować się w ziemi, toteż przy każdym uderzeniu młota słup wciska się jak najgłębiej.

Judasz słyszy metaliczne plaśnięcia swego młota jako oddechy stiltspearów. „Ach, ach, ach. Ach, ach, ach”. To go popycha do voxiteratora. Analizuje poszczególne elementy dźwięków, wielowarstwowe rytmy. Widzi, że Grubogoleń z kimś rozmawia, nie patrząc na niego. Stoi plecami do palisady. Zrekonfigurowany mężczyzna przechodzi tamtędy niby przez przypadek,

ale Judasz wie, że podsłuchuje.

W towarzystwie Grubogolenia Judasz odnajduje Ann-Hari.

Judasz zabiega o przyjaźń wojowniczego człowieka-kaktusa. Rozmawiają o linii kolejowej, o niepowtarzalnym pyłno-skalnym krajobrazie, o suchym późnozimowym mrozie i o pogłoskach, które podpełzają do nich po torach jak pociągi towarowe. Załogi w Myrshock znowu strajkują, a rząd w Cobsea kolejny raz upada, choć regularność tego zjawiska jest zupełnie przypadkowa.

Siedzą przy obozowym ognisku w Rypalnicach, palą i dzielą się narkotykami. Dosiada się do nich grupa kobiet. W chwiejnych cieniach ogniska Judasz zauważa Ann-Hari. Ubrana jest z funkcjonalną prowokacyjnością kurwy. Ann-Hari poznaje go, tak jak on ją, ale kiedy Judasz woła, macha i podbiega, ona tylko się uśmiecha.

Pozwala mu, żeby jej towarzyszył. Ann-Hari z prostytutki przedzierzgnęła się w pielęgniarkę, organizatorkę, działaczkę społeczną, doradczynię. Jej nietypowość - Ann-Hari łączy doświadczenie życiowe z łatwowiernością - sprawia, że młodsze i nowsze dziewczyny zwracają się do niej o pomoc. Ann-Hari rozmawia z Shaunem i Grubogoleniem. Ann-Hari organizuje i interweniuje.

Judasz obserwuje ją przy ogrodzeniu z łańcuchów. Ann-Hari przychodzi w nocy w miejsce niepilnowane przez strażników i robi to, co kiedyś Grubogoleń: stoi plecami do ogrodzenia, a za nią jest prze-tworzony, który udaje, że znalazł się tam przypadkiem.

Jest jeszcze ktoś trzeci, nastolatek. Panika, która czasami ogarnia prze-tworzonych, popycha go ku Ann-Hari. Judasz podchodzi bliżej. W tym stanie psychotycznego autoobrzydzenia prze-tworzeni mogą zrobić krzywdę sobie albo innym, a chłopiec mógłby dosięgnąć Ann-Hari przez ogrodzenie. Judasz słyszy jednak, co do siebie mówią i zwalnia.

- Umrę, umrę, już dłużej nie wytrzymam, zimno mi, popatrz na mnie - wyrzuca z siebie chłopak. Szarpie za nadwymiarowe, owadzie ramiona, które wyrastają mu z szyi jak kołnierz, które duszą go i drapią. - Ucieknę.

- Dokąd? - pyta Ann-Hari.

- Za torami, do domu.

Informator Ann-Hari stoi na straży. Z jego organicznego ciała wyłaniają się rury i tłoki, jest wyposażony w dwa szkielety z napędem parowym, wewnętrzny i zewnętrzny.

- Pójdiesz za torami?

- Do domu. Wstąpię do liberosynkretów.

- To jak, do Nowego Crobuzon czy do liberosynkretów? Grasują jak bandyci. Są wiele kilometrów stąd. Nie podchodzą tak blisko. Zanim do nich dotrzesz, żandarmi cię zabiją.

Chłopiec milczy przez chwilę.

- Pójdę na południe. Pójdę na północ. Na zachód.

- Na południu jest morze. Setki kilometrów stąd. Umiesz łowić ryby? Na północy czeka cię niezamieszkała równina, a potem góry. Na zachód? Na zachodzie jest strefa kakotopiczna. Tam się wybierasz?

- Nie...

- Też tak sądzę...

- Ale jak zostanę tutaj, to umrę...

- Może. - Ann-Hari odwraca się i patrzy na chłopca. Mieszkający w Judaszu robak rozprostowuje się. - Wielu z nas straci życie przy tej budowie. Może umrzesz i zostaniesz pochowany jak wolny człowiek pod żelazem. A może nie. - Ann-Hari chwyta za łańcuch i prawie dotyka chłopaka. Jego owadzie odnóża drżą. - Na razie żyjesz. I żyj dalej, zrób to dla mnie.

Judasz nie może mówić. Jest przekonany, że nigdy wcześniej nie widział tego chłopca.

Ann-Hari nie śpi z nim, ale całuje go, przez długie, upojne chwile, które nie są dane nikomu innemu. Ale kiedy Judasz chce więcej, Ann-Hari domaga się zapłaty z bezkompromisową stanowczością która go deprymuje.

- Nie jestem klientem.

Ann-Hari wzrusza ramionami. Judasz widzi, że nie powoduje nią chciwość.

Znowu wiosna i przy zwrotnicach czuć zapach rozgrzanego metalu. W zimie posuwali się do przodu bardzo powoli, ale teraz, kiedy ludzie zrzucają z siebie ubrania, tempo rośnie i zmniejszają dystans do niwelatorów.

Znajdują się na wielkich równinach otaczających Cobsea. Wieczny pociąg wjeżdża na nieprzyjazne, płaskie tereny alkalicznego kurzu, który zakleja usta i oczy jak ropa, który śmierdzi jak płyn do balsamowania zwłok. Wydaje się, że magazynuje ciepło, toteż ludzie czują się jak przrzućeni z lodowni do pieca. W kolejowym mieście panuje chaos. Trzody mięsne wrzodzieją. Ich mięso jest paskudne. Beczkowozы nieprzerwaną karawaną ciągną do okolicznych strumieni i rzek.

Kraina tętni życiem. Ziemia zapada się pod nimi, odsłaniając wola i otwory gębowe ogromnych drapieżników zasysających kurz. Ziemia wierzga. Burza ziemna wyrzuca pod niebo kamienne dyski, które bombardują pociąg.

- To jest diabelska kraina. Wszyscy to mówią.

Ekipy rozpoznawcze wracają z pustyni, uderzeniami batów wpędzając wielbłądy w spienioną panikę. Na ich wozie leży mężczyzna, sztywny, od stóp do głów oblepiony błotem, którym wszyscy są zachlapani, nie, to jest posąg, nie, to jest człowiek pokryty naroślami, kamiennymi tumorami. Zdejmują go z wozu, ludzki kształt, któremu drżą usta.

- To wylazło z ziemi...

- Myśleliśmy, że to mgła...

- Myśleliśmy, że to dym z ogniska...

W rzeczywistości jest to dymokamień, który wydostał się porami w ziemi i szybko zastygł. Muszą uwolnić nieszczęśnika za pomocą przecinaka. Razem z tą skorupą odchodzą płyty skóry i ciała.

Wiele dni później wieczny pociąg dociera na miejsce tego zdarzenia. Nad ziemią unoszą się pręgi dymu, zupełnie nieruchome. Kamień przybrał niemożliwe z punktu widzenia statyki patykowate kształty. Ażurowe chmury, twardsze od bazaltu arabeski, skalne opary.

Dym poleciał nad planowaną trasę i najtężsi ludzie przymierzają się z drewnianymi młotami do tych nowych formacji. Uderzają w skamieniałe momenty wiatru. Wygląda to tak, jakby rozbijali boki chmury. Spod dłuta wypryskują niewielkie odłamki dymokamienia, toteż mija wiele godzin, zanim udaje się wykuć korytarz szerokości torowiska. Przebijają drogę przez mgłę.

Liberosynkreści nie dają im spokoju, atakują z rozjuszoną kapryśnością. Na ręcznie napisanych plakatach można przeczytać: LIBEROSYNKRECI NIE SĄ WROGAMI!, ale robotnikom, którzy widzą krwawe skutki ataków, niełatwo jest sobie przyswoić ten slogan.

Judasz nie może zrozumieć, czego chcą liberosynkreści. Oni również giną podczas tych rajdów. Judasz nigdy tego nie widział na własne oczy, ale podobno ciała martwych i ciężko rannych liberosynkretów kładzie się na torach, żeby wieczny pociąg je zmasakrował. Kradną żelazne elementy, maszyny, parę sztuk bydła. Czy gra jest warta świeczki?

Teren podnosi się, trasa biegnie pośród skał i drzew. Ekipy niwelatorów są blisko, ponieważ spowalniają ich topograficzne przeszkody. Trafili na kopaczy tuneli, którzy od dwóch lat kują dziurę w granicie i jeszcze nie przebili się na drugą stronę.

Najpierw wyglądało to jak ogromna chmura, potem jak namalowany na niebie kaligraficzny obraz: od niwelatorów i tunelowców ucieka las owadów.

Ludzie klną, wkładają dodatkowe ubranie. Insekty napierają jak taran złożony z milionów opancerzonych chityną ciał. Są wielkie jak kciuki ludzi-kaktusów. Instynkt każe im walczyć z pociągiem. Giną miażdżone przez przekładnie i koła, powlekają tory oleistą breją własnych zwłok. Szyny trzeba posypać piaskiem, żeby zwiększyć przyczepność.

Od strony końca wiecznego pociągu słuchać potężny wrzask: owady doleciały do prostytutek i tych nielicznych żebraków, którzy dotarli tak daleko, do bydła i całej przytorowej gospodarki.

Przez niegościnnie lasek. Niwelatorzy utkwili pośród tych szkieletowatych drzew. Ziemia stawia im opór, hamuje ich. Niwelatorzy dogonili kopaczy tuneli i inżynierów mostowych, układacze torów dogonili niwelatorów, markietanki dogoniły torowych i wszystko stanęło.

Ziemia tworzy kamienną zmarszczkę o wysokości kilkudziesięciu metrów, za stromą dla pociągu. Droga kolejowa wciska się do tunelu, który jest prawie skończony. Judasz wchodzi na wzniesienie. Po drugiej stronie ciągnie się w poprzek wąska dolina. Widzi prawie gotowy wiadukt, kilkadziesiąt metrów niżej, w miejscu, gdzie niedługo przebije się tunel. Ludzie w wiszących koszach borują dziury w skale, wkładają do nich ładunki, podpalają lonty i wędrują do góry.

Na wiadukcie roi się od prze-tworzonych. Rusztowanie sięga dna Parowu. Budowniczy mostu machają przybyszom na górze. Dochodzi do radosnego spotkania.

Brygady od wielu miesięcy pracowały pośród drzew koloru kości. Ludzie wyglądają jak ulepieni z kurzu. Skrybowie i naukowcy wychylają się z okien swoich przedziałów, kiedy pociąg staje. W górze krążą wyrmeny. Damy do towarzystwa dumnie paradują.

Wieczorem wszyscy hucznie świętują, budowniczy tuneli i mostów są zachwyceni widokiem nowych twarzy. Judasz pije. Przy akompaniamencie katarynki tańczy z Ann-Hari, którą potem przekazuje Shaunowi Sullervanowi, a ten Grubogoleniowi. Pałają, piją, mężczyźni tracą mowę od tanich narkotyków i bimbru pędzonego w prymitywnych gorzelnianach za pomocą tandetnych zakłęb.

Judasz zauważa różnice między brygadami. Budowniczy tuneli i mostów, którzy od dawna przebywają na tych diabelskich terenach, organicznie wrosli w krajobraz. W odróżnieniu od kolegów Judasza nie zważają na podziały klasowe. Chociaż prze-tworzeni kwaterują osobno i podejmuje się pewne wysiłki segregacyjne, niegościnna okolica nie pozwala na tak rygorystyczne podziały, jakie obowiązują w brygadzie Judasza, tak jakby żelazne połączenie z metropolią miało priorytet nad crobuzońską dyskryminacją. Przetworzeni od żelaznej drogi obserwują tubylczych prze-tworzonych. Judasz widzi, że oni to widzą, żandarmi i strażnicy też.

Judasz i jego brygada kładą tory w tunelu. Idzie im to jak krew z nosa. Ludzie, którzy żyją jak robaki, chowają się w posmarowanych woskiem niszach. Źródłem światła są dla nich ogniska i rozświetlająca taumaturgia umieszczona w kamieniach. Koledzy Judasza czują się nieswojo. Nie mogą znieść widoku szeroko otwartych oczu kopaczy. Huk młotów brzmi w tych ciemnościach upiornie głośno.

Po dotarciu do końca tunelu nie mają nic do roboty. Czyszczą pociąg - zbędny wysiłek - penetrują okolicę w promieniu kilku kilometrów, poszerzają studnię, ale nie mogą pomóc kopaczom ani budowniczym mostów, mogą tylko czekać, grać w karty, kopulować i kłócić się ze sobą.

Niwelatorzy nie są skazani na bezczynność. Mogą robić przekop albo nasyp za parowem, w stronę Cobsea, od którego wciąż dzieli ich ponad sto pięćdziesiąt kilometrów ciężkiego terenu. Ale zanim wezmą się do roboty, chcą otrzymać zapłatę, a kasa znowu jest pusta.

Wiadomość o tym, że kanał z pieniędzmi znow jest zatkany, szybko się rozchodzi. Pracowali za dobre słowo, zaległości wynoszą już wiele miesięcy i wszyscy sądzili, że pociąg przywiezie gotówkę. Niwelatorzy odmawiają powrotu do pracy. Od wielu tygodni żaden pociąg z Nowego Crobuzon nie dotarł na koniec linii.

Skutki? Nie ma spowolnienia tempa robót ani protestów, nie dzieje się nic oprócz tego, że wzbiera gniew, który zbyt długo był tłumiony. Tunelowcy kują, a nowi przybysze ścinają drzewa, żeby zrobić z nich kiepskiej jakości podkłady.

Jeden z tunelowców zostaje ranny - kiedy ktoś stale używa czarnego prochu, musi liczyć się z takim ryzykiem, ale on reaguje takim oburzeniem, jakby to był pierwszy tego typu wypadek.

- Patrzenie - mówi, pokazując zakrwawioną dłoń. Czerwony kolor jaskrawo odcina się od białego kurzu, który pokrywa mężczyznę. - Wjebali nas do tego tunelu, żebyśmy tutaj wykitowali.

Tego wieczoru Judasz schodzi do doliny, w której spotykają się mężczyźni spółkujący z mężczyznami. Kiedy stamtąd wraca, czeka na niego Grubogoleń.

- Jest zebranie - mówi. - Nie u nas, tylko u nich. - Pokazuje na światła w wieży strzelniczej wiecznego pociągu. - Musimy się namyślić. Wysyłają do tyłu jeźdźców z informacją dla Wrightby'ego, żeby jak najprędzej przysłał pieniądze.

Następnego dnia dochodzi do bójki na kafary między dwoma kaktusami. Nadzorcy mogą się tylko przyglądać, jak te wegetatywne kolosy miażdżą sobie nawzajem kości z włókna roślinnego.

- Coś wisi w powietrzu - mówi Ann-Hari do Judasza. Siedzą na poczerniałej, kamiennej platformie, która pękła od ognia, zimnej wody i uderzeń młota najsilniejszego z przetworzonych. - Dziewczyny się boją.

Przy wejściu do tunelu leży kilka ręcznie napisanych egzemplarzy „RR”. Każdego dnia, każdej nocy gniew znajduje swoje ujście w bójce albo jakimś akcie wandalizmu, ktoś rozbija reflektor wiecznego pociągu albo wydrapuje w farbie wulgaryzmy.

Niwelatorzy zbierają się codziennie rano i odmawiają przejścia na drugą stronę wąwozu. Brygadziści znajdują dla nich inną pracę. Niwelatorzy nie strajkują, tylko odmawiają wykonywania swojego podstawowego zadania. Zgadzą się zamiatać odłamki skalne w tunelu czy nosić narzędzia, ale przekroczenie wąwozu oznaczałoby rozpoczęcie budowy ostatniego odcinka linii kolejowej do położonego Ponad sto pięćdziesiąt kilometrów dalej Cobsea. A tego nie zrobią. Nie zrobią tego, póki żelazna droga wstrzymuje im wypłatę ciężko zarobionych pieniędzy. Byłaby to kapitulacja.

Jest noc. Wzdłuż pociągu i w ciemnościach tunelu płoną ogniska. Wędrowne gwiazdy jasno świecą, spacerując obok swoich stacjonarnych kuchenek. Judasz zrobił gołębia z ostów.

- Co to jest?

Judasz podnosi wzrok. Ludzie się gapią, wchodzą na skałę. Poruszają się małymi, szarpanymi krokami jak pociągane za sznurki marionetki.

- Co się dzieje? - docieka Judasz, ale mężczyzna, któremu zadał to pytanie, pokazuje tylko do góry i krzyczy:

- Patrzcie, patrzcie! Chodźcie, jest!

Zza grzbietu wzgórza spływa jakaś melodia, jakby krzaki i kamienie dostały głos i śpiewały jakiś aberracyjny hymn. Ludzie wchodzący na zbocze zaczynają krzyczeć i wracać, uruchamiając lawinę kamyków. Przewracający się ludzie wpadają na kolegów. Judasz przytrzymuje się korzeni i nie traci równowagi.

Rozedrgany śpiew, chorał wystraszonej przyrody, jest głośny. Nad Judaszem wisi pająk. Nie, to nie pająk, za duży, rozmiarów drzewa, grubego drzewa z gałęziami rozchodzącymi się idealnie symetrycznie, to nie może być pająk, ale to jest pająk, o wiele większy od największego człowieka.

- Tkacz.

- Tkacz.

Wypowiedzieli to słowo. Ich głosy przekroczyły granicę strachu, zgroza odarła je z wszelkiej tonalności.

Tkacze. Pająki, które nie są bogami, ale prawie, mają zupełnie inny status ontologiczny od ludzi i zwierząt, są od nich znacznie bardziej oddalone niż obce rasy, niż demony, niż archony, ich moc, ich motywy, ich sens istnienia jest nieprzenikniony jak żelazo. Stworzenia, które walczą, mordują, umierają i tak wszystko przerabiają, aby odpowiadało ich wyobrażeniom o pięknie, o misterności sieci, która jest całym uniwersum, splotem nici nacechowanym spiralną symetrią wykraczającą poza granice tego, co możliwe.

W głowie Judasza rozbrzmiewają piosenki o Tkaczach. Rymowanki grozy dla dzieci:

Dziewczyna będzie twoja, kuśił
A potem swą siecią ją zadusił
Ten Tkacz milusi.

Purnonsens, pantomimowe błazeństwa. Patrząc na to stworzenie, które emanuje quasi-światłem, Judasz wie, że te piosenki są nieskończenie małymi drobinami głupoty.

Tkacz zawisł w skomplikowanym bezruchu. Cielsko smoliście czarne, kula wyciągnięta w łzę, z głową pochłaniającą cały blask wokół siebie. Cztery długie odnóża zakończone sztyletami stóp, cztery krótsze wyżej sprawiają wrażenie, jakby wisiały na niewidzialnej sieci. Jest długi na trzy, może cztery metry, a teraz - co to? - obraca się powoli, nieznacznie i świat jest jakby schwytyany w pajęczą sieć. Judasz czuje szarpnięcie, znak, że Tkacz zaprzął do siebie świat za pomocą nici, które wytwarza podczas obrotu.

Z ust Judasza dobywa się nieartykułowany, gardłowy dźwięk, wyrwany przez niewidzialne nici Tkacza. Jest to forma kultu.

Na całym zboczach kolejarzy stoją sparaliżowani tym spektaklem. Niektórzy próbują uciec, paru idiotów podpełza bliżej, ale większość, do której należy Judasz, stoi bez ruchu i patrzy.

- Nie dotykać, nie zbliżać się, to jest Tkacz, do cholery! - krzyczy ktoś z dołu.

Skały nadal śpiewają. Teraz dołącza do nich Tkacz.

Jego głos wychodzi spod kamieni. Jego głos jest wibracją w pyle.

... JEDEN I JEDEN I JEDEN I DWA I CZERWONY CZERWONO-CZARNY
CZERWONO-NIEBIESKI CZARNY PRZEZ KANION DRUCIANY WŁOK CIACH
ROZCIĘCIE WYDECH ROZWARCIE LEGAT I KONSTRUKT MOJE WIĘZI MOJE OCZY
DZIECI MILSZE JAKIE KAMIENNE CIĘCIE I PYLNY BĘBEN TY BRZMISZ
POWOLNIAK PUŁAPKA POTRZASK DLA RYTMU W NARZĘDZIU I KAMIENIU...

Głos z czasem staje się coraz donośniejszy, kamyczki na zboczach tańczą do taktu.

.. JEDZ MUZYKĘ JEDZ DŹWIĘK PCHAJ PULS PULS I LOGUM MAGIA...

Myśli i faktury rzeczy są chwytywane jak ryby w sieć i wciągane w Tkacza.

...ROZKRUSZ I SCAL ZATROSZCZ SIĘ ODKRUSZ CO JEST WCZEŚNIEJ
ODKRUSZ TWOJE IMIĘ JEST RAKAMADEVA SKAŁA MÓJ DEMON WZDRYGNIJ SIĘ
SUŃ KU TEMU CO BĘDZIE TWĄ BUDOWLĄ...

Tkacz wciąga wszystkie swoje ramiona i delikatnie opada odkręcony od swojej zawieszony w powietrzu osi obrotu. Nadal zasysa resztki światła i pęcznieje, jakby światło było jedyną realną substancją. Judasz, ziemia, na której stoi, ażurowe drzewa, których się przytrzymuje - wszystko to są obrazy z dawnych czasów, wyblakłe od słońca, maszeruje po nich energiczny pajak.

Tkacz kolejno unosi nogi w podniesionym do ósmej potęgi balecie, tanecznym krokiem zmierza na krawędź wąwozu, wyprani z kolorów ludzie podążają za nim. Odwraca figlarnie głowę, aby spojrzeć na nich konstelacją oczu podobnych do czarnych jajeczek. Za każdym razem, kiedy to robi, ludzie zastygają, a potem ruszają znowu, jakby byli do niego uwięzieni.

Prześlizguje się nad krawędzią wąwozu. Podbiegają, żeby popatrzeć, jak pajęczak z gracją dziewczyny w szpilkach schodzi po pionowej skarpie. A raczej zbiega, wielki, groteskowy kształt po chwili jest już przy korzeniach mostu, dźwigarach wyskakujących ze skały w połowie wysokości skarpy. Jednym susem, pomijając przestrzeń pomiędzy, Tkacz znajduje się na szkielecie konstrukcji. Zaczyna wirować, zamienia się w pozbawione obwodu koło - z tej odległości niewielkie - i jedzie po dźwigarach, na których za dnia wiszą prze-twórzony mostowe

małpy.

...I ŁAM I ŁAM... - głos rozbrzmiewa tak głośno, jakby Tkacz był tuż koło Judasza. -
...PRZYJ TRZYJ CZEKAJĄ ODDECH TRZYMAJĄC I OCIEKAJĄC NA TWOJĄ
INTERWENCJĘ DEMONY RUCHU UNIESIENIA CYTOWANIA PRZYTACZAJĄ
BUDOWA WIEŻA WESTCHNAĆ WKRÓTCE ZAWRÓCIĆ GWIAZDA I CZYSTY JESTEŚ I
JESTEŚ BEZPIECZNY Z CZASEM Z DAŁA OD RÓWNIN PAROWY CZŁOWIEK... Tkacz
znika i w oczy Judasza ponownie wlewa się nagle światło nocy. Tkacza nie ma, ale upływa wiele
chwil, zanim kolejarze wpatrzeni w pająkkształtną nieobecność na moście odwracają się i
odchodzą. Ktoś zaczyna płakać.

Następnego dnia kilku mężczyzn nie żyje. Patrzą w dach namiotu albo w niebo oczami
całkowicie wyczerpanymi z koloru i z uśmiechem cichej radości.

Pewien starszy człowiek, który już dawno postradał zmysły, od wielu kilometrów wędruje
razem z koleją. Siedzi przy robotnikach machających młotami albo dziwkach sprzedających
chwilę wytchnienia. Stał się czymś w rodzaju maskotki, amuletu. Po wizycie Tkacza stoi nad
otworem tunelu i deklamuje głośno, a potem płomiennymi słowami. Mówi, że jest
prorokiem pająka. Budowniczości żelaznej drogi nie wykonują jego rozkazów, ale słuchają go z
powściągliwym respektem.

Wędruje pośród wymuszonej bezczynności torowych. Krzyczy na tunelowców, żeby
odłożyli oskardy, rozebrali się do naga i pobiegli na północ do nieznanych krain śródłędzia.
Krzyczy na nich, żeby kopulowali z pająkami w kurzu. Wszyscy są poowijani niemi Tkacza.
Pozawężeni w nową konfigurację.

- Widzieliśmy Tkacza - mówi Judasz. - Większości ludzi nie jest to dane. Widzieliśmy
Tkacza.

Następnego dnia strajkują kobiety.

- Nie - mówią mężczyznom, którzy przychodzą do ich namiotów i wytrzeszczają oczy ze
zdumienia.

Kobiety formują oddziały bojowe, uzbrojone w zaimprovizowane narzędzia walki.
Pikieta w łachmanach i halkach.

Zebrało się ich kilkadziesiąt, zdeterminowane i zaskoczone własną zuchwałością.
Odsyłają z kwitkiem młotkowych, tunelarzy, żandarmów. Odprawieni gromadzą się w jednym
miejscu. Dyskutują. Niektórzy onanizują się za skałami, część po prostu idzie sobie. Wielu
zostaje.

Kurz spowija obie grupy, które stoją naprzeciwko siebie. Przychodzą żandarmi, ale nie
bardzo wiedzą, co mają robić. Kobiety nie naruszają porządku publicznego, mężczyźni czekają.

- Nie ma walenia bez płacenia! - intonuje Ann-Hari. - Nie ma walenia bez płacenia, nie
ma walenia bez płacenia!

- Nie będziemy tego więcej robiły za piękne słowa - mówi Ann-Hari do Judasza. - Odkąd
tu przyjechałyśmy i skończyły się Pieniądze, dziewczyny oddają się na kredyt. Naszym,
żandarmom, teraz jeszcze tym nowym. A ci od dawna nie mieli kobiety i są bardzo brutalni.

Przychodzą i mówią: „Dopisz mi do rachunku, mała”. Strach odmówić, chociaż wiemy, że nigdy nie zobaczymy tych pieniędzy. Cyra straciła oko. Przyszedł jakiś tunelarz i powiedział, żeby dopisała mu do rachunku, ona mu na to, że nie, a on tak jej przypieprzył, że oko pękło. Belladonna ma złamaną rękę. Nie ma walenia bez płacenia, Judaszu. Od teraz chcemy najpierw zobaczyć pieniądze.

Kobiety bronią Rypalnic. Wprowadzają patrole uzbrojone w kije i buty na szpilkach. Tworzy się linia frontu. Wymieniają się przy opiece nad dziećmi. Na pewno są wśród nich takie, którym ta konfrontacja się nie podoba, ale ulegają woli większości. Ann-Hari i inne kobiety ze śmiechem i podkasanymi spódnicami paradują przed mężczyznami. Judasz nie jest jedynym mężczyzną, który sympatyzuje z tymi rozjuszonymi dziwkami. On, Shaun Sullervan, Grubogoleń i paru innych pilnuje, żeby nie doszło do rękoczynów.

- Dajcie spokój, dziewczyny - mówi brygadzysta, wcielając się w rolę pośrednika. - O co wam chodzi? Co wam wpadło do głowy? Potrzebujemy was, moje śliczne - dodaje z uśmiechem.

- Nie ustąpimy, John - replikuje Ann-Hari. - Nie damy się więcej nabrać na czcze obietnice. Płaćcie, bo nie będzie walenia.

- Nie mamy pieniędzy, Ann, przecież wiesz o tym, moja słodziutka...

- To nie moja sprawa. Powiedz Wrightby'emu, żeby płacił swoim ludziom, a wtedy...

Kołyśże biodrami.

Tego wieczoru grupa mężczyzn na poły żartobliwie, na poły z wściekłością próbuje przerwać kordon, ale kobiety okładają ich kijami i zmuszają do rejterady. Mężczyźni trzymają się za porozbijane głowy i wrzeszczą trochę z bólu, a trochę ze zdziwienia.

- Ty kurwo jebana! - krzyczy jeden z nich. - Rozjebałaś mi głowę, zdiro!

Również następnego dnia kobiety nie ustępują ani na krok i sytuacja traci posmak nowości i absurdu. Mija nastrój rozbawienia. Jeden z mężczyzn wyjmuje fiuta i macha nim w ich stronę.

- Chcecie zapłaty? - wrzeszczy. - To zjedzcie go, wy niemyte, pazerne dziwki!

Części mężczyzn to się nie podoba - zżyli się z tymi dziewczynami, które dzielą z nimi trudy tego przedsięwzięcia - i uciszają go, ale inni go popierają.

- Zapraszamy z pieniędzmi! - wołają kobiety. - Nie wińcie nas, napaleni dranie!

Wyglodzeni mężczyźni organizują drugi atak, tym razem pod wodzą tunelarzy. Pałają gwałcicielską żądzą zemsty. Coś jednak krzyżuje im szyki: prze-tworzone kobiety, które wysłano do prania ubrań w pobliżu namiotów Rypalnic, wszczynają alarm. Mężczyźni błyskawicznie do nich przyskakują i próbują uciszyć, ale jest już za późno. Przybiega szwadron prostytutek.

Mężczyźni zostają podżgani, jedna z kobiet ma rozbitą twarz. Po odparciu intruzów prostytutki znajdują jedną z prze-tworzonych kobiet nieprzytomną i krwawiącą. Po chwili wahania zanoszą ją do swojego namiotu, żeby opatrzeć jej głowę.

Rano strajkują tunelarze. Zbierają się koło wylotu tunelu. Brygadziści biegną z nimi negocjować. Tunelarze mają swojego rzecznika: chudego geotaumaturga z dłońmi bazaltowo czarnymi od kamieni, które rozmiękcza za pomocą swoich nikłych mocy.

- Wrócimy do pracy, jak dziewczyny znowu nas wpuszczą - mówi i jego koledzy się śmieją. - Mamy swoje potrzeby.

Prostytutki, a teraz tunelarze przedstawili swoje postulaty. Niwelatorzy nie chcą pracować, a torowi nie mogą, siedzą na słońcu i grają w kości albo się biją. Stosunki w obozie stają się brutalne. Wieczny pociąg stoi w miejscu. Żandarmi naradzają się z brygadzystami. Pada deszcz, ale jest ciepły i nie przynosi ochłody.

- Kopulujcie z pajakami - głosi starzec. - Nadszedł czas zmian.

Sytuacja staje się patowa. Tylko most jest budowany. Wieczorami, kiedy zajmujące się

tym brygady kończą pracę, przechodzą na drugą stronę kanionu do siostrzanego obozu, żeby obejrzeć to kuriozalne widowisko. Przychodzą hotchi w strojach z kolców, małpy wyszkolone i wytresowane metodą prze-tworzenia, prze-tworzeni z małpiatkowatymi ciałami. Przychodzą jako strajkowi turyści, po kolei odwiedzają kolejne grupy.

Dziennikarze, którzy wykorzystują każdą okazję, żeby wysłać artykuły do crobuzońskiej redakcji, nagle mają o czym pisać. Jeden z nich heliotypuje pełniące straż kobiety.

- Nie wiem, jak to sformułować - mówi do Judasza. - „Dysputa” chce być poważną gazetą i nie pozwala mi pisać o dziwkach.

- Zrób jak najwięcej zdjęć - radzi mu Judasz. - To jest historyczne wydarzenie, które powinieneś udokumentować.

Zauważa, że przemawia przez niego robak dobroci. Na moment traci dech, kiedy uświadamia sobie, że słyszy jego głos.

- Wszyscy jesteśmy dziećmi pajaków - mówi sędziwy prorok.

Na skałach pojawiają się ręcznie napisane egzemplarze „RR”.

To nie są trzy strajki ani dwa i pół strajku. To jest jeden strajk przeciwko wspólnemu wrogowi, z jednym celem. Kobiety nie są naszymi przeciwniczkami. Nie wolno nam mieć do nich pretensji. Mówią nam: „Nie ma walenia bez płacenia” i to może być również nasze hasło. Ani razu nie walniemy młotem, dopóki nie otrzymamy obiecanych pieniędzy. One tak mówią i my też tak powiedzmy: „Nie ma walenia bez płacenia”.

Kiedy dla nadzorców i żandarmów staje się jasne, że wzajemne animozje nie wykrwawiają strajku, sytuacja ulega zmianie. Judasz to czuje, widząc po wstaniu z łóżka, że brygadziści biegną po całym obozie naładowani nową energią.

Mimo wczesnej pory jest już gorąco i pot leje się z Judasza strugami, kiedy bez śniadania podchodzi do wylotu tunelu wraz z innymi bezczynnymi robotnikami. Tunelarze stoją w szyku bojowym z oskardami w garściach. Naprzeciwko nich są brygadziści, żandarmi i korpus prze-tworzonych.

- Bądźcie rozsądni - mówi jeden z nadzorców.

Judasz go zna. Zawsze go wzywają, kiedy trzeba przekazać ludziom coś nieprzyjemnego. Nadchodzi delegacja prostytutek z Ann-Hari na czele. Tunelarze wznoszą obelżywe okrzyki. Kobiety ograniczają się do roli widzów. Pociąg dyszy jak rozjuszony byk.

Nadzorca staje przed prze-tworzonymi plecami do strajkujących. Judasz widzi, że Ann-Hari szepcze coś do Grubogolenia i innego mężczyzny, a oni kiwają głowami, nie odejmując wzroku od prze-tworzonych. Jeden z nich, ze sterczącymi z ciała rurami, patrzy na Grubogolenia i porusza głową. Obok niego stoi znacznie młodszy mężczyzna z pokrytymi chityną nogami wyrastającymi z szyi.

- Bierzcie oskardy i idźcie do tunelu - mówi brygadzista do prze-tworzonych. - Kujcie skałę. Pokażemy wam, jak się to robi.

Reakcją jest milczący bezruch.

- Bierzcie oskardy i idźcie do tunelu - powtarza brygadzysta. - Dokończcie go.

Znowu zapada cisza, ale po chwili tunelarze zaczynają krzyczeć:

- Łamistrajki! Łamistrajki!

Okrzyki szybko jednak cichną, ponieważ prze-tworzeni nie ruszają się.

- Bierzcie oskardy!

Wciąż żadnej reakcji, nadzorca strzela więc z bata. Rozlega się okrzyk bólu i jeden z prze-tworzonych pada na kolana, trzymając w dłoniach zakrwawioną twarz. Część prze-tworzonych wydaje z siebie łekliwe odgłosy, a niektórzy ruszają w stronę tunelu, ale na dźwięk wypowiedzianego półgłosem rozkazu nieruchomieją, z wyjątkiem jednego, który biegnie do tunelu, wołając:

- Od początku byłem temu przeciwny, nie zmusicie mnie, to jest głupi pomysł, to jest głupi pomysł!

Inni nie patrzą na niego, a on znika w ciemnościach. Młody człowiek z owadzimi odnóżami na szyi drży ze wzrokiem wbitym w ziemię. Mężczyzna z rurami coś mówi.

- Bierzcie oskardy. - Nadzorca przybliży się do prze-tworzonych. W Judaszu coś wzbiera. Wokół siebie słyszy gniewne pomruki, czuje, że atmosfera się zaognia. - Bierzcie oskardy, bo inaczej będę musiał podjąć odpowiednie kroki. - Wrzawa narasta, ale nadzorca przekrzykuje protesty. - Bierzcie oskardy i wchodźcie, bo inaczej wybiorę dla przykładu któregoś wichryciela... - Powoli wiedzie spojrzeniem po struchlałych prze-tworzonych, zatrzymuje wzrok na tym z rurami, który jako jedyny nie spuszcza oczu, a potem chwyta dygoczącego ze strachu chłopca, który krzyczy i pada na kolana. - ...i surowo go ukarzę.

Przywołuje gestem dwóch żandarmów i kiedy podchodzą, znowu wybucha tumult. Żandarmi zaczynają bić młodego człowieka.

Tak jak podczas śpiewu stiltspearów Judasz czuje, że czas zgęstniał. Patrzy, jak pałki spadają na chłopca, który nieporadnie zasłania głowę i chitynowe dodatki. Czas płynie tak powoli, że może sobie pozwolić na obserwowanie krążących w górze ptaków i zafascynowaną analizę wyrazu twarzy ludzi.

Na większości z nich maluje się zastygła zgroza. Prze-tworzony z rurami, który był opiekunem chłopca, zacisnął zęby, torowi i tunelarze przyglądają się tej scenie ze współczuciem, zdumieniem i niepokojem. Kiedy razy padają, a żandarmi powstrzymują tłum, Judasz wszędzie widzi wahanie. Wszyscy są niezdecydowani i napięci. Patrzą na sąsiadów, na wyjącego prze-tworzonego i pałki, potem znowu na sąsiadów. Żandarmi też się wahają, przerwy między ciosami pałki są coraz dłuższe, ich koledzy niepewnie podnoszą broń i wzmaga się chór zgrozy.

Judasz widzi Ann-Hari, która wymachuje rękami w powietrzu, powstrzymywana przez koleżanki. Ludzie mają takie miny, jakby szykowali się do skoku do zimnej wody. Dalej patrzą na siebie nawzajem, czekają, czekają. Judasz czuje, że mieszkający w nim robak wychodzi do nich, trąca ich i ruszają się.

To nie Judasz stawia pierwszy krok - on nigdy nie stawia pierwszego kroku - ani prze-tworzony z rurami, ani Grubogoleń, ani Shaun, tylko jakiś nieznany tunelarz. Występuje

przed szereg i unosi ramię. Wygląda to tak, jakby przebijał się przez napięcie, które zaległo nad światem, napięcie, które pęka jak menisk wypukły i wlewa się w czas. Za nim idą inni, Ann-Hari w końcu wyrwała się koleżankom, prze-tworzeni rzucają się do przodu, żeby powstrzymać pałki i baty żandarmów, teraz biegnie również sam Judasz i zaciska stwardniałe od pracy dłonie na gardle jednego z mundurowych.

W uszach ma wyłącznie gorące tętno własnej wściekłości. Walczy, tak jak się nauczył podczas licznych burd. Nie słyszy, ale czuje wystrzały z broni palnej jako kuksańce powietrza. Energia kipi w nim zakłęciami i kiedy chwyta jednego z żandarmów, instynktownie robi z jego koszuli golema, który go dusi. Judasz biegnie i walczy, wszelkiej materii nieożywionej, której dotknie, na moment nadaje quasi-życie posłuszne jego rozkazom.

Żandarmi mają skałkówki i baty, ale zdecydowanie ustępują przeciwnikom liczebnie. Mają taumaturgów, ale nie milicyjnego kalibru: nie widać wypływanych kropli energii ani transformacji strajkujących, tylko prymitywne czary, przed którymi budowniczowie kolei skutecznie się bronią.

Wśród torowych jest więcej ludzi-kaktusów niż w szeregach nadzorców. Dopadają strażników MKK i łatwo rozbijają kordon, okładając ich zielonymi pięściami. Osłaniają kolegów, a żandarmi nie mają kuszarpaczy, jedynej broni, która mogłaby im zagrozić.

Prze-tworzony z rurami odciąga zmaltretowanego chłopca poza strefę niebezpieczeństwa. Wyjmuje z kieszeni kawałek węgla i wkłada do ust, pył czerni mu usta. Potem wskakuje w wir walki. Ci żandarmi, którzy utrzymują się jeszcze na nogach, wycofują się. Reszta leży na ziemi, obok krwawiących prze-tworzonych i wolnych ludzi. Wszystko rozgrywa się bardzo szybko.

Judasz biegnie. Ocieka krwią. Żandarmi unoszą broń, atakowani przez prze-tworzonych, którzy zrzucili kajdany. Strzelają i prze-tworzeni padają. Koło pociągu żandarmi przegrupowują się.

- Musimy...! - woła Judasz.

Rurowiec jest przy nim, kiwa głową, też krzyczy i znajduje posłuch, u prze-tworzonych i niezmodyfikowanych, jest Ann-Hari, jest Shaun, wszyscy przyjmują rozkazy od tego anonimowego prze-tworzonego.

- Ty - mówi do Judasza. - Ze mną.

Obdarta armia maszeruje między drzewami na miejsce postoju wiecznego pociągu, który dymi i pluje parą. Jego bufor sterczy jak zepsute zęby. Komin jarzy się, wygląda jak lejek wsysający energię słońca. Ludzie wskakują i zeskakują z prycz na dachu, z barakowagonów, patrzą na zbliżających się żandarmów i strajkujących. Obie biegnące armie próbują przeciągnąć ich na swoją stronę.

- Oni, oni...

- Schodźcie, to są ci przekłęci prze-tworzeni...

- Strzelali do nas, bili nas...

- Rozejdźcie się, dranie, bo strzelam...

- Powstrzymajcie ich, na Jabbera, kurwa mać, powstrzymajcie ich, do kurwy nędzy...

Żandarmi ustawiają się koło pociągu w bezładnym szyku z bronią gotową do strzału i fala złożona z ciekawskich oraz rozjuszonych strajkujących - tunelarzy, prostytutek, prze-tworzonych - staje w miejscu. Żandarmi wycofują się do wieży strzelniczej.

Następuje długi moment zawieszony między patem i chaosem. Ann-Hari i rurowiec podchodzą bliżej. Po prze-tworzonym nie widać żadnych emocji, po Ann-Hari owszem. Za nimi stoi armia prze-tworzonych. Nie maszerują, tylko trzęsą nogami, na których wciąż widać ślady po kajdanach, rozbitych kamieniami lub otworzonych kluczami. Nie maszerują, przy każdym kroku prawie się przewracają o własne nogi. Słońce okłada ich plamami skundlonych kolorów i

uwypatnia kontury ich zaimprovizowanej broni.

Unoszą elementy ogrodzenia, które ich więziło. Machają łańcuchami, które skuwały im stopy. Z odłamków garnków i kawałków drewna zrobili sobie noże. Są ich dziesiątki, a potem setki.

- Na Jabbera, kto ich wypuścił? - woła histeryczny głos. - Co wyście zrobili?

Robak w Judaszu pęcznieje na ten widok. Nadyma go, rusza się jak dziecko w brzuchu. Judasz woła do nich w formie pozdrowienia i ostrzeżenia.

Mężczyźni chodzący na czworakach stają się bizonami, niosą na plecach innych, oplecionych własnymi kończynami. Kobiety kroczą na wydłużonych kończynach zrobionych ze zwierzęcych części ciała, a mężczyźni na tłokach przypominają młoty parowe, które ożyły. Kobiety są całe porośnięte włosiem, grubymi jak palec czułkami albo kłami ukradzionymi dzikom czy wyrzeźbionymi z marmuru. Usta stają się mechanizmami zębatymi, ogony kotów i psów powiewają wokół talii niby spódnice. Gruczoły prze-tworzonych sączą atrament. Ten tęczyowy melanz, ten konglomerat przestępców, ta pstrokaczna podchodzi bliżej i jest wolna.

Żandarmi wycofali się. Są w opancerzonym wagonie, w wieży strzelniczej. Niektórzy wzięli muły albo konie z zagrody przy końcu torów i uciekli.

- Nie, nie, nie.

Wielu tunelarzy i torowych jest przerażonych wyzwoleniem prze-tworzonych. Nikt nie ma pewności, kto to zrobił i w jaki sposób. Ukradzione klucze, moment, który przebiegł przez kraal spętanych przestępców (choć jest paru takich, którzy nie chcą wyjść, którzy nie chcą zrzucić kajdan).

- Nie po to tutaj jesteśmy! Nie o to chodziło! - jakiś tunelarz krzyczy do Shauna Sullervana. Zwrócenie się do Ann-Hari albo kogoś z hordy tych dziwadeł byłoby poniżej jego godności. - Nie chciałem, żeby chłopak dostał manto, nie zasłużył sobie, ale to jest głupota. Co teraz będzie? No? My chcieliśmy... - Jego spojrzenie pada na przetworzonych, którzy świdrują go wzrokiem. - Nie obrażajcie się, koledzy - mówi teraz do nich. - Słuchajcie, to nie jest moja sprawa. Widzieliście, że nie pozwolimy, żeby was maltretowali. Ale, ale, nie możecie, musicie wrócić, to jest...

Pokazuje na wieżę strażniczą.

Jest już późno. Oblężenie przepoczwarzyło się w dziwny spokój.

- Ludzie, kurwa, zginęli - mówi. - Oni nie żyją.

Nie żyje chłopiec z owadzimi dodatkami. Inni prze-tworzeni polegli od kul. Jednego z ludzi-kaktusów rozplątała przelatująca deska. Martwych żandarmów zniesiono w jedno miejsce, zabitych podbijakami, kołkami, zastępczą bronią budowniczych kolei. Przy zbiorowych grobach lamentują oszołomieni żałobnicy.

Myśliwi wracają. Prostytutki siedzą na kamieniach i obserwują pociąg. Palacze i hamulcowi patrzą przerażeni, jak upojeni wolnością prze-tworzeni napełniają kocioł i pociągają za dźwignie, a ci, którzy mają swoje kotły, kradną wysokokaloryczny koks. Zdezorientowani ludzie krążą koło pociągu i pytają, co się właściwie stało. Spoglądają na słońce i na oklapnięte trupy drzew w oczekiwaniu na kogoś, kto przejmie stery.

Dziwny spokój rodzi atmosferę zaniepokojenia i wyczekiwania. Żandarmi zajęli wieżę strzelniczą i jeszcze jeden wagon, resztę pociągu opanowali prze-tworzeni. Żelazna wieża trzeszczy w upale, zamontowane na szczycie działo obraca się.

Wolni ludzie chcą traktować Shauna i Grubogoleń jako przywódców prze-tworzonego motłochu, ale stoi przy nich Ann-Hari, a także przy tym z rurami - na imię mu Uzman, jak dowiaduje się Judasz - i innych prze-tworzonych.

- Zabierz swoich chłopaków z powrotem do zagrody - mówi rzecznik wolnych robotników. - Jak myślisz, co oni tam robią?

Pokazuje na wieżę. - Szykują się do ataku, ot co. Postawiliśmy na swoim. Jeśli teraz wrócicie, nam zapłacą, a dla was nie będzie... nie będzie kar...

Słowa te kieruje do Shauna, ale odpowiada mu Uzman.

- Wy dostaniecie szmal, a my mamy oddać pociąg? - Śmieje się. Absurdalność propozycji wolnych ludzi jest dla wszystkich oczywista. Chcą, żeby prze-tworzeni sami pozbawili się dopiero co wywalczonej wolności. - Jeszcze nie zdecydowaliśmy, co dalej zrobimy - mówi. - Ale zdecydujemy.

Przekrzykują się jak na ulicznym wiecu, poza zasięgiem wieży strzelniczej - prze-tworzeni z prze-tworzonymi, torowi, rdzożery zżądają nawzajem, tunelarze. Z wieży strzelniczej dochodzą odgłosy jakiejś krzątaniny. Strajkujący obserwują sytuację zza barykad. Księżyc tworzy na niebie prawie idealne półkole. Zmierzają w stronę nowiu. Dodatkowo przyświecając sobie lampami i fosforem rozświetlającej taumaturgii, ludzie z wiecznego pociągu odbywają naradę wojenną.

- Nie możemy siedzieć i czekać z założonymi rękami - mówi Grubogoleń do Uzmana. - Ludzie już zaczynają uciekać. Jabber jeden wie, ilu żandarmów się wymknęło, brakuje wielu koni, drezyn. I nie tylko nadzorcy zmykają. Trzeba ich zmusić do ustąpienia.

- Co to znaczy? - protestuje Ann-Hari. Robak mieszkający w Judaszu porusza się. - Co mają ci ustąpić? Czego od nich chcesz, chaver? Oni nie mają nam nic do dania. Dalej się boją i dlatego siedzą w wieży, ale jak przyjdzie im wylewać przez okna wiadra z gównem, to zaczną strzelać.

Podnoszą głosy. Tłum przybliży się, przychodzą nowi.

- Postawimy żądania - mówi Grubogoleń. - Oni ściągają posiłki. Do tego czasu musimy mieć przygotowane żądania.

- Na przykład jakie? - pyta Shaun. - Żeby uwolnili zaszranych prze-tworzonych? Daj se spokój. Żeby uznali nowe gildie? Tego chcemy?

- Musimy nawiązać łączność z bazą - replikuje Grubogoleń. - Wyślemy swoich jeźdźców do Nowego Crobuzon, porozumiemy się z gildiami i opracujemy katalog wspólnych żądań. Jeśli ich przekonamy, żeby nas poparli...

- Zejdź na ziemię. Myślisz, że to zrobią? Dla nas?

- Musimy przejąć kontrolę - mówi Uzman. - Pociąg należy teraz do nas.

Ktoś szydzi i wydaje z siebie dźwięk, który wyraża jego stosunek do tych „zakichanych mutantów”. Ann-Hari wpada w furję i bezwiednie zaczyna mówić swoją góralską ragamollszczyzną.

- Zatkaj gębę - sztorcuje szydercę. - Robi ci się lepiej, jak naubliżasz prze-tworzonym? Po co tutaj jesteśmy? Walczyliście. Wy... - pokazuje na tunelarzy... - zaatakowaliście nas. - Jej przyboczne prostytutki kiwają głowami. - Ale dlaczego walczyliście z żandarmami? Bo oni, prze-tworzeni, nie chcieli dać się wykorzystać do złamania strajku. I dostali za was po łbie. I za nas. Za mnie. - Ann-Hari unosi dłoń, przyciąga do siebie Uzmana i całuje go w usta. Cóż za

rażące naruszenie zasad współżycia międzyrasowego! Jej zachowanie budzi szok i oburzenie, ale Ann-Hari nie daje się zbić z tropu. - Ci prze-tworzeni strajkują dla nas i dla was. Wy strajkujecie przeciwko nam, a my przeciwko wam, ale oni popierają i nas, i was. Wiecie o tym. Broniliście ich. A teraz chcecie ich traktować jak śmieci? Pomogli wam utrzymać strajk, i nam też. - Wyciska kolejny pocałunek na ustach Uzmana. Wśród jej towarzyszek budzi to różne reakcje. - Powiem wam, że jeśli ktoś zasługuje na to, żeby mu wygodzić na kredyt, to prze-tworzeni.

Najbardziej bojowe i najbliższe związane z Ann-Hari prostytutki podchodzą do prze-tworzonych, żeby ich demonstracyjnie objąć.

- Musimy nawiązać kontakt z bazą! - krzyczy Grubogoleń, ale nikt go nie słucha.

Słuchają jego przyjaciółki Ann-Hari. Judasz buduje z kurzu golema.

Jest już późna noc, ale prawie nikt nie śpi. Golem Judasza jest wyższy od niego, spojony olejem i brudną wodą. Starzec, który został prorokiem Tkacza, staje za Ann-Hari i wykrzykuje liryczne peany na jej cześć w trakcie jej ostrej wymiany zdań z Grubogoleniem.

Od strony pociągu podchodzi do nich żandarm, machając flagą symbolizującą zawieszenie broni.

- Chcą negocjować - melduje kobieta na chitynowych kołach.

- Zaczekajcie! - woła poseł. - Chcemy pokojowo rozwiązać sprawę. Nikt nie zostanie ukarany. Porozmawiamy z MKK, załatwimy pieniądze. Wszyscy będą wygrani. Wy, prze-tworzeni, możemy Negocjować. Może damy wam możliwość wcześniejszego rozwiązania kontraktu. Nie wykluczamy żadnej opcji.

Twarz Ann-Hari płonie z wściekłości. Negocjator szarpie się do tyłu, kiedy ona biegnie w stronę pociągu, a za nią Grubogoleń, Uzman i Judasz, który daje swojemu golemowi klapsa jak małemu dziecku i za pomocą zaklęć wprawia go w ruch. Wszyscy ludzie mijani przez golema robią wielkie oczy.

- Czekaj, czekaj, co zamierzasz zrobić? - krzyczy za nią Grubogoleń.

Uzman też ją do czegoś przekonuje, ale podczas gdy prze-tworzeni obłączyli chowają się za barykadami, ona maszeruje prosto w pole ostrzału z wieży. Wrywa komuś z ręki skałkówkę.

Uzman i Grubogoleń zaklinają Ann-Hari, żeby była ostrożna, ale ona nie zwraca na nich uwagi. Tylko golem Judasza idzie razem z nią. Lufy dział wieży celują w Ann-Hari, która niewprawnym ruchem unosi skałkówkę. Stoi obok człowieka z kurzu i oleju na otwartej przestrzeni.

- Żadnych układów z wami, dranie! - krzyczy i pociąga za spust, mimo że kule nie są w stanie przebić pancerza.

Prze-tworzeni biegną do niej, żeby ją osłaniać. Judasz słyszy, że kapitan w wieży strzelniczej wydaje jakiś rozkaz, może „nie strzelać”, może „ognia”, nie wiadomo. Judasz każe golemowi stanąć przed Ann-Hari i niemal w tej samej chwili rozlega się huk wystrzałów z broni żandarmów.

Wszyscy oprócz Ann-Hari i golema padają na ziemię, są krzyki i krew. Kanonada przycicha. Jedna, dwie, trzy osoby leżą bez ruchu. Inni, głównie prze-tworzeni, ale normalni też, wołają pomocy. Ann-Hari stoi w miejscu. Golem utkwiał tam, gdzie kule wwierciły się w jego gęstą substancję.

- Nie, nie, nie! - biadoli kapitan. - Ja nie powiedziałem...

Ale prze-tworzeni nie czekają, aż skończy zdanie. Ich ryk zagłusza dalszy ciąg słów oficera. Ktoś odciąga Ann-Hari do tyłu. Judasz widzi, jak ona się uśmiecha i na jego ustach też wykwita uśmiech.

Wybuchła mała wojna.

- Co ty wyprawiasz?! - wrzeszczy Grubogoleń do Ann-Hari, ale pytanie to stało się bezprzedmiotowe. Tworzą się dwa obozy: prze-tworzeni i ich sympatycy oraz żandarmi i przeciwnicy tego historycznego radykalizmu. Judasz boi się tego, ale nie próbuje unieważnić narodzin tego agresywnego dziecka.

Prze-tworzeni atakują wieżę za pomocą broni palnej, prymitywnych bombard i swoich młotkowatych kończyn. Miotają kamiennymi płytami i szynami, wieża dzwoni od tych uderzeń. Mężczyzna koło Judasza, z wieńcem szczypiec kraba wokół podbródka, pada martwy od kuli żandarma. Judasz każe golemowi powoli okrążyć wieżę. Kule stopniowo rozrywają zbudowane z pyłu ciało.

Judasz nie słyszy wystrzału z działa. Przewrócony na bok wóz, który pełni funkcję barykady, w jednej chwili wybucha mieszaniną ognia, drewna, krwi i dymu. Judasz mruga i przygląda się pobojowisku. Ciemny stwór, który pełźnie w jego stronę, zostawiając za sobą lepki ślad niby ślimak, to kobieta ze skórą pokrytą czarnymi i czerwonymi plamami, atramentowymi bazgrołami na żywym ciele. Judasz jest zdziwiony, że kobieta, której płoną włosy, nie wydaje z siebie żadnego dźwięku, a potem zdaje sobie sprawę, że nic nie słyszy, bo huczy mu w uszach. Lufa działa wydmuchuje dym jak zrelaksowany palacz cygar.

Wieża obraca się. Zbuntowani prze-tworzeni, prostytutki i nieliczni wolni mężczyźni, którzy przystąpili do ich obozu, biorą nogi za pas.

Judasz wstaje. Powoli. Podchodzi do opancerzonego wagonu i ponownie wprawia w ruch golema. Działo obraca się ze źle naoliwionym brakiem precyzji. Golem przyciska swoje ciało do boku wagonu towarowego i z wielokrotnością ruchy Judasza, podciąga się na dach, zostawiając po sobie pas lepkiego kurzu.

Działo znowu strzela, prychając oleistym dymem. Grupka ludzi zakwita girlandą mięsa i pyłu. Golem wchodzi na wieżę, następując na wsporniki i rynny. Wykorzystuje lufy jako uchwyty i stopnie. Nie ma instynktu samozachowawczego, z każdym ruchem jest coraz mniejszy, bo odpadają od niego płaty ciała, ale dotarł już prawie na sam szczyt. Odrywają się kolejne kończyny i lecą w dół, tworząc nieforemne bryły kojarzące się z ekskrementami. Działo celuje w niego i Judasz każe golemowi wsunąć ramię do lufy.

Po chwili wylot lufy znajduje się przy barku golema. Spajana zakłębieniem materia zatkała rurę. Pada strzał i lufa rozchyła się jak kwiat, a golem staje się deszczem pyłu. Buchają płomienie i dym, wieża się chwieje, kopuła jest rozżarzona, a potem dach wagonu gwałtownie pęka, strzelając do góry metalowymi palcami i kaszląc kwaśnym obłokiem dymu. Martwy mężczyzna zostaje wypluty na ziemię. Trup działa kolebie się. Judasz jest opryskany strzepami golema. Buntownicy wiwatują. Judasz tego nie słyszy, ale widzi.

Rebelianci zdobywają pociąg. Żandarmi wyrzucają broń na zewnątrz i wychodzą z rękami w górze, zakrwawieni i z łzawiącymi oczami.

- Nie, nie, nie! - krzyczy Uzman.

Je węgiel i bicepsy mu pęcznieją. Z Grubogoleniem, Ann-Hari i innymi twarzami, które Judasz teraz już zna, Renegaci próbują interweniować, widząc, że pobicia mogą zamienić się w

zabójstwa. Odbierają mścicielom noże. Ludzie krzyczą, ale podporządkowują się ich woli. Żandarmi są zakuwani w kajdany tam, gdzie wcześniej więzono prze-tworzonych.

- Co dalej?

Judasz wszędzie słyszy to pytanie.

Pociąg należy do prze-tworzonych. Robią flagi swojej niespodziewanej nowej ojczyzny i powiewają nimi ze zniszczonej wieży. Tej nocy nikt nie śpi. Nadzorcy tunelarzy znikają na pustkowiu, idzie z nimi wielu wolnych mężczyzn i część prostytutek.

- Do jasnej cholery, wyślijcie wiadomość - nalega Grubogoleń. - Musimy nawiązać kontakt z metropolią.

Uzman kiwa głową. Wokół nich siedzą inni przywódcy spontanicznego buntu.

Argumentują niewyćwiczonym, emocjonalnym językiem. Podejmują decyzje.

- Nie do tyłu, nie wracamy, tylko idziemy dalej - komunikuje wszystkim Ann-Hari.

I pokazuje w stronę pustkowiecia.

Wybierają posłańców. Jeźdźców. Prze-tworzony z parowymi tłokami pełniącymi funkcję nóg, które umożliwiają mu wbieganie na strome skalne zbocza. Jego ludzki tors kolebie się w takich chwilach jak niechętny pasażer. Drugi mężczyzna jest połączony poniżej brzucha z wielką dwunożną jaszczurką z gatunku tych, które stepowi koczownicy osławiają i wykorzystują jako wierzchowce. Mężczyzna stoi na dwóch odchylonych do tyłu nogach, za którymi sterczy sztywny ogon. Od wielu miesięcy służył jako zwiadowca, ujeżdżany przez żandarma, który przykładał mu do pleców lufę rewolweru.

- Ruszajcie - mówi Uzman. - Trzymajcie się torów, ale tak, żeby nie było was widać. Jedźcie do osiedli, do obozów robotniczych, do Krzyżówki. I na kopulującego Jabbera, jedźcie do Nowego Crobuzon. Powiedzcie im. Powiedzcie nowym gildiom. Powiedzcie im, że potrzebujemy pomocy. Ściągnijcie ich tutaj. Jeśli nas poprą, odłożą dla nas narzędzia, to wygramy. Prze-tworzeni, wolni... przyprowadźcie wszystkich chętnych.

- Uzman - mówią i kiwają głowami, jakby jego imię było przytaknięciem.

Jeźdźcy znikają w kłębach kurzu, ten z parowymi tłokami błyskawicznie nabiera prędkości. Drugi mężczyzna, który porusza się gadzim tempem, cwałuje po poletkach wrzosów koło torowiska. Ptaki i inne latające stworzenia obserwują to wszystko z góry. Quasi-ptaki kreślą szarpane zawijasy jak ryby w morzu.

Prostytutki wpuszczają niektórych mężczyzn do świątyni miłości, ale pod pewnymi warunkami: bez broni, strażniczka w zasięgu słuchu. Po tym, jak Ann-Hari pocałowała Uzmana, część panienek obsłużyła prze-tworzonych.

- W Nowym Crobuzon to normalka - mówi Ann-Hari. - Wolni bzykają się z prze-tworzonymi. Jak myślisz, co się dzieje, kiedy ktoś zostaje wysłany do fabryki kar? Każdego takiego żona zostawia?

- Powinna. W przeciwnym razie skazałaby się na ostracyzm.

- Robią to w całym mieście, uprawiają transseks, khepri, ludzie, vodyanoi.

- Tak, ale dyskretnie - mówi Judasz. - A te kobiety robią to niemal publicznie.

Ann-Hari patrzy w niebo. Pozwala księżycowi, żeby się nad nią przesunął. Obserwuje jego ostatnie światło na szkielecie mostu.

- Gildie z miasta nie pomogą nam - mówi Ann-Hari. - To jest coś nowego.

Po dźwigarach w dole ślizga się światło pochodni. Budowniczości mostu wrócili do

pracy, bez nadzorców.

- Co im powiedziałaś? - pyta Judasz.

- Prawdę - odpowiada Ann-Hari. - Że muszą budować dalej. Że to jest prze-tworzenie.

O wschodzie słońca trzy dni później wraca parowy pająk. Uzupelnia wodę i dopiero wtedy zaczyna mówić.

- Jadą - komunikuje. - Żandarmi. Setki. Nowym pociągiem. Zmilitaryzowany pociąg pasażerski. Turystów i poszukiwaczy przygód, którzy chcieli zbadać wnętrze kontynentu, wysadzono.

Większość wolnych mężczyzn uciekła. Niektórzy są współobywatelami tego nowego miasta. Nie podoba im się, że prze-tworzeni nagle są traktowani równoprawnie, ale trzyma ich tutaj intrygujące pytanie: „Co będzie dalej?”. Należą do kolejowego sprzysiężenia. Niektórzy są równie zaangażowani jak prze-tworzeni, przyłączają się do grup sabotażystów, którzy zrywają położone już tory. Ci maszyniści, palacze i hamulcowi, którzy pozostali, uczą prze-tworzonych.

Wracają przez krainę, którą przekształcili. Od początku była niestabilna, miotana taumaturgicznymi falami. W niektórych miejscach skała, przez którą robili przekop, teraz jest plamistą skórą jaszczurki, brocząca mleczną krwią tam, gdzie przybito szyny. Tu i ówdzie ziemia przypomina okładkę książki, z której ran tryskają strzępki papieru. Sabotażyści demontują tory, aby utrudnić zadanie ekspedycji karnej.

Wektor budowy ulega odwróceniu. Wkładając w to zadanie całą swoją wiedzę fachową, wrywają kołki, układają szyny i podkłady w stosy, przerzucają podsypkę. Po zaoraniu torowiska wracają do wiecznego pociągu.

Ale zwiadowcy informują:

- Zburzyli barykadę. Przywieźli szyny i podkłady. Odbudowują tory. Za trzy dni żandarmi dotrą do obozu.

W tunelu palą się światła i słysząc, że ludzie tam pracują.

- Co zrobiłaś? - pyta Judasz.

- Kończymy tunel - wyjaśnia Ann-Hari. - I most. Jesteśmy już prawie gotowi.

Jej wpływy rosną. Ann-Hari jest zarazem czymś więcej i mniej niż przywódcą, myśli Judasz: jest węzłem pragnień, nadziei na zmianę.

W ciemnym, wilgotnym wnętrzu góry fedrowane są ostatnie metry skały. Judasz patrzy w dół na most. Najnowsze elementy są śmiechu warte: naprędcze sklecona metalowodrewniana kratka wypełnia luki w solidnej konstrukcji. Erzac, most prowizoryczny.

Ku własnemu zdziwieniu Judasz należy do wewnętrznego kręgu, który opracowuje strategię. Na wzgórzach spotykają się: Shaun, Uzman, Ann-Hari, Grubogoleń, Judasz, ale równolegle powstaje inna wspólnota, spontaniczna i solidarna.

Robotnicy spotykają się co wieczór w świetle latarń gazowych. W pierwszych dniach panowała towarzyska atmosfera - alkohol, kości i amory - ale teraz, kiedy żandarmi się zbliżają, a Uzman omawia strategię, spotkania zmieniają swój charakter. Kolejarze mówią do siebie „bracie”.

Ann-Hari przychodzi na spotkanie i przerywa chaotyczne wystąpienie jakiegoś mężczyzny. Klin kobiet wbija się między mężczyzn. Są tacy, którzy próbują zakrzywić Ann-Hari.

- Nie jesteś budowniczym tego odcinka, tylko zwykłą dziwką z gór - mówi ktoś. - To nie jest twoje zebranie, tylko nasze.

Ann-Hari odpowiada krótkimi, dosadnymi zdaniami. Judasz ma takie wrażenie, jakby to pociąg przemawiał. Ogień nie wygasa.

- Ja nie mam prawa mówić - peroruje Ann-Hari. - Skoro ja nie mam prawa mówić, to kto ma? Czy bez nas doszlibyście tak daleko? Czy ten odcinek nie został zbudowany na naszych plecach? Staliśmy się historią. Teraz nie ma już odwrotu. Wiecie, co musimy zrobić. Wiecie, dokąd prowadzi nasza droga.

Kiedy Ann-Hari kończy mówić, na moment zapada cisza, po czym ktoś proponuje pełnym szacunku tonem:

- Bracia, głosujmy.

Uzman tłumaczy im, że niezależnie od tego, jak to sobie interpretują, Ann-Hari mówi im, że mają uciekać. A to nie jest rozwiązanie. Boją się?

- To nie jest ucieczka - protestuje Ann-Hari. - Tutaj już skończyliśmy. Jesteśmy czymś nowym.

- To jest ucieczka - upiera się Uzman. - Utopia.

- To jest coś nowego. Jesteśmy czymś nowym.

Uzman kręci głową.

- To jest ucieczka - powtarza.

Demontują wieżę strzelniczą i wprowadzają pociąg do tunelu. Zrywają tory za ostatnim wagonem. We wnętrzu góry rozbrzmiewają wybuchy i huk oskardów. Trwa również budowa mostu. Prace toczą się w gorączkowym pośpiechu.

W przedpołudniowym upale słychać brzęk innych młotów, syk innej pary. Pociąg żandarmów. Nad zamordowanymi przez skwar drzewami unosi się dym.

Robotnicy gromadzą się w tunelu, w szczelinie wydłubanej powierzchni, szczegółowo uzgadniając plany. W miejscach, w których zbiegają się wektory kamieni, światło rzuca cienie.

Uzman, ludowy generał, wydaje rozkazy, które ludzie postanawiają wykonać. Licząca kilkaset głów armia prze-tworzonych i tych wolnych, którzy w końcu się zdecydowali: ci nieliczni skrybowie, naukowcy, biurokraci, którzy nie uciekli, niższego sortu geoempaci, i ci pozostali, szaleńcy i niewykwalifikowani, ciągnący za taborem, i prostytutki, od których zmęczenia to wszystko się zaczęło. Maszerują w objęcia nocy gotowi do walki. Pociąg pozostaje schowany w tunelu.

W chłodzie przedświtę żandarmi wyłaniają się zza górskich grani i zza zakrętu. Przybywają pieszo, w opancerzonych wozach ciągniętych przez prze-tworzone konie i jednoosobowymi aerostatami - w górze balon, na plecach śmigło. Ci ostatni zrzucają granaty na kryjówki torowych.

Zaskoczenie jest stuprocentowe. Ludzie wrzeszczą. Nie mogą uwierzyć, że tak to się zaczyna. Są ogłuszeni i zakrwawieni. Kaskada brył gliny i buchający sadzą ogień.

Kto ma broń palną, ten strzela. Jeden czy dwóch żandarmów obrywa, a ich krew kapie z nieba. Wycofują swoje powietrzne pojazdy poza zasięg ognia albo zwisają bezwładnie w uprzęży, spadając albo lecąc dalej. Ciągłe ich jednak przybywa. Ich miotacze ognia przypiekają powietrze.

- Zlikwidować ich! - rozkazuje Uzman. Jego podkomendni staczają w dół kłody i głązy. Żandarmi przegrupowują się i odpowiadają ogniem z korbowych kusz. Taumaturgowie z obu stron wprawiają powietrze w oscylacje. Wyczarowują tumany szarości, które plamią rzeczywistość, wysyłają strzały energii, które pryskają jak woda w rozgrzanym tłuszczu i robią dziwne rzeczy z trafionymi ofiarami. W chaosie walki jedno jest stałe: dźwiękowe tło wystrzałów i wrzasków. Żandarmi padają, ale strajkujący też, tylko znacznie liczniej. Zdarzają się lepsze momenty. Grupa ludzi-kaktusów rusza do boju i tylko się krzywią, kiedy kule rozrywają im skórę. Przerażeni żandarmi uciekają przed tym roślinnym zagrożeniem. Chociaż funkcjonariusze nie mają kuszarpaczy, zabrali ze sobą substancje żrące, które trawią skórę kaktusów. - Jesteśmy niewyszkolonym pospolitym ruszeniem - lamentuje Uzman.

Ann-Hari milczy. Jej spojrzenie wędruje za żandarmów, za słup dymu ich pociągu.

Judasz zrobił golema i wypuścił w stronę żandarmów. Golem jest wytworem kolei, składa się z drezyn, kawałków szyn i podkładów. Jego ręce są kołami zębatymi. Funkcję zębów pełni krata. W oczodołach błyska coś szklanego.

Golem wychodzi z tunelu. Jest niepodatny na rany. Stawia stopy z ostrożnością człowieka.

Po jego wyjściu z tunelu wrzawa bitewna jakby przycicha. W brzydkiej, nieudolnej walce następuje przerwa. Golem mija trupy. Można odnieść wrażenie, że tylko on się porusza.

A potem staje. Judasz jest w szoku, bo nie wydał takiego rozkazu. Przyjeżdża nowy wóz, ze starszym mężczyzną i jego ochroną. Starzec pozdrawia ich przyjaźnie. Weather Wrightby.

Jeden z mężczyzn obok magnata kolejowego jest obwieszony amuletami. Taumaturg. Wpatruje się w golema i porusza rękami.

„To ty go zatrzymałeś?” - Judasz nie może tego wypowiedzieć.

Weather Wrightby stoi pośród walczących. Oczywiście trzeba go opancerzyć zakłęciami przeciwkulowymi, ale przedstawia sobą imponujący widok. Golem stoi kilkanaście metrów od niego jak przy pojedynku rewolwerowców. Weather Wrightby mówi również do niego, jakby widział w nim personifikację kolei.

- Ludzie, ludzie! - woła. Przeciąga poziomo dłonią. Żandarmi powoli opuszczają broń. - Co wy wyprawiacie? Znamy okoliczności, które doprowadziły do obecnej sytuacji. Te animozje są zupełnie niepotrzebne. Kto wydał rozkaz strzelania do tych ludzi? Kto wydał rozkaz? Musimy załatwić tę sprawę. Mówią mi, że chodzi o pieniądze. I o surowość nadzorców. - Zdejmuje z wozu worek. - Pieniądze. Mamy wypłaty dla wszystkich wolnych, nieprze-tworzonych robotników, którzy zostali. Najwyższy czas, żebyście otrzymali wynagrodzenie. Musieliście czekać o wiele za długo i przepraszam was za to. Nie mam kontroli nad przepływem gotówki, ale zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, abyście dostali to, co wam się należy.

Judasz nic nie mówi. Każe golemowi poruszyć głowę. Taka mała demonstracja.

- A wy, prze-tworzeni... - Weather Wrightby uśmiecha się smutno. - Sam nie wiem. Jesteście zakontraktowani. To nie ja ustanawiam przepisy. Macie długi wobec fabryk, które was przerobiły. Wasze życie nie jest waszą własnością. Wasze pieniądze... nie macie pieniędzy. Ale chcę was zapewnić, że nie myślę o was źle i nie mam do was pretensji. Uważam was za rozsądnych ludzi. Dogadamy się. Nie mogę wam zapłacić, bo prawo mi na to nie pozwala, ale

mogę odłożyć pieniądze. MKK dba o swoich pracowników. Nie pozwolę na to, aby moi dzielni prze-tworzeni robotnicy byli traktowani z niepotrzebną brutalnością przez nieodpowiedzialnych nadzorców. Obwiniam się za tę sytuację; Słuchałem nie dość uważnie i przepraszam was za to. Wprowadzimy niezbędne mechanizmy. Będzie rzecznik praw prze-tworzonego uprawniony do ukarania nadzorca niegodnego swojej odznaki. Załatwimy tę sprawę, rozumiecie? Odłożę pieniądze, które byście zarabiali, gdybyście byli wolnymi ludźmi, i będzie dla was miejsce, kiedy budowa zostanie ukończona. Schronisko. W mieście, jeśli się zgodzą, albo w tej wielkiej krainie blisko waszej linii kolejowej, jeśli Nowe Crobuzon okaże się tępe jak but i nie zrozumie, czego wymaga nowa rzeczywistość. Nie pozwolę, żebyście zaharowywali się na śmierć. Będzie dla was chata, łazienki i dobre jedzenie, będziecie mogli tam w spokoju dożyć swoich dni. Myślicie, że jestem kłamcą? Myślicie, że was oszukuję? Skończmy już z tym, tu i teraz. Budowa stanęła. Chcecie sabotować prace? Ludzie, ludzie... Nie jesteście bluźniercami, nigdy w to nie uwierzę, ale chociaż rozumiem wasze pobudki, dopuszczacie się świętokradztwa. Nie mam do was pretensji, ale wstrzymujecie coś, na co świat sobie zasłużył. Jeszcze raz mówię: skończmy z tym.

Judasz nie rusza się z miejsca. Każe golemowi, żeby swoim szarpanym, kolejowym krokiem podszedł bliżej do Weathera Wrightby'ego.

- Nie dajcie zrobić z siebie idiotów! - ostrzega głos Uzmana z jego kryjówki. - Jesteście słabi na umyśle? Myślicie, że Wrightby'ego obchodzi, co z wami będzie?!

Zagłuszają go jednak inne okrzyki. I odgłosy strzałów.

- Nie mamy szans na zwycięstwo - mówi Judasz, chociaż nikt go nie słucha.

Judasz staje na kamieniu i zmusza swojego torowego golema do biegu.

Golem porusza się jak człowiek na parę. Ze zgrzytem udowych kół zębatych pędzi pośród gradu kul, zostawiając wielkie odciski stóp. Biegnie, skacze, pada całym swoim drewnianometalowym ciężarem, łamiąc żandarmom kości. Judasz nie widzi Weathera Wrightby'ego, ale patrząc, jak golem ruchami pływaka miażdży wrogów, wie, że Wrightby żyje.

- Wycofać się, wycofać się! - woła Grubogoleń, Shaun czy jakiś inny samozwańczy generał.

Ale gdzie mają się cofnąć? Nie ma miejsca, w którym można by się schronić.

Ostrzeliwani salwami czarnego prochu żandarmi rozpraszają się, ale ich broń jest znacznie potężniejsza, nie da się ich zatrzymać. Sytuacja jest rozpaczliwa, chwilowy pat. Żandarmi tworzą formacje do walki pustynnej, a prze-tworzeni przeskakują na przeciwną stronę wzgórz, chowając się za kolejnymi skałami, biegną raz grupą, raz w rozsypce.

Ale zza zakrętu dochodzi jakiś hałas. Zagadkowego pochodzenia.

- Co... co do... co jest...? - pyta Judasz.

Ludzie z MKK wycofują się ze swojego pociągu i słyszą odgłosy innej bitwy.

Z kierunku, z którego przybyli, z historii torowiska, dobiegają hałasy, jakich Judasz nigdy wcześniej nie słyszał. Coś zbliża się z rytmicznym bębnieniem. Kawaleria striderów. Borinatch. Zbliżają się w tempie, które zdumiewa i przeraża, niesieni nogami dłuższymi od najwyższego człowieka - sztywne, spazmatyczny i kołyszący ruch akrobata na szczudłach.

Kołyszą się z nieczłowieczą gracją, ich twarze są maskami, coś pomiędzy pawianami i drewnianymi płaskorzeźbami, jakby owadzie i niesamowite. Docierają do żandarmów, nad którymi górują, wirują i wsuwają swoje sztywne nogi między szprychy, chwieją się, ale nie przewracają, kiedy pojazdy zataczają się i zderzają ze sobą. Borinatch sięgają w dół, ich ramiona

i dłonie funkcjonują w niewidocznej dla Judasza przestrzeni wektorowej.

Przebijają się przez wymiary, ich kończyny przeskakują przez dziury w przestrzeni i chwytają żandarmów albo przebijają im skórę. Striderzy atakują za pomocą broni istniejącej w nierealnych wymiarach, widocznej tylko momentami jako fioletowe kwiaty albo płynne srebrne twarze. Tam, gdzie trafiają, żandarmi są pocięci, zgruchotani albo na różne skomplikowane sposoby pomniejszeni, wrzeszczą bezgłośnie i potykają się na nierównościach, które normalnie nie byłyby dla nich żadną przeszkodą.

Striderów są dziesiątki, oddział bojowy. Pośród nich znajduje się prze-tworzony zwiadowca z jaszczurczym podwoziem, wysłany do Nowego Crobuzon.

Żandarmi wycofują się, zabijani i ranieni widmowymi maczugami striderów. Judasz nigdzie nie widzi Weathera Wrightby'ego. Prze-tworzony zwiadowca porusza się marszowym krokiem stepowej jaszczurki. Striderzy poklepują go i mówią coś swoimi nieruchomymi ustami, a on śmieje się, też ich klepie i woła:

- Ann-Hari, udało mi się! Przyszli ze mną. Było tak, jak mówiłaś. Znalazłem ich.

Kiedy ona zdążyła to wszystko zorganizować? Judasz nie umie sobie tego wyobrazić. Kiedy poszła do potencjalnych zwiadowców, kiedy wymyśliła alternatywny plan, kiedy nabrała przekonania, że żandarmi zaatakują, że poślą po posiłki? Skąd wiedziała, dokąd go skierować?

Jaszczurczy zwiadowca nie wykonał powierzonej mu oficjalnie misji, lecz udał się w delegację zleconą mu przez Ann-Hari. Uratował pociąg.

- Widzicie? Widzicie? - Ann-Hari jest zachwycona. - Wiedziałam, że striderzy nienawidzą kolei, nienawidzą MKK.

- Powiedziałem im to, co mi kazałaś - mówi człowiek-jaszczurka. - Powiedziałem im, co robi MKK, poprosiłem o pomoc.

- Postąpiłaś niezgodnie z ustaleniami rady - mówi Uzman.

Ann-Hari wytrzymuje jego spojrzenie i czeka, aż cisza stanie się krępująca. Potem swoją gwarowo akcentowaną ragamollszczyzną mówi:

- Ruszamy.

- Postąpiłaś niezgodnie z ustaleniami rady.

- I uratowałam nas.

Ludzie się gromadzą.

- Nie jesteś tutaj królową.

Ann-Hari wbija w niego wzrok. Jej mina mówi: „Aż taki z ciebie kretyn?“, ale z jej ust padają inne słowa:

- Ruszamy. Natychmiast.

- Postąpiłaś niezgodnie z ustaleniami rady - powtarza Uzman jak nakręcony.

Judasz wtrąca się do rozmowy. Brzmienie jego głosu szokuje go. Wszyscy patrzą na niego. Za jego plecami awanturuje się amorficzny golem, wierzgając niedokończonymi stopami.

- Uzman - mówi Judasz. - Masz rację, ale posłuchaj.

- Bez rady czym my jesteśmy? - pyta Uzman.

Judasz kiwa głową.

- Czym bez niej jesteśmy? Wiem, wiem. Ann-Hari nie powinna działać na własną rękę. Ale Uzman, widziałeś, co się stało. Oni nie chcieli negocjować. Oni chcieli nas zniszczyć, Uzman. Co, według ciebie, należało zrobić?

- Potrzebowaliśmy wsparcia - mówi Uzman. - Potrzebowaliśmy gildii z miasta. Gdybyśmy ich zawiadomili...

- Teraz jest już za późno - Judasz przerywa mu. - Nie dowiemy się, czy by nam pomogli. Musimy stąd zniknąć. Nie pokonamy ich.

- Chcesz, żebyśmy zostali liberosynkretami? - pyta Uzman napastliwym tonem. - Jestem insurekcjonistą, do cholery, a ty chcesz, żebym uciekał jak bandyta? - wścieka się. Nadal słychać odgłosy wystrzałów.- Chcesz, żebyśmy spieprzali w góry, jakbyśmy się bali? Pieprzę cię, i ciebie też, Ann-Hari... Wszystko, co mamy...

- Nic nie mamy - oponuje Judasz.

- Z tego, co mamy... - mówi Ann-Hari. Mierzą się wzrokiem. - ...nie rezygnujemy. - Nogi golema drżą. - Cała nasza krew i mięśnie. Wszyscy polegli. Każde uderzenie młota. Każdy zjedzony przez nas kęs. Każda kula z każdej strzelby. Każda chłosta. Morze wylanego przez nas potu. Każdy kawałek węgla w piecach prze-tworzonych, każda kropla spermy między moimi nogami i nogami moich sióstr... to wszystko jest w pociągu. - Pokazuje na tunel, w którym wciąż toczy się praca. - To wszystko tam jest. Tworzymy historię. Wykuwaliśmy historię z żelaza, a pociąg wysrywał ją za sobą. Teraz to zaoraliliśmy. Będziemy ciągnąć dalej i zabierzemy naszą historię ze sobą. Prze-tworzenie. To jest całe nasze bogactwo, to jest wszystko, co mamy. Zabierzemy to ze sobą.

Strajkujący z Żelaznej Rady opowiadają się po jej stronie. Nawet Uzman nie ma innego wyjścia.

Machając wielopłaszczyznowymi dłońmi, striderzy odchodzą.

- Dziękujemy, dziękujemy! - woła Judasz.

W brzuchu góry pociąg przebija ostatnią membranę kamienia. Tunel, w którym panowały stygijskie ciemności, zalewa światło.

Pociąg wtacza się na szkieletowaty most, który tak szybko dokończono. Lokomotywa wibruje i przechyla się. Most zaczyna dygotać. Pociąg zatacza się jak pijany. Judasz wstrzymuje oddech.

Pociąg stabilizuje się, jedzie dalej po tej łamliwej płataninie dźwigarów. Bucha dymem nad przerażająco głęboką doliną, sunie po prowizorycznym moście, który nareszcie nieruchomieje. Pociąg jest po drugiej stronie.

Buntownicy maszerują po kruchej konstrukcji, dzieci płaczą na rękach matek. Przy każdym podmuchu wiatru stają w miejscu, ale wszyscy przechodzą na drugą stronę, nikt nie spada w przepaść.

Są ludzie-kaktusy, wolni ludzie, parę kheprich z głowoskarabeuszami, ponadto ci, którzy ciągną za taborem, wagabundzi, stado wyrmenów wpatrujących się w to wszystko z psim entuzjazmem, a także rzadsze rasy, wykorzenione llogissy, niemi hotchi i setki prze-tworzonych we wszelkich wyobraźalnych i niewyobraźalnych postaciach. Są palacze, maszyniści, hamulcowi, skrybowie, paru nadzorców, którzy zdążyli przejść do obozu przeciwnika, myśliwi, budowniczości, zwiadowcy, naukowcy, którzy nie chcieli opuścić laboratorium, prostytutki,

kopacze tuneli, plebejscy magicy, odczytywacze prawdy i niskiej rangi taumaturgowie, bezrobotni koczownicy, którzy przedzierzgnęli się w kolejowych szabrowników, i cała masa układaczy torów.

Ich różnorodność i ich historie są organicznie wrośnięte w pociąg. Wszyscy tworzą ruchome miasto. Nadeszła ich wielka chwila. Mają kontrolę nad tym tworem z żelaza i oleju. Żelazna Rada. Rozpoczyna się podróż Rady.

Ten sam ruch doprowadził ich do obecnego punktu. Wózki z szynami i podkładami zrzucają swój ładunek, brygady robotnicze przenoszą, rozstawiają i przybijają szyny w precyzyjnym rytmie, raz, dwa, trzy, w dół. Z przodu pracują ekipy niwelatorów, ale na tym płaskim terenie jest niewiele nierówności do pokonania, niewiele przyrodniczych śmieci do uprzątnięcia.

Ruch niby ten sam, ale absolutnie nowy. Pośpiech jest upajający. Tempo rośnie do kwadratu. Podkłady są rzucane w znacznie większych odstępach, akurat wystarczających, żeby szyny się nie ugięły pod pociągiem. Te szyny nie mają być trwałe. Torowisko, które budują, jest tylko szkicem, przelotnym cieniem na krajobrazie. Pociąg pełźnie jak niemowlę.

Jak tylko szyny wyłaniają się za pociągiem, robotnicy zrywają je, wkładają na wózki i transportują przed lokomotywę, gdzie połyskują w świetle jej reflektorów. I znowu są zrucane i układane przez torowych.

Wiele kilometrów torów, cyklicznie wykorzystywanych, przyszłość i teraźniejszość pociągu. Za każdym razem, kiedy szyny przechodzą do historii, tracą trochę połysku, aby znowu stać się przeszłością. Pociąg wiezie ze sobą własną drogę, układa ją i zrywa. Nie ma już linii wyrytej w czasie, jest linia efemeryczna, pojawiająca się cyklicznie pod pociągiem, zostawiająca odcisk w ziemi.

Osiągane przez nich tempo przyćmiewa wszystkie dotychczasowe rekordy. Wcześniej robili półtora kilometra dziennie, teraz poruszają się wielokrotnie szybciej. Odsunięta wcześniej od budowy torów prze-tworzona olbrzymka, której technika jednego uderzenia młotem budziła strach, teraz znowu przy nich pracuje. Szyny wędrują w tym zamkniętym obiegu. Błyszczą około stu metrów przed i za pociągiem.

- Idą żandarmi.

Judasz wraca pod tunel z ekipą demontażową.

- Chcę to zrobić za pomocą golema - mówi. Dotyka prowizorycznego mostu, przesyła za pośrednictwem metalu swoją moc, nadaje konstrukcji quasi-życie. Nikt go nie słucha. - Chcę zrobić z torów golema. Szyny posłużą za przewodnik.

Słyszy trzask wzbudzonego metalu, który próbuje się rozciągnąć i przybrać kształt gigantycznego człowieka. Przechodzi go dreszcz. Jego moc nie wystarcza. Koledzy Judasza przekraczają chwiejny most i wchodzi do ciemnej dziury. Przygotowują nie golema, tylko interwencję.

Judasz wraca do pociągu, który sunie po równinie w stronę Cobsea. Zakręca. Jakiś komitet ludowy, grupa wydelegowanych albo umiejętnie rozpychających się łokciami ludzi, siedzi na dachu lokomotywy i dyryguje torowymi. Odbijają od niewidocznej linii, na której końcu czeka to mityczne miasto. Wieczny pociąg zatacza łuk. Judasz pomaga robotnikom zerwać szyny i przetransportować je do przodu. Tory skręcają.

Wieczny pociąg odbija na zachodnio-północny zachód. Nowy kurs prowadzi na pustkowie, ku białej plamie na ich mapach. Pociąg dziczeje. Judasz traci oddech.

(Znacznie później słyszy trzask i huk eksplozji. Oczyma duszy widzi, jak naprędcie sklecony most zapada się i staje bezładną stertą wykałaczek. Oczyma duszy widzi, jak pociąg żandarmów zgina się w pół i całuje własny ogon, razem z ludźmi i amunicją, spadając na dno

przepaści. Myśli o planie Oil Billa i o rumowisku w korycie wyschniętej rzeki. Pociąg i szkielet mostu wrosną w naturę, staną się drewnianymi i metalowymi skamielinami).

Wieczny pociąg usamodzielniał się. Żelazna Rada staje się renegatem.

W wiosenną melodię wsączają się dźwięki lata. Wokół wiecznego pociągu bzyczą owady, jakich Judasz nigdy wcześniej nie widział, niektóre wyglądają jak złożone papierowe lampiony, niektóre jak maleńcy mnisi w kapturach. Ich hemolimfa jest krwistoczerwona.

Judasz transportuje szyny, likwidując przeszłość. Nawet i tych ciągnących za taborem nagle wypełnia poczucie misji. Chwytają za grace i wzruszają ziemię w miejscu, gdzie biegły tory.

Ale ten kamuflaż nie jest skuteczny. Pociąg zostawia nieusuwalny ślad. Upłynie wiele lat działania mrozu, deszczu i wiatru, królików i lisów przecinających trop pociągu własnymi ścieżkami, zanim zniknie blizna po przejeździe wiecznego pociągu.

Tak wiele trzeba zrobić. Nie jest łatwo uciekać.

Dni liczone w kilometrach. Ostre zakręty wielokrotnie wykorzystywanych szyn, omijanie naturalnych przeszkód - stawów, skalnych narośli. Brygady niwelatorów zasypują otwory odpływowe gruzem. Za pociągiem ciągnie się pas kurzu. Pociąg staje w rzadkim lesie, który czekał na to, że kolej go wypełni, i zbiera się żelazna rada.

- Musimy działać bardziej planowo. Potrzebujemy zwiadowców, myśliwych, potrzebujemy wody. Musimy wyznaczyć trasę.

- Ale dokąd?

- Bracia, bracia...

- Nie jestem twoim bratem! - woła jakaś kobieta.

- Dobra, do cholery, to niech będzie siostry... - Wszyscy się śmieją. - Siostry, siostry...

- Oni nie dadzą za wygraną - głos zabrał Uzman. Wszyscy milkną. - To nie jest żart. Nie jesteśmy bezpieczni. Bracia, siostry... Zadarliśmy z Weatherem Wrightbym. On nam tego nie zapomni. Będą nas ścigali.

Z jego rur leci para. „Nie chciałeś tej ucieczki” - myśli Judasz. „Inaczej to sobie wyobrażałeś. Chciałeś, żebyśmy wytrzymali. Twoje piękne, rozszalałe marzenia polegały na tym, żebyśmy nawiązali kontakt z gildiami w naiwnej nadziei, że przylecą nam pomóc. Teraz szukasz najlepszego wyjścia z sytuacji, której sobie nie życzyłeś”.

Uzman jest dobrym człowiekiem.

- Nie chodzi tylko o żandarmów. MKK wyznaczy nagrodę za nasze głowy. Ukradliśmy im pociąg. Ukradliśmy im kolej. Myślicie, że puszcza to płazem? Wszyscy łowcy nagród z Rohagi wyruszą naszym tropem. Dalijabber! Myślicie, że miasto nam odpuści? - Nie licząc uderzeń insektów o szkło lampy, panuje absolutna cisza. - Kolej była również projektem Nowego Crobuzon, a myśmy ją zabrali. Myślicie, że pozwolą żeby prze-tworzeni zrzucili kajdany i założyli swoje miasto gdzieś na pustkowiu? Milicja też nas ściga. Milicja. Statkami powietrznymi. Droga naziemną. Myślicie, że pozwolą nam zapuścić korzenie i zbudować jakąś prze-tworzoną arkadię? Sprowadzą pociąg z powrotem do miasta udekorowany naszymi głowami. Nie możemy znaleźć sobie jakiejś dolinki dziesięć, pięćdziesiąt czy sto pięćdziesiąt kilometrów stąd. Jeśli chcemy przeżyć, musimy uciekać daleko. Bardzo daleko. Niech ktoś przyniesie mi mapę. Czy zdajecie sobie sprawę, co zrobiliśmy? Czym teraz jesteśmy? Niedyscyplinowana horda prze-tworzonych. Miasto prze-tworzonych oraz ich przyjaciół, z

obcych ras i wolnych. Złodzieje, mordercy, gwałciciele, włóczędzy, hochsztaplerzy, kłamcy. Wyglądacie jak wyrzeźbieni - mówi Uzman i w jego głosie pojawia się zadziwienie. - Kawalki drewna wielkości człowieka, wyrzeźbane przez bogów.

Robią wielkie oczy w cieniu pociągu, który ukradli.

Po zaledwie trzech dniach od zmiany kierunku Żelazna Rada opuszcza obszary oznaczone na mapach. To są Middling Sweeps. Pustkowiec Rohagi.

Inteligentniejsze wyrmeny są wysyłane nad nieznane dzikie tereny, które w tych przyzwyczajonych do miejskiego życia istotach budzą strach. Ich zadaniem jest odnalezienie myśliwych oraz nosiwodów, którzy poszukują źródeł. A także zwiadowców, którzy po powrocie do tunelu zobaczą tylko rozkładający się i spalony słońcem zezwłok pociągu żandarmów. Wyrmeny mają za zadanie pozbierać rozproszonych członków Żelaznej Rady.

Ich przedsięwzięcie jest coraz lepiej zorganizowane. Znajdują źródła i wagon-cysterna jest cały czas pełny. Tam, gdzie przecieka, uszczelnia się go. Wieżę strzelniczą pospawali i poprzekuwali, z grubsza przywracając jej dawny kształt. Prze-tworzeni przechodzą ekspresowe szkolenie u tych naukowców, którzy pozostali. Uczą się rysować mapy.

- Dokąd pojedziemy?

Wieczorami renegaci grają na bandzo i fletach, rozbrzmiewa dzwon sygnałowy, kocioł pełni funkcję bębna. Kobiety i mężczyźni znowu ze sobą sypiają. W niektóre łańcoły Judasz idzie nocą na milczące spotkania tylko dla mężczyzn, żeby sobie ulżyć, choć pewnej nocy Ann-Hari i on bzykają się i pieścą ze szczerym, intymnym uczuciem.

Coraz dziwniejsza okolica budzi u Judasza zachwyty. W szóstym dniu istnienia Żelaznej Rady, kiedy kolejny półtorakilometrowy odcinek torów połyskuje własnym ogonem i przemieszcza się, kiedy pociąg sunie przez oniryczny krajobraz sinich sukulentów i wali w nie jak obuchem, pojawia się oddział złożony z żandarmów i łowców głów.

Na swoją zgubę nie docenili siły Żelaznej Rady. Jest ich nie więcej niż trzydziestu, ludzi i tych z obcych ras, w popękanej skórze wybitej ćwiekami - ubranie pełni funkcję broni. Pod sztandarami MKK wyłaniają się z zarośli w kolorze żył, płosząc stworzenia, które wyglądają jak czmychające grzyby.

Oddają salwę z broni palnej i wołają przez megafon:

- W imieniu prawa poddajcie się!

Naprawdę myślą, że Żelazna Rada da się w ten sposób zastraszyć? Judasz nie może wyjść z podziwu dla ich głupoty. Dwunastu z nich szybko pada od kul, reszta próbuje uciec.

- Za nimi! - krzyczy Ann-Hari. - Nie pozwólcie im uciec! Wiedzą, gdzie jesteśmy!

Najszybsi prze-tworzeni puszczają się w pogoń, ale udaje im się zlikwidować tylko kolejnych sześciu. Reszta zbiegła.

- Wiedzą, gdzie jesteśmy - mówi Uzman. Od tunelu oddalili się na mniej niż sto pięćdziesiąt kilometrów. - Nie dadzą nam spokoju.

Zastawiają pułapki. Beczki czarnego prochu podłączone do skomplikowanych systemów baterii i zapalników. Puszczają pociąg między skalnymi nawisami, po czym geotaumaturologowie i botanomanci wykuwają w mineralnych ścianach diablifę, tworząc takie obwody, aby ciężar wozu uruchomił pożądany proces: skała przejdzie w stan płynny, zaleje awangardę żandarmów czy milicjantów zimną magmą i na powrót się stwardnieje. Taki jest plan.

Judasz konstruuje pułapki golemowe. Baterie, somaturgiczne turbiny jego projektu, które

sprawią, że zwalone drzewo, kupa kości, ziemia albo pęknięte podkłady kolejowe wstaną i będą walczyły dla Żelaznej Rady.

Wieczorem Judasz patroluje pociąg z Uzmanem i Ann-Hari, którzy, choć podchodzą do siebie z dystansem, wiedzą, że potrzebują się nawzajem. Strateg i wizjonerka. Wieczny pociąg nie zatrzymuje się w nocy. Dysponuje szeroką paletą talentów. Prze-tworzeni naprawiają skałkówki, które nadają się do naprawy, i budują nową broń. Przetapiają w dymarkach starsze szyny na klingi i pancerze. Robią ze swojego miasta na kołach maszynę wojenną.

- Niedługo będziemy się nim cieszyli - wieszczy Uzman. - Przyjdzie czas, że będziemy musieli porzucić pociąg i uciekać pieszo.

- Niemożliwe - sprzeciwia się Ann-Hari. - Bez niego nie mamy nic.

Grupa bojowników Żelaznej Rady, Radnych, pochyla się w wagonie biurowym nad niedokładnymi mapami - szkicowymi zlepkami mitów. Biurka z ciemnodrzewu i intarsjowane ściany od pierwszych dni pokrywają się snycerskim graffiti - pijani wolnością buntownicy uprawiają *art sauvage*.

- Co to jest? - pyta Uzman, wskazując miejsce na mapie.

- Mokradła.

Palec wędruje dalej.

- Niezbadane.

- Solne jezioro.

- Piargi.

- Niezbadane.

- Złoża smoły.

- Niezbadane.

- Dymokamień. Wąwozy dymokamienia.

Uzman ssie palce. Wygląda przez okno. Radni transportują szyny z końca pociągu na początek.

- Czy mamy jakichś meteomantów?

- Jest jedna dziewczyna, Toma. - Ktoś kręci głową. - Umie wyczarować gwizdnięciem wiatr, który wysuszy jej sukienkę, takie salonowe zaklęcie...

- Potrzeba nam kogoś, kto potrafi wywołać huragan...

- Nie - głos zabiera jeden z naukowców, młody człowiek, który zapuścił brodę i przywdział zapoconą, robociarską kapotę. Kręci z powątpiewaniem głową. - Wiem, co kombinujesz. Chcesz się przedrzeć przez dymokamień? Nie. Przecież widziałeś, jak skończył Malke, gdy złapał go wyziew. Ledwo uszedł z życiem.

- Na pewno są jakieś zapowiedzi erupcji.

Młody człowiek wzrusza ramionami.

- Ciśnienie. Pęknięcie ziemi. Podobne symptomy jak przy gejzerach. Przyjrzeliliśmy się dokładnie, jak nas uwięziło. Omeny są zbyt liczne i zbyt nieokreślone.

- Nie uwierzę, że nie da się przewidzieć...

- Tak, ale pomyśl logicznie. Te mapy opierają się na domysłach, są w najlepszym razie przybliżeniem rzeczywistości. Znajdujemy się na Middling Sweeps. I o jednej rzeczy wiemy na pewno, że tu jest. - Przebiega palcem w górę mapy. - Widzisz? Co to jest? - Obszar oznaczony czerwoną szachownicą. Trzysta kilometrów od ich obecnej pozycji, mniej niż miesiąc przy tym obłąkanym tempie. Graniczy z dymokamieniem, a w każdym razie z regionem, na którym, według dawnych kartografów, występuje dymokamień. - Wiesz, co to jest?

Cóż za pytanie. Uzman wie, każdy wie. Cacotopic Stain... kakotopiczna plama na kontynencie.

- Wykluczone, Uzman. Nie zabierzesz nas tam.
- To nie ja decyduję, tylko Rada. Ja wam tylko wskazuję jedyną możliwą drogę. Wy zdecydujecie, czy tego chcecie. Jeśli nie, to zostaniemy tutaj i będziemy walczyli. I wszyscy zginiemy.

- Ale to jest Cacotopic Stain.
- Pojedziemy tylko obrzeżem.

Uzman wstaje. Wygląda jak wykąpany w połysku. Poci się od gorąca swoich rur. Je węgiel i ma czarne usta.

- Nie pojedziemy przez Cacotopic Stain. Musimy przeciąć równiny dymokamienia.
- Jeśli tam są.
- Jeśli tam są. Musimy przeciąć równiny dymokamienia, a dalej leżą peryferia kakotopii. Tam nie będą nas już ścigali, nawet jeśli uda im się przebić przez dymokamień.

- A dlaczego nie będą, Uzman? Bo nie są samobójcami.
- Nie mamy wyboru. To znaczy nie całkiem. Możemy porzucić pociąg i uciekać. Zostać liberosynkretami. Albo zachować to wszystko. Cały nasz pot. Całą pokonaną drogę. Ale jeśli zdecydujemy się na to drugie, musimy stąd zwiewać jak najdalej. Na zachód. A co jest na zachód stąd? - Stuka w nawoskowaną mapę. - Strefa kakotopiczna. Tylko obrzeża. - Jego głos brzmi prawie prosząco. - Ludzie już się tam zapuszczali. Przeżyjemy. Musimy to zrobić - mówi błagalnie. - Tylko obrzeża.

Otworzyło się pół tysiąclecia wcześniej, pęknięcie, przez które wylały się potężne masy nieposkramialnej rakotwórczej mocy, Momentu. Istna Kraina Tysiąca Pląg przekraczająca wszelkie zrozumienie. Gdzie ludzie mogą się stać szczurowatymi stworami ze szkła, a szczury diabelskimi potentatami, gdzie nienaturalne dźwięki, jaguary i drzewa mogą się stać chwilami, które nie miały prawa się wydarzyć, mogą się stać sprzecznymi z naturą kątami. Gdzie rodzą się potwory i przyciągają zewsząd swoich pobratymców. Gdzie ziemia, powietrze i czas są chore.

- O czym my w ogóle mówimy? - pyta ktoś. - Nie mamy meteoromantów i nie mamy nikogo, kto potrafi zaklinać duchy powietrza, a bez osoby, która umie zapanować nad wiatrami, nie przebijemy się przez dymokamień.

Judasz opiera się o stół. Grzywka tańczy mu przed oczami. Przygląda się zaznaczonemu atramentem krajobrazowi.

- No tak... - mówi. - No więc...

Somaturgia, golemometria jest interwencją. Tworzenie sług z materii nieożywionej wiąże się z perswazją, namawianiem. Strategia dawania życia.

„Mogę zrobić golema z powietrza” - myśli Judasz. „Bryłę powietrza w powietrzu. Kazać jej, żeby nam towarzyszyła. Powietrze poruszające się w powietrzu”. Będzie to go kosztowało

sporo sił, ale wie, że może im umożliwić przejście przez dym.
Judasz wie, że pójdą.

Idzie z Uzmanem, a golem razem z nimi. Chlupocząca roślinna breja. Tworzą osobliwą trojkę: prze-tworzony buchający parą z rur, które przez niego przechodzą, wysoki i kościsty Judasz z brodą, która wygląda jak futro z brudu, i golem kroczący na swoich bezkształtnych stopach. Pociąg sunie naprzód drobnymi ruchami.

Światło księżycy przybrało kolor płynnego wysięku, jakby noc miała ranę, która nie chce się zagoić. Za plecami Judasz widzi pociąg, który pierdzi dymem i pobrzękuje niby jakaś lumpiarska orkiestra bębnowo-dzwonkowa. Niecały kilometr z przodu prze-tworzeni układają tory, a przed nimi pracują brygady, które przygotowują trasę. Na samym końcu szyny są zrywane, są tam setki tych, którzy jak pielgrzymi ciągną za taborem.

Judasz postrzega to wszystko jako miasto. Nowe Crobuzon go tego nauczyło. Patrzy, jak pociąg mija faliste wypiętrzenie terenu, i widzi ściany magazynów nad brzegami zakola rzeki Smoły. Widzi pochyle drzewo i przypomina sobie pijanego Crobuzończyka opartego o latarnię pod tym samym kątem.

„Nie wybieramy tego, co zapamiętujemy, co w nas pozostaje” - myśli Judasz. Nosi w sobie Nowe Crobuzon, chociaż teraz jest obywatelem tego nowo założonego wędrownego azylu.

- Dymokamień nas nie ochroni - mówi Uzman. Wieczny pociąg wzdycha. - Milicja przedrze się albo przeleci górą. Nie dymokamień, tylko Cacotopic Stain. Ta ziemia nas ochroni.

Następnego dnia oddział żandarmów zabija pięćdziesięciu maruderów i znika, zanim prze-tworzeni zdążają ustawić się w szyku bojowym. Wyrmeny wrzeszczą, że do nich strzelano. Swoim prymitywnym, ale twórczym żargonem relacjonują, co widziały, rozpościerają skrzydła i pokazują dziury w twardej skórze.

Jest gorąco. Wychodzą na otwartą przestrzeń, wyżynę z grubą warstwą żyznej ziemi.

- Co to jest? - Panika. - Coś nas dopadło!

Zwierzęta biegną obok pociągu, rzucają się na koła. Nie, nie zwierzęta, a jeśli zwierzęta, to takie, które rozpływają się i przybierają nowy kształt, wyłaniają się spod ziemi, światło przez nie prześwieca, a kule przechodzą przez nie na wylot, nie robiąc im żadnej krzywdy.

Kiedy mija pierwszy strach, Judasz patrzy na nie z rosnącą przyjemnością. Za każdym razem, gdy pociąg rusza, żeby pokonać zbudowany dla niego krótki odcinek torów, stworzenia te powracają.

Demony ruchu. Nie gryzą, tylko się bawią. Igrają jak morświny, wyskakują z ziemi i wirują razem z obracającymi się kołami. Pożerają rytm, ratatata żelaza kręcącego się po żelazie. Po tysiącletniach kłapania szczękami ku szybkim krokom stepowych myśliwych i ich zwierzyny demony upajają się dźwięcznym, ciężkim taktom. Naśladują kształt lisów i skalnych szczerów, jedynych zwierząt, jakie widziały, Szybko się uczą i po paru godzinach umieją już z grubsza imitować i ludzi, i ludzi-kaktusów, budząc tym zachwyty układaczy torów.

- Patrz, patrz, to ty, to twoja paskudna gęba!

Efemeryczne stworzenia formują się i dają nura w stronę kół, żeby najeść się ruchu.

Kiedy Radni wysiadają z pociągu, demony wiją się wokół ich stóp i jedzą echo ich kroków. Jedna kobieta tańczy i powietrze ożywa ekstazą demonów, które pojawiają się i znikają, smakując jej kontredanse. Wkrótce wokół wiecznego pociągu odbywa się bal taneczny: prze-tworzeni, wolne kobiety, które kiedyś były prostytutkami, ludzie-kaktusy, którzy przewyciężyli swoje zahamowania. Tańczą koło pociągu, z przytupem i podskokiem, śpiewając pieśni karczemne i farmerskie. Ich stopy są oplecione przez demony, które łapią światło. To jest konkurs: najbardziej skomplikowane, najbardziej rytmiczne, najbardziej pomysłowe kroki stanowią najlepsze pożywienie.

Światło słońca ma kolor trawy, którą wysusza. Judasz z uśmiechem obserwuje pociąg, tancerzy i demony ruchu. Bukoliczny obrazek, coś jak święto żniw pośród kęp trawy na pampie i martwych strumieni. Wielki pociąg toczy się spazmatycznie w stronę tych przed nim, którzy budują mu drogę. Wygląda to tak, jakby tory były smyczą: ciągną żelazną machinę niby oswojone zwierzę, a wokół tej potulnej bestii setki świętujących wzbijają kurz lata. Kinetofagi obmywają im kostki niby morską pianą. Judasz zadaje sobie pytanie, jaki rodzaj energii znajdują w rytmie. Pulsomagia. Cóż za dziwne kalorie tkwią w powtarzających się dźwiękach!

Judasz patrzy i kocha Żelazną Radę. Ustawia statyw. Nie jest dobrym heliotypistą, ale kiedy kadruje chaos nóg, żelaza i późnego słońca, wie, że to zdjęcie wyjdzie mu dobrze. Poruszone i wywołane w prymitywnych warunkach maleńkiej ciemni, ale nad widmowym kłębowiskiem nóg i demonów wieczny pociąg oraz uśmiechy i ciała tancerzy wyjdą wyraźnie. Utrwalił ich w sepii, uwiecznił jak stiltspeary z ich golemową piosenką.

Ze wschodu nadlatuje aerostat. Zbliża się z dostojnym, drapieżnym rozkołysem, płynie ku nim ciężko.

Niewychowane wyrmeny wrzeszczą i obrzucają go wyzwiskami. Są plamkami na tle skórzanego wieloryba, bzyczą wokół gondoli, wprawiając ją w niewielkie drgania. Judasz słyszy huk podobny od odgłosu pęknięcia papierowej torby - ani chybi wystrzały z broni palnej - i wyrmeny rozpierzchają się. Spadają, zwijają skrzydła i pikują, kreślą parabolę, której punktem końcowym jest pociąg. Słuchać odgłos pęknięcia, potężnego chrząknięcia - z okien aerostatu bucha szkło i czarny dym.

- Tak - mówi Uzman.

Sterowiec dygocze. Z jego podbrzusza dobywają się kłęby prochowego smogu. Kalekim lotem pofrunie do Nowego Crobuzon albo do bazy za horyzontem, gdzie milicyjne oddziały uderzeniowe czekają na rozkazy. Gdzie stacjonują inne statki powietrzne. Większe aerookrety wojenne z bombami na pokładzie. Z oknami, których nie rozbiją ceramiczne granaty.

Nowe Crobuzon ich wytropiło. Słowo „chaos” nie oddaje atmosfery, która panuje na wieczornym zebraniu. Pomysły zderzają się ze sobą bezładnie. Wszyscy przekrzykują się nawzajem. Byłe prostytutki wydelegowały Ann-Hari jako swoją przedstawicielkę.

Inni też ich znajdują. Na tle stepu wyłaniają się postacie. Wieści o Żelaznej Radzie szerzą się pomiędzy liniami tekstów piosenek. Przyciągają wyklętych, wyjętych spod prawa.

Liberosynkreci. Małe plemię. Uciekinierzy z Nowego Crobuzon, od dawna zdziczali. Ich

przywódcą jest mężczyzna bez ramion zastąpionych beużytecznymi, czysto dekoracyjnymi skrzydłami żuka. Do grupy tej należy również mężczyzna z pokrytymi gumą szczypcami, mężczyzna z paszczą krokodyla, wielki brytan - samiec - z głową pięknej kobiety. Po strojach, po biżuterii z przewierconych kamieni, po karnacji koloru drewna lub herbaty Judasz poznaje, że od wielu lat żyją jako liberosynkreci.

- Słyszeliśmy o was - mówi jeden z nich. On i jego rodzina jak urzeczeni przyglądają się pociągowi. Nie patrzą na strażników, na Judasza, na jego golema z kości mięsnych ptaków. - Jedźcie na zachód. Na drugi koniec świata. Mówią, że budujecie nowe życie. Tam, gdzie nikt nie dotrze. Przyszliście zapytać... przyszliście zapytać...

Judasz, z upoważnienia Rady, kiwa głową: „Tak możecie się do nas przyłączyć”.

Nomadzi w wielkiej liczbie. Kryminaliści i zbiedzy. Rasy stepowe i napływowe - striderzy, którzy bez słowa krocą w stronę pociągu, nawet jeden garuda, który zlatuje z nieba i zostaje mianowany marszałkiem kłótliwych wyrmenów. „Mamy ochronę” - myśli Judasz. „Oni są naszym glejtem na dalszą drogę. Przyszli nas wspomóc”.

Łowcy głów jeszcze trzykrotnie nękają ich szybkimi, agresywnymi atakami. Za każdym razem udaje się ich odeprzeć bez strat własnych.

- To jest jeszcze nic - mówi Uzman do Judasza. - Ataków będzie coraz więcej.

Wieczorami stworzuje Żelazną Radę w świetle reflektorów lokomotywy. Ann-Hari bierze jego stronę. Chociaż palacze i maszyniści narzekają, że zapasy węgla się kurczą, chociaż robotnicy są wykończeni, Rada postanawia zwiększyć tempo. Szyny są układane dniem i nocą przez ludzi pogrążonych w narkozie zmęczenia. Śnią, dźwigając młoty nad głowę.

Żelazna droga pożera kolejne kilometry. W nocy przesuwająca się iluminacja pociągu wprawia w ruch formacje skalne, które sprawiają wrażenie, jakby chciały uciec. Insekty i stwory wielkości insektów wybijają rytm o szybki lamp i eksplodują płomieniem, kiedy uda im się znaleźć drogę do środka. Pociąg jest linią ciemnego światła na nocnej równinie.

Ziemia nie daje już poczucia, że ma się twardy grunt pod nogami. Napięcie zatruwa atmosferę w Radzie. Nowi przybysze są traktowani nieufnie, oskarżani o szpiegostwo. Judasz pomaga interweniującemu tłumowi powstrzymać rozjuszonego mężczyznę, który chce zatłuc liberosynkreta na śmierć. Strofując napastnika i bijąc go za karę, ani Judasz, ani nikt inny nie przyznaje, że mężczyzna może mieć rację, że mogą być wśród nich szpicle.

Na skraju równiny ciągnie się kraina, której szukali. Masyw dymokamienia. Zastygłe ciemne arabeski powoli wyraźniej. Rada wysyła oddział saperów, żeby przebili drogę przez ten naturalny ogród rzeźb.

Wieczny pociąg jest twierdzą. Wieża strzelnicza obrosła w dodatkowe pancerze. Wszyscy Radni noszą pałki, zastrzone kije, kamienne noże z rękojeściami owiniętymi szmatą. Prymitywna i ekscentryczna broń. Rada czeka.

Robak porusza się i Judasz wie, że chociaż jeszcze nie teraz, to odejdzie.

Mijają dymokamienne wzgórza. Raptowna zmiana krajobrazu w coś onirycznego i rozstrajającego. Pośród skamieniałych, falistych kształtów, pośród zbrylonych chmur biega przystosowana do tych warunków życia fauna. Są pióropusze, fontanny, zakrzepłe gejzery dymu. Trasa wije się pomiędzy nimi, pośród solfatar wydychanych przez ziemię gazów.

Niwelatorzy wykuli drogę za pomocą czarnego prochu. Estetykę dymokamienia zakłóca barbarzyński pragmatyzm poszarpanych dziur.

Większość dymu zastygła w postaci nieregularnych obłoków, ale tam, gdzie powietrze było całkowicie nieruchome, dym utworzył lekko spiralne, zaostrome na górze słupy. Pociąg przejeżdża pod łukami, które powstały w ten sposób, że prądy powietrza uniosły dym w górę, a potem ściągnęły na dół.

Torowisko się przesuwa, ludzie kładą szyny, a potem zrywają. Niezwykły krajobraz jest zarazem piękny i deprymujący. Ziemia może w każdej chwili pęknąć i bluznąć mgiełką, która skamienieje im w płucach i zamieni ich w cierpiące agonialne katusze posągi.

Palenie jest zakazane, gotowanie też. Pociąg porusza się bardzo krótkimi etapami, żeby spaliny jak najszybciej się rozwiały: nic nie może naruszyć status quo. Judasz jest gotów w każdej chwili wypuścić powietrznego golema. Otaczające ich skały mogą w każdej chwili przejść w stan gazowy - dymokamień czasem tak robi, po godzinie albo tysiącu lat bycia skałą.

Zza horyzontu wylania się armia prze-tworzonych koni, wielbłądów, zgrzytających wielokołowych transporterów. Jadą w szyku bojowym. Wyrmeny z Żelaznej Rady obserwują ich, lecąc tak wysoko, żeby nie dosięgła ich ewentualna erupcja dymokamienia.

Niwelatorzy przebijają się przez kapryśną geografie. Niespokojnym i niefachowym okiem wypatrują oznak, że rozpruli szew dymokamienia.

Inne brygady zakładają potężne ładunki w otworach wykutych pod kierunkiem poruszającej się na czworakach geoempatki, która ze zwierzęcymi odgłosami liże ziemię, pogrążona w jakimś prymitywnym, ekstatycznym transie. Nie dysponuje silnym ani skoncentrowanym talentem, toteż, chcąc uchwycić ziemię w tym nietypowym wymiarze, musi się dosłownie zniżyć do jej poziomu.

Radni budują barykady w wydmuszynie między zastygłymi licami chmur. Półtora kilometra dalej znajduje się dym oraz układane i zrywane szyny wiecznego pociągu. Uzman i Ann-Hari jadą nim, a Judasz, Grubogoleń i setki innych zastawiają pułapki.

Teraz widzą już wroga. Judasz jest wyczerpany przygotowaniami do tego stopnia, że sny mieszają mu się z myślami. Musi jak najszybciej wrócić do Żelaznej Rady, która potrzebuje jego ochrony. Zbudował golemową pułapkę zamontowaną na zderzaku i powiedział im, jak ją uruchomić w razie pojawienia się krzemianowej mgiełki, ale bez jego opieki powietrzny golem długo nie przetrwa.

- Na pewno zaatakują nas także z innych stron - mówi, powtarzając słowa innych Radnych.

To nie może być jedyny front otwarty przez Nowe Crobuzon. Ale nie ma teraz czasu na zastanawianie się nad tym, bo napastnicy są już blisko. Żelazna Rada atakuje, żeby nie zdążyli wystrzelić i zniszczyć umocnień.

Wyrmeny młocą powietrze swoimi grubymi skrzydłami, lawirują pośród gradu kul i

rzucają ceramiczne granaty. Strzały unieszkodliwiają wielu z nich.

Małe bomby spadają, wypełnione wszystkim, czym dysponowała Żelazna Rada: prochem strzelniczym, szrapnelem z pokruszonych narzędzi, fiolkami nieskomplikowanych kwasów, nieprzyjemnymi kompozytami taumatycznymi, olejem. Nafta, substancje żrące i gorący dym sprawiają, że milicja odstępuje trochę, szybko jednak zwiera szyki i znowu się rozprasza na skutek drugiej ofensywy wyrmenów. Słońce jasno świeci, ale Judaszowi wydaje się bardzo zimne.

- Już niedaleko - mruży pod nosem. - To nie potrwa długo.

Wychyla się i przykłada do oczu lornetkę. Wyrmeny obsrywają wroga, wyrażając w ten sposób swoją pogardę. Oprócz ekskrementów spadają także granaty. Jednego z wyrmenów nieprzyjacielska salwa rozrywa na strzępy: Judasz znał go na tyle, że mówili sobie „dzień dobry”.

Radni strzelają z korbowych kusz odlanych w kuźniach pociągu. Odpalają lonty i spuszczają na najeźdźców skalne lawiny. Judasz wie, że od wyniku tej walki zależą jego losy.

Judasz staje na barykadzie. Ciągną się od niego druty, do baterii, do transformatora.

Przenika go odwaga.

Ludzie, którzy są z nim w jego kryjówce - wszyscy ze śladami jakichś magicznych działań i połączeni ze sobą - nacinają sobie dłonie i ciasno owijają skaleczenia drutem. Prymitywna machina, której służą, sklecona z różnych różności, do funkcjonowania potrzebuje tej barbarzyńskiej ofiary krwi.

- Start! - woła Judasz i Shaun popycha dźwignię do przodu. Odpadkowy motor stęka, wysysa siły z pomocników Judasza i rozgrzewa klemy zamocowane do jego klatki piersiowej.

Z gardła Judasza wydobywa się dźwięk, którego nie sposób opisać. Jego skóra napina się i porusza, jakby ktoś wciskał w niego palce. Z kurzu powstają ludzie. Blokują drogę Crobuzończykom. Judasz pryska potem. Porusza rękami. Golemy ruszają ciężkim krokiem.

Jest ich co najmniej dwudziestu. Większy od ludzi. Podchodzą do crobuzońskiej milicji. Judasz dostaje drgawek. Najślabi z jego pomocników stracili przytomność. Judasz poci się krwią.

Czarne golemi maszerują dalej. Jeden rozpada się na kawałki pod kopytami milicyjnych koni. Jego korpus usiłuje pełzać dalej. Judasz chwieje się jak trafiony kamieniem. Ugniata powietrze i tworzy z niego coś niematerialnego. Jego człekopodobni słudzy wkraczają między wroga, konie stają wokół nich dęba. Łowcy głów i umundurowani milicjanci szarpią się do tyłu, kiedy golemi wyciągają po nich łapy. Niektóre golemi rozpościerają ramiona, przybierając postać krzyża. Inne opasują rękami broniące się ofiary. Tam, gdzie Judasz widzi dostatecznie dużo, aby nimi kierować, rozkazuje im rozbić mur ordynansów i przedrzeć się do oficerów. Każdy golem jest otoczony przez żołnierzy, który tną mineralne ciała, celują w nie z pistoletów.

- Ognia, do cholery! - dyszy Judasz.

Chociaż wrogowie go nie słyszą, wykonują rozkaz. Kula wwierca się w jedną z czarnych postaci. Golem jest zrobiony z krzemienia i prochu strzelniczego.

Z ogłuszającym hukiem golem znika w słupie eksplozji, w jednej chwili zamienia się w wiatr brudnego ognia. Tkwiące w nim kamienie wypadają na zewnątrz i kładą łowców głów pokotem. Gorąco dociera do innego golema, który również wybucha. Kiedy rozwiewa się dym, Judasz widzi pozostałe po swoich stworach plamy sadzy otoczone falami trupów, blisko środka koła rozbryzanych, a bliżej obwodu twardszych, bardziej podobnych do ciał. Jeszcze bardziej oddaleni żołnierze wciąż się poruszają, wciąż wrzeszczą.

- Ognia! - powtarza Judasz.

Huk broni palnej, płonące strzały z balist. Gorące pociski przerabiają golemi na trąby powietrzne zapłonu.

Słudzy Judasza jeden po drugim wpadają między napastników, obejmują ramionami, grzebią w czarnym prochu, a potem w ogniu. Te chodzące bomby wybijają dziury we wrażej armii. Judasz podnosi się i słyszy rytmiczny ryk - to jego serce. Ci, którzy mu pomagali, teraz wznoszą okrzyki na jego cześć. Krew cieknie mu po twarzy. Ostatni golem wbiega między najeźdźców, przy każdym koślawym kroku rozrzuca żołnierzy na lewo i prawo. Płonąca strzała jakiegoś łucznika zamienia go w kłęby pylistego ognia.

Setki łowców głów i milicjantów przeżyły, ale zataczają się, dowódcy wrzeszczą, wierzchowce ślizgają się na trupiej miazdze. Wracają wyrmeny, Radni wywołują kolejne skalne lawiny, kusznicy miotają ogromnymi pociskami.

- Judasz Low! - krzyczą ludzie. - Tak!

Judasz dokłada swój głos do tej ekstatycznej wrzawy.

Wszyscy wspierający Żelazną Radę zjeżdżają na dół, najwięksi prze-tworzeni, zuchwali ludzie-kaktusy z oskardami i ciężkimi toporami. Judasz zostaje ściągnięty z barykady i obcałowany. Jego pomocnicy są bladzi, drżący i wychłodzeni, pożyczyl od nich mnóstwo energii, ale Judasz jest jeszcze słabszy. Zamyka oczy.

Traci przytomność. Przenoszą go w bezpieczną strefę. Śni o prochowych golemach i o słońcu, lecz budzi się raptownie.

- Co, co?! - zrywa się. - Co jest?!

Grubogoleń i Shaun pokazują na wschód, do góry, ku niebu.

- Jest ich więcej. Zaatakowali pociąg.

Judasz i Shaun jadą na koniu zrekonfigurowanym pod kątem prędkości. Szturm hałaśliwej zbieraniny łowców głów i milicjantów był mało subtelnym manewrem odwracającym uwagę.

„Co teraz, golemisto?” - duma Judasz. „Co zrobisz, żeby ich zatrzymać? Nie zatrzymasz ich. Zginiesz”. Umrze wraz z całą Żelazną Radą. „Jesteś za bardzo wyczerpany, żebyś mógł coś zdziałać. Popatrz, ile krwi straciłeś”. Wcale jednak nie myśli, że umrze. Nie poszedłby, gdyby był przekonany, że czeka go śmierć.

Na niebie wiszą ludzie, milicjanci kolebią się pod nabitymi balonami. Judasz widzi dym wiecznego pociągu i słyszy wybuchy. Aeronauci zrzucają bomby, wyrębując w wiatrowych rzeźbach z dymokamienia ciąg kraterów. Powstaje wąwóz, który prowadzi do Żelaznej Rady.

„Co zrobisz, golemisto?” - pyta znowu Judasz siebie samego. Coś robi. Dobroć, która w nim mieszka, daje o sobie znać.

Od strony pociągu biegną ludzie, znowu są uciekinierami: starzy, wystraszeni, ranni, nowi przybysze, którzy nie poczuwają się jeszcze do lojalności wobec Rady, kobiety z dziećmi na ręku, wszyscy biegną po grzbietach twardych chmur. Judasz i Shaun mijają ich wzdłuż torów. Jadą włączyć się do bitwy.

Pociąg miota pociskami z ponitowanej wieży strzelniczej. Bojowników rady jest więcej niż milicji, ale przegrywają. Niebo ma nienaturalną barwę matowej cyny z domieszkami kolorów, które tam nie przynależą.

Z przodu jest brygada torowych chroniona przez ludzi-kaktusy i prze-tworzonych. Wykonują przyspieszoną pantomimę swojej normalnej pracy, na kruszywie z kamiennego nimbostratusa. Milicyjni snajperzy zdejmują ich jednego po drugim, ale torowi spychają martwych i rannych kolegów na bok i pracują dalej.

Judasz dołącza do walki.

Milicja nie zatrzyma pociągu. Wielu zabijają, ale zostało już tylko kilka metrów torów do położenia i mimo rzezi robotników - kolejny pada, tryskając gejzerem krwi - pociąg pokona kolejny odcinek. Obawy Judasza budzą natomiast nadlatujące aerostaty. Od zachodu słychać

odgłosy deszczu, ale żaden deszcz się nie pojawia.

Shaun wiotczeje. Judasz czuje, że jego towarzysz odchyła się do tyłu i jest mokry, za bardzo, żeby to był pot. Wie, że jego przyjaciel nie żyje. Koń potyka się i staje, Judasz zsiada i ściąga na dół Shauna, który ma rozerwany mostek. Wlecz go do momentu, gdy kule zaczynają wzbijać wokół niego kaskady piachu. Musi porzucić martwego przyjaciela. Przez zastępy swoich towarzyszy biegnie wzdłuż pociągu, nisko pochylony, z podniesionym po drodze łukiem. To kuszarpacz - Judasz przeklina jego ciężar i ograniczony zasięg, ale nie przerywając biegu, celuje w dymiący komin, w którym zastawił golemową pułapkę.

Wypuszcza ostry jak skalpel chakri, skulony podchodzi do prze-tworzonych i ostrożnie przesuwają się w stronę zderzaka. Pośród milicjantów są taumaturgowie. Wyładowania niszczycielskiej energii trafiają w Radnych i czynią magiczne spustoszenia. Wyrmeny przypuszczają odważne i niebezpieczne ataki na milicję, która zaczyna się wycofywać.

- Zmusiliśmy ich do ucieczki! Zmusiliśmy ich do ucieczki! - woła wyrmenka z histeryczną dumą, ale jest w błędzie. Milicja odstępkuje, ponieważ nadlatują statki powietrzne.

- Naprzód! Przebiliśmy się!

Złożona z wielu segmentów machina dygocze i pełźnie przez kamienną mgiełkę, sprawia wrażenie, jakby lada chwila miała się wykołysać na odpryskach dymokamienia. Podsypka porusza się, ale wytrzymuje i wagony suną do przodu. Kule bębnią o ich żelazną skórę. Pociąg zwalnia prawie do zera na piarzystym wzniesieniu, a następnie stacza się w dół. Trafia na dziurę - szyna pęka, wagony przechylają się, ale koła nie tracą przyczepności i, trzęsąc się jak ranne zwierzę, pociąg sunie przez ogrody dymokamienia.

- Szybciej, szybciej! - woła Judasz do Radnych, którzy gromadnie gonią za pociągiem. - Wskakujcie!

Niebo i ziemia wyglądają podejrzanie. Z oddali dochodzi jakiś głuchy odgłos.

Geoempatka stoi przy skalnej szczelinie, koło małych prochowych, które przecinają lonty. Jest ubrudzona ziemią, a w jej oczach migają ślady degradacji wywołanej przez zakłęcie. Spogląda w stronę Judasza, kiwa głową, nie czekając na pytanie, i pokazuje na ziemię.

- Tutaj - mówi. - Tak sędzę.

Pociąg bucha parą i syczy niecierpliwie.

- Dalej, dalej, dalej! - woła Ann-Hari z salonki.

Wyrmeny mkną jak wiatr nad skalną rozpadliną do miejsca, w którym znajdują się jeszcze ostatni Radni. Prze-tworzeni uciekają. Jacy są mali. Czy nikt tego nie widzi? Judasz patrzy na zachód i do góry. Czy nikt nie widzi nieba? Krajobrazu?

Panorama zarazem podobna i niepodobna do wszystkiego, co zostawili za sobą.

„Co ty jesteś?” Wiele kilometrów na zachód, co w kategoriach tych rozłogów oznacza zaledwie moment – „Bogowie, jesteśmy w Middling Sweeps, jesteśmy poza wszelkimi mapami, jesteśmy nigdzie” - kamienisty krajobraz staje się bardziej sfalowany, bardziej pobrużdżony, jakby ziemia była wylanym woskiem. Judasz wyęży umysł, ale parametry tych terenów są dla niego nieczytelne. Ziemia ucieka w dół poza pole widzenia. Widać kreski drzew, które się jednak zmieniają, nie wyglądają jak drzewa, jakby migoczą. Ciemny płomień, substancja istniejąca fazowo. A może to tylko złudzenie stwarzane przez oko, które musi się wysilać, żeby widzieć tak daleko? Nie, w tych drzewach-nie-drzewach jest coś dziwnego. Widać też górę, która może być jednak mirażem, faluje, może to kopiec, i to o wiele bliżej, a może to plama w oku Judasza. Nic nie jest takie, jakie być powinno. Stworzenia, które nie są ptakami, fruują jak ptaki, podobne do deszczu. Podczas gdy Rada odnajduje zagubionych, Judasz patrzy na niebo, które porusza się jak niemowlę.

Śmiertelnie zmęczeni i krwawiący bojownicy wdrapują się do pociągu.

- Szybciej! - pogania ich Uzman. Stoi na skalnym grzbiecie i zagląda do rozpadliny, którą zmierzają Radni. - Dalej, dalej! - mobilizuje ich, ale Judasz poznaje po brzmieniu jego głosu, że czas nie pozwoli wszystkim zdążyć przed powrotem przegrupowującej się milicji.

Już jest za późno. Uzman patrzy na pirotechników, na geoempatkę. Wieczny pociąg porusza się, układacze torów pracują dalej, żelazna machina zostawia za sobą ostatnie rzeźby z dymokamienia.

- To jest tylko brzeg strefy kakotopicznej - mówi Judasz, patrząc na niebo. - Jesteśmy na peryferiach Cacotopic Stain.

Czuje jednak energię ziemi przenikającą go w nienormalny sposób. Widzi rozpacz Uzmana.

Chcąc uratować swoich ostatnich towarzyszy, tak długo zwlekają z wysadzeniem w powietrze wlotu do sztucznego kanionu, że milicja dogania prze-tworzonych maruderów. Nareszcie słychać trzy detonacje i potężna fala dymokamienia bucha z porowatej ziemi. Smog rozprzestrzenia się tak szybko, że zatyka wykuty przez niwelatorów korytarz, po czym zaczyna zastygać.

Dymokamień więzi najwolniejszych prze-tworzonych i Uzman wznosi okrzyk rozpacz, oglądając z góry ten dramat.

W zawężeniach jelit Judasz wyczuwa coś nowego, sztuczne quasi-życie, gigantyczny antropoidalny wiatr. Wie, że Ann-Hari uruchomiła jego golemową pułapkę. Napina się w środku, wypływa z siebie wysiłek i przejmuje kontrolę nad tym stworem. Wykonuje taki gest, jakby chciał chwycić golema za rękę i razem biegną ku miejscu erupcji dymokamienia. Golem zanurza się w dymie i rozpościera powietrzne ramiona, bezskutecznie próbując wykuć tunel.

Judasz jest oddalony kilkadziesiąt metrów od apatycznych wyziewów, które w procesie twarzenia gaszą wszelkie życie. Z zastygającego kamienia dochodzą stłumione okrzyki. Urażona chmura wypycha swoje flaki na zewnątrz i Judasz widzi ruch, nie przypadkowy czy wywołany przez wiatr. Wyłaniają się najpierw błagalnie wzniesione ramiona, a potem cały mężczyzna, posiwiały od kosmyków dymu, które przywierają do niego i opancerzają go silikonową chityną. Po kolejnym beknięciu mgły z wyraźnie twardszego dymokamienia wynurza się kolejna postać, z mozołem brnie przez to ciasto, którym jest oblepiona.

Judasz podchodzi do nich. Pierwszy mężczyzna jest milicjantem. Przez dziury w poszarpanej kamiennej epidermie widać mundur, ale nie sposób odczuwać nienawiści i złości do tego człowieka, który dygocze i ustami pełnymi mineralnego budyniu usiłuje złapać powietrze. Druga postać to Radny. Nie da się go uratować. Jego towarzysze usiłują rozłupać hełm, którym obrosła jego głowa, ale przy okazji rozbijają mu czaszkę.

- Musimy ruszać! - woła Uzman z góry.

Jest wstrząśnięty, ale panuje nad sobą.

Wielka skalna kipiela zamyka dziurę, przez którą przejechał pociąg. Tory znikają zatopione w niej na wieki albo do czasu, kiedy kamień znowu przejdzie w stan płynny. Judasz pozwala swojemu golemowi rozpaść się i prądy powietrza wokół nich zmieniają swój charakter.

Uwagę Judasza przykuwa jakiś ruch. Jego twarz marszczy się na widok przedramienia sterczącego z nowej skalnej geografii niby jakaś roślina klifowa. Dłoń wykonuje ruchy chwytne, ostatnie podrygi uwiecznionego w dymokamieniu trupa.

Chociaż aeronauci niszczą swoimi bombami niektóre części pociągu, ogarnia ich niepewność. Obracają się i widzą zastygłą kipiela, w której utkwilo wielu ich towarzyszy. Ośmieleni Radni zestrzelili ich z nieba. Judasz widzi, jak jeden z nich spada, a z przebitego balonu uchodzi gaz.

Aeronauci zmieniają szyk i odlatują na drugą stronę nowo powstałych wzgórz. Uzman

wykrzykuje rozkazy i Radni podbiegają do strąconego baloniarza, żeby pozbawić go rynsztunku i zabrać płótno jego sterowca.

- Musimy zostać padlinożercami - mówi Uzman. - Musimy się tego nauczyć. - Patrzy na niebo. - Oni nie byli ostatni - dodaje, chociaż Judasz nie zdążył jeszcze poczuć ulgi.

Ale ulga przychodzi w dniu penetracji niezbadanego pustkowia. Ulga i dotkliwy smutek po wielu utraconych towarzyszach.

- Nie wszyscy zostali uwięzieni w dymokamieniu - mówi Uzman. Jego głos zdradza świadomość, że jego słowa nie są zbyt przekonujące. - Niektórzy wciąż byli po drugiej stronie.

Czyli tam gdzie milicja. Żadna pociecha. Judasz wyobraża sobie, jak to musiało dla nich wyglądać: milicjanci i Radni patrzą bezsilnie, jak chmura burzowa staje się kamieniem i pożera ich przyjaciół.

Jako nowi mieszkańcy tej krainy Radni poznają otoczenie. W świetle pochodni obserwują, jak krajobraz żyje własnym życiem. Widzą, w oddali inne światła, które poruszają się niezgodnie z zasadami optyki, słyszą okrzyki, których nie rozpoznają albo rozpoznają jako swoje - echa przetrzymywane przez kilka godzin i wypuszczane w zniekształconej postaci.

Uciekinierzy spotykają się w grupkach. Tory odbijają odrobinę na północ, szepczą między sobą. Uzman zabiera ich do strefy kakotopicznej. Znajdują się na jej obrzeżach, ale i tak bliżej, niż to jest bezpieczne dla jakiegokolwiek śmiertelnika.

Zamknęli za sobą skalne wrota i o wschodzie słońca po raz pierwszy widzą nowy krajobraz. Kilometry zarośli w zwykłych kolorach, balsam dla oka po monotonnej szarości kamienia. Grunt faluje nieregularnie, przypomina wzburzone morze. Niezwykła obfitość drzew strzegących ich kamiennych zębów i kwitnących pędów w cukierkowych kolorach. Jeziorka i inne naturalne elementy dekoracyjne, a w kierunku, w którym zmierza pociąg i jego tory, niesamowita zmienność terenu. Judasz to czuje. Wszyscy to czują. Poprzez koła.

Nie wszystkie cienie leżą w tej samej płaszczyźnie.

- Składamy tylko krótką wizytę - uspokaja Uzman. - Prawie nie przekraczamy progu.

Z cieniami coś jest nie w porządku i Judasz czuje, że wiatr wieje w sprzecznych kierunkach. Kiedy nikt nie patrzy, rzeźba terenu ulega zmianom.

Zostawili za sobą tak wielu zmarłych, nieopogrzebanych. Także Shaun śpi gdzieś wiecznym snem.

Judasz po raz ostatni transportuje szyny. Wrywa je z nowego kamienia, pod zmumifikowaną ręką, i przewozi ciągniętymi przez muły wozami na czoło pociągu. Ze skamieniałej mgły nadal sterczą dwa żelazne pręty.

Podróźni są obserwowani nie tylko przez zwierzęta, ale też przez zaopatrzone w oczy rośliny. Drugiego wieczoru Judasz rozmawia z przyjaciółmi przy ognisku, które dzięki jakimś magicznym mocom płonie na białło. Uzman, Ann-Hari, Grubogoleń i nowo wybrani przedstawiciele maszynistów, różdżkarzy, hamulcowych, nosiwodów, byłych prostytutek i całej reszty.

- Udało się wam - mówi Judasz. Uzman i Ann-Hari łykają tę Pochwałę bez mrugnięcia

okiem. - Wydostaliście nas. A teraz jesteście w tej dziwnej krainie.

- Jeszcze nie koniec.

- Tak, nie koniec. Ale poradzicie sobie. Na pewno. Za tym krajem musi być następny. Wystarczająco daleki, żebyście byli bezpieczni. Nie będą was ścigali. Dostaniecie się na drugi koniec świata. Tam, gdzie są owoce i mięso. Tam, gdzie pociąg będzie mógł się zatrzymać. Będziecie polowali, łowili ryby, hodowali bydło i tak dalej. Umiecie czytać, a jak skończą się wam książki z biblioteki pociągu, to napiszecie nowe. Musicie tam dotrzeć...

- Ale co jest tutaj? Co nas tutaj czeka?

- Nie wiem. Będzie ciężko, ale przebrniecie. - Judasz nie wie, dlaczego przemawia jak prorok. To nie on mówi, tylko wewnętrzne dobro, które w nim mieszka. - Nie będą was ścigali. Założę się o wszystkie pieniądze. - Gruchnął śmiech. Pieniądze od dawna były anachronizmem. Niektórzy nadal je gromadzili, ale jako papier do rysowania dla dzieci. A monet używali jako biżuterii. - A Uzman miał rację, mimo że się mylił - kontynuuje. - Należało dać znać ludziom w Nowym Crobuzon. Pomyślcie: być może nikt nie będzie wiedział, co się z wami stało. - Milczenie. - Oczywiście możecie po prostu zniknąć i będą mówili, że podczas budowy któregoś dnia pociąg po prostu odjechał. Prze-tworzeni zostali liberosynkretami i wprowadzili pociąg. Ale prze-tworzeni w mieście, którzy czekają, zasługują na coś lepszego.

- Parę osób wie, co się stało...

- Tak, ale czy rozegrają to w odpowiedni sposób? Będziecie mitem... na to nic się nie poradzi... ale jakiego rodzaju? Chcecie być mitem nieśmiertelnym? Ważnym? Chcecie, żeby wypisywali wasze imię na sztandarach, walcząc o lepsze życie, walcząc o wolność?

Ann-Hari uśmiecha się.

- Wrócę do kraju - mówi Judasz. - Będę waszym bardem.

Z początku niektórzy zarzucają mu tchórzostwo, mówią, że boi się jechać z nimi przez peryferia kakotopii, ale w głębi duszy nikt nie uważa go za tchórze. Żał im, że ich zostawia.

- Potrzebujemy twoich golemów - mówi jedna z kobiet.

- Jak możesz nas opuścić? Czy Żelazna Rada nic dla ciebie nie znaczy?

- I wy mnie o to pytacie? - mówi Judasz. - Wy mnie o to pytacie?

To ich zawstydzą.

- Będę waszym bardem. Powiem im o was. A teraz nie ruszajcie się.

Magnezjowy proszek wybuchą i wszyscy zgromadzeni mrugają.

W tak obcym miejscu, na którym kładzie się cieniem groźba Momentu i nieobliczalność strefy kakotopicznej, niektórzy odchodzą, nie zważając na konieczność ponownego pokonania obszaru dymokamienia.

- Niektórym się uda - ocenia Judasz. - Zostaną liberosynkretami. Nie wrócą do Nowego Crobuzon. Nie jako prze-tworzeni. Nie na kolanach.

- Przedostaniecie się, siostry. - Patrzy na nich bez śladu niepewności. - Weźcie to - mówi. Voxiterator. - Patrzcie. Tak trzeba zrobić, żeby zachował to, co mówicie. - Obserwują, jak ładuje wosk i biorą od niego zapasowe cylindry. - Raz na rok przyslijcie mi jeden. Niezależnie od tego, gdzie będziecie. Statkiem, konno, pieszo, jak się da. Zobaczymy, czy dotrą. Chcę usłyszeć wasze głosy. - Patrzy na Ann-Hari. - Chcę usłyszeć wasze głosy.

Kolejno podchodzi do swoich towarzyszy i ściska ich na pożegnanie, nawet tych, których imion nie zna.

- Niech żyje Żelazna Rada - mówi do każdego. - Niech żyje, niech żyje.

W spontanicznym odruchu czułości wsuwa Uzmanowi język do ust. Prze-tworzony szarpie do tyłu i chce się wyrwać, ale tego nie robi. Judasz nie całuje go długo.

- Bądź miły dla chłopców w dzień wypłaty - szepcze do ucha prze-tworzonego, który się uśmiecha.

Judasz obejmuje Ann-Hari, która całuje go tak jak w czasach, kiedy byli kochankami. Przyciska się do niej biodrami i Ann-Hari długo trzyma jego twarz w dłoniach.

- Niech żyje - szepcze jej do ust. - Niech żyje.

Zdażył zapomnieć, o ile szybciej podróżuje się samemu. W niecały dzień wrócił do strefy dymokamienia. Dłoń martwego człowieka uwięzionego w skale została obgryziona do czerwonej kości.

Judasz maszeruje po kamiennych grzbietach jak po morskich falach. Widzi usiane trupami pobojowisko. W południe czuje na sobie cienie - ławica statków powietrznych płynie po niebie, biorąc kurs na wieczny pociąg. Judasz osłania oczy i opiera się na swoje lasce.

Chyba powinien się bać o swoich towarzyszy, ale nie boi się. Odczytuje zmienny szyk sterowców. Uśmiecha się, sam na ziemi, kiedy aerostaty mijają go powoli jak barakudy. Ma wrażenie, jakby się wahały. Siada oparty o granitowy stalagmit i patrzy.

Widać dym pociągu. Jeden średniej wielkości aerostat nerwowo wlatuje w powietrze strefy kakotopicznej. Z tego miejsca krajobraz wydaje się zupełnie normalny, ale Judasz czuje, że pod skórą świata wzbiera coś złego.

Statek powietrzny zbliża się do wiecznego pociągu i zrzuca bomby. Judasz widzi nad wzgórzami wykwity eksplozji. Nawet teraz nie czuje strachu.

Niebem w oddali wstrząsają konwulsje. Daje się odczuć jakiś organiczny ruch - nie chmury, lecz pewnego aspektu samego nieba, który przybrał quasi-widzialną postać mackowatego tworzenia sunącego wysoko nad ziemią. Towarzyszy temu jakiś dziwny dźwięk. Judasz wstrzymuje oddech. Słysząc jakby mechaniczny, zająkliwy stukot. Sterowiec rozmywa się, a kiedy znów jest ostry, znajduje się trochę niżej na niebie i ucieka w tempie, które ocenia jako paniczne.

Pociąg kontynuuje jazdę, zagłębia się w strefę kakotopiczną, która odparła Nowe Crobuzon.

Wędrowka Judasza trwa wiele miesięcy. Jego życie staje się marszową fugą. Przez

strumienie, bagna, skały, lasy ze szklistymi drzewami, lasy, które bierze za skamielinowe, ale okazują się lasami wielkich szkieletów. Kroczy pośród osteokrajobrazu, przez kościany ekosystem ze specyficzną fauną i florą.

Mija jeziora, które bulgoczą od walki klanów vodyanoich. Widzi kominy sterczące ze zboczy wzgórz, wewnątrz których znajdują się wioski troglodytów. Jest gościem zapomnianych plemion kapłańskich. Zostaje okradziony przez liberosynkretów. Wstępuje do bandy liberosynkretów.

Jego ciało się zmienia. Spęczniałe mięśnie ramion i klatki piersiowej klęsną i Judasz na powrót staje się zahartowanym podróżnikiem ogorzałym od żywiołów. Garudowie przynoszą mu pożywienie, zlatując z nieba z milczącym miłosierdziem. Kieruje się swoimi nie do końca wiarygodnymi mapami i busolą. Nie wraca długą drogą, którą przybył, lecz zmierza prosto na wschód.

Wkracza do oddalonej o setki kilometrów od Nowego Crobuzon bazaltowej krainy burz porośniętej blitzbaumami, wysokimi na półtora kilometra drzewami piorunowymi. Błyskawice, unieruchomione przez kryptomoce, rozwidlają się w gałęzie. W lesie jest jasno jak w blasku tysięcy lamp magnezjowych.

Na tle nieba rysuje się zardzewiała sylweta zjedzonego przez czas żelaznego miasta. Bagno taumaturgicznie zaczarowanego błota robi z butów Judasza robaki. Jest też kurhan, zakopany kościół, pola dzikich jagód i piękne wzgórza. Pięć razy walczy ze zwierzętami i trzy razy z istotami rozumnymi. Albo ucieka, albo zabija.

Jest spokojniejszym człowiekiem. Porusza się fachowo i bez wysiłku. Minęło wiele tygodni, odkąd zrobił golema z trawy - jako towarzysza drogi, z którym mógł rozmawiać, zanim wiatr go rozwiął. Judasz mija zdziczałe bydło, zniszczone płoty, całe mile porzuconych pastwisk.

Pewnego dnia schodzi po stromym zboczu i staje jak idiota. W końcu udaje mu się ruszyć z miejsca, ale potyka się i pada na kolana. Jest zimno. Ile pór roku minęło? Judasz pełźnie na czworakach i dotyka szyn.

Nie do wiary, że naprawdę może dotknąć tego metalu, tych żelaznych wstęg, które wiją się pośród różnych okoliczności klimatycznych i geograficznych, że mimo tej całej krwi i potu, które na nie wylał, mimo kości tych wszystkich ludzi, na których spoczywają, są niczym, że czas i pył odebrał im jakiegokolwiek znaczenie.

Szabrownicy zostawili po sobie ślady. Brakuje całych odcinków. Tory wynurzają się z ziemi, a potem znowu chowają. Już dawno nie jechał po nich żaden pociąg.

Judasz patrzy na północ wzdłuż torów. Pamięta robienie przekopu. Znajduje się daleko na północ od trzęsawiska.

Po powrocie dowie się, dlaczego tory nie są używane. Dowie się, że strumień pieniędzy w końcu wysechł, ponieważ skała malwersacji była tak ogromna, że dalsze ich ignorowanie nadszarpnęłoby autorytet państwa. Że inwestorzy się wycofali, kiedy dotarły do nich zniekształcone informacje o buncie, o Żelaznej Radzie. Że mimo panicznej próby ratowania MKK przez wzrost płac i bezlitosną intensyfikację prze-twarzania ucieczka kapitału przybrała takie rozmiary, iż Międzykontynentalne Konsorcjum Kolejowe wyzionęło ducha i jego dumne dzieło trzeba było złożyć do grobu.

Judasz dowie się tego wszystkiego już niedługo, kiedy dotrze do miasta. Na razie tylko się uśmiecha, schylając się po plecak, głaszcze tory jak kota. Robi to czule, by nie rzec nostalgicznie.

Rusza w drogę po martwym torowisku. Wały po lewej i prawej zasłaniają mu otoczenie. Droga zmusza go do patrzenia przed siebie, prowadzi go z powrotem do Nowego Crobuzon. Żelazna droga czekała na niego.

- Nowe Crobuzon - mówi szeptem do siebie. - Nowe Crobuzon, zawsze będę do ciebie wracał.

Nie jest to obietnica kochanka, zobowiązanie wobec samego siebie, wyraz rezygnacji lub agresji, lecz wszystkiego po trochu.

Idzie dalej. W plecaku ma heliotypy Żelaznej Rady, dokumentujące prawdę, ucieczkę, nowe życie, demokrację na kołach, arkadię dla prze-tworzonych.

- Zrobię z was mit, który będzie prawdziwy - mówi Judasz i ptaki go słuchają.

Wraca żelazną drogą do domu, do miasta, do wież Nowego Crobuzon.

CZEŚĆ CZWARTA

ZJAWIENIE

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Tłum ścigał kombatanta. Żołnierza lub marynarza, który powrócił ranny z wojny z Tesh. Na ulicach było ich pełno, jakby wyłazili spod kamieni.

W żadnej gazecie nie napisano, że losy wojny się odwróciły, ale rosnąca liczba rannych i kalek rodziła złe przecucia. Ori wyobrażał sobie, jak crobuzońskie pancerniki stają dęba i toną w rozgrzanej w ogniu walki wodzie, wyobraził sobie marynarzy podskakujących bezwładnie na falach, pokarm dla morskich wyrmenów, dla rekinów. Krążyły makabryczne pogłoski. Każdy coś wiedział o Bitwie na Diabelskiej Ziemi i Walce w Słonecznym Skwarze.

Pierwszą falę rannych traktowano z lęklwym szacunkiem. Byli to milicjanci, nie budzili więc sympatii ludności, ale walczyli i przelewali krew za miasto. Robiono wokół nich wiele szumu i na ustach wszystkich były patriotyczne pieśni. Nieliczni crobuzońscy Teshi byli mordowani albo schodzili do podziemia. Każdemu, kto mówił z obcym akcentem, groziło pobicie.

Coraz więcej przestępców zaciągano do wojska, zamiast ich prze-twarzać i wsadzać do więzienia. Wielu kalekich, którzy żebrali na rogach ulic, opowiadając o stosowanej przez Tesh duszoarmacie i wiatrach efrytowych, brano z powrotem na front. Nie byli zawodowymi milicjantami, lecz deprymującym, żalonym memento.

Kombatantów witano z honorami, potem wcale, a najnowsza fala była szykanowana. Milicjanci, ich niegdysiejsi towarzysze broni, usuwali ich z parków i placów w centrum. Ori widział na własne oczy, jak zwijali człowieka z ukwieconego Placu Cmentarnego. Pod jego skórą rysowały się zębopodobne kliny i krzyczał coś na temat dentobomby.

Crobuzończycy zasilali datkami organizacje charytatywne, które troszczyły się o okaleczonych taumaturgicznie. Wciąż odbywały się wiece i parady poparcia dla wojny, „marsze wolności”, jak je nazywała propaganda, z orkiestrami dętymi i wojskowymi platformami. Kombatanci z dziwnymi ranami wiedzieli jednak, że są to tylko próby odegnania fatum.

A ci, którym zadano rany zwykłą bronią, somatycznie? Pokryci bliznami, cierpiący na niedobór, a nie nadmiar kończyn, oślepieni, z transparentami: WETERAN WOJNY Z TESH, CIERPIAŁ KATUSZE DLA N. CROBUZON. Z dużym prawdopodobieństwem wielu z nich było zwykłymi kalekami, którzy nadali swojej ułomności fałszywy bohaterski polor, i służyli jako wentyl dla wojennych frustracji i lęków Crobuzończyków.

Wystarczyło, że zabrzmiał jeden szyderczy okrzyk: „Taki się urodziłeś, kłamco zasrany!”, a już gromadził się tłum, aby nauczyć oportunistę moresu. Robiono to oczywiście dla ojczyzny: „Ty draniu, podszywasz się pod naszych chłopców, którzy walczą i giną?”. Rozjuszeni mieszkańcy Murkside podeszli do ogorzałego mężczyzny bez ramion, któremu zarzucili kłamstwo, powiedzieli, że nigdy nie był na statku. Wykrzyczał swoją rangę, swój numer identyfikacyjny - w odpowiedzi poleciały kamienie. Ori poszedł w swoją stronę.

Inne ofiary były zbyt rozsądne, żeby obnosić się ze swoim kalectwem. Prze-tworzeni, niewolnicza milicja zbudowana pod kątem wojny, ocaleńcy ze swojej misji. Ich zintegrowaną broń zdemontowano, zanim zostali wypuszczeni na ulice Nowego Crobuzon. Gdyby próbowali twierdzić, że te prze-tworzenia - już nie mówiąc o zwykłych ranach, straconych oczach i źle złożonych kościach - stanowią obrażenia wojenne, zostaliby w najlepszym razie wyśmiani. Ori szedł dalej.

Lato było chłodne, drzewa bujnie zielone; Ori szedł dalej, aż w końcu przestał słyszeć krzyki motłochu i mężczyzny, którego tamci bili i oskarżali o szwindel. Orzeźwiający wietrzyk towarzyszył Oriemu pod arkadami dworca Dark Water. Ulice były ciasne jak żyły, domy z ciemnodrzewu pokrytego gliną obok ceglanych, a tutaj jeden spalony, z węglowymi kośćmi sterczącymi spośród nieuprzątniętego popiołu. Mury Pincod spijały wodę z powietrza i na powrót wypacały, przez co tynk wybulił się czymś na podobieństwo cyst. Wilgoć farbowała je opalizująco.

Na północ, gdzie ulice były szersze. Piazza delia Settimana di Polvere była wypielęgnowanym parkiem z lisoróżami i głazami pod okiem zdobionych sztukaterią wykuszowych okien Nigh Sump. Ori nie lubił tej okolicy. Wychowywał się w Dog Fenn. Nie w Badside, dżungli gangów, aż tak źle to nie, ale jako dziecko Ori chodził po labiryncie budynków przekształconych przez spryt nędzarzy, po deskach biegnących nad praniem i wychodkami. Wygrzebywał z ziemi pensy i stivery, bił się, odkrywał tajemnice seksu i uczył się werbalnych salw steatralizowanego slangu z Dog Fenn. Ori nie rozumiał topografii Nigh Sump i innych lepszych dzielnic. Zadawał sobie pytanie, gdzie dzieci tam biegają i bawią się. Srogie domy budziły w nim lęk i nienawidził je za to.

Spojrzenia elegancko odzianych mieszkańców budziły w nim czupurny bunt. Zapadał zmierzch. Ori dotykał swoją broń.

Na skrzyżowaniu zobaczył swoich towarzyszy. Starobark i inni udawali, że go nie znają, ale w cieniu wierzb szli tym samym tempem w stronę Crosshatch Avenue.

Była to jedna z najładniejszych okolic miasta. Sklepy i domy z portykami, ozdobione skamielinami w stylu Os Tumulus. Na pewnym odcinku ciągnęło się słynne Glasheim, licząca sobie wiele stuleci fasada z witraży, których wzory przekraczały granice między budynkami. Bezcennego zabytku pilnowali strażnicy i obowiązywał zakaz jazdy po kocich łbach, żeby spod kół nie wyprysnął jakiś kamień. Ori zaproponował kiedyś, żeby rozbić witraże w formie prowokacji, ale nawet bandę Toro zaszokowało takie barbarzyństwo. Dzisiejsza akcja nie miała nic wspólnego z Glasheim. Starobark zmierzał do jednego z biur.

Czas na precyzyjny balet, który wyćwiczyli w opuszczonym magazynie: dwa kroki, raz-dwa, Ori był na wysokości drzwi i wpadł, trzy-cztery, na Catlinę, Ori się potknął, zaczęli na siebie wrzeszczeć, skupiając na sobie uwagę, a wtedy Marcus i Starobark wśliznęli się do biura.

Wokół nich syczały elyktrobarometryczne lampy podświetlające witraże, zalewając Oriego i Catlinę plamami upiornych kolorów. Wyzywali się nawzajem. Ori patrzył nad jej ramieniem na drzwi, gotowy nazwać ją suką, co byłoby dla niej sygnałem, żeby zaczęła wrzeszczeć i odwróciła uwagę ewentualnych przechodniów mogących zaglądnąć do biura. Ich towarzysze z pewnością przesłuchiwali już ofiarę. „Komu się sprzedałeś?” - pytał może Starobark.

Strażnicy podeszli bliżej, ale ich zainteresowanie było skierowane wyłącznie na Oriego i Catlinę. Sklepikarze i siedzący w kawiarniach zakupowicze przyglądali się temu nieufnym bądź ubawionym wzrokiem. Ori był zaskoczony. Nie wiedzą, co się dzieje? Czy w Nigh Sump ludzie są aż tak odcięci od rzeczywistości?

Niedługo - nieprzyjemna myśl, mimo że Ori próbował wykrzesać w sobie bezwzględność - niedługo Starobark zabije konfidenta. Zrobi to szybko, po czym dźgnie trupa dwurożnym sygnetem, zostawiającym ranę w kształcie rogów byka.

„Jest wojna!” - miał ochotę krzyknąć Ori. „Poza miastem, ale w mieście też! Nie piszą o tym w waszych gazetach?” Zamiast tego grał swoją rolę.

Toro dał im instrukcje, rzeczowo, bez gniewu, tłumacząc, że jest to konieczne. Bo rzeczywiście było konieczne. Toro powiązał tego człowieka z aresztowaniami, więzami milicji,

ze specgrupami, które polowały na związkowców i działaczy. Mężczyzna w biurze był szefem siatki milicyjnych kapusiów. Starobark miał za zadanie wyciągnąć z niego jak najwięcej, a potem go zabić.

Ori pomyślał o swoim pierwszym spotkaniu z Toro.

Przyczyniły się do tego pieniądze Spiral Jacobsa. „Chcę się dołożyć” - powiedział któregoś dnia Ori, dając Starobarkowi do zrozumienia, że nie chodzi o kolejne tygodniowe oszczędności. „Chcę wstąpić” - powiedział. Starobark zagryzł zielone wargi, po czym skinął głową i wrócił do niego dwa dni później. „Chodź. Zabierz pieniądze”.

Przez Barley Bridge, z Dog Fenn do Badside. Apokaliptyczny krajobraz żużlu i martwych stoczni, kile zapomnianych statków sterczały z płytkiej wody. Starobark zaprowadził Oriego do hangaru, w którym budowano kiedyś sterowce, i ten czekał w cieniu polera.

Przyszedł gang. Niewielka grupa mężczyzn i kobiet. Prze-tworzony Ulliam, zwalisty mężczyzna po pięćdziesiątce, który chodził ostrożnie, ciągle obracając wysoko uniesioną głową. Znowu czekanie. Późne światło odbijane przez miasto płynęło przez popękane szyby i w jego koronie pojawił się Toro.

Każdy jego krok wzbijał odrobinę kurzu. „Toro” - pomyślał Ori i z nabożnym lękiem patrzył na tę postać.

Toro poruszał się jak mim, jego teatralne człapanie w tak małym stopniu przypominało byka, że Oriemu chciało się śmiać. Bohater miejskiej partyzantki był od niego drobniejszy, niższy, prawie dziecko, ale jego precyzyjna oszczędność ruchów mówiła: „Dla własnego dobra lepiej mnie nie lekceważ”. Mikrą postać wieńczył potężny hełm z żelaza i brązu, który sprawiał wrażenie za ciężkiego na te wątłe ramiona, ale Toro zdawał się nie odczuwać tego brzemienia. Oczywiście hełm miał formę głowy byka.

Stylizowany, zrobiony z metalowych węzłów, pokryty patyną wielu walk. Mityczny. Coś więcej niż durny metal. Ori poczuł smak magii. Rogi były z kości słoniowej albo innej. Pysk kończył się siatką imitującą zęby. Oddech wychodził przez kółko w nosie. Oczy były idealnie okrągłymi, szklanymi kulkami, które świeciły na biało - podświetlone od tyłu czy zaczarowane, tego Ori nie umiał powiedzieć. Nie widział za nimi ludzkich oczu.

Toro zatrzymał się, uniósł dłoń i przemówił. Z drobnego ciała dobył się głęboki bas, niska, zwierzęca wibracja, która zachwyciła Oriego. Przez kółko w nosie poleciała para. Ori osłupiał: był to głos byka mówiącego po ragamollsku.

- Masz coś dla mnie - stwierdził Toro.

Ze skwapliwością pielgrzyma Ori rzucił mu woreczek z pieniędzmi.

- Przeliczyłem - zakomunikował Starobark. - Część jest stara, część trudno będzie wymienić, ale jest tego sporo. To dobry chłopak.

I Ori wstąpił tak, jak chciał. Koniec ze sprawdzianami, koniec z idiotycznymi zadaniami, które miały udowodnić jego przydatność.

Jako nowicjusz był wykorzystywany w roli czujki albo odciągacza uwagi, ale to mu wystarczało. Nareszcie zapuścił gdzieś korzenie. Nawet nie pomyślał o tym, żeby zachować trochę pieniędzy dla siebie, chociaż mógłby się za to długo utrzymać. Zresztą część z nich do niego wróciła: płacili mu za współudział w ich przestępstwach i aktach powstańczej zemsty.

Na Nowe Crobuzon patrzył zupełnie innym okiem. Na przykład ulice traktował jako drogi ucieczki bądź penetracji obcego terytorium: Przypomniał sobie techniki walki miejskiej ze swego dzieciństwa.

Jego życie stało się bardziej niebezpieczne. Serce biło mu szybciej na widok milicji. Rozglądał się za znakami na murach. Pośród skatologii, pornografii i obelg czaiły się ważniejsze sygnały. Wypisane kredą symbole, runy i piktogramy nasączone prostą taumaturgią: zaklęcia ochronne i ostrzegawcze bądź psikusy kwaszące mleko i piwo. Niektóre pieczęcie szerzyły się mimetycznie, widywał je wszędzie: ślimakowate zawijasy i wielokątne ideogramy. Szukał graffiti, za pomocą których porozumiewały się gangi. Wezwania do bitwy i propozycje ugody w formie zwięzłych haseł. Millenaryzm i plotki: „Ecce Jabber”, „Vedne, ratuj nas!”, „ŻR wraca pod pełną parą!”. Toro znajdował się gdzieś w tle za takimi frakcjami, jak Liga Zakazanych, Renegaci, bandy złodziei czy mordercy z dzielnic wschodnich. O ekipie Toro wiedziały obie strony.

Ori dwa razy negocjował z gangsterami. Razem ze Starobarkiem i prze-tworzonym Ulliamem poszedł po prośbie i groźbie do bandy chłopaków, którzy mieli wzrok ostry jak brzytwa i nazywali się Dzierzby z Murkside. Chcieli nakłonić ich do tego, żeby trzymali się z daleka od doków, żeby ich nihilistyczne grabieże nie ściągnęły tam milicji. Ori patrzył na Rozpruwaczy z nieskrywaną nienawiścią, ale zastosował się do instrukcji Toro i wypłacił im odszkodowanie za utracone korzyści. Innym razem poszedł do Miasta Kości i w cieniu wielkiej, popękanej ze starości klatki piersiowej zawarł transakcję z wezyrem pana Motleya, kupując hurtową ilość shazbahu. Nigdy się nie dowiedział, co Toro zrobił z tym narkotykiem.

Rzadko widywał Toro. Czasami przez wiele dni z rzędu wiódł nudne i odizolowane od świata życie. W odróżnieniu od Renegatów jego nowi towarzysze nie czytali, tylko spędzali czas na grach w magazynie w Badside albo „chodzili na zwiady”, co oznaczało wałęsanie się bez celu po mieście.

Nikt nie mówił wprost o wielkim planie, o celu ich działań. W rozmowach nie padało nazwisko burmistrzynie ani nawet słowo „burmistrzynie”, które zastępowano takimi określeniami jak „prezes zarządu” albo „szef świńskiego chlewu”. Mowa pozbawiona tych grepsów zdradzała niewtajemniczonego. Jeden z nich mówił: „Jak myślisz, kiedy pomożemy naszej, eee, przyjaciółce przewodniczącej zebraniom pójść na długą przerwę obiadową do podziemia?”, po czym zaczęli omawiać harmonogram dnia, burmistrzynie i sprawdzać broń.

Ori nie zawsze wiedział, czym zajmują się jego towarzysze. Czasem dowiadywał się z gazet lub plotek o kolejnym napadzie rabunkowym, uwolnieniu więźniów fabryki kar czy zamordowaniu starego małżeństwa z Flag Hill. Po tej ostatniej akcji przez prasę przetoczyła się fala oburzenia. Gazety oskarżyły Toro o zabijanie niewinnych ludzi. Ori z uniesioną ironicznie brwią zadał sobie pytanie, na czym dokładnie polegała „niewinność” ofiar: ile osób skazały na prze-tworzenie lub egzekucję. Przeszukał skrzynkę gangu z milicyjnymi pamiątkami, odznakami i dokumentami, ale nie znalazł nic, co pozwoliłoby mu stwierdzić, dlaczego zapadł wyrok na to stare małżeństwo.

Dzięki datkowi Spiral Jacobsa mieli pieniądze na sute łapówki, ale większość tych środków Toro przeznaczył na jakiś tajemniczy, kosztowny projekt. Toryści zarzucili wielką sieć, w którą łowili informacje i kontakty. Ori próbował odbudować swoją siatkę. Zaniedbał swoich starych przyjaciół. Od wielu tygodni nie widział Petrona ani żadnego z nuevistów. Z żarliwością neofity uznał, że są zbyt frywolni, a ich metody zmanierowane. Kiedy w końcu ich odwiedził, uświadomił sobie, jak bardzo tęsknił za ich zwariowaną zabawą.

I wiele się od nich nauczył. Zdał sobie sprawę, że przebywając dzień po dniu z gangiem Toro, jest odcięty od kursujących po mieście pogłosek. Postanowił zatem raz w tygodniu chodzić do garkuchni w Griss Fell, a także ponownie brać udział w zebraniach „Rozszalałego Renegata”.

Starzał się podtrzymywać znajomość ze Spiral Jacobsem, ale nie było to łatwe. Starzec zniknął na długo i jedynym sposobem na jego znalezienie było zostawianie wiadomości w przytułkach i u włóczęgów będących jego rodziną.

- Gdzie byłeś? - pytał Ori, ale Spiral Jacobs był za bardzo zniedołężniały na umyśle, żeby mu to wyjaśnić. - Mgła w jego głowie rozwiewała się tylko wtedy, kiedy opowiadał o swoim dawnym życiu, o Jacku Pół-Pacierza. - Skąd jesteś tak dobrze poinformowany o planach Toro, Spiral? - Starzec roześmiał się i zakolebał głową. „Jesteś przyjacielem Toro?” - pomyślał Ori. „Spotykasz się z nim i rozmawiasz o dawnych czasach, o Jacku Modliszce?” - Czemu sam im nie dałeś tych pieniędzy? - Brak reakcji. - Nie znasz ich, prawda?

Nikt z ludzi Toro nie przypominał sobie Spirala Jacobsa na podstawie opisów Oriego. Ori poprosił Jacobsa, żeby opowiedział mu o Pół-Pacierzu. „Sądzę, że mnie lubisz” - pomyślał Ori. Obląkany starzec spojrzał na niego z ojcowską troską. „Sądzę, że dałeś mi pieniądze, żeby pomóc nie tylko im, ale i mnie”. Zaburzenie umysłu Spirala dawało się odczuć w bardzo różnym stopniu.

- Rzadko się ostatnimi czasy pokazywałeś - powiedział Petron w speluniastym lokalu rewiowym w Howl Barrow.

Nie zwracali uwagi na gibki striptiz i nielegalne transakcje przy innych stołach.

- Byłem bardzo zajęty.

- Znalazłeś sobie nowe towarzystwo? - W głosie Petrona nie było wyrzutu ani złośliwości, więzi między ludźmi z bohemy mają ulotną naturę. Ori wzruszył ramionami. - Mamy na warsztacie parę ciekawych rzeczy, jeśli chcesz wrócić. Elastycy wystawiają nowy spektakl: „Bura, mistrz i poselstwo diabła”. Oczywiście nie możemy się posługiwać konkretnymi nazwiskami, ale chodzi o letnie koszmary sprzed paru lat: chodzą pogłoski, że Rudgutter zawarł jakieś szemrane układy, żeby zapanować nad sytuacją.

Ori słuchał i myślał: „Za parę lat zrobisz sztukę, w której ja wystąpię. Ori i znak Toro na trupie burmistrzynie. Świat będzie wtedy wyglądał inaczej”.

W dwie kolejne łańcołe poszedł do Ukochanej Sklepikarza. Za pierwszym razem nie spotkał tam nikogo znajomego. Za drugim razem kłapa się podniosła i wpuszczono go na spotkanie „Rozszalałego Renegata”. Skład sporo się zmienił. Został prze-tworzony, którego Ori poznał przed wieloma miesiącami, nie pamiętał natomiast sztauera vodyanoi i kalekiego człowieka-kaktusa. Kilka innych osób przeglądało literaturę.

Zebranie prowadziła kobieta, niska i energiczna, starsza od niego, ale wciąż młoda. Umiała mówić. Lustrowała go wzrokiem i kiedy jej twarz przybrała niepewny wyraz, przypomniał ją sobie: była szwaczką.

Mówiła o wojnie. Atmosfera była napięta. „Rozszalały Renegat” nie tylko nie popierał oficjalnych i domyślnych celów wojny - takie stanowisko było powszechne pośród małych grup dysydenckich - ale nie ukrywał, że walczy o przegraną Nowego Crobuzon.

- Myślicie, że Tesh jest lepsze? - spytał ktoś ze złością i niedowierzaniem.

- Nie chodzi o to, kto jest lepszy - odparła szwaczka - tylko o to, że nasi główni wrogowie są tutaj.

Ori nie zabierał głosu. Obserwował prowadzącą i tylko raz był bliski interwencji: jeden z mężczyzn tak się zdenerwował na jej „miłość do Tesh”, jak to nazwał, że sprawiał takie wrażenie, jakby zamierzał przejść do rękoczynów. Ori nie wierzył, żeby kogokolwiek przekonała - sam nie był pewien, co sądzi o wojnie, poza tym, że obie strony uważał za drańskie i miał to wszystko gdzieś - ale jej zdolności oratorskie zrobiły na nim wrażenie. Kiedy poszli, pochwalili ją, tylko na poły ironicznie.

- Gdzie jest Jack? - spytał Ori. - Dawny prowadzący?

- Curdin? Zniknął. Milicja. Zgarnęli go. Nie wiadomo, co z nim zrobili.

Oboje umilkli. Zebrała papiery. Czyli Curdin nie żyje, siedzi w więzieniu albo diabli wiedzą co.

- Przykro mi. - Skinęła głową. - Dobrze ci poszło.

Znowu skinęła głową.

- Opowiadał mi o tobie. - Nie patrzyła na niego. - Często o tobie mówił. Był bardzo zawiedziony, kiedy przestałeś przychodzić. Bardzo cię cenił. „Ten chłopak ma w sobie sprawiedliwy gniew” - mówił. „Mam nadzieję, że wie, co z nim zrobić”. No i... jak tam jest po stronie pięści, Jack? Jak tam jest u Bonnota, Toro, Poppy’ego, czy u kogo tam jesteś? Myślisz, że ludzie nie wiedzą? To jak, co teraz robisz?

- Więcej niż wy. - Ale jeszcze zanim wypowiedział te słowa, jego zgryźliwość wydała mu się dziecinna, a poza tym nie chciał wszczynać kłótni. - Jak przejęłaś stery?

Tak naprawdę chciał powiedzieć: „Dużo wiesz, jesteś zdolną polemistką, zasłużyłaś sobie na ten awans”. Podczas ich poprzedniego spotkania był doświadczonym dysydem uzbromionym w insurekcyjną filozofię. Od tego czasu stał się człowiekiem, który widział śmierć, zhardział, dostał milicyjnym nożem i umiał rozmawiać z niebezpiecznymi szumowinami ze wschodnich dzielnic, ale ona była lepiej poinformowana.

Wzruszyła ramionami.

- Czasy się zmieniają - powiedziała bagatelizującym tonem, ale potem spojrzała mu w oczy. - Jak mogłeś to zrobić akurat teraz? Nie wiesz, co się dzieje? Nie czujesz tego? W zeszłym tygodniu zastrajkowało pięć odlewni, Jack. Pięć. Frakcja Retif gildii dokerów rozmawia z vodyanoi na temat powołania międzyrasowego związku zawodowego. Nasi chaverim torują do tego drogę. Następny marsz, który zorganizujemy, zakończymy jawnym zebraniem, nareszcie nie będziemy musieli się kisić w tych lochach. - Pokazała na wilgotne ściany i położyła dłonie na biodrach. - Na pewno słyszałeś, co się mówi. Wiesz, co do nas wraca? I w takim momencie postanowiłeś zostać bojówkarzem? Odwrócić się plecami do ogółu?

Prychnął pogardliwie. Co za okropny żargon, ogół, wspólnota, na którą w kółko powoływał się „Rozszalały Renegat”.

- Robimy ważne rzeczy - powiedział. Jej tyrada wzbudziła w nim konsternację... a może melancholię, nostalgię. Nic nie wiedział o działaniach i zmianach, o których mówiła i w których dawniej brałby udział. Ale podniecenie i duma przyszły mu z pomocą i dodał z uśmiechem: - Nie masz pojęcia, co szykujemy.

Drzwi biura otworzyły się i wyszli z nich Starobark i Marcus, zauważeni tylko przez Oriego. Człowiek-kaktus wymienił z nim spojrzenia i zniknął za tłumem ciekawskich.

Ostrożnie, nie nagle, Ori dał Catlinie znać, że zadanie wykonane, i oboje ściszyli głosy jak ludzie zmęczeni kłótnią. Ori obrał drogę pod nadziemnymi torami i arkadami linii Dexter.

Oświetlone gazem pociągi sunęły na tle nieba skąpanego w brązowym zmierzchu. Ori wracał do swojego zamaskowanego szefa, którego tak rzadko widywał, zostawiwszy za sobą zamordowanego człowieka.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Ori poszedł do doków w Kelltree. Miało się tam odbyć zebranie, niby spontaniczne, o którym Plenum i jego frakcje od wielu tygodni rozpuszczały wici. Nie można było zamieścić ogłoszenia w „RR” czy „Kuźnicy”, dlatego pozostali przy graffiti, ręcznym slangu i propagandzie szeptanej. Nie ulegało wątpliwości, że milicja ich rozpędzi. Pytanie brzmiało, ile mają czasu. Przed magazynem koncernu Paradox kłębił się tłum, dokerzy i paru buchalterów, głównie ludzie, ale zjawili się przedstawiciele wszystkich ras, nawet przetworzeni, którzy ostrożnie trzymali się z boku.

Z kanałów łączących doki z rzeką śledzili wiec vodyanoi. Kilkadziesiąt metrów dalej, ukryta za dachami, płynęła Wielka Smoła, szerokie połączenie Smoły i Egzemy, które rozcinało wschodnią część miasta na dwoje. Gdy do portu zawijały wielkie żaglowce, Ori mógł za domami dostrzec poruszające się maszty, a ponad kominami ich takielunek.

Statki powietrze patrolowały niebo. „Teraz szybko” - pomyślał Ori. Klin mężczyzn i kobiet przecisnął się przez tłum, nagle wykrystalizowany i energiczny. Środkiem szedł człowiek, którego podnieśli na pełniącą funkcję sceny ceglana budę. Po chwili dołączyła do niego osoba, którą Ori rozpoznał: plenarysta z frakcji Zakazanych.

- Przyjaciele! - zawołał mężczyzna. - Mamy tutaj kogoś, kto chce do was przemówić, mój przyjaciel Jack. - Cierpkie uśmiechy wśród słuchaczy. - Chce wam coś powiedzieć o wojnie.

Mieli tak mało czasu. Milicyjni szpicle z pewnością już gonili do swoich oficerów prowadzących. W taumatycznej nasłuchowni, która mieściła się w Szpikulcu, komunikatorzy mrugali powiekami i spośród skłębionego nad miastem informacyjnego szumu próbowali wyłowić zakazane tematy. „Teraz szybko” - pomyślał Ori.

Obejrzawszy się za siebie, aby oszacować, ile osób przyszło, Ori z zaskoczeniem zobaczył Petrona. Nuevista uzupełniał swoją działalność artystyczną prawdziwym dysydenctwem, narażał się na coś więcej niż nocną bójkę na Polach Salacusa. Oriemu to zaimponowało.

Wokół niego roilo się od plenarystów. Ori zobaczył kogoś z Ekscesu, z Suffragim, z redakcji „Rozszalałego Renegata”. Dzisiejszy mówca był bezpartyjny, toteż wszystkie te niestabilne, chaotyczne, konkurujące ze sobą bądź zaprzyjaźnione frakcje musiały się nim podzielić. Każda z nich pragnęła go skaptować.

- Ma ważne rzeczy do powiedzenia! - zawołał członek Ligi Zakazanych. - Jack wrócił z wojny!

Zapadła absolutna cisza. Ten człowiek był żołnierzem. Ori wzmógł czujność. Co to za szaleństwo? Tak, były przymusowe wcielenia i militarne prze-tworzenia, ale niezależnie od swoich osobistych losów ten człowiek formalnie należał do milicji. A mimo to zaproszono go na wiec. Podeszedł o krok do przodu.

- Nie przyszedłem po wasze współczucie. Jestem tutaj... jestem tutaj, żeby wam powiedzieć... żeby wam powiedzieć, jak jest naprawdę.

Nie był dobrym mówcą, ale dysponował wystarczająco donośnym głosem, aby wszyscy go rozumieli.

Spieszył się, bo ostrzeżono go, że nie będzie miał zbyt wiele czasu.

- Nigdy nie mówiłem do tak wielu ludzi - zdradził drżącym głosem mężczyzna, który nosił broń i zabijał dla Nowego Crobuzon.

- Wojna jest kłamstwem - powiedział. - Mam tutaj swoją odznakę. - Wyjął ją koniuszkami palców, jakby była brudna. „Jak miasto się dowie, to po nim” - pomyślał Ori. - Wiele miesięcy na statkach, płynęliśmy przez Cieśninę Ognistej Wody, potem lądowanie na wybrzeżu Tesh. Myśleliśmy, że trzeba będzie walczyć na morzach, do tego nas szkolili, widzieliśmy statki Tesh, krążyły wokół nas jak psy, ale nas nie zauważyli. Nie wszyscy w milicji są wierni miastu, teraz już nie. My z Dog Fenn znaleźliśmy się na tym statku, bo nie ma dla nas innej roboty. Kazali nam wyzwolić wioski Tesh od tyranii. Ale oni nas nie chcą. Widziałem takie rzeczy... Co oni nam zrobili i jak myśmy im odpłacili. - Gdzieś z tyłu dobiegły odgłosy zamieszania, paru zwiadowców z Plenum przecisnęło się przez tłum i za pomocą ręcznego slangu przesłali jakiś paniczny komunikat zakazanemu, który szepnął coś żołnierzowi do ucha. Ori przygotował się do ucieczki. Milicyjny renegat z gniewem podjął swoją przemowę: - To nie jest wojna o wolność ani o Teshi! Oni nas nienawidzą, a my... mogę wam powiedzieć, że myśmy ich nienawidzili jak psów, to była, to była rzeź, jedna wielka jatka. Wysyłali na nas swoje dzieci naszpikowane magią, żebyśmy się roztopili. Na moich oczach moi ludzie topili się jak masło w słońcu i, Jabberze drogi, robiłem takie rzeczy... Nie macie pojęcia, jak tam jest. Oni nie są tacy jak my. - Człowiek z Ligi Zakazanych popchnął go na skraj dachu budy. - Więc srać na milicję i srać na ich wojnę. Nie jestem przyjacielem tych przeklętych Teshi po tym wszystkim, co przeżyłem, ale *ich* - pokazał na bazaltowy pałac kolumnowy Parlamentu, który bluźnierczo i arogancko dźgał niebo rurami i podobnymi do kłów turniami - nienawidzę dwa razy bardziej. Jeśli ktoś zasłużył na to, żeby zdechnąć, to nie jakiś chłop z Tesh, tylko ci, którzy nas w to wpakowali. Kto ich stamtąd przegoni? - Z kciuka zrobił kurek, a z palca wskazującego lufę i kilka razy strzelił w stronę parlamentu, przestępstwo karane prze-tworzeniem. - Srać na ich wojnę.

- Tak jest - zawołał ktoś z „Rozszalałego Renegata” - i walczyć o przegraną, walczyć o klęskę!

Rozległy się gniewne protesty ludzi, którzy uznali ten pomysł za idiotyczny. Wrzeszczeli na Renegatów, że są zdrajcami ojczyzny, agentami Pełzającej Cieczy. Ale zanim zdążyły pójść w ruch pięści, zabrzmiały gwizdki strażników i tłum zaczął się rozpraszać. Ori pisał szybko na skrawku papieru.

Nadciągała milicja. Ludzie byli na to przygotowani i rzucili się do ucieczki. Ori też pobiegł, ale nie do bram czy dziury w ogrodzeniu, lecz w stronę mówcy.

Przecisnął się między dyskutującymi plenarystami. Ktoś go rozpoznał, ale pozdrowienie lub pytanie zastygło mu na ustach, bo Ori nie zwracał na nic uwagi, tylko ze spojrzeniem skierowanym prosto przed siebie zmierzał ku rozjuszonemu żołnierzowi - Jackowi. Ori wsunął mu do kieszeni karteczkę ze swoim nazwiskiem i adresem.

- Kto ich stamtąd przegoni? - szepnął. - My. Te nedorajdy na pewno nie. Odwiedź mnie.

Potem warkot śmigieł i nad ich głowami pojawił się statek powietrzny. Z włazów wypadły liny, po których spłynęła milicja. Psy szczekały. W bramach magazynu tłoczyli się uciekający ludzie, wybuchła panika. Ktoś krzyknął: „Gruczołowce!” i rzeczywiście, ponad mury powoli wznosiły się meduzowate stwory z licznymi naroślami i kanalikami. Dosiadali ich milicjanci pociągający za odsłonięte końcówki nerwów. Meduzy statecznie leciały w stronę przerażonych plenarystów, z mackami ociekającymi trucizną. Ori wziął nogi za pas.

Na ulicach z pewnością czekały inne formacje milicyjne: unikojeźdźcy, agenci w cywilu.

Ori wiedział, że musi mieć się na baczności. Doskwierała mu świadomość, że jakiś snajper może wziąć go na muszkę ze statku powietrznego. Znał jednak te ulice na wylot. Większość uczestników wiecu zniknęła już w ceglany labirynt Nowego Crobuzon, ludzie przebiegali obok zaskoczonych sklepikarzy i włóczęgów, aby kilka przecznic dalej nagle zwolnić i wmieszać się w strumień przechodniów. Trochę ponad kilometr dalej, po drugiej stronie rzeki, zachwycony Ori usłyszał, że nikt nie został aresztowany ani zabity.

Żołnierz nazywał się Baron. Powiedział to Oriemu bez śladu konspiracyjności i ostrożności, która dla dysydentów była drugą naturą. Na trzeci dzień zjawił się wieczorem pod drzwiami Oriego z otrzymanym od niego papierkiem w garści.

- No to gadaj - zaczął Baron. - Jak chcecie wykurzyć lisa z jamy? I kto ty jesteś, chaver?

- Jak to się stało, że do tej pory cię nie zwinęli? - spytał Ori.

Baron wyjaśnił, że setki milicjantów zdezerterowały. Większość z tych, którzy nie mieli już ochoty nosić munduru, próbowała jak najmniej rzucić się w oczy. Zniknęli w gospodarczej szarej strefie, gdzie byli niewidoczni dla swoich dawnych towarzyszy broni. Przy takim chaosie, jaki panował w Nowym Crobuzon, milicja nie panowała nad swoim stanem osobowym. Nie było dnia bez strajku czy zamieszek. Liczba bezrobotnych rosła, Nowopiórcy atakowali obce rasy, a obcy i dysydenci Nowopiórców. Niektórzy politycy z Parlamentu nawoływali do kompromisu, podjęcia negocjacji z gildiami.

- Ja się nie ukrywam - powiedział Baron. - Nie boję się.

Zmierzali do Strasznej Sroki w Riverskin, blisko getta ludzi-kaktusów. Ori nie chciał iść do Dwóch Gąsienic ani żadnej innej knajpy znanej jako miejsce spotkań dysydentów, a tym samym obserwowanej. Ulice w Riverskin były cichymi wąwozami biegnącymi pomiędzy zawilgłymi drewnianymi domami. Najgorszą rzeczą, jaka im tutaj groziła, było spotkanie z bandami zaćpanych młodych ludzi-kaktusów wałęsających się po mieście lub siedzących na dźwigarach u dołu Szklarni, która osiemdziesiąt metrów w górze wisiała nad geografiami Nowego Crobuzon. Wytatuowani chuligani śledzili Oriego i Barona wzrokiem, ale nie zaczepili ich.

Doświadczenia wojenne odcisnęły swoje piętno na psychice Barona. Znajdowało to swój wyraz nie w wypowiedzianych przez niego słowach, tylko w pauzach i przemilczeniach. Gniew. Ori podejrzewał, że każdy kombatant nosił w sobie historie, na które nie umiał znaleźć słów. Baron o czymś myślał, o jakimś konkretnym przeżyciu - ale jakim... może o krwi, o śmierci, o przemianie - jakimś bestialstwie, które uczyniło z niego tego agresywnego człowieka płonącego żądzą zabicia jego dawnych chlebodawców. Ori pomyślał o poległych przyjaciółkach i o bólu.

Każda z frakcji Plenum próbowała skaptować Barona i innych milicyjnych dezertorów. Z odpowiednio dozowanym krytycyzmem Ori wyjaśnił mu program poszczególnych ugrupowań. Opowiedział mu u dokonaniach i planach ekipy Toro. Wciągnął Barona na swoją orbitę.

Baron stanowił cenne trofeum. Toryści byli zachwyceni. Tego wieczoru, kiedy Baron oficjalnie do nich przystąpił, Toro zjawił się osobiście i położył kościstą dłoń na torsie byłego milicjanta.

Przy tej okazji Ori po raz pierwszy zobaczył, w jaki sposób Toro przemieszcza się z miejsca w miejsce. Kiedy wszystko było już omówione, Toro pochylił swój niezwykle hełm do przodu i napał nim na powietrze, pchał i naciskał, aż w końcu rogi natrafiły na opór, wbity się w niego i w tych dwóch punktach wszechświat rozciągnął się i wygiął. Ori słyszał wokół siebie taumaturgiczne trzaski. Rogi Toro Przebiły się na drugą stronę, a on sam poleciał za nimi. Pęknięta skóra rzeczywistości zasklepiła się i wszystko wróciło do normy.

- Co właściwie Toro robi, że jest szefem? - spytał Ori prze-tworzonego Ulliana. - Ja się nie skarżę, tylko chcę wiedzieć. Co robi Toro?

- Miejmy nadzieję, że nigdy się nie dowiesz - odparł z uśmiechem Ulliam. - Bez Toro jesteśmy niczym.

Baron wniósł w wianie żołnierską bezwzględność. Kiedy opowiadał o wojnie, kipiał wściekłością i żyły mu wylażyły, ale kiedy wykonywał zlecenia, akcje odwetowe przeciwko kapusiom czy dyscyplinujące pobicia wymierzone w narkotykowe gangi, które przekroczyły granicę rewiru Toro, działał z zimną krwią, bez śladu emocji.

Budził strach w swoich nowych towarzyszach. Pracował jak robot; kiedy wymierzał karę, jego oczy gasły, mieszkające w nich życie chowało się bardzo głęboko. „Jesteśmy cieniasy” - pomyślał Ori. Toryści uważali się za twardzieli - i rzeczywiście nie stronili od brutalnych, krwawych akcji - ale ich anarchistyczny gniew był zaledwie trzepotem skrzydeł motyla wobec wichru zimnej, bezemocjonalnej fachowości żołnierza. Podziwiali go.

Ori przypomniał sobie pierwszą egzekucję, którą widział, na oficerze tajnych służb. Dysponowali żelaznymi dowodami na to, że kapitan ma *na* rękach krew wielu dysydentów, ale mimo wspomnień o uwięzionych i straconych braciach i siostrach, mimo osobistych wspomnień Ulliana z fabryki kar egzekucja nie była łatwa. Ori zamknął oczy, żeby nie widzieć momentu strzału. Dali pistolet Ulliamowi, mówiąc, że zemści się w ten sposób za swoje prze-tworzenie, ale Ori sądził, że powód jest inny: Ulliam nie mógł zobaczyć swojej ofiary, ponieważ twarz miał skierowaną do tyłu. Mimo to Ori gotów był się założyć, że jego towarzysz zamknął oczy, kiedy pociągał za spust.

Tymczasem Baron wchodził tam, gdzie mu kazano, i zabijał bez zmrużenia oka, bez skrupułów, bez litości, podobny do konstruktów, które Ori pamiętał z dzieciństwa: dobrze naoliwiona, metalowa, bezmyślna maszyna.

Kiedy Dzierzby z Murkside z prowokacyjną zuchwałością znowu wkroczyły w rewir Toro, Ori, Enoch i Baron otrzymali zadanie położenia kresu tym najściom.

- Tylko jednego - powiedział Toro. - Tego z zajęczą wargą. On jest mózgiem.

Ori, bezkonkurencyjnie najlepszy snajper, miał skalkówkę, a Enoch podwójną kuszę, ale zanim zdążyli choć raz wystrzelić, Baron opróżnił już całą swoją magazynówkę.

Młodzi chłopcy i dziewczyny, świta Dzierzb, przesiadywali na schodach do ich głównej kwatery, pijąc narkonapar i paląc shazbah. Baron szedł pierwszy. Zaczepiło go dwóch ćpunów formalnie pełniących straż. Obu zgasił spojrzeniem i wyszeptaną groźbą. Ori zakręcał na ostatnim półpiętrze, kiedy usłyszał pęknięcie drewna i krzyki.

Zanim dotarł do drzwi, rozległy się dwa strzały i dwóch około siedemnastoletnich

chłopców tarzało się po podłodze z krwawiącymi nogami i wrzeszczało. Ich towarzysze uciekali, a Baron parł do przodu. Ktoś do niego strzelił i Ori zobaczył wykwit krwi na jego lewym ramieniu. Baron stęknął i twarz mu się ściągnęła, ale po chwili wróciła maska obojętności. Dwa szybkie strzały unieszkodliwiły albo skłoniły do ucieczki tych, którzy nie rzucili jeszcze broni. Wreszcie Baron dotarł do młodego człowieka z zajęczą wargą, szefa gangu, i zlikwidował go, zanim Enoch i Ori zdążyli włączyć się do akcji.

„Jemu nie zależy na życiu” - pomyślał Ori tego wieczoru. Baron go przeraził. „Będzie zabijał, jeśli mu każemy. Będzie zabijał, jeśli mu pozwolimy. To nie jest człowiek, który nauczył się walczyć na polu bitwy”. Z prędkością błyskawicy wymiatał cały pokój, raz-dwa-trzy, kontrolował wszystkie kąty naraz. Był ekspertem w dziedzinie miejskiej walki, a nie rekrutem nowicjuszem, bezrobotnym, który poszedł do wojska ze względu na żołd, pospiesznie wyszkolonym i wysłanym na front jako mięso armatnie. „Co potrafi Toro?” - zastanawiał się Ori. Nigdy nie widział swego szefa w walce.

- Co to za hełm? - dociekał Ori.

Ulliam powiedział mu, że Toro wyszedł z fabryki kar albo z więzienia, albo z lasu, albo z podziemnego miasta i udał się na długie i mozolne poszukiwania rzemieślnika i materiałów, po czym zlecił wykonanie hełmu według jego specyfikacji. Czasami nazywano go rasulbagra, głowa byka. Ulliam opowiadał niesamowite historie o mocach hełmu i o niebezpieczeństwach związanych z jego wytwarzaniem, historie obejmujące wiele lat.

- Wiele lat w więzieniu, wiele lat poszukiwania materiałów, wiele lat noszenia - podsumował. - Zobaczysz, co można z nim zrobić.

Każdy członek ekipy miał swoje zadania. Ori miał ukraść z laboratoriów skalne mleko i likwory do zakłęb. Wiedział, że nadchodzi moment realizacji planu, dostrzegał jego elementy w otrzymanywanych poleceniach.

„Załatw plany dolnych kondygnacji parlamentu”. Że co? Ori nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać. „Zaprzyjaźnij się ze skrybą z kancelarii. Sprawdź, jak się nazywa osobisty sekretarz burmistrzynie. Zatrudnij się do pracy na dniówkę w Parlamencie i czekaj na dalsze instrukcje”.

Atmosfera strajku i powstania zaostrzała się: Ori czuł to w kościach, podniecony i pełen nadziei.

Spiral Jacobs znowu pojawił się w przytułku. Na jego widok Ori doznał dziwnego uczucia, jakby z serca spadło mu ciężkie brzemie. Tego wieczoru Spiral miał jasny umysł, patrzył na Oriego czujnym wzrokiem.

- Twoje pieniądze są dla nas wielką pomocą - powiedział Ori. - Ale otrzymałem polecenia, których nie umiem wykonać. - Zdał relację. - Od czego mam zacząć?

Siedzieli na wałach w Griss Fell, niedaleko spływu dwóch rzek, w miejscu, z którego

widać Strack Island i wieże Parlamentu jakby wyrastające z wód Wielkiej Smoły. Odbicia szarego światła w wieczornej wodzie były matowe. Z Little Strack dobiegało miauczenie kota, który jakimś cudem zabłąkał się na tę wysepkę. Spiral Jacobs splunął na wystające z wody słupy, które wyznaczały granicę Starego Miasta. Były to prastare, kamienne rzeźby, kręta droga stylizowanych figur ilustrujących wczesne dzieje Nowego Crobuzon. Chuligańscy vodyanoi bezczęścili ich podwodne odcinki.

- Wypróbują różne metody, co? - Jacob wziął od Oriego cygaretkę. - Założę się, że nie mają żadnej strategii. Sprawdzają różne sposoby dostania się do środka. - Zaciągnął się, podumał i pokręcił głową. - Cholera, Jack zabrałby się do tego inaczej - dodał ze śmiechem.

- Czyli jak?

Jacobs wpatrywał się w rozżarzony koniuszek cygaretki.

- Burmistrzynie nie siedzi cały czas w Parlamencie. Taka ważna figura musi mieć ochronę. Ludzi, którym ufa. Wszędzie, gdzie idzie. Jack mi to powiedział, Jack to wywęszył... towarzyszy jej Gwardia Tarczogłowych. Tylko im ufa. - Podniósł wzrok. Na twarzy Spiral Jacobsa malowała się niespotykana u niego powaga. - Wyobraź sobie, że jeden z nich zostaje przekupiony i przechodzi na drugą stronę...

- Ale wybiera się ich właśnie pod kątem tego, żeby nie dało się ich przekupić.

- Historia jest usłana trupami tych, którzy zaufali ludziom nieprzekupnym - stwierdził sentencjonalnie Jacobs.

Podał Oriemu pewne nazwisko. Ori śledził wzrokiem starego włóczęgę, który oddalił się powoli. Pod każdą latarnią na parę kroków wylaniał się z ciemności. Na końcu uliczki stanął oparty o ścianę zmęczony starzec z kredą na palcach.

- Dokąd idziesz? - spytał Ori. Tu, nad rzeką jego głos brzmiał głucho, zamiast odbijać się echem od ceglanych murów, szybko się rozproszył. - I cholera, Spiral, skąd ty to wszystko wiesz? Musisz przyjść do Toro. - Był podniecony i wytracony z równowagi. - Jak ty to robisz? Jesteś lepszy od nas wszystkich. Przyjdź do Byka, przystąp do nas. Nie chcesz?

Starzec oblizał wargi. Widać było, że się namyśla.

- Nie wszystkie ścieżki Jacka są zatarte - odparł w końcu. - Kto je znajdzie, ten się dowie różnych rzeczy. - Parodystycznie konspiracyjnym gestem postukał się w nos. - Owszem, sporo wiem, ale jestem za stary, żeby się w to bawić, chłopcze. Zostawiam to młodym gniewnym.

Powtórzył nazwisko, ponownie się uśmiechnął i poszedł. Ori wiedział, że powinien pobiec za nim, jeszcze raz spróbować go pozyskać dla Toro, ale powstrzymało go dziwne, niemal nabożne uczucie respektu. Jakiś czas temu Ori zaczął ozdabiać swoje ubrania symbolami imitującymi zawijasy, które Jacobs rysował na murach. Spiral Jacobs poruszał się własnymi ścieżkami i Ori nie mógł go odzierać z tego nimbu tajemniczości.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Starobark był zachwycony zdobytą przez Oriego informacją, ale nie uwierzył, że pochodzi ona ze wskazanego przezeń źródła.

- Parę głębszych we właściwej knajpie w Sheck... Na moją zieloną dupę, nie wciskaj mi kitu, chłopcze! Osoba z zewnątrz nie mogła znać tego nazwiska. Masz informatora, którego nie chcesz ujawnić. Nie chcesz się nim podzielić. A może nią? Nałożnica jakiegoś oficera? Czyżbyś uprawiał horyzontalny werbunek? Wszystko jedno. Nie wiem, jak się dorwałeś do tej informacji, ale jest warta wszystkich pieniędzy. O ile jest prawdziwa. Więc nie będę cię naciskał. Ufam ci, chłopcze, inaczej bym cię nie wciągnął. I dlatego, że ci ufam, zakładam, że masz ważne powody, aby trzymać to w tajemnicy. Ale nie powiem, żeby mi się to podobało. Jeśli uprawiasz jakieś gry... - Czytaj: „Jeśli przeszedłeś na drugą stronę”. - Nawet jeśli jesteś wykorzystywany przez wroga, nie zdając sobie z tego sprawy, jak wpakujesz nas w tarapaty, to możesz być pewien, że cię zabiję.

Groźba ta nie zrobiła na Orim wrażenia. Starobark zaczął mu grać na nerwach. Spojrzał kaktusowi prosto w oczy.

- Jestem gotów oddać życie za tę akcję - powiedział i uświadomił sobie, że to prawda. - Zlikwiduję burmistrzynie, utnę głowę temu zasranemu Parlamentowi. A gdybym rzeczywiście was wystawił? Gdyby ta informacja, którą zdobyłem i która otworzy nam drogę do sukcesu, okazała się pułapką, to jak zamierzasz zorganizować zabicie mnie, co? Bo przecież to ty zginiesz.

Popełnił błąd. Zdradził mu to wyraz oczu Starobarka. Mimo to nie żałował swojej prowokacji. Nie umiał się pozbyć uczucia złośliwej satysfakcji, mimo że próbował.

Wszyscy bali się Barona. Widzieli, że umie strzelać i walczyć, ale jego zdolności dyplomatyczne były wielką niewiadomą. Udzielali mu szczegółowych instrukcji, aż w końcu stracił cierpliwość i warknął na nich, żeby mu zaufali i dali mu spokój. Nie mieli wyboru.

- Potrzebujemy człowieka, który mówi ich językiem - powiedział Toro.

Taumaturgiczne mechanizmy hełmu zamieniły jego słowa w głuchy ryk. Drobne ciało podczepione do masywnego hełmu nie wyglądało śmiesznie, było gibkie i mocne jak u tancerza. Lampy jego oczodołów rozlewały światło.

- Jesteśmy kryminalistami - podjął szef. - Nie możemy rozmawiać z milicją, boby nas przejrżeli. Potrzebujemy kogoś z czystą kartoteką. Kto jest jednym z nich. Zna koszarowy slang. Potrzebujemy milicjanta.

Jednostki milicji były rozsiane po całym mieście. Niektóre miały tajny charakter. Wszystkie były chronione za pomocą magicznych zaklęć i broni konwencjonalnej. Ale w pobliżu każdej z nich znajdowała się knajpa odwiedzana przez funkcjonariuszy i dysydenci mieli pełną listę tych lokali.

Bertold Sulion, którego nazwisko Ori otrzymał od Spiral Jacobsa i przekazał swoim towarzyszom, według starca był sfrustrowanym członkiem Gwardii Tarczoglów, u którego lojalność wyradzała się w nihilizm i chciwość. Stacjonował w samym Parlamencie, przed biurem burmistrzynie albo w środku. A to oznaczało, że uczęszczał do jednej z knajp w okolicy wieży milicyjnej, w klinowatej części Brock Marsh u zbiegu Smoły i Egzemy.

Brock Marsh, dzielnica magików. Najstarsza dzielnica starego miasta. W części północnej, z brukowanymi kocimi łbami uliczkami i krzywymi, drewnianymi ruderami pełnymi magicznego rynsztunku mieszkali karciści, bionumaniści, fizycy i politaumaturgowie. Ale w

części południowej kanalizacją płynęło mniej eliksirów, a w powietrzu nie unosił się fetor zakłęd. Naukowcy i ich pasożytnicze branże usychały pod nadziemnymi torami i milicyjnymi gondolami. Strack Island i Parlament wynurzały się opodal z rzeki. W tej właśnie okolicy gwardziści chodzili się napić.

Był to labirynt smętnych ulic z industrialnym klimatem betonu i dźwigarów, przygięty wiekiem do ziemi i zaniedbany. W tamtejszych knajpach - Pokonany Wróg, Borsuk, Busola i Marchewka - Baron wypracowywał sobie status stałego klienta, licząc na to, że prędzej czy później spotka Suliona.

Nagłówki w „Dyspucie” i „Pochodni” informowały o ciężko wywalczonych zwycięstwach w Cieśninie Ognistej Wody, pokonaniu unikostatków Teshich i wyzwoleniu niewolniczych wsi w granicach domeny Tesh. Publikowano nieostre heliotypy, na których wieśniacy i crobuzońscy milicjanci uśmiechali się do siebie, milicjanci pomagali odbudować sklep z żywnością, milicyjny doktor leczył chłopskie dziecko.

„Kuźnica”, gazетка Plenum, dotarła do żołnierza takiego jak Baron, również dezertera. Opowiadał o wojnie zupełnie inaczej.

- Mimo tego wszystkiego, co robimy, mimo tego wszystkiego, o czym on mówi, nie wygrywamy - kontrował Baron. - Nie wygramy.

Ori miał wrażenie, że jest to główne źródło jego gniewu.

- Baron przypomina mi różne rzeczy, które widziałem - stwierdził Ulliam. - I o których wołałbym nie pamiętać.

Wieczór, Pola Pelorusa, w południowej części Nowego Crobuzon. Spokojna okolica lubiana przez skrybów i biuralistów, z enklawami, które przypominały bogate miasteczka: parki, fontanny, grube kościoły i dewocjonalia poświęcone Jabberowi. Bukoliczne zakątki odizolowane od krzątanimy na Wynion Street z jej targami obuwniczymi i spelunami herbacianymi.

Wyprawa na Pola Pelorusa wiązała się dla Ulliamia i Oriego z pewnym ryzykiem. Wraz z nasileniem się strajków i bezprawia zapanowała tam atmosfera oblężonej twierdzy. Kiedy parlamentarzyści spotykali się z coraz lepiej zorganizowanymi gildiami, a Plenum przemawiało mało subtelnym głosem swoich rzeczników i organów prasowych, Pola Pelorusa ogarnął niepokój. Mieszkańcy powołali Komitety Obrony Obyczajności, które co wieczór patrolowały dzielnicę. Wystraszeni copywriterzy i aktuariarze nękali obcych, ubogo odzianych przechodniów i prze-tworzonych, którzy nie okazywali należnego szacunku.

Ale były też takie miejsca jak U Bolanda.

- Proszę tylko o odrobinę powściągliwości, panie i panowie - mówił Boland do nuevistycznych poetów, dysydentów, którzy przychodzili tam dla wyśmienitej kawy i możliwości ukrycia się za porośniętych bluszczem oknami. Ori i Ulliam siedzieli naprzeciwko siebie, Ulliam plecami do stolika, czyli twarzą do kolegi.

- Już wcześniej widziałem ludzi, którzy w ten sposób zajmowali pokój - powiedział Ulliam. - Właśnie tacy mi to zrobili - dodał, pokazując na swoją szyję.

- Za co cię prze-tworzyli? I dlaczego w ten sposób?

Zadanie tego pytania świadczyło o zaufaniu. Ulliam nie zbladł, nie szarpnął się zbulwersowany, tylko zareagował śmiechem.

- Nie uwierzyłbyś mi, Ori. Byłeś małym dzieckiem albo jeszcze w ogóle się nie urodziłeś. Wszystkiego nie mogę ci teraz opowiedzieć. Było, minęło. Byłem czymś w rodzaju pastucha -

stwierdził ze śmiechem. - Ach, jakich zwierząt ja pilnowałem! Niczego się nie boję. Poza tym, wiesz... jak zobaczyłem Barona w tym pokoju... Nie powiem, że znowu się bałem, ale przypomniałem sobie, co to jest strach.

- Czy myślisz o tym, co zrobimy, jak już zaczniemy? - spytał później. - O robocie?

Audiencji u przeoryszy?

Ori pokręcił głową.

- Przyniesiemy ludziom zmiany. Żadnych półśrodków. - Jak zawsze przy tym temacie ogarnęło go podniecenie. - Kiedy utniemy smokowi głowę i popatrzymy, jak spada, ludzie się przebudzą. Nic nas nie powstrzyma.

„Zrobimy rewolucję. Zmienimy bieg historii. Obywatele Nowego Crobuzon powstaną i wyzwolą się”.

Później, kiedy szli ulicą oddaleni od siebie o kilka kroków, bo na Polach Pelorusa prawdziwi i prze-tworzeni nie mogli się bratać, kilka ulic dalej usłyszeli krzyki. Usłyszeli, że jakaś kobieta ucieka. Jej głos ślizgał się po skąpanych w nocnej poświacie dachach Wynion Street. Wrzeszczała przerażona: „Coś wylazło, coś wylazło!”, a Ori i Ulliam wymienili spojrzenia, zadając sobie pytanie, czy powinni jej pomóc. Wkrótce krzyk przeszedł w szloch, który zgasł, a kiedy odbili na północ, nie mogli jej już znaleźć.

W portownik, dwunastego oktuara, coś zawisło na tle zimnego słońca lata. Później Ori nie mógł sobie przypomnieć, czy widział ten moment na własne oczy, czy też tak często słyszał tę historię, że przeniknęła do jego wspomnień.

Jechał pociągiem. Linia Sink, nad biedną dzielnicą Spatters w stronę Vaudois Hill z tamtejszymi okazałymi rezydencjami. Z innej części wagonu dobiegł go okrzyk, który zignorował, ale potem rozległy się następne i rozejrzał się wokół siebie, a potem wyjrzał przez okno.

Jechali odcinkiem nadziemnym, po obu stronach mieli kominy, minarety, wieżowce ze spękaną od wilgoci skórą, wyglądające jak drzewa bagienne. W kierunku wschodnim nic nie zakłócało widoku. Słońce wstawało nad horyzont, rozlewając gęste światło i cienie - i na środku coś się unosiło. Mała postać, ostro zarysowana, ani ludzka, ani urzęsiony plankton, ani majestatyczny orzeł, tylko wszystkiego tego po trochu plus inne rzeczy, po kolei lub równocześnie. Przybliżało się, wynurzało ze słońca niemożliwym do opisanego pływającym ruchem z wykorzystaniem wszystkich wzajemnie sprzecznych kończyn.

Bryzg chemicznego strachu siedzącej obok khepri trafił Oriego w twarz; mrugał powiekami, dopóki substancja się nie rozproszyła. Później usłyszał, że wszyscy ludzie, niezależnie od tego, gdzie stali, od Flag Hill na północy po Barrackham, nieco ponad dziesięć kilometrów na południe, wszyscy zobaczyli, że ta rzecz płynie prosto ku nim z samego środka słońca.

Przybliżało się, zasłaniając światło i okrywając miasto szarością. Roztańczone, pływające. Pociąg zwalniał, chociaż do stacji Lich Sitting było jeszcze daleko. Maszynista musiał zauważyć zjawę i przerażony uruchomił hamulce.

Niebo nad Nowym Crobuzon lśniło jak rozgrzany tłuszcz. Jak plazma. To coś pulsowało, oscylowało między małymi i dużymi rozmiarami, było punkcikiem na tle słońca, a chwilę później wydawało się, że wisi tuż nad miastem, większe od niego. Na ten makabryczny moment przybierało postać oka z gwiazdzistą źrenicą w diabolicznych kolorach, oka zagląającego

między domy, lustrującego wszystkie ulice, patrzącego w oczy każdemu, kto ośmielił się podnieść wzrok. W całym mieście podniósł się potężny wrzask zgrozy - i stwór zniknął.

Ori miał w uszach własny krzyk. Oczy go bolały i dopiero po paru chwilach zauważył, że razi je słońce, ponieważ on nadal wpatruje się w punkt, gdzie był stwór. Przez cały ten dzień miał przed uszkodzonymi oczami zielonkawą mgiełkę, która stopniowo się rozproszyła.

Wieczorem wybuchły rozruchy w Zakolu Smogu. Rozjuszeni pracownicy fabryk pobiegli w stronę St Jabber's Mound, żeby zaatakować milicję - za to, że nie ochroniła ich przed tą makabryczną marą. Inni pobiegli do Creekside i do getta kheprich, aby ukarać obcych. Jakby to oni nasłali stwora. Histeryczny idiotyzm tego zachowania wzbudził rozpacz plenarystów. Próbowali przywołać ludzi do rozsądku, ale nie zdołali powstrzymać uzbrojonej grupy, która poszła wzięć odwet.

Wiadomość o tych zdarzeniach błyskawicznie się rozniosła. Ori, który znajdował się po drugiej stronie miasta, wiedział o atakach, kiedy jeszcze trwały. Parę minut po fakcie wiedział, że u stóp wieży milicyjnej stanął twardy mur funkcjonariuszy i że meduzojeźdźcy natarli na tłum.

Martwił się o kheprich z getta.

- Musimy tam pójść - powiedział. Kiedy on i jego towarzysze czernili twarze i sprawdzali broń, Baron spojrzął na Oriego z zimnym brakiem zrozumienia. Baron poszedł z nimi nie dlatego, że chciał pomóc kheprim z Creekside, tylko dlatego, że organizacja, do której wstąpił, podjęła taką decyzję. - Toro do nas dołączy - poinformował Ori.

Zarekwirowanym na krótko pojeździe szybko przejechali przez Ehomire, pod gigantycznymi Żebrami w Mieście Kości, na drugą stronę Mostu Danechiego i przez Brock Marsh. Na niebie roiło się od sterowców, znacznie liczniejszych niż zwykle, czarnych na czarnym tle. Na ulice wyszła milicja, dobrze zabezpieczona, ich twarze skrywały lustrzane hełmy, oddziały specjalne z pałkami naładowanymi magią i garłaczami do kontrolowania tłumy. Enoch poganiał batem pteraptaki. Na obrzeżach Crow ludzie plądrowali sklepy, wynosząc perkal, słoje z żywnością i medykamenty.

Nad dachami, zaledwie kilka ulic dalej, wznosił się Szpikulec, ponury gwóźdź, z którego milicja sprawowała władzę, zakotwiczony przez siedem podniebnych torów. A obok majaczył Dworzec Perdido, fantasmagoryczny masyw dachów, nieregularny i szczerbaty.

Przemknęli pod arkadami linii Sud i Sink, słuchając sygnałów milicyjnych gwizdków. „Szowinistyczni kretyni” - pomyślał Ori o motłochu. „Wyładowują gniew na kheprich. Na miłość Jabbera! Dlatego nas potrzebujecie, żebyśmy wam otworzyli oczy”. Jeszcze raz sprawdził, czy jego broń jest gotowa do strzału.

Pierwsza i najgorsza erupcja przemocy już wygasła, kiedy dotarli na miejsce, ale w getcie było niespokojnie. Płonące odpadki rozświetlały ulice. Wiekowe domy w Creekside były zbudowane przez ludzi dla ludzi, z kiepskich materiałów, niestarannie, i chyliły się ku sobie jak paralitycy. Funkcję lepiszcza pełnił wosk i wydzielina żuków-budowniczych, gigantycznych larw hodowanych przez kheprich, żeby budynki odpowiadały ich potrzebom i tradycjom. Gruba powłoka stwardniałej śliny, która tłusto migotała w świetle pochodni, odbierała poszczególnym domom ich indywidualny charakter.

Na bezimiennym placu trwała ostatnia ofensywa. Milicji oczywiście ani śladu. Ochrona kheprich nie należała do ich obowiązków.

Kilkudziesięciu mężczyzn oblegało kościół kheprich. Na ulicy walały się odłamki posągu

Wielkiej Matki, który wcześniej stał przy wejściu. Było to marne dzieło sztuki, marmurowa figura kobiety ukradziona lub kupiona na targu staroci. Obciętą głowę zastąpiono głowoskarabeuszem z drutu. Motłoch rozbił tę skleconą z biedy i religijności chimere na tysiąc kawałków.

Napastnicy łomotali do drzwi. Wierni obserwowali ich z okien na pierwszym piętrze. Ich owadzie oczy były pozbawione wyrazu.

- Piórcy - powiedział Ori. Większość mężczyzn miała na sobie strój bojowy partii Nowe Pióra: ciemne garnitury biznesmenów z podwiniętymi nogawkami spodni i czarne meloniki, o których Ori wiedział, że mają stalową wyściółkę. Ubrojeni byli w brzytwy i łańcuchy, a niektórzy w pistolety. - Piórcy.

Baron przejął inicjatywę. Pierwszy strzał wybił dziurę w kapeluszu jednego z napastników. W miejscu wylotu kuli wykwitł krokus z filcu, krwi i metalu. Pozostali zastygli wpatrzni w Barona ze zgrozą. „Bogowie, wyjdziemy z tego cało?” - pomyślał Ori, biegnąc za wyłom muru, który zapewniał częściową osłonę. Ustrzelił jednego Nowopiórca i schronił się przed salwą, która zabębniła o kamień.

Przez straszne pół minuty toryści byli przyparci do muru. Ori widział niezdradzającą żadnych emocji twarz Barona, widział skulonych Ruby'ego i Ulliam. Skoncentrowany Ulliam strzelał zgodnie z szeptanymi rozkazami Ruby'ego. Część wrogów wzięła nogi za pas, ale twarde jądro zostało, uzbrojeni w pistolety osłaniali resztę i wszyscy przybliżali się metr po metrze.

Kiedy Ori celował do korpulentnego Nowopiórca, który z trudem mieścił się w swoim garniturze, usłyszał przykry dla ucha trzask i w pustej przestrzeni pomiędzy nim a struchlałymi ze zgrozy Nowopiórcami pojawiło się coś niewyraźnego. Dwa położone blisko siebie punkty wypaczyły substancję rzeczywistości, zakłóciły światło i dźwięk, a następnie zakrzywienie pękło i z powstałej szczeliny wypadł Toro.

Świat ponownie się zasklepił. Toro krzyknął, pochylił głowę i jednym pchnięciem rogów pokonał kilkumetrową odległość dzielącą go od grubasa, którego pałka roztrzaskała się o refrakcyjną ciemność wyplwaną przez rogi Toro. A potem przebitą mężczyzną stęknął, bryznął krwią i osunął się na ziemię jak połec mięsa, który spadł z haka.

Toro znowu krzyknął i powtórzył ten zabójczy ruch, podążając za rogami, które wydzielały hartowaną ciemność. Ori z osłupieniem zobaczył, że rogi zdają się pochłaniać krew kolejnego dźgniętego mężczyzny. Kula z pistoletu Nowopiórca przeleciała przez te dziwne emanacje i zostawiła za sobą czerwoną smugę. Toro szarpnął się do tyłu, po czym ubódł powietrze, przewracając na ziemię oddalonego o wiele metrów snajpera.

Ale chociaż Toro błyskawicznie unieszkodliwił trzech wrogów, Nowopiórcy wciąż przewyższali ich liczebnie i kipieli gniewem na tych zdrajców własnej rasy. Wykonywali taniec uników. Niektórzy poruszali się niezgrabnie, niektórzy byli wytrawnymi pięściami i strzelcami. „Nie uratujemy tych kheprich” - A pomyślał Ori.

Rozległ się tupot nóg i zrozpaczony Ori pomyślał, że zaraz zaatakuje ich kolejny pluton ulicznych bojówkarzy. Tymczasem na widok przybyszów Nowopiórcy rzucili się do ucieczki.

Kaktusy-kobiety i kaktusy-mężczyźni, khepri z dwoma sypiącymi iskrami biczami żądła, skaczący jak żaby vodyanoi, llogissy z trzema nożami. Może nawet kilkanaście obcych ras połączonych zaskakującą solidarnością. Szeroka kaktuska głośno komenderowała tym oddziałem.

- Strupoczek, Anna. - Dłoń skierowana w stronę uciekających Nowopiórców. - Chez, Silur. - Skinienie głowy ku kościołowi.

Pstrokata armia obcych wkroczyła do akcji. Ori nie wierzył własnym oczom. Zmykający Nowopiórcy w biegu oddali kilka strzałów.

- Kto wy jesteście, do cholery? - krzyknął jeden z turystów.
- Wstawać i zatkać się - rozkazał Toro. - Rzucić broń i przedstawić się.

Jeden vodyanoi i llogiss zawołali do kheprich schronionych w kościele i przerażeni jeńcy rozbiegli się do domów. Niektórzy ściskali swoich wybawicieli. Garstka samców - mało inteligentnych, karłowatych skarabeuszy spragnionych ciepła i ciemności - cofnęła się w głąb kościoła. Oriego przeszedł dreszcz. Dopiero teraz poczuł, że jest zimno. Noc wypełniało trzaskanie ognisk, których blask powlekał Creekside migoczącą skórą ciemnego światła. W tej niestabilnej iluminacji Ori zobaczył matki i dzieci wychodzące z kościoła. Młode dziewczyny naprężyły głowoskarabeusze i gestykulowały za pomocą głowoodnóży. Dwie kobiety niosły noworodki, całkiem podobne do ludzkich, ale ich szyje przechodziły w pofałdowane larwy głowy.

Opuścił rękę z pistoletem i zobaczył, że biegnie ku niemu khepri wchodząca w skład nowo przybyłego oddziału. Jej żądło zostawiało w powietrzu spirale iskier.

- Zaczekaj! - krzyknął Ori.
- Aylsa! - kobieta-kaktus ostrym tonem zawołała jej imię i khepri stanęła.
- On ma broń, Gotowokciuczka - zaprotestował jakiś vodyanoi.
- Widzę, że ma broń, ale są wyjątki od reguły - odparła kobieta-kaktus.
- Wyjątki?
- Oni mają obrońcę.

Gotowokciuczka wskazała na Toro.

W bitewnym zamieszaniu wielu obcych dopiero teraz zauważyło postać w hełmie. Wydali z siebie odgłosy zdumienia, każdy na sposób właściwy dla swojej rasy, i przybliżyli się z przyjaznymi minami.

- Byk - powitali go z szacunkiem. - Byk.

Toro i Gotowokciuczka naradzali się ściszymi głosami. Ori nie słyszał, co mówią. Studiował wyraz twarzy Barona. Były milicjant z kamienną miną kolejno taksował bojowników obcych ras. Ori wiedział, że Baron ocenia, w jakiej kolejności powinien ich unieszkodliwić, gdyby zaszła taka konieczność.

- Znikamy stąd - powiedział nagle Toro. - Świetnie się dzisiaj spisaliście. Uratowaliście ludzi. - Wszyscy khepri opuścili rudę kościoła. - Teraz idźcie do bazy. Tam się spotkamy. Pospieszcie się. - Ori zdał sobie sprawę, że ciężko oddycha, krwawi, jest zmęczony i cały drży. - Wracajcie, tam zrobimy odprawę. Dzisiaj wieczorem Creekside jest pod ochroną Wojującego Tygła. Uzbrojeni ludzie stanowią uprawnione cele.

W kryjówce w Badside. Świt napierał na ściany. Opatrzyli się nawzajem maściami i bandażami.

- Baronowi jest wszystko jedno - powiedział Ori. Rozmawiał półgłosem ze Starobarkiem, któremu pomagał parzyć herbatę z nepenthesem. - Obserwowałem go. Było mu wszystko jedno, czy uratujemy tych kheprich. Było mu wszystko jedno, czy Nowopiórcy ich zabiją. Jemu na niczym nie zależy. Boję się go.

- Ja też, chłopcze.
- Po co Toro go trzyma? Dlaczego on tu jest?

Starobark spojrział na niego znad czajniczka, wsypał żywicę i osłodził miodem herbatę.

- Baron jest tutaj dlatego, że nienawidzi prezesa zarządu bardziej niż ktokolwiek z nas.

Zrobi wszystko, co będzie konieczne, żeby załatwić wiesz-kogo. Poza tym to ty go tutaj ściągnąłeś, na miłość Jabbera. I dobrze zrobiłeś. Będziemy na niego uważali. - Ori milczał. -
Wiem, co robię. Będziemy mieli na niego oko.
Ori milczał.

Pożary w Howl Barrow, w Echomire, w Murkside. Rozruchy w Creekside i Dog Fenn. Przemoc na tle rasowym w getcie, nieskuteczne granaty prochowe rzucone z okien pociągu linii Sud na Szklarnię wyrządziły minimalne szkody. Plenum przeprowadziło akcję plakatową potępiającą ataki.

- Co się stało przy wieży na St Jabber's Mound?

- Ta sama historia co zawsze: natarli na milicję i zmusili ją do schronienia się w wieży, a potem zostali odparci.

Jakaś niezdrówka taumaturgia w Aspic Hole. Komitety samoobrony tworzone przez przerażonych porządnym mieszczańskim z Barackham, Chnum, Nigh Sump, zaatakowanych rzekomo przez hordę prze-tworzonych.

- Co za noc. Bogowie.

Miasto pogrążyło się w chaosie.

- A wszystko przez tę zjawę, co wylazła ze słońca.

- E, chyba nie.

Uruchomił to strach, który przekroczył masę krytyczną - trwoga i gniew, które znalazły ujście.

- To był tylko zapalnik - ocenił Ori.

- Ale, na Jabbera i wszystkich jego przeklętych świętych, co to był za stwór?

- Ja to wiem. - Kiedy Baron zabierał głos, jego towarzysze milkli. - A przynajmniej wiem, co myślę, a myślę tak dlatego, że milicja i burmistrzynie myślą tak samo. Nazywają to złym okiem. Zdalnym obserwatorem. Kamera Tesh. Przyszło zobaczyć, co się u nas dzieje. W takim jesteśmy stanie. - Przerazili się. - Mówiłem wam, że nie wygrywamy tej wojny. Ale to nie ma wielkiej mocy, przecież nawet nas nie tknęło. Wojna nie jest jeszcze skończona. Ale tak, szpiegują nas. Mają też normalnych szpiegów, dają za to głowę, ale nie boją się pokazać, że nas obserwują. Teshi mają dziwne moce. Ich nauka jest inna od naszej. Oni nas podglądali. I na tym się nie skończy.

Na drugim końcu świata, za wieloma zatokami i przylądkami, gdzie fizyka, taumaturgia i geografia były inne, gdzie skała była gazem, gdzie osady budowano na kościach archeologii, gdzie kupcy i pionierzy znaleźli śmierć z ręki barbarzyńskiej sprawiedliwości zachodniej Rohagi, gdzie istniały miasta, państwa i monarchie bez odpowiedników w crobuzońskiej filozofii politycznej - tam toczyła się wojna. Milicja egzekwowała roszczenia Nowego Crobuzon, walczyła o terytoria, o szlaki handlowe, o wartości, jak twierdzili. O coś nieokreślonego. W odpowiedzi na crobuzońskie kule, bomby prochowe, taumaturgię, ogniobrytany i elementalistów Tesh, Miasto Pełzającej Cieczy, przysłało złe oko, żeby dowiedzieć się o nich wszystkiego.

- Jak to możliwe? - dziwił się Ori. - Przecież Nowe Crobuzon jest najsilniejsze, prawda?

- Nie mów, że wierzysz w te bzdury - zakpił Enoch znużonym tonem. - Nowe Crobuzon, najpotężniejsze państwo-miasto świata i tak dalej. Sranie w banię...

- Nieprawda - powiedział Baron i znowu umilkli. - On ma rację. Nowe Crobuzon rzeczywiście jest najsilniejszym państwem w Bas-Lag. Ale najsilniejszy nie zawsze wygrywa.

Zwłaszcza jeśli uważa, że nie musi się wysilać, bo jest najsilniejszy. Spychają nas do defensywy. I rząd o tym wie. Nie podoba im się to. Będą to próbowali przedstawić jako zwycięstwo, ale wiedzą, że trzeba zakończyć tę wojnę. Zaczną negocjacje pokojowe.

Słońce wspinało się coraz wyżej i światło wlewające się przez okna magazynu padało pod coraz ostrzejszym kątem, docierając do kolejnych turystów, wikłało się w ich włosy, lśniło na skórze Starobarka. po raz pierwszy od wielu godzin Oriemu było ciepło.

- Skapitulują?

Oczywiście, że nie, a w każdym razie nie oficjalnie - nie w przemówieniach, podręcznikach do historii i prorządowych gazetach. Zostanie to sprzedane jako historyczny kompromis, subtelna i wyjątkowo precyzyjna strategia. Ale nawet wierni zwolennicy Partii Pełnego Słońca burmistrzynie i koalicjanci rządu jednościi miejskiej nie przełkną tego bez zastrzeżeń. Będą wiedzieli - wszyscy będą wiedzieli, co się naprawdę stało. Będą wiedzieli, że na przekór wszystkim płomiennym słowom burmistrzynie Nowe Crobuzon przegrało.

- Już teraz próbują, ale nie mają pojęcia, jak nawiązać kontakt z Tesh. Z naszym tamtejszym przedstawicielstwem od lat nie ma żadnej łączności. W Nowym Crobuzon na pewno jest od groma Teshich, ale jak ich rozpoznać? Ambasada nigdy nie była obsadzona. Teshi inaczej uprawiają dyplomację, jeśli można to nazwać dyplomacją. Nasi używają taumaturgii, statków z wiadomościami, sterowców, czego się tylko da. Niedługo wyślą gołębice. Chcą się spotkać. Nikt się nie dowie, co jest grane, dopóki nie będą mogli stanąć na balkonie i ogłosić radosnej nowiny, że burmistrzynie przynosi nam pokój. A na razie ci biedacy na statkach i na lądzie dalej będą walczyli i ginęli.

Pod obcym niebem. Oriemu zakręciło się w głowie.

- Skąd to wszystko wiesz? - spytał półgłosem Starobark, który stał ze splecionymi ramionami. - Skąd wiesz, co oni myślą, Baron?

Baron uśmiechnął się. Ori spuścił wzrok i życzył sobie w duchu, żeby już nigdy nie musiał oglądać tego uśmiechu.

- Z wiarygodnego źródła. Po tych wszystkich przeklętych kuflach, które wypłem w Brock Marsh, dużo wiem, bo rozmawiam z moim nowym najlepszym przyjacielem Bertoldem Sulionem.

CZEŚĆ PIĄTA

PERYPETIA

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Tu. To jest to. Tu. Obrzeże Cacotopic Stain.

O wiele wcześniej lot myszołowów został zakłócony. Rozpierzchły się. Ostrożny krok jaguara stracił rytm i wielki kot znikł. Kurz i czarny dym pochłaniał zwierzęta. Setki lat historii uległy zmianie na skutek przybycia tej prymitywnej głośności.

Przez szczelinę w ziemi, jak bakcyl, jak jakaś organiczna nie zatrująca krew, infekująca krajobraz, przyszła Żelazna Rada. Buchające parą i prychające stalowe mamidło. Tak jak przed laty poprzedzały ją postacie układające tory, a za ostatnim wagonem inni je zrywali i transportowali do przodu.

Pociąg wszędzie był intruzem, nigdzie elementem wrośniętym w krajobraz. Był ingerencją historii w krainę niskich drzew porastających zbocza, grubszego futra prawdziwych lasów, górskich dolin, szerokich kanionów ze sterzczącymi z ziemi ostańcami. Wcisnął się w niespotykane gdzie indziej dewiacyjne krajobrazy, między wędrujące wzgórza, kłęby dymokamienia i zastygłe błyskawice.

Zjawa. Ludzie z miasta masakrowali teren, spłaszczali go, żeby położyć tory. Byli najeźdźcami.

Podobnie jak ich przodkowie, pierwsi Radni - nierzadko młodsze wcielenia ich samych - byli muskularni i zahartowani i znali się na tym, co robili. Prze-tworzeni, wolni ludzie, ludzie-kaktusy i inni, świetnie zarządzane przedsiębiorstwo, nosiciele szyn ze szczypcami, zrzucanie podkładów, uderzenia młotów w tanecznym rytmie.

Nosili ubrania uszyte ze skór zwierzęcych i starych worków. Biżuterię robili z kolejowego metalu i śpiewali eklektyczne piosenki, Przeróbki starych hymnów budowlanych, i nowe ballady, które opowiadały o ich losach.

Na zachód jechaliśmy do kraju gdzie
Dumni żyjemy jak w raju wolni
Od tyranii i niepodzieleni ramię
W ramię prawdziwi i prze-tworzeni.

W centrum całego zamieszania, z setkami postaci zaspokajających jego skomplikowane, kapryśne potrzeby, pilnowany przez strażników, z czujkami na wzgórzach, wierzchołkach drzew i w powietrzu, znajdowało się źródło tego wszystkiego: pociąg. Odmieniony. Naznaczony upływem czasu. Ta forpoczta cywilizacji zdziczała.

Rzeźnie, wagony sypialne, wieża strzelnicza, biblioteka, kantyna, warsztaty, wszystko to było, ale inne. Wagony blankowane, barokowe, zwieńczone gołębnikami. Między nadbudówkami na dachach wagonów rozciągały się mosty linowe, które przy najmniejszym nawet zakręcie drogi Żelaznej Rady opadały, a następnie z powrotem się napinały. Na innych dachach zamontowano maszyny obłącznicze. W ścianach wagonów wycięto nowe okna. Niektóre

przypominały stare kościoły gęsto porośnięte bluszczem i woskowatymi pnączami oplatającymi również wieżę strzelniczą. Dwie platformy przekwalifikowano na ogródki ziołowe. Dwie inne również wypełniono ziemią ale rosła na nich tylko trawa między płytami nagrobnymi. Stadko częściowo oswojonych demonów ruchu figlarnie kęsało koła pociągu.

Doszły nowe wagony, jeden z wyrzuconego na brzeg drewna wygładzonego przez wodę i zagruntowanego żywicą. Toczyły się na zapasowych kołach, niekiedy przetopionych. Wagony dla rajców z obcych ras, ruchome stawy dla istot wodnych. Pociąg był długi, poruszany przez cztery lokomotywy, dwie z przodu, dwie z tyłu. Ich kominy zaopatrzone w metalowe kolnierze i namalowano na nich płomienie. Największy z nich, na samym przedzie, tak bardzo obrósł prymitywną sztuką że sprawiał wrażenie, jakby spuchł od tego gigantyzmu.

Przednie reflektory były teraz oczami, osłoniętymi rżęsami z długiego drutu, a zderzak szczyrzył sterczące zęby: przyśrubowano do niego potężne kły dzikich zwierząt. Do komina przyspawano z przodu wielki nos, uzupełniając tę absurdalną fizjonomię. Za tą gigantyczną i toporną twarzą ciągnął się las trofeów i totemów. Czaszki i chitynowe głowy jakiejś menażerii z martwą dzikością spoglądały na boki: zębate i rozdziawione, płaskie, bezokie, rogate, minogogębowe z zęborzęskami, fałdkościste, bulwersująco ludzkie skomplikowane. Skórę trofeów wygarbowały żywioły, a kości i zęby pokryła misterna siateczka pęknięć i patyna dymu. Zaopatrzone w twarz lokomotywa wiozła te martwe istoty jak chełpliwy bóg łowów.

Niwelatorzy podążali za echem wcześniejszego szlaku. Czasami znikał on z oczu, a czasami odmienił go upływ lat. Bywało, że godzinami wyrąbawali sobie drogę obok jezior w cieniu wzgórz, aby dotrzeć do pozarastanej szczeliny i zobaczyć upiora nasypu kolejowego, poryty przez korzenie grzbiet, po którym przed laty jechali w przeciwnym kierunku. Znajdowali odcinki zżartych przez rdzę szyn przykrytych natłuszczonym brezentem, który zafarbował ziemię. Prowadzili nowe tory ku starym, które na nich czekały.

„To myśmy je zostawili” - mówili weterani, którzy przy tym byli. „Przypomniałem sobie. Żeby mieć łatwiej. Nigdy nic nie wiadomo, mówiliśmy, może kiedyś trzeba będzie wrócić”. Ta przezorność pozwoliła im zwiększyć tempo. Był to prezent od przeszłości w najeżonej skałami krainie.

Judasz Low uczył Cuttera układać tory.

Znużeni wędrowcy oniemieli po przyjeździe do królestwa Żelaznej Rady. Dotarcie do celu odebrało im głos. Pomeroy i Elsie nie odzywali się. Szeptodziej Drogon naciągnął kapelusz na czoło. Qurabin niewidzialny, ale wyczuwalny, wysiłki związane z poszukiwaniem drogi i odsłanianiem tajemnic wyczerpały go i zmniejszyły. Cutter stał koło Judasza, kiedy to tylko było możliwe.

Pod skłębionymi chmurami pośród stepu ciągnął się gigantyczny ogród. Pola uprawne ciasno przylegały do siebie otoczone żelazną elipsą torów, za którymi znajdowały się kolejne pola poprzrastane przez dziką naturę i rozplywające się w niej.

Przewodnicy zaprowadzili ich do tej enklawy przez wysoką trawę, która zamykała się za nimi. Obserwowali postacie pracujące na polach. Gospodarka agrarna pośród niczego. Większość wędrowców milczała. Judasz cały czas się uśmiechał i mówił pod nosem: „Niech żyje!”. Ludzie chodzili ścieżkami koło lepianek przy torach. Panorama codzienności, wioska jak każda inna, przecinana przez linię kolejową.

Judasz przyglądał się tubylcom, a kiedy jacyś podchodzili bliżej, Pozdrowiał ich swoim

„Niech żyje!”, a oni odpowiadali skinieniem głowy.

- Halo, halo, halo - mówił Judasz do małego dziecka, które podbiegło do nich pod czujnym okiem swego ostrzącego kosę ojca. Judasz kucnął. - Halo, halo, mały towarzyszu, mała siostrzo, mały chaver. - Pobłogosławił chłopcu ruchem dłoni. - Jak leci?

A potem wstał i wydał z siebie nieartykułowany okrzyk czystej radości. Na jego twarzy wykwitł wyraz niewysłowionego szczęścia, kiedy usłyszał śpiew metalu i zobaczył kłęby sadzy: przez wysoką trawę nadjechał pociąg, Żelazna Rada, sklecone z żelaza, drewna, liny i rozmaitych znalezisk miasto na kołach.

Rzucili wszystko, co trzymali rękach.

- Żelazna Rada, Żelazna Rada - każdy z nich wypowiedział te słowa, kiedy zbliżyła się szczerząca kły lokomotywa.

Pociąg kończył swoją kilkumilową rundę, ani osiadły, ani koczowniczy. Zwalniał.

- Jestem Judasz Low! - krzyknął Judasz. Podeszedł do pociągu, jakby ten zatrzymał się na zwykłej stacji. - Jestem Judasz Low! - powtórzył. Ktoś wysiadł z kabiny maszynisty i Cutter usłyszał okrzyk, pozdrowienie, którego poszczególnych słów nie potrafił odcyfrować. Judasz puścił się biegiem, wołając czyjeś imię: - Ann-Hari!

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Droga prowadziła przez mokradła. Zakamuflowane moczary, gdzie to, co wydawało się ziemią i trawą, tak naprawdę było cienką pokrywą roślinną na grubej warstwie wody. Żelazni Radni sypali kamienie, rzucali pontony, wbijali słupy ze ściętych w lesie drzew. Widzieli zagajniki starych pni porośnięte młodniakiem - stamtąd przed dwudziestu laty brali drewno. Żelazna Rada poruszała się powoli na szynach biegnących tuż nad albo tuż pod powierzchnią wody. Pociąg stał się spokojnym zwierzęciem bagiennym. Pod nim i wokół niego rozbrzmiewały odgłosy błotniaków i bagniaków.

Pomeroy układał tory. Elsie chodziła z furazerami. Qurabin przychodził do podróżnych i przekazywał im tajemnice wzgórz i mokradeł, które poznał. W powolnej kapitulacji mnicha wobec ceny tych odsłoneń Cutter dostrzegał jakiś smutek i tchórzowskie pragnienie śmierci. Qurabin stracił wszystko i dążył do tego, żeby z bezsensowną pobożnością rozpląnąć się w świecie.

Szeptodziej Drogon był członkiem straży, która strzegła Żelazną Radę w jej sapiącej, buchającej parą jeździe. Cutter na krok nie odstępował Judasza. Razem kładli tory.

Judasz był postacią legendarną. Dzieci przychodziły na niego popatrzeć, ale nie tylko one: także dorośli, których nie było jeszcze na świecie, kiedy Żelazna Rada przemierzała świat. Traktował ich przyjaźnie. Robił dla nich golem, co budziło ich zachwyty. Wszyscy słyszeli o jego golemach. Pewnego razu zaśpiewali mu przy ognisku i zwierzętopodobne drzewa próbowały uciec od tego zakłócającego im spokój hałasu.

Zaśpiewali Judaszowi balladę o Judaszu. Na kilka kontrapunktowanych głosów opowiadali o tym, jak posłał przeciwko żołnierzom błotnego golema i uratował Żelazną Radę, a potem, jak poszedł na pustynię i stworzył armię golemów, a potem, jak zakradł się do podziemnego zamku króla krasnali, zrobił kobietę z prześcieradła księżniczki, a potem prześcieradło i księżniczka zamieniły się miejscami i Judasz uciekł za morze z królewską córką.

W nocy Cutter przyciskał się do Judasza i starszy mężczyzna czasem odwracał się do niego ze swoją dobroduszną powściągliwością. Cutter wchodził w Judasza albo otwierał się na niego. Te noce, kiedy nie spali razem, Judasz spędzał z Ann-Hari.

- Dostałem waszą wiadomość - powiedział Judasz pierwszej nocy po przybyciu. - Wasz cylinder. Głos Rahula. O Uzmanie. Niech żyje.

- Niech żyje.

Uzman zmarł niespodziewanie, opowiadała mu, nastąpiła nagła blokada jego organicznych albo sztucznych żył. Dokładnej przyczyny nigdy nie zdołali ustalić.

- Dalej macie voxiterator?

- Ile wiadomości do ciebie dotarło?

- Cztery.

- Wysłaliśmy dziewięć. Brała je osoba, która jechała na wybrzeże handlować i oddawała załozde statku, która mówiła, że płyń na południe, że może przepłyń przez Cieśninę Ognistej Wody, może minie Tesh, może dotrze do Myrshock i do Nowego Crobuzon. Ciekawe, które dostałeś.

- Mam je ze sobą. Odsłuchaj i powiedz mi, co mnie ominęło.

Uśmiechnęli się do siebie, mężczyzna w średnim wieku i kobieta, która wyglądała na znacznie starszą, ogorzała i pobrużdżona, ale nie mniej energiczna od niego. Cutter był pod jej

wielkim wrażeniem.

Podczas długiego powitalnego wieczoru poznali Grubogolenia. Był ogolony, dzięki czemu Judasz mógł uściskać krępego, siwiejącego człowieka-kaktusa. Były również inne osoby, które golemista rozpoznawał i serdecznie pozdrawiał, ale największą radością napełniał go widok Grubogolenia i Ann-Hari.

Inni jego starzy znajomi zostali rolnikami, nomadami, traperami, myśliwymi z krzaczastymi brodami. W kierownictwie Żelaznej Rady obok Ann-Hari pojawiły się nowe twarze.

Wszędzie ją pozdrawiano. Chuda i żyłasta, postarzona przez czas, ale i pobłogosławiona przezeń innego rodzaju pięknem, pełnym pasji i wigoru. Podczas swojej rundy pociąg mijał fabryki, gospodarstwa rolne, silosy i hale, które z upływem lat wyrosły po obu stronach torów. Ann-Hari wysiadała na każdym przystanku i robiła obchód.

Ludzie dawali jej owoce i pasztety z dziczyzny, którymi dzieliła się ze swoją swiłą złożoną z kobiet w różnym wieku. Cutter widział, że wszyscy darzą Ann-Hari dziwną miłością. Włożyła Judaszowi rękę pod ramię. Tworzyli dystygowaną parę. Żelazni Radni wiwatowali i pozdrawiali Judasza, zapraszali jego towarzyszy na jedzenie i picie, całowali ich w policzki. Wznosili okrzyki skundloną, dziwnie akcentowaną ragamollszczyzną: Nowe Crobuzon skrzywione.

Wieczny pociąg pełnił funkcję ratusza, kościoła, świątyni i twierdzy. Gwizdał podczas jazdy, patrolując obrzeże krainy rolników, myśliwych, lekarzy, nauczycieli, maszynistów. Byli mężczyźni-kaktusy i bardzo mało kobiet-kaktusów, jak również garstka vodyanoich, różdżkarzy i wróżbitów oraz ich dzieci. Po niebie śmigaly wyrmeny. Najstarsi zapomnieli Nowe Crobuzon, najmłodszy nigdy go nie widzieli.

Były też niewielkie grupy przedstawicieli innych ras. Posługiwano się głównie crobuzońskim ragamollskim, ale niektórzy porozumiewali się za pomocą skomplikowanych kasłanych systemów tonalnych. Imigranci w krainie układaczy torów. Młodzież była oczywiście niezmodyfikowana, przyszli na świat bez prze-tworzenia, ale populacja osób po czterdziestce składała się głównie z prze-tworzonych. Pierwszych Radnych. Założycieli Żelaznej Rady.

Cienie torowiska wspinały się na zbocza. „Patrzcie tutaj”. Żyły w skale. „Czy nie tutaj straciliśmy Marimona? Przy tamtej turni? Za duża pochyłość i...”. Milkli z szacunkiem w miejscach, gdzie topografia przypominała im o ofiarach budowy.

Większość górskich stworzeń uciekała przed Radą, ale niektórzy Podniebni lub naziemni drapieźnicy polowali na podrózników, którzy odłączyli się od reszty - na przykład istoty wielkości niedźwiedzi, z wielką paszczą i przyssawkami lub włoskowatymi poduszczkami, które czaiły się przywarte do pionowych ścian skalnych albo zaopatrzone w skórne skrzydła i macki ptaki z kozimi nogami. Ludzie-kaktusy, którzy nie wydzielali wabiącego zapachu mięsa, byli najlepszymi strażnikami.

Tam, gdzie to było możliwe, korzystali z wybudowanej przed laty trasy, ale miejscami musieli wytyczać nową. Za pomocą prochu z własnych laboratoriów rozbijali skalne przeszkody. Znajdowali przerzucone nad wąwozami mosty, które zbudowali przed laty. Ochotnicy wchodzili na nie, żeby sprawdzić ich wytrzymałość. Towarzyszyło temu stukanie desek, z których wiele podpadało. Drewno leżało na ziemi zmurszałe i nadjedzone przez insekty.

Poruszali się szybko na prowizorycznie kładzionych torach albo po szynach, które na nich

czekały, oczyszczone z rdzy. Kiedy drogę zagradzały skalne ściany, często widzieli bliźnię dawnej drogi zataczającej szeroki łuk, natomiast przed nimi był tunel, prymitywny, ale dostatecznie wysoki, żeby pociąg się w nim zmieścił. Przezorna Rada wysyłała brygady robotników, żeby kopali tunele na wypadek konieczności szybkiego powrotu.

Trzeciego dnia po ich przybyciu dokonał się handel wymienny. Swoim sztywnym, mającym w pogardzie zasady geometrii krokiem przybyli striderzy, przez wysoką trawę, która nie poruszała się w sposób naturalny. Rozłożyli przed kupcami z Rady swoje towary: koagulat włosów, flegmy i kamieni szlachetnych, trochę wyplutego przez ziemię bezoaru.

- To jest napakowane różnymi rodzajami ju-ju - mruknął jeden z Radnych do Cuttera.

Żelazna Rada była wtajemniczona w egzotyczne formy magii.

- Kto nas znajdzie, może z nami handlować.

Zboże, informacje, mięso i wiedza techniczna. Najbardziej poszukiwanym towarem Żelaznej Rady była wiedza jej ekspertów, sprzedawana co pewien czas kupcom z miasta Bracia, z Vaudanku czy tym z wędrownych plemion.

Ten model życia nie miał precedensów. Cutter był poruszony. Nie pamiętał czasów, w których nie wiedziałby o Radzie. Dla dziecka była to bajka, dla nastolatka przygoda, dla uświadomionego politycznie dorosłego mężczyzny pewna możliwość. Teraz możliwość ta stała się rzeczywistością i chociaż nie umiałby ująć swego rozczarowania w słowa, niewątpliwie je odczuwał.

Nie potrafił zwerbalizować poczucia odmienności, które go ogarnęło. Złościł się w duchu, że w tym życiu nie było prawie niczego dlań nieznanego, a przecież, kiedy patrzył na ludzi, którzy uprawiali rolę, hodowali zwierzęta, pisali, kłócili się, opiekowali dziećmi i wykonywali tysiące innych najzwyczajniejszych czynności, miał wrażenie, że jest to coś nowego. Na przykład ten mężczyzna, który zdrapywał z pociągu starą farbę i malował go na nowo - niby Cutter widział to już wiele razy, a jednak wydawało mu się obce.

Nie licząc puli wykorzystywanej do handlu poza torami, nie było pieniędzy. To również z jakiegoś powodu go złościło. Nie mógł zrozumieć, dlaczego insurekcjoniści powracają do systemu feudalnego, w którym chłopci pańszczyźniani otrzymywali zapłatę w naturze. Gospodarkę bezpieczną odbierał jako sentymentalną pozę. Malowanie polega na pociąganiu pędzlem w górę i w dół, niezależnie od tego, czy dostaje się za tę robotę brzęcząca moneta.

Upłynęło wiele dni, zanim uświadomił sobie, że się myli. Z pozoru ta sama rzeczywistość była zupełnie inna. Inne było malowanie, orka, ostrzenie noży, księgowość. „To jest nowe społeczeństwo” - pomyślał. „Oni nie są tacy jak ja”. Potwornie go to wzburzyło.

Przez jeden straszny dzień nienawidził wszystkiego, co miał przed oczyma - za to, że stawiało przed nim barierę obcości. Że było za mało dziwne, a jednocześnie tak bardzo dziwne. A potem uświadomił sobie, że problemem nie jest Rada, tylko on sam.

„Nie byłem przy tym, jak to powstawało. Nie budowałem tego społeczeństwa tak jak starzy, ani się w nim nie urodziłem tak jak młodzi. Nie stworzyłem tej krainy, a więc ona nie stworzyła też mnie”.

- Podróż była długa.

Wędrowcy, Ann-Hari i inni członkowie komitetu kierowniczego spędzili jeden z wieczorów w kantynie. Judasz otrzymał nagrane na voxiterator parlando w rytmie uderzeń młota, opowiadające historię o podróży Żelaznej Rady na zachód: „Pieśni dla golemisty”.

- Opowiem wam parę prawdziwych historii o Żelaznej Radzie - powiedział starszy mężczyzna, kiedy skończyli jeść. - To nie znaczy, że te ballady kłamią, ale pewne rzeczy pomijają. Powinniście wiedzieć wszystko. - Robiło się późno i zimno. Słuchali, pogryzając podłomyki. - Podróż była długa - podjął i opowiedział im o Cacotopic Stain, chociaż nie chciał podać szczegółów. - Wyszliśmy z tego suchą stopą - podsumował krótko. - Prawie miesiąc na obrzeżach tej szalonej krainy.

Powiedział, że przez ponad dwa lata wysyłali zwiadowców na nieznanne tereny, których nie było na mapach. Wielu z nich nie wróciło, wielu straciło życie. Spierali się o wybór trasy, uczyli się technik przetrwania. Kładli tory, dawali się uwikłać w wojny. Bezwiednie kierowali pociąg pomiędzy szyki bojowe zwaśnionych mieszkańców lasu, którzy bombardowali ich kamieniami i strzałkami; zwierzęta-ludzie oskarżali Radę o naruszenie ich integralności terytorialnej. Odszczepieńczy pociąg napotykał przedstawicieli krajów znanych tylko z pogłosek: Vaudanku, królestwa najemników, czy wodnego państwa Gharcheltist. Żelazni Radni z wymuszoną przez okoliczności pilnością uczyli się nowych języków oraz zwyczajów handlowych i dyplomatycznych. Za kaktopią ciągnęły się wielkie przestrzenie.

Biedni, zagubieni Crobuzończycy. Cutter miał wrażenie, że współczują swoim młodszym wcieleniom, tułającym się po obcych i niezrozumiałych dla nich krainach. Z obecnej perspektywy uważali, że byli wtedy naiwni i nieporadni. Wzruszali ramionami i szli dalej, kładli szyny i przepaszali, kiedy zauważyli, że wtargnęli na czyjś teren. Czasem trzeba było ponieść ofiarę, kiedy weszli w drogę jakiemuś despotce, potentatowi czy quasi-bóstwu.

- Wjechaliśmy kiedyś do lasu i był tam magmowy koń, który przetrzebił nasze zapasy węgla. Pamiętacie? Pamiętacie, jak nasi chłopcy padli ofiarą tego upiornego stworzenia, które zostawiało szklane odciski stóp?

Kraina, która karała obcych. Dziesiątkowały ich drapieżniki, zimno, gorąco. Umierali z głodu, umierali od chorób, umierali z pragnienia, kiedy poszukiwacze wody zabłądzili. Zmuszali się do nauki, budowali żelazną drogę ucieczki.

Sami też toczyli wojny, kiedy musieli, z plemionami, które nie chciały przyjąć daniny za prawo do przejazdu przez ich terytorium. Był okres, o którym niechętnie mówili - nazywali go Erą Kretynizmu - kiedy w pociągu rozpętała się wojna domowa, o strategię, o dalszą trasę. Generałowie z wagonu służbowego i pierwszej lokomotywy przerzucali się granatami, przez tydzień trwały walki partyzanckie na dachach wagonów i rzeź na korytarzach. - To była ciężka zima. Byliśmy głodni. Byliśmy głupi. Podczas opowiadania tej historii wszyscy siedzieli ze spuszczonego wzrokiem.

Ale nareszcie dotarli na prerię. Sporządzili mapy i zawarli pokój ze wszystkimi sąsiadami.

- Mamy więcej map niż miejska biblioteka w Nowym Crobuzon.

Pociąg pozostawał w ruchu. Wreszcie, daleko na zachodzie, zwiadowcy zobaczyli morze.

- Pociąg jest naszą ostoją. Musimy dbać o to, żeby był silny.

Pociąg nie mógł stać w miejscu, to byłaby zdrada. Wiedzieli - od początku wiedzieli - że nawet kiedy znajdą miejsce, w którym będą chcieli zostać, które ich wyżywi, to nie pozwolą pociągowi się zatrzymać. Otaczali go swoistym niereligijnym kultem. Przekształcili go, nadali mu demoniczny wygląd, dbali o lokomotywy, które jeździły na wszystkim, co dało się spalić. Stworzyli sobie nowe życie.

Budowa potrzebnych struktur trwała lata. Ich osada rozrastała się. Koczownicy i zabłąkani poszukiwacze przygód z wszystkich ras ściągali do renegopolis. Do Żelaznej Rady.

Miasto i jego rząd były jednym i tym samym. Delegatów do komitetów wybierano z poszczególnych grup zawodowych, wiekowych i innych. Toczono zajadłe spory, a metody

perswazji nie zawsze były godne podziwu. Galimatias demokracji, klientelizmu i siły przebicia. Jedni mówili, że pociąg musi pozostać w ruchu, drudzy, że powinien stanąć. W pierwszych latach tworzyły się frakcje w obrębie frakcji, spory dotyczyły metod produkcji przemysłowej i rolnej. Dalej budowali swój los, delegowali i byli delegatami, spierali się, polemizowali, głosowali i wykuwali mechanizmy wspólnego życia.

- Wcześniej byłem smarowniczym - powiedział gawędziarz. - Oliwiłem koła.

- Wiecie, po co tutaj jestem - stwierdził Judasz. - Stoicie przed nową decyzją. Przyszedł czas zwinąć obóz. Znowu wyruszyć w drogę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

W tych płaskich jak stół krainach, które przemierzali, w tej niezwyklej punie, rozkwitały niegdyś cywilizacje. Żelazna Rada, która wracała po śladach własnej historii, jechała przez ruiny.

Coś, co kiedyś może było świątynią, miastem świątyń. W cieniu zawalonego zigguratu kładli szyny i para z ich lokomotyw owiewała pnącza. Przy wbijaniu słupów niechęć rozłupywali zwietrzałych kamiennych bogów utkwionych w kłębowisku korzeni. Uderzenia młotów wstrząsały tym królestwem zmarłych. Żelazna Rada przysypywała sadzą płaskorzeźby ukazujące bitwy bogów, przebijała się przez zarośnięte miasto niegdyś sięgające nieba.

- Mam starego znajomego - powiedział Judasz na zebraniu komitetu. - Byliśmy kiedyś współnikami. Kiedyś był urzędnikiem państwowym, a teraz pracuje dla jakiegoś wielkiego koncernu, ale wciąż ma uszy otwarte. Czasami potrzebuje do swojej pracy golemów. Kiedy przychodzi do mnie w tej sprawie, rozmawiamy.

Judasz opowiedział Cutterowi o tych dziwnych rozmowach. Pennyhaugh nie ukrywał swojej niechęci do Judasza, stał się jego wrogiem, ale mimo to pili razem. To nie były rozmowy, tylko przedstawienia teatralne.

- Widuję się z nim tylko dlatego, że przynosi mi informacje, które mogę przekazać Plenum. I nie sądzę, żeby Pennyhaugh wyładowywał w ten sposób swoją frustrację, nie jest aż taki głupi. Myślę, że to ma być swego rodzaju prezent.

Komitet słuchał. Siedzieli tam ludzie w średnim wieku i prze-tworzeni, którzy pamiętali Nowe Crobuzon, czy kobiety, które niegdyś były obozowymi dziwkami, ale komitet w ponad pięćdziesięciu procentach rekrutował się z ludzi młodych, którzy byli dziećmi albo jeszcze się nie narodzili, kiedy powstawała Rada. Patrzyli na Judasza wyczekująco.

- Stale krążą pogłoski. Odpytywałem go, ale w taki sposób, żeby myślał, że to wyszło od niego samego. Opowiedział mi, co w trawie piszczy. Wiecie, że jest wojna z Tesh. - Nie znali szczegółów, ale tak duża wojna wstrząsnęła całym Bas-Lag i wiadomości o tych bitwach dotarły do Żelaznej Rady za pośrednictwem traperów i poszukiwaczy przygód. - W Cieśninie Ognistej Wody są straszne jatki, teraz ludzie mówią na nią Cieśnina Krwawej Wody. Udało im się unieszkodliwić zakłęcie bitwy morskiej Wiedźmokracji i okręty marynarki wojennej Tesh mogą pływać wzdłuż całego wybrzeża. Niedawno wysłali drugą ekspedycję. Podwodną. Być może dowodzoną przez grindylow, nie wiadomo. Ale nadciągają. Droga jest daleka, tysiące mil morskich, ale na pewno są już blisko, może nawet wylądowali.

Musicie wiedzieć, że w mieście o was nie zapomniano. Nie zapomniano o Żelaznej Radzie. Niech żyje. Ludzie szepczą te słowa. Wypisują waszą nazwę na murach. Parlament nigdy wam nie wybaczył waszej zdrady. A teraz wiedzą, gdzie was znaleźć.

Zaczekał, aż minie pierwszy szok.

- Nie mogliście liczyć na to, że do końca świata nikt się nie dowie, gdzie jesteście. Na kopulującego Jabbera, minęło ponad dwadzieścia lat! Jakiś wędrowiec opowiada innemu albo nawet któryś z waszych mógł zdradzić, wrócił do Nowego Crobuzon, został aresztowany i przesłuchany. Mógł być między wami szpieg. - Podniósł głos, żeby przekrzyczeć oburzone protesty. - Może osiągnęli w swoich laboratoriach dalekowzroczość na nieznaną wcześniej skalę. Wszystko jedno, w każdym razie wiedzą, gdzie jesteście. Wytropili was. Nie wiem, jak dawno temu. Mają na swojej drodze Cacotopic Stain, stopy Gallagi, lasy i tak dalej - my mieliśmy Qurabina. - „Na początku nie mieliśmy, Judaszu” - pomyślał Cutter. „Co planujesz

zrobić?” - Ale wojna to wszystko zmieniała, ponieważ można pływać przez Cieśninę Ognistej Wody.

Nadciągają dookoła, drogą morską. Próbuje minąć Tesh i Maru'ahm, a potem przybyć do brzegu w krainie stepów. Zjawia się nie od wschodu, tylko od zachodu. Wcześniej było to niemożliwe.

Siostry, Radni, towarzysze! Nowe Crobuzon niedługo was zaatakuje. Bez pardonu. Ich celem jest zniszczyć was. Nie mogą pozwolić, żeby niezależna kolonia uciekinierów istniała dalej. Przyjaciele! Teraz bardziej niż kiedykolwiek Nowe Crobuzon musi was unicestwić.

Judasz miał kłopoty z odmalowaniem obecnej sytuacji w Nowym Crobuzon. Starsi pamiętali wprawdzie swoje strajki i wielkie wyzwolenie, którym zaowocowały, ale samo Nowe Crobuzon było bardzo starym wspomnieniem oddalonym o tysiące kilometrów. Judasz próbował im opisać panujący w mieście chaos.

- Niepokoje zagrażają porządkowi publicznemu - powiedział. - Oni muszą przywieźć do miasta wasze trupy, żeby móc powiedzieć obywatelom: „Patrzcie, co czeka buntowników, patrzcie, co zrobiliśmy z waszą Radą”. Przybywają po to, żeby was zniszczyć. Czas ruszać, ponownie położyć tory. Musicie się stąd zabierać. Może na północ, do tundry. Lodowy pociąg z niedźwiedziami za pasażerów. Do Krainy Zimnego Pazura. Znowu się ukryć. Ale nie możecie tu zostać, bo wytropili was, zbliżają się i nie spoczną, dopóki was nie zetrą z powierzchni ziemi.

- *Oczywiście, że mogliby się ukryć* - natarczywie szepnął Drogon na ucho Cutterowi. - *Ale jest też inna możliwość. Mogliby wrócić. Powiedz im, że muszą wrócić. Powiedz im.*

Nie mówił tego w formie rozkazu, ale jego gorączkowy ton sprawił, że Cutter go posłuchał.

Rada potrzebowała kilku dni, żeby otrząsnąć się z szoku i zacząć planować przyszłość. Nie miała sentymentalnego stosunku do swojego osiadłego miasta. Zawsze uważali się za mieszkańców pociągu, inne budynki były tylko przydatkami, wagonami bez kół. Ale nie było im łatwo rozstać się z całą infrastrukturą, którą zbudowali przez lata ciężkiej pracy.

- Powinniśmy zostać. Poradzimy sobie - przekonywali młodszy Radni.

Ich rodzice, prze-twórcy, próbowali im odmalować obraz Nowego Crobuzon.

- To nie jest horda striderów. To nie są złodzieje koni. Nowe Crobuzon to zupełnie inny kaliber. Posłuchajcie Judasza Lowa.

- Dobra, ale opanowaliśmy techniki, których pan Low, z całym szacunkiem do niego, nie zna. Mchomagia, cirromancja... zna się na tym?

Taumaturgia zapożyczona od egzotycznych tubylców. Ich rodzice pokręcili głowami.

- Rozmawiamy o Nowym Crobuzon. Zapomnijcie o mchomagii. To jest zabawa dla małych dzieci. - Judasz odpakował lustro tężnikowe, które przywiózł mu Cutter. - Mamy tylko jedno - wyjaśnił. - Drugie się stłukło, a jedno nie może posłużyć jako broń. Ale nawet gdyby były oba, nie mielibyśmy szans. Musicie stąd ruszać.

Wysłali najbystrzejszych wyrmenów, żeby obserwowali oddalone o setki kilometrów wybrzeże. Minął tydzień.

- Nic nie widziałem - zameldował ten, który wrócił pierwszy.

Judasz się rozgniewał.

- Nadchodzą - powiedział.

Odmówił opowiedzenia się za jakąś konkretną opcją. Z kolei Drogon wręcz obsesyjnie powtarzał, że Rada powinna wracać. Do znudzenia mówił Radnym, że jest to ich obowiązek. Dziwne opętanie.

Cutter chodził na tańce. Rozhukana swawolność tych zabaw uspokajała go - pijana młodzież kręciła się do rytmu chłopskich walców. Zmieniał partnerki, pił i jadł narkotyzujące owoce. Poszedł na stronę z krzepkim młodzieńcem i wygodzili sobie ręcznie, a nawet całowali się tak długo, jakby to była jakaś chłopięca zabawa, nie seks, tylko zapasy czy coś w tym rodzaju. Kiedy wytarł sobie dłoń, stwierdził, że jego przygodny znajomy jest rozmowny i gotowy dyskutować o tym, co Żelazna Rada powinna zrobić.

- Każdy wie, że wyjedziemy - powiedział. - Co, mielibyśmy zignorować Judasza Lowa? Niektórzy mówią na północ, niektórzy na południe, nikt nie jest pewien, ale ja i paru innych mamy inny plan. Przemyśleliśmy sprawę. My mówimy: ani na północ, ani na południe, tylko na wschód. Po torach, które zostawiliśmy. Mówimy, czas jechać do domu. Wracać do Nowego Crobuzon.

Cutter uświadomił sobie, że to nie był podszept Drogon. Idea powrotu była głęboko zakorzeniona w duszy tego społeczeństwa.

- W powietrzu wisi nieszczęście - powiedział bezcielesny głos Qurabina.

- *Oni o tym wiedzą* - odparł Drogon. - *I coraz więcej z nich jest za tym, żeby jechać do Nowego Crobuzon.*

- Nie. - Judasz pokręcił głową. Cutter wyczytał u niego wiele różnych emocji: dumę, strach, złość, rozdrażnienie, zamęt. - Nie, to jest szaleństwo. Czeka ich śmierć. Uciekają przed jednym batalionem, żeby stawić czoło całemu miastu? Jaki jest sens uciekać przed milicją w objęcia milicji? Nie mogą wrócić.

- *Oni liczą na co innego. Nakręciłeś ich swoimi opowieściami o sytuacji w mieście. Myślą że mogą przeważyć szalę. I, moim zdaniem, mogą mieć rację. Liczą na to, że powitają ich entuzjastyczne tłumy rzucające kwiaty na tory. Chcą powrócić do nowego miasta.*

- Nie - zaprotestował Judasz, ale Cutter zobaczył, że Pomeroyowi i Elsie zaświeciły się oczy. Ich zapal częściowo przebił się przez pancerz jego sceptycyzmu.

Głos ludu domagał się powrotu.

- To jest kwestia prędkości - orzekła pewna prze-tworzona staruszka. - Kiedy tutaj jechaliśmy, w niektórych miejscach nie zrywaliśmy torów, żeby w razie konieczności mieć drogę ucieczki. Teraz zbliża się zagrożenie, od bezpiecznej strefy dzieli nas wiele kilometrów i konieczny jest pośpiech. Tory czekają. Tutaj kilometr, tam dwa. Byłoby idiotyzmem ich nie wykorzystać - argumentowała pragmatycznie.

Judasz spierał się z nimi, ale, jak zauważył Cutter, był dumny z tego, że młode pokolenie chce uczestniczyć w crobuzońskiej nowej erze. Odpowiedzialność mówiła mu, że powinien

odwieść ich od tego zamiaru, ale świadomość historyczna ciągnęła go w drugą stronę.

- Nie macie żadnego wyobrażenia o tym, co was tam czeka - tłumaczył Judasz cierpliwie.
- Musicie przeżyć. To jest ważniejsze od wszystkiego innego. Byłem waszym zakochanym bardem i jest dla mnie ważne, żebyście przeżyli.

- Z całym szacunkiem, panie Low, tu nie chodzi o to, co jest ważne dla pana, tylko co jest ważne dla nas. Jesteśmy za słabi, żeby pokonać tych drani, ale skoro musimy uciekać, to niech z tej ucieczki coś wyniknie. Wyślijmy wiadomość do Nowego Crobuzon. Uprzedźmy ich, że wracamy.

Tak mówił młody człowiek urodzony pięć lat po powstaniu Rady, wychowany pośród stepów.

Ann-Hari wstała i zaczęła deklamować.

- Nie urodziłam się w Nowym Crobuzon - wyjaśniła i pozbawioną ozdobników prozą opowiedziała im o swoim życiu. - Nie wiedziałam, że mogę mieć swoją ojczyznę, ale Żelazna Rada jest moją ojczyzną. Co mnie obchodzi Nowe Crobuzon? Ale Żelazna Rada jest niewdzięcznym dzieckiem, a ja nigdy nie przepadałam za niewdzięcznymi dziećmi. Nowe Crobuzon nie zasługuje na wdzięczność, byłam tam i wiem, a my jesteśmy dzieckiem, które wyzwoliło się własnymi siłami. Tak, nikt nam nie pomógł. Wszystkie inne dzieci są niewdzięczne i możemy im pomóc.

Cutter odczuwał to tak, jakby Judasz i jego towarzysze wyzwolili Żelazną Radę, zdjęli z niej jakieś tabu, które sama sobie narzuciła. Niezależnie od powodów, które wymieniali, rajcy argumentujący za powrotem dawali wyraz jakiejś głęboko zakorzenionej tęsknocie, która od dawna ich trawiła. Kiedy Judasz opowiedział im o rozruchach, obudziło się w nich pragnienie, żeby przy tym być.

Próbując ująć rzecz w słowa, Cutter stwierdził, że to wszystko jest trochę bez sensu. Przyjechali tak daleko, tak wielkim wysiłkiem i kosztem, aby ostrzec Radę, że powinna uciekać, a tymczasem oni chcą iść do jaskini lwa!

Ale chociaż Cutter nie umiał tego wyrazić, czuł, że w idei powrotu jest jakaś logika. Czuł, że to w nim wzbiera, kiedy Ann-Hari mówiła... i nie tylko w nim.

Radni wiwatowali, wołali jej imię, krzyczeli:

- Nowe Crobuzon!

Elsie i Pomeroy byli zachwyceni. Nie spodziewali się takiego rozwoju wydarzeń. Qurabin wydał z siebie odgłos zadowolenia. Nowe Crobuzon budziło w nim nie większy entuzjizm niż Tesh, które zostawiło jego klasztor na pastwę losu, ale był pod ogromnym wrażeniem Radnych i powitania, jakie im zgotowali. Qurabin ucieszył się, że może uczestniczyć w tym przedsięwzięciu, niezależnie od jego charakteru. Drogon był w siódmym niebie. Judasz milczał, dumny i zmartwiony.

Cutter widział obawę Judasza. „Chcesz, żeby Żelazna Rada pozostała symbolem” - pomyślał. „Ten powrót cię martwi. Kochasz Radę za to, że chce wrócić, ale potrzebujesz, żeby była bezpieczna, żeby pozostała mitem, który z niej zrobiłeś. Czymś, o czym możemy marzyć”. Judasz zrobiłby dla Rady wszystko. Cutter o tym wiedział. Jego miłość do Rady była absolutna.

Zrównali miasto z ziemią, zburzyli lepianki i domy spotkań, obrócili je w proch i pył. Zebrali z pól wszystkie plony, które już dojrzały. Niemała część Radnych była oburzona.

Wieczny pociąg, chociaż uzupełniony o nowy tabor z rodzimych materiałów, prymitywne wagony z drewna i minerałów, nie mógł wszystkich pomieścić. Setki ludzi musiały iść na nogach, koczownicy podążający za pociągiem. Część nie chciała iść. Niektórzy ruszyli w góry, niektórzy mówili, że będą nadal uprawiali swój kawałek ziemi otoczony pozostałościami żelaznej drogi.

- Zginiecie, kiedy przyjdą - ostrzegał ich Judasz.

Zareagowali niczym nieopartym chojractwem. „To im nie pomoże - pomyślał Cutter - kiedy zjawi się crobuzońska milicja, uzbrojone po zęby doborowe oddziały, które zamiast poszukiwanego groźnego wroga zastaną pięćdziesięciu podstarzałych rolników”. Patrzył na nich i wiedział, że są martwi. „Życzę wam, żeby śmierć była szybka”.

Cutter nie wiedział, czy Ann-Hari i Judasz są kochankami, ale niewątpliwie odczuwali do siebie głębokie przywiązanie. Tak, był zazdrosny, ale nie bardziej niż o innych, których Judasz kochał. Cutter był przyzwyczajony do tego całkowicie nieodwzajemnianego uczucia.

Noc przed wyruszeniem w drogę Judasz spędził z Ann-Hari. Cutter był sam, opasał się ramionami i wspominał ten wieczór, kiedy uprawiał zapasy z muskularnym młodzieńcem.

Następnego dnia zebrali się: Cutter stał na obrzeżach ziemi uprawnej, gdzie dzika trawa była zgnieciona przez pociąg i stopy rolników. A tam krzepki Pomeroy figlarnie machający strzelbą jak kosą, a obok niego obejmująca go w talii Elsie. Drogon w kapeluszu z szerokim rondem, trzymający za uzdę wierzchowca, którego dali mu hodowcy z Żelaznej Rady. Poruszał ustami, ale Cutter nie wiedział, do kogo mówi. Trawa ugięła się w miejscach, gdzie chodził Qurabin, tajemnymi drogami, które przed nim odsłaniało jego osobliwe bóstwo. Na przedzie szli pod ramię Ann-Hari i Judasz Low, otoczeni badawczą chmurą porannych owadów.

Za nimi ciągnęła Żelazna Rada. Wkrótce mieli uporządkować szyki, pomagać w układaniu torów, kruszeniu skały i wytyczeniu drogi między nizinami z piaskowca, ale na tym pierwszym etapie tylko maszerowali przed siebie. Żelazna elipsa przerwała się, rozbierana kawałek po kawałek. Radni znowu stali się układaczami torów. Także zwiadowcami, nosiwodami, myśliwymi i niwelatorami, ale przede wszystkim układaczami torów. Likwidowali granice swego miasta i układali je w linii prostej, ciągnąc tory przez krainę, która wciąż nosiła na sobie nikle ślady ich przybycia.

Od zachodu nadchodziła milicja, żołnierze, którym rozkazano ich zniszczyć. Żelazna Rada zadygotała i ruszyła w kierunku wschodnim, do Nowego Crobuzon, do domu.

Tak się zaczęło. A teraz stali na obrzeżu tej ziemi, tej Krainy Tysiąca Plag w sensie dosłownym.

- Tu. To jest to. Tu. Obrzeże Cacotopic Stain.

CZEŚĆ SZÓSTA

WYŚCIG

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

MONSTRUM NA ZEWNĄTRZ I WEWNĄTRZ. PODWÓJNI WROGOWIE NOWEGO CROBUZON: OBSERWATOR I ZDRAJCA. WIECZÓR HAŃBY.

Gazety grmiały. Użyły ekstradużej czcionki na potępienie rozruchów wywołanych przez oko na niebie. Publikowały heliotypy z martwymi ludźmi zwęglonymi w zabarykadowanych sklepach, rozbryzganymi po upadku z okna, zastrzelonymi.

W następną łańcolę w Ukochanej Sklepiarza Ori spodziewał się, że konspiracyjna piwnica „Rozszalałego Renegata” będzie pękała w szwach, ale nikt nie przyszedł. Ori wracał tam w kolejne dni, rozglądając się za znajomymi twarzami. Wreszcie w pylnik zobaczył szwaczkę, która chowała pieniądze i szeptała coś na ucho karczmarzowi.

- Jack - powiedział Ori.

Odwróciła się nieufnie i jej mina tylko trochę pojaśniała na jego widok.

- Jack. - Skinęła głową. - Spieszę się. Może kieliszek wina, a potem spadam. Zawijasy, co? - Pokazała na spiralne symbole na jego ubraniu. - Wszędzie je teraz widzę. Z murów przeskoczyły na koszule. Chuligani od ludzi-kaktusów, nuewiści, radykałowie, wszyscy je dla siebie odkryli. Co one znaczą?

- Symbolizują więź - odparł ostrożnie. - Z Pół-Pacierzem. Znam człowieka, od którego to się zaczęło.

- Chyba o nim słyszałam...

- To mój kolega. Dobrze go znam. - Zapadła cisza. Pili wino.

Nie było mnie na zebraniu.

- Teraz nie ma zebrań. Zwariowałeś, Ori... Jack? - Przeżona zasłoniła sobie usta dłonią.

- Przepraszam, Jack, bardzo cię przepraszam. Curdin mi powiedział, jak się nazywasz. I gdzie mieszkasz. Nie powinien, ale zależało mu na tym, żebym mogła ci przynieść „Podwójne R”, gdyby była taka potrzeba. Nikomu innemu nie powiedziałam.

Otrząsnął się z szoku i pokręcił głową.

- Czemu nie ma zebrań? - spytał.

- A po co robić zebrań, skoro nareszcie się ruszyło? - odparła, szybko zapominając o wyrzutach sumienia. Ori uniósł brwi, a ona wydała z siebie odgłos, który przypominał szloch. - Jack, Jack, na miłość Jabbera! Gdzie ty żyjesz? Nie byłeś przy tym?

- Oczywiście, że byłem, do cholery. Byłem w Creekside - zniżył głos. - Co to, do diabła, jest Wojujący Tygiel? Bronilem kheprich, których twój przeklęty bezmózgi ogół próbował ukatrupić.

- Tygiel? Gdybyś był obcym i jako jedynych obrońców miał obrotowych liberałów z partii Kurek na Wietrze, to nie szukałbyś wsparcia gdzie indziej? I nie waż się w ten sposób obrażać ludzi. Wiesz, że do Piórców lgnie najgorsza hołota. Nawet twój przyjaciel Petron o tym wie. Nie patrz tak na mnie, Jack, do licha ciężkiego, wszyscy wiedzą, jak się nazywa, był w Elastykach. Nie jestem pewna, czy mi się podoba to, co robią, przebieranie się za zwierzęta i inne głupawe happeningi, ale mu ufam. Nie wiem za to, czy powinnam ufać tobie, Jack, i to jest smutne, bo wierzę, że mamy wspólne cele. Ale nie mam zaufania do twojej oceny sytuacji. Myślę, że jesteś głupi, Jack.

Ori nawet się nie oburzył. Przywykł do arogancji Renegatów. Spojrzał na nią z zimną

niechęcią i resztką respektu, który odziedziczyła po Curdinie.

- Jak chcesz, to dalej baw się w proroka, Jack, ale miej oczy otwarte - powiedział. - Kiedy przystąpimy do działania, dowiesz się o tym. Mamy swoje plany.

- Mówią, że Żelazna Rada wraca.

Radosny uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Wraca.

Ori ugryzł się w język, żeby jej nie urazić. Szukał jakiegoś stosownego komentarza, ale nie znalazł.

- To jest bajka - powiedział w końcu.

- Nieprawda.

- To jest mit. Nie ma Żelaznej Rady.

- Oni chcą, żebyśmy tak myśleli. Bo jeśli nie ma Żelaznej Rady, to nigdy się nie zbuntujemy i nie wygramy. Ale jeśli Rada istnieje, a istnieje, to znaczy, że już raz nam się udało i możemy zrobić to znowu.

- Jabberze kochany, zastanów się, co ty mówisz...

- Chcesz powiedzieć, że nigdy nie widziałeś heliotypów? W takim razie co to, twoim zdaniem, było? Myślisz, że zbudowali ten cholerny pociąg, maszerując obok siebie, kobiety, dziwki, na przedzie? A dzieci na kotle lokomotywy?

- Jakiś bunt był, ale został stłumiony. Zwykły strajk i tyle. Oni dawno nie żyją...

Wyśmiała go.

- Niby skąd to wiesz? Władza chce, żeby nie żyli, ale oni wracają. Plenum wysłało ludzi na poszukiwania. Dostaliśmy wiadomość. Po co ktoś by się wybierał w taką długą i niebezpieczną podróż, jeśli nie po to, żeby nakłonić ich do powrotu? Nie widziałeś graffiti? Wszędzie jest tego pełno. Obok zawijasów i spirali, które masz na ubraniu. „ŻR wraca”. Żelazna Rada wraca i już sama ta świadomość dodaje ludziom otuchy.

- Ludzie pragną bohaterów, więc w nich wierzą...

- Czegoś nie wiesz... Zaczęliśmy działać - przerwała mu. - Szkoda, że cię przy tym nie było. - Pociągnęła łyk wina i spojrzała na niego wyzywająco. „Ona zasiada w zakochanym Plenum”. Sprzysiężenie insurekcjonistów, rozejm frakcji i niezrzeszonych. - Niektórzy członkowie Parlamentu próbują nas udobruchać. Nie mogą się do tego przyznać, ale w niektórych fabrykach to my decydujemy, czy ludzie pójdą do pracy czy nie. Chcą negocjować. Parlament nie jest już jedynym decydującym w Nowym Crobuzon. Są teraz dwa ośrodki władzy. - Szwaczka podała mu rękę przez stół. - Madeleina di Farja.

Ucisnął jej dłoń wzruszony okazanym mu zaufaniem.

- Ori - powiedział, tak jakby ona tego nie wiedziała.

- Coś ci powiem, Ori. To jest wyścig z czasem. Plenum chce wszystko przygotować. To potrwa jeszcze wiele tygodni albo nawet miesięcy. I nie biegamy w kółko. Wyzaczyliśmy metę wyścigu. Nie Jesteśmy tacy głupi, jak ci się wydaje. Budujemy to, co będzie potrzebne. Struktury dowodzenia, łączności. Wczorajszy wieczór to był początek. Droga jeszcze daleka, ale już ruszyliśmy z miejsca. Mówią, że na froncie jest źle. Na ulicach pojawiają się tłumy rannych. Skoro Tesh mogło przysłać... - Zamknęła oczy i wstrzymała oddech, retrospektywnie przerażona. - ...to coś, to złe oko, to do czego jeszcze są zdolni? Mamy mało czasu. I Żelazna Rada wraca - dodała. - Kiedy ludzie o tym usłyszą, wszystko się zacznie.

„Może wszyscy bierzemy udział w tej samej walce” - pomyślał Ori z błagalnością, która go zaniepokoiła. „Może wyścig Plenum jest również naszym wyścigiem...”

- Wszyscy się ścigamy - stwierdził.

- Tak, ale niektórzy biegną w złym kierunku.

Wyobraził sobie, jak by to wyglądało. Wyobraził sobie moment, kiedy wyklęci, robotnicy - tak, skoro ona tego chce, kiedy proletariatus się dowie, że burmistrzynie, przewodnicząca partii Pełne Słońce, wódz Nowego Crobuzon, nie żyje. Co by z tego wynikło?

- Chcesz rozmawiać o mobilizacji? - spytał. Znowu ogarnęła go złość z powodu jej jednostronnej recepty. - Będziesz ją miała. Jeszcze mi podziękujesz, Jack. To, co robimy, to, co robimy... musimy obudzić ludzi.

- Oni już się obudzili. Nie chcesz tego zauważyć.

Pokręcił głową.

Bertold Sulion z Gwardii Tarczoglówycy utracił uczucia patriotyczne, zgasło w nim poczucie więzi z miastem, burmistrzynie, prawem, na którego straży ślubował stać. Baron powiedział im o tym.

- Lojalność z niego wyciekła - wyjaśnił. - Gwardziści nie mają prawa do samodzielnego myślenia. Przysięga, którą składają, mówi wszystko: „Widzę i słyszę tylko to, co burmistrzynie i moi bezpośredni przełożeni pozwalają mi widzieć i słyszeć”. Bertold nie jest za bardzo zorientowany w sytuacji, ale wie, że przegrywamy wojnę. I był świadkiem tego, na jakie szli układy, podczas gdy jego koledzy, z którymi się szkolił, walczyli i ginęli. Jego ideały się posypały. Lojalność z niego wyciekła i jest pusty, martwy w środku. To jest jak krew. - Poklepał się po mostku. - Kiedy się zatruje, wycieka z ciebie i albo zastąpi ją coś innego, albo zostajesz pusty. Sulion jest martwy w środku. Będzie kablował i dla zachowania pozorów chce za to kupić forsy, ale jemu nie zależy na forsie. Chce zdradzić dla samej zdrady. Świadomie czy nie chce, żebyśmy mu pomogli zostać złym człowiekiem.

Nie byli w Badside. „Tutaj są dla was klucze” - przeczytali wcześniej na karteczce przybitej do ściany za pomocą sygnetu z dwoma rogami. „Mamy nowe miejsce spotkań”. Adres. Ori był z Enochem i spojrzeli na siebie wielkimi oczami. Enoch zawsze był ciężko kapujący, ale tym razem jego dezorientacja udzieliła się również Oriemu.

- Flag Hill?

Flag Hill, na skraju miasta, na końcu linii Head odchodzącej na północ z Dworca Perdido, dzielnica bankierów, przemysłowców, urzędników, najbogatszych artystów. Dzielnica szerokich ulic i luksusowych willi z wielkimi ogrodami z tyłu. Dzielnica kwitnących drzew i figowców z płataniną pnączy i korzeni, które miejscami wypełzały pomiędzy czarnych płyt chodnikowych.

Przed laty we Flag Hill powstały slamsy, patologiczna narośl, prztyczek w nos urbanistów. Z polecenia burmistrza Tremula Reformatora dwa stulecia wcześniej zbudowano rzędy skromnych, rodzinnych domów na zboczach wzgórza, któremu dzielnica zawdzięczała swoją nazwę. Idea była taka, żeby bohaterowie Wojen Pirackich mogli mieszkać w pobliżu tych, w których obronie walczyli. Bogacze z Flag Hill chłodno przyjęli nowych przybyszów i

burmistrzowska wizja „integracji społecznej” stała się przedmiotem kpin. Bez pieniędzy skromna zabudowa zdegradowała się do rangi slumsów. Substancja budowlana ulegała powolnemu rozkładowi. Niewielka społeczność ubogich z Flag Hill dojeżdżała do pracy i z powrotem kolejką miejską, natomiast mieszkańcy okazałych rezydencji preferowali prywatne powozy i czekali na to, kiedy nędzka na zboczach wzgórza osiągnie punkt krytyczny. Nastąpiło to piętnaście lat temu.

Biednych usunięto z walących się domów i przesiedlono do kilkunastopiętrowych betonowych bloków w Echimire i Aspic. Ich niegdysiejsi sąsiedzi skwapliwie wprowadzili się do opuszczonych ruder i pieniądze na inwestycje natychmiast się znalazły. Dwa, trzy domy łączono w jedną rezydencję dla nowobogackich: mieszkanie w odrestaurowanych „kurnych chatach” stało się modne. Kilka uliczek dzielnicy nędzy zachowano jednak w nienaruszonym stanie i urządzono tam muzeum slumsów.

Droga Oriego i Enocha prowadziła właśnie przez ten skansen. Porządnie się umyli i włożyli lepsze ubrania. Ori nigdy nie był w tym wielkim pomniku nędzy. Nie było oczywiście slumsowego brudu i smrodu - przed powstaniem muzeum dzielnicę starannie wysprzątało i zdezynfekowano - ale rozbitych szyb nie wymieniono (tylko dyskretnie wzmocniono, żeby nie dopuścić do ich dalszego pęknięcia), a krzywe ściany wciąż były pokryte liszajami wilgoci i szarości (taumaturgia i legary zapobiegały ich całkowitemu zawaleniu się).

Domy poznaczano. Z mosiężnych tabliczek koło drzwi można było poznać historię slumsu i warunki, w jakich żyli mieszkańcy. Ori czytał: WIDAĆ TU BLIZNY PODPALEN I PRZYPADKOWYCH POŻARÓW, KTÓRE BYŁY PLAGĄ TYCH ULIC I ZMUSZAŁY MIESZKAŃCÓW DO ŻYCIA POŚRÓD POGORZELISK. Dom rzeczywiście był czarny od dymu, a zwęglone ściany zakonserwowano matowym werniksem.

Do niektórych pokoi i przybudówek można było wchodzić. W TEJ WIELKOŚCI POMIESZCZENIU NIERZADKO GNIEŹDZIŁA SIĘ SZEŚCIO - CZY OŚMIOSOBOWA RODZINA. Smutne zabytki materialne życia w slumsach zostały na swoim miejscu, codziennie odkurzone przez pracowników muzeum. WYDAJE SIĘ NIEWIARYGODNE, ŻE WE WSPÓŁCZESNYCH CZASACH TAK DŁUGO GODZONO SIĘ NA TO, ABY LUDZIE ŻYLI W TAK URĄGAJĄCYCH ICH GODNOŚCI WARUNKACH.

Dom, który stał pod wskazanym adresem, był klasycznym przykładem architektury z Flag Hill: duży, piękny, ze ścianami zdobionymi mozaiką kolorowych kamyczków. Ori miał obawy, że się pomylił, ale klucze pasowały. Enoch zmarszczył brwi.

- Byłem tu już kiedyś.

Dom był pusty. Atrapa. Ściany bezbarwne, podobnie jak zasłony. Oszałamiający zachwyty, jaki dom i ogród budziły w Enochu, irytował Oriego.

Na ulicach Flag Hill spotykali przechodniów, mężczyzn w szytych na miarę marynarkach, kobiety z szalami. W większości rasy ludzkiej, ale nie tylko. W kanałach mieszkała społeczność bogatych vodyanoi, którzy poruszali się za pomocą swojego charakterystycznego skokoczołgania, ubrani w lekkie, wodoszczelne imitacje garniturów. W ustach mieli cygara, ale nie palili ich jak ludzie, tylko zjadali. Czasem trafiał się człowiek-kaktus, który dostąpił rzadkiego u tej rasy awansu społecznego.

Widowało się tu również konstrukty, buchające parą mechaniczne postacie różnych kształtów, które obudziły w Orim wspomnienia z dzieciństwa, kiedy było ich pełno w całym mieście. Obywatele Flag Hill byli dostatecznie bogaci, aby mogli sobie pozwolić na zakup

licencji i rygorystyczne testy, które musiały przechodzić te maszyny od czasu wojny z ich udziałem. Ale nawet wśród wyższych warstw społecznych ich miejsce zajęły golemy.

Poruszały się z nieczłowieczą ostrożnością. Pustoocy mężczyźni i kobiety z gliny, kamienia, drewna i drutu nosili torby, nosili swoich właścicieli, w ramach mimikry ludzkich obyczajów obracając głową na boki, tak jakby ich oczy coś widziały. W rzeczywistości posłusznie wykonywali rozkazy, odbierając je w nienaturalny i pozaumysłowy sposób.

Toryści przybywali jeden po drugim i zadawali to samo pytanie:

- Co my tutaj robimy?

Baron przyszedł elegancko ubrany, zupełnie jak mieszkaniec tej dzielnicy. W owczej wełnie, cienkiej bawełnie i jedwabiach czuł się zupełnie swobodnie. Wszyscy zrobili wielkie oczy.

- O, tak - powiedział. Gładko ogolony, wykąpany, z ręcznie zwiniętą cygaretką w kąciku ust. - Teraz jesteście moim personelem. Przyzwyczajcie się do tego.

Usiadł plecami do ściany w wielkim, pustym pokoju i powiedział im o Bertoldzie Sulionie.

Był z nimi Toro. Ori to zauważył. Nie umiał powiedzieć, jak długo jego rozmyta sylwetka rysowała się w kącie pomieszczenia. Światło lampy oliwnej pełgało po jego rogach. Był wieczór.

- Dlaczego tutaj jesteśmy, Toro? - spytał Ori. - Gdzie Ulliam?

- Ulliam nie bardzo może się tutaj pokazywać. Prze-tworzeni to rzadki widok na tych ulicach. Jesteście tutaj, bo wam kazałem. Zamknijcie się i słuchajcie. Dam wam pieniądze. Kupcie sobie ubrania. Jesteście teraz służącymi. Jeśli ktoś was zapyta, jesteście kamerdynerami, lokajami, podkuchennymi. Dbajcie o higienę. Nie wyróżniać się z tłumu, taka jest zasada.

- Czy meta w Badside jest spalona? - spytał Ruby.

Toro nie siedział, tylko jakby stał oparty o coś niewidocznego. Ori czuł emanujące z rogów zakłęcia.

- Wiecie, jaki jest nasz cel. Wiecie, co chcemy osiągnąć, nad czym pracujemy. - Nienaturalnie dźwięczny głos Toro wypełniał powietrze odczuwalnymi wibracjami, podobnymi do wyładowań elektryczności statycznej. - Pani prezes zarządu siedzi w Parlamencie. Na Strack Island. Pośrodku rzeki. Milicja vodyanoi w wodzie, straż ludzi-kaktusów, funkcjonariusze w każdej sali. Najlepsi taumaturgowie w mieście budują przeszkody, perfidne pułapki, wnyki z zakłęb, co się tylko da. Nie dostaniemy się do Parlamentu. Jest też Szpikulec i Dworzec Perdido. Nasza delikwentka jako zwierzchnik milicji na pewno spędza w Szpikulcu dużo czasu. Na dworcu też, w skrzydle dyplomatycznym, w wieżowcu. - Dworzec Perdido był czymś więcej niż tylko głównym crobuzońskim węzłem kolejowym. Był odrębnym miastem rozciągającym się w trzech wymiarach, opakowanym w cegłę. Ogrom jego architektury kpił sobie nie tylko z zasad estetyki, ale podobno również z praw fizyki. - Kiedy będzie wiadomo, kto znajdzie się na dworcu, będziemy mieli do czynienia nie tylko z ochroną kolei. - Ale nawet tych oddziałów nie należało lekceważyć, byli bowiem fanatycznie lojalni, świetnie uzbrojeni i doskonale wyszkoleni. - Prezes zarządu zawsze ma przy sobie straż przyboczną. Oni są naszym głównym zmartwieniem. Co z atakiem na mieście? Kiedy ostatni raz widzieliście, żeby któryś z partyjnych bonzów wygłosił publiczne przemówienie? Za bardzo się boją i są za bardzo zajęci tajnymi negocjacjami pokojowymi z Tesh. Dlatego potrzebna nam inna strategia. - Zapadła długa cisza. - Wiadomo, kto utrzymuje bliskie stosunki z pewnym magistrem. Magistrem Legusem. Spotykają się co

tydzień. Kiedy się wie, kogo zapytać, można uzyskać ciekawe informacje. Pani prezes przychodzi do prywatnego domu Legusa. W którym ten mieszka jako obywatel, zdejmuje maskę. Spotykają się w intymnych warunkach. Czasem rozstają się dopiero rano. Raz, czasem dwa razy w tygodniu. W domu magistra. W sąsiednim domu.

Wrzawa. „Skąd wiesz?” Ktoś krzychał. „Nie możesz tego wiedzieć? Czyj jest ten dom? Jak go załatwiłeś?” i tak dalej.

Oriego naszło wspomnienie. Zaczął go gniesć pewien nieokreślony niepokój. Zauważył, że inni też sobie przypominają, ale nie są pewni, nie potrafią powiązać ze sobą różnych rzeczy.

- Nie było łatwo znaleźć prywatne nazwisko, które kryje się za urzędowym, ale rozwiązałem tę zagadkę - ciągnął Toro. - Zajęło mi to dużo czasu, ale wytropiłem go.

Ori słyszał te słowa jak przez woalkę.

- To jest dom... - zaczął i urwał.

Nikt go nie usłyszał, co go ucieszyło. Nie wiedział, co powinien zrobić. Nie wiedział, co czuje.

„To jest dom, w którym mieszkało to stare małżeństwo. Słyszałem o waszej akcji, parę miesięcy temu, niedługo po tym, jak dałem wam pieniądze. Prasa surowo to potępiła. Zamordowałeś ich, albo Starobark, albo jeden z nas, i wcale nie dlatego, że mieli jakieś związki z milicją. Byli bogaci, ale nie chodziło ci o pieniądze. Zlikwidowałeś ich, żebyś mógł kupić ten dom. Poszły na niego pieniądze Jacobsa”.

Ori miał w gardle wielką grudę. Kilka razy przełknął ślinę.

Odezwało się w nim sumienie. Coś w nim wzbierało, niepewność, frustrujące niedoinformowanie, ciężar wiedzy, a jednocześnie świadomość jej fragmentaryczności, zawstydzający ideologiczny galimatias, który ciągnął go w stronę Renegatów, w stronę różnych sekt i dysydentów, który kazał mu szukać jakiegoś zakorzenienia, jakiejś politycznej ojczyzny, w końcu znalezionej w gniewie i anarchistycznej pasji Toro. Niepewność wróciła. Wiedział, co czuje - mord na dwojce starych ludzi był haniebną zbrodnią - ale przypomniał sobie stanowcze apele Renegatów: zawsze „kontekstualizować”, zawsze postrzegać rzeczywistość w odpowiedniej perspektywie.

„Jeśli jedna śmierć zapobiegnie dziesięciu, to czy tak nie jest lepiej? Jeśli dwie śmierci mogą uratować miasto?”

Milczał. Miał poczucie, że wie za mało, żeby zawsze trafnie odróżnić dobro od zła, że musi się uczyć, że w tym kolektywie jest lepszym człowiekiem niż poza nim, że przed wydaniem oceny musi zrozumieć, dlaczego ta straszna rzecz się wydarzyła. Toro spojrział na niego i odwrócił się w stronę Starobarka. Rysy człowieka-kaktusa ściągnęły się. „Oni widzą, że ja wiem”.

- Posłuchaj mnie, Ori.

Spojrzenia innych zdradzały dezorientację.

- Tak - zabrzmiał głucho głos z hełmu Toro.

Ori czuł się jak uczeń wobec nauczyciela, taki bezsilny, taki zestresowany. Zrobiło mu się niedobrze. Taumaturgicznie wzmocniony bas Toro przenikał go do kości.

- Tak, to jest ten dom - powiedział półgłosem Starobark. - Byli starzy, bogaci, bez rodziny, nikt po nich nie dziedziczył majątku. Czyli było wiadomo, że dom zostanie sprzedany. Ale nie, to nie było dobre. Nie sądź, Ori, że nam to łatwo przyszło, że nie mieliśmy wyrzutów

sumienia. Dostaniemy się do sąsiedniego domu i... osiągniemy nasz cel. Zwycięzimy. - Przy tych słowach Toro zaczął ryczeć. Był to dźwięk, który przypominał odgłosy zwierzęcia, potem krzyk elyktryczności i wreszcie stękanie metalu pod obciążeniem. Rozbrzmiewał bez końca i chociaż nie był głośny, zawładnął całym pokojem i głową Oriego, który nie potrafił myśleć aż do momentu, aż ryk ucichł. Ori spojrzał w fosforyzujące, szklane oczy Toro. - Jeśli nasz plan się powiedzie, miasto będzie należało do nas - powiedział Starobark. - Urwiemy smokowi łeb. Ilu ludzi w ten sposób uratujemy? - Torystom zaczęło świtać, o co w tym wszystkim chodzi. - Myślisz, że nie próbowaliśmy innych sposobów? Dom magistra jest zamknięty. Nie możemy zacząć się w środku. Szef nie potrafi wepchnąć się do środka, nawet rogami. Jakaś magia ochronna nas blokuje. Nic nie skutkuje, kule, kamienie ani nawet środki wybuchowe. Dom jest opancerzony zaklęciami. Ze względu na osobę, która go odwiedza. W kanalizacji roi się od ghuli - nie ma przejścia. Nie mieliśmy innego wyboru. Zastanów się. Chcesz się wycofać?

„Dlaczego tylko ja jestem o to pytany? Czy inni też nie muszą podjąć decyzji?” Ale wszystkie oczy spoczywały na nim. Nawet Enoch załapał, o czym jest mowa. Z rozdziawionymi ustami myślał o tym, w jakim przedsięwzięciu brał udział, wiadomej nocy, stojąc na czatach. Starobark i Baron obserwowali Oriego. Sztywna, wyprostowana postawa człowieka-kaktusa zdradzała napięcie, natomiast Baron sprawiał wrażenie spokojnego. Oczywiście nie mieli zamiaru pozwolić mu odejść, Ori był tego pewien. Gdyby się z tego wypisał, byłoby po nim. A może nawet wtedy, gdyby został. Jeśliby uznali, że nie mogą mu zaufać.

Cel uświęca środki. Naczelna dewiza dysydentów. Oczywiście te środki trzeba było przeforsować, przedyskutować i podjąć decyzję. Ale byli już tak blisko. Znaleźli dostęp do miejsca, w którym obiekt ich działań będzie sam, niechroniony, odsłonięty, nareszcie dając im możliwość sprawienia Nowemu Crobuzon wspaniałego prezentu - to było gigantyczne osiągnięcie. Dotarcie do tego punktu wymagało śmierci dwojga ludzi - czy Ori mógł stanąć na drodze historii? Głos jego sumienia ucichł. „Cel uświęca środki” - pomyślał. Spuścił głowę.

Na najwyższym piętrze fachowo wkopano się w ścianę graniczącą z posesją Magistra Legusa. Gips i cienkie deski usunięto, odkuto część cegły.

- Głębiej nie można, bo zaczynają działać zaklęcia - powiedział Starobark.

Z wielką ostrożnością dotknął odsłoniętej powierzchni. Patrzył na Oriego, który starał się nie okazywać żadnych emocji. Toro przygotowywał tę akcję od wielu tygodni. „Masz jeszcze inne ekipy czy jesteśmy jedyni?” - pomyślał Ori z uczuciem, którego nie umiał rozszyfrować. „Czyje nazwisko widnieje w hipotece tego domu? Bo przecież nie kupiłeś go na siebie, prawda?” Baron coś mówił z mechaniczną precyzją. „Powiniennem słuchać” - uświadomił sobie Ori. „On przedstawia plan”.

- Sulion coraz bardziej mięknie. Kupujemy dwie rzeczy: informacje o tym, kto gdzie jest i jaką stosuje taktykę, i pierwszy krok. Bez niego przy drzwiach nie mamy szans.

„To są techniki milicyjne” - pomyślał Ori. „Poznaję techniki milicyjne”. Kolejny raz zadał sobie pytanie, ilu jest milicjantów, którzy tak jak Baron wrócili z wojny do cna rozczarowani i zgorzkniali. I do czego mogą się posunąć. Spojrzał na niego i uzmysłowił sobie, że wszystkie frustracje, które chował w sobie Baron, doprowadziły go do tego punktu, że nie myślał o dalszym życiu, że miała to być jego zemsta. „Czeka nas epidemia morderstw, jeśli dezertery i kombatanci nie znajdą innego ujścia dla swoich emocji. Część z nich zwerbują Nowopiórcy. Jabberze, miej nas w swojej opiece”. Pragnienie skrócenia rządu o głowę wróciło z

całą mocą. „Już niedługo. Już niedługo”.

Miał takie wrażenie, jakby znalazł się w skórze obcego człowieka. Musiał to sobie długo powtarzać, zanim uwierzył, że jest tam, gdzie być powinien.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Ludzie chodzili po ulicach Nowego Crobuzon z podniesionymi głowami. Obok aerostatów i wyrmenów, obok panoptikum powietrznych istot - obcych, rdzennych, sztucznych - patrzyli na słońce i zadawali sobie pytanie, czy znowu wyłoni się z niego jakaś zatrważająca, organiczna zjawia.

- Dalej próbują negocjować - powiedział Baron ekipie.

Miał tę informację od Bertolda, który wyciągnął taki wniosek z faktu częstych wizyt burmistrzynie w towarzystwie dyplomatów i lingwistów w skrzydle ambasadorskim.

Ori ponownie zameldował się w przytułku. Ladia powitała go nieufnie. Wyglądała na tak bardzo przemęczoną, że go to zbulwersowało. Jak zawsze po wszystkich kątach leżeli ludzie, których łatwo było wziąć za brudne tobołki, ale teraz również sam budynek był pokancerowany. Dziury i plamy zdartej farby wytatuowały ściany, a okna były zabite deskami.

- Piórcy - wyjaśniła. - Trzy dni temu. Dowiedzieli się, że jesteśmy... powiązani z określonymi siłami. Byliśmy nieostrożni, Ori, zostawialiśmy gazety na wierzchu. Po ostatnich wydarzeniach zrobiliśmy się lekkomyślni.

Przekonał ją, żeby się położyła na starej sofie. Rozplakała się przytulona do niego i długo gadała, ale w końcu chlipnęła, poklepała go, coś tam jeszcze zażartowała i zasnęła. Zastąpił ją w sprzątanii. Niektórzy bezdomni mu w tym pomagali.

- Wczoraj wieczorem mieliśmy przedstawienie teatralne - opowiadała mu kobieta z pokruszonymi zębami, ścierając ze stołów. - Elastycy czy jakoś tak. Zagrali dla nas za darmo. Nie bardzo rozumiałam, co mówili, ale fajne. Bardzo miło z ich strony, że przyszli nas zabawić.

Od wielu dni nikt nie widział Jacobsa.

- Ale nie próżnuje. Widziałeś? Jego znak jest wszędzie.

Kredowe spirale, którym Jacobs zawdzięczał swoje imię, mnożyły się jak wirus, pojawiały się we wszystkich dzielnicach, teraz rysowane już nie tylko kredą, ale także farbą, woskiem, smołą. A także wydrapywane na murach świątyń, szkłe i dźwigarach wieżowców.

- Myślisz, że to on zaczął? Może kogoś małpuje. A może nikt nie zaczął. Słyszałeś, co się z tym porobiło? Ludzie używają jego zawijasów jako symbolu.

Ori widział i słyszał. Spirale zakończone wulgarnymi hasłami wymierzonymi w rząd. Okrzyki „Spiralajcie stąd!” na widok policji. Dlaczego akurat ten, a nie któryś z dziesiątków symboli od lat zdobiących mury?

Kąt sypialny starca był szary od spiral. Atrament i grafit, różne rozmiary, kąty i zakrzywienia łuków, spirale odchodzące od spiral skomplikowanymi seriami. „To mógłby być język - pomyślał Ori - odczytywany zgodnie z ruchem wskazówek zegara lub odwrotnie, ze znaną wtajemniczonym liczbą spiral przypadających na jednostkę znaczenia, z obocznościami i derywacjami”.

Ori przychodził pracować przez dziewięć wieczorów z rzędu.

- Muszę to robić - powiedział do Starobarka. - W ciągu dnia jestem do waszej dyspozycji, ale muszę coś zrobić.

Toryści przystali na to, ale byli nieufni. Idąc przez miasto, Ori zatrzymywał się, zawiązywał but, opierał się o ścianę i patrzył za siebie. Był przekonany, że ktoś go śledzi, jeśli nie Baron, to ktoś inny. Wiedział, że jeśli porozmawia z kimś, kogo jego torystowski ogon uzna za niebezpiecznego, to może pożegnać się z życiem. Ale może nikt za nim nie chodzi? Ori nie wiedział, co jego towarzysze o nim myślą.

W Dwóch Gąsienicach Petron Carrickos dał Oriemu tomik swoich wierszy opublikowanych przez Niezależną Oficynę Elastyk.

- Kopę lat, Ori - powiedział.

„Przepadłeś jak kamień w wodę” - mówiło jego podejrzliwe spojrzenie, ale postawił Oriemu grappę i opowiadał mu o swoich planach. Na stole leżał egzemplarz „Rozszalałego Renegata” - z zasłoniętym tytułem, ale i tak było to świadectwo nowej zuchwałości.

Ori zadeklamował jedną zwrotkę.

- *Jedna pora roku tutaj / W twoim kwiecie / Płatki drewna i żelaza / Totalny niebanalny szok dogfeńskiego zmarszczenia brwi.*

Pokiwał głową.

Petron przedstawił Oriemu sytuację w trupie Elastyków: co kto robi, kto włączył się do jakiegoś ruchu, kto zniknął.

- Samuel się wypisał. Sprzedaje chałtury w jakiejś pokątnej galerii na Polach Salacusa. - Prychnął lekceważąco. - Nelson i Drowena dalej są w Howl Barrow. Oczywiście wszystko się zmieniło, jak możesz sobie wyobrazić. Próbujemy wystawiać spektakle, gdzie tylko się da. W kościołach, domach kultury i tak dalej.

- A jak ogółowi smakuje Nowa Konwulsyjność? - spytał Ori, sarkastycznie odnosząc się do nowej koncepcji z drugiego Manifestu Nuevistycznego.

- Uważają, że jest pyszna, Ori. - Z nowości był też nielegalny kongres wszystkich podziemnych gildii. „Działalność radykalnych robotników fabrycznych z Zakola Smogu i Gross Coil rozlała się na inne branże”, jak powiedział Petron. Delegaci z hut, stoczni, farbiarni i tak dalej spotkali się w jakimś tajnym miejscu w Dog Fenn i dyskutowali o tym, jakie żądania należy postawić rządowi. - Plenum też z nimi rozmawia.

Ori skinął głową. „Znowu gadanie i gadanie, z którego nic nie wynika. Na tym polega problem” - pomyślał Ori, ale zachował tę uwagę dla siebie.

Na zatłoczonym targu nad kanałem w Sangwine, gdzie dotarli w ramach przyjacielskiego spaceru, nagle usłyszeli krzyki. „Na miłość Jabbera, na miłość Jabbera!” - wrzeszczał ktoś, wprawiając tłum w dziwny oscylacyjny ruch: ludzie podbiegali, żeby zobaczyć, co się dzieje, po czym uciekali w te pędy, mijając stragany z książkami i świecidełkami.

Na wysokości śluzy leżała jakaś kobieta wstrząsana potężnymi konwulsjami. Spódnicę miała pogniecioną, a jej włosy wiły się jak robaki pod wpływem statycznej elyktryczności, która wprawiała powietrze w drgania. Ludzie chcieli podejść i ją odciągnąć, ale cofali się bladzi ze zgrozy na widok wiszącej nad nią zjawy.

Brudna mgiełka koloru sińca - tak jakby świat krwawił podskórnice. Powietrze zjełczało, jak w kwaśnym mleku cząstki materii krystalizowały się z niczego. Grudy śmierzącego eteru łączyły się w zorganizowaną formę i pojawiło się coś ruchomego, owadziego, cień, który obracał się w powietrzu jak zawieszony na nitce, raz widzialny, raz niewidzialny. Po chwili nie było już żadnych wątpliwości, że jest to stwór wielkości człowieka z haczykowatymi odnóżami, koloru zgnilizny. Osa, cienka jak kość talia poniżej odwłoka, która odbijała światło niby plamiste szkło. Żądło sterczało z odwłoka jak zakrzywiony wabiąco palec, ociekając jadem.

Osa oczyściła odnóża w skomplikowanym otworze gębowym. Groźnymi, złożonymi oczami spojrzała na przerażony tłum. Kolejno rozprostowywała odnóża, zadygotała i przesunęła się w powietrzu, ale w taki sposób, jakby jakiś olbrzym trzymający za nią zmienił pozycję. Przybliżyła się.

Kobieta zachowywała się jak rażona epilepsją. Zsiniała na twarzy. Nie oddychała. W pierwszej linii gapiów dał się słyszeć charkot. Dwie inne osoby, kobieta i mężczyzna, padły na ziemię, tryskając śliną i rzygowinami.

- Z drogi! Cofnąć się!

Milicja. Od strony wejścia na targowisko szturmowali funkcjonariusze. Strzelali w biegu i huk wyrwał ludzi z osłupienia, rozpierchli się. Ori i Petron odeszli na bok, ale nie uciekli, z

niewielkiego oddalenia patrzyli, jak milicja strzela do tego czegoś.

Kule przelatywały przez to, przechodziły na wylot, rozbijając szkło i porcelanę z tyłu. Kobieta leżąca w cieniu osy zacharczała i wyzionęła ducha. Pośród gradu kul osa zaczęła ciąć odnóżami powietrze niby nożyczkami. Ołów ledwo marszczył jej diaboliczne ciało, niektóre kule przelatywały, niektóre były pochłaniane. Owad tańczył w takt kanonady. Z ust martwej kobiety wypłynęło coś ciemnego, jej wnętrzności zamieniły się w smołę.

Policyjny taumaturg strzelił z palców, powołując do życia okultystyczne kształty. Między jego palcami i osą ciągnęły się nitki, plazma magicznie przetworzona we włókna i błony, ale drapieźniczka przebiła się przez tę sieć, nagle była daleko albo z boku, albo zamknięta jak oko, ale po błysku antyświatła znowu się pojawiła i taumaturgiczna sieć zaczęła się rozplęwać. Pozostałe ofiary osy leżały bez ruchu, a twarze funkcjonariuszy przybrały chorobliwie zielony kolor.

Potem osa znikła. Powietrze było czyste. Milicjanci powoli zaczęli Wstawać. Ori zebrał się w sobie, z okrzykiem na ustach ponownie padł na ziemię, kiedy fantom osy na moment pojawił się ponownie w żylakowatym powietrzu, by znowu zniknąć, tym razem na dobre.

- To nie była pierwsza - powiedział Petron. Szybko wrócili do Dwóch Gąsienic, gdzie pili mocno posłodzoną herbatę z rumem, ich organizmy łaknęły ciepła i cukru. - Nie słyszałeś o nich? Z początku wziąłem to za durne plotki. Myślałem, że to bzdury. - Zjawy siejące śmiercionośne miazmaty. - Jedna pojawiła się jako wielki robal. W Gallmarch. Jedna była drzewem, a jedna sztyletem, w Kruczych Wrotach.

- O sztylcie słyszałem - odparł Ori. Przypomniawszy sobie dziwny nagłówek w „Pochodni”.

- I jeszcze chodzi mi po głowie, że była też maszyna do szycia. I świeczka.

- Ci przekłęci Teshi za tym stoją. Musimy zakończyć tę wojnę.

- Czy rzeczywiście te sztuczki to może być broń Tesh? - zastanawiał się głośno Ori. -

Każda musi kosztować niezliczone psychonomy magicznych mocy, zwłaszcza jeśli jest wyczarowywana z Tesh, a ich żniwo jest znikome. Efekty zupełnie nieproporcjonalne do nakładów.

- Tak - zgodził się Petron - ale tu nie chodzi o liczbę ofiar, tylko o zniechęcenie wroga do walki. To jest wojna psychologiczna.

Następnego dnia Ori usłyszał o kolejnej zjawie, w Serpolet: kopulująca para. Podobno nie widać było ich twarzy. Wisieli w powietrzu złączeni ze sobą, całowali się namiętnie i obmacywali. Po ich zniknięciu - być może spowodowanym przez ataki zgorszonych mieszkańców - znaleziono pięć trupów, których wnętrzności wylały się na kocie łby i stwardniały do postaci smoły.

Kiedy Spiral Jacobs nareszcie dotoczył się do garkuchni, wyglądał tak mizernie, że Ori nie wierzył własnym oczom. Starzec ugiął się pod ciężarem własnych kości, a skóra wisiała na nim jak zetlały worek.

- Bogowie wszechmogący - powiedział łagodnie Ori, nalewając mu supel. - Bogowie wszechmogący, Spiral, co się z tobą stało? - Włóczęga spojrział na niego z anielskim uśmiechem.

Nic nie wskazywało na to, żeby rozpoznawał Oriego. - Gdzie byłeś tyle czasu?

Jacobs usłyszał pytanie i zmarszczył brwi. Po długim namyśle odpowiedział ostrożnie:

- Na Dworcu Perdido.

Była to jedyna poczytalna rzecz, którą powiedział tego wieczoru. Mruczał pod nosem w jakimś obcym języku albo jak małe dziecko, uśmiechał się, rysował sobie na skórze atramentowe spirale. Kiedy wszyscy inni spali, pośród koncertu chrapań i przeciągów Ori podszedł do miejsca, w którym Jacobs siedział i gadał do siebie. Ori widział tylko jego zarys.

- Straciliśmy cię, co Jacobs? - powiedział półgłosem. Był zdruzgotany. Łzy cisnęły mu się do oczu. - Nie wiem, czy jeszcze wrócisz z okolic, w które wywędrowałeś. Czekalem tu na ciebie, bo chciałem podziękować ci za wszystko, co zrobiłeś. - „Ty mnie nie słyszysz, ale ja ciebie tak”. - Muszę ci to powiedzieć teraz, bo szykują się takie historie, że mogę nie mieć okazji więcej się z tobą spotkać, Spiral. Chciałbym, żebyś wiedział, że twój prezent, pieniądze, które nam dałeś, poszły na dobry cel. Będziesz z nas dumny. Jack będzie z nas dumny, przyrzekam ci to. Bogowie, ile ty dla mnie zrobiłeś! - Spiral Jacobs bełkotał i bazgrał po swojej skórze. - Znać kogoś, kto znał Jacka. Mieć twoje błogosławieństwo. Nawet jeśli już nigdy nie odzyskasz jasności umysłu, Jack, zawsze będziesz częścią tej misji. A kiedy będzie już po wszystkim, zadbam o to, żeby miasto dowiedziało się o tobie. Jeśli przeżyję. Masz na to moje słowo.

Pocałował go w pomarszczone czoło, zaskoczony kruchością skóry-

Tej nocy nie było księżycy, a na dodatek zepsuły się latarnie gazowe w Griss Fell. W tych ciemnościach partia Nowe Pióra znowu zaatakowała przytułek. Oriego obudziły okrzyki „hołota!” i łomot pocisków o zabite deskami okna. Przez szparę między deskami zobaczył, że stoją w szyku bojowym, cieniowa etiuda, ronda meloników naciągnięte na czoła, przez co oczy były ciemnymi pasami. Cała ulica ubranego w garnitury zła, rzędy bojówkarskich muskułów spowitych w czarną bawełnę. Poprawiali kapelusze, prostowali krawaty związane pod kołnierzykami białych koszul. Otrzepali z marynarek wymaginowany kurz i unieśli broń.

Ale lokatorzy przytułku szybko odetchnęli z ulgą. Czy to milicja Przyszła im z pomocą, czy mieszane oddziały Plenum? Ori nie potrafił tego stwierdzić. Usłyszał krzyki i strzały, zobaczył, że zaskoczeni Piórcy odwracają się jak stado dzikich urzędników i przystępują do walki.

Ladia i bezdomni się rozpierchli. Ori ruszył w stronę Jacobsa, ale ku jego zdziwieniu starzec przemaszerował obok niego zdecydowanym, choć niezbyt szybkim krokiem. Nie patrzył na Oriego ani nikogo innego, tylko prosto przed siebie. Minął ostatnich bezdomnych. Z końca ulicy dochodziły odgłosy bitwy w ciemnościach widzianej jako anonimowa masa skłębionych czarnych postaci. Jacobs skręcił w drugą stronę, ku stacji Saltpetre i łukom, które pięły się ku północy ponad miastem.

Ori zawahał się, pomyślał, że w tej skorupie nie ma już podmiotu, z którym można by się porozumieć, a potem uświadomił sobie, że chce wiedzieć, dokąd pójdzie i co zrobi starzec. W ciemnościach pozbawionego ulicznego oświetlenia Nowego Crobuzon Ori śledził Spiral Jacobsa. A raczej nie śledził, tylko po prostu szedł kilka kroków za nim. Starzał się jednak stąpać na tyle cicho, aby każdy jego krok był tylko upiornym echem człapania Spiral Jacobsa. Szli między parkanem drewna i żelaza po jednej stronie i wysokim ceglany murem po drugiej. Spiral Jacobs potykał się, śpiewał w marszu piosenkę w jakiejś egzotycznej tonacji, cofnął się o kilka kroków, przebiegł wystającymi z obciętych rękawiczek palcami po zardzewiałej blasze falistej. Ori szedł za nim jak pełen czci apostoł.

Kredowym kciukiem Spiral Jacobs narysował kształt, któremu zawdzięczał swój przydomek, szepcząc coś przy tym pod nosem. Rysunek cechowała imponująca perfekcja symbolu matematycznego. Spod jego ręki wykwitły kolejne zawijasy. Jacobs pogładził je i

poszedł dalej.

Zaczęło padać, kiedy Ori dotarł do zostawionego przez Jacobsa znaku. Deszcz go nie rozmazał.

Obok sypiącego się ceglanego portalu stacji Saltpetre i dalej, do Flyside, gdzie latarnie gazowe paliły się i brudne światło czyniło z murów tło upiornego teatru cieni. Starzec wypisywał swoje znaki na wszelkich dostępnych powierzchniach, na przykład na szybie. Tłuszcz z użytego przez niego materiału - Ori nie wiedział, co to jest - mocno przywierał do szkła. Wąska uliczka połknęła Oriego i pociągnęła go w ślad za jego niepoczytalnym guru pod łukiem ceglanej bramy, za którą oświetlenie elyktrobarometryczne zastąpiło gazowe - zimne, krzykliwe kolory, czerwony i złoty lód w poskręcanych szklanych rurkach.

Tutaj nie byli już sami. Znaleźli się pośród jakiegoś ciemnego jak we śnie krajobrazu. Ori zadał sobie pytanie, kiedy jego miasto zostało w ten sposób okradzione, jakie tajemne siły go przeobraziły.

Sukcesja. Głośna muzyka skrzypek. Bogaci mężczyźni łądaczący się z prostytutkami wypadali z drzwi pijackich spelunek i nieświadomi niczego mijali tsotsich, którzy śledzili ich wzrokiem, przebierając palcami po broni. Teraz w stronę wieży milicyjnej. Dudnienie nadziemnych szyn, po których przejechał oświetlony pociąg. Przeciskanie się pod węzami oświetleniowego szkła z nazwiskami i nazwami zakładów usługowych. Proste animacje - narysowana światłem pani z czerwonymi ustami zastąpiona przez inną, unoszącą kieliszek, a potem zmiana powrotna, w ramach autystycznej iluminacji. Zawinięte w papier narkotyki sprzedawane na rogach ulic przez wycieńczonych młodzieńców. Milicja w agresywnym szyku, ich lusterka strzelają w głąb ulicy odbitym światłem. Wściekłość, głupie pijackie bójki i prawdziwe walki na noże.

Na północ do Mostu Naboba, po drodze do Riverskin. Na skraju Flyside minęli ciąg pustych, zaśmieconych parcel. Ori zobaczył ostatnie ciosy jakiejś bitwy gangów i oddział Piórców w garniturach, eleganckich i groźnych, ale nie nękali go, tylko szydzili ze studentów, którzy biegli pijani jak mopsy i ze śmiechem próbowali łapać iskry taumaturgicznego światła. Gwizdy, piecyk pikiety przed jakąś chemiczną fabryką, strajkujący wsparci przez sympatyków z pałkami i widłami, broniących ich przed Piórcami, którzy rzucili okiem w tamtą stronę, ale po dokonaniu analizy układu sił poszli dalej.

Pokryty bliznami chłopiec-kaktus mimo tak późnej pory wciąż zebrał o monety, które miały być nagrodą dla jego tańczącej małpki. Z życzliwym protekcjonalizmem podrapał go w głowę zwalisty człowiek-kaktus, który siedł na czele grupy osób, pewnie oddziału Wojującego Tygła. Nie pokazywali broni (milicja była blisko i tylko czekała na taki pretekst), ale zaznaczali swoją obecność na tych dekadencjach ulicach. Na poły przyjacielskim, na poły wyzywającym skinieniem głowy pozdrowili plenarystę, który zakomunikował coś Przechodniowi ręcznym slangiem i dał nura w starą uliczkę, kiedy nadbiegł spanikowany patrol milicyjny. W głębi uliczki płonął otwarty ogień, wokół którego kulily się ćpuny. Jakiś wyrmen zaskrzeczał i wylądował, by po chwili odlecieć.

Oriego mijali przechodnie. W powietrzu unosiła się woń alkoholu, dymu papierosowego i narkotyków, słychać też było wrzaski i wołania podobne do głosów ptaków.

Spiral Jacobs siedł przez to wszystko osłonięty tarczą swojego obłąkania. Przystawał, rysował swoje wzory i ruszał dalej, aż dotarł do zbudowanego na modłę starożytnych twierdz

Mostu Naboba, a potem szybko przez Kinken, gdzie bogate klany kheprich - stare fortuny i nuworysze - pielęgnowali swoją wyśnioną kulturę na Placu Posągów, kiczowato-mitologicznych rzeźb z khepriśliny. Powietrze było gęste od chemicznych podmuchów rozmów kheprich.

Spiral Jacobs wędrował wąskimi ulicami Starego Miasta, pierwotnej dzielnicy Nowego Crobuzon, litery V na podmokłym terenie między rzekami, jądra, z którego z biegiem czasu wyrosła metropolia. Starzec człapał, nucił, rysował spirale na ciemnych ceglanych ścianach. Potem przez Sheck, dzielnicę kupców i sklepikarzy, matecznik partii Nowe Pióra. Ori poczuł się nieswojo. Tutaj widział nie oddziały uderzeniowe w melonikach, tylko nerwowych, korpulentnych członków komitetów samoobrony, upojonych dumą ze swojej odwagi. Potem obrzeża Spit Hearth, gdzie prostytutki czekały na klientów. Spiral Jacobs narysował swój zawijas. Po jednej stronie było okno burdelu reklamującego pikantne rozkosze, po drugiej zmurszały plakat jakiejś radykalnej organizacji usiłującej zwerbować przedstawicielki „niekonwencjonalnych sektorów usługowych”, jak to eufemistycznie określono.

Crow, komercyjne centrum Nowego Crobuzon. O tej późnej porze spotykało się tam niewielu przechodniów. Spiral Jacobs i depczący mu po piętach Ori mijali arkady i pasáže, które nie były ani otwarte, ani zamknięte. Starzec z uznaniem dotykał zwijanych żeliwnych ornamentów. W witrynach było pełno bibelotów dla drobnomieszczańskich konsumentów.

A potem Ori zatrzymał się i pozwolił Spiralowi samotnie iść dalej w stronę obsypanego plamami światła cienia serca Nowego Crobuzon: cytadeli, fabryki, miasta wież, a według niektórych bóstwa stworzonego przez jakiegoś szaleńca opętanego ideą teogenezy. To nie był budynek, lecz góra z materiałów budowlanych, architektoniczny melanz zespolony przez jakąś anarchistyczną inteligencję. Pięć linii miejskiej kolejki wychodziło z jej gardzieli, a może tam się zbiegało, może tam zmierzały i zwijały się w sobie niby ogony króla szczurów, splatały się razem i tworzyły gmach, który dawał im mieszkanie: Dworzec perdido. Jądro kolei.

Spiral Jacobs wszedł pod łuk łączący dworzec z milicyjnym Szpikulcem, założył nocny obóz w ceglano-betonowo-drewniano-żelaznej świątyni, która dzięki swojemu ogromowi i ładunkowi elektrycznemu potrafiła zmieniać pogodę wokół siebie, potrafiła zmieniać charakter nocy.

Ori odprowadził starca spojrzeniem. Dworzec Perdido nie dbał o targające miastem niepokoje. Nie dbał o to, że nic już nie było takie jak dawniej. Ori odwrócił się i dopiero teraz, po wielu godzinach, ustąpiło uczucie, że ma watę w uszach: usłyszał nawoływania do walki, huk pożarów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

„Wszystkie ręce na pokład. Zaczynamy” - można było przeczytać na kartce przybitej do drzwi Oriego.

Starobark i Toro byli jedynymi nieobecnymi. Baron przedstawił plan.

- Około tygodnia. Tyle mamy czasu. To jest informacja od Bertolda. Musimy być ostrożni. To - kwadrat narysowany kredą - jest pokój na ostatnim piętrze. Tam będą. Pamiętajcie, że nie spodziewają się zamachu, ale Tarczoglówi zawsze są groźni. Każdy z was dostanie dokładne instrukcje. Kapujecie? Zapamiętajcie sobie, jak wchodzić, co robicie w środku i jak wychodzicie. I posłuchajcie mnie, macie się tego trzymać, żadnej improwizacji, niezależnie od tego, co się będzie działo. Zrozumiano? Róbcie to, co wam się każe, i pozwólcie innym robić to, co im się każe.

„Jesteśmy jedną z komórek?” - pomyślał Ori. „Są inne, o których nie wiemy?”

Baron rysował kolejne linie na planie i powtarzał instrukcje, żeby wbić im je do głowy. Przy kolejnych powtórzeniach jego intonacja nie zmieniała się ani odrobinę, jakby to było nagranie na woskowym cylindrze.

Dysponowali całym arsenałem nowej broni. Magazynówki, muszkiety, miotacze płomieni. Ori patrzył, jak jego towarzysze czyszczą je i oliwią. Widział, komu drżą ręce. Widział, że jemu nie drżą.

Baron uczył ich, jak się zajmuje teren, z mechaniczną efektywnością milicji. Ćwiczyli swoje role jak przed spektaklem scenicznym. „Krok w górę, badanie terenu, krok, krok, broń w górę, zabezpieczenie, dwa trzy, odgłos dwóch milicjantów, dwa trzy, krok, obrót, kiwnięcie głową”. Ori wkuwał ten schemat na pamięć. „Jak my to zrobimy?”

- Mamy po swojej stronie element zaskoczenia - powiedział Baron. - Musicie przetrwać ten krytyczny moment na samym początku. Nie mają czym nas odeprzeć. Ale jedno ci powiem, Ori. - Pochylił się nad stołem ze śmiertelnie poważną miną. - Nie wszyscy wyjdą z tego cało. Paru z nas zginie.

Nie sprawiał wrażenia, żeby się bał. Nie zależało mu na życiu.

„Czujesz to, prawda?” - pomyślał Ori. Jego zrywanie się z postronka. Ori oddalał się od grupy, co groziło pęknięciem łączącej ich więzi. Nadal miał wrażenie, że wędruje wśród tego dziwnego, nocnego krajobrazu ze Spiral Jacobsem - jego pożegnanie ze starcem, kiedy szedł przez nikogo niezaczepiany po mieście, które zamieniło się w jakiś psychotyczny, groźnie burczący wulkan, który w każdej chwili mógł wybuchnąć. Tam teraz był.

Nie było to uczucie rozstrajające ani przykre. Ori zerwał się z postronka. Odczuwał pewien niepokój, niepewność, ale jakby z oddali.

W mieście wrzało. Coraz bardziej rozgrzanymi od słońca ulicami biegali krzykacze i gazeciarze, daleko od swoich normalnych rewirów, i recytowali nagłówki. „Demonstracje w Dog Fenn!” - wołali. „Żądania wobec Parlamentu!” „Bandy obcych, wichrzycielskie Plenum!” Toryści siedzieli w domu kupionym z masy spadkowej po zamordowanym przez siebie małżeństwie. Nie zważali na prasowych heroldów, na wzrastające napięcie w mieście. Przestali sprzątać, żyli w ostentacyjnym brudzie. Nosili pieczęcie na pasku, ostrzyli rogi.

Sędziowie grodzcy, nawet ci najważniejsi, byli obywatelami, podkreślała władza: obywatelami jak wszyscy inni. Pracowali w maskach, żeby sprawiedliwość pozostała anonimowa. W każdym domu w każdej dzielnicy miasta mógł mieszkać sługa prawa. Willa obok

domu turystów była elegancka, ale niczym się nie wyróżniała w stosunku do okolicznej zabudowy.

Wreszcie, któregoś dnia pod wieczór, przy akompaniamencie wystrzałów daleko na południu - hałas, do którego Nowego Crobuzon przywykło i już dawno nie skłaniał milicji do wylądowania aerostatami, stał się elementem nocnego tła dźwiękowego - zaczęli przybywać goście. Kucharze, pokojówki i lokaje dostali wychodne i opuścili willę. Nie wiedzieli, jaki zawód wykonuje ich pan, nie wiedzieli, kto go odwiedza. Zjawili się dandysi i fircyki ubrani jak na kameralne Przyjęcie. Jeden człowiek-kaktus w eleganckim stroju.

„Personel zapewne sądzi, że ich pan jest wyuzdańcem” - pomyślał Ori. „Że urządził sobie orgietkę z rozpustą, bezceństwami i narkotykami”. Goście byli oczywiście milicjantami w cywilu. Tarczogłowymi. Przygotowywali się do wizyty burmistrzynie.

Ulliam nasunął na głowę wyposażony w lusterka wsteczne hełm, zapiął paski i westchnął.

- Nigdy bym nie pomyślał, że jeszcze kiedykolwiek to włożę.

- Nie całkiem kapuję - skarżył się Enoch Oriemu - jak mam wyjść.

- Przecież słyszałeś, En, przez okno pomywalni do ogrodu i stamtąd na ulicę.

„Nie wyjdiesz”.

- Tak, tak, wiem, tylko że... Zresztą będzie dobrze.

„Nie wyjdiesz”.

- Zorientujesz się, kiedy przyjdzie odpowiedni moment - powiedział wcześniej Baron i Ori czekał.

Oparł się o popękany tynk, a głowa spoczywała na deseczkach boazerii. „Krok, krok, zabezpieczenie, cel, cel, pał”.

- Rozumiesz, co masz robić, Ori? - spytał go Baron. - Chcesz o coś spytać?

„Czemu zawdzięczam ten... honor?” - zastanawiał się Ori. Dlaczego posłano go na pierwszy ogień? Był najlepszym strzelcem po Baronie. Nie liczył na to, że przeżyje, ale nie zrejterował. Może to przesądziło o decyzji Toro. „Żaden z nas nie przeżyje” - pomyślał. „Ale i tak zrobiłbym to tysiąc razy”.

- Wiesz, gdzie ja będę, wiesz, gdzie będzie Starobark. Potrzebujemy kogoś na szpicy, Ori.

„Ori jest w awangardzie” - pomyślał.

Poczuł ciężar miasta pod sobą, jakby wisiał w powietrzu i Nowe Crobuzon było do niego przykute. Wyobraził sobie, że słyszy, jak robaki ryją tunele w ścianach domu, czuje, jak świdrują mu skórę. Spojrzał wstecz na to, co robił przez lata. Zabrzmiał dzwon kościelny. Jakiś wyrmen krzyknął z nieba. W Dog Fenn jego przyjaciele toczyli nieustającą bitwę.

Usłyszał, jak Starobark zagłąda do niego i idzie z powrotem na dół. Ori nie oderwał głowy od ściany. Nogi jak pnie drzew, zaskakująco delikatny krok słoniowatych stóp człowieka-kaktusa. Jakiś czas później rzeczywistość została nakłuta, nastąpiło rozdarcie czasoprzestrzeni. Nie odwrócił głowy.

- Dobry wieczór, szefie - powiedział.

Przybył Toro.

Między drugą a trzecią w nocy, z niebem ciemnym jak atrament, z gwiazdami i połówką księżycą za chmurami, przystąpili do akcji.

Toro zadrżał i powiedział:

- Domowe zaklęcie mignęło.

Sulion, ich przekupiony pomocnik, zostawił jeden klucz w jednym zamku, odwrócił jeden silny urok ochronny i natarł zaczarowaną solą, przeciął jedną wiązkę kabli. Więcej nie było im potrzeba.

Cichy komentarz Toro, z danymi odbieranymi przez rogi, które stały się antenami w taumaturgicznym eterze, pomagał Oriemu w ustalaniu własnego położenia wewnątrz domu.

Ich ludzie byli w środku.

- Mają empatę - powiedział Toro. - Wiedzą, że ktoś się zakradł.

„Oczywiście, że mają empatę” - pomyślał Ori. „Mają empatę, taraniarza i kriomantę, mają wszystko”. Wziął się w garść, bo zaczęła go ogarniać panika.

Potem nastąpił manewr odwracający uwagę. Ori coś poczuł. Kroki na schodach? Tuż za ścianą biegł na dół, a inni do góry. „Po pierwszym sygnale alarmowym podzielił się: bezpośrednia obstawa pójdzie do burmistrzynie, reszta skieruje się do źródła zamieszania. Błyskawicznie usuną burmistrzynie poza obszar zagrożenia”.

Mając naprzeciwko siebie schodzących milicjantów, Kit wbiega teraz po pierwszym odcinku schodów i wszystko, co zagrozi mu drogę, podpala lepkiem ogniem. Za nim podążają Ruby i Enoch z własną bronią, zakładają pułapki. Jednocześnie z tą pierwszą falą, ściągającą milicję do tego wejścia, Ulliam wciskał proch pod drzwi. A tam ślad ich wtargnięcia. Ori usłyszał strzały.

Ori wyobraził sobie, jak goście poruszają się z zabójczą milicyjną gracją. Liczył na to, że jego towarzysze zdołali ich zaskoczyć i przynajmniej część zlikwidować. Pozwolił sobie nawet na nadzieję, że uda im się uciec.

Ulliam wysadził drzwi w powietrze. Teraz cała ulica się dowie, ale w tych niespokojnych czasach ludzie pewnie nie będą się spieszyli z interwencją. Część Tarczogłowych z pewnością skieruje się w stronę odgłosu wybuchu. Na parterze będzie tłok. W końcu do akcji wkroczy Baron.

Ori wyobraził to sobie. Co za odwaga! Żałował, że tego nie widzi. Lina przerzucona z okna pierwszego piętra do okna sąsiedniego domu, Baron - w nowym pancerzu i hełmie - brachiacyjnie przechodzi na drugą stronę, potem rzuca linę z węzłami na dół, żeby mógł się po niej wspiąć Starobark. Baron jest już pewnie w holu, przymocowuje ładunek do słupka poręczy i zapala długi lont. Rozpyła na schodach ropę i podpala, żeby większość funkcjonariuszy została odcięta na parterze. Teraz jest już obok niego Starobark z gotowym do strzału kuszarpaczem, chakri na cięciwie, i razem idą na górę.

Szef straży przybocznej wysłała kilku ludzi w stronę schodów i och! - Oriemu stanęło to przed oczyma jak żywe - co za szok i determinacja na widok Barona. Baron strzeli i cofnie się, żeby pociągnąć za sobą gwardzistów. Jego widok wytrąci ich z równowagi - odbezpieczone pistolety, potężne bary, pancerz i nowy hełm, staranna imitacja pokrytej bliznami nitów głowy byka.

„Toro!” - krzykną. „Toro!”

Czy właśnie w tym momencie tak krzyczą?

Nawet Tarczogłowi wystraszą się tego słynnego zbrodniarza, sprawcy tak pomysłowych aktów buntu i rozlewu krwi. Cóż za okazja, żeby go unieszkodliwić! Ori przyłożył ucho do przyprószonego gipsem drewna. Z drugiej strony dochodził odgłos tupotu nóg.

- Idą - powiedział Toro za jego plecami. - Już czas.

Ori usłyszał kroki biegnących. Wyciągnął pistolet pieprzowy i stwierdził, że ręka mu nie drży.

- Już czas, teraz - powiedział Toro.

Tarczogłowi gwardziści przebiegają obok ładunku podłożonego przez Barona, widzą na dole tylko ogień i cofającą się postać Barona z głową byka, strzelającego i walącego rogami o ściany. To Ori zapinał Baronowi hełm. „Widzisz coś?” - spytał. „Wystarczy, żeby zabić” - odparł Baron. I wystarczy, żeby zginąć. Ori był przekonany, że Baronowi jest wszystko jedno.

Starobark miał za zadanie najpierw unieszkodliwić funkcjonariuszy-kaktusów za pomocą kuszarpacza, a dopiero potem zabrać się za innych. A obok niego strzelający z precyzją specjalisty Baron, fałszywy byk. Wiąże siły wroga. Toro znowu powiedział, że już czas.

Już tylko sekundy... Ori zmobilizował się. „Krok, krok, dwa trzy, szybko, szybko, krok, cel, pal”.

- Teraz - powtórzył Toro i tym razem miał rację. Wykwit eksplozji. Huk rozprzestrzeniającego się ognia i dygot murów. Ściana, o którą oparty był Ori, sypnęła pyłem i pośród tornada pędzącej w dół materii domu schody między pierwszym piętrem i holem wyleciały w powietrze. Pokój za ścianą był odcięty.

- Teraz - powtórzył Toro i podszedł do Oriego, który przygotował broń i patrzył, jak jego szef z głuchym rykiem wściekłości pochyla głowę i naciera rogami, tym razem nie przebijając rzeczywistości za pomocą hermetycznych technik, tylko ordynarnie waląc w ścianę. Jednym uderzeniem Toro przebił się na drugą stronę i wszedł do sąsiedniego domu, a za nim Ori. Pośród wapna i desek ze zwalonej ściany stali w sypialni, mierzeni spojrzeniami znajdujących się tam osób.

Ori zachował spokój. Czas zwolnił. Ori poruszał się jak w wodzie.

Przytulny pokój, tapiserie i obrazy, ozdobne meble, kominek, kobieta i mężczyzna na szeszlangu, inny mężczyzna stoi, nie, dwóch mężczyzn, patrzą na wypełnioną kłębem pyłu dziurę i na Oriego i Toro. Grała muzyka. Jakiś ruch: powiewające poły fraka jakiegoś mężczyzny, który tanecznym krokiem przemierzał pokój, unosząc laskę, która w wyniku jakiegoś organicznego procesu zamieniła się w broń podobną do metalowego szponu. Zbliżał się szybko jak błyskawica.

Ori, dziwnie wolny od strachu, podniósł pistolet i zadał sobie pytanie, czy zdąży zatrzymać napastnika.

Toro prychnął, pochylił głowę i ze sporej odległości dźgnął ochroniarza, rozrywając mu klatkę piersiową. Zakrwawiony mężczyzna leżał z zamkniętymi oczami i wyzionął ducha u stóp Oriego.

Ori poruszył pistoletem: „Krok, krok, cel, raz dwa, róg, róg”. Usłyszał krzyk. Drugi ze stojących mężczyzn podniósł ręce do góry i krzyknął:

- Sulion, Sulion!

Ori go zastrzelił.

Informator padł na ziemię, a z dziury w głowie lała się krew. Mężczyzna i kobieta siedzieli bez ruchu wpatrzeni w trupy. Toro wymierzył w nich z pistoletu z obciętą lufą i opalizującymi szklanymi oczami spojrzął na Oriego.

Oczywiście nie dało się odczytać wyrazu ukrytej pod hełmem twarzy. Nikt nie wydał Oriemu rozkazu zlikwidowania Suliona. Zerknął na ciało i nie poczuł skruchy. Czy to była panika? Czy podjął wcześniej taki zamiar? Jeśli to była zemsta, to za co? Ori nie wiedział. Nadal był całkowicie spokojny.

Toro skinął głową w stronę drzwi: „Zabezpieczyć pokój”. Ori przestąpił nad mokrym trupem Suliona.

Korytarz kończył się zwęgloną wyrwą. Na dole trwała walka. Ori zadał sobie pytanie, kto

z jego przyjaciół wciąż żyje. Oleisty ogień pełgał po ścianach niby bluszcz. Mieli najwyżej kilka minut, zanim dom spłonie albo policyjna taumaturgia przecisnie się przez czarną dziurę w miejscu, gdzie kiedyś były drzwi wejściowe.

- Mamy mało czasu - zakomunikował Ori.

Stanął obok Toro przed mężczyzną i kobietą, który nadal siedzieli przy kominku i patrzyli na niespodziewanych gości.

Z voxiteratora dobywały się dźwięki suity wiolonczelowej, momentami zakłócanej trzaskaniem wosku. Mężczyzna był po sześćdziesiątce, barczysty i muskularny, ubrany w jedwabny szlafrok. Miał spokojną, mądrą twarz. Jego nieruchome, intensywne spojrzenie zdradzało Oriemu, że coś planuje. Trzymał kobietę za rękę.

Musiała być mniej więcej w jego wieku - historia to potwierdziła - ale po prawie wolnej od zmarszczek twarzy trudno byłoby się tego domyślić. Jej włosy były białe jak puch. Ori znał ją z setek heliotypów. Trzymała w ręku długą glinianą faję, cienką jak kość palca. Główka jeszcze dymiała. W powietrzu unosił się korzenny zapach. Kobieta była okryta jedynie szalem. W jej spojrzeniu nie było ani strachu, ani agresji, lecz spokój i dociekliwość, podobnie jak u jej kochanka.

- Mogę wam dać pieniądze - zaproponowała.

- Cisza! - powiedział Toro. - Burmistrzynie Stem-Fulcher, proszę milczeć.

Burmistrzynie Stem-Fulcher. Ori był zaintrygowany. Bardziej niż wściekły, zniesmaczony czy żądny zemsty. Ta kobieta zarządziła Masakrę Paradox i znacznie podniosła liczbę prze-tworzeń. Ta kobieta zawierała zakulisowe układy z Nowym Piórem, nie ściagała ich za pogromy obcych. Ta kobieta naszpikowała legalne gildie agentami. Stała na czele skorumpowanej klasy politycznej, która beczynnym przyglądała się rozkwitowi antygospodarki głodu i kradzieży. Ta kobieta wszczęła wojnę. Burmistrzynie Eliza Stem-Fulcher, La Crobuzonia, Wielka Matka Pełnego Słońca.

- Wiecie, że się stąd nie wydostaniecie - powiedziała burmistrzynie rzeczowym tonem. Podniosła nawet faję, jakby miała zamiar się zaciągnąć. - Mogę dać wam glejt.

W jej głosie nie było nadziei. Spojrzała na kochanka i coś się między nimi wydarzyło. „Pożegnanie” - pomyślał Ori i coś w nim drgnęło, jakieś wielowarstwowe uczucie, którego nie umiał odczytać. „Ona wie”.

- Proszę milczeć, pani burmistrzynie.

Burmistrzynie i magister znowu wymienili spojrzenia. Eliza Stem-Fulcher zwróciła się do Toro i chociaż nadal trzymała swego mężczyznę za rękę, wyprostowała się, jakby chciała przybrać oficjalną pozę, i rzeczywiście się zaciągnęła. Zamknęła oczy, zatrzymała dym w płucach, a potem wypuściła przez nos. Spojrzała na Toro i... „Bogowie! - pomyślał pełen podziwu Ori - uśmiechnęła się”.

- Co teraz zrobisz? - spytała pobłażliwym tonem nauczycielki. - Jak myślisz, co teraz zrobisz?

Patrząc Toro prosto w oczy, znowu się uśmiechnęła, ponownie wciągnęła dym, z przekrzywioną filuternie głową uniosła pytającą głowę - „To jak?” - i Toro ją zastrzelił.

Jej kochanek podskoczył, kiedy trafiła ją kula. Zagryzł wargę, ale mimo to z jego ust dobyło się miauknięcie, które przeszło w jęk. Siedział i trzymał ją za rękę, a czerwona plama na jej odchylonej do tyłu głowie robiła się coraz większa. Z otwartych ust snuł się dym. Głowę trupa i dłoń Toro przez moment łączyła pępowina siarczanych oparów. Mężczyzna szlochał, nie wypuszczając dłoni martwej kochanki ze swojej. W końcu jednak zapanował nad sobą i spojrzał na Toro.

Ori był pogrążony w onirycznym osłupieniu, ale jednocześnie dojrzewała w nim

świadomość, że wykonali zadanie i nadal żyją. Dopuszczał do siebie nadzieję, że wyjdą z tego cało. „Na co czekamy?”

- Pilnuj go - rozkazał Tori i Ori podniósł spluwę. Toro zaczął odpinać sprzączki hełmu. Ori nie rozumiał tego, co miał przed oczyma. Toro zdejmował byczą głowę. - Pilnuj go.

Głos brzmiał inaczej, odłączony od tajemnych mechanizmów, które nadawały mu pompatyczną basowość. Stał się ludzki.

Coś zniknęło z powietrza, kiedy Toro zdjął hełm i przerwał taumaturgiczny obwód. Toro uniósł metalowe urządzenie jak nurek pozbywający się mosiężnego dzwonu. Toro potrząsnęła głową, żeby jej mokre od potu włosy się rozsypały.

Ori spojrział na kobietę, ani ma milimetr nie odrywając lufy od klatki piersiowej magistra. Sądził, że nic nie potrafi go zaskoczyć.

Toro była oczywiście prze-tworzona. Odwróciła głowę. Upływ lat i traumy, które kazały jej przybrać postać Toro, uczyniły ją zylastą. Jej twarz była kamienna i nacechowana zwierzęcą żarłocznością. Nie patrzyła na Oriego. Usiadła przed magistrem na podnóżku i odłożyła byczy hełm na podłogę.

Z obu stron twarzy, nad brwiami, wystawały ramiona dziecka. Gestykulujące bezładnie ręce zaplątane we włosy. Wcześniej każde z nich było wyciągnięte w jednym z rogów hełmu. Trzepotały koło twarzy kobiety niby nogogłaszczki pająka.

Usiadła, zamknęła oczy i rozprostowała wszystkie cztery ramiona. Przez dłuższą chwilę milczała.

- Legus - zaczęła w końcu. - Wiem, że teraz rozpaczasz, ale chcę, żebyś mnie wysłuchał. Bez zniekształcającego filtra hełmu Ori wyraźnie słyszał akcent z południowo-zachodniego Nowego Crobuzon. Pokazała na oczy magistra, a potem na swoje: „Patrz na mnie”. Niezbyt mocno przycisnęła mu lufę pistoletu do brzucha.

- Opowiem ci moją historię. Chcę, żebyś zrozumiał, dlaczego tu jestem. - Z ciała burmistrzynie dobył się ssący dźwięk spowodowany przez przemieszczenie się gazów lub krwi. Patrzyła w sufit ze skupieniem typowym dla umarłych. - Opowiem ci. Może już to znasz, ale posłuchaj. Niełatwo jest poznać twoje prawdziwe nazwisko, ale da się to zrobić. Istnieje czarny rynek onomastyki. Nie wiem, czy cię to pocieszy, ale twoje wyjątkowo trudno było kupić. Magister Legus. Zajęło mi to strasznie dużo czasu.

Wysłałam z więzienia kilkanaście lat temu. Zostałam absolwentką, jak to nazywaliśmy. Docierały do nas różne informacje. Mieliśmy coś na każdego magistra. Narkotyki, chłopcy, dziewczyny, szantaże. Część była wyssana z palca. „Legus to niezły drań” - mówili mi. „Wiesz, że dupczy panią minister spraw wewnętrznych?” Którą ona wtedy jeszcze była. - Ruchem głowy pokazała na stygnącą Stem-Fulcher. - Tej pogłoski nigdy nie zapomniałam. Usłyszałam ją wielokrotnie od ludzi, do których miałam zaufanie, w środku i na zewnątrz.

Wyobrażasz sobie, jak wiele pracy mnie to kosztowało? - Nie chciała użyć jego prawdziwego nazwiska. - Lata przygotowań. Hełm musiałam sobie wywalczyć. - Dziecięce ramiona popukały czoło. - Stworzyłam sama siebie. A żeby być ścisłym, ty mnie stworzyłeś, Legus. Pamiętasz?

- Minęło ponad dwadzieścia lat. Przypominasz sobie te wielkie, stare bloki mieszkalne w Ketch Heath? Tak, przypominasz sobie. Tam mieszkałam. Zabiłam moją dziewczynkę. Pamiętasz, magistrze? Moją małą Cecile. Płakała, płakała i płakała, ja też płakałam, a potem może nią potrząsnęłam, żeby ucichła, nie wiem, a kiedy odzyskałam świadomość, już nie żyła. Przytulając ją mocno do siebie, żeby się nie wychłodziła, pobiegłam z nią do jednego znachora, który co drugi błękitnik leczył gratis w naszej okolicy, ale oczywiście było już za późno. A potem zjawился się ty. - Nachyliła się ku niemu. - Już wiesz, o kogo chodzi?

Nie wiedział. Skazał na prze-tworzenie tysiące osób, jak więc mógł wszystkie pamiętać? Ori obserwował Legusa. Toro z łagodną żartobliwością rodzica zdyscyplinowała rozigrane dziecięce ramiona.

- Powiedziałeś mi, że cel jest taki, abym nigdy nie zapomniała o tym, co zrobiłam. Nie zapomniałam. - Znowu pochyliła się do przodu i dłonie Cecile powędrowały w stronę magistra Legusa, trzymającego za rękę martwą burmistrzynie. Rozległ się jakiś hałas. Ktoś usiłował przedostać się na piętro. - Dwa tygodnie temu były jej urodziny. Jest teraz starsza niż ja wtedy. Moja dziewczynka.

Wstała i przyłożyła Legusowi pistolet do skroni. Mocniej ścisnął dłoń Stem-Fulcher i otworzył usta, ale nie odezwał się.

- Ode mnie - powiedziała bez gniewu w głowie. - Od wszystkich mężczyzn, z których zrobiłeś maszyny, od wszystkich kobiet, z których zrobiłeś potwory. Czołgi, ślimakodziejczyny, pantokonie, maszyny przemysłowe. Od wszystkich, których zamknąłeś w kiblach nazywanych przez was więzieniami. Od wszystkich, którzy się ukrywają na wypadek, gdybyś ich złapał. Ode mnie i od Cecile - tak, przyznaję, moje ręce to uczyniły i to jest moje brzemię. Cecile nie rośnie i nigdy nie zaznaje odpoczynku. Moja dziewczynka. Więc to jest też od niej.

Z lufą pistoletu przytkniętą do jego głowy wielokrotnie uderzyła go kolczastym sygnetem. Stęknął, bluznął z ust krwią, jego twarz wykrzywiła się okropnie. Uniósł dłoń, nie żeby się zasłonić, lecz żeby po coś sięgnąć, nie żeby powstrzymać dwurożne ciosy - te przyjmował na siebie, tak mocno ściskając dłoń kochanki, że jej martwe palce rozpostarły się. Ból wypychał z niego głuche szczeknięcia i bryzgi krwi. Toro uderzała go z bezlitosną regularnością, wbijała rogi w jego szyję i serce. Ponad tą jatką dłonie jej dziecka bawiły się włosami konającego magistra.

Ori stał bez ruchu przez cały ten czas i jeszcze długo potem. Czekał, aż Toro odwróci się do niego - ta drobna kobieta z południowym akcentem i starymi rachunkami do uregulowania. W końcu, nie dostrzegając żadnych oznak tego, że Toro zamierza się poruszyć - siedziała ze spuszczoną głową, a u jej stóp zbierała się krew magistra - odezwał się:

- Chodź. Musimy stąd uciekać.

Odwróciła się, chociaż po tak długim czasie, że przestał już na to liczyć. Spojrzała na niego z wysiłkiem osoby przebudzonej z głębokiego snu i potrząsnęła głową, jakby nie знаła jego języka. Bez słowa dała mu do zrozumienia, że nie ma zamiaru się stamtąd ruszać, że dotarła do końca swojej drogi.

- I... i... - Duma albo respekt sprawiły, że Ori nie chciał, aby dosłuchała się w jego głosie błagania lub strachu. Przemówił ponownie dopiero wtedy, kiedy uzyskał pewność, że głos go nie zawiedzie. - Czyli to był jedyny sposób, tak? My? Ruby, Ulliam, Kit, wszyscy, którzy są na dole,

musieli w tym uczestniczyć? Baron, do ciężkich bogów... i Starobark.

Pokazała na sztywniejącą burmistrzynie.

- Tego chcieli i zrobiliśmy to.

- Tak.

„Tak, ale nie w tym rzecz. To była dla ciebie sprawa uboczna, nie po to tutaj przysłaś, a to wszystko zmienia”.

„Naprawdę? Czy nie zwyciężyliśmy?”

Kobieta w średnim wieku, pochodząca z robotniczych osiedli południowo-zachodniego Nowego Crobuzon, siedziała koło dwóch powleczonych werniksem krwi trupów. Młody mężczyzna z Dog Fenn stał niepewnie z bronią w ręku i słyszał, że wrogowie są coraz bliżej. Wszystko się zmieniło.

- Chcę stąd iść - powiedział i nagle zaczął mocno drżeć.

Wezbrał w nim cały tłumiony dotąd strach. Po raz pierwszy od wielu dni poczuł w sobie wolę... wolę przeżycia.

- To idź.

Dziurą, przez którą weszli, wleciał łomot, odgłos młotów, którymi wyważano drzwi pustego domu.

- Przez ciebie zginę!

- Na litość Jabbera, idź już, Ori. - Popchnęła stopą hełm w jego stronę. Zakolebał się, zahaczając rogami o szpary między klepkami podłogi. Ori spojrzał na hełm, na Toro, znowu na hełm, i podniósł go. - Zaklęcia już nie działają. Idź.

Był bardzo ciężki.

- Nie umiem go używać. Co mam robić?

- Pchaj. Po prostu pchaj.

Słuchać było krzyki nadchodzących milicjantów.

- Dajesz mi swój hełm?

Krzyknęła na niego. Powiedziała „Idź!”, ale to nie było słowo tylko raczej zwierzęca ekspresja wściekłości. Ori cofnął się i spojrzał na lepkie zwłoki, które dotrzymywały jej towarzystwa. Siedziała w dziwnej pozie, za bardzo zmęczona, żeby chwycić za dłonie dziecka.

- Nie miałaś prawa tego robić. Wykorzystałaś nas. Wykorzystałaś nas bez skrupów. Nie miałaś prawa. - Uniósł oburącz hełm i ugiął się pod jego ciężarem. Wstydził się tonu, którym do niej mówił.

Przez ciebie zginęli. Ja pewnie też zginę. To był... To był zaszczyt walczyć u twojego boku. - Usłyszał jakiś nowy dźwięk... chyba haki. Milicjanci się wspinają. Wołali nazwisko burmistrzynie. - Należało to zrobić inaczej. Cieszę się, że... osiągnęłaś to, co chciałaś. Należało to zrobić inaczej, ale my też osiągnęliśmy to, co chcieliśmy.

Opuścił maskę byka z powrotem na głowę i próbował zaszalować po wojskowemu, ale Toro nie patrzyła na niego.

Kiedy hełm osiadł na jego ramionach, zrobił się lekki. Jak płótno. Ori nie miał, talentu do taumaturgii, ale nawet on czuł, że metal jest nią naładowany. Spojrzał na kryształ, który rozświetlał pokój, wyostrzał kontury. Zapiął sprzączki i ogarnęło go uczucie, że jest niewyciężony.

Zabrakło mu tchu. Małe igielki dźgały szyję, jego palce wpijały się w metal. Poświęcenie, krew, której hełm zawdzięczał swoją moc. „Co mam robić?” - chciał krzyknąć. Poczł metalowe wypustki między zębami, próbował je ugryźć, odepchnąć językiem, poczuł, że wciąż są mokre od śliny kobiety. Własny głos dudnił mu w uszach.

„Pchaj”. Ori przyjął pozę, którą widział u niej, nacisnął pełnymi nowej mocy udami,

szarpnął się do przodu, zachwiał, odzyskał równowagę, podjął drugą próbę. Oparł szpice rogów o ścianę i napał całym ciężarem, ale osiągnął tylko tyle, że utkwily w drewnie. Ludzie podbiegali do drzwi. „Pchaj” - powiedziała. „Ale w którą stronę?”

W swoim nagłym i rozpaczliwym pragnieniu, aby przeżyć, sięgnął po pierwsze rozwiązanie, które przyszło mu do głowy, i wyobraził sobie swoje mieszkanie, swój mały pokój. Miał go przed oczyma z najdrobniejszymi szczegółami, usunął z głowy wszystkie inne myśli. Kiedy znowu napał do przodu, zacisnął oczy i zęby, poczuł, że jego pragnienie skupia się w dwóch rozjątrzonych punktach na styku rogów i jego czoła, pchnął i coś poczuł - pokonanie oporu, jakby pęknięcie naprężonego woskowanego papieru. Substancja powietrza zaczęła się dla niego rozdzielać i próbowała go wessać.

Ori zatrzymał się na skraju tej małej ontologicznej anomalii, dziury we wszechświecie. Przed sobą miał wzburzoną ciemność. Odwrócił głowę, nie wyjmując rogów z rany, i usiłował spotkać się spojrzeniem z kobietą, na której policzkach dziecięce rączki bawiły się w kosi-kosi-łapci. Nie patrzyła na niego. Nie patrzyła na trupy.

Milicja była przy drzwiach. Ori pchnął całym ciałem, dał się wciągnąć w dziurę i wypadł z pokoju, w którym owiana największą sławą złodziejka i morderczyni jego pokolenia łkała bezgłośnie, gdzie władczyni Nowego Crobuzon sztywniała i...

...przez moment, długi moment Ori znajdował się w zmarszczce, we wnętrznościach czasu, świata, w zwiotczonych synapsach odczuwał swoją panikę jak powoli mętniejącą wodę i pomyślał, co by było, gdyby miał tyle siły, żeby przebić się przez powierzchnię świata i wpłynąć jak robak w zaprawę między chwilami, między komórkami rzeczywistości, ale co by było, gdyby nie starczyło mu siły do powrotu i utknąłby w tkance łącznej wymiarów, mikrob w bezforemności, w czasie-i-przestrzeni?

Co wtedy?

Ale impet pchnięcia niósł go dalej przez długi, długi czas i chwilę po pierwszym pęknięciu poczuł drugie, membrana znowu go przepuściła, wypłuła go po drugiej stronie jak drzazgę. Spadł na ziemię mokry od krwi rzeczywistości, krwi, która ulotniła się opalizującymi żyłkami, pawi ruch w powietrzu, który znikł, zostawiając Oriego zdezorientowanego i suchego na...

...zaśmieconej uliczce.

Długo leżał, jęcząc cicho, aż wreszcie dolegliwości podobne do choroby lokomocyjnej minęły i Ori poczuł się na tyle silny, aby podnieść głowę.

Nie rozpoznawał niczego, co pozwalałoby mu stwierdzić, gdzie się znajduje. Było mu niedobrze. Miał świadomość, że w helmie Toro jest narażony na niebezpieczeństwo. „Niedługo odpocznię” - taka myśl przebiła się przez mgłę w jego głowie. W miejscu styku z rogami bolało go czoło. Był po drugiej stronie, ale daleko od wyobrazonego miejsca.

Poczuł chłód, ale to go nie martwiło. Idąc płataniną uliczek, potknął się i podniósł wzrok. W górze coś majaczyło, czarne jak noc arkady, których nawet oczy Toro nie potrafiły przeniknąć. A dalej żółte jak zęby w świetle lamp gazowych sklepienia Zeber. Ori był w Mieście Kości.

Pod arkadami nadziemnej kolejki przespał resztę nocy. Niebo szarzało, kiedy się obudził. Po zdjęciu hełmu o mało nie stracił przytomności. Stał oparty o ścianę, dopóki czarne plamy przed oczami nie zniknęły. Cisza rozstrajała go. Słyszał odgłosy składające się na szept miasta, ale cegły, o które się opierał, były pozbawione życia. Nie przewodziły wibracji. Crobuzońskie pociągi zawsze jeździły na okrągło, ale nie dzisiaj.

Ori zrobił z kurtki swego rodzaju worek na hełm, schował pistolet do kieszeni i powoli ruszył w stronę Żeber Miasta Kości.

Atmosfera była naelektryzowana. Słysząc było dźwięk, który przypominał buczenie nadmiernie naprężonego drutu. „Co się dzieje?” Niemożliwe, żeby wiadomość tak szybko się rozeszła. W mgnieniu oka jego nastrój odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i ogarnęły go złe przecucia. „Co się stało?”

Ulice były prawie wymarłe, nieliczni przechodnie poruszali się z opuszczonymi głowami. Ori minął kryte papą domy koło Żeber, mając ceglana estakadę kolejki miejskiej po lewej ręce. Szedł na południe przez Sunter, zamierzając skręcić na Most Rdzy do Murkside, a stamtąd przejść do Syriac, ale zobaczył światła ognisk i usłyszał dźwięk bębnów i rogów. Taki harmider o bladym świetle?

Muzyka bębnów i rogów robiła się coraz głośniejsza. Przeżycia ostatnich godzin odcisnęły na Orim swoje piętno. Drżał, ciężar hełmu przyciskał go do ziemi. Na południe, przez High Chypre Hill, ulicę kwaciarzy i sprzedawców bibelotów, nad których dachami powinny mknąć pociągi. Linia rozwidlała się w tym miejscu, odnoga linii Dexter szła do Kelltree i skręcała na wschód, przez rzekę, do Dog Fenn. Coś zagrażało Oriemu drogę.

Stał przed przeszkodą, mrugając z niedowierzaniem, aż do oczu napłynęły mu łzy. Miał przed sobą prymitywną barykadę, po której chodzili ludzie.

- Stój! - krzyknął ktoś.

Ori szedł dalej, nie mając świadomości, że rozkaz dotyczy jego.

Barykada była zbudowana z płyt chodnikowych, gruzu, wózków, kominów, starych drzwi, przewróconych straganów. Tony miejskich odpadków usypane w małe pasmo górskie, kilkumetrowy kordon śmieci z zatkniętymi na szczycie flagami. Z boku sterczało marmurowe ramię posągu.

- Stój! Głuchy jesteś? - Strzał, a potem świst rykoszetu. - Dokąd to, przyjacielu?

Ori uniósł dłonie. Podszedł do barykady, machając rękami.

- Co się stało? Co się dzieje? - Odpowiedziały mu szydercze uwagi: „Co to za jeden?”, „Jakiś bogaty palant z Mafaton, który właśnie wrócił z wakacji?”.

- Czyżby tam, skąd wracasz, nie było gazet, kiosków, krzykaczy? - zawołał jeden ze strażników. Dla Oriego był podświetloną od tyłu czarną sylwetką. - Spadaj do domu.

- Tu jest mój dom, w Syriac. Co się stało? Cholera ciemna, jak długo byłem pomiędzy... Tu chodzi o nią, prawda? Słyszeliście? O burmistrzynie? - Podniecenie wróciło z taką siłą, że ledwie był w stanie mówić. „Może zniknąłem na wiele dni” - pomyślał. „Co się stało, kiedy mnie nie było? Czy to dzięki nam? Stało się. To ich przebudziło. Inspiracja. Bogowie!” - Psiakrew, chaverim, wpuście mnie! Powiedzcie mi, co jest grane. - Zapomniał o zimnie i zmęczeniu, stał wyprężony w świetle ognisk strażników. - Ile czasu minęło? Od jak dawna ona nie żyje?

- Kto?

- Burmistrzynie.

Ori zmarszczył brwi. Rozległy się kolejne okrzyki: „Ona nie żyje?”, „Ta suka poszła do piachu?”, „Co to za wariat?”, „On jest obłąkany, nie dałbym złamanego stivera za...”.

- Nie mam pojęcia, o czym ty gadasz, chłopie. Lepiej się stąd zmywaj.

Usłyszał odgłos odbezpieczania broni.

- Ale co...

- Posłuchaj, przyjacielu, czy ktoś może za ciebie zaświadczyć? Bo bez tego przejścia nie ma. Znajdujesz się na ziemi niczyjej, a to nie jest bezpieczne miejsce. Lepiej spiesz do Starego Miasta albo podaj mi jakieś nazwisko, a my cię sprawdzimy.

Uniosły się głowy, do mówiącego podeszły posiłki. Uzbrojony oddział, ludzie i inne rasy, broń gotowa do strzału pod trzepoczącymi flagami.

- Bo teraz stoisz na progu, kolego, a trzeba być po którejś stronie. Nie jesteśmy tutaj od wczoraj. Od wielu dni w mieście są dwie władze. Miałeś dużo czasu na wybór, chłopie. Albo północ - rozległy się buczenia - i powrót do przeszłości, albo my tutaj, Kelltree, Echomire i Dog Fenn, przyszłość, która już się zaczęła. Podejdź do mnie powoli, z rękami do góry. Rzucimy na ciebie okiem, tępaku. - Zabrzmiało to niemal życzliwie. Rozbiła się jakaś butelka. - Podejdź bliżej. Witamy na Wolnych Terytoriach, chłopie. Witamy w Crobuzońskim Kolektywie.

CZEŚĆ SIÓDMA

PLAMA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

- Nie podoba mi się, że przed nimi uciekamy.

- Przecież słyszałeś, co mówili. Nie możemy ryzykować. Wysłali ekspedycję wojenną, żeby nas zniszczyć.

- Ale skoro musimy uciekać, to, na Jabbera, dlaczego z powrotem do miasta, do jaskini Iwa?

- To nie tak. Wyślemy wiadomość. Nasz powrót zmieni sytuację. Kiedy tam dotrzemy, przywita nas nie milicja, tylko wiwatujący *mieszkańcy*. Wrócimy do zupełnie innego *miasta*.

Cutter i jego przyjaciel stali oparci o ścianę przebudowanego wagonu w przerwie między tańcami. Podróż była uciążliwa, toteż każdego wieczoru Radni płasali w ciemnościach do zaimprovizowanych rytmów.

Oczywiście nie obyło się bez ofiar. Ktoś postawił fałszywy krok na skraju przepaści, wirusy i bakterie z niezamieszkanymi obszarów zbierały swoje żniwo, wreszcie grasowały drapieżniki złożone wyłącznie z pazurów, zębów i wąsów. Drogon przyłączał się do myśliwych z Żelaznej Rady i wracali z głowami tych dziwnych zwierząt, nowymi ranami i opowieściami. „Ten jest fazowy, więc zaczekaliśmy, aż zlodowacieje, i strzeliliśmy mu w serce. To widzi zębami”.

Cutter kilka razy był świadkiem zastosowania nowej taumaturgii stworzonej przez Radę. Nie uratowałyby ich przed milicją. Rada próbowała uprzykrzać życie pogoni, wysadzając w powietrze mosty, zasypując rowy gruzem. Judasz zastawiał pułapki, które mogła uruchomić tylko większa grupa ludzi. Budował ich, ile się tylko dało, a każda wysysała z niego energię. Cutter wyobrażał sobie, jak ziemia wybrzusza się, zapada, staje postacią z kamienia, ze zwałonego drzewa, z wody w strumieniu. Judasz zaszczeptał w ich świadomości tylko jeden rozkaz, niezacierały i prosty: „Walcz!”. Substancja tych ziem nie miała zdziczeć, tylko zorganizować się i nękać milicję ciosami Pięści.

O ile milicja dotrze tak daleko, co Cutterowi wydawało się prawdopodobne. Część zginie, ale większość przeżyje. Jeśli przybili do brzegu i wpadli na trop Rady, to nawet wielkie golemy Judasza ich nie powstrzymają. Milicja prędzej czy później dogoni maruderów, tych, którzy nie potrafią dotrzymać Radzie kroku. Żelazna Rada liczyła na Krainę Tysiąca Plag. Strefa kakotopieczna powinna ukryć ich ślad.

- Nie sądziłem, że jeszcze to kiedyś zobaczę - powiedział Judasz.

Stali na skalistym wzniesieniu nad torowiskiem, rozciągniętą karawaną ludzi, pieszych albo dosiadających mułów, towarzyszących niwelatorom.

„A jeśli Rada nagle zmieni swoją politykę?” - pomyślał Cutter. „W połowie drogi większość uzna, że trzeba wracać?”

Wracać tam. Słońce zachodziło za ich plecami. Zrobiło się zielonkawe, jakby zaśniedziało. W tym chorobliwym świetle patrzyli na północny wschód, w głąb Krainy Tysiąca Plag. W kilka tygodni pokonali setki kilometrów i znaleźli się na skraju strefy.

Cutter zbiegał na jej widok.

- Qurabin, zdradź nam tajemnicę. Co to jest? Co tam się dzieje?

Usłyszeli coś jakby szelest.

- Niektórych tajemnic nie chcę znać - odparł głos mnicha.

Kraina Momentu. Oblewana przez tę nieopisywalną, niszczycielską energię, formotwórczą eksplozję, przerażającą płodność. Aspekty. „Nie widzimy jej takiej, jaka naprawdę jest” - pomyślał Cutter. „Widzimy tylko jedno jej oblicze. Jeden sposób istnienia”.

Peryferia Krainy Tysiąca Plag stanowiły strefę przejściową, geografie tylko połowicznie z tego świata, a połowicznie jak ze złego snu. Kamienne rogi i drzewa, które wyglądały jak kamienne rogi, lasy grzybów wysokości człowieka i paproci górujących nad karłowatymi sosnami, a w trochę większym oddaleniu płaska wanna wyschniętego ujścia rzeki, gdzie niebo zdawało się wciskać między zbyt wysokie formacje geologiczne. Ani ślad ruchu. Ta quasi-kraina ciągnęła się aż po horyzont - wiele kilometrów do przebycia.

Cutter nie wiedział, czy widzi góry, czy może owady latające blisko jego oczu: to drugie było wykluczone, ale niemożność zogniskowania wzroku rozstrajała go. „Czy to jest las, tam, daleko? A może nie las, tylko smolne wybroczyny? A może nie smolne wybroczyny, tylko ocean kości, mozaikowa ściana węgla albo strup wielkości miasta”.

Niczego nie umiał rozpoznać. Widział górę, ale o niespotykanym kształcie i z wierzchołkiem pokrytym śniegiem, który nie miał koloru śniegu i nie był śniegiem, lecz czymś żywym i tenebrotropicznym. Mackami wielkości drzew materia sięgała po nadciągające ciemności. Światła na niebie, gwiazdy, potem ptaki, księżycy, dwa albo trzy księżycy, brzuchy kilometrowych robaczek świętojańskich, a potem nic.

- Nie potrafię do tego dotrzeć - głos Qurabina budził trwogę. - Są rzeczy, których Moment Zasłoniętego i Ukrytego nie wie albo boi się powiedzieć.

Momentokrajobraz był wieloznaczny, historyczny i pełen anomalii, zezwierzęconego kamienia, który polował tak, jak „z natury rzeczy musi polować granit”, hybrydowych niemożliwości. Wszyscy słyszeli te historie: drzewo karaluchowe, chimera z kozy i ducha, gadoinsekty, drzewopodobne byty, prawdziwe drzewa, które stały się dziurami w czasie. Przekraczało to wytrzymałość Cuttera. Wyteżał oczy i rozum, żeby to wszystko rozpoznać, uchwycić, uporządkować.

- Jakim cudem udało im się przez to przejechać?

- Nie przez - zaprotestował Judasz. - Nie zapominaj o tym. Przejechali skrajem strefy, tak blisko, żeby milicja nie odważyła się ich ścigać.

- Tak blisko, żeby umrzeć - stwierdził Cutter i Judasz spuścił głowę. - Jakie istoty tam mieszkają?

- Nie sposób je wyliczyć - powiedział Judasz. - Każda jest indywidualna. O niektórych na pewno słyszałeś - znikalcy, calowcy na obrzeżach...

- Tam, gdzie my będziemy.

- Tam, gdzie my będziemy.

Na skraju strefy kakotopicznej mieli spędzić około trzech tygodni. Trzy tygodnie przedsmaku tego, co czeka podróżnika w głębi tego toksycznego krajobrazu. Niektórym zapewne udało się przejechać Przez plamę, odkąd się pojawiła pół tysiąclecia temu w formie patologicznego samoródtwa. Cutter znał historie o Skrzydlatym Callym i inne opowieści o

przygodach w Krainie Tysiąca Plag.

- Musi być inna droga - powiedział.

Ale nie, powiedzieli, że nie ma.

- *Tylko w ten sposób możemy się ochronić przed milicją* - szepnął Drogon. - *Tylko w ten sposób możemy sobie zagwarantować, że nie będą nas ścigali. Granica strefy to dla nich koniec drogi. Obowiązuje ich kategoryczny rozkaz: w żadnych okolicznościach nie wkraczać na teren strefy. Zresztą...* - intonacja uległa zmianie, teraz słowa płynęły z ust wartkim potokiem - *... byli pionierami. To znaczy Rada. Przebyli cały kontynent, od wybrzeża do wybrzeża. Wiesz, od jak dawna ludzie próbowali tego dokonać? Przez dymokamień, góry, mokradła, wzgórza? Nie możemy stchórzyć. Być może to jest jedyna droga.*

Po paru kilometrach Judasz zniknął na wiele godzin, podążając śladem pociągu. Wrócił wyczerpany. Cutter krzyknął na niego, żeby nie włóczył się sam po tej okolicy, a Judasz obdarzył go swoim uśmiechem świętego.

Odcinki torów leżały zakamuflowane krzakami. Łączono je z budowanymi od nowa i pociąg jechał skrajem Krainy Tysiąca Plag. Cutter podróżował uwieszony na zewnątrz wagonu i rozkoszował się rześkim wiatrem. Zostało trochę demonów ruchu, wszystkie były oswojone, dzieci albo wnuki pierwszych dzikich, pożerających prędkość dwoomerów. Eteryczne stworzenia sprawiały wrażenie wystraszonych.

Cutter obserwował demony ruchu, obserwował skały i drzewa, wsłuchiwał się w zgrzyt tłoków i kół. Dochodziło do bójek, bo wszyscy chcieli nocować w wagonach. Obóz niweflatorów był zwartym miasteczkiem namiotów, dla bezpieczeństwa ustawionych w koła. Ale żadne środki ostrożności nie mogły ich ochronić przed skutkami oddziaływania plamy kaktopicznej.

Wodę reglamentowano, ale mimo to ekipa pod wodzą vodyanoi wyruszała na poszukiwania strumieni ze zdatną do picia wodą - zawsze na południe, dalej od Momentu i zagrożenia. I co kilka dni ktoś wracał bliski obłędu, niosąc na rękach kogoś, kto uległ metamorfozie, albo opowiadając, że jeden z kolegów nagle zniknął. W nocy Moment dotykał wszystkiego palcami transpozycji.

- Nic jej nie było, dopóki nie wyruszyliśmy w powrotną drogę - krzyczeli myśliwi, niosąc prze-tworzoną kobietę, która dygotała z taką gwałtownością i częstotliwością, że rozmyty obraz jej głowy i kończyn stwardniał i zamienił ją we wrzeszczącą masę częściowo skamieniałego ciała. Albo: „Cieniożercy” - mówili, pokazując na przerażonego chłopca, od którego biło jasne światło. Wnętrze jego otwartych ust było tak samo widoczne i oświetlone jak cała jego postać. Inni wracali pogryzieni radulami nieprawdopodobnie szybkich, robakokształtnych drapieźników. Żelazna Rada przejeżdżała nad tropami: głębokie, cienkie dziury zostawione przez ogromne jeżowce, niepowtarzalne ślady calowca, grudy ubitej ziemi w kilkumetrowych odstępach.

Zranionych przez Moment lub drapieźniki leczyli w wagonie bydłowym przekwalifikowanym na lazaret. Tych, których nie udało się uratować, grzebali. Zgodnie z tradycją miejsce pochówku wybierali przed torami. Któregoś razu podczas kopania grobu trafili na kości jednego z przodków, Radnej zmarłej w trakcie pierwotnej podróży. Z wielką ciężką poprosili ją o wybaczenie i złożyli nowych zmarłych obok niej na wieczny odpoczynek.

- Tak nie może być! - wściekał się Cutter. - Ilu jeszcze stracimy? Ilu jeszcze musi umrzeć?

- Uspokój się, Cutter - łajała go Ann-Hari. - To jest straszne, ale gdybyśmy zostali, milicja wszystkich by nas zabiła. Cutter... za pierwszym razem zginęło dużo więcej ludzi. Dużo więcej. Uczymy się. Wieczny pociąg emanuje zaklęciami. On jest zaklęty.

Codziennie wieszano na pociągu głowy nowych drapieźników. Stał się groteskowym muzeum myślistwa.

Zawsze kiedy Cutter widział Drogoną, szeptodziej był zdumiony i zachwycony. Przepadał za polowaniami nawet w tych upiornych warunkach. Baczenie się wszystkiemu przyglądał, podążał za nimi przez skalne rozpadliny, obserwował ruchy strefy kaktopicznej, zapisywał w pamięci, starał się zrozumieć. To była jedna metoda. Cutter wolał inną: chciał mieć już to wszystko za sobą.

Chodził z ekipami zbierającymi opał do bojlerów - drewno, węgiel brunatny, torf. Razem z innymi poszukiwał wody.

Róźdzkarz wyszedł z cysterny, którą oddano do dyspozycji vodyanoi. Nazywał się Shuechen i odpowiadał stereotypowemu wizerunkowi swojej rasy, był bowiem opryskliwy i małomówny. Cutterowi to się podobało. Jego szorstkie i sceptyczne usposobienie przychylnie nastrajało go do vodyanoi.

Po drodze Shuechen, kolebiący się w wypełnionej wodą sakwie, opowiadał im o sporach między frakcjami Radnych, o debatach na temat nowej polityki Rady. Dawni RR, sceptycy, młodzi, lękliwi starzy. Róźdzkarz powiedział, że wszystkich dręczyła niepewność, czy wybrana strategia jest najlepsza.

Shuech kładł swoje ogromne dłonie płasko na ziemi i węszył jak pies, a potem uderzał o ziemię i słuchał echa. W odległości trzech godzin od pociągu czysta woda popłynęła ze skały i zebrała się w otoczonej kamieniami misie w tak małym stopniu skażonej Momentem, że Cutter poczuł się prawie jak w Rudewood. Łzy zaczęły mu się cisnąć do oczu.

Napełnili worki wodą, ale zapadła noc, tak błyskawicznie, jakby ktoś zarzucił na słońce ręcznik, i rozbili obóz. Nie rozpalili ogniska.

- W pobliżu strefy nie wolno - powiedział Shuech.

Przyciśnięci do siebie, żeby ochronić się przed bijącym od skał zimnem, dwaj prze-tworzeni nakłonili Cuttera i jego przyjaciół, żeby opowiedzieli im o Nowym Crobuzon.

- Rudgutter nie żyje? Nie powiem, żeby ta wiadomość szczególnie mnie zasmuciła. Ten drań był burmistrzem od zawsze. A teraz Stem-Fulcher? Bogowie miejcie nas w swojej opiece! Zmiany ich zbulwersowały.

- Milicja działa jawnie? W mundurach? Co się stało, do diabła lekkiego?

Pomeroy opowiedział im pokrótce o wojnie z konstruktami, oczyszczeniu wysypisk i pogłoskach na temat mocy, które się tam rzekomo zagnieździły. Brzmiało to nierealnie, nawet dla Cuttera, który pamiętał te czasy.

Długi czas nie chcieli uwierzyć w to, co Cutter mówił im o łapowżercach.

- Jeden za nami gonił - powiedział. - Podczas którychś rozruchów Stem-Fulcher zakomunikowała, że „nawiązali kontakt”, i okazało się, że padli ofiarą tragicznego nieporozumienia.

Łapowżercy, od stuleci budzące grozę postaci z miejskiej mitologii; według jednych obdarzone złoczynną mocą ręce wyrastające na trupach, według innych diabły, które uciekły z piekła, władające świadomością opętanych przez siebie osób i znacznie zwiększające tym repertuar swych fizycznych możliwości.

Skoro skazani i tak mają umrzeć, argumentowała Stem-Fulcher, a miasto potrzebuje pomocy, której mogą udzielić łapowżercy, to byłoby nieodpowiedzialnym sentymentalizmem, gdyby nie wyciągnąć z tego narzucających się wniosków. Oczywiście działałoby pod ścisłym nadzorem.

Upředzenia były jednak tak głęboko zakorzenione, że słowa burmistrziny wywołały gwałtowne protesty, nazwane później Buntem Łapowżerczym. Obywatele chcieli wyrazić swoją odrazę do tego pomysłu. Tłumy, które chciały wsiąść na łodzie i popłynąć po Wielkiej Smole, żeby zaatakować Parlament, zostały pokonane przez protestujących, którzy domagali się przyznania im praw politycznych, mężczyzn i kobiety, które nagle wyłoniły się ze swoich szeregów i pluły ogniem, łapowżercy prawi odziani w mięso skazanych.

Cutter opowiadał długo, żeby nie zasnąć.

- A jak Moment nas tutaj osiągnie?

Prze-tworzeni uspokajali go na dwa różne sposoby: jeden mówił, że jak przyjdzie czyjaś godzina, to trzeba się po prostu z tym pogodzić, a drugi przekonywał, że są dostatecznie daleko, aby nie mieć powodów bać się Momentu.

Tej nocy zostali zaatakowani.

Cuttera obudził dźwięk rozdieranego płótna. Kiedy otworzył oczy, w szarym świetle księżycy zobaczył wpatrzoną w niego twarz. Pomyślał, że dalej śni. Usłyszał strzały. Odsunął się od wiszącej nad nim fizjonomii, od monsturalnej, pytającej miny.

Kiedy eksplodowała w nim adrenalina, był już na zewnątrz. „Gdzie są inni, co się dzieje, co mam zrobić?” Jedno spojrzenie wystarczyło, aby zobaczył, co się dzieje. Kolana się pod nim ugięły i musiał balansować ramionami, żeby nie stracić równowagi.

Jego towarzysze biegali bezładnie po obozie i strzelali z broni palnej. Rozległ się wrzask i Cutter też krzyknął. Jego namiot poruszał się jak szmaciane zwierzę, a istota, która go rozdarła, trzepotała skrzydłopodobnymi naroślami. Cutter zobaczył falujący, spastyczny ruch, walnięcie czegoś ciężkiego o ziemię, a potem kolejne. Po chwili zagadkowe dudnienie otaczało go ze wszystkich stron.

- Calowcy! - krzyknęła Elsie. - Calowcy!

Groźna istota rozruciła strzepy jego namiotu na boki. Wiatr porwał je do góry i spośród nich jak w tanim efekcie scenicznym wyłonił się nocny gość Cuttera, który z zaciekawieniem i apetytem oglądał go przez woskowany całun. W kłębowisku strzepów nadleciał polujący na niego drapieżnik. Łukorobal. Kohramit. *Homo raptor geometridae*. Calowiec.

Cutter stał jak rażony gromem. Twarz miotała w niego spojrzeniem jak demoniczna maska i nagle przybliżyła się jakimś oscylującym w płaszczyźnie pionowej ruchem, którego Cutter przez dłuższy czas nie potrafił zrozumieć.

Wyższy od niego, ale składający się wyłącznie z tułowia, który sprawiał wrażenie wyrastającego z ziemi, głowa dwa razy większa, długie ramiona, sama skóra i kości, dłonie rozcapierzone, pełniące funkcję motoryczną. Człekopodobny, w otwartych ustach czarne, długie, zastrzone na końcu zęby. Cutter nie widział oczu, tylko dwie dziury, a raczej kłębowisko zmarszczonej skóry i cienia: jeśli stworzenie widziało, to z ciemności. Zaczęło węszyć. Odrzuciło łysą głowę do tyłu i kłapało zębiastymi ustami. A potem odwróciło się i Cutter zobaczył jego „plecy”.

Ogromne i grube przeguby, powiększone ciało gąsienicy z kępami włosów,

otwierającymi się komorami, zamykającymi się zwieraczami, płowe i upstrzone plamami ostrzegawczych kolorów. Część ludzka zespolona była od przodu z tym kilkumetrowym cielskim, a kości bioder przechodziły w larwalne mięso. Calowiec znowu ruszył.

Posiadał wiele par krótkich nóżek pod tułowiem i dwie albo trzy pary odnóży odwłokowych. Wyginał część tylną w wielki łuk, wczepiał się ostatnią parą odnóży odwłokowych w ziemię, przenosił ludzki tors do przodu, stawiał na nóżkach, przesuwając cielsko na odnóżach odwłokowych i powtarzał cały cykl.

Znowu powęszył, a potem ponownie wygiął się w łuk i zestawiał człekopodobny tułów na ziemię trochę dalej. Sposób poruszania się calowców. Posuwisto-gięty ruch w stronę Cuttera.

Cutter wystrzelił i uciekł. Calowiec przyspieszył. Rajcy próbowali walczyć. Obóz otoczyła grupa calowców. Słyszeć było rżenie muła i okrzyki.

Cutter zobaczył kolejnego zbliżającego się łukowato calowca, z czarną krwią na torsie i ustach, słabo widoczną w nikłym świetle księżyca.

Jeden z calowców wydał z siebie elyktryczny ryk. Reszta mu zawtórowała. Z ich ust sypnęły się groty.

Muły i karłowate wielbłądy wpadły w popłoch. Shuech wystrzelił i garść śrutu roztrzaskała czaszkę i rozbryzgała tkankę mózgową, ale trafiony calowiec nie upadł, zbyt głupi albo zbyt uparty, żeby skończyć. Ruchem robaczkowym posuwał się do przodu, by skórzastą dłonią chwycić jakiegoś mężczyznę i przebić go twardymi pazurami. Mężczyzna wrzasnął, ale szybko ucichł, ponieważ calowiec rozerwał go na strzępy.

Shuech rzucił płonącego kakodyla i żrący płomień przeskoczył na jedną z gąsienic, która ze spokojem próbowała otrzepać się z ognia. Znowu wydała z siebie ten gardłowy dźwięk i kiedy stanęła dęba na tylnych odnóżach odwłokowych, stała się pochodnią, która oświetliła całą scenę.

Calowcy odcięli im drogę ucieczki. Byli uwięzieni na półce skalnej nad kanionem, przechodzącej w piarżysko, po którym nie dało się szybko biec. Cutter oparł się plecami o skałę i strzelał. Ktoś krzyknął. Judasz mruczał bezgłośnie do siebie.

Najbardziej oddalony calowiec zadzwonił ostrymi zębami. Jego głowa pękła, opryskując jego pobratymców organiczną materią. Pomeroy ponownie załadował dymiący granatnik.

Cutter zobaczył, że na drodze przebytej przez jednego z taumaturgów z Żelaznej Radej wyrastają rośliny w kształcie odcisków stóp, ślady mchomagii. Mechowiec warknął i skóra calowca pokryła się mozaiką plam, briofityczną powłoką, która zalepiła mu usta i oczodoły. Stwór szarpnął się do tyłu i zaczął rzeźić, drapał roślinną skórę, spod której tryskała krew.

Radni miotali chakri, grubymi, płaskoostrowymi dyskami albo sierpoostrowymi strzałami. Gęsta krew lała się strumieniami, ale calowcy atakowali dalej. Twarz Judasza zaciągnęła się świętym oburzeniem. Dotknął ziemi. Poskręcaną dłonią targnęły spazmy.

Przez moment nic się nie działo, a potem skała zaczęła falować i wypiętrzać się pod calowcami, by wreszcie przybrać postać olbrzyma, somatycznej interwencji z kamienia i regolitu. Nagle nastąpiło jakieś zakłócenie w eterze i coś pękło. Judasz zachwiał się i usiadł, jakby coś podcięło mu nogi, i grunt się uspokoił. Cyklopowy kształt rozpadł się na drobne kamienie.

Cutter zawołał imię Judasza, który siedział z głową w dłoniach. O krok od niego znajdował się calowiec.

Ale Pomeroy był na posterunku z nożem w garści. Elsie wrzasnęła, kiedy ze straceńczą odwagą dźgnął brzuch człekopodobnego tułowia calowca.

Pomeroy był bardzo silny i na chwilę zatrzymał przeciwnika. Zostawił klingę w ranie i odstąpił, osłaniając Judasza, który ocknął się i spojrział do góry w momencie, kiedy calowiec chwycił Pomeroya za głowę. Gigantyczna dłoń machnęła nim za twarz z bezmyślnym okrucieństwem małego dziecka.

Cutter usłyszał trzask przetrąconego karku Pomeroya i krzyk Elsie. Calowiec machał ciałem Pomeroya jak cepem. Judasz znowu przykucnął i wyczarowywał golema. Tym razem go dokończył. Olbrzym tupnął, otrzepując się ze swojego ziemnego jestestwa, i trzepnął najbliższego calowca, ekspedując go w powietrze. Robaczy zad wykręcił się i rozbryznął mokro, uderzając o ziemię.

Elsie płakała. Zbliżali się inni calowcy. Judasz zgiął palce i golem wyszedł wrogom naprzeciw. W potężnym kroku kolosa z kamienia i ziemi Cutter rozpoznał sposób poruszania się Judasza. Golem osłonił Radnych i uderzył kolejne geometryczne stworzenie.

Po chwili wahania, nękani salwami zmęczonych Radnych, calowcy wycofali się. Dwóch zeszło głową w dół po pionowej, ale nierównej skale. Trzeciego zdążył dopaść rozpadający się golem i po krótkich krwawo-błotnych zapasach razem runęli w przepaść.

Judasz uklęknął przy Pomeroyu, a Radni pospieszyli pomóc swoim towarzyszom. Trzęsący się Cutter spojrział w przepaść. Calowcy schodzili po pionowej powierzchni. Na kamiennym dnie kanionu leżały dwa ciała tych, którzy spadli, i czerwona ziemia po golemie.

Cutter podszedł do Pomeroya i objął martwego przyjaciela. Przyciągnął do siebie Elsie, która zawodziła i szlochała. Judasz był zdruzgotany. Cutter opasał go wolnym ramieniem. We trójkę trzymali się w uścisku, Elsie płakała, a Cutter czuł, że Pomeroy stygnie.

- Co się stało? - szepnął do ucha Judasza. - Co się stało? Nic ci nie jest? Potknąłeś się i Pom...

- Zginął za mnie - głos Judasza nie zdradzał żadnych emocji. - Tak.

- Co się stało? - powtórzył Cutter.

- Coś... Zadziałał zdalny wyzwalacz. Nie spodziewałem się tego. Uruchomiła się pułapka golemowa. Oszczędzam chymikalia i baterie... zaczerpnęła energię w większości ode mnie, na co nie byłem przygotowany. Przez moment nie miałem siły. - Pocałował Pomeroya w policzek. - Chodzi o pułapkę, którą zastawiłem po drodze. Milicja ją uruchomiła. Dopłynęli. Nadchodzą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Setki kilometrów dalej, na wybrzeżu, jak powiedział Judasz, wyszedł na ląd ictineo, jeden z eksperymentalnych crobuzońskich ichthyskafów. Behemot wypełził z morza na płetwach, które zmutowały do postaci rudymmentarnych nóg. Stwór czołgał się po ziemi do momentu, gdy te krótkie kończyny złamały się pod jego gigantycznym ciężarem i prze-tworzona ryba leżała na ziemi i trzęsła się jak galareta. Taką jednostkę morską przysłało Nowe Crobuzon.

Połączenie wieloryba i rekina, taumaturgicznie powiększone do rozmiarów katedry, opancerzone strupami ospy wietrznej, metalowe rury grubsze od dorosłego człowieka w ganglionach sterczących jak wypatroszone żyły, płetwy wielkie jak statek obracające się na naoliwionych zawiasach, na grzbiecie rząd kominów plujących białym dymem. Pysk rybostatku, jak to określił Judasz, otworzył się z mechanicznym hałasem, jak w moście zwodzonym opuszczono łańcuchy, dolna szczeka opadła i ze środka wyłoniła się zbrojna milicja z Nowego Crobuzon z misją znalezienia i zniszczenia Żelaznej Rady.

- Za pierwszym razem nie było łatwo. Błądziliśmy, próbowaliśmy oddalić się od plamy, ale droga robiła łuk i zmieraliśmy prosto we wnętrzości Momentu. Niebo przypominało trzewia albo zęby. Tyłu wtedy straciliśmy - deklamował mężczyzna.

Był jednym ze „starych”, prze-tworzonym z Dog Fenn. Lewą dłoń zastąpiono mu szponiastą ptasią stopą, a prawą grubym ogonem węża. Był skaldem, balladzystą Żelaznej Rady. Nierytmiczność jego narracji była zamierzona: skomplikowane, hipnotyczne synkopowanie imitowało sposób mówienia nowicjusza. Jego opowieść była swoistą mową pogrzebową dla zamordowanych przez calowców.

- Straciliśmy tak wielu. Zamienili się w szkło, a potem zniknęli na wzgórzu, które było kością, stertą kości, a potem znowu wzgórzem. Nauczyliśmy się sposobów przechodzenia przez tę krainę fałszywych pozorów.

Żaden naukowiec w Bas-Lag nie wiedział o kakotoposie tyle, co Żelazna Rada.

- Teraz, podczas naszego powrotu, ziemia jest złuszczone, Moment dokonał swego dzieła. Część torów, które ukryliśmy, zniknęła, część jest poskręcana, część zamieniła się w dziury w kształcie torów, część w kamienne jaszczurki. Ale zostało ich dosyć, abyśmy się stąd wydostali, wyjechali po drugiej stronie, gdzie od Nowego Crobuzon będą nas dzieliły już tylko stępy. Setki kilometrów, tygodnie, może miesiące, ale nie lata jak kiedyś.

Daleko stąd, na zachód, milicja ruszyła ich tropem.

Calowcy nie dali za wygraną. Tym razem zaatakowali pociąg i zostali odparci, ale nie bez strat. Czołgali się swoim szarpanym, geodezyjnym ruchem i dotarli go wagonów, zostawiając na nich ślady swoich twardych jak kamień zębów i żrącej śliny. Broniący się Radni ginęli. Były też inne istoty: cienie w kształcie psów, małpiatki z głosami hieny i trawiasto-liściastym futrem.

Kraina Tysiąca Plag stroszyła się przeciwko Żelaznej Radzie, co chwila zmieniała oblicze metodą przyspieszonej korazji, tektonicznych sfałdowań, które następowały w przyspieszonym tempie, jakby czas zerwał się z uwięzi. Ziemia była w ciągłym ruchu. Niektóre miejsca skuwał nagły mróz, który odkształcał tory, a po chwili wjeżdżali w obszar umiarkowanych temperatur,

gdzie skalne ściany zbliżały się do siebie, a pełzające wzgórza osaczały ich.

Kładli szyny na prowizorycznym podłożu i prowizorycznych podkładach z prowizorycznymi łączeniami. Było to tymczasowe torowisko, istniejące tylko na moment przejazdu pociągu, a potem znikające. Przenoszone dalej przez prze-tworzonych i młodych Radnych, którzy nigdy nie byli w ojczyźnie swoich rodziców. Droga wiodła przez rozległe moczary, trzęsawisko, które pożerało tory.

Cutter od czasu do czasu odrywał się od pracy młotem albo łopatą i widział nieodległą groźę kakotopicznej plamy: amalgamat nieba i krajobrazu, twarz dziecka, eksplozja liści, zwierzę zawieszona w nieokreśloności powietrza i wzgórz. „Już nawet jej nie widzimy” - zdziwił się i pokręcił głową. Z bezchmurnego nieba siąpiła mżawka. „Można przywyknąć do najbardziej monstrialnej niedorzeczności” - pomyślał.

Świadomość, że milicja jest na ich tropie, ciążyła im.

- Zatrzymają się na granicy strefy kakotopicznej - powiedział Judasz, ale Cutter zdał sobie sprawę, że nie ma już takiej pewności.

Ze stojącego pociągu Cutter heliotypował niestabilny krajobraz i stworzenia, które nie były owadami, jaszczurkami, ptakami ani metalowymi kółkami zębatymi, lecz przypadkowym melanżem zainspirowanym przez wszystkie te rzeczy.

Judasz milczał, zamknięty w sobie. Którejś nocy przyszedł do Cuttera i pozwolił mu się wyruchać, co Cutter uczynił z entuzjazmem i miłością, nad którą nie umiał zapanować. Judasz uśmiechnął się do niego, pocałował i pogłaskał w policzek, nie jak kochanek, tylko jak ksiądz.

Judasz spędzał większość czasu w wagonie laboratoryjnym wypełnionym po sufit różnościami potrzebnymi do zakłęb. Raz po raz nakręcał voxiterator i słuchał pieśni stiltspearów. Cutter widział jego notatniki wypełnione partyturami, uwagami na marginesie, wątpliwościami. Judasz nucił pod nosem dziwne rytmy.

Kiedy Cutter widział go o zmierzchu, jak stoi z przodu wiecznego pociągu i półgłosem śpiewa jakąś pieśń, jedną ręką głaszcząc się po twarzy, a drugą wystukując w powietrzu takt. Wokół jego głowy wisiała chmura nieruchomych, czarnych punktów, much i komarów, których nie unosił wiatr: nienaturalna i głęboka inercja. Kiedy pociąg szarpnął się i potoczył parę metrów do przodu, Judasz zostawił obłok nieruchomych owadów za sobą.

Wyrmny z Żelaznej Rady wylatywały na poszukiwania końca strefy. Niektóre oczywiście nie wracały, znikwały w fałdzie powietrza, nagle zapominały, jak się lata, albo zamieniały się w kamień, piskłeta lub płataninę liny. Ale większość wracała i po wielu dniach lotu nad krainą, w której monstrialne mieszało się z codziennym, powiedziały Radnym, że granica jest blisko.

Ostatni odcinek torów położyli wzdłuż trasy, która, według ich geomantów, była ambulatoryjna: przewidywali, że zmieni przebieg i zmyli pogoń. Lokomotywa, na której namalowano nową warstwę głów drapieżników i symboli śmierci, i naznaczone trudami podróży wagony wjeżdżały serpentynami na wzniesienie. Cutter zauważył, że nie umie sobie wyobrazić krajobrazu, który nie byłby opieczętowany stemplem Momentu.

Osiągnęli grzbiet wzgórza, młoty przytwierdzały ostatnie fragmenty toru, a brygady w tyle zabierały szyny z ich trasy. Cutter patrzył na ukształtowany przez wiatr krajobraz dymokamienia, dziwaczny i egzotyczny, ale pozbawiony chorobliwości, makabrycznej rakotwórczej płodności kakotopicznej plamy.

- Na wszystkich bogów - powiedział do siebie Cutter. Wybuchł entuzjazm, spontaniczny i przeschęśliwy. - Na wszystkich bogów, Jabbera i świętą ruję, wydostaliśmy się!

Wybrali drogę samym skrajem, wąskim grzbietem, który oddzielał peryferia Momentu od zdrowej krainy. Kładli szyny na równinie dymokamienia i powrócili tam, gdzie rządziły prawa natury.

Wieczny pociąg jechał przez ogród dymokamienia. Wiatry nawiały wielkie, krzaczaste twory, kamienne cumulonimbusy, na których płaskich, górnych powierzchniach Radni ciągnęli tory, pełni obaw, że to podłoże na powrót się ulotni.

- Gdzieś tam, w dole jest droga, którą przybyliśmy - powiedział Judasz.

Rozpadlina, którą przed laty wykuli, dawno zarosła dymokamieniem.

Judasz, Cutter i Grubogoleń maszerowali pod osłoną zestalonej chmury, na obrzeżu Krainy Tysiąca Plag.

- Niektórzy się boją - stwierdził Grubogoleń. - Wydarzenia wymknęły się nam spod kontroli. Wygląda na to, że nie mamy już wyboru w tym, co robimy.

Ciepły wiatr unosił jego nikły głos.

- Czasem nie ma wyboru - odparł Judasz. - Czasem historia podejmuje decyzje. Pozostaje mieć nadzieję, że będą to właściwe decyzje. Patrzcie! Czy to nie jest to miejsce?

Znaleźli to, czego szukali: pionową połąć skały, porośniętą bluszczem i krzakami. Miejsce to wyglądało inaczej, nosiło na sobie ślady wybuchów, które przed laty utorowały wiecznemu pociągowi drogę.

- Tędy uciekliśmy przed milicją za pierwszym razem - powiedział Judasz.

Stanął koło chmuropodobnej skały i pociągnął za jakąś skalną roślinę. Cutter zobaczył, że to nie jest skalna roślina, tylko stercząca z kamienia kość. Uschnięty nadgarstek ze strzępami wygarbowanej przez wiatr skóry.

- Był za wolny - powiedział Judasz.

Człowiek zakuty w skalę. Schwytyany przez falę dymokamienia. Cutter zrobił wielkie oczy. Kość otaczała warstwa powietrza, cienka rurka w miejscu, gdzie kiedyś było ciało, które zgniło. A wewnątrz z pewnością znajdowała się dziura w kształcie człowieka, wydrążona przez robaki i bakterie. Druza, ossuarium w kształcie ludzkiego ciała. Z kośćmi i mączką kostną na dnie.

- Radny albo milicjant. Nie pamiętam, a ty, Grubogoleń? Nie był jedyny. Skała jest nimi nafaszerowana.

Wyszli na górę.

Pociąg toczył się do przodu, młoty dźwięczały, wyrmeny fruwały jak liście na wietrze w kłębach dymu z komina lokomotywy. Cutter obserwował powolną, etapową jazdę pociągu. Dostrzegał dziwność jego konturów, ceglane i kamienne wieże, mosty linowe łączące wagony, ogrody na platformach kolejowych i dym z głównego komina oraz jego mniejszych braci z przodu i z tyłu.

Daleko, na wschodzie, z kamienia sterczały dawno zardzewiałe lufy milicyjnych armat.

Na równinie, która otwierała się za krainą dymokamienia i ciągnęła aż po Nowe Crobuzon, rządziła stepowa jesień. Radni przyglądali się wodom, lasom i wzgórzom, po czym szukali tych znaków orientacyjnych na swoich mapach. Nie mogli uwierzyć we wskazania kartografów.

Mapy odziedziczone z czasów, kiedy Żelazna Rada była jeszcze pociągiem MKK, znowu się przydały. Wieczny pociąg wciąż znajdował się na słabo skomentowanym obszarze beżowego kreskowania oznaczającego niepewność, ale im dalej na wschód, tym rysunki robiły się dokładniejsze: punktowany busz, moczary namalowane wodnistymi kolorami, precyzyjne obrysy wzniesień. Na tych terenach nie położono torów, ale miasto je znało. Radni mieli możliwość zaplanowania trasy.

Sprawdzali i porównywali. Osłupiające objawienia. Zachwytem nie było końca.

- Wokół tego długiego jeziora. Na południe mamy Cobsea. powinniśmy ich ominąć jak największym łukiem, jak najszybciej znaleźć się na północ od jeziora. Niesiemy Nowemu Crobuzon sprawiedliwość Rady.

Świadomość, że ściga ich milicja, nie gasiła ich entuzjazmu.

- Tropią nas - powiedział Judasz do Cuttera. - Weszli za nami do strefy. Uruchomili pułapkę golemową, którą tam zastawiłem.

Milicja nigdy wcześniej tam się nie zapuściła. Widać byli zdeterminowani i wiedzieli, że Rada wraca do Nowego Crobuzon.

- Będziemy się trzymali gór. - Wiele dni z przodu wyrastały góry i ciągnęły się przez siedemset pięćdziesiąt kilometrów do Nowego Crobuzon. - Pojedziemy u podnóża gór. Do Nowego Crobuzon.

Zostało im jeszcze kilka miesięcy podróży, ale przemieszczali się szybko. Zwiadowcy sprawdzali, gdzie potrzebne są mosty lub przeprawy, gdzie trzeba zbudować groblę pośród bagien, gdzie robotnicy z kilofami i taumaturgowie muszą przekuć tunel. Historia przyspieszyła.

Szeptodziej Dregon nie posiadał się z podniecenia, gadał Cutterowi do ucha, nie mógł uwierzyć, że przebili się przez Krainę Tysiąca Plag, że dotarli aż tutaj, że ojczyzna czekała tuż za rogiem.

- *Musimy sobie uświadomić, czego dokonaliśmy* - powiedział. - *Zaznaczyć w annałach. Nikt tego wcześniej nie zrobił, a wielu próbowało. Mamy jeszcze przed sobą spory kawałek drogi przez kraj, który słabo znamy, ale uda nam się.*

Judasz stał na dachu pociągu i patrzył na krajobraz, który nagle przestał być obcy.

- Nie jest bezpiecznie - powiedział do Cuttera. - Nie możemy ulegać złudzeniu, że nic nam nie grozi.

Spędzał wiele czasu sam ze sobą, słuchając voxiteratora.

- Judasz, Cutter - powiedziała Elsie - powinniśmy wracać do miasta.

Po śmierci Pomeroya stała się bardzo milcząca. Znalazła w sobie spokój, który pozwalał jej żyć ze swoją samotnością.

- Nie wiemy, co tam się dzieje, nie wiemy, jaka jest sytuacja. Musimy dać im znać, że nadciąga Żelazna Rada. Możemy uruchomić zmiany.

Od miasta dzieliła ich jeszcze długa droga, z wieloma przeszkodami i niebezpieczeństwami.

- *Ona ma rację* - przemówił Dregon do każdego z osobna. - *Musimy wiedzieć, co nas*

czeka.

- Ja tego nie uważam za konieczne - odparł Judasz. - Na bieżąco się zorientujemy.

Pojedziemy i przygotujemy powitanie.

- Ale nie wiemy, jak tam sprawy wyglądają...

- Nie, ale to nie ma znaczenia.

- Judasz, co ty mówisz?

- To nie ma znaczenia.

mi.

- Znajdą nas - powiedziała Elsie. - Nawet jeśli odbijemy na północ, Cobsea pewnie o nas usłyszy.

- Tak jakby Rada nie umiała sobie poradzić z zasranym Cobsea - bluznął Cutter, ale Elsie zignorowała go.

- A jeśli Cobsea się o nas dowie, to Nowe Crobuzon niedługo też. I wezmą nas w kleszcze: z tyłu ci, co nas tropią, z przodu ci, których na nas wyślą.

Jeden z wagonów wiecznego pociągu uległ metamorfozie. Sądziło się, że przejechali obrzeżami Krainy Tysiąca Plag bez większych szkód, że wagon szpitalny pełen nienaturalnie chorych i konających jest jedyną ciężką konsekwencją. Tymczasem niektóre skutki działania Momentu uwidaczniały się z opóźnieniem.

W zamkniętym wagonie towarowym znajdowały się trzy osoby, kiedy ten mięsак Momentu dał o sobie znać. Pociąg klekotał przez wyżynę porośniętą alpejską roślinnością i rozdziawionymi formacjami skalnymi. Pewnego ranka, kiedy kurzył drobniutki śnieg i młotkowi musieli po każdym uderzeniu rozgrzewać sobie palce, drzwi wagonu nie dały się otworzyć. Uwięziona w środku trójka wołała pomocy przez szpary między deskami.

Próbowali sforsować drzwi siekierą, która odbijała się jednak, nawet nie zadrasnąwszy farby i drewna. Teraz już wiedzieli: to były ostatnie ślady po plamie kakotopicznej. Przez ten czas głosy więźniów przycichły, tak jakby pogodzili się ze swoim losem.

Z upływem nocy dało się u nich zauważyć coraz większe zubożenie. Następnego dnia wagon zmieniał kształt, był pękaty i rozciągnięty, a siedzący w środku ludzie wydawali z siebie radosne odgłosy podobne do wielorybich. Ściany zrobiły się mleczne, a potem przezroczyste, pozwalając zobaczyć kształty, które unosiły się jak w wodzie. Wagon osiadł ciężko na kołach, a zamknięci w nim Radni poruszali się leniwie w zgęstniałym powietrzu. Przedmioty z szaf magazynowych straciły swoją postać i fruwały po wagonie jako nieokreślone cząstki.

Wagon stał się ogromną, otoczoną membraną komórką. Trzy jądra, nadal z grubsza rozpoznawalne jako dwaj mężczyźni i jedna kobieta, pływały w cytoplazmie. Patrzyli na swoich stojących na zewnątrz towarzyszy i machali do nich krótkimi ramionami-rzęskami. Niektórzy Radni byli za tym, żeby odczepić tę groteskę, żeby odjechała w dal i rozwijała się albo umarła zgodnie z prawami swojej nowej biologii, ale inni mówili: „Tam są nasze siostry” i nie zgodzili się na to. Długi pociąg wznowił swoją podróż, z podobnym do ameby wagonem kolebiącym się jak galareta i jego uśmiechniętymi pasażerami.

- Jak się to nazywa, na Jabbera? - spytał Cutter Qurabina.

- Na Jabbera, to nie ma nazwy. Nie wiem. Za niektóre rzeczy nie chcę się zamieniać. A nawet gdybym chciał, to są tajemnice bez głębszego sensu, pytania bez odpowiedzi. Rzeczy same

w sobie.

Dwa tygodnie po opuszczeniu strefy kakotopicznej mieli pierwsze od dwudziestu lat spotkanie z mieszkańcami wschodnich krain. Mała grupa koczowników z gór, liberosynkreci, dwadzieścia do trzydziestu sztuk. Pstrokaty melanż, między innymi bardzo rzadki przetworzony vodyanoi pośród mężczyzn i kobiet zmodyfikowanych do celów przemysłowych lub pokazowych.

Zbliżyli się do pociągu z ostrożną uprzejmością.

- Spotkaliśmy waszych zwiadowców - powiedziała ich przywódczyni. - Jej prze-tworzenie polegało na wszczepieniu organicznych pejczy. Patrzyła i patrzyła. Cutter dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że w jej oczach widzi nabożną cześć. - Powiedzieli, że jedziecie. - Prze-tworzeni z Żelaznej Rady zlustrowali ją i jej rozbójników. Wieczorem przy skromnym posiłku liberosynkretka dodała: - Są zmiany. W mieście coś się dzieje. Nowe Crobuzon jest oblężone. Chyba przez Tesh. A w środku też są walki.

Tylko tyle wiedzieli. Zbyt wiele kilometrów i lat dzieliło ich od miasta, które ich wydało. Nowe Crobuzon było dla nich prawie tak samo legendarne jak dla Radnych.

Nie chcieli się przyłączyć do Żelaznej Rady. Życzyli im szczęścia i powrócili do swojego wykorzenionego zbójckiego życia w górach. Ale następni napotkani liberosynkreci zostali z nimi. Przybyli złożyć hołd autonomicznemu miastu prze-tworzonych i zostali jako obywatele, jako Radni, jako członkowie Żelaznej Rady. Kiedy pociąg dotarł do północnych brzegów jeziora, które osłoniło ich przed Cobsea, spotkali pierwszych liberosynkretów, który specjalnie ich szukali.

Wiadomość szerzyła się dziwnymi kanałami po całym kontynencie, od ogniska do ogniska, od wędrowca do wędrowca, od osady do osady. „Jak infekcja” - pomyślał Cutter. Nici pogłoski, włókniaki oplatające siecią całe Rohagi. „Nadchodzi Żelazna Rada! Żelazna Rada wróciła!”

W łonie Rady pojawiły się pęknięcia. Już dawno przekroczyli punkt, za którym nie było odwrotu. Im bliżej metropolii, tym więcej wahań i wątpliwości mieli pierwsi Radni - „Wiemy, jak tam jest. Wiemy, co nas tam czeka” - natomiast ich dzieci były coraz bardziej mesjanistyczne i pewne swego. Tych, którzy nigdy nie wiedzieli miasta, coś tam ciągnęło. Żądza zemsty? Gniew? Może pragnienie sprawiedliwości.

To oni wzięli na siebie ciężar budowy torowiska: młodzi mężczyźni, którzy nie dysponowali sztucznie wzmocnioną siłą fizyczną swoich rodziców, ale machali młotami z wigorem i zapałem. Prze-tworzeni układali z nimi tory, a starszym Radnym przypadła w udziale rola niechętnych towarzyszy podróży.

Z Ann-Hari było inaczej. Triumfowała, mobilizowała, poganiała. Stawała na skałach, z prymitywną gracją wspinała się na skarpy i wzgórza, by jak dyrygent parowej symfonii skierować wieczny pociąg w dalszą drogę.

Nagle wszystko szło błyskawicznie: wykuwali sobie drogę, zwiadowcy ostrzegali przed tym parowem, tamtym strumieniem. Brygady budowlane łączyły crobuzońskie tradycje z osobliwościami z Zachodu: estakady z roślinnymi kotwami i filarami nie z kamienia, lecz z zestalonego koloru, można było po nich przejechać tylko wtedy, kiedy padało na nie światło.

- Jest wojna! - powiedział im jeden z liberosynkretów. - Tesh raz mówi, że zaprzestało działań wojennych, a drugi raz, że nie zaprzestało. Podobno jest dwóch posłów z Nowego

Crobuzon, którzy przedstawiają różne warunki. Nowe Crobuzon nie mówi już jednym głosem. „Skoro tutejsi liberosynkreeci wiedzą o naszym przyjeździe - pomyślał Cutter - to Nowe Crobuzon na pewno też. Wiadomości szybko się rozchodzą. Kiedy przyjdzie nam się z nimi zmierzyć?”

Co kilka dni Judaszem targały konwulsje, kiedy ścigająca ich milicja uruchamiała pułapki. Na każdej tracili kolejnych żołnierzy, ale po jakimś czasie następna pułapka sygnalizowała, że maszerują dalej. Napady słabości Judasza wyznaczały kolejne punkty ich trasy.

- Są w strefie - powiedział w końcu. - Rozpoznaję tę sygnaturę. Są w Krainie Tysiąca Plag. Nie mogę uwierzyć, że poszli tam za nami. Widać za wszelką cenę chcą nas dopaść.

Jak wygląda golem zrobiony z materii skażonej Momentem? Z quasi-życiem przepuszczonym przez tę makabryczną matrycę?

Rozciągnięta kolumna niwelatorów i torowych skierowała się na północny wschód. Chociaż zabierali szyny i podkłady ze sobą, zostawiali z tyłu krajobraz trwale naznaczony ich przejazdem: wyrzucone żelazne części, kolejowe blizny. Niebo pociemniało nieprzyjaźnie i przez ciemnoszare powietrze zobaczyli w oddali masyw górski. Zaczął siąpić deszcz.

Tutaj, około czterystu pięćdziesięciu kilometrów na zachód od krótkich reliktyw crobuzońskiej kolei, spotkali uchodźców. Nie liberosynkretów, tylko normalnych obywateli, którzy mokrym od deszczu pułkiem wyłonili się z mgły, aby przebiec ostatni kilometr dzielący ich od lokomotywy i ukorzyć się przed nią niby pielgrzymi. To oni opowiedzieli Ann-Hari, Judaszowi i Radnym o tym, co się działo w Nowym Crobuzon, opowiedzieli im o Kolektywie.

- Wszyscy dobrzy bogowie - westchnęła Elsie. - Nareszcie! Stało się! Bogowie! Nie posiadała się z radości. Twarz Judasza jaśniała.
- To się zaczęło w Dog Fenn - powiedział jeden z uciekinierów. - Tak zupełnie z niczego.
- Nieprawda - zaprotestował inny. - Wiedzieliśmy, że idziecie... Żelazna Rada. Niektórzy mówili, że musimy przygotować dla Was grunt.

Żelazna Rada budziła w nich nabożny respekt. Uciekinierzy rozmawiali z bohaterami, których tyle razy widzieli na słynnym heliotypie. Trzeba było ciągnąć ich za język.

- Nie ma pracy, nie ma płacy, więc ludzie głodują. Jest wojna i dawni milicjanci opowiadają, jak to naprawdę wygląda na froncie. Są ataki terrorystyczne Tesh. Nie czujemy się bezpieczni i miasto nas nie chroni. I słyszeliśmy, że ktoś pojechał znaleźć Żelazną Radę.

Mina Judasza zdradzała, jak bardzo jest poruszony.

- Są ataki terrorystyczne Tesh? - zdziwił się Cutter.

Mężczyzna skinął głową.

- Tak. Zjawy. Władza mówi, że dogada się z Tesh, zawrze pokój, ale jest coraz gorzej i nikt nie wie, czy rząd robi to, co mówi. Demonstranci poszli pod Parlament i zażądali ochrony dla ludności, ale wśród tłumu byli tacy, którzy domagali się czegoś więcej i rozdawali ulotki. Chyba z Plenum. Ale w odpowiedzi przyleciały meduzy i znikalce i milicja na nas spadła. Ktoś zaczął krzyczeć, że z przodu są łapowżercy. I rozpętało się piekło. Nie byłem przy tym, ale ludzie mi opowiadali. Na ulicach było pełno trupów. Ludzie zmusili milicję do ucieczki i w całym mieście stanęły barykady. Przyszedł czas, żebyśmy sami zaczęli się rządzić. Nie potrzebowaliśmy milicji. Nie wpuszczaliśmy jej. A potem się dowiedzieliśmy, że burmistrzynie nie żyje.

Delegaci ze wszystkich dzielnic utworzyli kolektyw, zapanowało podniecenie i panika,

kiedy ludzie zdali sobie sprawę, że nie ma już loterii wyborczej, że każdy z nich ma cząstkę władzy. Po kilku dniach antyparlament ograniczył tę prymitywną demokrację, ale dlatego - przysięgali na wszystkie świętości - że Kolektyw musiał toczyć wojnę na dwa fronty. Większość jego członków opowiadała się za negocjacjami z Tesh. Było im wszystko jedno, kto co będzie kontrolował na południowych morzach.

- Dlaczego jesteście tutaj? - spytali Radni.

Crobuzończycy spuścili na chwilę głowy, po czym odpowiedzieli, że wyгнаła ich krwawość walk, że uciekinierów jest wielu. Maszerowali całymi tygodniami, próbując znaleźć Żelazną Radę.

„Nie byli ani plenarystami, ani kolektywistami - pomyślał Cutter

- tylko ludźmi, którzy nie z własnej woli wpadli w wir walk między dysydenckim miastem w mieście a władzami Nowego Crobuzon. Zapakowali dobytek na wózki i uciekli. Żelaznej Rady kazała im szukać nie strategicznej czy politycznej wizji, tylko coś na kształt pobożności”. Cutter gardził nimi, ale Judasz był przeszcześnieśliwy.

- Dokonało się, dokonało się! - powiedział Judasz wzruszonym głosem. - Powstanie, drugi Rokosz, to nasze dzieło! Wynik tego, co zrobiliśmy. To Żelazna Rada...była tu inspiracją. Kiedy usłyszeli, że wracamy...

Ann-Hari patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. W zmiernych światle zdawał się otoczony aureolą i mówił tak, jakby recytował wiersz.

- Przed laty zrzuciliśmy kajdany i ten pociąg, Żelazna Rada, jest symbolem naszego wyzwolenia. Jego droga zapisała się na kartach historii. A teraz dzięki nam obywatele Nowego Crobuzon zrzucili z siebie ciemnościelskie jarzmo.

Wyglądał przepięknie, niby jakaś nadprzyrodzona istota, ale Cutter wiedział, że Judasz się myli. „To nie jest nasze dzieło, Judaszu. Zrobiliby to również bez Rady”.

- Teraz jedziemy do miasta i przyłączamy się do nich. Nie jesteśmy daleko od gotowych torów. Jabberze, bogowie, przyjedziemy do przeobrażonego miasta i będziemy częścią tej odnowy. Przywozimy ze sobą ważny towar. Przywozimy ze sobą historię!

„I tak, i nie, Judaszu. Owszem, przywozimy, ale oni już mają swoją historię”.

Cutter wyruszył kiedyś w drogę nie ze względu na Żelazną Radę, lecz ze względu na Judasza. Ten wyrzut sumienia do tej pory go dręczył. „Nie jestem tutaj dla historii” - pomyślał. Niewysokie wierzchołki gór patrzyły na niego wyniośle. Vodyanoi z Żelaznej Rady pływali w zimnej rzece, a pociąg toczył się powoli przed siebie. „Jestem tutaj dla ciebie”.

- Milicja nas nie zaatakuje - ciągnął Judasz. - Wiedzą, że wracamy, ale próbują stłumić bunt i nie mają kogo rzucić przeciwko nam. Kiedy przyjedziemy, będą nowe władze. My będziemy... codą powstania. Rzeczpospolita Crobuzońska.

- Sytuacja jest ciężka - powiedział jeden z uchodźców niepewnym tonem. - Kolektyw jest pod ostrzałem. Parlament ostro kontratakuję...

- Och, och, och! - Nikt nie widział autora tych słów. - O nie! Co to jest? - głos należał do Qurabina. Cutter szukał fałdy w powietrzu, zobaczył krótkie rozedrganie. - Co to jest?-

Pielgrzymi-uchodźcy rozglądali się dokoła przerażeni. - Mówiliście, że Tesh przysłała do miasta zjawy. Jakiego rodzaju? I co to jest to? - Poplamiona skóra jednego z przybyszów wyduła się od pociągnięcia Qurabina. Właścicielka jęknęła, sądząc, że to duch. Cutter warknął na nią, żeby się uspokoiła. - Co to za znak? - spytał.

Struchlała ze zgrozy popatrzyła na skomplikowany zawijas zdobiący jej torbę.

- To? To jest symbol wolności. Spirala wolności. Można ją spotkać w całym mieście.

- Och, och, och!

- O co chodzi, Qurabin?

- Na czym polegają te ataki Tesh?

Głos cenobity brzmiał spokojniej, ale nadal był przyspieszony.

Cutter i Elsie zeszywnieli, mina Ann-Hari zdradzała zaniepokojenie. Judasz zapadł się w sobie, bo było dla niego oczywiste, że dzieje się coś złego.

- Nie, nie, to... Przypominam to sobie. Muszę... Zapytam...

Bezciesny głos załamał się. Wrażenie wsysania, kolory. Qurabin pytał o coś Moment Tajemnic. Wszyscy milczeli. Uchodźcy kulili się ze strachu.

- W jaki sposób atakuje Tesh? - znowu głos Qurabina, wzmocniony. - Mówiliście coś o zjawieńcach? Czy to są widma, które wyglądają jak wyprane z kolorów? Nicości w kształcie naturalnych bytów - zwierząt, roślin, dłoni i tak dalej? I znajdujący się w pobliżu ludzie nagle upadają i umierają? Wychodzą znikąd, z nieświatła, prawda? I wciąż się pojawiają, tak?

- Czemu o to wszystko pytasz? Qurabin, na litość Jabbera...

- Jabbera? - głos mnicha był podszyty nutką hysterii i jego źródło zmieniało położenie. - Jabber nic tu nie pomoże. Najgorsze jeszcze przed wami. A wy myśleliście, że to są symbole wolności! Spirala. Och! - Cutter szarpnął się do tyłu... głos rozbrzmiewał tuż przy jego uchu. Cutter poczuł na sobie oddech Qurabina. - Pamiętajcie, że jestem z Tesh. Znam się na tym. Upiory, które pojawiają się w waszym mieście, to nie są ataki, tylko fale. Zwiastuny wydarzenia, które jeszcze nie nastąpiło. Coś nadchodzi, zostało wrzucone do czasu jak do wody i zrobiło fale. Tam, gdzie dopłyną, te krople są jak robaki wczepiające się w substancję rzeczywistości. Coś wkrótce nadejdzie, a te spirale, te zawijasy są tego zapowiedzią. Ktoś krąży po Nowym Crobuzon. To jest magia ambasadorska. A te fantomy to drobiazg. Tesh ma poważniejsze plany. Zniszczą wasze miasto. Te spirale są znakiem hekatombisty.

Qurabin musiał kilkakrotnie tłumaczyć stan rzeczy.

- Osobnik, kto zostawił ten znak, włada wieloma taumaturgiami. Z których ta jest ostatnia. To jest wypełnienie się prawa. Ta siła zawładnie waszym miastem i zetrze je z powierzchni ziemi. Ni mniej, ni więcej.

- To są spirale wolności - upierał się jeden z uchodźców, ale Cutter lekkim szturchnięciem nakłonił go, by zamilkł.

- Mówią, że Tesh z nimi negocjuje? Nie, nie, nie. Jeśli są prowadzone jakieś rokowania, to tylko dla odwrócenia uwagi. Zaczęła się ostatnia faza ich planu. Nadchodzi koniec. Nowe Crobuzon nie będzie toczyło wojen. Już nigdy.

- Jak to będzie wyglądało, czego mamy wypatrywać?

Qurabin nie chciał jednak odpowiadać na to pytanie.

- Koniec z wojnami i koniec z pokojem. A po tym wydarzeniu przyjdą kolejne fale, rozpryskane. Ostatnie krople. Zjawy pośród pustki, która zostanie po waszym mieście. Anihilują

je.

Było bardzo zimno, a ciągnący od gór wiatr porywał dym z ognisk kuchennych. Z przodu i z tyłu Radni spali w swoim pancernym mieście. Słysząc było odgłosy górskich zwierząt, rozmowy i zgrzytliwe stygnięcie metalu pogrążonego we śnie pociągu.

- Co możemy zrobić? - spytał pełen zgrozy Judasz.

- Jeśli chcecie zapobiec katastrofie, musicie go znaleźć. Tego, kto za tym stoi, kto zaklina wydarzenia. Musicie go powstrzymać. Musicie... Musimy wrócić do Nowego Crobuzon. Natychmiast.

CZEŚĆ ÓSMA

PRZETWORZENIE

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Bitwa o Most Koguciego Grzebienia zaczęła się wcześniej. Wodniste słońce oświetlało wojska, które zbierały się naprzeciwko siebie po obu stronach rzeki. Most Koguciego Grzebienia, tysiącletni i zabudowany domami, łączył Riverskin na południowym brzegu Smoły z Perty Coil na brzegu północnym. Kolektyw zażarcie walczył o ten obiekt. Po pierwszych kilku dniach chwały, kiedy południe Nowego Crobuzon w większości znajdowało się pod kontrolą Kolektywu, milicja zaczęła odzyskiwać utracony teren. Teraz, po kilku tygodniach, Most Koguciego Grzebienia stanowił najbardziej wysunięty na zachód przyczółek delegatury Kolektywu z Dog Fenn.

Obserwatorzy z wieży milicyjnej we Flyside, we wczesnej fazie zdobytej przez insurekcjonistów, śledzili ruchy milicji przed świtem i stratedzy Kolektywu zmobilizowali siły z kilku dzielnic. Milicja przybyła z Crow przez Spit Hearth - gdzie ci nieliczni hierofanci, którzy nie wyjechali ani nie zeszli do podziemia, modlili się za jedną ze stron albo za obie równocześnie - a potem przez pogrążoną w romantycznym rozkładzie Petty Coil. Pośród syjącego się baroku Misdirect Square, na oczach architektury niegdyś okazałej, a teraz trochę śmiesznej z obłącającą farbą i poobtlukiwanymi fasadami, milicja sformowała szyk bojowy. Ich lusterka migotały na wszystkie strony. Wycelowali armaty i kartacznice w stare kamienie Mostu Koguciego Grzebienia i czekali.

Na drugim brzegu stanęły wojska Kolektywu, bataliony nazwane od miejsc rekrutacji.

- Wynion Way, do mnie!
- Silverback Street, lewa flank!

Każdy oddział wyróżniał się kawałkiem kolorowej szmaty, szarfy, zieloną u Wynion, szarą u Silverback. Oficerowie nosili halsztuki w odpowiednim kolorze, chociaż podkomendni i bez tego by ich rozpoznali, bo wybrali ich do pełnienia tej funkcji w drodze głosowania. Oddziały były koedukacyjne i złożone z przedstawicieli wszystkich ras. Także z prze-tworzonych.

Pogłoski na temat taktyki milicji krążyły z ust do ust.

- Meduzy!
- Łapowżercy!
- Użyją smokowców!
- Zawarli układ z Tesh - na moście będą zjawieńczy!

Na czele każdego oddziału stał były milicjant, który starał się przeszkolić swoich towarzyszy broni na tyle gruntownie, na ile pozwalał czas. Tam, gdzie głos ludu zaowocował wyborem nieodpowiednich kandydatów - kompletnie zielonych i niewyszkolonych - a fałszywie pojęta lojalność pozwoliła im zachować stanowisko, dyskretnie podsyłano im ekszołnierza w funkcji doradczej.

Sterowce zgromadziły się jak padlinożerne ryby na granicy przestrzeni powietrznej Parlamentu, poza zasięgiem wybuchowych harpunów, granatów czy eskadr kolektywistycznych wyrmenów. Szpiedzy wypatrywali sygnałów tego, że aerostaty szykują się do nalotu bombowego.

Próba sił trwała. W delegaturze dogfeńskiej pojawiły się obawy, że to jest manewr odwracający uwagę, że atak nastąpi z jakiegoś innego kierunku. Rozesłano gońców do Mostu

Sheer, do barykad na południe od Miasta Kości i Mog Hill, do slumsów na wschód od Mostu Wielkiego Kalibru, ale nic nie znaleźli. Po paru godzinach dał się słyszeć podobny do klaskania w dłonie odgłos wybuchających granatów - rozpoczęło się codzienne bombardowanie wszystkich trzech delegatur Kolektywu.

- Howl Barrow dzisiaj padnie.

Izolacja trzech sektorów utrudniała prowadzenie walk. Po pierwszych pełnych uniesienia tygodniach milicja odcięła Flyside od Howl Barrow, zajęła Kinken, oddzieliła Howl Barrow od delegatur w Skulkford i Zakolu Smoły. Podjęto próby budowy korytarzy powietrznych, ale aerostaty Kolektywu nie były w stanie pokonać ani ominąć podniebnej floty Parlamentu. Trzy odseparowane od siebie zbuntowane obszary komunikowały się ze sobą niebezpiecznymi i zawodnymi kanałami.

- Howl Barrow jest stracone.

Była to najmniejsza z dzielnic, bez przemysłu, bez fabryk, bez arsenałów. Howl Barrow to był bunt bohemy. Tym ludziom trudno było odmówić zapału, ale entuzjazm i wąła taumaturgia to za mało, żeby stawić skuteczny opór milicji. Na początku Dog Fenn wysyłało posiłki kanałami ściekowymi i ulicami podziemnego miasta, ale w obecnej sytuacji już nie można było sobie pozwolić na taki luksus. Pozostało tylko słuchać świstu granatów i huku pękających murów.

- Może zakolanie im pomogą - mówili niektórzy, ale bez większej nadziei.

Zakole Smogu nie było w stanie nikogo przysłać. Artystyczna komuna była skazana na pożarcie.

Krótko przed południem mieszkaniowiec jednego z domów na Moście Koguciego Grzebienia, który wcześniej odmówił ewakuacji, wyszedł z piwnicy z białą flagą i został zastrzelony przez milicję. Z pozostałych domów dobiegły stłumione okrzyki.

- Musimy ich stamtąd wydostać - mówili plenaryści.

Ponosili odpowiedzialność za tych ludzi.

Być może milicja usiłowała wciągnąć Kolektyw na most. Być może ci idioci, którzy się nie ewakuowali, stracili prawo do ochrony. Mimo to oficerowie przygotowywali plan ratunkowy.

Przybył ordynans z rozkazami od sztabu generalnego. Dowódcą Wynion Way była zawzięta młoda kobieta, podobnie jak inni oficerowie uzbrojona w tarczę, do której przybita była zerwana ze ściany tabliczka z nazwą ulicy. Kazała swoim ludziom przesunąć się w stronę mostu wraz z sędziwą armatą. Na drugim brzegu milicja także się zbliżyła. Od południa nadciągali Szklarniowi Grenadierzy, pułk ludzi-kaktusów.

Niekończące się dyskusje na temat czystych rasowo oddziałów bojowych! Kiedy przyszły gwardzistki khepri i zaproponowały swoje żołnierskie usługi dla Kolektywu, kiedy plutony ludzi-kaktusów chciały wziąć na siebie rolę wydzielonej ciężkozbrojnej piechoty, niektórzy oficerowie stanowczo zaprotestowali.

- Jesteśmy Kolektywistami! Nie kaktusami, ludźmi, prze-tworzonymi, vodyanoi czy diabeł wie kim jeszcze! Walczymy ramię w ramię, nie patrząc na przynależność rasową!

Była to szlachetna postawa, moralnie imponująca, ale z praktycznego punktu widzenia nie zawsze sensowna.

- Czy chaver zechce się do mnie przyłączyć dzisiaj w nocy, kiedy będziemy odławiać w rzece milicyjne bomby? - spytał delegat vodyanoi ludzkiego ultraegalitarystę, wywołując wybuch śmiechu.

A skoro mogli walczyć we własnym gronie - chociaż do każdego korpusu pod naciskiem egalitarystów przydzielono pozbawionego władzy rozkazodawczej oficera z innej rasy, jako symbol obowiązującego ideału - to czy nie było absurdalne odmawiać tego prawa innym? Czy

oddział złożony wyłącznie z kheprich, wyszkolonych w obsłudze żadeł, nie stwarzał mniejszego zagrożenia dla sojuszników?

W wypadku ludzi-kaktusów nie było wątpliwości: tylko najsilniejsi mogli walczyć u ich boku. Ustalono, że mogą się do nich przyłączyć - za ich zgodą - prze-tworzeni z wyjątkowo wzmacniającymi modyfikacjami. Szklarniowi Grenadierzy przystali na to i mieli w swoich szeregach dwóch prze-tworzonych z wszczepionymi dodatkowymi mięśniami i naoliwionym metalem. „Akcja ratunkowa” - powiedziano im. Pod osłoną ataku Kolektywu, który miotał bombami prochowymi, pirogenami i eliksirami taumaturgicznymi, Szklarniowi Grenadierzy weszli na most. Przeszukiwali budynki i gdy kogoś znaleźli, przekazywali go na tyły przez dziury wybite w ścianach oddzielających od siebie szeregowie domy.

Milicja zachowywała się dosyć biernie. Chociaż strzelali, uszkadzając fasady domów, sprawiali takie wrażenie, jakby na coś czekali. Ośmielony Kolektyw ruszył do przodu, aby powstrzymać ewentualny kontratak. Zwiadowcy - hotchi, wyrmeny, akrobatyczni ludzie - z dachów lub z powietrza obserwowali ruchy wroga. Potem szeregi milicji rozstały się, pozwalając zobaczyć trzech zawieszonych w powietrzu mężczyzn. Każdy z nich miał przyczepioną do gardła pięciopalczystą bryłę mięsa. Łapowżercy.

Na Moście Koguciego Grzebienia nie wisiało pranie, ale były rozciągnięte nad ulicą sznury. Podobne do suszonych owoców klamerki wibrowały od ognia artyleryjskiego. Na widok lecących mężczyzn Kolektywiści złamali szyki.

Łapowżercy z Parlamentu mieli na sobie meloniki i garnitury z trochę za krótkimi nogawkami spodni. Dziwna taktyka zastraszająca. Czy były to ciała skazanych na śmierć Nowopiórców? A może ochotnicy, o których krążyły słuchy? Mężczyźni i kobiety, których lojalność wobec rządu Nowego Crobuzon sięgała tak daleko, że oddawali się do dyspozycji jako gospodarze łapowżerców? Męczeństwo skrajnego prawicowca. Chodziło jednak raczej o straconych skazańców, których przebrano, żeby budzili większy strach.

Wisząc w powietrzu, z taumaturgiczną ciecżą zamiast krwi w żyłach i plujący ogniem, wyglądali jak Nadpiórcy, reakcjonistyczne koszmary. Stroje przywoływały wspomnienia Nocy Okruchów w Kinken, kiedy partia Nowe Pióra przypuściła szturm na getto kheprich, mordowała, rozbijała ślinorzęby na Placu Posągów, deptała bezrozumnych samców i wyrzynała kobiety, zasnuwając ulice okruchami szkła, ich śluzem i krwią. Atak był tak brutalny, że wzburzył mieszkańców bogatych dzielnic i władze wysłały milicję, żeby chroniła tych nielicznych kheprich, którzy nie uciekli i nie zostali zamordowani. Nowopiórcy uciekać nie musieli: pozwolono im odejść w uporządkowanym, triumfalnym szyku.

Teraz Piórcy - albo istoty udające Piórców - zlatywali z nieba. Kolektywiści szukali schronienia w zakamarkach wstrząsanych bombami domów. Krztusili się pyłem tysiącletnich cegieł.

Z południa pędził ku nim chudy nagi mężczyzna. Do twarzy miał przymocowaną czarną lewą dłoń, z palcami rozcapierzonymi na oczach i nosie. Łapowżerca lewy.

Podczas wojen domowych czasem zawiązują się dziwne sojusze. Nieliczni łapowżercy występowali przeciwko swoim braciosiostrom - czy z altruizmu, czy z politycznego wyrachowania, to dla negocjatorów Kolektywu pozostawało zagadką. Wchodzenie w układy z tymi symbolami zepsucia i pasożytniczego sprytu mogło budzić obrzydzenie, ale Kolektyw nie mógł sobie pozwolić na moralne skrupuły. Zwłaszcza że wśród wyrodnych łapowżerców było kilku lewych.

Trzej milicyjni łapowżercy należeli do prawych, wojowników, ale stracili zapał, kiedy zobaczyli lewego na twarzy nagiego mężczyzny. Próbowali się wycofać, ale Kolektywistyczny łapowżerca skoczył do góry na nadludzką wysokość i strzelił z palców. Jednym z mężczyzn w

ciemnych garniturach targnęły konwulsje, bo lewy zablokował jego gruczoł asymilacyjny. Prawy stał się ślepy m pięciopalczastym zwierzęciem wczepionym w głowę człowieka po śmierci mózgowej. Zerwany przez wiatr melonik wpadł do powolnego i brudnego nurtu Smoły.

Drugi strzał z palców lewego i następny latający mężczyzna runął na ziemię, rozbryzgując się na czerwono o bruk. Rozległ się aplauz Kolektywistów. Ale trzeci milicyjny łapowźerca szybko i niespostrzeżenie ukrył się w cieniu okapu domu i kiedy lewy zaczął odrywać swoją zmasakrowaną ofiarę od jej żywiciela, prawy otworzył usta swego gospodarza i plunął ogniem.

Atramentowe płomienie lizały ciało nagiego człowieka, który poczerńiał i pryskał własnym tłuszczem. Lewy krzyknął głosem żywiciela, a w duchu własnym, przez co gospodarze w promieniu kilkuset metrów skrzywili się z bólu. Po chwili padł zwęglony na ziemię.

Milicja otworzyła ogień z kartaczownic i powietrze zamieniło się w sieczkarnię. Kolektywiści schowali się za załomami budynków, a prawy leciał niewzruszony pośród tej kanonady, osłonięty przez pożyczone ciało żywiciela.

Na dachu po północnej stronie mostu podniósł się taumaturg, buntownik z Brock Marsh, który przyszedł bronić Kolektywu. Ognie pełzały po jego ciele, otulając go kobaltowym płaszczem. Szczeknął i bryłka wyplutego koloru pofrunęła motylim lotem do najbliższego milicyjnego działka i zawładnęła kanonierami, którzy zatoczyli się i zdarli maski z poblądłych, oślepych twarzy.

Mężczyźni i ich działka zaczęły kruszeć, pękać, i po chwili rozpadli się na kawałki. Zostały po nich sterty suchych odłamków.

Kolejny aplauz. Dowódczym Wynion Way podeszła do przodu, strzelając z muszkietu, ale łapowźerca zleciał na dół, wirując i pedałużąc w powietrzu ciężkimi czarnymi butami. Ze swego rodzaju wściekłą figlarnością wpadł w oddział Kolektywistów, miażdżył ich i pluł rozżarzonymi spiralami ognia. Zostawił po sobie zmasakrowane trupy, konających i poplamione ogniem mury.

- Cofnąć się! Natychmiast!

Szklarniowi Grenadierzy wyszli na mostową ulicę i rozpoczęli odwrót, strzelając z kuszarpaczy do milicji, która już nie czekała, lecz ruszyła naprzód, ciągnąc za sobą działka okrętowe. Huknęło z kartaczownic. Łapowźerca i kolektywistyczny taumaturg stanęli naprzeciwko siebie. Mężczyzna uniósł pięści, aby posłać błyskawicę, ale łapowźerca ściągnął go na ziemię w postaci płonącej żagwi.

- Cofnąć się, do cholery!

Nadciągała milicja. Szklarniowi Grenadierzy zawrócili i przypuścili wściekły szturm. Szeregi kolczastych wojowników budziły grozę. Milicja wytraciła impet.

Prawy plunął, ale za wcześnie, spalając tylko kilka sznurów do wieszania prania. Jeden z ludzi-kaktusów z triumfalnym okrzykiem wbił maczetę w gospodarza. Ostrze weszło głęboko, ściągając żywiciela na dół. Kaktus kopał i deptał pasożyta i jego gospodarza stopami podobnymi do pni drzew. Nieuporządkowane szyki Grenadierów były ostrzeliwane ogniem z flanki. Mimo że mieli na sobie prymitywne pancerze z żeliwa, pociski z kartaczownic rozrywały ich roślinne ciała.

Zmęczeni bojownicy-kaktusy w końcu przystąpili do odwrotu pod osłoną kolektywistycznej artylerii. Ostatni z Grenadierów był prze-tworzonym człowiekiem. Na stopie miał coś cętkowanego. Nagle plunął ogniem w swoich towarzyszy. Zabili żywiciela, ale nie łapowźercę, który wczepił się w prze-tworzonego.

Na oddalony zaledwie o kilka metrów od Mostu Koguciego Grzebienia wiadukt kolejowy wjechał pociąg. Na północnym brzegu tory były zabarykadowane, ale na południe od stacji Petty

Coil linia Sud znajdowała się w rękach Kolektywu. Pociąg stanął koło mostu i z jego okien Kolektywiści miotali granatami pod kierunkiem garudów z dzielnicy nędzy, którzy unosili się z prądami wznoszącymi rozgrzanego powietrza pożarów. Pociski niszczyły kolejne elementy zabudowy starego mostu i siały zamęt w szeregach milicji.

Ale to nie wystarczyło. Milicja zajmowała Most Koguciego Grzebienia i ostrzeliwała pociąg. Na wschodzie dziurawił niebo czarny sztylet Parlamentu, wyspiarska góra ciemnej architektury obserwująca tę i inne walki (powietrzny atak na doki Kelltree, najazd meduzowej kawalerii na Creekside, janczarski pułk lojalnych prze-tworzonych bijących się w Ehomire z Kolektywistami, którzy wyzywali ich od zdrajców).

„Już czas”. Szept dowódców Kolektywu z Riverskin. W siedzibie sztabu pod arkadami stacji Saltpetre były milicjant Frengeler, wybitny taktyk i główny strateg Kolektywu, który przeszedł na stronę radykałów, krzychał:

- Zdecydujcie się, kurwa, czy chcecie wygrać czy nie! Nie mamy już czasu, więc zaczynajcie. Wysadźcie mosty.

Zostało już tylko kilka mostów łączących terytorium Parlamentu z dzielnicami kontrolowanymi przez Kolektyw. Każdy z nich był punktem, którego nie mogli oddać milicji. Pod powierzchnią Smoły kolektywistyczni vodyanoi, którzy pełnili straż przy wlotach kanalizacji, wysłali do boju oddziały saperów.

Było to dla nich smutne zadanie. Nikt nie miał ochoty niszczyć tych pięknych, starych konstrukcji. Wiedzieli jednak, że innego wyjścia nie ma.

W mętnej wodzie podpływali tam, gdzie filary mostów wyrastały ze szlamu. Macali i szukali, ale nie mogli znaleźć założonych wcześniej ładunków. Utworzyli krąg i porozumiewali się swoim szczekliwym podwodnym językiem, lecz nagle zbliżyły się do nich nieprzyjacielskie kształty.

- Zdrada! - krzyknął jeden z nich, kiedy okrążyła ich milicja vodyanoi, szamani z mącącymi płachtami czystej wody, wodnicami, które obejmowały i miażdżyły Kolektywistów.

Część zdołała uciec. Do centrali dotarła wiadomość od nich: „Nie możemy wysadzić tego zasranego mostu!”.

W takim razie most Sheer. Ale chociaż tym razem pływacy uważali i nie wpadli w pułapkę, również tutaj skonstatowali, że ładunki zniknęły. Wytropione, diabli wiedzą kiedy, i usunięte. Plan Kolektywu, żeby odciąć milicji dostęp na ich teren, legł w gruzach.

- Tak samo będzie z mostami Mandrake’a i Barrow. Milicja ma wolną drogę.

I korzystała z niej. Ale przedzieranie się przez ogień kolektywistycznych dział i karabinów, tanatyczne skupienia ich zakłóć, ich pułapki bombowe, zajęło milicji wiele godzin. Parli naprzód przez będące ich własnym dziełem rumowisko, krajobraz kamiennych szczerb dawnych murów i bezużytecznych okien, które nie miały już szyb. Ale stopniowo zdobywali teren. Most Koguciego Grzebienia znowu należał do Parlamentu.

Wycofując się, Kolektywiści wznosili nowe barykady. Gruzy zbombardowanych budynków służyły za fundament, a na wierzch szło wszystko, żużel z fabryk, podkłady kolejowe, meble, pnie drzew z Sobek Croix. Musieli poświęcić kilka ulic na zachód od Sedilia Square, aby skoncentrować się na głównych ulicach. Obrońcom południowego brzegu wysłano komunikat, żeby przygotowali się na inwazję milicji, która mogła w każdej chwili przejść przez most.

Nie przeszła. Przekroczyli rzekę, zatrzymali się na rynku i przejmowali budynki (jeden z

nich dopiero co opuścili Kolektywiści; milicjanci systematycznie bezcześcili pozostawione przez nich rzeczy, osikiwali heliotypy i wyrzucali je przez okna). W Griss Twist insurekcjoniści zwozili z wysypisk kilkudziesięcioletnie śmieci, żeby zatarasować most Sheer. Badside było ostrzeliwane, zropaczani mieszkańcy i symboliczne oddziały Kolektywistów, które pełniły tam straż, już prawie nie miały amunicji. Nikomu nie zależało na Badside jako takim, ale trzeba było bronić tej dzielnicy jako wrót do Echomire i Kelltree oraz brzegu rzeki położonego naprzeciwko Dog Fenn, serca Kolektywu. Na północnym zachodzie miasta, gdzie Kolektywiści z Dog Fenn nie mieli już dostępu, ich siostrzane delegatury znalazły się w tarapatach. W Tar i Canker Wedge coś szykowano, zapewne atak na Zakole Smogu. Gdyby padł ten bastion maszynofaktur i zorganizowanego ruchu robotniczego, tutejsza delegatura byłaby stracona.

Howl Barrow to była bułka z masłem.

- Możemy zmiażdżyć całą bandę pedałów, zbrojeńców i malarzy, zanim ja zdążę podrapać się w dupę - powiedział pewien wzięty do niewoli milicjant i jego pogardliwa wypowiedź dobrze oddawała sytuację.

Howl Barrow nie miało szans przetrwać długo, z oddziałami nuevistów, z batalionami bojowych baletnic, z notoryczną Śliczną Brygadą, czyli grupą kolektywistycznych grenadierów i muszkietierów złożoną z męskich prostytutek w sukienkach i z krzykliwym makijażem, wykrzykujących rozkazy w homoseksualnym slangu. Z początku traktowano ich z niechęcią, potem z wyrozumiałością, ponieważ walczyli dzielnie i wytrwale, wreszcie z gorącą sympatią. Nikt nie chciał, żeby zostali pokonani, ale nie dało się tego uniknąć.

Milicja zajęła Most Koguciego Grzebienia, przełamała opór Szklarniowych Grenadierów i zajęła pozycje na południowym brzegu Smoły. Przygotowywali uderzenie na Dog Fenn, twierdzę Kolektywu. Wszyscy pomyśleli sobie to, czego nikt nie mówił na głos: to był początek końca.

W tej dramatycznej sytuacji do miasta przybyli: Judasz, Cutter i ich przyjaciele.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

- Bogowie. Bogowie! Na litość Jabbera, jak wy się tutaj dostaliście?

Granic terenów opanowanych przez crobuzoński Kolektyw nie można było tak łatwo przekraczać. Przy barykadach panowała nerwowość, strażnicy działali zgodnie z zasadą: najpierw strzelać, potem zadawać pytania. Aeronauci Parlamentu bezlitośnie polowali na wszystkie obce statki powietrzne, obie strony osłaniały się zaklęciami - jednym słowem wchodzenie i wychodzenie stało się ekscytującą i niebezpieczną przygodą.

Podkoloryzowane legendy ludowe opowiadały o bohaterskim strażniku, który wymknął się pod osłoną ciemności, żeby likwidować milicjantów, czy o oddziale parlamentarnym, który zabłądził w labiryncie ulic i odnalazł się w samym środku kolektywistycznego terytorium. Teraz zaczęła krążyć baśń o krucjacie, o rycerzach, którzy przyjechali obronić wszystkich uciśnionych z Kolektywu.

W rzeczywistości jednak setki ludzi wchodziły i wychodziły przez źle strzeżone barykady czy metodami taumatycznymi. W mieście rządowym roilo się od sympatyków Kolektywu: w Chimer, w strefie przemysłowej Lichford, gdzie obowiązywał stan wojenny, ale członkowie gildii, wyrotowcy i ciekawscy znajdowali drogę do Creekside czy Dog Fenn i błagali, żeby ich wpuścić. I na odwrót: w Kolektywie było wielu takich, którzy biernie lub aktywnie źle mu życzyli i przekradali się na drugą stronę lub brali na siebie rolę szpiegów.

Nowych przybyszów witano zatem serdecznie, ale zarazem nieufnie. Judasz i inni przybyli od wschodu, przez pobojowisko w okolicach Mostu Wielkiego Kalibru. Z pomocą Qurabina znajdowali ukryte przejścia. Po każdym pytaniu zadanym swoim mentorom mnich tracił kolejną część swojego jestestwa. Omijali barykadzistów. Ceglanymi wązozami dotarli pod pocztę w Dog Fenn, gdzie spotykała się rada delegatów. Spytali o przedstawicieli Plenum.

Cutter czuł się pusty. Wrócił po wielu miesiącach nieobecności i jego miasto było takie nowe, takie inne. Naszły go wspomnienia o zmarłych towarzyszach podróży, o Dreyu, Ihonie, Fejhu i Pomeroyu, o kościołach pod torami kolejowymi.

„Co to jest za miasto?” - myślał, idąc ulicami. Wieże Mostu Wielkiego Kalibru, od stuleci dumnie wzniesione i oblane wodą Wielkiej Smoły, teraz ukoronowane armatami, które leniwie pykały kulami. Badside, dzielnica zawsze zapuszczona, ale teraz przeżarta czymś więcej niż nędzą.

Wszędzie. Ponad dźwigarami mostu Barley ulice z codziennością stanowiły jedno, monstualne i piękne. Ale nie były całkiem puste. Zabandażowani żołnierze obserwowali przybyszów z ruin domów. Szybkonodzy mieszkańcy, teraz podobni do szczurów, uginali się pod workami z jedzeniem, meblami i innym mieniem, które przenosili z jednego miejsca w drugie. Żyli w ciągłym strachu.

Podróżny kurz, którym okryty był Cutter i jego towarzysze, przyciągał zaciekawione spojrzenia - wszyscy byli brudni, ale miejski brud wyglądał inaczej - jednak nikt nie sprawiał wrażenia zaskoczonego składem grupy: dwóch prze-tworzonych i czterech zwykłych ludzi (Qurabina nikt nie widział) ciągnących za uzdy swoje wyczerpane wierzchowce.

Obaj prze-tworzeni również wieźli jeźdźców. Jednym z nich był Rahul, mężczyzna z ciałem jaszczurki: prawa ręka Ann-Hari w okresie założycielskim Żelaznej Rady. To jego głos opowiadający o śmierci Uzmana usłyszał Cutter z voxiteratora. Chociaż już dawno zostawił za sobą młodość, na tych wygiętych do tyłu nogach biegał szybciej od konia. Judasz przejechał na

nim ostatni odcinek drogi do miasta. Drugim prze-tworzonym była Maribet, kobieta, której osadzono głowę na szyi konia pociągowego ponabijanej ptasimi szponami. Dosiadała jej Elsie.

Wielu młodych, wolno urodzonych Radnych bardzo chciało zobaczyć Nowe Crobuzon, ale Ann-Hari zawyrokowała, że Rada musi być silna, zwarta i gotowa. Już niedługo zobaczą miasto. Wysłano tylko tych emisariuszy.

Prze-tworzeni gapili się jak cielęta na malowane wrota. Nie mogli uwierzyć w to, co mieli przed oczyma. Wędrowali przez zmasakrowany sen z własnej przeszłości.

Po ulicach biegały dzieci, które urządzały sobie place zabaw pośród zburzonej architektury. Bomby unicestwiły znaczne obszary miasta, a inne zamieniły w ponury pejzaż stojących bez potrzeby ścian, zwałowisk gruzu, słupów i kłębowisk kabli: ogrody ruiny. Z nowymi kwiatami piękna.

Zakłęcia wytworzyły abstrakcyjne, ceglane rzeźby zabarwione niepowtarzalnymi kolorami destrukcji. W jednym miejscu powstał porośnięty bluszczem mur, który istniał tylko połowicznie, jako lustropodobna, ceglana refrakcja. Po tej transmutacji biegały psy i koty, które stały się zwierzyną łowną: Kolektywiści byli głodni.

Osobliwe tableau. Dziecięcy spektakl teatralny, z odgłosem wybuchów w tle wystawiany na rogu ulicy dla rodziców i znajomych, u których rozpacz mieszała się z dumą i radością. Spiralne symbole na ścianach. Skomplikowane, zakręcające do środka i na zewnątrz. Niewidzialny Qurabin wydał z siebie syk, coś jakby mówił: „Taaak”.

W pewnym momencie wybuchła panika. Mijana przez nich osoba rzuciła się do ucieczki na widok plamy ruchomego koloru, wrzeszcząc: „Zjawieniec! Zjawieniec!”. Było to jednak świeże graffiti ociekające jeszcze tuszem. Kobieta roześmiała się zawstydzona.

Zawyły syreny. Aerostat przepłynął nad Kolektywem jak ryba i sypnął bombami. Mimo że dokoła z hukiem waliły się ściany, ludzie na ulicach spojrzeli ku niebu bardziej z rezygnacją niż ze strachem.

W dziedzinie konfekcji panowała wielka różnorodność, ostatni wykwit spauperyzowanego dandyzmu.

„Co to jest za miasto?” - pomyślał Cutter. „Nie mogę uwierzyć, że tutaj jestem. Nie mogę uwierzyć, że wróciłem. Że wróciliśmy”.

Spojrzał na Judasza. Somaturg był zdruzgotany. Na jego twarzy malowała się głęboka rozpacz. „Czy tak wygląda nasze zwycięstwo?” Taką myśl wyczytał z jego miny Cutter.

W ostatnich dniach podróży, blisko miasta, emisariusze Żelaznej Rady spotkali dziesiątki uchodźców, biednych i niebiednych, z ubogich i z bogatszych dzielnic. Tam, na otwartej przestrzeni, wszyscy byli bezdomnymi tułaczami.

- Za dużo rzezi - wyjaśnił im jeden z uciekinierów, sądząc, że ma do czynienia z traperami.

- To już nie to samo co na początku - powiedziała pewna kobieta z dzieckiem na ręku. - Zostałabym, bo było ciężko, ale nastroje były dobre. Ludzie uwolnieni z więzień, fabryk kar. A potem wiadomość, że Smołoujście wpadło w ręce wroga. Skończyła się żywność i zanim się obejrzelśmy, jedliśmy szczury. Wiedziałam, że czas uciekać.

Przeżaszony sklepikarz z Sheck twierdził, że Kolektyw spędził w jedno miejsce wszystkich bogatych mieszkających na południe od Aspic, zarekwirował ich domy, mężczyzn rozstrzelał, kobiety zgwałcił i też rozstrzelał, a dzieci trzymał jako niewolników.

- Wyniosłem się stamtąd - powiedział. - Co będzie, jeśli wygrają? Jeśli zabiją burmistrza Triestiego, tak jak zabili Stem-Fulcher? Wybieram się do Cobsea. Tam doceniają ludzi przedsiębiorczych.

Szli ulicami, które Cutter znał, ale odmienionymi przez pociski moździerzowe,

proporczyki nowych frakcji, plakaty głoszące idiotyczne teorie, nowe religie, nowe rzeczy, nowe modele życia, łuszczące się i podarte. Buntowniczość i wigor zniknęły z ulic, ale ich echo nadal dało się wyczuć w samych budynkach: palimpsesty historii, epoki, wojny, inne rewolty wpisane w ich kamienie.

Szesnaścioro plenarystów należało do rady delegatów. Pięcioro udało się znaleźć. Wytrzeszczyli oczy. Z płaczem padli przybyszom w ramiona.

- Nie wierzę, nie wierzę!

Wyściskali Judasza za jego wielki wyczyn, za znalezienie Żelaznej Rady, a Cuttera i Elsie za znalezienie Judasza i sprowadzenie go z powrotem. Pozdrowili Drogona. Judasz powiedział im, że jest z nimi Qurabin, którego określił jako renegata z Tesh. Rozejrzeli się dokoła z zakłopotanymi minami i pomachali niewidocznemu gościowi.

A potem prze-tworzeni. Z Żelaznej Rady.

Plenaryści z Kolektywu uścisnęli jednemu prze-tworzonemu dłoń, a drugiemu ogoniastą kończynę, pełni podziwu i respektu wypowiadali wyrazy solidarności.

- Dziesiątki lat - szepnął jeden z nich, przytulając do piersi Rahula, który z nieoczekiwaną delikatnością odwzajemnił ten gest za pomocą niższych, gadzich kończyn. - Wróciłeś. Gdzie byłeś, chaver? Bogowie! Czekaliśmy.

Tyle pytań cisnęło się na usta. „Co się stało? Gdzie jesteście? Jak żyjecie? Tęskniliście za nami?” Te i inne pytania wisiały w powietrzu w niewypowiedzianej formie. Kiedy ktoś nareszcie się odezwał, zapytał:

- Dlaczego wróciliście?

Cutter znał niektórych delegatów: starą kaktuskę Spuchniętą Powiekę z frakcji Zakazanych, Terrimera, którego afiliacji nie pamiętał, i Curdina.

Curdin, szef Rozszalałych Renegatów, został prze-tworzony.

Modyfikacje te podlegały zmiennym kaprysom mody. Cutter widział już wcześniej ten styl, nazywany potocznie pantomimicznymi końmi. Z Curdina zrobiono czworonoga. Powyżej tyłka odchodził poziomo ludzki tułów zakończony dodatkową parą nóg zgiętych w talii pod kątem prostym. W Curdina wszyto innego człowieka.

- Uwolnili mnie, kiedy to się zaczęło - opowiadał Curdin pozbawionym emocji tonem.

- Curdin - powiedział Judasz. - Curdin, co to wszystko znaczy? Co się tutaj dzieje? Czy to jest Kolektyw?

- Był - odparł Curdin. - Był.

- Dlaczego Rada wraca?

- Bo nas namierzili - wyjaśnił Judasz. - Nowe Crobuzon dotarło do nas przez Cieśninę Ognistej Wody. Od lat chcieli nas zniszczyć. Ścigają nas przez kakotopiczną płamę. Rada ma jeszcze kawałek drogi do miasta, ale nadciąga. Przybyliśmy was zawiadomić i zobaczyć...

- Jesteście pewni, że dalej was tropią? Przez płamę? Jak wam się udało przejechać przez Krainę Tysiąca Pląg?

- Nie udało nam się ich zgubić. Na pewno mają spore straty, ale nie zatrzymali się.

Chociaż Parlament nie wierzy, że Rada wraca, wysłani przez niego zabójcy siedzą nam na karku.

- Ale dlaczego jesteście tutaj?

- Oczywiście ze względu na was. Na tyłek Jabbera, Curdin, wiedziałem, że coś się dzieje, jak wyjeżdżałem, a kiedy powiedzieliśmy o tym Radzie, uznali, że czas wracać. Wziąć w tym udział.

„Przecież ty byłeś przeciwko temu” - pomyślał Cutter, który poczuł się dziwnie.

- Wracamy. Przystąpimy do Kolektywu.

Radość na twarzach plenarystów, ale Cutter dałby sobie głowę uciąć, że ich miny zdradzały również pewne wątpliwości.

- Nie ma już Kolektywu - stwierdził Curdin.

- Zatkaj gębę! - rzucili się na niego inni.

- Przestań pieprzyć!

Nawet inni Renegaci sprawiali wrażenie zaszokowanych, ale Curdin stanął na palcach wszystkich czterech nóg i krzyknął:

- Wszyscy o tym wiemy! Wytrzymamy najwyżej kilka tygodni. Jesteśmy odcięci.

Zajmują Zakole Smogu, a Howl Barrow zapewne już jest stracone. Z komitetu została mniej niż jedna piąta... połowa z reszty nie wie, czego chce, albo planuje zawrzeć pokój z burmistrzem, tak jakby Parlament był tym w tej chwili zainteresowany. Już po nas. Teraz już tylko wegetujemy. I teraz ty chcesz w to wciągnąć Żelazną Radę? Chcesz ją zniszczyć?

- Nie spodoba ci się to, co mam do powiedzenia, chaver - stwierdziła drżącym głosem młoda Renegatka.

- Ta sprawa nie ma nic wspólnego z tym, co mi zrobili...

- Owszem, ma. Zrobili ci coś strasznego i wpadłeś w rozpacz. Nie mówię, że zabrałabym się za to inaczej i nie mówię, że na pewno wygramy, ale mówię, że nie pozwolimy ci odtrąbić porażki. Musisz walczyć, Curdin. Razem z nami.

- Zaczekajcie. - Świadomość, że jego plany się wałą, na chwilę odebrała Judaszowi głos. - Posłuchajcie. Kolektyw, sytuacja polityczna... to nie są powody, dla których wróciliśmy. Tu chodzi o coś znacznie ważniejszego. Posłuchajcie. Nowemu Crobuzon grozi zagłada. Słyszeliśmy, posłuchajcie mnie, proszę, o pewnych symptomach, o zjawieniach. Dalej się pojawiają, prawda?

- Tak, ale są coraz mniejsze...

- Tak, z tego samego powodu, dla którego wokół przedmiotu wpadającego do wody nie ma kropelek. Bo coś jest całkiem blisko. Tesh nie zamierza zawrzeć pokoju. Nawet jeśli negocjują z wami, z Parlamentem albo jedno i drugie... nie chcą pokoju, tylko szykują nam koniec. Zjawieńcy nie są ich bronią. Prawdziwe niebezpieczeństwo wygląda dużo bardziej niewinnie: chodzi o spirale.

Kiedy nareszcie zrozumieli, uznali, że zwariował. Ale nie na długo.

- Myślicie, że przyjechaliśmy tutaj dla kaprysu? - grzmiał Cutter. - Macie pojęcie, ile nas to kosztowało? Macie pojęcie, przed czym chcemy was ostrzec? Spirale ściągną na was zagładę. Na Parlament, Kolektyw i wszystko.

Uwierzyli mu, ale Curdin parsknął śmiechem, kiedy Judasz poprosił o pomoc.

- Judasz, co ty sobie wyobrażasz? Nie mamy wojska. To znaczy mamy, ale kto to jest „my”? Nie mam władzy nad siłami Kolektywu. Jeśli spróbuję im wyjaśnić, co trzeba zrobić, uznają, że to jest jakiś wredny postępek Renegata, który chce przejąć kontrolę nad Kolektywem. A może chcesz konkretnie Renegatów? - Spojrzał na członków swojej frakcji. - Trochę ich zostało. Wolni strzelcy z Kirriko Street są nasi, ale bogowie raczą wiedzieć, jak się z nimi skontaktować. Reszta jest na froncie, na barykadach. Co, twoim zdaniem, powinienem zrobić? Myślisz, że zwołamy zebranie delegatów i wyjaśnimy sytuację? Wszystko się sypie, każda dzielnica walczy osobno. Musimy odeprzeć milicję.

- Curdin, jeśli tego nie załatwimy, to w ogóle nie będzie miasta, już nie mówiąc o Kolektywie.

- Rozumiem. - Prze-tworzony miał czerwone oczy, jakby ktoś sypnął mu w nie piaskiem. Był ciężko pokancerowany i słał się na nogach. - Co mam zrobić?

- Trzeba zawrzeć rozejm, żeby miasto przeżyło.

- Zrozumiałem. Judasz, ale co mam konkretnie zrobić?

- Na pewno jest ktoś, jakiś taumaturg, jakiś raravis...

- Wiem, kto maluje spirale - odezwał się czyjś głos.

- Może jest, ale trzeba by go znaleźć. Judasz, nie patrz tak na mnie. Oczywiście że zrobię, co tylko będę mógł, ale naprawdę nie wiem, do czego mógłbym się przydać. To już koniec, nikt nie wydaje rozkazów.

- Wiem, kto maluje spirale! - Młoda Renegatka nareszcie zdołała zwrócić na siebie uwagę. - Ktoś wyczarowuje. Wiem, kto jest sabotażystą z Tesh.

- Kto?! - spytał Judasz.

- To znaczy znam kogoś, kto go zna. Kiedyś był Renegatem, a w każdym razie prawie był. Znam go z naszych spotkań. Ty też, Curdin. Ori.

- Ori? Ten, który przeszedł do Toro?

- Tak. Chyba dalej jest z Toro. Wszyscy uważają, że to oni zamordowali Stem-Fulcher. Za wiele to nie pomogło. Toro potem zniknął, ale ostatnio znowu go widziano. Może Ori jest z nim. Może go przekona, żeby nam pomógł. Ori mi powiedział, że wie, kto maluje spirale.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Toro stał się psem, głupim, zaszczytnym psem biegającym za swoim panem, którego nienawidził, ale nie potrafił od niego odejść. Tak patrzył na to Ori.

„Udało się nam!” - pomyślał wtedy. Poczucie triumfu minęło mu jednak, zanim wstał świt. Przy całym smutku i rozczarowaniu związanym z odkryciem motywów i manipulacji kobiety noszącej maskę byka był dumny, że mimo swego wyobcowania od ruchu, który przez długi czas uważał za swoją ideologiczną ojczyznę, zabicie burmistrzynie posłużyło za katalizator tych wielkich wydarzeń.

Myślał tak przez kilka godzin, na przekór faktom: buntownicy nie mieli pojęcia, że Stem-Fulcher nie żyje, a kiedy się o tym dowiedzieli, wzbudziło to w nich okrutną satysfakcję, ale nie roznieciło ducha bojowego jeszcze bardziej. W tych pierwszych dniach woli walki im nie brakowało, niezależnie od poczynań torystów. Po kilku godzinach z Kolektywem Ori wiedział, że zamach na burmistrzynie nie miał wpływu na bieg wydarzeń.

Ori-Toro naciskał hełmem na świat, otwierał w nim ranę i przepychał się na drugą stronę. Odległości przestały dla niego istnieć. Kursował między Kolektywem i Parlamentem, nic sobie nie robiąc z pułapek i przeszkód. Jak pies podązał za figurantem. Tropił Spiral Jacobsa.

No dobra, uznał, egzekucja burmistrzynie stanie się elementem historii ruchu powstańczego. Czyn, owszem, mało szlachetny, ale wyzwalający, impuls, który przyspieszy bieg dziejów. Zwycięstwo Kolektywu było tylko kwestią czasu. Dzielnice zewnętrzne nie utrzymają się długo. W Kolektywie większość osiągną wywrotowcy i zjednoczonymi siłami uda się pokonać Parlament.

Milicja wprowadziła zaostrzone kontrole na tych obszarach Nowego Crobuzon, które miała w swoich rękach. Mieszkańcy urządzali solidarnościowe zamieszki, w niektórych miejscach próbowali przyłączyć się do Kolektywu, ale bez powodzenia. Ori odczekał swoje, po czym niby tumor wyrosła w nim świadomość, że zamordowanie burmistrzynie nic nie dało.

Jako Toro Ori poruszał się w ciemnościach między porami w rzeczywistości, wyskakiwał pośród wieczornej ciszy w Mog Hill, niezauważony, za plecami zwiedzających. Mieszkańcy Chnum i Mafaton wiwatowali jak na pokazie fajerwerków, widząc oleiste wykwity wybuchów czy antyświatlny blask czarodziejskiego ognia parlamentarnych taumaturgów, dziecinnymi okrzykami witali ogniki krzesane przez chałupniczych zaklinaczy z Kolektywu.

„Mógłbym połowę z was pozabijać, za moich braci i siostry, za moich zmarłych” - pomyślał Ori, ale tego nie zrobił.

Przez wiele kolejnych wieczorów czekał w magazynie w Kelltree, ale nie zjawiał się żaden z jego towarzyszy. Był pewien, że Baron nie skorzystał z szansy ucieczki. Nikt nie przyszedł na miejsce spotkań.

Ori płacił właścicielce wynajmowanego pokoju wekslami, które ochoczo przyjmowała. W granicach Kolektywu panowała atmosfera braterstwa. Ori siedział z właścicielką wieczorami i słuchał odgłosów walk. Krążyły słuchy, że Parlament po raz pierwszy od dwudziestu lat używa wojennych konstruktów.

Ori trzymał głowę byka pod łóżkiem. Wkładał hełm tylko na nocne wędrówki, nie wiedział dlaczego. Któregoś razu otwierał sobie rogami drogę przez niebezpieczne ulice - obok kolektywistycznych strażników, na jednych posterunkach pijanych, na innych trzeźwych i czujnych - do garkuchni. Bezdomni byli pogrążeni w dyskusji.

Nie była to pierwsza wizyta Oriego w przytułku od czasu zamachu. Dach zniknął, zastąpiony odchodami niszczących mury robaków, którymi Parlament posłużył się jako bronią. Kuchnia była pusta. Wszędzie wały się gnijące strzępy wywrotowej literatury, która dawno wyszła z ukrycia. Koce obrastały pleśnią.

Toro mógłby walczyć po stronie Kolektywu. Toro mógłby stać na barykadach, krążyć ulicami między odartymi z liści przez pociski drzewami i zbryzganą krwią milicją.

Ori nie wziął na siebie tej roli. Zawładnął nim letarg. Poczucie, że zawiódł na całej linii, paraliżowało go. W pierwszych dniach próbował żyć w Kolektywie, budował posterunki, chodził na publiczne wykłady i wystawy sztuki, których w tym okresie było wiele: fasada, za którą kryło się dręczące pytanie: „Co ja właściwie zrobiłem, no co?”. Nie umiał sobie na nie odpowiedzieć.

Zobaczył zjawieńca w Syriac. Gruba, zamknięta księga w plamiastych antykolorach, obracająca się w powietrzu na pajęczych niciach siły. Wsysała światło i cień, zabiła dwóch przechodniów i rozplynęła się, zostawiając po sobie nikły bibliofantom, który trwał tam jeszcze przez jeden dzień. Ori nie czuł strachu. Obserwował go, jego ruchy, pozycję na tle pokrytej graffiti ściany. Pośród świństw, haseł, absurdałnych grepsów i małych pieczęci zobaczył znajome spirale.

„Muszę znaleźć Spiral Jacobsa”.

Toro potrafił tego dokonać. Oczy Toro umiały rozpoznać, które z namalowanych helisoidalnych znaków są nowe. Zawierały taumaturgię, toteż nie można ich było zetrzeć. W masce Toro Ori tropił Spiral Jacobsa, idąc od starszych do nowszych znaków przez wielką, zawikłaną spiralę Nowego Crobuzon.

Jacobs bez problemu poruszał się między miastem Kolektywu i miastem Parlamentu, podobnie jak Toro. Spirala nawarstwiający się pętlami zmierzała w stronę centrum. Toro wędrował nocami, w płaszczu z cienia przyciąganego przez hełm. Dwa tygodnie po narodzinach Kolektywu, pośród zgietku ludowych komitetów obrony i alokacji, Ori - niewidzialny w swojej byczej głowie - przeszedł przez Syriac Well i znalazł Spiral Jacobsa.

Starzec człapał z paletą sprzętu grafficiarskiego w garści. Toro szedł za nim uliczką pograżoną w cieniu betonu. Stary włóczęga zaczął malować kolejną spiralę.

Nie podniósł wzroku, tylko mruknął coś w rodzaju: „A, witaj chłopcze, kiedyś podwójny, teraz raravis? Czyli wymknąłeś się? Świetnie, chłopcze”.

Staumaturgizowany metal hełmu nie zmylił go - Spiral Jacobs wiedział, z kim rozmawia.

- To było fiasko - powiedział Ori, nienawidząc się za płaczliwy ton. - Nie udało się. Wyszło inaczej, niż zaplanowaliśmy.

- Wyszło dokładnie tak, jak trzeba.

- Słucham?

- Wyszło dokładnie tak, jak trzeba.

Ori pomyślał, że znowu odezwał się obłąd starca, że jego słowa nie mają sensu, ale mimo to ogarnął go strach. Strach, który narastał podczas publicznych spotkań w Murkside, Echomire i Dog Fenn.

W byczej masce Ori znowu znalazł Spiral Jacobsa. Zajęło mu to dwa dni.

- Co miałeś na myśli, kiedy powiedziałaś, że wyszło dokładnie tak, jak trzeba? - spytał. Znajdowali się w Sheck, pod ceglanym gmachem stacji Outer Crow, gdzie doprowadziły Oriego zawijasy farby.

Prawda oczywiście go przeraziła, ale - co gorsza - nie był nią zaskoczony.

- Wyobrażasz sobie, że byłeś jedyny, chłopcze? - powiedział Spiral Jacobs. - Wszędzie siałem sugestie. U ciebie padły na najpodatniejszy grunt. Brawo, chłopcze.

- Tego chciałeś? - spytał Ori gardłowym głosem Toro, ale uświadomił sobie, że zna odpowiedź. Chaos. Spiral Jacobs pragnął chaosu. - Kim jesteś? Dlaczego stworzyłeś Kolektyw?

Jacobs rzucił mu spojrzenie pełne pogardy, którą Ori rozpoznał dopiero po kilku chwilach.

- Idź sobie, chłopcze - odparł włóczęga. - Czegoś takiego się nie stwarza. Nie było mnie przy tym. Zajmowałem się innymi sprawami. A to, co ty zrobiłeś... hocki-klocki. Idź.

Ori poczuł się zdezorientowany, a potem upokorzony. Wszystko, co robili toryści, było sprawą uboczną. Toro, Baron, jego towarzysze - nie miał pojęcia, do czego zostali wykorzystani, ale wiedział, że tak właśnie było. Zakotłowało mu się w żołądku. Nie mógł oddychać.

Bez gniewu, z nieoczekiwanym wewnętrznym spokojem, uzmysłowił sobie, że musi zabić Jacobsa. Z zemsty, dla obrony miasta - tego nie był pewien. Podszedł blisko. Uniósł kuszę. Starzec ani drgnął. Ori wycelował mu w oko. Starzec ani drgnął.

Ori zwolnił bełt. Rozległ się świt powietrza. Spiral Jacobs nie poruszył się, patrzył na Oriego dwoma nieuszkodzonymi oczami. Bełt utkwiał w murze. Ori sięgnął po rewolwer. Kolejne wystrzelwane kule uderzały w ziemię albo w ścianę. Starca się nie imały. Ori rzucił pistolet i zamachnął się pięścią, ale chociaż Spiral Jacobs nie zmienił położenia, cios trafił w powietrze.

Oriego ogarnęła wściekłość. Jak rozjuszony byk zaatakował starca, który doprowadził go do Toro, który mu pomógł, który uczynił z niego zabójcę. Z całą siłą swego gniewu i magicznych mocy hełmu rzucił się na Jacobsa, dźgał go rogami - starzec ani drgnął.

Ori nie był w stanie dotknąć Spiral Jacobsa. Spróbował jeszcze raz, ale z identycznym skutkiem.

Jego gniew przerodził się w rozpacz. Nawet Kolektywiści, nawet oddalona o kilometr milicja, która przywykła do odgłosów walk, zatrzymała się, usłyszawszy skowyt Oriego. Nie był w stanie dotknąć starca.

Spiral Jacobs był pijany. Był włóczęgą. Ale także kimś innym.

W końcu oddalił się powolnym, człapiącym krokiem. Toro nie pozostało nic innego, jak iść za nim niby pies. Jacobs zmierzał w stronę centrum Nowego Crobuzon, jego celem były arkady Dworca Perdido, i Toro szedł za nim. Ori mimo woli zadawał pytania, na które Spiral

Jacobs nie odpowiadał.

- Co ty zrobiłeś?
- Dlaczego ja?
- Co z innymi? Co mieli zrobić? Jaki jest prawdziwy plan?
- Co ty robisz?

Kolektyw. To było przetworzenie.

Z początku, w wirze frustracji, przemocy, zaskoczenia, przypadków, zemst, altruistycznych i niskich pobudek, konieczności, chaosu i historycznych przełomów, w pierwszych chwilach istnienia crobuzońskiego Kolektywu niektórzy odmawiali współpracy z prze-tworzonymi. Pod naciskiem konieczności większość zmieniła zdanie.

Wszystko odbywało się w zawrotnym tempie. Wydarzenia, które sami uruchomili, wprawiły ludzi w osłupienie. Milicja porzuciła swoje posterunki, wieże strażnicze, przyczółki władzy na terytorium Kolektywu. Ruch na podniebnych torach ustał. Milicyjne wieże plądrowano, dezertery wyciągali z kryjówek broń i świat zaczął przechodzić metamorfozę. Podczas przemówienia do strajkujących z odlewni Turgisadi agitator z Plenum machnął do prze-tworzonych robotników, żeby przyłączyli się do zgromadzonych kolegów, i krzyknął:

- Przetwarzamy to miasto! A kto zna się na tym lepiej od was?

Ori wiedział, że jego wywrotowi znajomi, jego dawni towarzysze broni, przyłączą się do zbuntowanego ogółu. Mógł im pomóc. Jako Toro mógł być bronią Kolektywu.

Ale nie umiał się na to zdobyć. Był załamany. Jedyne, co potrafił, to znaleźć Spirala Jacobsa i iść za nim przez wiele nocy z rzędu z poczuciem, że nie będzie na powrót sobą, dopóki z nim nie porozmawia i nie dowie się, w czym uczestniczył.

- Gdzie są inni? Do czego nas wykorzystalesz? Po co zabiliśmy burmistrzynie?

Jacobs milczał, szedł dalej, jakby niczego nie usłyszał. „Do czego potrzebny mu jest chaos?”

Oriemu zawsze udawało się go znaleźć. Spirale żarzyły się w oczach Toro. Ori był cieniem samego siebie.

- Martwię się o ciebie, złotko - powiedziała gospodyni. - Gołym okiem widać, że słabujesz. Czy ty coś jadasz? Wysypiasz się?

Nie mógł mówić, całymi dniami leżał w łóżku, zjadał to, co mu przynosiła, aż w końcu stres stawał się nie do wytrzymania Ori wstawał, by jako Toro znowu znaleźć Spirala Jacobsa. Do tego sprowadzało się jego życie: nocne wędrówki śladami starego człowieka.

Śledził go w masce byka, przeskakując z normalnej rzeczywistości do rzeczywistości Toro. Podczas jednej z tych smutnych wypraw zauważył coś dziwnego w sposobie poruszania się starca. Zdjął hełm. Spirala Jacobs nie zwrócił na to uwagi.

Ori śledził go bez pomocy taumaturgii Toro, a mimo to bez problemu przechodzili z obszarów kontrolowanych przez Kolektyw do znajdujących się w rękach Parlamentu. Pod latarniami gazowymi, w krzykliwym świetle elyktrobarometrycznych rurek, Spirala Jacobs krokiem starca podążał ulicami z zafarbowanej nocą cegły, czarnego betonu, ciemnodrzewu i żelaza. Ori włókł się za nim niby pozbawiony entuzjazmu pielgrzym.

Jacobs rozpoczynał swoje peregrynacje na przykład w Aspic, na granicy Kolektywu, mijał nocnych strażników, skręcał pod arkadę z plecionki. Czasem przemykał brudną od sadzy uliczką między tyłami budynków, w cieniu drzew i wież obiektów sakralnych, a potem

zakręcająca trasa nagle wyrzucała Jacobsa i Oriego na ulice Pincod. Dwie minuty marszu, ale ponad sześć kilometrów od punktu startowego.

Ori chodził za Jacobsem, który marszczył i wykrzywił geografę miasta. Jednym krokiem przedostawał się do dzielnicy, która nie graniczyła z poprzednią. Później Ori próbował sam pokonać tę trasę, ale oczywiście nie potrafił.

Z Flyside do Creekside, z Pól Salacusa na St Jabber's Mound - Spiral Jacobs komponował miasto wedle swoich potrzeb. Kładł ten park obok tamtego kompleksu budynków, rozkazywał jakiejś ulicy mieszkaniowej, na ten moment zawsze pustej, więc się przez oddalone od siebie dzielnice. Przekraczał granice zwaśnionych obszarów, nie widząc barykad ani milicji. Ori szedł za nim i błagał go, aby odpowiedział mu na pytania. Czasem w napadzie wściekłości strzelał do starca albo dźgał go nożem, ale zawsze trafiał w powietrze.

„Jest ze mną kiepsko”. Ori miał tę świadomość. „Wpadłem w pułapkę”. Coś niszczyło go powoli od środka: jego myśli kręciły się w kółko, czuł się chory, zjadała go rozpacz. Pośród tych zawirowań, tego przetworzenia miasta, Ori, który od lat tego pragnął, płakał, całymi dniami leżał w łóżku. „Coś jest ze mną nie tak”.

Był w stanie tylko towarzyszyć Jacobsonowi w jego misjach albo siedzieć w kącie i płakać. Przygniatał go jakiś ciężar, a tymczasem sytuacja radykalnie się zmieniła, pierwsze dni - entuzjazmu, budowy, sporów i ulicznych spotkań - stały się dniami cierpień, strat, obłączenia, zgrozy, przecucia kłęski.

Kolektywiści szykowali się do ostatecznej rozgrywki. Ori leżał w łóżku albo wędrował ogarniętymi przemocą ulicami i widział, że ekspansja terytorialna Kolektywu zatrzymała się, a potem zmieniła wektor. Widział, że milicja odzyskuje teren. Każdej nocy padała kolejna barykada. Milicja odbiła piece hutnicze przy Pigsty Street, stajnie przy Helianthus Avenue, arkady w dzielnicy Sunter. Kolektyw się kurczył. Ori-Toro kisił się w swoim pokoju.

„Powiniennem komuś powiedzieć” - pomyślał. „Spiral Jacobs przyniesie nam nieszczęście”. Ale trwał w bezczynności.

Czy miasto było pełne porzuconych pomiotów Jacobsa? Zagubionych ludzi, którzy nie byli w stanie dokończyć swego zadania, którzy przerwali pracę dla Spiral Jacobsa, zanim się dowiedzieli, do czego byli wykorzystywani? Czy wykonać zadanie do końca było lepiej czy gorzej?

- Cicho, cicho - powiedział do niego Spiral Jacobs podczas jednego z nocnych spacerów.

Malunki starca zrobiły się bardziej ezoteryczne i zawile. Ori błagał go płaczącym tonem kompletnie zagubionego człowieka:

- Do czego mnie użyłeś, co ty robisz, co ty zrobiłeś?

- Cicho, cicho - ton głosu Jacobsa nie był nieprzyjazny. - Robota już prawie skończona.

Potrzebowaliśmy jakiegoś widowiska, które odwróciłoby uwagę ludzi. To już nie potrwa długo.

W domu czekali na Oriego goście: Madeleina di Farja, Curdin, którego nie widział od wielu miesięcy, prze-tworzony i załamany, jak również grupa nieznanomych.

- Musimy z tobą porozmawiać - powiedziała Madeleina. - Potrzebujemy twojej pomocy.

Musimy znaleźć twojego kolegę Jacobsa. Musimy go powstrzymać.

Ori rozplakał się, bo kamień spadł mu z serca: ktoś inny posiadał tę wiedzę niezależnie od niego, podjęte zostaną jakieś kroki i nie będzie musiał robić tego sam. Był taki zmęczony. Widząc tych ludzi, uzbrojonych, zdeterminowanych, bez śladu paniki, która w tych dniach malowała się na wszystkich twarzach, poczuł, że pragnie się do nich przyłączyć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Ekipa zaopatrzeniowa wyruszyła z niebezpieczną misją ulicami pomiędzy Aspic i ogrodami Sobek Croix. Park był strefą śmierci, zamieszkaną przez uciekinierów z więzień i renegatów w różnych frakcji, niekontrolowaną ani przez Kolektyw, ani przez Parlament. Kolektywiści potrzebowali drewna na opał, dlatego siekierami i piłami ogołocili drzewa z gałęzi. Powrót z ładunkiem drewna, pod ostrzałem milicji, kosztował wiele ofiar. Koszeni kulami ludzie padali na parkową trawę, na kocie łby ulic, na chodniki.

Wciąż podejmowano decyzje, rozsypała się natomiast spójna strategia, dzięki której Kolektyw funkcjonował jako podmiot polityczny, jako alternatywne państwo-miasto. Niektóre oddziały były dowodzone z inteligentną taktyką wojskową, ale brakowało koordynacji między poszczególnymi działaniami.

Wieża milicyjna we Flyside dawno została splądrowana, ludzie zabrali stamtąd broń, taumaturgiczne mikstury i tajne mapy. Od jej szpica ciągnęły się naprężone liny nadziemnej kolejki: na południe, do najbardziej oddalonej od centrum wieży milicyjnej w mieście, w dzielnicy Barrackham, na północ, ponad Szklarnią i wijącą się Smołą do Szpikulca dżgającego niebo obok Dworca Perdido.

W tych brutalnych ostatnich dniach Kolektywiści z Flyside napełnili dwie kapsuły ładunkami wybuchowymi, chemicznymi i na bazie czarnego prochu. Krótco przed południem puścili po jednej z każdym kierunkiem, z zablokowanymi przepustnicami. Małe pojazdy z mosiężnych rur, szkła i drewna błyskawicznie osiągnęły ogromną prędkość i ze świstem mknęły nad miastem.

Wyrmeny rozpierchły się zaskoczone widokiem lin ugiętych pod ciężarem kapsuł. Odleciały, wykrzykując wulgarnie.

Dworzec Perdido stanowił centralny punkt miasta, jeszcze bardziej niż Parlament, czarna jak noc twierdza opuszczona przez urzędników - co za paradoks: „parlamentarny” rząd zawiesił Parlament. Burmistrz podejmował decyzje ze Szpikulca.

Kiedy kapsuła wysłana na północ śmigła nad Riverskin, milicja wystrzeliła w jej stronę granaty. Wylądowały za blisko, eksplodowały w hukiem i obłokami pyłu w Sheck lub na nadrzecznych ulicach w pobliżu Petty Coil. Kanonierzy szybko jednak skorygowali nastawy. Kapsuła wywołała zgrzyt metalowej liny kolejowej, gdy dwa pociski rozbiły w niej okna i wybuchły.

Kapsuła rozbłysła apokaliptyczną kulą ognia i zleciała z nieba niby kometa, ciągnąc za sobą ogon dymu. Po drodze rozpadła się nad domami sklepikarzy i szeregowkami Sheck, zalewając je ogniem i roztopionym metalem.

Kapsuła zmierzająca na południe miała pod sobą eleganckie ulice, a potem barykadę oddzielającą Aspic i Barrackham. Po obu stronach tego klina z gruzu i cegły milicjanci i Kolektywiści zadarli głowy. Kapsuła frunęła nad zaroślami - niżej, bo lina w tym miejscu opadała - i zbliżała się do wieży w Barrackham.

Jedna, dwie, trzy eksplozje. Z kopuły wieży milicyjnej wystrzeliły brudne płomienie. Beton wybulił się i zaczął pękać, zjadany od środka przez ogień. Dolne kondygnacje zapadły się. Kopuła wieży spłynęła w dół piroklastycznym strumieniem i milicyjne kapsuły posypały się na dół jak zabawki.

Urwana lina kolejowa smagnęła w dół jak zabójczy pejcz, tnąc przez trzy kilometry miasta. Wiła się po dachach, złobiła wyrwy, niosąc ze sobą śmierć i zniszczenie. Zwisiała od wieży milicyjnej we Flyside i zakręcała ku Aspic, gdzie jej mknąca masa rozrywała budynki.

Spektakularny triumf, ale Kolektywiści wiedzieli, że nie odwróci losów wojny.

Większość warsztatów koło Mostu Rdzy była zamknięta, pracownicy i właściciele schowali się w domach albo pilnowali granic Kolektywu. Część małych fabryk kontynuowała produkcję, chociaż odbiorcy towaru nie zawsze mieli z czego zapłacić. Do jednej z takich fabryk udał się Cutter w dniu, w którym runęła wieża milicyjna.

Na starej ulicy szklarzy piece wygasły, ale za pomocą zgromadzonego funduszu pieniężnego i apeli do politycznego sumienia Cutter przekonał wywrotową załogę Ramuno Hotworks do ponownego rozpalenia ognia i przyniesienia z magazynu potażu, paproci, wapna do czyszczenia i pucowania. Cutter dał im szkatułę z okrągłym lusterkiem Judasza, które rozbił. W końcu powiedzieli, że zrobią dla niego zwierciadło z kryształowego szkła. Poszedł do kwatery Oriego, żeby tam poczekać na niego i na Judasza.

Jeśli Cutter spotkał wcześniej Oriego, co w niewielkim świątku przedkolektywistycznych wywrotowców było całkiem niewykluczone, to nie pamiętał tego. Madeleina di Farja opisała Oriego i Cutter wyobraził sobie gniewnego, fanatycznego, wojowniczego chłopaka krytykującego swoich towarzyszy za rzekomą potulność. Obraz ten okazał się bardzo daleki od prawdy.

Ori był człowiekiem przetrąconym. Cutter nie do końca wiedział, co się działo w jego duszy, ale głęboko mu współczuł. Ori zapadł w niebezpieczny letarg, toteż Cutter, Judasz i Madeleina musieli do ocucić.

- Nadchodzi, nadchodzi! - ponaglał Qurabin. - Jest coraz bliżej, musimy się pospieszyć.

Mnich mówił coraz bardziej gorączkowo: umysł, który emitował te słowa, zdawał się z każdym dniem odrobinę zanikać. Zadał Momentowi Zakrytego wiele pytań, po każdym z nich tracąc część siebie.

Na tyle, na ile było to możliwe w jego niknącym stanie, Qurabin niepokoił się. Każda mijana spirala budziła w nim strach: czuł, że nadchodzi niosący ze sobą hekatombę wróg, duch masakry, masomordysta, demon zagłady, jak nazywał to Qurabin. Mówił, że nie zostało już wiele czasu, czuł to. Jego rozgorączkowanie i strach udzieliły się Cutterowi.

Krąg małych zjawieńców osaczył miasto. Po drodze do domu Oriego Cutter zobaczył jakieś zgromadzenie ulicę dalej. Nagle Qurabin pociągnął go w tamtą stronę, chwytając zakrytymi rękami i zawodząc. Kiedy dotarli na miejsce, zobaczyli ostatnie chwile emanacji podobnej do psa. Kłębiła się skomplikowanymi wzorami, a znikając, zdawała się zasysać kolory i światło. Stojąca wokół grupka Kolektywistów pokazywała palcami i wrzeszczała, ale nikt z nich nie umarł.

Qurabin jęknął.

- To jest to, to jest to - powiedział, kiedy świat zamrugał i to coś zniknęło. - Koniec jest bliski.

Cutter nie był pewien, czy powinien uwierzyć, że Ori zabił burmistrzynie Stem-Fulcher. Wciąż wydawało mu się to nieprawdopodobne. Trudno mu było sobie wyobrazić, że ta dostojna, siwowłosa kobieta, którą znał z heliotypów, plakatów i nielicznych wystąpień publicznych, nie żyje. Nie umiał sobie z tym poradzić. Siedział w pokoju Oriego i czekał.

Judasz był z Orim, a raczej z Toro. Trzymając się go, przeniknął przez skórę świata do swojego starego warsztatu w Brock Marsh.

- Po co tam idziesz? - spytał go wcześniej Cutter. - Załatwię lusterko, potrzebujemy go dla Rady, więc Czego tam szukasz? Na pewno zapieczętowali twój warsztat.

- Też tak myślę. I masz rację, lusterko jest potrzebne, ale chcę jeszcze paru rzeczy, które

mogą się przydać. Mam plan.

Reszta poszła do arsenału. Prze-tworzeni z Żelaznej Rady przygotowywali się do obrony barykad Kolektywu. „Co oni myślą o tej obcej dla nich wojnie?” - zastanawiał się Cutter.

Wspominał wędrówkę przez pustkowia i stopy, przez poszarpany krajobraz skalny, setki kilometrów pokonane w niewiarygodnym tempie pod przewodnictwem wędrownego jeźdźca Drogona, który już wcześniej przemierzał te dzikie tereny. W końcu dotarli do miasta wznoszącego się na zachód od delty. Szli przez wymarłe miasta złożone z prymitywnych, niszczących drewnianych bud zamieszkałych tylko przez kurz, odkąd przed laty zostały opuszczone.

- Tak - szepnął Judasz.

To była jego przeszłość, te przyczółki cywilizacji, te resztki płotów, groby oznaczone gałęziami. Niecałe trzydzieści lat temu były to kwitnące, tętniące życiem miejscowości.

Rebelia Żelaznej Rady i ucieczka wiecznego pociągu zadała ostateczny cios Międzykontynentalnemu Koncernowi Kolejowemu Wrightby'ego, od dawna chylącemu się ku upadkowi na skutek korupcji, niekompetencji i nadprodukcji. Naprędce sklecone miasta i wioski, stada bydła i mieszanych gatunków mięsnych, rewolwerowcy i najemnicy, traperzy, ludność tego kundla zrodzonego z pieniędzy i pustkowia - wszystko to w ciągu kilku miesięcy rozplynęło się w niebycie. Domy zostały jak zrzucona skóra węża. Zniknęli kieszonkowcy, złodzieje koni, kurwy.

Żelazna Rada pożerała odległość, mimo że każda czynność związana z układaniem szyn wydawała się zmusna i powolna. Rada musiała przyspieszyć, bo znajdowała się na otwartej przestrzeni, a milicja, która ściagała ich z drugiego końca świata, na pewno z każdym dniem skracała dystans. Absurdalnie okrężna podróż, przez cały kontynent i z powrotem, potworną trasą.

Kiedy światło zaczęło mierzchnąć i gasnąć, przestrzeń w pokoju wypuczyła się i rozerwała w dwóch punktach, z których wyskoczyły rogi. Toro przecisnął się na drugą stronę, ociekając energiami, które były krwią rzeczywistości. Obejmował Judasza, jakby byli kochankami.

Judasz wyswobodził się z uścisku. Kolory odfrunęły od niego i ulotniły się z sykiem, zanim uderzyły w sufit. W ręce trzymał wypełniony czymś worek.

- Masz wszystko, czego chciałeś? - spytał Cutter.

Judasz spojrział na niego. Reszta krwi świata wyparowała.

- Wszystko, co jest potrzebne, żeby to zakończyć - odparł. - Będziemy przygotowani.

Informacja o tym, że Żelazna Rada przyłączyła się do Kolektywu, wyciekła. Pośród niewesołych nastrojów, które ogarnęły ludzi, była to sensacyjna wiadomość.

Podniecone grupy biegały uliczkami w pobliżu dogfeńskiej poczty, rozglądając się za szanownymi gośćmi. Kiedy nareszcie znaleźli Maribet i Rahula, barykada, przy której prze-tworzeni pełnili służbę, stała się czymś w rodzaju wojennej świątyni.

Kolektywiści cierpliwie stali w kolejce, chociaż nad głowami świstały milicyjne kule.

Podchodzili do Radnych i zadawali pytania - spontanicznie wytworzył się zwyczaj, że nie więcej niż trzy na osobę.

- Kiedy dotrze tu Rada?
- Przyjechaliście nam na ratunek?
- Zabierzecie mnie ze sobą?

Solidarność, strach, milenijne mrzonki. Kolejka przerodziła się w uliczne zebranie, pośród spadających bomb odżyły dawne spory między frakcjami.

Na końcu ulicy, po drugiej stronie barykady wartownicy zobaczyli przez peryskopy, że zbliżają się konstrukty wojenne. Nadciągały żołnierskie maszyny z mosiądzu i żelaza, ze szklanymi oczami i przyspawanym uzbrojeniem. Od lat nie widziano tylu konstruktów naraz w jednym miejscu.

Bieżnik ich gąsienic kruszył gruz i szkło zaścielające ulicę. Na czele jechał wielki buldożer z klinowatym pługiem, który za chwilę miał rozwalić barykadę.

Granaty i bomby nie przynosiły efektu. Spanikowani Kolektywiści posłali po taumaturga, żeby powstrzymał to monstrum, ale nie było szans, żeby zdążył. Wiedzieli, że muszą się wycofać. Ta barykada, ta ulica była stracona.

Snajperzy i magicy pojawili się na dachach strefy granicznej, aby zasypać konstrukty i milicję kulami i zaklęciami. Z początku udało im się zadać straty siłom rządowym, ale potem salwy z obrotowej kartaczoznicy ściągnęły część z nich na dół, a reszta spanikowała na widok krwawej miazgi, która została po ich kolegach.

Panika wybuchła również na barykadzie. Kolektywiści bezładnie uciekali przed pędzącymi konstruktami. Rahul i Maribet nie wiedzieli, co mają robić. Przedostali się w stronę drugiej linii umocnień, która nie zapewniała im bezpieczeństwa. Cutter dowiedział się później, jaki był przebieg wydarzeń: dwójka prze-tworzonych galopowała na swoich zwierzęcych nogach to w jedną, to w drugą stronę, ponaglana okrzykami przerażonych Kolektywistów, którzy próbowali im pomóc. Maribet zwichnęła sobie kopyto w leju bombowym. Kiedy z pomocą Rahula gramoliła się z powrotem na nogi, usłyszeli potworny huk i zgrzyt: buldożer zburzył barykadę. Pracujący dla milicji kaktus przeszedł nad tym rumowiskiem i wystrzelił z kuszarpacza w szyję Maribet.

Rahul opowiedział im o tym, kiedy dowlókl się do domu Oriego. Pierwsza śmierć członka Rady w Nowym Crobuzon.

Na całym terytorium Kolektywu zawisły plakaty z apelami, żeby nie uciekać. KAŻDY MĘŻCZYNA, KOBIETA CZY DZIECKO MNIEJ OZNACZA OSŁABIENIE KOLEKTYWU. RAZEM MOŻEMY WYGRAĆ. Nie udało się jednak zatrzymać strumienia uchodźców, którzy przemykali między kordonami, chowając się w podziemnym mieście albo w zniszczonych dzielnicach za Mostem Wielkiego Kalibru.

Większość szukała schronienia w Grain Spiral, Mendican Foothills, a najzuchwalsi zostawali rozbójnikami w Rudewood. Niektórzy z narażeniem życia tworzyli oddziały partyzanckie i zmierali przez chaos przedmieść, mijając opuszczone posterunki milicji w zdziczałych z głodu dzielnicach, które były za mało istotne, aby władze o czymkolwiek informowały mieszkańców. Na zachód od miasta uciekinierzy zaczęli przeszukiwać dawno opuszczone hale i bocznicę towarowe, które kiedyś stanowiły główną bazę MKK. Lokomotywy, wagony i platformy stały i rdzewiały.

W niektórych biurach paliło się światło. Pozostałości spółki Weathera Wrightby'ego nadal wegetowały, koncern wciąż zatrudniał kadłubową załogę złożoną z kilkudziesięciu urzędników i techników. Żył ze spekulacji finansowych, sprzedaży złomu oraz pracy ochroniarzy i najemnej, paramilitarnej straży kolejowej, niewielkiej, ale wiernej korporatystycznej wizji

Wrightby'ego i gardzącej przemocą rasową Nowopiórców. Ludzie ci stacjonowali na terenie rozległego obiektu MKK i czasem przeganiali uciekinierów, szczując ich psami.

Jeśli uchodźcy nie zostali wykryci, kradli narzędzia i wyruszali w drogę do miejsca, które kiedyś stanowiło punkt początkowy kolei Cobsea-Myrshock.

- Rusza się, poniżej, to jest, oni są, Teshi, są - powiedział Qurabin. Głos mnicha przeskakiwał z miejsca w miejsce. Zebrali się wszyscy: Drogon, Elsie, Qurabin, Cutter, Judasz i Toro. Rahul pełnił straż. Oddali pośmiertny hołd Maribet. Qurabin był niespokojny. - Bardzo niedługo coś się wydarzy.

Swoim martwym głosem Ori opowiedział im historię swoich stosunków z tajemniczym włóczęgą: o pieniądzach, o heliotypie Jacka Pół-Pacierza. O pomocy dla Toro.

- Nie mam pojęcia, od kogo wyszły plany - mówił Ori. - Od Jacobsa? Nie, nie, to był plan Toro, wiem o tym, ponieważ był zupełnie inny, niż myślałem. Ale spełnił swój cel. Chociaż Jacobs powiedział, kiedy go spotkałem... Sądzę, że to nie było dla niego zbyt ważne. Miał inne rzeczy na głowie. To, co zrobiliśmy, służyło tylko odwróceniu uwagi.

Obiecali, że zaczekają na Curdina i Madeleinę, licząc na ich pomoc. Przed południem Judasz błagał ich, aby poprosili delegatów o pomoc, ale co oni mogli zrobić? Milicja pożerała ich teren dom po domu. Krążyły pogłoski o strasznych odwetach na Kolektywistach na odzyskanych przez władze ulicach. Curdin odpowiedział Judaszowi, że po prostu nie mają kogo im przydzielić.

Wrócili późno.

- Spieszyliśmy się, ale wcześniej się nie dało. Ciężko było - powiedział Curdin. A do Oriego: - Cześć, Jack.

- Straciliśmy dzisiaj Howl Barrow - powiedziała Madeleina.

Panowała nad emocjami, oboje starali się nie ulegać rozpaczce.

- Heroiczna historia - powiedział Curdin. - Wytrwali dwa dni dłużej, niż powinni. Milicja przeszła przez most Barrow, wszystkie barykady były obstawione i nagle znikąd wyłoniła się Śliczna Brygada. I byli fantastyczni! - krzyknął i zamrugał wilgotnymi powiekami. Na chwilę zapadła cisza i usłyszeli odgłosy ognia artyleryjskiego. - Śmiechu warci? Walczyli jak lwy. W swoich kolorowych ciuszkach ustawili się w szyku bojowym i palili ze wszystkich luf. - Roześmiał się w przypiływie szczerzej radości. - Atakowali dalej, rzucając granatami. Biegli z powiewającymi spódnicami, sama szminka i czarny proch, i dali ostro popalić milicji. Od wielu dni żywili się suchym chlebem i szczurzym mięsem, a walczyli jak gladiatorzy w Shankell. Musieli przeciw nim użyć kartaczownic. Wznosili okrzyki i całowali się. - Znowu mrugnął kilka razy. - Ale nie potrafili odeprzeć wroga. Nuewiści nie żyją. Petron i inni. Milicja przypuściła szturm. Były walki uliczne, ale Howl Barrow jest stracone. Dzisiaj dostałem ostatnią kulę.

Howl Barrow wrzucało do Smoły zapieczętowane szklane kule, które miały Strack Island, a potem Kolektywistyczni flisacy i rzeczni śmieciarze wyławiali je i rozbijali, żeby wyjąć wiadomość.

- Staralem się, Judaszu, daję słowo, mimo że twój plan jest obłąkany. Ale nie mamy nikogo nadliczbowego. Wszyscy bronią Kolektywu. Nie mam do nich pretensji i przyłączę się do nich. Zostało nam nie więcej niż parę tygodni. - Madeleina miała cierpiącą minę, ale nie odezwała się. - Nie mogę ci pomóc, ale coś ci powiem. Kiedy wyjechałeś i ludzie spekulowali, dlaczego to zrobiłeś, ja pomyślałem sobie, że nie jesteś obłąkany, tylko zwyczajnie głupi. Nie

wierzyłem, że znajdziesz Żelazną Radę. Gotów byłem się założyć o wszystkie pieniądze, że Rada nie istnieje, że został po niej zardzewiały pociąg gdzieś na pustkowiach. Pełen kościotrupów. Myliłem się. Ty i wy wszyscy zrobiliście coś, co ja uważałem za niemożliwe. Nie powiem, że Kolektyw powstał dzięki wam, bo to nieprawda, ale wiadomość, że nadjeżdża Żelazna Rada, wiele zmieniła. Chociaż sądziliśmy, że to tylko plotka, że to tylko mit, zrobiło się jakoś inaczej. Może trochę za wcześnie dowiedzieliśmy się o waszym przyjeździe, ale ta wiadomość zrobiła swoje. Tylko że... nie do końca ci ufam. Na rany bogów, Judaszu, nie zrozum mnie źle - nie mówię, że jesteś zdrajcą. Zawsze nam pomagałeś, golemami, pieniędzmi, ale patrzysz na nas od zewnątrz. Jakbyśmy istnieli dla twojej przyjemności. Życzę ci szczęścia. Jeśli masz rację, czego nie wykluczam, to lepiej, żebyś wygrał, ale nie będę walczył u twojego boku. Ja walczę dla Kolektywu. Jeśli ty wygrasz, a Kolektyw przegra, i tak nie będę chciał dalej żyć. - Chociaż to musiała być hiperbola, Cutter wyprężył się wewnątrz z respektem. - Jak planujesz zrealizować swój plan?

Judasz zagryzł wargi.

- Coś będę miał.

- Co?

- Coś. Poza tym jest ktoś, kto wie, co trzeba zrobić. Kto zna się na magii z Tesh.

- Wiem, wiem - odezwał się Qurabin, niespodziewanie i głośno. - Moment, który czczę, powie mi różne rzeczy. Pomoże mi. Mamy do czynienia z magią Teshich. Moment zna bogów, których może wezwać ten konsul.

- Konsul? - zdziwiła się Madeleina.

Kiedy Judasz wyjaśnił jej, że Spiral Jacobs jest ambasadorem Tesh, Curdin prychnął nieprzyjemnym śmiechem.

- Czyli Teshi mają w garści wszystkie nici. - Curdin zbliżył się do Judasza na swoich nieskoordynowanych czterech nogach. - Umrzesz, Judaszu - rzekł z autentycznym smutkiem. - Jeśli masz rację, czeka cię śmierć. Życzę ci szczęścia.

Curdin uściśnął wszystkim dłonie i wyszedł razem z Madeleiną.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Tak wysokie temperatury w środku zimy nie zasługiwały na miano zjawiska „nietypowego”, lecz „sprzecznego z naturą”. Można było odnieść wrażenie, że z wnętrzości podnieconego miasta bucha gorąco. Przyjaciele chodzili razem z Toro.

Przez dwie noce z rzędu wędrowali ulicami za Orim, który uważnie studiował wszystkie graffiti. Z każdą nocą, kiedy nie udało im się znaleźć Spiral Jacobsa, pogłębiała się rozpacz Qurabina. Toro wodził palcem po zawijasach, znajdował jakąś wskazówkę, kiwał głową, a potem bódł rzeczywistość i zniknął, by powrócić po kilku minutach i pokręcić głową: „Nie, ani śladu”.

Raz udało mu się go znaleźć, ale na północy miasta, pośród ciszy Flag Hill, gdzie malował swoje helisy i jak zawsze nie przejmował się Orim. Inni nie mieli możliwości do niego dotrzeć. Ori mógł go wytropić wszędzie, ale sam nie był w stanie nic mu zrobić. Żeby inni mogli go osiągnąć, starzec musiałby wrócić do Dog Fenn.

Dzień po dniu żyli ze świadomością, że potencjalny sprawca zagłady miasta wykonuje swoje zadanie, że nie mają jak go powstrzymać. W miarę możliwości starali się bronić kolektywistycznych ulic. Z brzegu rzeki obserwowali pojedynek dwóch pociągów linii Dexter, kolektywistycznego i milicyjnego - strzelali do siebie z okien w pełnym biegu.

Od strony Parlamentu nadleciały sterowce, które zrzuciły ulotki. CZŁONKOWIE TAK ZWANEGO „KOLEKTYWU”! RZĄD BURMISTRZA TRIESTIEGO NIE BĘDZIE TOLEROWAŁ MORDÓW I RZEZI, KTÓRĄ ŚCIAGNĘLIŚCIE NA MIASTO. PO BESTIALSKIM ZAMACHU NA WIEŻĘ W BARRACKHAM WSZYSCY OBYWATELE, KTÓRZY NIE BĘDĄ AKTYWNIEM DAŻYLI DO UCIECZKI Z TERRORYSTYCZNEJ ENKLAWY, ZOSTANĄ UZNANI ZA WSPÓŁODPOWIEDZIALNYCH ZA ZBRODNICZE DZIAŁANIA WASZYCH KOMITETÓW. PODCHODZCIE DO FUNKCJONARIUSZY MILICJI NIEUZBROJENI, Z RĘKAMI DO GÓRY, I SYGNALIZUJCIE OKRZYKAMI, ŻE ZAMIERZACIE SIĘ PODDAĆ... Itede, itepe.

Trzecia noc. Znowu na ulicy, z setkami Kolektywistów wszystkich ras, ostatnią falą mobilizacji. Małe sztuczki magiczne, świetlne kuglarstwa, chromataumaturgia wypełniająca powietrze chmarami ptaków utworzonych z promieniowania. Buntownicy tak jak kiedyś zrobili z nocy karnawał.

Ludzie biegali bezładnie z powodu wiadomości o inwazji milicji, rozbłysk paniki, plotka, a potem znowu spokój. Pili, jedli wątpliwe wytwory wojennej kuchni, a czasem to, co udało się przesznuć przez milicyjny kordon. Panowały milenijne nastroje. Spełniano toasty za Judasza, Toro, Cuttera i innych, kiedy przechodzili w matowym świetle latarni gazowych, unoszą kubki z bimbrem czy piwem i pito zdrowie przechodniów w imieniu Kolektywu.

Qurabin jęczał. Cicho, ale dosłyszalnie.

- Coś się dzieje - powiedział Cutter do wszystkich i do nikogo.

Bohrum Junction, gdzie domy tworzyły klin archaicznej architektury, trochę dalej suche fontanny, w których wojenne sieroty bawiły się drobniakami i przywiązywały odłamki pocisków do ogona wynędzniałemu psu. Toro maszerował, nie próbując się ukryć. Dzieci pokazywały go palcami i wołały: „Ej, Byku, co kombinujesz? Kogo chcesz zabić?”. Cutter zadał sobie pytanie, czy dzieci biorą Oriego za przebierańca czy za legendarnego bandytę we własnej osobie. Może w egzotycznym panoptikum Kolektywu bogowie i tajemnicze stwory nie były godne lęku ani zdziwienia.

Rahul poruszał się jaszczurzym krokiem, z nożem w każdej ludzkiej dłoni i zaciśniętymi gadzimi łapami.

- Chodźcie, chodźcie szybko - ponaglał ich Qurabin.

Ori zatrzymywał się przy każdym graffiti i oglądał je fosforyzującymi oczami byczej

maski. Ze stęknieniem wysiłku prostował nogi, dźgał rogami próżnię i pojawiał się w nowym rozdarciu rzeczywistości kilka metrów dalej. Działo się to tak szybko, że Cutter nie miał pewności, czy stopy wciąż nie dyndały z pierwszej dziury, kiedy głowa wyskakiwała z drugiej.

- On jest tutaj - powiedział Ori. - Na stacji Trauka. Chodźcie.

Z kilometr dalej. Droga wiodła wzdłuż nabrzeża przez od dawna puste targowisko. Zostały tylko rusztowania straganów, połączone metalowe żebra, stado szkieletów.

Nie byli jedyną grupą, która poruszała się tej nocy po mieście. Na stację Trauka wąskimi, starymi ulicami, wśród konglomeratu brzydkich domów, ozdobionych napisami typu: „Wolne Terytorium Kolektywu” czy „Jebać cię, Stem-Fulcher” - to ostatnie skreślone i uzupełnione uwagą: „Już załatwione, ziomalu”. Toro zniknął, pojawił się znowu ulicę dalej i pomachał im, rozerwał skórę świata dla sprawdzenia ruchów tropionego, po czym wrócił do towarzyszy, aby nimi pokierować. Mieli wrażenie, że drogę wskazuje im tuzin identycznych, rozsianych po całym mieście mężczyzn z twarzami byka.

Z hełmu Toro sączył się gęsty dym i cudownie barwna krew, a rogi sypały iskrami. Powtarzający się gwałt na ontologii wywoływał naprężenia w taumatycznych obwodach. Judasz wydał z siebie inwokacyjny szept. Nie inwokację: powiedział Cutterowi, że różnica jest zasadnicza. To nie była inwokacja, lecz kreacja, strukturalizacja materii bądź ideomaterii. Cutter patrzył, a Judasz gromadził. Cuttera przebiegł dreszcz grozy, kiedy obserwował mężczyznę, którego darzył tak zwierzęcym uczuciem, bez wątpienia najwybitniejszego golemistę w Nowym Crobuzon, maga samouka.

Dokoła pogłębiły się nocne cienie. Mechanizm Judasza wsysał ciemności, przetwarzając je w rozedrganą, mroczną plazmę. Cienie stały się obłokiem antyświatła i jak woda w odpływie wanny tworzyły lej wciągany do maszyny. Cegły, które po sobie zostawiały, były fizycznym afrontem, ciosem w prawa natury. Nie padało na nie żadne światło, ale ponieważ zostały obrabowane ze swojej ciemności, były doskonale widoczne, jakby oświetlone agresywnymi lampami, bezbarwną szarością o wyraźnych konturach. Ślepa uliczka stała się ontologiczną niemożliwością: antyrefleksyjna, antyjasna, antybarwna widzialność w absolutnych ciemnościach.

Z wąskiego końca lejka wypełzły cienie i skondensowały się do postaci czegoś pomiędzy ciałem i plamą oleju, bytem utkanym z ciemności, mało substancjalnym, ale przenikliwie obecnym, ludzkim kształtem z czerni. Cutter widział już setki golemów stworzonych przez Judasza, ale tak bezcielesnego jeszcze nigdy. Judasz uniósł dłonie. Cieniowy golem wyprostował się. Dwupółmetrowa sylwetka. Pomaszerował w objęcia nocy i stał się półwidzialny, ciemność na ciemnym tle, która poruszała się jak człowiek.

Judasz zebrał swój sprzęt i szepnął: „Idź!”. Sam też pobiegł, mijając swoich osłupiałych towarzyszy, którzy dopiero po chwili otrząsnęli się i ruszyli za nim. Obok Judasza bezgłośnie kroczył golem, jak goryl z cienia.

W lewo, w lewo. W boczne uliczki między wysokimi ciemnobrązowymi murami, oknami bez skrzydeł, bezdrzwiowymi klifami z cegły i zaprawy, które wydawały się zamkniętą bramą do czegoś niedokończonego, do jakiejś krainy za fasadami.

Na przedzie Toro, jeden róg płonął i wibrował. Toro zawołał do nich, ale jego słowa zagłuszył dygot hełmu, łuszczenie się, pęknięcie rogów. Metal zaczął płuć ogniem i Ori z wrzaskiem próbował odpiąć paski. Po krótkich zmaganiach wyswobodził się z uścisku hełmu i

odetchnął głęboko, ze strużkami potu na twarzy.

- Tam!

Wyciągnął rękę.

Starszy mężczyzna na końcu ulicy patrzył w ich stronę. Trzymał w dłoni ociekający farbą pędzel. Po chwili odwrócił się i zaczął niedołącznie biec za zakręt ulicy. Spiral Jacobs.

- Nie pozwólcie mu uciec! - krzyknął Ori i pobiegł, zostawiając hełm na pastwę niebieskiego ognia.

Cutter zobaczył, jak oczy z taumaturgicznego szkła pękają, zauważył dziwne kolory ognia i iskier, kiedy żar połykał wbudowane w metal tajemne moce. Nie wyglądało to już jak głowa posągu, tylko jak czaszka, płonąca czaszka byka.

Mieli problemy z dotrzymaniem tempa Oriemu, który biegł tak szybko, jakby moc Toro wciąż go uskrzydlała.

- Szybciej, nie dajcie mu uciec! - wołał.

Jacobs zbliżał się do kolejnego zakrętu, za którym zniknąłby im z pola widzenia. Mimo swego wieku poruszał się żwawo. Judasz i Cutter biegli za Orim, mając obok siebie ciemny cień golema, kawałek za nimi pędził Drogon, a potem reszta, w zmieniającej się kolejności. Tupot ich stóp odbijał się z wielokrotnionym echem. Nie było słyhać żadnych innych dźwięków, ani wojennej strzelaniny, ani syren alarmowych, ani zgiełku Kolektywu czy miasta burmistrza. Tylko kroki na powleczonej zimową wilgocią cegle.

- Gdzie on ucieka? - krzyknął Ori.

Cutter rzucił spojrzeniem przez ramię i zobaczył, że Rahul, parę kroków za nim, znika za rogami i nie pojawia się znowu. Gdzie on jest? Wpadł poza strefę działania rekonfiguracji Jacobsa i na powrót znalazł się gdzieś w Nowym Crobuzon.

Jacobs biegł dalej niestrudzenie. A co to? Śmieje się? Przyspieszyli. Z dachów ponownie spłynęło światło i odgłosy normalnego życia. Drogon nagle zwolnił, a Jacobs szedł, z pędzla wciąż kapała mu farba. Ulica dobiegła końca i Jacobs znalazł się na otwartej przestrzeni. Ekipa pościgowa w ślad za nim opuściła magiczny korytarz. Smagani zimnym wiatrem, znowu byli w rzeczywistym mieście.

Rahul i Drogon przepadli w zakamarkach zmodyfikowanej geografii. Cutter maszerował pierwszy, a tuż za nim Judasz i golem. Spiral Jacobs był oddalony o kilkadziesiąt metrów. Nie zwracał na nich uwagi.

„Gdzie my jesteśmy?” Cutter znalazł na niebie księżyc. Skierował spojrzenie między wieże i mury. Był otoczony architekturą. Próbował zorientować się w tej panoramie: tutaj monolit zwieńczony iglicą, tam minaret, a tam drugi, grubszy i roziskrzony światłami. Nad nimi potężne sylwetki aerostatów. Znajdowali się poza terenem Kolektywu.

Opoдал wyrastał gigantyczny słup z rozchodzącymi się promieniście linami. Szpikulec. Stali na asymetrycznym dziedzińcu, otoczonym murem z różnych gatunków kamienia w wielu kolorach. Przez betonową nawierzchnię przebiegło drżenie. Byli wysoko w górze. Cutter ogarnął spojrzeniem sięgające horyzontu morze domów, Nowe Crobuzon.

„Dworzec Perdido”. Oczywiście. Stali w olbrzymim, pustym amfiteatrze, będącym dziełem przypadku, zawłaszczonym przez roślinność, kawałkiem dzikiej przyrody na dachu dworca. Niezaplanowana, zapomniana plamka na tym olbrzymie. Przejście, które ich tutaj doprowadziło, nie wyglądało już jak uliczka, tylko jak rysa na betonie.

Z resztek drewnianych podłóg, świadków czasów, kiedy ten dziedziniec był zamkniętym budynkiem, wyrastały cyklopowe mury, przy których czuli się jak kukielki. Cała ich powierzchnia była pokryta spiralami. Rosnąca do góry gęstwina, wysoka jak baldachim. Niektóre helisy były zawikłane i splątane jak kępa jeżyn, inne podobne do najprostszych wzorów na muszli ślimaka. Tysiące. Owoc wielomiesięcznego trudu. Cutter wypuścił powietrze z płuc. Od samej góry ściany schodziła jedna czarna linia, przez las piktogramów. Spirala wskazująca to miejsce.

Pośród ceglanego pyłu i dzikich zarośli stał Jacobs, ambasador Tesh. Rysował w powietrzu znaki i śpiewał.

- Spiesz się - powiedział Qurabin z bardzo bliska. - Musi zacząć akcję. Nie był gotowy, ale musi zacząć działać przed czasem... Spróbuje go przymusić, hekatombiaka, anihilatora. Czujecie? Szybko!

Głos umilkł.

Ori pobiegł przez sięgającą ud trawę, która trzaskała z zimna. Rozpościerał się przed nim fantasmagoryczny krajobraz Nowego Crobuzon. Reszta ruszyła za nim, chociaż nikt nie miał pojęcia, co robić.

Spiral Jacobs wibrował, a wraz z nim powietrze wokół niego. Setki kształtów zaczęły się wypowijać z nicości. Cutter zobaczył mleczną plamę, kataraktę, która zbryliła się perystaltycznymi ruchami i przybrała postać upiornego trójnożnego stołka kuchennego, który wisiał nad czołem Jacobsa. Obok unosił się niespotykane duży owad, kwiat, garnek, dłoń, świeczka, lampa - wszystkie zjawieńce, które straszły Nowe Crobuzon.

Wyglądały na niedogotowane, niedokończone i bezbarwne. Kiedy Cutter podszedł bliżej, zaczęły się obracać i nawzajem okręzać - niemożliwie skomplikowana interpretacja bezgłosnych spiralnych dróg. Nie zderzały się ze sobą i nie stykały, kręciły piruety wokół głowy Spiral Jacobsa. Wir zwykłych rzeczy, spotworniała codzienność.

Ori próbował je roztrzącić. Nie były jeszcze dopełnione, nie miały mocy pozbawienia go koloru. Dotarł do Spiral Jacobsa. Starzec spojrział na niego i coś powiedział, prawdopodobnie go pozdrowił, jak sądził Cutter.

Cutter patrzył, jak Ori wymachuje pięściami, ale nie może trafić Spiral Jacobsa. Raz po raz chybiał, każdy cios był zbyt wczesny, zbyt późny albo źle wymierzony. Ori wrzasnął i padł na kolana. Judasz był już przy nim, a po chwili z ciemności dotarł do nich ogromnymi krokami golem.

Olbrzym uniósł swoje cieniowe ramiona i pochwycił Spiral Jacobsa, którego zalało antyświatło. Przez długą chwilę widać go było niewyraźnie, jak przez szarą mgłę. Ektoplazmatyczne kształty zaczęły niknąć jak powoli gasnące lampy. Ich kontury znowu zarysowały się mocniej, kiedy Spiral Jacobs odzyskał siłę i światło, a potem warknął, po raz pierwszy okazując po sobie gniew.

Poruszył dłońmi i ławica zjawieńców zbiła się w kupę, by przelecieć przez golema, zostawiając po sobie światło w samym środku tworu Judasza. Olbrzym zachwiał się jak raniony człowiek, ale naśladując ruchy Judasza, znowu wyciągnął ramiona, żeby udusić Jacobsa. Światło w jego wnętrzu potężniało.

Oslabł i odstał do tyłu na znikających stopach. Im jaśniejsze światło, tym bardziej był przezroczysty. Jacobs uwolnił się od jego cieniowych rąk. Obnażył żółte zęby. Zjawieńce płąsały. Jacobs był opleciony zostawioną przez golema pajęczyną ciemności, która go dusiła. Wycharczał gejzer bezkształtnych cieni, które spłynęły na ziemię i poczołgały się w stronę swojego naturalnego siedliska, pod zasłaniającymi światło załomami. Golem upadł, a Judasz razem z nim. W ciągu tej sekundy, kiedy leżał bez przytomności, golem znikł.

Ori płakał, wciąż próbując uderzyć Jacobsa i wciąż chybiając. Spiral Jacobs odwrócił się od niego plecami. Wymachujący rękami Ori na moment stracił równowagę. Jacobs wysunął dłoń, skutkiem czego Ori został porwany w górę i łupnął plecami o mur. Stado zjaw wyciągnęło się jak macka w stronę Elsie, nie dotykając jej, lecz tworząc aureolę pozbawionych koloru kształtów, które wirowały wokół jej głowy - miska, kość, kawałek szmaty. Jej twarz natychmiast poszarzała, a oczy podeszły krwią, ale bezbarwną. Nie upadła. Spokojnymi ruchami, jakby szła spać, położyła się na ziemi i umarła.

Zjawieńce kłębiły się tak szybko, że prawie utraciły widzialną postać, przypominały rozedrganą, oleistą mgiełkę. Spiral Jacobs narysował w powietrzu kolejny kształt i wszystko zadygotało. Ori drżał przy ścianie, która go trzymała, i wydawał z siebie ciche jęki.

Judasz odzyskał przytomność. Spiral Jacobs poruszył rękami. Nie było już zjawieńców, po których został w powietrzu mleczny osad, poprzecinany żyłkami pary. Jacobs trząsł się z wysiłku, próbując coś wyciągnąć z nicości. Jakby zza skały lub spod wody, zaczął się wyłaniać jakiś byt.

Bardzo mały albo bardzo duży, ale oddalony, a potem znacznie większy, niż sądził Cutter, ale położony bliżej. Poruszał się bardzo powoli albo błyskawicznie, tylko ogromnie daleko. Jego parametrów nie dało się uchwycić. Cutter nic nie widział, ale słyszał. Ta rzecz emitowała dźwięk. Anihilator, miejski zabójca, którego sprowadził Spiral Jacobs - Cutter usłyszał jego skowyt. Wznosił się spiralnie do góry jak bluszcz wokół słupa albo coś odwijającego się z głębokiej studni. Skowyt brzmiał metalicznie.

Cutter zobaczył, że światła miasta w dole zmieniają się. Nadejście istoty, której nie było widać, tylko czuć, rozjarzyło budynki. Latarnie uliczne i światła fabryk stały się błyskami w oczach.

Bestia objawiała się w samym Nowym Crobuzon. Wpełzała pod skórę miasta. A może budziła coś, co zawsze tam było? Cutter wiedział, że bestia się zbliża, bo chociaż betonowa ściana obok nich nie zmieniała się, to zaczęła wyglądać jak bok zwierzęcia prężącego się do skoku.

„Jakie duże, jakie duże, kiedy dotrze na szczyt?” - pomyślał Cutter. Poczul senność, krystalizującą się wykrwawioną śmierć.

- Znam twoich bogów - powiedział Qurabin.

To coś nadal było w ruchu. Budynki oddychały śmiercią. Na twarzy Spirala Jacobsa nagle wykwitł strach.

Qurabin był tylko głosem lejącym przez pustą przestrzeń. Mnich brzmiał histerycznie, agresywnie, bojowo. Prowokował Spirala Jacobsa. Gdyby nadal znał swój ojczysty język, to w przekonaniu Cuttera usłyszałby właśnie gardłową, szarpaną mowę Tesh. Został mu jednak tylko ragamollski.

- Prymitywne hokus-pokus... Łatwo ich zastraszyć, bo nie wiedzą, co to jest, no nie? A jeśli się okaże, że ktoś wie? Ktoś z Tesh, tak jak ty? Kto potrafi rozgryźć tajemnice Tesh? Twoje tajemnice? - Spiral Jacobs coś krzyknął. - Już cię nie rozumiem, stary - odparł Qurabin, ale Cutter był przekonany, że ambasador powiedział „zdrajca”. - Wiesz, kim jestem?

- Tak, wiem, kim jesteś! - krzyknął Jacobs i oburącz pchnął w stronę głosu kłęb lepkiej materii zjawieńca, ale wirujące powietrze nie napotkało żadnego oporu. - Jesteś momentystycznym gadułą.

Judasz klęknął i wbił palce w ziemię, która drżała pod naciskiem emanacji demona. Próbował zbudować golema, wszystko jedno jakiego.

- Wychodzi! - wrzasnął Cutter.

Wychodziło ze swojej jamy do rzeczywistości, wypowijało się, tworząc różne sprzeczne z zasadami geometrii połączenia. Wymiary cegieł i krawędzie murów ugięły się pod naporem demona. Architektura dygotała.

- Wszystkie twoje bożki i demiurgi żyją w Momentach, człowieku z Tesh. I mój Moment to wie.

Głos Qurabina był potężny, głośniejszy niż zbliżanie się demona mordy. Spiral Jacobs splunął i jego ślina posłała agresywną falę przez mlecznobiałe turbulencje. Qurabin ryknął i zaczął krzyczeć.

- Tekke Vogu, proszę, powiedz mi...

Głos zanikł, bo Qurabin przeniósł się tam, gdzie mieszkał Moment.

Bezruch, nadchodzące coś jakby czekało. Potem Qurabin znowu krzyknął, a raczej jęknął z potężnego bólu, ponieważ do odkrycia były wielkie tajemnice. Cutter nie umiał sobie wyobrazić, ile to kosztowało, ale mnich czegoś się dowiedział. Kiedy rozedrgany filigran Phasmy Urbomacha wytoczył się do normalnej przestrzeni, zamieniając cegły, iglice, kurki pogodowe i dachówki Nowego Crobuzon w straszliwe zęby i szpony, nasycając powietrze złem, Cutterowi zaparło dech, a Qurabin uwolnił zakrytą wiedzę i demon został wciągnięty z powrotem do nicości, z której wypełził. Szamotał się, żeby znowu z niej wyjść.

Judasz wysłał w stronę Jacobsa golema z trawy i ziemi, który rozpadł się jednak w drobny mak, zanim dotarł do celu. Judasz usiłował więc zrobić golema z powietrza, ale mleczna biel krępowała mu ruchy.

Spiral Jacobs zaklął w ojczystym języku, Qurabin wrzasnął i Phasma zaczął znowu wypełzać, ale ostatnią rozpaczliwą prośbą o wiedzę Qurabin zmusił makabrycznego, ludobójczego gościa do wślizgnięcia się z powrotem w otchłań. Kiedy Spiral Jacobs przeklął rzadziejące powietrze, to samo powietrze wypluło z siebie jakąś postać. Z twarzą we krwi i śmiertelnie wyczerpany cenobita Qurabin uśmiechnął się przez swoje rany, pozbawiony języka - potrafił tylko popiskiwać jak foka - i pozbawiony oczu, zobaczył Cutter. Taka była cena wszystkich tajemnic, które ich uratowały.

Qurabin objął ambasadora Jacobsa jak brata i szepnął mu do ucha ostatnie słowo, jakie pozostało renegatowi z Tesh, po czym wstąpił razem z nim do prawdziwej tajemnicy, do zakrytego miejsca, do królestwa Tekke Vogu. Powietrze zamknęło się za nimi, przestrzeń pochłonęła ich razem z Urbomachem.

W powietrzu pozostała tylko ta opalizacja. Zaczęła gęstnieć, zbrylać się jak białko jajka w gorącej wodzie, przybrała postać cuchnącej chmury, z której spadł śluzowaty deszcz - a potem niebo i powietrze opustoszały.

Zaległa ciężka cisza, by po chwili odpłynąć, i Cutter na powrót usłyszał odgłosy wojny, strzały, wybuchy bomb, ogień artyleryjski. Przetoczył się po zaśmieconej ziemi, zobaczył, że Judasz wstaje z wysiłkiem, oszołomiony i pijany od smrodu substancji, która pozostała z rozkładu zjawieńca. Zobaczył Oriego, nieruchomego, w jakiś sposób przymocowanego do muru, krwawiącego. Ciało Elsie, szare nic. Zobaczył puste niebo. Zobaczył, że Qurabin, Spiral Jacobs i mordujący miasta demon zniknęli.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Wzywali Qurabina, głośno i cicho, ale mnich odszedł bezpowrotnie.

- Zjednoczył się z Momentem - orzekł Judasz.

Elsie była odbarwiona i martwa, a Ori przeklejony do muru. Na styku z cegłą jego skóra zamieniła się w cegłę. Krew zastrubiła połączenie. On też nie żył.

Oczy miał szeroko otwarte, nie dały się zamknąć. Cuttera ogarnął głęboki smutek. Próbował sobie wmówić, że na twarzy młodego człowieka maluje się spokój, pogodzenie się z losem. „Odpoczywaj w pokoju” - pomyślał.

Powoli obeszli dziedziniec i trafili na dziurę w kamieniarce. W Nowym Crobuzon trudno było znaleźć nieuszkodzoną ścianę. Bocznymi tunelami, metalowymi kładkami i drabinami dotarli do budynku Dworca Perdido. Musieli zostawić swoich martwych przyjaciół w ukrytym ogrodzie. Nie mieli innego wyjścia.

W gigantycznej, wspartej na dźwigarach pieczarze Dworca Perdido, w przepastnej hali głównej, Judasz i Cutter pozbyli się broni, z grubsza oczyścili ubrania z resztek zjawieńców i wmieszali się w tłum nocnych podróżnych i milicji. Wsiadli do pociągu.

Otoczeni przez pracowników nocnej zmiany telepalili się przez krajobraz Ludmead. Kiedy na północy pojawiły się kopuły Uniwersytetu Nowego Crobuzon, wysiedli na następnej stacji - Sedim Junction. Jak tylko pasażerowie opuścili peron, Cutter zaprowadził Judasza do rozwidlenia torów wiodących w kierunku Kelltree i Dog Fenn. Zeskoczyli na tory i ruszyli na południe.

Niektóre linie zahaczały o terytorium Kolektywu, gdzie starano się utrzymywać krótkie połączenia zgrane z siecią Triesti - z Syriac Rising do Saltpetre, z Low Falling Mud do Rim. Regularne pociągi i te z flagami Kolektywu zbliżały się do siebie i zatrzymywały w odległości kilku metrów, po dwóch stronach barykad zbudowanych na torach.

Żebra rysowały się potężnie na tle nieba. W połowie ich długości, dziesiątki metrów nad liniami kolejowymi, można było zobaczyć zębaty ubytek - w jedno z Żeber trafił pocisk. Szczerba była bielsza, ale już żółkniała. W dole Cutter zobaczył dziurę w ciągu szeregowej zabudowy - spadający odłamek zmiażdżył domy. Pośród wojennego rumowiska leżały tony pokruszonej kości.

Szli pustym odcinkiem torów, do którego nikt nie rościł sobie prawa. Kominy sterczały z trzęsawiska ulic niby ciekawskie peryskopy. W końcu zobaczyli ścianę ze śmieci, która blokowała tory. Płonęły pochodnie. Na uliczkach w dole toczyły się walki, zaatakowani przez milicję Kolektywiści odstąpili od barykady i cofnęli się o kilka ulic, by ostrzeliwać się z kiosków, budek voxiteratora, zza żelaznych słupów.

Po drugiej stronie barykady, od doków Kelltree, nadjeżdżał partyzancki pociąg - widzieli światła i kłęby pary. W biegu zasypywał pociskami milicję na dole.

- Stać, gnoje! - dobiegło zza barykady.

Cutter chciał grzecznie poprosić, żeby ich wpuścili, ale uprzedził go otrząsający się z otępienia Judasz.

- Wiesz, do kogo mówisz, chaver? - zagrzemiał. - Wpuść mnie, w tej chwili! Jestem Judasz Low. Jestem Judasz Low!

Gospodyni Oriego otworzyła im drzwi.

- Nie wiem, czy wróci - powiedział Cutter.

Uciekła z oczami, zagryzła zielone usta i skinęła głową.

- Posprzątam później - odparła. - To dobry chłopak. Lubię go. Wasi znajomi są tutaj. Curdin i Madeleina czekali w pokoju Oriego. Policzki Madeleiny spływały łzami. Curdin leżał na materacu, w który wszczała się jego krew. Ociekał potem.

- Jesteśmy uratowani? - spytał, kiedy weszli Judasz i Cutter. Nie zaczekał na odpowiedź. - Zrobiło się nieprzyjemnie. - Usiedli koło niego. Judasz ukrył twarz w dłoniach. - Wzięliśmy trochę jeńców, kapłanów, Parlamentarzystów, z Pełnego Słońca, partii burmistrza. No i ludzie... Trochę ich poniosło. - Pokręcił głową. - On nie żyje albo umiera - dodał po chwili milczenia. Poklepał się w tylne nogi. - Ten. Człowiek wewnątrz mnie. To było najgorsze w całej sprawie. - Stał na pięcie zniszczonej tylnej nogi. - Czasem miałem wrażenie, jakby chciał iść w inną stronę. Mam w brzuchu węzeł. Zastanawiam się, czy to był martwy człowiek, czy zostawili go tam żywego. Czy jego mózg funkcjonuje tam w ciemnościach. Chybaby oszalał, nie? Byłem albo półtrupem, albo półobłąkańcem. Albo więzieniem. - Zakasłał i pojawiła się krew. Przez długi czas wszyscy milczeli. - Żałuję, naprawdę żałuję, że was tu nie było od początku. - Spojrzał na sufit. - Działaliśmy po omacku. Ludzie na ulicach orientowali się w sytuacji dużo szybciej niż Plenum. Część milicji przechodziła na naszą stronę. Trzeba było się spieszyć, żeby nie zostać w tyle. Organizowaliśmy wykłady i przychodziły setki osób. Ludzie-kaktusy przegłosowali otwarcie Szklarni dla zwiedzających. Nie mówię, że wszystko było tak, jak trzeba, ale staraliśmy się. - Znowu cisza. Madeleina nie odrywała wzroku od jego twarzy. - Chaos. Koncesjoniści chcieli spotkać się z burmistrzem, piklingi chciały pokoju za wszelką cenę. Triumfaliści krzyczeli, że musimy zmiażdżyć Tesh: czy w tym mieście zostali jeszcze jacyś odważni ludzie i tak dalej. Trzon Plenum. I prowokatorzy. - Uśmiechnął się. - Mieliśmy plany. Popelnialiśmy błędy. Kiedy przejęliśmy banki, Plenum wykazało za mało zdecydowania, bo pożyczaliśmy z tego tylko małe sumy, chociaż to od początku w gruncie rzeczy były nasze pieniądze. - Milczał bardzo długo. Cutter pomyślał, że nie żyje. - Kiedyś było inaczej - podjął wreszcie. - Żałuję, że tego nie przeżyliście. Gdzie Rahul? Chcę mu o tym opowiedzieć. Znaczy, on albo jego ludzie coś zobaczą. Bo idą tutaj, prawda? Bogowie raczą wiedzieć, jak zostaną powitani. - Zatrząsał się jakby od bezgłośnego śmiechu. - Milicja na pewno wie, że nadchodzi Żelazna Rada. Dobrze, że nadchodzi, tylko szkoda, że nie wcześniej. Cały czas o nich myśleliśmy. Mam nadzieję, że będą z nas dumni.

Koło południa zapadł w śpiączkę. Madeleina nadal nie odrywała z niego wzroku.

- To on próbował powstrzymać motłoch, który chciał się zemścić na zakładnikach - wyjaśniła.

- Posłuchaj mnie - powiedział Judasz do Cuttera. Stali w holu. Niezdecydowanie Judasza zniknęło. Był twardy jak jeden z jego żelaznych golemów. - Kolektyw jest martwy. Nie, cicho bądź, słuchaj. Jest martwy, a jeśli Żelazna Rada tutaj przyjedzie, to też będzie martwa. Nie mają żadnych szans. Milicja wyjdzie pociągowi na spotkanie tuż za granicami miasta. I będą czekali. Zanim Rada tu dotrze, czyli za co najmniej cztery tygodnie, milicja rozprawi się z Kolektywem i pośle wszystkie siły przeciwko Żelaznej Radzie. Ale ja nie pozwolę jej zabić. Nie pozwolę. Posłuchaj mnie. Musisz wrócić i powiedzieć im, żeby nie przyjeżdżali. Niech skierują pociąg na północ, w góry, albo zostawią go i zostaną liberosynkretami, wszystko jedno. Nie mogą przyjechać do miasta. Cicho bądź! - Cutter chciał się odezwać, ale teraz zacisnął usta. Nigdy nie widział Judasza tak stanowczego, anielski spokój znikł i zostało twarde jak kamień jądrowe. - Cicho bądź i słuchaj. Musisz natychmiast ruszać. Wydostań się z miasta, wszystko jedno jak, i znajdź

ich. Jeśli Rahul, Drogon czy ktoś inny tutaj wróci, wyślę ich za tobą. Cutter, nie możesz dopuścić do tego, żeby pociąg tutaj przyjechał.

- A co z tobą?

Twarz Judasza spoważniała. I chyba posmutniała.

- Może ci się nie udać, Cutter. Na tę okoliczność mam w zanadru coś, co może pozwoli uniknąć najgorszego.

- Umiesz posługiwać się tymi lusterkami, prawda? Pamiętasz, jak ci tłumaczyłem? Bo milicja przeszła przez strefę kakotopiczną. Dogonią Radę. A skoro im się udało, to znaczy, że są niesamowicie sprawni, twardzi i szybcy. Musisz to uświadomić Radzie. Nie zawieź mnie, Cutter.

- A ty? Co będziesz robił, kiedy ja pojedę przekonywać Radę?

- Już mówiłem. Mam pewien pomysł... na wypadek niepowodzenia. Ostatni atut. Bo, na Jabbera, wszystkich bogów i w ogóle wszystko, Cutter, nie dopuszczę do tego. Zatrzymaj ich. Ale jeśli tego nie zrobisz, ja wkroczę do akcji. Nie zawieź mnie, Cutter.

„Drań” - pomyślał Cutter, którego tak potwornie zabolowały słowa Judasza, że nie był w stanie mówić. „Żeby tak do mnie powiedzieć! Przecież wiesz, ile dla mnie znaczysz”. Drań. Miał poczucie pustki w piersiach, jakby zapadał się w siebie, jakby jego wnętrze wyrywały się do Judasza Lowa.

- Kocham cię, Judaszu - powiedział i odwrócił wzrok. - Kocham cię. Zrobię, co będę mógł.

„Kocham cię tak bardzo, Judaszu, że umarłbym za ciebie”. Płakał bezgłośnie, wściekły na siebie, próbując powstrzymać łzy.

Judasz pocałował go, a następnie wyprostował się, serdeczny, nieprzejednany, delikatnie chwycił Cuttera za podbródek i uniósł jego głowę. Cutter zobaczył plamę wilgoci na tapecie, zobaczył framugę drzwi, spojrzał na szpeciniasty, siwy zarost Judasza, na jego wychudzoną twarz. Judasz pocałował go. Cutter usłyszał, że z jego gardła wydobywa się łkanie, był wściekły na siebie, a potem także na Judasza. „Ty draniu” - pomyślał podczas pocałunku, a raczej próbował pomyśleć, ale nie potrafił się do tego zmusić. Zamierzał spełnić prośbę Judasza. „Kocham cię, Judaszu”.

CZEŚĆ DZIEWIĄTA

ŚWIATŁO I DŹWIĘK

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Sterowiec leciał nad kamienistym stepem, napędzany przez wiatr i silnik. Wymarłe miasta w dole, pozostałości boomu kolejowego, przypominały plamy na heliotypie. Cutter obserwował krajobraz z małego kokpitu.

Z miasta wydostał ich Kolektyw. Najpierw poleciały dwa balony na wabia, pilotowane przez manekiny, i kiedy milicja rzuciła się na nie, aerostat ze zbiegami ruszył w drogę. Pilot leciał bardzo nisko, między wieżowcami i kominami fabryk, żeby nie został wykryty przez myśliwską flotę powietrzną.

Towarzyszył im strach przed podniebnymi piratami, ale nie licząc kretyńskich napaści hemoskrzydłaków i paru obcych wyrmenów, nie byli przez nikogo atakowani. Cutter cały czas myślał o Judaszu. Bulgotał w nim gniew zmieszany z tęsknotą, której nie umiał od siebie odegnąć.

- Uważaj na siebie - powiedział mu Judasz na pożegnanie, obejmując go. Nie chciał powiedzieć, dlaczego zostaje i na czym polega jego rezerwowy plan. - Musisz się spieszyć. Milicja pokonała strefę kakotopiczną i ściga Radę. A potem wracaj. Kiedy zmienią trasę albo rozejdą się w różne strony, wracaj, będę czekał. A jeśli nie zdołasz przemówić im do rozsądku, zostaw ich i wróć do miasta, będę czekał.

„Nie będziesz” - pomyślał Cutter. „Nie tak, jak bym tego chciał”.

Pilotem był prze-tworzony, z pytonem w funkcji ramienia. Prawie się nie odzywał. Przez trzy dni Cutter zdążył się o nim dowiedzieć tylko tyle, że pracował kiedyś dla szefa gangu, a teraz był żarliwym zwolennikiem Kolektywu.

- Musimy się spieszyć - powiedział Cutter. - Od strefy kakotopicznej nadciąga niebezpieczeństwo. - Wiedział, co sobie pomyśli pilot: jakaś momentalna bestia wyruszyła na łowy, ale nie wyprowadzał go z błędu. - Musimy znaleźć Radę.

Sprawdził, czy lusterkom nic się nie stało. Szklarze zrobili wspaniały zamiennik. Cutter pokazał zwierciadła Madeleinie di Farji i wytłumaczył jej, do czego służą.

- Ile razy to robiłeś? - spytała.

- Ani razu - odparł ze śmiechem - ale Judasz Low wszystko mi wytłumaczył.

Cutter patrzył przez okno na biel nieba, z czarnymi punkcikami ptaków i rozdmuchiwanymi przez wiatr welonami kurzu. Lecieli nad deszczowymi chmurami, które wyglądały jak podłoga z dymu. Na skraju ich pola widzenia, wiele kilometrów na południe, zobaczyli ludzi. Długa, rozciągnięta kolumna, awangarda pociągu wagabundy poprzedzająca nawet niwelatorów i budowniczych mostów.

- Przeleć obok, nie za blisko - powiedział Cutter. - Niech wiedzą, że mamy przyjazne zamiary.

Serce biło mu szybko. Potrzebowali dobrej godziny, aby dotrzeć na koniec poprzerwanej linii Rady: niwelatorzy uprzątający, przyklepujący i ubijający teren, układacze szyn poruszający się z precyzją automatów, wreszcie wieczny pociąg.

- Jest.

Cutter patrzył. Wagony towarowe, osobowe, nadbudowane wieże, rozkołysane mostki, pstre kolory przydatków, ozdoby z trupimi czaszkami, dym ze wszystkich kominów, na lokomotywach i wagonach. I wszędzie Radni, obok i na pociągu, w wąwozie, który przemierzał pociąg. Ładunek magicznego prochu strzelniczego eksplodował na dole.

- Psiakrew, myślą, że ich atakujemy. Skręcaj, zatocz łuk, opuśćmy jakieś flagi.

Pociąg toczył się powoli po układanych na bieżąco torach, a szyny z tyłu rozbierano. Zostawiał po sobie bałagan, przeoraną ziemię.

- Bogowie, ale szybko jadą! Za parę tygodni będą w mieście - powiedział Cutter.

„Parę tygodni”. Za wolno. Za późno. „Poza tym, co mogliby działać?”

Cutter wyobraził sobie wieczny pociąg porzucony, zmurszały, zniszczony przez wiek i żywioły, żelazo zamienione w czerwony pył, dachy zapadnięte, a z dachówek i strzech zrobił się kompost. W cieniu wagonów towarowych chwasty przebiły się przez twarde podłogi, szprychy i osie oplecione korzeniami, wiciokrzewem, królestwo budlei. Po zakamarkach pociągu biegają pająki i dzikie zwierzęta, kocioł wystygł. Ostatnie zapasy węgla zbijają się w lite złożo, którym kiedyś były. Kminy zatkałe naniesionym przez wiatr lessem. Pociąg organicznie wrósł w krajobraz, zabarwił sobą podłoże.

Przejazd pociągu zostawiłby po sobie geograficzną zagadkę. Ostatni potomkowie Radnych, którzy uciekli - Cutter zamierzał ich przekonać, że muszą - przed nadciągającą milicją i zemstą Nowego Crobuzon, dzieci ich dzieci i tak dalej, znaleźćby relikty. Podążałyby wzdłuż tego rozciągniętego stanowiska archeologicznego, odkopując przeszłość.

Wiele kilometrów za ostatnimi maruderami, za strefą bardziej dzikiego, lesistego terenu, pełzał przez step robak ognia, który w teleskopie okazał się pułkiem ciemnych postaci. Żołnierze. Oddaleni o jakieś dwa dni.

- O Jabberze, są - przeraził się Cutter. - To oni. Milicja.

Kiedy wylądowali, czekali na nich przywódcy. Ann-Hari i Grubogoleń wyściskali Cuttera. Pozdrowili pilota i Cutter zobaczył, że Kolektywista ma łzy w oczach.

Cutterem zawładnęło poczucie wagi jego misji. Radni otoczyli go, chcieli wiedzieć, jak wygląda sytuacja w Nowym Crobuzon. Ann-Hari próbowała zapanować nad zamieszaniem, wziąć Cuttera na stronę, ale jemu bardzo zależało na tym, aby nie rozmawiać z nią sam na sam, aby nie była jedyną dysponentką przywiezionych przez niego informacji. Była dla niego zbyt potężna i wpływowa.

- Posłuchajcie! - krzyczał, aż w końcu został usłyszany. - Nadciąga milicja. Przeszli przez płamę kakotopiczną. Są najwyżej dwa dni drogi od was. I nie możecie jechać do miasta. Musicie uciekać.

Kiedy wreszcie zrozumieli, o co mu chodzi, przez ich szeregi przetoczyło się ryczące „Nie!”. Cutter wyplątał się z tłumu, wszedł na dach wagonu i tupnął sfrustrowany. Poczul przepływ goryczy, smutku i pogardy, jaką zawsze budziło w nim politykowanie Judasza i Plenum. Chciał uratować tych ludzi przed ich rozpaczliwą tęsknotą.

- Durnie! - krzyknął. Wiedział, że mądrzej byłoby się pohamować, ale nie potrafił. - Posłuchajcie mnie, do ciemnej cholery! Na ogonie siedzi wam oddział milicji, który przeszedł przez zasraną kakotopiczną płamę, rozumiecie? Pokonali tam i z powrotem cały kontynent, żeby was zabić. A w Nowym Crobuzon czekają tysiące im podobnych. Musicie skręcić. - Przekrzyczał

ich gniew. - Jestem waszym przyjacielem, nie wrogiem! Leciałem do was, kurwa, przez pustynię! Próbuję was uratować! Nie macie szans w walce z nimi, a tym bardziej z ich mocodawcami.

Stado wyrmenów Rady przyleciało zobaczyć, co jest grane. Radni debatowali, ale dyskusja była jednostronna, co doprowadzało Cuttera do szału.

- Pokonaliśmy już kiedyś milicję, dawno temu.

- Nieprawda! - zaprotestował. - Znam tę historię. Odpieraliście ich na tyle długo, żeby zdążyć zwać, a to nie to samo. Poza tym teraz jesteście na otwartej przestrzeni. Nie macie gdzie się ukryć. Jeśli będzie bitwa, wyrzną was do nogi.

- Jesteśmy teraz silniejsi i mamy swoje zakłęcia.

- Nie wiem, jaką broń zabrała milicja, ale czy naprawdę myślicie, że powstrzymacie elitarne crobuzońskie oddziały za pomocą mchomagii? Zostawcie pociąg. Ukryjcie się. Inaczej jest już po was.

- A co z lusterkami Judasza?

- Nie wiem. Nie wiem nawet, czy uda mi się je uruchomić.

- To sprawdź - powiedziała Ann-Hari. - Przygotuj się. Nie po to przyjechaliśmy tak daleko, żeby teraz uciekać. Jeśli nas dogonią, to wdepczemy ich w ziemię.

Cutter przegrał.

- Kolektyw przesyła wyrazy solidarności i miłości! - krzyknął pilot drżącym głosem. - Potrzebujemy was! Potrzebujemy, żebyście nas jak najszybciej wzmocnili. Wasza walka jest naszą walką. Chodźcie, razem obalimy tyranię!

- Ich walka jest dawno przegrana! - wołał Cutter, ale nikt go nie usłyszał.

Podeszła do niego Ann-Hari. Prawie płakał z wściekłości i rozczarowania.

- Takie jest nasze przeznaczenie - powiedziała.

- Historia nie przebiega według planu - zareplikował. - Zginiecie.

- Nie. Będą straty, ale nie możemy teraz zawrócić. Wiedziałaś o tym.

Miała rację. Od początku wiedział. Pod wieczór wyrmeny wróciły z rekonesansu.

- Zmieszczą się w jednym wagonie! - krzyknął jeden z nich.

Oddział liczył zaledwie kilkudziesięciu milicjantów. Radni skwitowali tę wiadomość szyderczymi okrzykami. Wielokrotnie przewyższali wroga liczebnie.

- Może jest ich mało, ale tu nie chodzi tylko o to! - zawołał Cutter. - Myślicie, że idą z pustymi rękami?

- Tym bardziej masz powód, żeby zacząć się przygotowywać - stwierdziła Ann-Hari. - Zacznij ćwiczyć z lusterkami Judasza.

Władze Żelaznej Rady zgromadziły wszystkich zdolnych do walki. Maruderom rozkazano nadrobić dystans, dla ich własnego bezpieczeństwa. Przyspieszyli układanie torów, aby jak najszybciej dotrzeć do punktu, gdzie z ziemi sterczały formacje wulkaniczne, gdzie wzgórza dawały trochę osłony. Z nabytą przez lata fachowością szykowali się do walki.

- Znikł - powiedział jeden z wyrmenów. Chodziło o któregoś z uczestników misji wywiadowczej. - Znikł w locie. Coś go wyciągnęło z powietrza.

Nie było sposobności, na którą liczył Cutter, nie było czasu, żeby opowiedzieć historie związane z Kolektywem i wysłuchać, co Radni mają do opowiedzenia. Pracowali w wielkim pośpiechu. Cutter z wściekłością i rozpaczą patrzył na to, jak Żelazna Rada gotuje się na śmierć. „Wiedziałaś, że ich nie przekonam, ty draniu. Dlatego zostałeś. Szukujesz jakąś niespodziankę na wypadek mojej porażki”. Ale chociaż Judasz się z tym liczył, Cutter był zły, że jego misja zakończyła się fiaskiem.

Tej nocy nikt nie spał. Co jakiś czas przychodziły grupki maruderów.

Z pierwszym brzaskiem Cutter i Grubogoleń zajęli pozycje na sześciometrowych stelach oddalonych od siebie o kilkanaście metrów, każdy twarzą do słońca z jednym z lusterek Judasza. Przed wyjściem Cutter znalazł Ann-Hari, aby jeszcze raz jej powiedzieć, że wysłała swoje siostry z Żelaznej Rady na samobójczą śmierć. Czekala z uśmiechem, aż skończy mówić.

- Nasi magowie użyją tego, co dał im Judasz - odparła. - Mamy swoją taumaturgię i mamy to, czego on nas nauczył. Umiemy stworzyć golem z pułapek, które zastawił.

- Za każdym razem, gdy którąś uruchomicie, on to poczuje. Z dowolnej odległości.

- Wiem. Uruchomimy wszystkie, po jednej naraz. Jak przyjdzie milicja. Jeśli nie będzie innego wyjścia. A nie będzie innego wyjścia.

Cutter i Grubogoleń koncentrowali się na swoich kamiennych słupach. Zaczęło świtać. Księżyc wciąż był widoczny, blady i wysoko na niebie. Kiedy słońce wyłoniło się zza horyzontu, jego światło padło na lusterką. Cutter skierował swój promień w dół, na zaznaczony wcześniej krzyżykiem punkt na ziemi. Grubogoleń zrobił to samo. Plamy zintensyfikowanego światła słonecznego skakały jak spłoszone zwierzęta po zaroślach i kurzu, by zogniskować się na iksie.

Siły bojowe Żelaznej Rady przygotowywały się do bitwy, chowały się w okopach i za umocnieniami, ustawiały broń. Cutter odwrócił się w stronę zachodnią, z której nadchodził wróg.

Nie czekał długo. Najpierw zobaczył tylko kurz. Spojrzał przez lunetę. Postacie były jeszcze mikroskopijne i rzeczywiście wyglądało na to, że jest ich niewiele.

Uzbrojona w bomby kwasowe i grawitacyjne noże eskadra wyrmenów poleciała ich nękać. Za nimi ruszył sterowiec z wężoramiennym pilotem i dwoma ochotnikami w roli kanonierów. Milicja podeszła bliżej. Wyrmeny szybowały nad strefą niczyją, a sterowiec leciał na niewielkiej wysokości. Silniki golemowych pułapek Judasza już warczały, magowie śpiewali zaklęcia.

Spomiędzy skał wyłonił się spanikowany Radny. Podszedł do nich chwiejnym krokiem. Wyczerpanie i strach przez dłuższą chwilę nie pozwalały mu mówić.

- Dogonili nas - wyjąkał w końcu. - Zabili moją kobietę. Było nas ośmioro. Tak zrobili, że coś wyszło z ziemi, coś wyszło z nas! - wrzasnął histerycznie.

Ludzie spojrzeli po sobie. „Kurwa, mówiłem wam!” - pomyślał zrozpaczony Cutter. „Mówiłem wam, że to nie przelewki”.

Trzy kilometry dalej wyrmeny zbliżyły się do żołnierzy. Nie było widać, żeby poruszający się w zwartym szyku jeźdźcy mieli jakiś sprzęt wojenny. Po dziwnym momencie zawieszenia wyrmeny były jeden po drugim wyciągane z powietrza.

Długa chwila ciszy, a potem...

- Co...?

- Czy...?

- Myślę, czy ty...?

Jeszcze nie strach. Wciąż dezorientacja. Cutter nie wiedział, co się stało, ale wiedział, że wkrótce przyjdzie strach.

Ostatni wyrmen miotał się w powietrzu, zawinięty w całun brudnej nicości, widoczny jako smuga cząstek, skrzeplina diabolicznego powietrza. Cutter zrozumiał.

- Gdzie oni się podzieli? - zawołał ktoś.

Wyrmeny walczyły z powietrzem, które drapieźnymi falami rozrywało je na strzępy.

Również sterowiec znalazł się w zasięgu strzału i od ziemi pobiegły ku nim smugi pocisków. Później salwy ustały, ale statkiem powietrznym zaczęło rzucać, jakby płynął po wzburzonym morzu. Zawisał na kilka sekund, by zacząć spadać, ale nie grawitacyjnie, tylko jakby silniki i śmigła walczyły z jakąś niewidzialną mocą. Sterowiec został ściągnięty z nieba jakąś potężną ręką i rozpadł się na kawałki.

Wokół zbliżającej się milicji powstawały kształty z powietrza, z ziemi, z ognia niesionych przez nich pochodni. Żołnierzy było już widać z ziemi. Wszyscy poruszali inwokacyjnie dłońmi. Cutter widział zniszczone mundury, popękane hełmy, rysy i plamy Momentu w miejscach, gdzie skóra zmutowała w coś innego. Konie były cętkowane krwią i pianą. Przejście przez strefę kakotopiczną naznaczyło milicję.

Cutter oceniał, że jest ich kilkudziesięciu, a przecież Kraina Tysiąca Plag z pewnością mocno ich przetrzebiła. Cierpienia rozjuszyły ich, napełniły żądzą zemsty na renegatach, których ucieczka zapędziła ich do kakotopii. Nic dziwnego, że byli tak lekko uzbrojeni i tak nieliczni. Nie potrzebowali ciężkiego sprzętu i artylerii, skoro potrafili wyczarować broń z eteru i materii świata.

Cutter zobaczył ich ezoteryczne pejce. Zobaczył, jak kształtują powietrze. Wiedział, że wyrmenów i sterowiec unicestwiły luftgeisty, powietrzne elementale o potężnej mocy. W pościg za Żelazną Radą wysłano oddział inwokatorów, których broń stanowiły wyczarowywane przez nich byty. Treserzy zwierząt, nadprzyrodzonego rodzaju. Doborowe komando elementalistów.

Elementale. Cutter zawołał tak do swoich chaverim. Widział, że niektórzy usłyszeli i zrozumieli. Niektórych sparaliżowała zgroza.

Wśród Żelaznej Rady nie było elementalistów. Jeden mężczyzna trzymał w słoiku maleńkiego jaga, ducha ogniowego nie większego od płomienia zapalniczki. Ci nieliczni vodyanoi, którzy żyli w symbiozie ze swoimi wodnicami, mieli z nimi umowę, że nie mogą im rozkazywać. Ale część ludzi wiedziała, z czym mają do czynienia.

Elementale ustawiały się w podgrupach przygotowujących swoje specjalne zawołania. „Tego należało oczekiwać” - pomyślał Cutter. „Oddziały, które potrafią zwyciężać, nie wlokąc ze sobą ciężkiej broni. To musieli być elementaliści albo karcyści, bo demony są za bardzo kapryśne. Słodcy bogowie, komando elementalistów”. Fakt, że Nowe Crobuzon było gotowe zaryzykować utratę tych bezcennych fachowców, pokazywał, jak bardzo władzom zależało na likwidacji Żelaznej Rady.

- No już, spróbujmy! - krzyknął do Grubogolenia i do oporu nakręcił sprężynowy mechanizm. Skupił odbite światło i dostroił promień, co chwila zerkając przez ramię w oczekiwaniu ataku.

„Co to będzie?” - pomyślał. „Fulmeny? Petryfy? Wodnice?” Duchy błyskawicy, kamienia lub słodkiej wody, ale mogły być też inne: metalu, słońca, drewna czy ognia. Albo o spornym statusie: pomyślane, zrodzone z niczego i teraz realne. Duch betonu, duch szkła? Co to będzie?

Już teraz widział zwoje kurzu, które poruszały się pod wiatr, rozciągając powietrzne kończyny. Luftgeisty. Milicja zaczęła powoływać do istnienia inne byty.

„Słońce? Ciemności?”

Rzucili pochodnie na ziemię i płomienie wystrzeliły wysoko do góry, rozświetlając

okolice. Z tego morza ognia z okrzykami radości wyskakiwały stworzenia podobne do psów albo wielkich małp, stado jagów, elementali ognia, które poruszały się ognistymi susami. Cutter patrzył, jak konie bez jeźdźców stają w koło i odprawiają jakiś rytuał. Jeden po drugim wpadały w dygot i stękały agonalnie, kiedy ich wnętrzości zaczęły z siebie wyrzucać ulepione z ich mięśni, ścięgien i narządów bezskórne, ociekające krwią drapieżniki: proasmy, elementale tkankowe.

Powietrze, ogień i tkanki biegały i kicały ze zwierzęcym podnieceniem. Maszerujący ławą milicjanci strzelili z okultystycznych batów, na co elementale zareagowały strachem, entuzjazmem i mobilizacją. Pejczy trzaskały jak wygarbowana skóra i elektryczność jak cienie. Każdy strzał z bata tryskał ciemnym światłem.

Elementaliści wydali swoim podopiecznym rozkaz: „Naprzód marsz!”. Powietrze, ogień i tkanki ruszyły do boju. Radni wrzasnęli. Wystrzelili z armat i kartacze rozprysły się pośród duchów natury. Bez żadnego planu, w panice uruchamiali golemowe pułapki Judasza.

Sztywnymi, automatycznymi ruchami golemu wyłoniły się z ziemi oraz kolejowego złomu i drewna. Było ich mniej niż elementali i każdy czerpał z mocy Judasza, który z pewnością poczuł się nagle wyzuty z sił. „A niedługo poczuje to jeszcze wyraźniej” - pomyślał Cutter i spróbował lepiej ustawić lusterko.

Na drodze jagów wybuchła bomba i znikły w zagajniku wysokich płomieni, wznosząc okrzyki rozkoszy. Kiedy opadł dym, elementale biegnęły dalej, tylko większe niż przedtem. Naprzeciwko nich stanął rząd ziemnych golemów.

Cutter czuł pomruk mechanizmu zegarowego. Kółka zębate wirowały w przenikających się nawzajem wymiarach. Lusterko poruszyło się jak niemowlę.

- Włączaj! - krzyknął.

Grubogoleń wykonał polecenie i Cutter poczuł kolejne szarpnięcie. Mocno przytrzymał swoje zwierciadło i zobaczył, że Grubogoleń robi to samo. Połączone odbite światło zaczęło pełzać po ziemi i pęcznieć. Było czymś rzeczywistym, posiadającym wymiary, ruchomym. Cutter zobaczył podobny do ryby, pływający byt, wyłoniony z nicości i zbudowany z twardego światła, promieniujący jak słońce. Cutter poczuł, że siły wypływają z niego jak krew z rany.

- Jest! - krzyknął. - Wyślijmy to na nich!

Grubogoleń i on trzymali usterka skierowane ku sobie i poruszali nimi synchronicznie. Byt z żarłocznego światła wędrował po ziemi, kiedy powoli odwrócili się w kierunku elementali.

Na polu bitwy rozpoczął się drugi, straszny akt dramatu. Milicjanci z batami podeszli do przodu, poganiając elementale, i chociaż pierwsza linia Radnych strzelała ze wszystkiego, co mieli pod ręką, proasmy były nie do zatrzymania.

Pociski wbijały się w te stworzenia z pozlepianych razem mięśni, wderwały się w nie, po czym ołów, krzemień czy żelazne brzeszczoty były rekonfigurowane i wypluwane. Proasmy, elementale z tkanek końskich, dotarły do ziemnych umocnień.

Wtoczyły się na nie amorficzne jak ameby, jak jeżowce, naszpikowane kośćmi, których używały w funkcji kończyn, nagle przybrały postać humanoidalną, to znowu zrobiły się podobne do rżących, bezskórnych gnu. Wspięły się na szczyt barykady i przystały, a potem runęły na wrzeszczących Radnych.

Cutter dokładnie widział, co zrobiły: zanurkowały w ciała ludzi. Wlewały się przez skórę Radnych, wnikały w ich tkanki, pływały w ich wnętrzościach. Ofiary, ich nowe mieszkania, groteskowo się rozděły i w osłupieniu drapały się w klatkę piersiową, szyję czy gdzie tam, by po chwili wybuchnąć bądź z mokrym odgłosem zapaść się w siebie. Zostawiwszy na ziemi sflaczały worek swojej ofiary, proasma kontynuowała szturm, powiększona o ukradzione mięso. Proasmy pędziły przez linię wroga, wywracając wnętrzości przeciwników na wierzch i porzucając

zakrwawione szmaty ich skór. Po każdym ataku były większe i wyposażone w większą liczbę tkankowości.

- Jabberze, miej nas w swojej opiece - szepnął Cutter. Pociągnął za zwierciadło i poczuł opór. Cutter i Grubogoleń poruszyli się w niejednakowym tempie, skutkiem czego świetlna istota zaczęła się rozpadać, rozszczepiać na części połączone śluzopodobnymi strzępami świetlnej materii. - Do tyłu, do tyłu po twojej stronie, są za daleko od siebie! - krzyknął Cutter.

Usiłowali na powrót zmontować świetlnego golema.

Strzały z milicyjnych batów sięgały dalej, niż wynosiła ich długość. Wysoko w górze luftgeisty krążyły agresywnie, kiedy elementaliści skorygowali ich parametry. Runęły na dół niewidoczne. Wcisnęły się w usta Radnych, którzy bezradnie strzelali i szlachtowali powietrze, wchodziły im do płuc i rozrywały ich.

Salwa artyleryjska, bomby, wątła fala taumaturgii ze strony Rady, po czym milicja się przegrupowała. Jeden funkcjonariusz był ranny, tylko jeden zginął. Jagi trafiły na pierwszego golema, kolosa z kamienia i kawałków torów. Przystąpiły do zapaśniczej walki, wzięły go w uścisk. Ich ogniste ciała otuliły golema i mocą swego żaru zaczęły topić twardą stal. Nie przestając walczyć, zamienił się w kałużę własnej substancji: strużki stopionego golema spływały na ziemię.

Radni walczyli ze wszystkich sił, lecz elementale krążyły wśród nich z zabójczą łatwością, figlowały jak psy albo dzieci. Strategia milicjantów, którzy powołali elementale do istnienia, była ogromnie niebezpieczna: tych drapieżnych zwierząt nie dało się oswoić. Z drugiej strony elementaliści potrzebowali ich tylko do tego jednego krótkiego ataku.

Jagi i luftgeisty spieszyły ku wiecznemu pociągowi, zostawiając ogniowe odciski stóp i smugi zniszczonego powietrza. Golemy próbowały je zatrzymać - interwencje, zasada świadomej kontroli przeciwko animalizacji sił natury. Elementale wygrywały.

Elementale bez wysiłku rozbiły materię ziemnych golemów na tuman cząstek, ale w powietrznych golemach znalazły trudniejszych przeciwników. Jeden z ostatnich atutów w arsenale Judasza. W luftgeisty uderzyły nagle podmuchy nienaturalnego wiatru i powstał rozproszony orkan. Wytworzone i dzikie, interwencje i ledwo kontrolowane istoty anihilowały się nawzajem bez pardonu.

Z nieba spadły kawałki jakiejś substancji i poturbowały ziemię przy uderzeniu. Niewidzialne grudy powietrza, pokłóse walki w górze, strzępy ciała powietrznego elementala rozszarpanego przez powietrznego golema, dłoń golema przegryziona przez luftgeista. Martwe mięso powietrza leżało na ziemi i znikало bez śladu.

Jagi pluły płomieniami. Proasmy żerowały, wysysały resztki materii zwłok, pasły się trupami. Cuttera ogarnął wielki strach.

Z wciętego w teren koryta rzeki, daleko, na flance milicji, wyłonili się jeźdźcy. Na ich czele Cutter rozpoznał Rahula, człowieka jaszczurkę, który pędził potężnymi susami, a na jego grzbiecie, z wirującym bolasem w dłoniach i naciągniętym na czoło kapeluszem, siedział Drogon, vaquero, szeptodziej.

„Bogowie - pomyślał - kawaleria jedzie nam na ratunek”. Z jego ust dobył się histeryczny śmiech.

Snajperzy na koniach, zwykłych i prze-tworzonych, przemknęli wąwozami rzek i strumieni, galopując od samego Nowego Crobuzon czy bogowie raczą wiedzieć skąd, a teraz

wyskoczyli na wierzch i zaczęli strzelać z wielką precyzją. Upłynęła dłuższa chwila, zanim zaskoczona milicja zdołała namierzyć nowych wrogów.

Jeźdźców nie było wielu. Ustawili się jak myśliwi i zza naturalnych osłon otworzyli ogień. Ich broń miotała potężne kule, które rozrywały eter i furkotały w locie. Dwóch, trzech czterech - cała grupa elementalistów legła pokotem. Radni, którzy to widzieli, wiwatowali.

Szybko, o wiele za szybko, milicja otrząsnęła się i śmignęła z batów. Pejczy wiły się w powietrzu niby węzowe istoty na chwilę powołane do życia, igrały z przestrzenią. Ciachnęły w zady jagi, które zawyły jak rozdmuchany przez wiatr ogień i skierowały się ku nowym przybyszom. Snajperzy, bombardierzy i taumaturgowie z Żelaznej Rady atakowali, jak umieli, ale jagi zbliżały się jak pożar stepu.

- Musimy je skierować tam! - wrzasnął Cutter, wskazując ruchem głowy milicję. Obaj szarpnęli lusterkami, aby przezwyciężyć opór świetlnego golema. „No już” - pomyślał Cutter. „No już, do cholery!”

Próbował pokierować na wprost narodzonym golemem i obserwował atak jagów na przybyszów. „Kim oni są? Przyjaciółmi Drogona?” Potem zobaczył, jak Drogon uniósł się na grzbiecie Rahula i przesłonił usta dłonią - zapewne coś szepnął. Jeden z elementalistów z całej siły smagnął jagi batem i tym razem ich krzyk nie był figlarny, lecz rozjuszony.

Drogon szepnął znowu i inny milicjant poszedł za przykładem kolegi. Jagi odwróciły się i wpadając na siebie, pluły w swoich panów kulkami płonącej śliny. Drogon szeptał, szeptał, wydawał elementalistom kolejne rozkazy, aż w końcu sami milicjanci musieli fachowymi ruchami batów bronić się przed jagami.

Narodził się świetlny golem. Istniał. Nagle. Lusterko Cuttera drżało, kiedy stwór powstał ze świetlnego zarodka. Był mężczyzną albo kobietą, kolosem z iluminacji, przed którego blaskiem trzeba było chronić oczy, ale nie emanował światłem, tylko je wysał. Świecił agresywnym, twardym lśnieniem, które nie wychodziło jednak poza zarys jego postaci. Cutter i Grubogoleń byli po części jego niewolnikami, po części sternikami.

- Tam! - krzyknął Cutter i golem ruchem konstrukta pomaszerował przed siebie między wznoszącymi okrzyki Radnymi. Czyż to jakiś serafin, który przybył im na ratunek? Wymieniali spojrzenia oczami na moment oślepienymi jego jasnością, patrzyli na ślady jego stóp jarzących się świetlnym osadem. Golem dotarł do jagów. Rozciągnął się trochę, jakby był z ciasta, chwycił duchy ognia i zaczął świecić.

Cutter poczuł się słabo. Golem walczył z jagami, których ogień nie potrafił strawić jego blasku. Był coraz jaśniejszy, gwiazda w kształcie człowieka, sączył z siebie zimne promienie, które gasiły żar jagów i były o wiele za jasne, żeby na nie patrzeć. Nagle jagi, które z nim walczyły, zniknęły, a golem zrobił się mocniejszy. Poruszał się absolutnie bezgłośnie, w aureoli ciszy.

Pozostałe jagi spanikowały. Niektóre rzuciły się do ucieczki, płasając nad stepem, inne zmobilizowały się, poleciały w stronę świetlnego golema i zostały skasowane przez jego fosforescencję. Część elementalistów bezlitośnie smagała batami przerażone duchy ognia, żeby wyperswadować im ucieczkę, ale to je tylko rozjuszało: niektóre buchały ogniem w stronę swoich treserów i spalały ich na popiół.

Milicja przypuściła nowy atak. Małe luftgeisty ściagały strzelców jak strzały, przebijały ich i piły ich krew. Drogon szeptał rozkazy i magowie musieli go słuchać: smagali się nawzajem batami. Wtedy zrozumieli, że Drogon jest ich głównym wrogiem, i posłali na niego proasmy.

Cutter i Grubogoleń skierowali golema ku grupie milicjantów zebranych wokół czegoś podobnego do armaty. Szlachtowali zwierzęta. „Co oni robią?”

Zasysali coś z powietrza, a jednocześnie proasmy dotarły do strzelców i zaczęły przez

nich przepływać. Świetlny golem kroczył przed siebie. Co próbowała przywołać milicja?

Z nieba spadł srebrny deszcz, skoncentrowany, cieniutki promień. Trafił w mechanizm, który otaczali. Światło pochodziło z księżycy, dziennego księżycy, bladego w słońcu. Jego promień wszedł do maszyny i na końcu lufy zaczął powstawać otwór.

W głębi poruszał się jakiś blask. Cutter wytężył wzrok.

Potrzebował dłuższej chwili, żeby zorientować się w sytuacji. Większość uwagi poświęcał manewrowaniu golemem między wciąż wybuchającymi bombami i pobojuwiskiem zostawionym przez Radnych. Ci ostatni uporządkowali szyki i natarli - jagi zniknęły, proasmy były zajęte nowymi przybyszami, milicja straciła kontrolę nad luftgeistami, które nie były w stanie wyrządzić większych szkód ciężko opancerzonemu pociągowi. Cutter zobaczył w otworze coś, co zmieniało parametry i wymykało się wszelkiej taksonomii. Nie umiał tego nigdzie przyporządkować.

Co chwila zmieniało kształt. Szkielet ryby, zebra posyłały wzdłuż ciała fale podobne do sznura kręgów albo sprężystej linki. Potem zaczęło przypominać niedźwiedzia, potem szczura, miało rogi i wielką masę, i świeciło, jakby wnętrzości, skóra i kości były z fosforu. Albo z zimnego, jasnego kamienia. Robaczek świętojański, maska pośmiertna, drewniana czaszka.

Fegkarion. Elemental księżycowy.

Cutter oczywiście słyszał o nich, ale nie mógł uwierzyć, że ten niemożliwy do opisania insektowaty szkielet oscylujący między widzialnymi i niewidzialnymi wymiarami jest księżycowym duchem, o którym krążyło tyle opowieści i legend. „O bogowie, o Jabberze!”

- Grubogoleń... Wyślij golema do tego tam, szybko!

Ale golem nie poruszał się szybko. Maszerował między milicjantami jednostajnym tempem, dotykając każdego. Nakładał dłonie na ich głowy i wlewał w nich światło, które rozbijało ich hełmy, tryskało z uszu, odbytów, penisów, przez ubranie, zamieniając ich w gwiazdy, które wypalały się i spadały na ziemię.

Fegkarion wypełził z nicości.

- Szybciej! - ponaglał Cutter golema.

Elementaliści cofnęli się i utworzyli ochronny kordon wokół zaklinaczy księżycy. Zaczęli ciąć golema batami. Każdy strzał uszczuplał jego substancję, krople światła tryskały jak krew. Smagnięcia szarpały do tyłu głowami Cuttera i Grubogolenia. Krwawili, ale nadal sterowali golemem w stronę armaty.

O proasmach zapomniano. Ostatnia z nich przedarła się przez dwóch jeźdźców i opuściła pole bitwy, udając się na step w ślad za swoimi towarzyszami. Drogon nadal szeptał, ale chroniona jakąś taumaturgią milicja już go nie słuchała. Ich baty dosięgały Drogoną, dosięgały golema.

- Szybciej, szybciej!

Świetlne nogi golema deptały atakujących go ludzi i blask ich rozsadzał. Księżycowy elemental był blisko, spiralnym ruchem przeciskał swoje lodowate, jarzące się szaro jestestwo przez otwór i Cutter zobaczył, że jest ogromny, monsturalny. Cutter wyciągnął ramię i golem powielił ten gest, aby zatkać lunarną armatę, wbił się w dziurę, przeniknął przez materię elementala do wnętrzości maszyny. Golem i elemental walczyli i destrukcyjne światło - zimne, gorące, szare, białe jak magnezja - zraszało powietrze jak pot.

Widząc, że proasmy zniknęły, Radni posłali do boju swoje najcięższe oddziały, ludzi-kaktusów i największych prze-tworzonych.

- Paru weźcie żywcem! - zawołał ktoś.

Milicjanci padali więc ogłuszani przez ludzi-kaktusów, a potem nastąpił huk rozpadu, księżycowa machina eksplodowała, posyłając nad stepem harpuny golemowego i księżycowego

światła.

Milicja była obłożona przez Drogoną i jego ludzi oraz świetlnego golema. Pole bitwy było usłane trupami elementalistów i niezliczonych Radnych, strzępami elementali tkankowych i ich ofiar, kroplami blasku, który wsączał się luminescencyjnie w ziemię. Ci nieliczni milicjanci, którzy przeżyli, poszukali schronienia w rozłogach Rohagi, podążając lepkiem tropem proasm, które grasowały po pylistym pustkowiu jako stado czerwonych, amorficznych drapieźników.

Ranni milicjanci - od kuli, chakri, światła golemowego - leżeli na ziemi, pluli i złorzeczyli zbliżającym się Radnym.

- Skurwysyny! - krzyknął jeden z nich przez rozbity lustrzany hełm. Głos zdradzał strach, ale przede wszystkim wściekłość. - Wciągnęliśmy nas w tę pierdoloną plamę, tchórze, myśleliście, że to nas powstrzyma? Straciliśmy połowę ludzi, ale jesteśmy najlepsi. Wszędzie was dopadniemy, a teraz znamy już drogę. Tym razem uratowaliście skórę dzięki temu cyrkowi, dzięki tej zasranej latarni i pierdolonemu szemraczowi. Znamy drogę.

Zastrzelili go.

Zastrzelili wszystkich milicjantów, którzy przeżyli. Pochowali swoich zmarłych tam, gdzie leżeli, z wyjątkiem jednej prze-tworzonej, która zyskała sobie powszechny szacunek w Epoce Kretynizmu, kiedy działała jako rozjemczyni między zwaśnionymi frakcjami. Uczcili jej pamięć pochówkiem na ruchomym cmentarzu w pociągu, obok innych wybitnych członków Żelaznej Rady. Milicjanci zostali tam, gdzie polegli. Niektórzy Radni bezcześcili zwłoki.

Kiedy nad osmalonym przez jagi pociągiem znowu wzeszło słońce, Cutter znalazł Ann-Hari i innych członków starszyny. Byli u kresu sił. Przyszli do nich: Drogon, Rahul i Grubogoleń. Cutter również ledwo żył ze zmęczenia. Uściskał Drogoną i prze-tworzonego, który go woził.

- Poprzednim razem uciekliśmy przed milicją - powiedział Grubogoleń. - Teraz ich pokonaliśmy. Wykończyliśmy ich.

Jego zachwyty częściowo udzielił się nawet Cutterowi, który wiedział jednak, że zwycięstwo zawdzięczali zbiegowi pomyślnych okoliczności.

- Tak, udało wam się.

- Dlaczego wam? Ty... światło... wszyscy mieliśmy w tym udział.

- Niech ci będzie. Udało nam się.

- Zgubiliśmy się w mieście - relacjonował Rahul. Drogon szepnęła przytakująco. - Wyszliśmy z tego tunelu czy uliczki, nieważne, i znaleźliśmy się gdzieś w środku miasta. Minęło sporo czasu, zanim się zorientowaliśmy, gdzie dokładnie jesteśmy. Ale tej nocy nie mieliśmy z wami żadnego kontraktu. Nie wiedzieliśmy, czy załatwiliście tego gościa z Tesh. Zabiliście go, no nie? Do Kolektywu wracaliśmy strasznie długo. Musieliśmy uważać, żeby nie wpaść w jakąś dziurę. Kiedy się dowiedzieliśmy, że wyjechałeś... Nie mam do ciebie pretensji, siostrze, nie mogłeś wiedzieć, że przyjdziemy... Kiedy się dowiedzieliśmy, postanowiliśmy wracać do Rady. Przeszmuglowaliśmy się na zewnątrz, a potem Drogon zniknęła na dwa dni i wrócił ze swoimi braćmi.

- Nie ma nas dużo konnych wędrowców - powiedział Drogon Cutterowi. - Można rozpuścić wici. Wiem, gdzie ich szukać. I mają wobec mnie dług wdzięczności.

- Gdzie teraz są?

- Większość odjechała. Niektórzy ruszą rano. To są koczownicy, Cutter. Podziękuj im taką monetą, jaką możesz, niczego więcej nie chcą.

- Wiedzieliśmy, że milicja was ściga - powiedział Rahul. - Gnaliśmy na złamanie karku.

- Przybyliście znikąd.

- Jechaliśmy tajemnymi drogami. Drogon je zna. Jechaliśmy szybko jak wiatr. Nigdy nie widziałem takich koni. Gdzie mnich? Ten, co mówił o ukrytych szlakach. Qurabin. O, nie... bogowie. A Ori? Czy on...? Ori? Bogowie, bogowie. A...

- Elsie.

- Nie. Nie. O, bogowie.

- Nie wierzyłem, że możecie zwyciężyć - powiedział Cutter do Radnych. - Przyznaję to. Pomyliłem się. Na szczęście. Ale to nie wystarczy. Mówiłem wam, dlaczego nie ma tutaj Judasza, pracuje nad czymś. Dla Kolektyw. Ale jest już za późno. Za późno. Judasz próbuje uratować to, co można jeszcze uratować. Posłuchajcie mnie. Kolektyw jest skończony. Nie, zatkajcie gęby i słuchajcie. Kolektyw był... marzeniem, tylko pięknym marzeniem. To nie zadziałało. Jeśli nie jest już martwy, to będzie za kilka dni. Rozumiecie? Za kilka dni. Zanim Rada dotrze pod miasto, Kolektyw już nie będzie. Władze wprowadzą stan wojenny. I co wtedy? Zabili Stem-Fulcher i guzik to dało. Systemu nie da się pokonać... nie patrzcie tak na mnie, nie podoba mi się to tak samo jak wam. Kiedy przyjedziecie i powiecie: „Witamy, jesteśmy duszą rewolucji, pozwólcie nam się zainspirować”, wiecie, co się stanie. Wiecie, co na was będzie czekało. Cała crobuzońska milicja. Każda zasrana machina wojenna, każdy karcista, każdy taumaturg, każdy konstrukt, każdy szpicel i kapuś. Zabiją was na oczach miasta i nadzieja, którą jesteście, bo dalej nią jesteście, umrze razem z wami. Posłuchajcie. Powiem wam jeszcze raz, co Judasz polecił mi wam przekazać. Musicie zawrócić. Żelazna Rada musi zawrócić. Albo zostawić pociąg. Dalsza jazda do Nowego Crobuzon byłaby samobójstwem. Zginiecie. Unicestwią was. A do tego nie można dopuścić. To nie do przyjęcia. Żelazna Rada musi zawrócić.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

- Zniszczą was - powiedział. - Chcecie umrzeć? Macie zobowiązania wobec świata, potrzebujemy was.

Oczywiście nie dali się przekonać. Znowu ruszyli, parli przez pagórkowaty teren, zostawiwszy za sobą stupy walki. Cutter ze zgrozą przyjął fakt, że go nie posłuchali, ale nie spodziewał się niczego innego. Przedstawił swoje argumenty i otrzymał różne odpowiedzi.

Niektórzy raczyli go idiotycznym triumfalizmem, który doprowadzał go do szału.

- *Już raz pokonaliśmy Nowe Crobuzon i zrobimy to znowu.*' - mówili.

Cutter patrzył na nich z osłupieniem, bo wiedzieli - widział to po nich - że to mrzonki. Wiedzieli.

Inni rozważyli sprawę dogłębniej. Dali mu do myślenia.

- Kim byśmy byli? - spytał Grubogoleń. Człowiek-kaktus za pomocą zwierzęcego zęba wyciął sobie tatuaż na ramieniu, węża. - Jak to sobie wyobrażasz, że zostaniemy rozbójnikami? Żyliśmy wolni w republice, którą sami stworzyliśmy. Mam z tego zrezygnować i zostać dzikim włóczęgą? Wolę zginąć na polu walki.

- Spoczywa na nas odpowiedzialność - powiedziała Ann-Hari. Cutter zawsze czuł się w jej obecności nieswojo. Jej żarliwość rozstrajała go - męczyła i wzbudzała poczucie niepewności, jakby się bał, że Ann-Hari przekona go wbrew jego woli. Wiedział, że jest zazdrosny, nikt nie miał tak wielkiego wpływu na Judasza jak Ann-Hari. - Jesteśmy marzeniem - mówiła. - Marzeniem zwykłych ludzi. Od samego początku wszystko prowadziło do tego punktu, do naszego miejsca w historii, i nie możemy zawrócić z tej drogi.

„Co to znaczy?” - pomyślał. „Co ty chcesz mi powiedzieć?”

- Przyszedł czas, żeby doprowadzić rzecz do końca. Niech się dzieje, co chce. Musimy wrócić do miasta, rozumiesz?

Więcej nie chciała powiedzieć.

Przyjaciele szeptodzieja, nieoczekiwana kawaleryjska odsiecz, w obłokach pyłu odjechali na wschód, na zachód. Drogon został. Cutter zadał sobie pytanie dlaczego.

- Czego oczekujesz od tych ludzi? Byłeś w mieście i wiesz, że zginiemy.

- *Możliwe.* - Drogon wzruszył ramionami. - *Wiedzą, co ich czeka. Kim ja jestem, żebym im dyktował, co mają robić? Wybierasz jakąś drogę i od pewnego punktu to ona za ciebie decyduje. Muszą jechać dalej.*

„Spieranie się nie ma sensu” - pomyślał Cutter. Był przerażony postawą, którą postrzegał jako fatalizm. „Gdyby spróbowali to uzasadnić, to by nie potrafili, ale chociaż o tym wiedzą, jadą dalej... A że fakty przemawiają przeciwko temu, to zmieniają fakty”. Taka metoda podejmowania decyzji, taki sposób myślenia były mu zupełnie obce. Czy to było racjonalne? Tego nie wiedział.

Droga Żelaznej Rady prowadziła przez mglisty świat. Skarpy i pagórki, falangi drzew, które sprawiały wrażenie chwilowych zgrubień wilgoci w powietrzu, zdawały się zbrylać z pary wodnej, kiedy przejeżdżał wieczny pociąg, a potem rozplywać w eterze.

Nagle krajobraz stał się znajomy, uruchamiając stare wspomnienia. Oddychali teraz

crobuzońskim powietrzem. Między ociekającymi wodą krzewami głogu latały czyżyki. Crobuzońska zima. Od miasta dzieliło ich kilka tygodni podróży.

- Był kiedyś z nami pewien człowiek, przed wielu, wielu laty - powiedziała Ann-Hari do Cuttera. - Zanim odwiedził nas Tkacz i zdradził nam tajemnice. Zanim staliśmy się Radą. Ten człowiek stracił rozum, potrafił mówić tylko o pająku. Był jak prorok. Ale potem stał się nudny, a później w ogóle przestaliśmy go słyszeć. On mówił, a myśmy go nie słyszeli, rozumiesz? Z tobą jest tak samo - stwierdziła z uśmiechem. - „Zawracajcie, zawracajcie” - mówisz, a my cię nie słyszymy.

„Otrzymałem misję i zawiodłem” - pomyślał Cutter. Świadomość, że człowiek, którego kochał, liczył się z tym, nie zmniejszała jego smutku.

Był teraz jak duch. Szanowano go jako jednego z wędrowców, którzy przemierzali kontynent, żeby uratować Żelazną Radę. Jego heretyckie przekonanie, że Radę czeka zagłada, traktowano z uprzejmym brakiem zainteresowania. „Jestem duchem”.

Nikt go nie zmuszał do pozostania. Mógł wziąć sobie konia i odjechać. Przedgórze, porzucone tory, Rudewood, wreszcie Nowe Crobuzon. Ale nie był do tego zdolny. „Moje miejsce jest tutaj” - to była jego jedyna myśl. Oszczędłby, gdyby nie miał innego wyboru.

Widział mapy. Trasa wiodła na wschód. Uciekała od dziur po słupach i pozostałości torowiska, by dotrzeć do innego nieużywanego odcinka kolei kilkadziesiąt kilometrów na południe od Nowego Crobuzon. Tam zamierzali podłączyć się do starych torów i ruszyć pełną parą, by kilka godzin później znaleźć się u bram miasta.

Cutter planował opuścić Radę, gdyby nie miał innego wyboru. Ale nie teraz.

- Jesteśmy nadzieją - powtarzała Ann-Hari.

„Może ona ma rację. Pociąg przyjedzie, niedobitki Kolektywu powstaną i obalą rząd”.

Nie byli sami pośród tej wilgotnej głuszy. Co kilka dni widywali pojedyncze gospodarstwa, niewielkie drewniane domy na wzgórzach. Kilka morgów pochyłej, kamienistej ziemi w cieniu urwistych skarp. Sady, ogródki warzywne, zagrody z owcami w ziemistym kolorze. Górscy rolnicy i żyjące na odludziu rodziny wychodziły na zewnątrz i patrzyły, jak pociąg ich mija, co trwało wiele godzin. Mleczny kolor skóry zdradzał, że rozmnażają się we własnym gronie. Z głębokim osłupieniem wpatrywali się w wielkiego żelaznego potwora. Czasem przynosili towary na wymianę.

W okolicy musiały się znajdować jakieś miejscowości handlowe, ale Żelazna Rada na żadną nie trafiła. Wiadomość o ich przyjeździe - o zbliżającym się z zachodu pociągu wagabundzie, eskortowanym przez armię liberosynkretów i ich dzieci, dumnych i wolnych - tajemnymi ścieżkami pogłosek wędrowała po tej wiecznie wilgotnej krainie.

„W Nowym Crobuzon też o nas usłyszą. Może już wkrótce wyślą przeciwko nam milicję”.

- Wiecie już? - spytała ich bezzębna rolniczka. Zaproponowała im wędzoną w dymie z drewna jabłoni szynkę, za pieniądze - ezoteryczne dublony z zachodniego kraju i kolejową pamiątkę - dali jej lepkie od smaru kółko zębate, które wzięła do ręki z taką czcią, jakby to była święta księga. - Słyszałam o was. Wiecie już? - Z dumą dała im wolny przejazd przez swoje nędzne morgi, nastawała, żeby poprowadzili tory przez środek jej pola. - Zrobicie za mnie orkę. Wiecie już? Podobno w Nowym Crobuzon jest niespokojnie.

„To może znaczyć, że Kolektyw padł. To może znaczyć, że zwyciężył. To może znaczyć

wszystko”.

Im dalej na wschód, tym więcej słyszeli o tych niepokojach.

- Wojna się skończyła - relacjonował pewien mężczyzna.

Jego chałupa pełniła funkcję stacji kolejowej, a weranda peronu. Mieszkańcy całej okolicy zjechali się do niego, aby być świadkami przejazdu Rady. Patrzyli na żelaznego kolosa z radosną powagą.

- Wojna się skończyła. Tak mówią. Wojowali z Tesh, prawda? Wojna się skończyła, wygraliśmy. - „My? Twoja stopa nigdy nie powstała w Nowym Crobuzon, człowieku. Nigdy nie byłeś nawet w promieniu stu kilometrów od miasta”. - Coś wykombinowali, pokonali ich i teraz Tesh chce pokoju. O czym mam wiedzieć? O Kolektywie? Co to jest Kolektyw?

Nowe Crobuzon coś wykombinowało. Ta historia się powtarzała. Tajna misja, mówili niektórzy, skrytobójstwo. Coś zostało zatrzymane i rzeczywistość się zmieniła. Teshi zostali przyparci do muru i zmuszeni do negocjacji albo kapitulacji. Wyglądało na to, że ten triumf wzmocnił pozycję Parlamentu i burmistrza, odbierając poparcie Kolektywowi. Nie umiał z tego żartować. Wolał o tym nie myśleć.

- Strajkujący? Są skończeni. Władza zrobiła z nimi porządek.

Uciekinierzy z miasta przemierzali deszczowe niziny. Osiedlali się w miasteczkach mijanych przez Żelazną Radę: ponownie zaludniali opuszczone miejscowości. Rada zostawiła za sobą pagórkowate tereny i niestrudzenie kładła tory na zniwelowanym wcześniej podłożu, na ponownie uczęszczanych głównych drogach. Nowi mieszkańcy wylaniali się z dawnego baru, kościoła czy domu uciech i patrzyli, jak przez kilka godzin - a tempo z każdym dniem wzrastało - załogi układały szyny na zatartych drogach, po których kiedyś jeździły dylizanse i konni włóczędzy.

- Wiecie już?

Dziesiątki razy słuchali tych samych historii. Wśród zbiegów musieli się znajdować również ludzie z dzielnic kontrolowanych przez Parlament, ale nikt się do tego nie przyznawał: wszyscy byli Kolektywistami, którzy uciekali przed milicją. „Na pewno nie jesteś jakimś drobnym kapusiem?” - myślał sarkastycznie Cutter. „Na pewno jesteś organizatorem ruchu oporu, jak twierdzisz?”

- Słyszeliście?

„Że wojna się skończyła, że pobiliśmy Tesh, a kiedy pobiliśmy Tesh, burmistrz odzyskał kontrolę nad sytuacją, przywrócił porządek i Kolektyw padł? Tak, słyszeliśmy”. Ale nie wszyscy w to wierzyli.

W tych odrodzonych miastach goszczono ich seksem i crobuzońską kuchnią.

- Po co tam jedziecie? Nie słyszeliście? Kolektywu już nie ma. Jakies niedobitki, paru terrorystów w Dog Fenn, parę ulic tu i tam.

- Ja słyszałem co innego. Mnie mówili, że wciąż istnieje i walczy.

- Jedziecie pomóc, walczyć po stronie Kolektywu? Ja bym nie wracał. Do diabła, tam jest wojna!

- Ja bym wrócił. Mogę się z wami zabrać?

Część z tych, którzy uciekli szukać szczęścia na pustkowiu - zwłaszcza młodych - przyłączyła się do wiecznego pociągu, by zaledwie po kilku tygodniach wrócić do Nowego Crobuzon.

- Opowiedzcie nam o Żelaznej Radzie! - prosili i ich nowi towarzysze raczyli ich starymi historiami.

Kursowały legendy o niezwykłych, nieznanych mocach.

- Słyszeliście o golemiście Judaszu Low?

Cutter słyszał.

- A co?

Cutter podszedł do mężczyzny, który to powiedział.

- Golemista Low ma armię sztucznych ludzi. Robi ich z gliny w swojej piwnicy i kiedy przyjdzie czas, przejmie władzę w Nowym Crobuzon. Widziano go poza miastem, w zajezdniach kolejowych, na bocznicach, przy torach. Ma plany.

Odległość malała i wiadomości od uciekinierów były coraz świeższej daty.

- Już po wszystkim - mówili. - Kolektywu nie ma. Żal za serce ściska.

Tego wieczoru Cutter rozglądał się za Drogonem i uzmysłowił sobie, że szeptodziej zniknął. Cutter ruszył wzdłuż pociągu, rozpytywał się, rozsyłał wici, ale bez rezultatu.

Naturalnie istniała możliwość, że szemracz pojechał na polowanie albo jakąś sobie tylko znaną misję, ale Cutter był przekonany, że Drogon odszedł na dobre. Że przekroczyli jakąś niewidoczną granicę, że poczuł w powietrzu coś, co mu się nie spodobało, i postanowił zakończyć swoją przygodę z Żelazną Radą.

„Czy to już wszystko?” Taki nagły, bezbarwny koniec znajomości. „To było wszystko, czego chciałeś? Nie miałeś potrzeby się pożegnać?”

Cutter również przygotowywał się do odejścia. To już nie mogło długo potrwać. Z wyprzedzeniem poczuł pustkę, tęsknotę za czymś utraconym. Zadawał sobie pytanie, jak i gdzie milicja zaatakuje i unicestwi Radę. Prze-tworzeni, ich rodziny i towarzysze, Radni - wszyscy wiedzieli, co się szykuje. Zmienili repertuar śpiewanych przy pracy pieśni na wojenne. Oliwili strzelby i rewolwery, w przewoźnych piecach hutniczych wytapiano sztylety, miecze, szable. Radni nosili przy sobie własnoręcznie zrobioną lub kradzioną broń. Soczewki ze szkła i miedzi, narzędzia artyleryjskiego szamanizmu. Stojaki z lancami i bronią z zachodniego wybrzeża.

- Ludzie do nas napłyną, staniemy się armią, weźmiemy miasto szturmem. Odwrócimy losy walki. Wpiszemy się na karty historii.

Cutter najchętniej zatkałby sobie uszy.

Strużki uciekinierów błdziły po kraju, nie wiedząc, dokąd zmierzają, byle dalej od crobuzońskiej rzezi.

Okolica wciąż niezasiedlona, nieliczne na poły zdziczałe sady, drzewa owocowe z klimatu umiarkowanego. Wyraźny moment graniczny. Wciąż pośród dzikiej, niebezpiecznej krainy, a potem nagle i z dziwnym rozczarowaniem zobaczyli oznaki cywilizacji. Wiedzieli, że są blisko.

Niwelatorzy i zwiadowcy.

- Tam. Zaraz za tym. - Za kamienistymi wzniesieniami. - Stare tory. Do Junctiontown na moczarach. A potem do Nowego Crobuzon.

Dwa dni drogi. Cutter liczył się z tym, że z krzemienych jaskiń i kryjówek w każdej chwili mogą wyskoczyć oddziały crobuzońskiej milicji, ale nie wyskakiwały. Jak długo miał jeszcze czekać? Ze wszystkich sił starał się im wyperswadować to przedsięwzięcie. Czy przyjdzie mu jeszcze raz nastawiać lusterka?

- Golemista Low był widziany. Jest w górach, strzeże nas. Jest przy starych torach.
„Tak? Rzeczywiście?” - pomyślał sarkastycznie Cutter. Czuł się bardzo samotny. „Gdzie jesteś, Judaszu?” Nie wiedział, co ma robić.

Małe grupy Radnych odchodziły - głównie starsi, pierwsze pokolenie, które pamiętało fabryki kar. W niewielkiej, ale odczuwalnej liczbie. Szli szukać drewna lub pożywienia i nie wracali. Ich towarzysze kręcili głowami z oburzenia i zatroskania. Nie wszyscy byli nieustraszeni albo zdolni zignorować strach.

„Podejmę decyzję, kiedy zobaczę stare tory” - pomyślał Cutter. Potem poszedł z torowymi, którzy przeciskali żelazną drogę przez szpary między geologicznym osadem i bazaltowymi podporami, ciągnęli ją przekopem - i oto jego oczom ukazały się tory, wilgotnie błyszczące, czarne, ale lśniące. Ponad dwudziestolatnie. Biegące szerokim łukiem, ścieśnione przez perspektywę, ślizgające się po geografii. Metalowa ścieżka. Niekonserwowane podkłady ugięły się, ale mocowały szyny do podłoża.

Aplauz Radnych długo unosił się w zimnym, wilgotnym powietrzu. Torowi wymachiwali narzędziami. Prze-tworzeni gestykulowali nieforemnymi kończynami. Droga do Nowego Crobuzon. Stara droga. Zostawiona na pastwę żywiołów, kiedy pustki w skarbcach i magazynach położyły kres epoce prosperity MKK. W niektórych miejscach ściany przekopu osunęły się i pogrzebały metal. Torowisko stało się bieżnią dla dzikich zwierząt.

Szabrownicy ukradli niektóre odcinki torów. Rajcy uzupełniali luki z własnych zasobów. Żelazna Rada przemierzyła już kiedyś tę drogę, jeszcze nienarodzona, jako zwykły pociąg. Wilgotne kamienie, czarny, lśniący metal. Cutter nie mógł oderwać od tego wzroku. Co dalej? Co się dzieje w mieście? Gdzie walczy Kolektyw? Zostać czy odejść?

„Judaszu, ty draniu, gdzie jesteś?”

Młotkowi kładli szyny i starannie wyskalowanymi uderzeniami z boku nadawali im odpowiedni kierunek. Delikatnie skręcali, żeby wpuścić tory do starego przekopu.

„To wszystko jest posłowie” - pomyślał Cutter. „To się dzieje po zakończeniu opowieści”.

Kolektyw upadał albo upadł, w mieście panowała anarchia i przemoc. „Przeważymy szalę” - pomyślał Cutter ze smutną ironią, przedrzeźniając w głowie słowa Radnych.

„Najważniejsza chwila w dziejach Nowego Crobuzon. Doprowadzony do upadku przez wojnę i przez kres wojny, który - przebaczenie mi, bogowie - był moim dziełem, naszym dziełem. Ale co mieliśmy zrobić? Oddać miasto Teshim?” Wmawiał sobie, że Kolektyw i tak by upadł, ale wcale nie był tego pewien. Rysował znaki na ziemi, kontury pociągów, mężczyzn i kobiet uciekających przed czymś albo biegnących ku czemuś. „Może Kolektyw tylko się ukrywa. Może wszyscy w mieście czekają. Może powinienem zostać”. Wiedział, że nie zostanie.

Z obawy przed milicją i rozbójnikami rozciągniętego kolejowego miasta pilnowało więcej strażników, ale większość rozbójników, którzy przychodzili, liberosynkretów i innych, pragnęła przyłączyć się do Rady. Zjawiali się codziennie i pytali, czy muszą przejść próbę, udowodnić swoją przydatność. Radni witali ich przyjaźnie, choć niektórzy martwili się, że mogą być wśród nich szpiedzy. W chaosie tych dni nie było jednak miejsca na nadmierną ostrożność. Cutter wszędzie spotykał nowych przybyszów ogarniętych niepewnym entuzjazmem. Pewnego razu przetaił oczy ze zdumienia, bo wydawało mu się, że zobaczył mężczyznę, którego tułów był posadowiony tyłem na grzbiecie konia.

Któregoś wieczoru, idąc przez zimną mgłę i stado spłoszonych gołębi skalnych, Cutter usłyszał głos. Głęboko w uchu.

- *Chodź do mnie na górę. Muszę ci coś powiedzieć. Po cichu. Proszę cię. Po cichu.*

- Drogon? - Żadnego dźwięku oprócz trzepotu skrzydeł. - Drogon?

Grzechot kamyczków.

To nie był rozkaz, tylko prośba. Szemracz mógł go zmusić do przyjścia, ale nie zrobił tego.

Drogon czekał pośród ciemnych wzgórz nad pociągiem.

- Myślałem, że odszedłeś - powitał go Cutter. - Gdzie się podziewałeś?

Obok Drogona stał siwowłosy mężczyzna. Szemracz trzymał w ręku pistolet z lufą skierowaną w dół.

- Ten? - spytał starzec i Drogon skinął głową.

- Kto to jest? - spytał Cutter. Mężczyzna trzymał ręce za plecami. Miał na sobie staroświecką kamizelkę. Liczył sobie co najmniej osiemdziesiąt lat, ale stał prosto jak struna i patrzył na Cuttera z życzliwą powagą. - Kto to jest, Drogon? Kim ty, kurwa, jesteś?

- Drogi chłopcze...

- *Spokój* - polecił Drogon Cutterowi do ucha.

- Jestem tutaj, by przedstawić ci sytuację. To jest święte dzieło i musisz być poinformowany. Powiem ci prawdę, synu: nie interesowałeś mnie i nie interesujesz. - Mówił z melodyjnym zaśpiewem. - Przybyłem tutaj, aby zobaczyć pociąg. Od dawna tego chciałem i przyszedłem pod osłonę ciemności. Ale twój przyjaciel - ruchem głowy pokazał na Drogona - uparł się, że musimy pomówić. Uważa, że może cię to zaciekawić.

Skłonił głowę. Cutter spojrział na pistolet w dłoni Drogona.

- Teraz posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Jestem Wrightby.

- Tak, widzę, że mnie znasz, wiesz, kim jestem. Przyznaję, że mnie to cieszy. Cutter ciężko oddychał. „Bogowiekurwacholera!” Czy to możliwe? Znowu zerknął na pistolet Drogona.

- *Stój spokojnie.* - Wyszepłany rozkaz. Cutter wyprężył się tak szybko, że kręgosłup mu zatrzęszczał. Był sztywny jak pał. - *Nie ruszaj się.*

„Jabberze...” Cutter zdążył już zapomnieć, jak się czuje człowiek komenderowany przez Drogona. Trząsł się, próbował zacisnąć dłonie w pięści.

- Jestem Weather Wrightby i pragnę ci podziękować. Za to, co zrobiłeś. Masz świadomość, co osiągnąłeś? Przemierzyłeś świat. Wielkie przedsięwzięcie naszych czasów, na które od młodości czekałem. Ja sam wielokrotnie próbowałem. Z moimi ludźmi. Nie szczydziliśmy wysiłków. Przebijaliśmy się przez góry, przez dymokamień, pokonywaliśmy

wszelkie naturalne przeszkody. Znasz je. Próbowaliśmy, umieraliśmy, zawracaliśmy. Zjadani, zabijani. Powaleni przez mróz. Próbowalem tego raz po raz. A potem byłem już za stary. To wszystko - zatoczył ramieniem - cały ten metalowy szlak z Nowego Crobuzon na mokradła, do rozwidlenia, do Cobsea, do Myrshock, to była wielka rzecz. Ale nie o to walczyłem. Nie taki był mój ostateczny cel. Moje marzenie. Wiesz o tym. Nie, poświęciłem swoje życie innej wizji, wizji drogi od morza do morza. Otworzyć kontynent. Na zachód od Nowego Crobuzon. Historyczne dzieło. O to walczyłem, tego pragnąłem. Wiesz o tym, prawda? Wszyscy wiecie. Nie będę udawał, że mnie nie zezłościście. Byłem wściekły, kiedy zabraliście mój pociąg. Ale potem zobaczyłem, co robicie... Święte dzieło. Wzięliście na siebie znacznie więcej, niż musieliście. Nie było mi łatwo przyglądać się temu beczynnemu, ale nie chciałem stawać wam na przeszkodzie. - Weather Wrightby jaśniał, jego wilgotne oczy pałały. - Musiałem do was przyjechać. Musiałem wam to powiedzieć. Za to, co zrobiliście, oddaję wam cześć.

Cutter dygotał jak zwierzę we wnykach, pozbawiony przez szemracza kontroli nad własnym ciałem. Szarpał się, ale bez skutku, ciągle słyszał „Nie ruszaj się” głęboko w uchu. Dźwięk ten przenikał go do szpiku kości. „Bogowie, kurwa, cholera”. Powietrze było zupełnie nieruchome. Z dołu dobiegały metaliczne brzęki. Było zimno.

- A potem przepadliście jak kamień w wodę, zniknęliście gdzieś na zachodzie. Ale wiedziałem, że jeszcze kiedyś o was usłyszę. A potem... - Weather Wrightby uśmiechnął się. - Choć przegrany i pokonany, mam swoje koneksje. Mam znajomych w Parlamencie, którzy chcą mojego sukcesu. Wiele dociera do moich uszu. Kiedy was znaleźli... jeden z ich zwiadowców albo kupców przepłynął się przez morze, usłyszał o kolejowym mieście i przekazał wiadomość do kraju, a oni wysłali szpiegów, którzy was wytropili... dowiedziałem się o tym. Kiedy wysłali żołnierzy, żeby pod osłoną wojny przywieźli z powrotem wasze głowy, również się o tym dowiedziałem. Czy mogłem zatem do was nie przyjść? Znaście drogę. Znaście szlak przez kontynent. Macie świadomość doniosłości tej wiedzy? Nie mogłem pozwolić, żeby ją pogrzebali. Poruszaliście się tak szybko, jak było to możliwe. W niektórych miejscach zbaczałem z trasy, trzymałem się bardziej na południe, bliżej Momentu. Ale przy wszystkich niuansach to jest wasza droga. Musiałem ją poznać. Przekazałem więc informację waszemu największemu obrońcy w mieście, jeszcze z czasów narodzin Rady. Myślicie, że ludzie o tym nie wiedzą? - Pokręcił głową z wyrozumiałym ubawieniem. - Kto mógł mieć jakieś wyobrażenie, dokąd udała się Rada? Oczywiście wiedzieliśmy to. Od dawna wiedzieliśmy, kto jest ich człowiekiem w mieście. Długo opłacałem jednego z jego znajomych, żeby utrzymać z nim kontakt. Uzyskał od niego informacje, które pozwalały mu was znaleźć. Byliśmy przekonani, że się tego podejmie. A my mu pomagaliśmy w wykonaniu tego zadania. W znalezieniu Rady i sprowadzeniu jej z powrotem do kraju. Mój szeptodziej. - Drogon był jego pracownikiem. Ochroniarzem, funkcjonariuszem MKK. Krew odpłynęła Cutterowi z żołądka. - Podobno jest gdzieś w pobliżu. Wasz protektor Low. Widziano go. Odkąd Kolektyw znalazł się na krawędzi klęski, sprawiał wrażenie zagubionego. Widziano go koło torów. Czekał na wasze przybycie. Mamy to, czego potrzebowaliśmy. Przyszliśmy pomóc i poznać ostatni etap drogi. Teraz znamy ją od początku do końca. Drogon, mój człowiek. Dobry chłop. Nie mogliśmy pozwolić, żeby was unicestwili. Musieliśmy temu zapobiec. Tak blisko celu, już prawie w domu. Nie mogłem dopuścić do tego, żeby was zabili tak blisko miasta. Chcieliśmy waszego powrotu.

„Dlatego Drogon wrócił. Ten obłąkany bydlak, zaszrana misja Wrightby’ego. A kawaleria, która przyjechała na ratunek? Wszyscy z MKK? Bogowie kochani! Było dla niego ważne, żebyśmy dotarli do końca. Chciał zobaczyć, jak koło się zamyka. Chciał poznać naszą drogę do ostatniego metra. Walczył z miastem. Zabił milicjantów, żeby doprowadzić do naszego powrotu”.

- A teraz jesteście tutaj. Spokojnie, synu, spokojnie.

- *Nie ruszaj się* - szepnął Drogon i samotnina Cuttera ustała.

- Dzisiaj jesteście tutaj, a jutro starym odcinkiem torów pojedziecie do miasta. Zrobiliście to, co było do zrobienia. Naniósłem na moje mapy waszą trasę. Przez kakotopiczną plamę. Pokonaliście tę drogę dzięki sile waszych ciał i marzeń. Dziękujemy wam za to. - Drogon skinął głową, bez szyderstwa i fałszywej uprzejmości. - Możecie być pewni, że to wykorzystamy. Zbuduję żelazną drogę. Ten kontynent zostanie odnowiony, prze-tworzony, upiększony.

Cutter wpatrywał się w tego finansowo-kolejowego wizjonera. Nie był w stanie mówić, nie był w stanie powiedzieć Weatherowi Wrightby'emu, że jest obłąkany. Wrightby miał teraz wiedzę, która umożliwiła mu przemierzenie całego kontynentu, po tylu nieudanych próbach. Planował pompować pieniądze w kolejowy przekop i zassać je z powrotem pomnożone. Planował przeobrazić świat i Nowe Crobuzon.

„Da radę? Droga jest długa. Cholernie długa”.

„Ale teraz ją zna”.

- Teraz ci powiem, jak wygląda sytuacja: czekają na was. Kolektyw jest martwy. Wiesz o tym, prawda? I milicja wie o waszym przybyciu. Czekają na was. Wiedzą, w którym miejscu przyjedziecie. Na dworcu towarowym, który zbudowaliśmy, będzie ich wielu. - Całe bataliony. Całe brygady. Szereg za szeregiem, z bronią i stoicyzmem masowych morderców. Czekali na ofiary z przyszykowaną taumaturgiczną rzezią. Żaden świetlny golem, żadna mchomagia, żaden zapal bojowy liberosynkretów i ich towarzyszy, żaden bitewny amok ludzi-kaktusów, żadne szamanistyczne zaklęcia nie miały szans w starciu z tą siłą. - Umrzecie. Jestem tutaj po to, żeby wam to powiedzieć.

Wypowiedział tę przestrozę takim tonem, jakby to był kolejny wątek przyjaznej pogawędki. „Już nie stanie w naszej obronie. Ten popapraniec pomagał nam kiedyś z powodu jakiejś religijnej albo kupieckiej obsesji. Gotów był wystąpić przeciwko rządowi. Ale teraz, kiedy wróciliśmy, wykonawszy zadanie, nie jesteśmy mu już potrzebni. Może zrobić to, o czym zawsze marzył. W głowie Drogon a i w śladach po naszej jeździe ma to, czego potrzebował”.

- Chcę wam powiedzieć, że jesteście wspaniali. Ta odwaga, ta niezłomność. Przekroczyło to wszelkie moje wyobrażenia. Brawo i jeszcze raz brawo. Misja została wykonana. Powiem ci, dlaczego cię o tym informuję. Byłoby nieprzyzwoite, gdybyś nie wiedział, co cię czeka za ostatnim zakrętem, na bocznicy tego dworca. Spotkasz tam milicję. - Cutter zadrżał. Drogon obserwował go. - Ale możesz też odejść. - Serce Cuttera zabiło szybciej, jakby dopiero wypowiedzenie tych słów przez Wrightby'ego stworzyło taką możliwość. Jakby potrzebował jego zgody na ucieczkę. - Możesz odejść. Drogon chciał, żebyś miał ten wybór. Dlatego tutaj jestem.

„Drogon? Ty go nakłoniłeś?” Cutterowi akurat starczyło siły, żeby skierować oczy na swojego niegdysiejszego towarzysza. Morderca w kowbojskim stroju nie podniósł wzroku. Jakże rozwodniona kamrateria! O co chodziło w tej ostatniej szansie dawanej Cutterowi? „Zawsze miałem taką możliwość” - pomyślał Cutter, ale ogarnęło go wrażenie, że otrzymał od Drogon a prezent.

- Nieśliście historię przez stopy Rohagi. Dzięki wam MKK stał się prawdą, chociaż wcześniej zawsze był kłamstwem. Święte dzieło dokonało się, kontynent został przemierzony. Teraz możesz odejść. Ale jest też inna możliwość. Mógłbyś nam pomóc. Mógłbyś nam pomóc wrócić po waszych śladach. Tym razem kładlibyśmy tory na stałe. - Wrightby patrzył na niego, Drogon nie. - Drogon opowiadał mi o twojej fachowości, jak nauczyłeś się zdobywać, niwelować i badać teren. I zawsze byłeś niezależny. Wiemy o tym. Mógłbyś nam pomóc.

„Bogowie, Jabberze, Jabberze i cholera, boskie gówno, to mi się tylko śni”. Prawda, objawienie. „A więc to tak”. Nawet paralizujące zaklęcie Drogon nie zdołała powstrzymać Cuttera przed szyderczym wykrzywieniem ust.

„A więc o to chodziło?” Próbował mówić, ale nie był w stanie. Mina, którą zdołał wycisnąć na swoją twarz, pytała: „Co ty sobie myślisz? Za kogo ty mnie masz? Myślisz, że mam tak mało uczuć dla ludzi, z którymi razem walczyłem, pracowałem i dupczyłem się, żeby zostawić ich dla ciebie? Żeby razem z tobą bić pokłony mamonie? Te wszystkie religijne brednie miały służyć zwerbowaniu mnie? Chcesz mnie w swojej drużynie, bo znam drogę? Bo już to raz zrobiłem? Chcesz mnie w swojej drużynie? Za kogo ty mnie masz?”

Kipiało w nim obrzydzenie, ale stał w zaszepętanym bezruchu, z rękami po bokach.

- Co na to powiesz? - spytał Wrightby.

W uchu Cuttera zabrzmiał głos Drogon:

- *Mów.*

- Chuj ci w dupę - bluznął natychmiast Cutter. Wrightby skinął głową i czekał. - Odpierdol się od mojego pociągu. Wy sukinsyny, ty zdrajco, Drogon, nie uciekniesz nam...

Zaczerpnął tchu, żeby krzyknąć, i Drogon ponownie zamknął mu usta.

- Nie uciekniemy wam? - powiedział Wrightby z miną zdradzającą zaskoczenie. - Sądzę, że nie masz racji. Jestem pewien, że nie masz racji. Idziemy. Będę na dworcu towarowym. Będę czekał, kiedy przyjedzie pociąg. Przyjdź do mnie, gdybyś zmienił zdanie.

Drogon znowu szepnął i Cuttera chwycił potworny skurcz. Szeptodziej poprowadził Wrightby'ego ku ukrytej ścieżce, którą się oddalili. Odwrócił się i jeszcze raz szepnął do Cuttera:

- *Żebyś był poinformowany. Nie sądzę, żeby to zrobiło jakąkolwiek różnicę, ale tak na wszelki wypadek. Bo trzeba z tym raz na zawsze skończyć. Twoje lusterka są rozbite. Dla wszelkiej pewności.*

Weather Wrightby spojrzał Cutterowi w oczy.

- Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Po ich odejściu Cutter wciąż czuł działanie zaklęcia. „Dlaczego mnie nie zabiliście, sukinsyny?”

Jego ramię poszło do góry. Nie miało to znaczenia. Nie był zagrożeniem. Nie powiedzieli mu niczego nowego. „Milicja czeka” - od wielu tygodni to powtarzał. Wszyscy wiedzieli, że tak uważał. Teraz miał pewność, ale od dawna to mówił. Dlaczego to miałyby zmienić mesjanistyczne plany Żelaznej Rady?

Był jeszcze jeden powód, dla którego Drogon i Wrightby zostawili go przy życiu. Nie tracili nadziei, że przejdzie na ich stronę, nie pojedzie ze zmierzającą na rzeź Radą, tylko przyłączy się do nich. Nienawidził ich za to, ale jednocześnie pomyślał: „Kim ja jestem, że tak o mnie myślą?”

Łzy napłynęły mu do oczu. Nie wiedział, czy z powodu wysiłku, jaki włożył w wyswobodzenie się z zaklęcia, czy z jakiejś innej przyczyny. Zobaczył siebie samego tak, jak musiał go widzieć Drogon: jego sarkazm i samotność składały się na obraz człowieka, który tylko czeka na sposobność do tego, żeby zdradzić.

Przewożone w wagonie-zbrojowni lusterka zostały odwinęte ze swojego ochronnego zabezpieczenia. Szkło było pożyłkowane, płyta cynowa zamieniła się w kurz. Cutter chciał powiedzieć komuś o tym, co się stało, ale bał się swojego rozgoryczenia, rozpaczliwej pewności, że jego przewidywania się spełnią - bał się, że chociaż autentycznie cierpiał, ludzie dostrzegą u niego satysfakcję. Nienawidził tego w sobie. Wiedział, że Drogon to wyczuł. Dlatego próbowali go nakłonić do porzucenia towarzyszy.

Zaniósł rozbite lusterka do Ann-Hari i wszystko jej opowiedział.

Stare tory odbijały światło księżyca. Na horyzoncie, w kierunku wschodnim, noc była ciemniejsza: Rudewood, już w zasięgu wzroku. Światła pociągu i ogniska do gotowania promieniowały maleńkimi aureolami.

- No i? - spytała Ann-Hari.

- Co zamierzasz zrobić?

- Co ty zamierzasz zrobić?

- Ja bym zawrócił, na litość Jabbera. Pojechałbym torami na południe, nie na północ.

- Na moczary?

- Na początek. Tyle wystarczy, żebyśmy byli bezpieczni. Żebyśmy przeżyli, Ann-Hari.

Żebyśmy przeżyli. Oni czekają. Jutro, może pojutrze już tam będą.

- Naprawdę? I co z tego?

- Co z tego? - ryknął Cutter. - Czyś ty oszalała? Nie słyszysz, co do ciebie mówię? I o co ci chodzi z tym „naprawdę”? - nagle urwał. Mierzyli się wzrokiem. - Nie wierzysz mi.

- Nie wiem.

- Myślisz, że kłamię.

- Daj spokój. Jesteś dobrym przyjacielem Rady, Cutter, wiemy...

- Bogowie przenajświętsi, ty myślisz, że ja kłamię! W takim razie co to znaczy? Bogowie, myślisz, że to ja rozbiłem te przeklęte lusterka?

- Uspokój się, Cutter.

- Tak myślisz.

- Nie rozbiłeś lusterek, Cutter. Wiem o tym.

- Czyli co, myślisz, że kłamię na temat Drogon?

- Od początku nie chciałeś, żebyśmy wracali, Cutter. Od początku nie chciałeś, żebyśmy jechali do Nowego Crobuzon. A teraz mi mówisz, że czeka na nas milicja. Skąd wiesz, że Drogon i ten drugi nie okłamali cię? Wiedzą, co myślisz. Wiedzą, co ci powiedzieć. Może chcą, żebyśmy się przelękli i uciekli z podkulonym ogonem.

Cutter zawahał się. Czy to możliwe, że Weather Wrightby próbuje ich przestraszyć?

Może Kolektyw zwyciężył. Może wszyscy uciekinierzy się mylą, Kolektyw ustanowił nową demokrację, zlikwidował loterię wyborczą, rozbroił milicję i uzbroił ludność. Poległym postawiono pomniki. Parlament jest przebudowywany. Nie ma milicyjnych kapsułek ani nieoznakowanych sterowców w chmurach, w powietrzu unoszą się tylko wyrmeny, balony i girlandy. Może Weather Wrightby nie chce, żeby przystąpili do tej nowej wspólnoty.

„Nie”. Cutter wiedział. Znał prawdę. Nie tak było. Pokręcił głową.

- Musisz powiedzieć Radnym - stwierdził.

- Co mam im powiedzieć? - odparła Ann-Hari. - Że ktoś, kogo nie znaliśmy i komu nie ufaliśmy, przyszedł z innym nieznajomym, aby nas poinformować, że pewien scenariusz, który

braliśmy pod uwagę, zrealizował się, ale nie podali na to żadnych dowodów? Tak mam im powiedzieć?

Cutter poczuł, że wzbiera w nim bezsilna rozpacz.

- Na bogów, tobie jest wszystko jedno.

Wytrzymała jego spojrzenie.

- Nawet jeśli masz rację - mówiła - nawet jeśli dziesięć tysięcy milicjantów już teraz stoi w szyku bojowym, my tam będziemy, my chcemy tam być. Czy to jest jej obłąd? Jesteśmy Żelazną Radą - powiedziała. - Już nigdy nie zawrócimy.

Cutter miał ochotę wybiec na zewnątrz i wykrzyczeć prawdę, aby poznali ją wszyscy Radni, którzy przypadli mu do serca: jego towarzysze, jego chaverim, jego siostry. Chciał ich nakłonić do zawrócenia, zaklinać ich, powiedzieć im, co na nich czeka, powiedzieć im, co wie, co wie Ann-Hari. Nie zrobił tego. Milczał. Może przesądziła o tym jakaś wewnętrzna usterka, jakaś słabość, ale nie potrafił oznajmić wszystkim prawdy. Bo wiedział, że nie zrobiłoby to żadnej różnicy, że nikt by nie zawrócił.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Pociąg toczył się powoli po starych torach, brygady remontowe stale go poprzedzały, aby podeprzeć walący się nasyp z kamieni czy usunąć z drogi przeszkody. Spawali pęknięcia, dobijali obrośnięte rdzą hufnale. Najważniejszym czynnikiem spowalniającym nie był jednak stan torowiska, lecz przytłaczający historyczny wymiar ich przedsięwzięcia. Z prędkością piętnastu, dwudziestu kilometrów na godzinę Żelazna Rada jechała na północ, między erozyjnymi jarami i bazaltowymi skałami magmowymi, do Nowego Crobuzon.

Każde okno jeżyło się od strzelb. Platformy, porośnięty trawą cementarz, miasteczka namiotowe na dachach - wszędzie roilo się od uzbrojonych Radnych. Siedzieli razem i śpiewali pieśni bojowe. „Opowiedzcie nam o Nowym Crobuzon” - mówili młodzi, urodzeni przez prostytutki w czasach, kiedy Rada wciąż była pociągiem budowlanym, albo przez wolne kobiety w interiorze Bas-Lag, albo przez członkinie Rady.

Za pociągiem szli ci, którzy nie mogli walczyć: dzieci, kobiety w ciąży, prze-tworzeni z dyskwalifikującymi ich modyfikacjami, starcy. Tworząc rozciągniętą kolumnę marszową, śpiewali własne pieśni.

Wyrmeny latały na misje wywiadowcze i po powrocie zdawały relacje z tego, co widziały. Tory powoli wznosiły się do góry, by wreszcie osiągnąć wierzchołek grani dzielącej porośnięty granitowymi głazami teren na dwa zbocza. Stworzenia mieszkające w koronach mijanych drzew wrzeszczały na ich widok. Wiele kilometrów na zachód miazmaty drzew gęstniały: Rudewood.

Godziny szybko mijały do wtóru hipnotycznego turkotu kół, o którym Cutter zapomniał przez wielomiesięczny okres wolnej jazdy. Teraz, kiedy pociąg mógł rozwinąć większą prędkość, znowu było słycać ten rytmiczny odgłos. Perkusja kół, stukot tłoków. „Uch uch, uch uch”, jakby ktoś raz po raz klepał Cuttera w ramię, przypominał mu o czymś, wprawiał w synkopowany niepokój.

„Będę wiedział, za chwilę będę wiedział” - pomyślał. „Za chwilę zdecyduję”. Wieczny pociąg nie zatrzymał się, kilometr za kilometrem był coraz bliżej Nowego Crobuzon, nie dając mu czasu do namysłu. „Co się stanie?” Broń miał gotową do strzału. Jechał w wagonie służbowym z ludźmi z zewnątrz, uchodźcami, którzy byli podnieceni i pełni strachu przed tym, co ich czekało. Tory wiły się jak wąż, jakby chciały ukryć przed ich oczami stację końcową. „Jeszcze kawał drogi” - pomyślał Cutter, ale miał wrażenie, że koniec linii czyha za następnym zakrętem. „Nie zostanę”. Nagle ogarnęła go pewność. „Nie pójdę do tego bydlaka Drogona, ale nie zrobię mu też prezentu z mojej śmierci”. Co w takim razie zrobisz? Oddał temu pytaniu głos. „Ucieknę”. Dokąd? „Tam, gdzie trzeba”. A Judasz Low? „Spróbuję go znaleźć”. Judasz Low. „O Judaszu, o Judaszu. Judasz, Judasz”.

Noc zapadła tak, jakby ciemność zagaęściła powietrze. Jechali dalej. Światło rozlewało się z okien na szarą równinę. Z oddali pociąg wyglądał jak stonoga stąpająca na odnóżach z gazowego światła.

Już tylko kilkadziesiąt kilometrów. Nagle z torów zniknęły przeszkody i śmieci. „Może są regularne kursy” - pomyślał Cutter. Może miasto utrzymuje ten odcinek na chodzie, wozi nieczynnych pasażerów na nieczynne stacje. A potem, w nikłym świetle przedświt, zobaczył przy torach ludzi, którzy machali toporkami i miotłami z gałązek, wołając: „Naprzód, naprzód!” i „Witamy w domu!”.

Zbiegli z miasta Kolektywiści. Coraz więcej uchodźców wyłaniało się z ciemności przed pociągiem, mrugali osłepiani mlecznym światłem reflektorów i machali. Zaanonsował się dzień. Dezerterzy z wojny między Kolektywem i Parlamentem, którzy przeszli przez Rudewood albo niebezpieczne korytarze na zachód od Dog Fenn, gdzie milicja urządziła sobie odwetowe polowania. Przybyli tutaj jako niewykwalifikowana brygada do sprzątnięcia torowiska.

Crobuzończycy machali czapkami i szalikami. „Do miasta, do miasta!” - krzyknął jeden z nich. Niektórzy płakali. Rzucali na tory wyschnięte płatki kwiatów. Ale byli też tacy, którzy unosili ramiona nad głowę i wołali: „Nie, zabijają was!”. Inni mieli na twarzach coś w rodzaju smutnej dumy.

Biegli wzdłuż torów, wskakiwali na progi, rzucali zimowe kwiaty i jedzenie Radnym i ich dzieciom, wołali do nich i zeskakiwali. Pod ciężarem losu i swojej misji pasażerowie wiecznego pociągu stali się poważni i milczący. Zadanie przycięcia uchodźców spadło na tych, którzy podróżowali pieszo.

Ludzie biegli wzdłuż pociągi i wywoływali nazwiska.

- Nathaniel! Jest tam Nathaniel Besholm? Prze-tworzony, ramiona z drewna. Pojechał kiedyś zaginionym pociągiem na pustkowie.

- Szparonos! Mój ojciec. Nigdy nie wrócił. Ktoś wie, co się z nim stało?

Nazwiska i urywki rodzinnych historii, zdyszaniem głosem wypowiedane przez tych, dla których powrót Żelaznej Rady był nie tylko potwierdzeniem prawdziwości mitu, ale również wskrzeszeniem rodzinnych nadziei. Przez okna wlatywały listy, zaadresowane do tych, którzy dawno przepadli, a teraz być może powrócili. Większość adresatów zmarła albo zniknęła bez śladu: te listy odczytywano na głos, traktując je jak pozdrowienia dla wszystkich.

Przez ten czas wstał dzień - dzień, w którym Żelazna Rada miała dotrzeć do końca linii. Prędkość zmalała, maszyniści chcieli jak najdłużej rozkoszować się tym ostatnim etapem podróży.

- Golemista Low! - krzyknęła jakaś kobieta. - Krząta się po całym mieście i przygotowuje wszystko na wasz przyjazd! Pospieszcie się!

„Co?” W Cutterze obudziła się nieufność. „Co?”

- Nie bójcie się! - krzyknął ktoś inny. - Ukrywamy się. Kolektyw czeka, stoimy za milicją i czekamy na was.

Cutter rozglądał się za kobietą, która mówiła o Judaszu.

„Już niedaleko”. Koło południa dotrą na miejsce, do końca linii, do dworca kolejowego z oddziałami milicji. „Tylko kilka kilometrów. Judasz powiedział, że ma plan. Bogowie. Bogowie. On jest tutaj”.

Wyrmeny z Żelaznej Rady latały w obu kierunkach. Forpoczty już wkrótce miały się znaleźć nad miastem.

Cutter dosiadał konia, jechał lekkim, wydłużonym galopem, którego nauczył się podczas wielu miesięcy spędzonych na pustkowiu. Prawie dotrzymywał tempa Ann-Hari, która jechała na Rahulu.

Kroki Rahula dudniły, pędził wzdłuż nasypu z piargów i kamyków, porośniętego mleczami i innym zielskiem i osłaniającego prze-tworzonego od wiatru. Cutter jechał na otwartej przestrzeni, gdzie nieprzyjazny wiatr sypał mu piaskiem w oczy. Nie zwracał na to uwagi. Jechał dalej pod chmurami, które poruszały się z gorączkowym pośpiechem i siały deszcz w pobliżu.

Patrzył na tory, patrzył przed siebie.

- Jedź ze mną, jeśli chcesz - powiedział wcześniej do Ann-Hari. - Sama zobacz, czy mam rację. Zawsze możesz wrócić. Ale jeśli mam rację, to mówię ci, że... Judasz coś przygotował.

W pierwszej chwili chciała odmówić, ale w jego stanowczości i wirze innych uczuć - był podniecony, wystraszony, zły? - było coś, co ją wzburzyło i kazało jej pojechać z Cutterem.

Zawiódł Judasza i musiał się z nim zobaczyć, chociaż nie miał pewności, co zamierza zrobić - przekonać Judasza, żeby zmusił Żelazną Radę do zawrócenia, wytłumaczyć się, uzyskać rozgrzeszenie? Kiedy strażnicy nie chcieli dać mu konia, zażądał, żeby wezwali Ann-Hari.

- Musisz pozwolić mi jechać - powiedział. - Daj mi konia, do cholery. Judasz jest przed nami! Muszę się z nim spotkać! - Udawała zniecierpliwioną, ale zauważył, że jego słowa zrobiły na niej wrażenie. Powiedziała, że zabierze się z nim. - Jak chcesz. Pilnuj mnie, jeśli mi nie ufasz, wszystko mi jedno, ale zostało tylko kilka godzin. Muszę z nim porozmawiać. „Co on kombinuje?”

Potem. Przedmieścia Nowego Crobuzon. Tam, gdzie rzeki przecinały się pod estakadą drogi, dające osłonę kamienie były nadjedzone przez kwaśne deszcze. Podnóża góry wyciągały się, a niechlujna trawa marszczyła ziemię. Mroczna gęstwina Rudewood niby czarna i czarno-zielona wysypka rozlewała się w stronę szlaku pociągu, a w niektórych miejscach prawie omiatała tory cienkimi mackami lasu. Cutter, Rahul i Ann-Hari jechali między drzewami i cieniami drzew.

Wieczny pociąg szybko zniknął za plecami, niedawno oczyszczone tory wykreślały krętą linię. Cutter jechał tak, jakby był sam, obok nasypu, który wznosił się jak strup, jak źle zadziergnięta przędza w tkaninie krajobrazu. Również tutaj spotykał uchodźców, którzy go pozdrawiali, ale większość dotarła do pociągu. Ignorował ich okrzyki: „Gdzie jest Rada? Przyjechaliście nam na ratunek? Oni czekają tam z przodu, chłopcze, bądź ostrożny”. Nie odrywał wzroku od torów. Pociąg znajdował się nie więcej niż godzinę za nim.

Miał takie wrażenie, jakby Nowe Crobuzon go wsysało, jakby znalazł się w polu przyciągania grawitacyjnego miasta - jego cegieł, betonu, drewna, żelaza, połączeń dachów, arabesk dymu i chemicznych świateł. Nasyp robił się coraz niższy, by po jakimś czasie zrównać się z kamienistym terenem. Cutter i Rahul jechali teraz obok siebie. Za wyścieloną głazami łąką Cutter zobaczył przepływającą barkę. Zbliżali się do obszarów rolnych. Nie odrywał oczu od torów. Od czasu do czasu ślady po jakimś urządzeniu, semaforze, mierniku prędkości czy rejestratorze pociągów. Miejscami kupka kamieni albo jakiś złom na trasie pociągu lub obok niej.

Stado wyrmenów przyleciało znad miasta.

- Czekają! - wrzeszczały. - Tysiące i tysiące, i tysiące! Wszędzie jest ich pełno! Nie!

Cutter i Rahul gnali po wschodniej stronie torów, pożerali dystans. Prędkość zahipnotyzowała Cuttera. Potem, za zakrętem omijającym skalną skarpe, tory prowadziły prosto jak strzała i schodziły się ze sobą na końcu kamienistej równiny urozmaiconej mokradłami, w których brodziły ptaki tak samo szare jak cała okolica. A u zbiegu perspektywy - miasto bocznic, gdzie tory rozwidlały się po wielekroć. Dym nad warsztatami, zmatowiona przez zimę blacha falista zajezdni, rozłogi dworca na końcu Nowego Crobuzon. Z piersi Cuttera wyrwał się okrzyk, a po chwili jak echo zawołał Rahul: widziana z tej odległości jako jednolita masa, jeden organizm z pik i armat, tysiącami masek odbijający światło pochmurnego dnia, na dworcu czekała milicja.

- Dobrzy bogowie!

„Judasz, gdzie jesteś?”

Wojska czekały.

- Gdzie jest Judasz? - spytała Ann-Hari.

Patrzyła na żołnierzy w oddali i Cutter zobaczył, bogowie przenajświętsi, zobaczył w jej oczach bojową iskrę. I wyzywający uśmiech na twarzy.

- Musieliśmy go przeoczyć. Przysięgam, że gdzieś tu jest...

- Nic nie wiesz, nie masz pojęcia...

- Do lekkich diabłów, Ann-Hari, możemy go znaleźć.

„Ale po co? Co on planuje?”

Pociąg miał wyjechać z ochronnego, kamiennego wąwozu na równinę, naprzeciwko crobuzońskiej milicji. Cutter wyobraził to sobie. Lokomotywy i kolejne wagony, twarze Radnych pobladłe, ale zastygłe w świadomości, że nie ma odwrotu. Zanim pociąg zdąży się zatrzymać, milicja przystąpi do szturm. Pozostanie tylko ostatni zuchwały zryw, bohaterska śmierć. Spadnie na nich ta świadomość, po czym spocone i przeniknięte grozą twarze setek Radnych na powrót zhardtują i pociąg przyspieszy, rozpocznie desperacką jazdę w stronę wroga.

„Naprzód, już dwa razy poradziłeś sobie z milicją, poradźmy sobie po raz trzeci!” - zawołają, a inni będą z wdzięcznością udawali, że wierzą w te kłamstwa. Niektórzy przemówią szeptem do swoich bogów, zmarłych przodków albo kochanków, pocałują amulety, które ich nie ochronią. „Żelazna Rada!”, „Za Kolektyw!”, „Odnowa!” - krzykną.

Wieczny pociąg ze skowytem gwizdka pokona ostatnie kilometry, buchając dymem i huraganem kul. Dostanie się w zasięg crobuzońskich armat i pośród wierzgającego ognia, wyginania się i pękania metalu, opętańczych okrzyków Radnych i liberosynkretów, których pochłonie gorąca śmierć, Żelazna Rada osiągnie kres swego istnienia.

„Bogowie, bogowie”.

Zawrócili i podjechali kilkaset metrów w stronę pociągu. Cutter powściągał swojego konia. Obserwował tory. „Ostatnia szansa”. Około kilometra do kamiennej osłony wąwozu. Znowu wyrmeny nad głową, ale tym razem mówiące z innymi akcentami, crobuzońskie, przyleciały powitać przybyszów.

- Chodźcie, chodźcie! - wołały. - Oni czekają. Za milicją. Na was.

Zawróciły i poleciały w stronę jakiejś kolejowej maszyny. Cutter znowu ruszył.

- Ann-Hari!

Okrzyk z wrót wąwozu, kilka metrów nad ich głowami. Cutter podniósł wzrok i to był Judasz.

Cutter krzyknął odruchowo. Zatrzymał konia, Rahul stanął i wszyscy spojrzeli do góry. Judasz Low gestykułował zawzięcie, żeby zwrócić ich uwagę.

- Ann, Ann-Hari! - wrzeszczał. - Cutter!

Obszernym gestem ramion przywołał ich do siebie.

- Judasz - powiedział Cutter.

- Na górę, na górę! Co wy tutaj robicie? Co wy robicie? Bogowie, chodźcie na górę!

Dla ciężkiego jaszczurczego korpusu Rahula zbrocze było za strome, ślizgał się po nim. Musiał zaczekać przy torach i patrzeć, jak chwytając się korzeni, Cutter i Ann-Hari wdrapują się na górę. Tak długo, jak to było możliwe, Cutter trzymał głowę spuszczoną, by wreszcie unieść szarą jak hupek twarz i spojrzeć na Judasza Lowa.

Judasz patrzył na Ann-Hari z nieprzeniknioną miną. Długo ją obejmował. Cutter oblizwał wargi. Czekał. Judasz odwrócił się do niego i co najmniej z półuśmiechem też go uściskał. Na króciutką chwilę Cutter pozwolił unieść się w górę. Zamknął oczy i oparł głowę na ramieniu

Judasza, po czym odstał do tyłu. Ze swojego stanowiska obserwacyjnego widzieli miejsce, gdzie tory wychodziły z wąwozu.

Cała trójka przyglądała się sobie nawzajem. Oto wysoki, chudy, siwowłosy Judasz Low. „Kim jesteś?” - pomyślał Cutter. Różne przedmioty zdradzały, że Judasz tutaj obozował: butelka z wodą, golemistyczne odpady, luneta.

W tym miejscu nie mieli żadnych widzów. Ostatnie przejście przez góry przed miastem. Wyrmeny znowu krążyły nad głowami, wykrzykując histeryczne ostrzeżenia.

- Co robiłeś? - spytał Cutter. - Co robisz tutaj? Nie chcieli się zatrzymać, Judaszu, nie chcieli zawrócić. Próbowałem...

- Wiem. Wiedziałem, że będziesz rzucał grochem o ścianę. To nie ma znaczenia.

- Co się stało? W mieście?

- Och, Cutter. Marzenia przysły.

Judasz sprawiał wrażenie dziwnie spokojnego, apatycznego. Między głowami Cuttera i Ann-Hari patrzył na zakręt torów, w kierunku, z którego miał przyjechać wieczny pociąg. Potem znowu spoglądał na nich. Jego uwaga oscylowała.

- Co teraz robimy? - spytał Cutter.

- Nie ma już nic do zrobienia - odparł Judasz. - Nie jest już tak, jak było. Miasto... znowu się zmieniło.

- Dlaczego jesteś tutaj? - dociekała Ann-Hari z miną współniczki. - Po co tutaj przyszedłeś, Judaszu Low?

Na ustach ich obojga igrały uśmiešky. Głosy podszyte ironią. Mimo nadchodzącej rzezi, mimo że widziała milicję, nadal miała w sobie coś figlarnego. Wyciągnęła rękę i dotknęła go, a on odwzajemnił ten gest. Nić, która ich łączyła, była jak napięte, wijące się zwierzę. Judasz spojrzał przez ramię, a potem znowu na nią.

- Judasz! - wtrącił się głośno Cutter i ten skierował wzrok na niego.

- Tak, tak, Cutter, oczywiście - powiedział. - Po co tu przyjechałeś?

- Co zrobiłeś? - powtórzył Cutter, ale w tym momencie rozległ się jakiś hałas i Judasz wydał z siebie radosny pisk, jak mały chłopiec, po czym stanął na palcach, znowu jak mały chłopiec. Uśmiechał się. Przez łzy.

Niecały kilometr dalej pojawiła się wstęga dymu. Wieczny pociąg. Spaliny wylały z wąwozu niby larwa sadzy z bruzdy w ziemi. Od strony pociągu wezbrał wiatr i napierał na ich twarze. Cutter i Ann-Hari odwrócili się, żeby spojrzeć na reflektory, które z trudem przebijały się przez światło dzienne, omiatały kamień i tory - i Żelazna Rada wjechała na ostatni odcinek wąwozu.

„Nie”. Cutter nie wiedział, czy wymówił to słowo na głos. Nie wierzył, że za szeregami milicji ukryci są rewolucjoniści. Patrzył i krzyczał na głos albo w głowie, kiedy Żelazna Rada wyłoniła się z kamiennej gardzieli i pod pełną parą pełniła ku własnej zagładzie. „Nie”.

Wyszczерzone zęby bufora, sypiący iskrami fetysz lokomotywy, ruchowa kronika bohaterskich czynów obwieszona myśliwskimi trofeami, tłoczna od najbardziej nieustraszonych wojowników, największych prze-tworzonych, ludzi-kaktusów ze skramatoporami, ryczący pociąg fetowany przez crobuzońskich uchodźców, który biegli wzdłuż torów, desperacko wiwatowali i rzucali confetti. Druga lokomotywa, wszystkie wagony, całe natorowe miasto zmilitaryzowane, Żelazna Rada stała się wojenną twierdzą. Koła dudniły o tory, dym buchał z kominów, wszyscy gotowi do walki, bez planu, bez strategii, bez taktyki, tylko kretyński impuls „naprzód!”.

„Uch uch, uch uch”. Stukot kół. Cutter podbiegł na krawędź skarpy i krzyknął, chociaż nie było szans, żeby go ktokolwiek usłyszał. Zobaczył, że Judasz płacze, ale nadal z uśmiechem,

a Ann-Hari tylko się uśmiecha. Jadąc najszybciej w całej swojej historii, pociąg minął Rahula, który pomachał swymi ludzkimi i jaszczurczymi rękami.

Cutter usłyszał, że Judasz mruczy coś pod nosem, naśladuje dwuelementowy rytm, charakterystyczny takt pociągu. Śpiewał razem z pociągiem i zdawał się pełen oczekiwania. Cutter pochylał się i spoznał z góry na pociąg, na Radnych przygotowanych do wojny, do ich ostatniej wojny, o miasto. Daleko z przodu zauważył osobliwy deseń przeszkód między torami, za mały, żeby wykoleić czy uszkodzić lokomotywę - precyzyjny obstrukcyjny układ, który z tej wysokości wyglądał jak punktowy piktogram na kilkumetrowym odcinku torów.

- Uch uch, uch uch - skandował Judasz.

Na dole synchronicznie zabrzmiało „uch uch” i przed Żelazną Radą przebiegł mechanizm, który Cutter już wcześniej widział i który uznał za relikwiarz jakiegoś elementu sygnalizacji albo za coś niedokończonego. Kiedy koła go dotknęły, uruchomił się, a Judasz jęknął i padł na kolana. Jego skóra naprężyła się i krew z niej odpłynęła. Cutter zobaczył potęgę *kathexis*, szarpnięcie energii.

Usłyszał synkopowanie pociągu i czegoś nowego, złożony takt, staccato w antyfazie. Żelazna Rada przestawiła przygotowany przez Judasza włącznik i zamknęła obwód, wysysając siły z somaturga. Tylko Cutter to widział. Patrzył, jak Judasz mruga i dyszy.

Mała blokada między torami, której Cutter i Ann-Hari wcześniej nie zauważyli, bo pierwszy okrzyk Judasza odwrócił ich uwagę, wklinowana w podsypkę, wsparta na podkładach - obstrukcja ze szpilek, metalowych prętów i kłoców - została rozepchnięta na boki przez Żelazną Radę. Każdy element ciężko wylądował na zamontowanych przez Judasza kontaktach, a ich układ i użyte materiały utworzyły precyzyjną kompozycję muzyczną, melodię pęknięcia, stukania i brzękania metalu o metal, uzupełniając idealnie zsynchronizowany takt pociągu. Przez parę chwil, przez urywek czasu działała pulsomagia, palimpsestowy rytm. Każdy akcentowany dźwięk był jak ruch dłuta na bryle czasu i, kiedy totemiczna głowa Żelaznej Rady wyłoniła się spośród kamiennych fałd i synklin na otwartą przestrzeń, momenty czasu były łupane, rzeźbione przez hałas - interwencja poprzez mechanizm, który wysysał energię z Judasza, tego wybitnego somaturga samouka z Nowego Crobuzon. Prymitywna, mocarna, dominująca, precyzja tego parcelowania nadawała czasowi nowy kształt, była konfliktem w czasie,

...przeistoczyła czas i zrobiła zeń

golema

golema czasowego

...który zrodził się do quasi-życia, golem z dźwięku i czasu, stał i robił to, co mu rozkazano, był ucieleśnieniem rozkazu, istniał jako rozkaz. Rozkaz brzmiał: „Bądź!”, to był. Animowana postać wyrzeźbiona z czasu, ślady dłuta widoczne w nieforemnych sekundach, zmiażdżonych chwilach na brzegach, pękniętych momentach w miejscach, gdzie czasokończyny łączyły się z czasotułowiem. Był. W wymiarach niewyczuwalnych nawet dla jego stwórcy. Jego kontury, widoczne w inny sposób, spowijały pociąg.

Golem czasowy stał i był, ignorował otaczającą go linearność, tylko był. Brutalna ingerencja, gwałt na następstwie chwil, zakrzep w diachronii. Z tępą arogancją swego istnienia golem nie zwracał uwagi na zgorzenie ontologii.

Z twarzą we krwi, trzepocząc jak wyrzucona na brzeg ryba, pełzając po ziemi i brudząc ją krwią, wyczerpany taumaturgicznym wysiłkiem Judasz Low zajrzał do wąwozu i uśmiechnął się.

Cutter nie odrywał od niego wzroku.

Nieprzyjemny hałas z dołu. Trzask i huk ciężkiej kolizji. Ann-Hari krzyczała. Zbiegła po piarżysku, ciągnąc za sobą obłok pyłu. Przewróciła się, potoczyła i wstała z podartym ubraniem. Rahul stał sparaliżowany szokiem, patrzył na Żelazną Radę, od której dzieliło go zaledwie parę metrów. Radni i uchodźcy stali i czekali zdezorientowani. Wszystkie spojrzenia były skierowane na pociąg.

Wieczny pociąg. Żelazna Rada. Renegaci, powracający i teraz czekający. Całkowity immobilizm. Absolutny bezruch w ciele golema czasowego. Pociąg uwięziony w zakrzeplej chwili.

Nie zawsze było go wyraźnie widać. Brutalne temporalne rozdarcia, z których zrobiony był golem, okrywały go jakby fasetkami, opalizacją okaleczonego czasu. Pod pewnymi kątami pociąg trudno było zobaczyć albo trudno o nim myśleć, albo trudno o nim pamiętać z chwili na chwilę. Ale nie ruszał się.

W kilkumetrowej strefie nad kominami dym nie poruszał się w żadnym widzialnym wymiarze. Dopiero gdy dotarł do rozdarcia czasu, do ciała golema, ulatywał porywany przez wiatr, ostatnie oddechy pociągu uciekały do historii. Radni na lokomotywie wciąż trzymali broń w gotowości i śmiali się śmierci w twarz, a pociąg pędził przez podmiejską równinę, chociaż ani drgnął.

Na końcu składu znajdowały się dwie lokomotywy, które pchały, a nie ciągnęły. Druga z nich nie załapała się na ten ochronny moment, pozostała w ruchu i wykoleiła się na skutek zderzenia z nagłym kryzysem wyrwanej z czasu materii. Rozpadła się na kawałki, sypiąc rozżarzoną węglem, roztrzaskanym wyposażeniem i konającą załogą. Tylna część drugiej lokomotywy była zwinięta w harmonijkę aż do miejsca, w którym stykała się z golemem czasowym. Tam ślady katastrofy kończyły się jak ucięte nożem.

Ann-Hari krzyczała. Ludzie podążający pieszo w ślad za Żelazną Radą coraz liczniej wychodzili z wąwozu, mówili sobie nawzajem, co widzą i przekazywali wiadomość do tyłu: „Żelazna Rada...”. Ale co właściwie się z nią stało?

Nie dochodził od niej żaden dźwięk. Była wielką ciszą w kształcie pasażerów pociągu. Żelazna Rada była zbudowana z ciszy. Ann-Hari znowu wrzasnęła i próbowała chwycić pociąg, wskoczyć na niego. Czas wyslizgiwał jej się z rąk na obrzeżach golema, odtrącał jej dłoń albo kazał Radzie na moment zniknąć, żeby Ann-Hari nie mogła jej dotknąć. Przebywała w czasie, a pociąg nie, toteż pozostawał poza jej zasięgiem. Inni, którzy zostali wraz z nią w czasie, zebrali się wokół Ann-Hari. Krzyczała.

Na czele pociągu, wygrażając wrogowi potężną kolczastą pięścią, stał Grubogoleń. Spoglądał na gęste szeregi milicji w oddali. Uśmiechał się z otwartymi ustami. Obok niego roześmiany człowiek, któremu zwisała z ust nitka śliny. Zawieszony w powietrzu nieruchomy pył spowijał pociąg. Od reluksyjnych reflektorów bił kamienny snop światła. Ann-Hari miotała się, próbowała dołączyć do Grubogolenia i Żelaznej Rady - ale nie była w stanie.

Cutter przyglądał się tej niemożliwości. Podskoczył, kiedy Judasz położył mu dłoń na ramieniu.

- Chodźmy - powiedział somaturg nie swoim głosem. Z jego uśmiechniętych ust dobywały się pogruchotane dźwięki zlepione krwią i śliną. - Chodźmy. Uratowałem ich. Chodźmy.

- Jak długo to potrwa? - spytał Cutter drżącym głosem.
- Nie wiem. Może do czasu, gdy świat będzie na nich gotowy.
- Tamci nie żyją.

Pokazał na zamykającą skład lokomotywę. Judasz nie spojrział w tamtą stronę.

- Los tak chciał. Zrobiłem, co mogłem. Bogowie, uratowałem ich. Sam widziałeś.

Wstał i chwycił się za brzuch. Stęknął. Zatoczył się. Na ziemi powstało półkole wycharzonej przez niego żółci. Światło dzienne wyraźnie go wzmacniało. Wyciągnął rękę w stronę Cuttera, a ten ją chwycił i ruszyli na dół, ale nie na tory, tylko w drugą stronę. Judasz wciąż kiwał się jak marionetka. Z oddali nadciągał hałas, który zwiastował zbliżanie się milicji. Zauważyli, że stało się coś nadzwyczajnego i nadchodzili.

Cutter i Judasz szli przed siebie. Oddalali się.

CZEŚĆ DZIESIĄTA

POMNIK

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Mozolnie idąc zarośniętymi ścieżkami, podtrzymując Judasza, który charczał, i odgarniając włosy z jego starej twarzy - Cutter był szczęśliwy. W płytkim potoku zmył mu krew z twarzy. Judasz Low nie zwracał na niego uwagi, tylko oddychał i rozpościerał palce. Póki to trwało, potrafił żyć w złudzeniu, potrafił sobie wmówić, że wszystko dobrze się skończy.

Ukrytymi drogami bardzo powoli wędrowali w stronę Nowego Crobuzon. Cutter trzymał się jak najdalej od trasy milicji, ale słyszeli i widzieli, jak jej oddziały zbliżają się do zastygłego w czasie pociągu. Cutter pomyślał o setkach Radnych, którzy salwowali się ucieczką, szukali kryjówek między skałami albo zmierzali na mokradła. Byli wśród nich uchodźcy z miasta. W labiryncie skalnych form z pewnością roilo się od struchlałych ludzi.

- Judasz - tchnął bezdźwięcznie. Nie wiedział, z jakimi emocjami wypowiedział to imię. Pomyślał o tych, którzy na skutek akcji Judasza stracili życie. - Judasz.

Nie poruszali się zbyt dyskretnie, zostawiali po sobie wyraźny trop odcisków stóp, krwi i połamanych gałęzi. Cutter opasał sobie barki ramieniem Judasza, wziął na siebie ciężar tego rosłego mężczyzny. Również inni Radni z pewnością opuścili wąwóz i znaleźli się na otwartej przestrzeni po drugiej stronie, ale z racji jakichś geograficznych albo temporalnych osobliwości Cutter i Judasz nigdzie nie widzieli żywej duszy, przeciskali się przez kolcolist i suche zimowe zarośla. Byli sami pośród krajobrazu. Duchy.

Kiedy dotarli na równinę, ujrzeli w oddali kolumnę marszową milicji. Przez moment kąpatrzenia był taki, że Cutter zobaczył wieczny pociąg. Żelazna Rada, trochę poza światem, jakby rzeczywistość ugięła się pod jej ciężarem, jakby pociąg był na dnie rowu. Jadący pod pełną parą, ale całkowicie nieruchomy.

Powolny ruch cieni zdradzał, że zimowy dzień starzeje się. Cutter wiedział, że świat podlega żywiołowi zmiany, że czas opływa tych, którzy uciekli spod jego władzy. „Jestem tutaj, podtrzymuję Judasza. Zabieram go z powrotem do Nowego Crobuzon”. Świadomość, że wkrótce porwie go nurt czasu, była jak cierń w ranie. „Nie będę cię o nic pytał. Nie będę pytał, dlaczego zrobiłeś to, co zrobiłeś. Nie mam na to czasu”.

Judasz zaczął jednak mówić niepytany.

- Nie dało się nic zrobić. Nie dało się uniknąć nieszczęścia. Historia poszła dalej. To był nieodpowiedni moment. - Judasz był bardzo spokojny. Mówił nie do Cuttera, lecz do świata. Jak człowiek w malignie. Ledwo trzymał się na nogach, ale mówił mocnym głosem. - Historia ich przegoniła i to było... Nie wiedziałem! Nie miałem pewności, czy potrafię to zrobić. Było ciężko, całe planowanie, próby zrozumienia, badania, to było takie... - Potrząsnął dłońmi koło głowy. - ...takie wyczerpujące.

- W porządku, Judaszu, w porządku. - Cutter poklepał go po ramieniu i zostawił tam swoją dłoń. Objął Judasza. Do oczu napłynęły mu łzy, zamrugał, powstrzymał je. „Ale z nas para” - pomyślał i zaśmiał się w głos, a Judasz mu zawtórował. „Tam leży Nowe Crobuzon”. Cutter ustalił kierunek. - Judasz, dokąd idziemy?

- Zabierz mnie do domu - odparł Judasz i Cutter znowu miał mokre oczy.

- Tak - powiedział ostrożnie. - Zabiorę cię do domu.

Ich mała autoiluzja, że to jest możliwe. Szeroki łuk w stronę wzniesień za dworcem towarowym, może uda im się tamtędy przemknąć do ubogich dzielnic na obrzeżach miasta. Na

przykład do Chimer albo przez przedgórza do Smoły, rzecznych koczowników i drobnych kupców, których może uda się nakłonić, żeby ich zabrali łodzią - koło Krucznych Wrót, Creekside i pozostałości getta kheprich - do Zakola Smogu, do wnętrza Nowego Crobuzon. Cutter ruszył na północ, jakby taki właśnie mieli plan.

„Co to było, Judaszu? Co ty zrobiłeś?” Cutter przypomniał sobie opowieści Judasza o bezcielesnych golemach, stiltspearach i ich ezoterycznej golemetrii. „Nie wiedziałem, że potrafiśz dokonać czegoś takiego”.

Nagle nie byli już sami, trafili na ciągnącą w przeciwnym kierunku karawanę.

- Idźcie w złą stronę, przyjaciele - powiedział im jeden z napotkanych.

Cutter i Judasz bez słowa maszerowali dalej. Koła wozów oddaliły się, żłobiąc bruzdy w ziemi. Cutter spojrzął w niebo, zobaczył ptaki. „Jeszcze trochę. Jeszcze kawałek”. Nie umiał powiedzieć, do kogo czy do czego kieruje swoją prośbę. Judasz osłabł i Cutter go podtrzymał.

- Jak ty wyglądasz - powiedział. - Jak ty wyglądasz. - Własnym rękawem starł brud z twarzy Judasza. - Jak ty wyglądasz.

Zbliżyła się druga mała fala uciekinierów. Tym razem etnicznie zróżnicowana. Ludzie z pchanymi wózkami, stęsknieni za wodą vodyanoi. Gruba kaktuska z potężną pałką w garści. Uniosła ją na widok Cuttera i Judasza, ale z powrotem opuściła, kiedy zobaczyła ich dokładniej. Były dwie kobiety khepri, tak ciasno zawinięte w szale, że poruszały się drobnymi kroczkami. Konwersowały za pomocą głowoskarabeuszy, gestykulowały głowoodnóżami i zuchwami, a dodatkowo emitowały tchnienia chemicznej komunikacji. Za nimi, jako swego rodzaju znak interpunkcyjny wieńczący tę mieszaną grupę, szedł konstrukt.

Cutter wytrzeszczył oczy. Nawet Judasz spojrzął uważniej, przez mgłę swego wyczerpania. Konstrukt minął ich, telepiąc się koleinami.

Kończyny, tułów i głowa w mniej więcej ludzkim układzie, głowa urobiona z cyny i szkła, reszta z żelaznych rur. Jedno ramię oryginalne, drugie - część zamienna z wypolerowanego, jaśniejszego metalu. Przez wylot, który przypominał pęczek cygar, wydychał dym. Cylindry nóg podnosił i odstawiał z nieludzką precyzją. Na odpowiedniku ramienia niósł tobolek na końcu laski.

Jeden z nielicznych legalnych konstruktorów, służący albo zabawka jakiejś bogatej rodziny? Ocaleniec z pogromów, który przez lata ukrywał się w podziemiu? „Coś ty za jeden?” Poszedł za swoim właścicielem na wygnanie, starannie stawiając kroki, po prostu wykonywał zmatematyzowane rozkazy wczytane do jego maszyny analitycznej? Cutter przyglądał mu się z zabobonnym lękiem przedstawiciela pokolenia urodzonego po Wojnie Konstruktorów.

Głowa obróciła się ze zgrzytem źle naoliwionego metalu. Spojrzął na nich mleczykami, melancholijnymi oczami i chociaż absurdem byłoby sądzić, że pośród kółek zębatach mechanizmu za tym szkłem tkwi samoczynnie zrodzona świadomość, Cutter przez moment miał poczucie, że po upadku Kolektywu sytuacja w Nowym Crobuzon stała się tak bardzo nie do zniesienia, że nawet maszyny zaczęły uciekać. Kiedy konstrukt ich minął, Cutter i Judasz ruszyli dalej.

Mieli przed sobą jeszcze wiele kilometrów drogi. Jakiś hałas. „Milicja już wiele godzin temu dotarła do zastygłej Żelaznej Rady” - pomyślał Cutter. Dźwięk przybliżył się. Cutter zamknął oczy. Zgodnie z jego oczekiwaniami okres wytchnienia dobiegał końca.

Na małej, usłanej kamieniami polanie Cutter i Judasz zobaczyli Rahula i dosiadającą jego

jaszczurczego grzbietu Ann-Hari, która jechała z wyszczerzonymi zębami i rewolwerem w dłoni.

- Judasz. - Zeskoczyła na ziemię. - Judasz.

Cutter poklepał się po kieszeniach, aż w końcu znalazł pistolet. Uniósł go niepewnie i próbował wymierzyć. Rahul przyskoczył do niego jak błyskawica i pochwycił w jaszczurcze ramiona. Wygiął się do przodu w talii i odebrał mu broń. Z szorstką życzliwością poklepał Cuttera po policzku. Potem zaczął go odciągać jak rodzic niesforne dziecko. Cutter protestował, ale tak słabo, jakby nic nie mówił. Był prawie pewien, że pistolet by nie wystrzelił. Że jest zatkany albo nienaładowany.

Judasz ślaniał się na nogach i patrzył na Ann-Hari. Uśmiechnął się do niej ze swoim profetycznym spokojem. Ann-Hari drżała na całym ciele. Cutter próbował coś powiedzieć, zapobiec temu, co wisiało w powietrzu, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

- Dlaczego? - spytała Ann-Hari, ze łzami w oczach podchodząc do Judasza.

- Inaczej by zginęli - odparł Judasz.

- Nie możesz tego wiedzieć.

- Nieprawda. Widziałaś. Widziałaś na własne oczy. Wiesz, co by się stało.

- Ja nie wiem, ty nie wiesz i nikt nie wie! Bądź przeklęty, Judaszu!

Cutter nigdy nie widział Ann-Hari tak wściekłej, tak niepanującej nad sobą. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł, ponieważ to nie była jego chwila.

Judasz nie okazywał po sobie strachu, patrzył na Ann-Hari z niepodzielnością uwagi, która szarpnęła Cuttera za serce. „To nie może się tak skończyć”. Uścisk ramion Rahula był opiekuńczy.

- Ann-Hari - powiedział Judasz łagodnym głosem, chociaż na pewno wiedział. - Wolałabyś, żeby zginęli? Żebyś ty zginęła? Próbowałem was nakłonić do zawrócenia, próbowaliśmy... - „Widziałeś, że nie zawrócą” - pomyślał Cutter. - Są teraz bezpieczni. Nic nie może im się stać. Żelazna Rada trwa.

- Zamarynowałeś nas, ty draniu...

- Wszyscy byście zginęli...

- Anuluj to.

- Nie wiem jak. A nawet gdybym wiedział, nie zrobiłbym tego, wiesz o tym.

- Anuluj to.

- Nie. Wszyscy byście zginęli.

- Kurwa, Judasz, nie masz prawa...

- Wszyscy byście zginęli.

- Może. - Wypluła z siebie to słowo. Nastąpiła długa cisza. - Może byśmy zginęli, ale nie wiesz tego. Nie wiesz, czy za plecami milicji nie stał Kolektyw i nie czekał na nas, żeby zaatakować, a teraz wszyscy się boją. Nie wiesz, ilu ludzi zmobilizowałby nasz przyjazd, nawet gdyby nas pozabijali. Rozumiesz? Nawet gdyby nas pozabijali.

- Musiałem... to jest Rada. Musiałem zadbać o to, żeby nic jej się nie stało, żeby wam nic się nie stało.

- Nie miałeś prawa o tym decydować. Nie miałeś prawa.

Nieznacznie odsunął ramiona od ciała i spojrzał jej prosto w oczy. Łącząca ich więź nie umarła, przeskakiwały niewidoczne iskry. Zdawali się czerpać energię z otoczenia. Judasz patrzył na nią z cierpliwością, z gotowością.

- Rada nie była twoją własnością, Judaszu Low. Nigdy tego nie zrozumiałeś. - Uniosła pistolet. Cutter sapnął i szarpnął się w uścisku Rahula. Przycisnęła lufę do piersi Judasza. Ani drgnął. - Ta twoja pycha... Nie stworzyłeś Żelaznej Rady. Nigdy nie była twoją własnością. - Cofnęła się kilka kroków i wymierzyła mu z pistoletu w usta. - Może do końca tego nie

zrozumiesz, Judaszu. Judaszu Low. Żelazna Rada nigdy nie była twoja. Nie ty decydujesz. Nie ty decydujesz, co, gdzie i kiedy. To było nasze miejsce, nasza godzina. Wiedzieliśmy to. Podjęliśmy decyzję. Nie wiesz i my też nie wiemy... nigdy się nie dowiemy, co by się stało. Pozbawiłeś tych ludzi wolności wyboru.

- Zrobiłem to dla ciebie, dla Żelaznej Rady. Żeby ją uratować.

- Wiem o tym. - Ton był spokojny, ale głos Ann-Hari drżał. - Ale nie byliśmy twoją zabawką, Judaszu. Byliśmy czymś rzeczywistym i przyszedł nasz czas i podjęliśmy decyzję. Nie miałeś prawa jej zmieniać. Czy mieliśmy rację, czy nie, to była nasza historia. Nigdy nie byłeś naszym wrogiem. Naszym zbawicielem. Nie zrozumiesz tego, co ci teraz powiem, ale nie umrzesz jako męczennik. Umrzesz, bo nie miałeś prawa robić tego, co zrobiłeś.

Cutter usłyszał stanowczość w głosie Ann-Hari i zobaczył, że jej dłoń się poruszyła. „Teraz” - pomyślał. „Teraz, Judasz, powstrzymaj ją”.

W ułamku sekundy, którego potrzebowała, żeby naprężyć mięśnie palca, pomyślał: „Teraz. Wezwij ziemnego golema”. Judasz mógł wyczarować z szarej ziemi pod swoimi stopami szarego golema, który wydzwignąłby się z substancji własnej materii, porośnięty zielskiem i korzonkami, i wstąpiłby między niego a Ann-Hari. Przyjąłby kulę na siebie, zatrzymał ją gęstością swojej materii, a potem wytrąciłby Ann-Hari broń z ręki i ją obezwładnił. Judasz nie miałby już czego się obawiać z jej strony, kazałby golemowi odprowadzić ją albo trzymać dalej unieruchomioną do czasu, aż oni zniknęliby za wietrzejącymi skałami i oddalili się w stronę Nowego Crobuzon.

„Golem powietrzny”. Jeden mocny powiew, który dmuchnąłby Ann-Hari w oczy i nie pozwolił jej celnie wymierzyć. Posłuszna postać z powietrza, która stanęłaby przed członkinią Rady i rzuciłaby jej w twarz jej ubranie, po czym szybko i zdecydowanie wcisnęłaby się w lufy jej rewolweru, uniemożliwiając oddanie strzału. Kiedy powietrze przemieszczone przez taniec nowej istoty wzbilołoby tumany pyłu i suchych liści, Judasz i Cutter mogliby odejść.

„Zrób z jej rewolweru golema”. Zamień pistolet w małego, szybkiego golema i każ mu zamknąć usta, każ mu zjeść kulę, zanim ją wypluje. Potem rewolwer mógłby się skierować lufą w stronę twarzy Ann-Hari w formie groźby - póki Ann-Hari byłaby sparaliżowana zaskoczeniem i faktem, że własna broń obróciła się przeciwko niej, Judasz i Cutter mieliby czas uciec.

„Zrób golema z kuli”. Żeby wypadła. „Zrób golema z jej ubrania”. Żeby się potknęła. „Zrób golema z tych martwych drzew. Z chmur. Z cieni, z jej cienia. Zrób kolejnego golema dźwiękowego. Zrób golema z dźwięku i czasu, żeby nie mogła się ruszyć”. Było bardzo zimno. „Zaśpiewaj swoją golemową piosenkę, zrób golema z nieruchomego czasu, który ją uwięzi, a potem odejdziemy”.

Ale Judasz nie zrobił niczego takiego i Ann-Hari nacisnęła spust.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Cutter dotarł do miasta wodami Smoły. Pod osłoną nocy. Powoli i według nowych przepisów władze Nowego Crobuzon przywracały ruch rzeczny. Flisacy czekali na nowe zlecenia. Cutter przyplął do miasta w czarnym od węglowego pyłu kombinezonie, za sterem szerokiej łodzi.

Po obu stronach krętej rzeki wznosiły się domy, dziesiątki, a potem setki. Słyszał ich hałasy, pracę drewna i cegły, i obudziły się w nim wspomnienia - wiedział, że wrócił do domu. Flisak, którego przekupił, żeby wziął go do swojej załogi, chciał się go jak najszybciej pozbyć. Z warkotem silnika minęli kryte papą domy Kruczych Wrót, getto kheprich w Creekside z domami oblepionymi ślinoprzybudówkami, przepływali pod starymi mostami z cegły. W kilwaterze starej krypy migotała oleista tęcza.

W powietrzu unosiły się sterowce wsparte na nogach światel reflektorów. Jeden z grubych snopów dwa razy omiół łódź.

Cutter wędrował między magazynami w Zakolu Smogu, ze ścianami z wyblakłej cegły i plamistego betonu. Mijał kreozot, mijał bitumin i obrosnięte pleśnią plakaty, mijał wysypiska materii budowlanej, sproszkowanego szkła i betonu. W końcu trafił na ulice niegdyś podlegające Kolektywowi. Przypomniawszy sobie zebrania mieszkańców, którzy hałaśliwie przegłosowywali najróżniejsze sprawy. Wszystko wyglądało tak samo: na każdym placu pomiędzy betonowych płyt wyrastały jeżyny i trybula, tworząc żerowisko dla owadów. Deszcz zmywał ze ścian spirale.

Wiele dni później. Cutter poznał nowe reguły, wiedział, jak unikać milicji, która patrolowała ulice, w Creekside, Murkside, a przede wszystkim Dog Fenn. Twierdzili, że wciąż istnieją tam enklawy kolektywistycznego oporu, i z całą bezwzględnością pacyfikowali te dzielnice.

Cutter milczał, kiedy widział, jak milicja z ciężko pokiereszowanych domów wywleka ludzi wrzeszczących, że są niewinni, a niekiedy stawiających opór. Spuszczał wzrok. W stanie odrętwienia przechodził przez posterunki kontrolne, ze spokojem pokazywał fałszywe papiery, ponieważ było mu obojętne, czy zostanie zatrzymany, co miało również swoją odwrotną stronę: kiedy go nie zdemaskowano, szedł dalej bez poczucia triumfu.

Lepsze dzielnice miały swoje uroki. BilSantum Plaza, Dworzec Perdido. Jakby wojna tutaj nie dotarła. Spirale były rozmazane. Dworzec Perdido tronował nad miastem jak bóg. Cutter podniósł wzrok na znajomą linię dachów, szukając miejsca, gdzie zmierzyli się ze Spiral Jacobsem.

W ostatnich dniach istnienia Kolektywu desperacko powielono zamach na stację Barrackham. Napakowany środkami wybuchowymi pociąg ruszył ze stacji Saltpetre w stronę Dworca Perdido. Jego misją było wywołanie gigantycznego pożaru tego symbolu władzy.

Kolektywiści, którzy zgłosili się do tego samobójczego zamachu, upojeni dla kurażu alkoholem i pewnością męczeńskiej śmierci, rozwalili blokadę na stacji Sly i pędzili w stronę Bazaru Śliny, ale milicja wysadziła skład w powietrze. Eksplozja wybiła dziurę w arkadach, które ciągnęły się przez całe miasto. Linia Sud została odcięta, a odbudowała przebiegała bardzo powoli.

Plakaty na kioskach, artykuły w gazetach i proklamacje do darmowego odsłuchania w budkach voxiteratorowych opowiadały o triumfach rządu: reparacjach wojennych od Tesh, przeprosinach Tesh za rozpętanie konfliktu, odbudowie kraju. Czasy trudne, ale pełne nadziei,

można było przeczytać. Mówiono o nowych projektach, ekspedycjach transkontynentalnych. Obiecywano gospodarcze ożywienie i ekspansję.

Cutter wędrował niestrudzenie. Creekside było w ruinie. Ciała kheprich, które leżały na ulicach po Nowopiórczej Masakrze, uprzątnięto, ale na niektórych murach pozostały plamy. Tam, gdzie ślinozaprawa wydzielana przez larwy budowlane pękła lub spłonęła, spod spodu wyszła cegła.

Cutter wędrował po mieście i obserwował odbudowę. W całym centrum Nowego Crobuzon można było zobaczyć dziury po pociskach, chaszcze z betonu, tynku i pokruszonego marmuru, nowe połączenia między uliczkami brukowane gruzem. Szpic wieży milicyjnej w Barrackham był otulony rusztowaniem i wyglądał jak pokryty wydzieliną pienika. Zwisająca bezwładnie lina kolejki zniknęła. Miała zostać ponownie rozciągnięta po zakończeniu prac remontowych.

W Mog Hill, blisko dawnych terenów Kolektywu, ale poza strefą zmilitaryzowaną, dzięki czemu nie obowiązywał tam stan wojenny ani godzina policyjna, Cutter znalazł kwaterę. Podał swoje nowe nazwisko. Czynsz płacił z pieniędzy otrzymywanych za pracę na dniówkę w dzielnicach, w których nigdy wcześniej nie był.

Zniszczenia wojenne były ogromne: zburzone pomniki, całe dzielnice osmalone i okaleczone przez pożary, ulice złożone wyłącznie z fasad wypatroszonych budynków. Domy, kościoły, fabryki i odlewnie wydrążone i kruche jak stare czaszki.

Cutter wiedział, jak na powrót uzyskać dostęp do podziemnych sieci łączności, w wielu miejscach poprzerrywanych. Nawet w czasach, kiedy ludzie nie mieli do siebie nawzajem zaufania, kiedy mijający się na ulicy obywatele unikali swoich spojrzeń, informacje nadal krążyły tajnymi kanałami. Nawet teraz, kiedy szybko zaciśnięta pięść mogła zostać zinterpretowana jako ręczny slang, co często kończyło się wezwaniem policji albo samosądem, bo chciano pozbyć się z dzielnicy insurekcyjistów, którzy mogli ściągnąć jej na głowę szwadrony śmierci. Cutter był ostrożny i cierpliwy. Dwa tygodnie po swoim powrocie znalazł Madeleinę.

- Teraz jest już lepiej, ale w pierwszych tygodniach, bogowie! - powiedziała. - Egzekucje na ulicy, pod najbliższą ścianą. Wszyscy rzekomo „stawiali opór”, kiedy byli prowadzeni do aresztu. Opór polegał na tym, że potykali się, prosili o chwilę odpoczynku, spluwali albo szli za wolno. Trzymają Kolektywistów w obozie Sutory koło Arrowhead Pits na przedgórzu. Nikt nie wie ilu. Jest tam taki barak: raz wejdziesz, nigdy nie wyjdiesz. Kiedy skończą zadawać pytania, skończą też z tobą. Paru z nas udało się uciec.

Wymieniła kilka osób i zrelacjonowała ich losy. Z niektórymi Cutter się zetknął. Zadał sobie pytanie, czy Madeleina mu ufa czy też jest jej wszystko jedno.

- Musimy opowiedzieć światu, co się stało - stwierdziła. - To nasz obowiązek. Ale jeśli powiemy prawdę, ci, których przy tym nie było, uznają, że kłamiemy. Przesadzamy. A więc... mamy mówić, że nie było tak źle, jak było, żeby nam wierzyli? Czy to ma sens?

Była bardzo zmęczona. Nakłonił ją, żeby mu opowiedziała całą historię upadku Kolektywu.

Kiedy usłyszał, jak dawno to było, mógł sobie powiedzieć: „Nie było już nikogo, kto by walczył za Żelazną Radę”. Ale nie zrobił tego. Nie zrobił tego, bo nie mógł wiedzieć, co by się wydarzyło, bo nie miało sposobności się wydarzyć. Na temat skutków interwencji Judasza można

było tylko spekulować.

Po Nowym Crobuzon krążyły tysiące pogłosek o Żelaznej Radzie.

Cutter często chodził do ogrodu powolnych rzeźb w Ludmead, aby posiedzieć samotnie pośród dzieł sztuki poświęconych bożkowi cierpliwości. Ogrody były zniszczone. Na ornamentalnych trawnikach i rabatach leżały wielkie głazy osadowe, starannie przygotowane: do precyzyjnie wywierconych podłużnych otworów wkrapiano substancje żrące, aby bardzo powoli rozpuszczały kamień w ściśle określonych płaszczyznach. Po wielu latach deszcz spłukiwał chemicznie zerodowane warstwy i głazy nareszcie przybierały dawno zaplanowane kształty. Powolnorzeźbiarze nigdy nie ujawniali swego zamysłu i dopiero wiele lat po ich śmierci ich dzieła zyskiwały swoją ostateczną postać.

Kontemplacyjność tych ogrodów dawniej odstręczała Cuttera, ale teraz, kiedy były zniszczone, dodawały mu otuchy. Jacyś Kolektywiści albo sympatyzujący z Kolektywem chuligani kilka tygodni wcześniej, przed upadkiem Dog Fenn, przeskoczyli przez ścianę i zabrali się do kilku największych głazów z dłutami. Z radosnym brakiem staranności i szacunku do miejsca ciosali prymitywne, wulgarne postacie, energiczne i brzydkie, a następnie wytatuowali je dysydenckimi hasłami. Unicestwili precyzyjne wiercenia i kwasową pracę artystów, zamieniając erozyjne rzeźby w pornograficzne błazeństwo. Cutter siedział oparty o jedną z nowych figur, głaskając swego ogromnego penisa, wykutą z czegoś, co miało być łabędziem, łodzią, kwiatem czy jeszcze czymś innym.

Jego wspomnienia o złym czasie w górach rozmyły się. Uścisk Rahula. Czy Cutter miotał się, kiedy prze-tworzony go trzymał? Płakał? Podejrzał, że tak, płakał i trzymał. Był obezwładniony, dopóki zmęczenie nie powaliło go na ziemię.

Pamiętał, że Ann-Hari odwróciła się i odeszła, nie patrząc na niego.

- Z powrotem - powiedziała. - Rada.

Nie wiedział, co to miało znaczyć. Jej słowa dotarły do niego dopiero później, kiedy potrafił już myśleć.

Żyje tam gdzieś, czy szukała śmierci i znalazła ją? Widział, jak Ann-Hari i Rahul oddalili się w stronę skał, przy których czekała Żelazna Rada. Potem już nigdy ich nie spotkał.

Kiedy poczuł się już dostatecznie mocny, próbował ruszyć Judasza z miejsca. Chciał go pochować. Starał się nie patrzeć na jego pogruczotaną twarz. Wreszcie zdołał go ściągnąć ze zwierzęcej ścieżki. Bez patrzenia, na dotyk, Cutter zamknął oczy Judasza. Trzymał jego stygnącą dłoń i nie umiał zdobyć się na to, żeby dotknąć jego sparciąłych ust swoimi, chociaż bardzo tego pragnął. W końcu pocałował swoje palce i przytknął je do nieoddychających już ust Judasza. Tak jakby ten musiał się obudzić, gdyby Cutter cierpliwie czekał.

Zbudował nad nim kopczyk z kamieni. Potrafił o tym myśleć tylko przez krótkie chwile.

Żelazna Rada stała w miejscu. Cutter nie poszedł jeszcze jej zobaczyć, ale wiedział, że kiedyś to zrobi. Na razie wystarczyło zapytać pierwszego lepszego przechodnia. Wszyscy Crobuzończycy znali losy Żelaznej Rady. Śmierć Judasza nie wyzwoliła jej z synchronicznego więzienia. Gazety snuły egzotyczne teorie na temat jej przypadłości. Najczęściej sugerowano osad Momentu, ślady po przejeździe przez strefę kakotopiczną. Cutter był przekonany, że w Parlamencie są tacy, co znają prawdę.

Cutter zamierzał wybrać się na tę pielgrzymkę, kiedy poczuje się na siłach. Pomyślał o Ann-Hari, pośród skał, dosiadającej Rahula.

Cutter opowiada Madeleinie o Judaszu Low, a ona słucha z niemym współczuciem, za które on jest nieskończenie wdzięczny. Pewnego wieczoru Madeleina zabiera go do ubojni w Ketch Heath. Idą czujnie, mało uczęszczanymi uliczkami. Słyszą zawodzenie kota, kiedy są już blisko. Zwierzęta wracają, bo teraz nie są już mięsem. W mrokach rzeźni Cutter i di Farja przestępują nad rynsztokami mazistej krwi. Pośród kościelnych ech, między rzędami pustych haków rzeźniczych, w oparach dymu ze skrzyń paleniskowych maszyny do mielenia mięsa, Madeleina pokazuje mu ukryte drzwi i małą drukarnię za nimi.

Tej nocy pracują razem, kręcą korbami, uważają na to, żeby farba drukarska się nie zbrylała. W świetle świec drukują setki kopii.

ROZSZALAŁY RENEGAT LUNUAR 1806

„W Nowym Crobuzon znowu zapanował porządek!” Wy durnie i ignoranci. Wasz porządek jest zbudowany na piasku. Jutro znowu narobicie w portki, kiedy Żelazna Rada ruszy z miejsca i do wtóru gwizdków obwieści całemu światu: „Byliśmy, jesteście, będziemy”.

Wąskimi ścieżkami między zasiekami z ostrego jak brzytwa drutu, na tej nagiej równinie pod miastem, rozciętej szwem torów, wędrujemy licznymi grupami. Pod szarym księżycem albo bez księżyca, w smolistych ciemnościach nowiu przychodzimy jako pielgrzymi.

Przychodzimy w to miejsce. Tu, gdzie jest Żelazna Rada. Przychodzimy zobaczyć wieczny pociąg, teraz naprawdę wieczny. Bez końca gna do przodu, jego koła bez końca zbliżają się do momentu, kiedy ich obrót ustanie. Pociąg czeka. Przy jego żelaznych osiach - demony ruchu, czekają wieczną chwilę.

Koło strażników patrolujących linię, której przekraczania władze sobie nie życzą. Tam, gdzie pod drutem przepływają strumyki, przeciskamy się na drugą stronę, a gdzie indziej przecinamy go albo ostrożnie przelazimy górą, na poduszkach ze szmat. Przez skraj historii ku tej chwili, która stała się miejscem, ku temu maleńkiemu urywkowi dziejów, który tkwi jak drzazga pod skórą teraźniejszości.

Idziemy nieprzerwanym strumieniem, nie zważając na kary, które nas czekają. Stare i młode kobiety, mężczyźni, ludzie-kaktusy khepri, hotchi, vodyanoi i prze-tworzeni, nawet prze-tworzeni. Ci prze-tworzeni, którzy udają się w tę niebezpieczną pielgrzymkę, w tym miejscu otrzymują prezent, w odległości paru metrów od tej chwili żyją na równych prawach z innymi. I tabuny dzieci. Bezczelne, małe nicponie, sieroty wiodące półdzikie życie na ulicach Nowego Crobuzon, skrzykują się w grupy i przychodzą na ten dziwny plac zabaw. Między rowami i obsranymi przez muchy, przeżartymi rdzą pociągami, pośródkrzątany w kompleksie MKK, który dzięki zleceniom rządowym odzyskał dawną potęgę, przez pustkowia naznaczone śladami chrapąszczy, przez kilometry szarej nicości i kamieni podobnych do duchów kamieni, dzieci ulicy przychodzą do Żelaznej Rady.

Istnieje trasa zwiedzania z ustalonymi etapami.

Wspiąć się na piarżyste zbocze i spojrzeć na zastygły dym z kominów. Stanąć przed pociągiem, między szynami, i spojrzeć Żelaznej Radzie w twarz. Powoli obejść całą Radę, co zajmuje kilka minut. Nikt nie potrafi jej dotknąć. Wszyscy próbują. Czas ją opływa. Przychodzą. Wszyscy ją widzą. Żelazna Rada nie stoi, pędzi do przodu, istnieje w swoim czasie, a my ją widzimy tylko w tej jednej chwili. Okrążyć ją.

Komin lokomotywy wznosił się wysoko i widlaście, zwieńczony beknieniem dymu, zachował swój kształt, chociaż był mocno odciągany do tyłu przez zakrzepły w tej chwili wiatr. Można podejść całkiem blisko, na wyciągnięcie ręki od rogów totemicznych głów i brzeszczotów wojowników, którzy czekają. Stoimy o krok od Radnych, którzy szykują się do walki z bronią w rękę i okrzykiem na ustach.

Ten tutaj to Grubogoleń. Olbrzymi, szarzały ze starości człowiek-kaktus w oknie lokomotywy. Dawno, dawno temu współtworzył Żelazną Radę. A teraz przyprowadził ją z powrotem.

Zwiedza się od Radnego do Radnego, głos ludu nadał im imiona. Oto Spluwacz, jego podniecony okrzyk zostawił parabolę rozpylonej śliny wokół ust. Oto Żabiskok, który skoczył z wagonu na wagon i zawisł w połowie łuku między dachami. Oto Snajper, z którego strzelby wyleciała kula i utknęła w powietrzu piętnaście centymetrów od lufy. Tradycja każe się zatrzymać i włożyć dłoń między wylot lufy i pocisk.

Niektórzy z nas znali któregoś z Radnych. Pewna kobieta często przychodzi i rozmawia zawsze z tym samym mężczyzną, swoim ojcem, który powrócił do niej po długiej rozłące, ale w innym czasie. Nie ona jedna odwiedza kogoś z rodziny.

Spowita bluszczem wieża strzelnicza obrosła rdzą, kurzem i dymem, wagony bydłce przekwalifikowane na sypialnie i dom wariatów, wagony laboratoryjne, stołówki, arsenały, kościół, tutaj wypełnione ziemią platformy, ogrody i cmentarz z cenotafem, jeden wagon zbudowany z drewna wyrzuconego na brzeg przez morze, a tutaj pękaty plazmowy worek z trzema jądrami w miejscach, gdzie Momentodkształcił pasażerów, tylna lokomotywa z wyszczerzonymi zębami w miejscu, gdzie chwila się kończy. To jest Żelazna Rada. W godzinie naszej największej potrzeby przybędzie nas uratować.

Bawimy się koło tych wagonów, odwiedzamy je. Niektórzy przychodzą się pomodlić. Ziemia wokół Żelaznej Rady jest zaśmiecona wotywnymi karteczkami.

Milicyjni naukowcy i taumaturgowie próbują dotrzeć do wnętrza chwili za pomocą broni, ale golem czasowy tylko jest i te prymitywne ataki nie robią mu krzywdy. Przychodzimy znowu, i znowu, i znowu.

Miną lata i dalej będziemy opowiadać historię Żelaznej Rady, jak powstała, jak stworzyła się własnymi siłami, jak pojechała w świat i jak wróciła, jak wciąż wraca i wiecznie będzie wracała. Ci ludzie wytyczyli szlak przez nieznanne ziemie, żelaznymi liniami torów pisali historię, zawieźli ją na drugi koniec świata i przywieźli z powrotem. Milczą krzyczącymi ustami, a my prowadzimy ich do domu. Wylaniają się ze skalnych okopów i zdążają ku ceniom ceglanych murów. Prą do przodu, teraz i zawsze.